

Neal Stephenson

ŻYWE  
SREBRO

Tom I.

Cykl Barokowy

PRZEŁOŻYŁ WOJCIECH SZYPUŁA

2005

**trident**

## **Wydanie oryginalne**

**Tytuł oryginału:**

*Quicksilver*

**Data wydania:**

2003

## **Wydanie polskie**

**Data wydania:**

2005

**Ilustracja na okładce:**

Piotr Wyskok

**Projekt okładki:**

Jarosław Musiał

**Przełożył:**

Wojciech Szypuła

**Wydawca:**

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax(0-22)813 47 43

e-mail: [kurz@mag.com.pl](mailto:kurz@mag.com.pl)

<http://www.mag.com.pl>

ISBN 83-89004-84-4

**Wydanie elektroniczne**

Trident eBooks

*Kobiecie z piętra wyżej*

# PODZIĘKOWANIA

Dzieło takie jak to spoczywa zawieszony w ogromnej sieci wzajemnych zależności, którym nie sposób dać wyraz na krótkiej stronie z podziękowaniami. Plan zakrojony na tak szeroką skalę nie miałby szans realizacji, gdyby nie wysiłki uczonych od czasów Wilkinsa i Comeniusa aż do współczesności. Byłbym niesprawiedliwy, gdybym twierdził inaczej. Ale w powieści, która siłą rzeczy nie zawsze trzyma się faktów historycznych i prawdy naukowej, podziękowania mogą się zemścić. Dlatego poważnych uczonych, o których za chwilę będzie mowa, należy docenić za dorobek naukowy, a nie obwiniać o moje dyletanckie dywagacje.

Cała praca nie ruszyłaby z miejsca, gdybym przed kilku laty nie odbył nieoczekiwanych rozmów z Georgem Dysonem i Stephenem Horstem.

Następujący specjaliści (nazwiska znów podaję w porządku alfabetycznym) opublikowali prace, które miały kluczowe znaczenie dla realizacji mojego projektu. Jestem im głęboko wdzięczny, ale zdaję sobie sprawę, że moje liczne odstępstwa od faktów mogą być dla nich drażniące. Czytelnicy, którzy chcą poznać całą prawdę o tamtych wydarzeniach, powinni i kupić i przeczytać ich dzieła, na mnie zaś zwalić winę za wszelkie omyłki. Oto ci ludzie: Julian Barbour, Gale E. Christianson, A. Rupert Hall, David Kahn, Hans Georg Schulte-Albert, Lee Smolin, Richard Westfall, D.T. Whiteside.

Szczególne wyrazy uznania należą się Fernandowi Braudelowi; można by wręcz powiedzieć, że moja powieść jest zaledwie obfitym w dygresje przypisem do jego dzieła. Korzystałem także z wielu innych opracowań, których z braku miejsca nie jestem w stanie tu wymienić. Szczególnie przydatna okazała się sześciotomowa biografia Marlborougha pióra sir Winstona Spencera Churchilla, którą czytelnicy szczerze zainteresowani tym okresem historii powinni przeczytać, a ci, którzy uważają, że zbyt się rozpisałem – zważyć.

W sposób szczególny dziękuję Bell i Gabrielli Bollobasom, Dougowi Carlstonowi i Tomi Pierce za udostępnienie mi miejsc, których w przeciwnym razie nigdy bym nie zobaczył (Bollobasowie), lub w których nie mógłbym pracować (Carlston i Pierce). George Jewsbury, Catherine Durandin i Hugo Durandin DeSousa przyszli mi z pomocą w doskonałym momencie. Greg Bear pożyczył mi dwie książki (obiecuję, że je oddam!). Za rozmowy o prochu strzelniczym i za cierpliwe wysłuchiwanie moich wynurzeń na temat alchemii dziękuję Marco Kaltofenowi Natick Indian Plantation, oraz Needham West Militia Companies.

Pomocną dłoń podali mi i wykazali anielską cierpliwość: Jennifer Hershey, Liz Darhansoff, Jennifer Brehl i Ravi Mirchandani. Bez nich nie doszłoby do wydania tej książki.

Jeremy Bornstein, Alvy Ray Smith i Lisa Gold czytali przedostatnią wersję tekstu i opatrzyli ją bezcennymi komentarzami. Dwoje ostatnich, wraz z kartografem Nickiem Springerem, pomogło mi sporządzić mapy, wykresy i drzewa genealogiczne. Więcej informacji znajdą czytelnicy pod adresem [BaroqueCycyle.com](http://BaroqueCycyle.com).

# INWOKACJA

Czego chcesz, muzo? Wiem, że tam jesteś.  
Więdący z tęsknoty śpiewacy mówili,  
Żeś jasna jak płomień, lecz płocha jak duch.  
Ja i me pióro, zatopieni w płynnym cieniu,  
Mrok tylko możemy szerzyć, wypełniając nim dnie  
I ryzy papieru. Lecz bez ciebie nie będzie światła.  
Czemu szmerzesz w ciemności? Masz przecież  
Pióra ogniste. Niech świetlne bicze przesyją noc.  
Zerwij z twarzy mglisty całun. Daj mi to, czego potrzebuję.

Ale nie, nie ma cię w mroku. Jak ośmiornica  
Poruszam się w oparach własnych chmur,  
Dla ciebie odstręczających, dla nas obojga – nieprzeniknionych.  
Tylko pióro może przesyć taką pomrokę.  
Trzymam je w ręce. Zacznijmy więc.

# KSIĘGA PIERWSZA

# ŻYWE SREBRO

*Ci, którzy swe spekulacje opierają na hipotezach, (...) mogą wprawdzie stworzyć oryginalny romans, ale pozostanie on romansiem, niczym więcej.*

Roger Cotes w przedmowie do  
drugiego wydania *Principia Mathematica*  
sir Isaaca Newtona, rok 1713

## **Bostońskie błonia**

**12 października 1713, godzina 10:33:52**

Kiedy Enoch wyjeżdża zza węgła, kat podnosi właśnie pętlę nad głową kobiety. Tłum na błoniach na chwilę przestaje modlić się i szlochać. Kat nieruchomieje z podniesionymi rękoma, do złudzenia przypominając cieślę, który celuje kalenicą w przygotowaną w wiązarze wypustkę. Pętla wycina z nowoangielskiego nieba niewielki krążek błękitu. Purytanie wpatrują się w niego z rozdziawionymi ustami i – najwyraźniej – coś sobie myślą. Enoch Rudy dojeżdża na obrzeża tłumu i wstrzymuje pożyczonego konia. Widzi już, że kat bynajmniej nie zamierza chwalić się publice mistrzowsko zawiązanym węzłem, lecz odsłania jej krótkotrwałą – a dla purytanina nader kuszącą – wizję wrót do nieba, przez które każdy musi kiedyś przejść.

Boston rozłożył się wśród wzgórz, które leżą w podmokłej niecce niczym kulka lodów w łyżce. Prowadzącą wzdłuż trzonka łyżki drogę przegradza brama, za nią zaś – jak w każdym mieście – znajduje się szubienica. Do bram i muru przybite są zwłoki ofiar – lub to co z nich pozostało. Enoch właśnie przybył tamtędy do Bostonu i doszedł do wniosku, że okropne widoki się skończyły, a dalej będą już tylko kościoły i gospody. Okazało się jednak, że za bramą widział trupy pospolitych rabusiów, skazanych za doczesne zbrodnie. To, co dzieje się w tej chwili na błoniach, to sprawa natury duchowej.

Sznurowa pętla niczym korona spoczywa na posiwiałych włosach ofiary. Kat ciągnie ją w dół. Głowa kobiety rozpycha ją jak główka dziecka przeciskającego się przez drogi rodne. Pętla przechodzi przez najszersze miejsce czaszki i raptownie opada na ramiona skazanej. Kolana uginają się i rysują wyraźniej pod fartuchem, fałdy sukienki składają się teleskopowo; kobieta zaraz osunie się na ziemię. Kat jedną ręką podtrzymuje ją jak tancerz partnerkę, a drugą zaciska węzeł. Urzędnik odczytuje wyrok śmierci, nudny i bezbarwny jak umowa dzierżawy. Gapie drapią się i przestępują z nogi na nogę. Brakuje rozrywek, jakich publiczne wieszanie tradycyjnie dostarcza w Londynie: nikt nie gwizdże, nie ma zonglerów ani kieszonkowców. Daleko, na drugim końcu błoni, oddział brytyjskich żołnierzy ćwiczy musztrę, maszerując wokół pagórka, na którym ulokowana jest zbudowana z kamienia prochownia. W głosie dyrygującego nimi irlandzkiego sierżanta słychać złość i znudzenie; wiatr niesie go bardzo daleko, niczym odór dymu.

Enoch nie przybył tu wprawdzie oglądać wieszania czarownic, ale skoro już się jakieś trafiło, należy okazać dobre maniery i zostać do końca. Rozlega się dudnienie werbla, po którym nagle zapada niezręczna cisza. Tej egzekucji daleko do najgorszych, jakie widział: ofiara nie miota się i nie wierzga, sznur nie pęka, węzeł trzyma... W gruncie rzeczy jest to kawał dobrej, nadspodziewanie rzetelnej katowskiej roboty.



Nie bardzo wiedział, czego się spodziewać po Ameryce. Okazało się, że jej mieszkańcy do wszystkiego – także do egzekucji – podchodzą z chłodną, wyrachowaną przedsiębiorczością, która jest zarazem rozczarowująca i godna podziwu. Załatwiają najtrudniejsze sprawy z zimną krwią, jak migrujące na tarliska łososie. Zupełnie jakby rodzili się z wiedzą, którą inni ludzie dopiero muszą sobie przyswoić, wraz z baśniami i przesądami, od krewnych i sąsiadów. Może to dlatego że większość z nich przybyła tu na statkach.

Kiedy odcinają ze sznura zwiotczałe ciało wiedźmy, nad błoniami zrywa się północny wiatr. Na skali sir Isaaca Newtona, na której zero oznacza temperaturę zamarzania wody, dwunastka zaś ciepłość ludzkiego ciała, zimny podmuch miałby jakieś cztery do pięciu stopni; gdyby w Bostonie zjawił się nagle Herr Fahrenheit z jednym z tych swoich nowiutkich, napełnionych rtęcią termometrów, zarejestrowałby nieco ponad pięćdziesiąt kresek. Ale ten północny wiatr, wiejący co roku jesienią, przeszywa chłodem, którego żaden instrument nie zmierzy. Przypomina ludziom, że jeśli za parę miesięcy nie chcą umrzeć z zimna, muszą zgromadzić opał i uszczelnić szpary w ścianach domostw. Stojący u stóp szubienicy zachrypnięty kaznodzieja bierze poryw wiatru za przejaw obecności samego szatana, który przybył zabrać duszę wiedźmy do piekła, i czym prędzej dzieli się tym spostrzeżeniem ze swoimi owieczkami. Patrzy przy tym Enochowi prosto w oczy.

Enoch czuje, jak w znajomym preludium strachu boleśnie wyostrajają mu się zmysły. Niby dlaczego nie mieliby postawić przed sądem i skazać za czary właśnie jego?

Jak go widzą? Człowiek w trudnym do określenia wieku, choć bez wątplenia doświadczony przez życie, z opadającym na plecy siwym kucykiem, rudą jak miedź brodą, jasnoszarymi oczami i twarzą ogorzałą i pobrużdżoną jak kowalski fartuch z wołowej skóry. Jest ubrany w długi podróżny płaszcz i dosiada pięknego karego konia. Do siodła ma przytroczony kostur i staromodny rapier. Za pasem nosi dwa pistolety – na widoku, tak żeby Indianie, rozbójnicy i francuscy rabusie dostrzegli je, zanim rzucą się nań z zasadzki (teraz wolałyby się z nimi nie afiszować, ale sięganie po nie w takiej chwili, choćby po to, żeby je schować, nie wydaje mu się najlepszym pomysłem). Gdyby ktoś przeszukał juki, znalazłby w nich nie tylko przeróżne przyrządy i buteleczki z rtęcią, ale też wiele niezwykłych – i, jak wkrótce by się przekonał, niebezpiecznych – ksiąg hebrajskich, greckich i łacińskich, upstrzonych tajemnymi symbolami, znanymi tylko alchemikom i kabalistom.

Ludzie jednak traktują majaczenia klechy nie jak wezwanie do samosądu, lecz jak sygnał do rozejścia się, co też czynią, rozmawiając półgłosem. Brytyjczycy w czerwonych mundurach strzelają z muszkietów; syczące dudnienie wystrzałów brzmi tak, jakby ktoś garściami piasku ciskał w ogromny bęben. Enoch zsiada z konia i wtapia się w tłum kolonistów. Otula się płaszczem, zasłaniając pistolety, odrzuca kaptur i upodabnia się do jednego z wielu zwyczajnych, zmęczonych wędrowców. Nie patrzy ludziom w oczy. Kiedy zerka z ukosa na ich twarze, ze zdziwieniem stwierdza, że nie ma na nich przeświadczenia o słuszności wyroku.

- Jak Bóg da, to będzie ostatni raz – mówi jeden z nich.
- Ma pan na myśli ostatnią wiedźmę? – pyta Enoch.
- Ostatnią egzekucję.

Tłum płynie jak woda, omywając podnóża stromych wzgórz. Przechodzi przez cmentarz na południu błoń (pełen zmarłych Anglików) i podąża główną ulicą w ślad za trupem czarownicy. Większość domów – podobnie jak kościołów – jest zbudowana z drewna. Hiszpanie postawiliby w mieście jedną kamienną katedrę, olbrzymią i całą w środku wyłożoną, ale koloniści nie bardzo mogą się porozumieć w jakiegokolwiek kwestii, przez co Boston do złudzenia przypomina Amsterdam: małe kościółki stoją przy każdej przecznicy, niektóre trudne do odróżnienia od stodół, a w każdym można posłuchać kaznodziei przekonanego o własnej nieomyślności. Dobrze chociaż, że udało im się dogadać w sprawie zabicia wiedźmy.

Niosą ją teraz na nowy cmentarz, który z niewiadomych powodów ulokowali tuż obok spichlerza. Enoch nie ma pojęcia, czy to połączenie – przechowywanie zmarłych razem z Chlebem Życia – to jakiś przemyślany komunikat miejskiej starszyny, czy raczej zwyczajny przejaw złego gustu.

Enoch widział już niejedno płonące miasto i dostrzega w Bostonie ślady wielkiego pożaru. Spalone domy i kościoły odbudowuje się w kamieniu. Kondukt dochodzi do miejsca będącego głównym skrzyżowaniem miasta: droga biegnąca od bramy przecina w tym miejscu szeroką ulicę, prowadzącą wprost nad morze i przechodzącą w długi pirs, którego część wybiega daleko w głąb portu. Po drodze przebija się przez skruszony mur z kamieni i drewnianych bali – to resztki nieużywanego już falochronu. Nad samym morzem stoją koszary. Pirs sięga tak daleko w morze, że przy jego końcu swobodnie cumuje jeden z największych okrętów marynarki wojennej. Enoch spogląda w przeciwnym kierunku. Na stoku wzgórza widzi umocnione stanowiska armat, a przy nich ubranych w niebieskie mundury artylerzystów, uwijających się przy ogromnym, przypominającym kadź moździerz. Żelazne pociski mogą w każdej chwili polecieć na pokład francuskich i hiszpańskich galeonów, które odważyłyby się zapaść w głąb zatoki.

Kreśląc w myślach linię łączącą trupy u bram miasta, prochownię na błoniach, szubienicę i baterie portowe, Enoch uzyskuje jedną z prostych tworzących kartezjański układ współrzędnych (Leibniz nazwałby ją osią odciętych). Rozumie już, czego boją się mieszkańcy Bostonu i w jaki sposób księża i generałowie pospołu rządzą miastem. Na razie nie wie jeszcze, co znajdzie się w przestrzeni nad i pod osią. Bostońskie wzgórza są okolone bezkresnymi, płaskimi jak stół mokradłami zlewającymi się z morzem lub płynnie przechodzącymi w rzekę, a od strony lądu tworzą rozległą, pustą połąć, na której geodeci z linami i przymiarami mogą kreślić najdziwniejsze krzywe, jakie przyjdą im do głowy.

Enoch wie, gdzie znajduje się początek tego układu współrzędnych, ponieważ rozmawiał z kapitanami statków zawijających do Bostonu. Schodzi nad wodę, do miejsca, gdzie długi

pirs wyrasta z łądu. Wśród pięknych, kamiennych domów kupców morskich znajduje ceglasczerwone drzwi, nad którymi zwiesza się kiść winogron. Otwiera je i wchodzi do eleganckiej tawerny. Goście w wykwintnych szatach, z kordelasami u pasa, odwracają się w jego stronę: to handlarze niewolników, sprzedawcy rumu, melasy, herbaty i tytoniu, oraz kapitanowie statków przewożących te wszystkie towary. Tawerna mogłaby znajdować się w dowolnym porcie świata; takie same gospody w Londynie, Kadyksie, Smyrnie i Manili goszczą takich samych ludzi. Nawet gdyby o tym wiedzieli, nie przejęliby się faktem, że pięć minut drogi od tawerny wieszają czarownice. Enoch czuje się wśród nich znacznie swobodniej niż na ulicy – ale nie wszedł tu po to, żeby napawać się swobodą. Kapitana van Hoeka, do którego przyszedł, nie ma w tawernie. Wycofuje się więc, zanim właścicielowi uda się go czymś skusić.

Wraca do Ameryki, pomiędzy purytanów, wchodzi w labirynt wąskich zaułków i kieruje się na północ. Przeprowadza konia po rozchwierutanej kładce nad młynówką. Na wodzie unosi się flotylla drzazg spod struga jakiegoś cieśli, które mkną z biegiem strumienia niczym wyruszające na wojnę okręty. Słaby nurt popycha w stronę portu ekskrementy i szczątki zabitych zwierząt. Woda śmierdzi stosownie do wyglądu. Wiatr niesie odór znajdującej się w pobliżu mydlarni, gdzie nie nadający się do spożycia zwierzęcy tłuszcz przerabia się na świecę i mydło.

– Przypląnąłeś z Europy?

Czuł, że ktoś za nim idzie, ale chociaż kilka razy się odwracał, nikogo nie dostrzegł. Teraz już wie dlaczego: śledził go młody chłopak, ruchliwy jak kropla rtęci, którą nie sposób przycisnąć palcem. Zdaniem Enocha ma około dziesięciu lat. Przypomina sobie, żeby się uśmiechnąć, i rozchyła wargi. Stałe zęby dopiero rozpychają się w różowych dziąsłach, tak że widać zaledwie ich skrawki; mleczaki trzymają się na kawałkach skóry i telepią jak szyldy tawern na łańcuchach. Dzieciak ma raczej osiem lat, ale bardzo wyrósł na diecie z dorsza i kukurydzy – przynajmniej wedle londyńskich standardów. W ogóle jest nad wiek dojrzały; brakuje mu tylko ogłady towarzyskiej.

Enoch mógłby odpowiedzieć: „Owszem, przypląnąłem z Europy, gdzie chłopcy zwracając się do starszych, mówią »proszę pana«, o ile w ogóle odważą się odezwać”, ale nie radzi sobie z niezwykłym dla niego nazewnictwem.

– Z Europy... – powtarza. – Tak tu mówicie? Bo tam mówi się po prostu „świat chrześcijański”.

– Przecież tu też mieszkają chrześcijanie.

– Chcesz przez to powiedzieć, że świat chrześcijański znajduje się właśnie tutaj. Oczywiście jest jednak to, że przybyłem skądinąd. Jak się tak nad tym zastanowić, to może faktycznie „Europa” będzie lepszym określeniem.

– A jak inni ją nazywają?

– Czy ja wyglądam jak nauczyciel?

– Nie, ale tak mówisz.

– Widzę, że znasz się na nauczycielach?

– Tak, proszę pana – odpowiada chłopiec, zająkując się w chwili, gdy dostrzega pułapkę, w którą zaraz wpadnie.

– A mimo to w poniedziałkowy poranek...

– W szkole nikogo nie było, bo wszyscy poszli oglądać egzekucję. Nie chciałem siedzieć tam sam i...

– I co?

– I jeszcze bardziej wysforować się naprzód z nauką.

– Jeżeli jesteś mądrzejszy od innych, powinieneś się do tego przyzwyczajać, a nie robić z siebie imbecyla. Twoje miejsce jest w szkole.

– Szkoła jest miejscem nauki. Gdyby pan był tak uprzejmy, żeby odpowiedzieć na moje pytanie, czegoś bym się dowiedział, a to prawie to samo, jakbym był w szkole.

Nie ulega wątpliwości, że chłopiec jest niebezpieczny. Enoch postanawia przystać na jego propozycję.

– Możesz mnie nazywać panem Rootem. A ty...

– Jestem Ben, syn Josiaha. Mydlarza. Z czego się pan śmieje, panie Root?

– Śmieję się, bo mało gdzie w świecie chrześcijańskim... To znaczy mało gdzie w Europie synowie mydlarzy chodzą do szkół. To charakterystyczna cecha... twoich rodaków.

Enoch gryzie się w język, żeby nie powiedzieć „purytanów”. W Anglii, gdzie purytanie są wspomnieniem, pamiątką dawno minionych czasów, a w najgorszym razie natrętami sterczącymi na rogach ulic, słowo to doskonale określa prostaków z kolonii nad Zatoką Massachusetts. Odkąd jednak przybył do Ameryki, na każdym kroku uświadamia sobie, że prawda jest o wiele bardziej złożona. Siedząc w londyńskiej kawiarni, można rozprawiać beztrąsko o islamie i muzułmanach, ale w Kairze te same dywagacje tracą sens. A Enoch znalazł się właśnie w takim purytańskim Kairze.

– Odpowiem na twoje pytanie – mówi, uprzedzając chłopaka. – Jak ludzie nazywają miejsce, z którego przybywam? Powiem tak: islam, kultura większa, bogatsza i pod wieloma względami bardziej wyrafinowana od naszej, z którą chrześcijaństwo styka się na wschodzie i południu, dzieli cały świat na trzy części. Jest część, którą sama zajmuje: *dar al-Islam*. Jest część, z którą łączy ją przyjazne stosunki: *dar as-sulh*, czyli Dom Pokoju. To, co zostaje, jest *dar al-harb*, czyli Domem Wojny. Z przykrością muszę stwierdzić, że to ostatnie określenie znacznie lepiej niż „świat chrześcijański” przystaje do zamieszkanym przez chrześcijan rejonów kuli ziemskiej.

– Słyszałem o wojnie – zauważa spokojnie Ben. – Kończy się. W Utrechcie podpisano traktat pokojowy. Francja dostanie Hiszpanię, Austria hiszpańskie Niderlandy, a my Gibraltar, Nową Fundlandię, St. Kitts i... – Zniża głos. – I handel niewolnikami. – Właśnie! *Asiento!*

– Ciii! Są tu ludzie, którym się to nie podoba, proszę pana. Niebezpieczni ludzie.

– Macie tu jakichś barkerów<sup>1</sup>?

– Tak, proszę pana.

Enoch przygląda się uważnie chłopcu. Człowiek, którego szuka, jest w pewnym sensie barkerem, więc dobrze by było wiedzieć, jak się na takich zapatrują ich mniej fanatyczni krewniacy. Ben jednak okazuje raczej ostrożność niż niechęć.

– Ale to tylko jedna wojna...

– Wojna o sukcesję hiszpańską – przytakuje Ben. – Wywołała ją śmierć hiszpańskiego króla Karola II w Madrycie.

– Zgon tego nieszczęśnika był raczej pretekstem do wypowiedzenia wojny niż jej rzeczywistą przyczyną. Poza tym wojna o sukcesję hiszpańską była drugą – i, mam nadzieję, ostatnią – kampanią wielkiej wojny, która wybuchła ćwierć wieku temu, zaraz po...

– Wspaniałej Rewolucji!

– Rzeczywiście, niektórzy tak ją nazywają. Pilny z ciebie uczeń, Benie. To godne pochwały. Zatem na pewno wiesz, że w czasie tej rewolucji katolicki król Anglii został wypędzony z kraju, a jego miejsce zajęła para monarchów protestanckich.

– Wilhelm i Maria!

– W rzeczy samej. Ale czy zastanawiałeś się nad tym, dlaczego właściwie protestanci i katolicy toczyli wojnę?

– Więcej uczymy się o wojnach wśród samych protestantów...

– No tak. To zjawisko występujące wyłącznie w Anglii, ale ze zrozumiałych względów najbardziej was interesujące. Twój rodzic przybył tu właśnie po jednym z tych konfliktów.

– Po wojnie domowej.

– Którą wygraliście. Później jednak nastąpiła restauracja, która była dla was prawdziwą katastrofą. I tak oto znaleźliście się tutaj.

– Trafił pan w sedno, panie Root. Właśnie dlatego mój ojciec, Josiah, opuścił Anglię.

– A matka?

– Urodziła się w Nantucket, proszę pana. Ale jej ojciec uciekł tu przed pewnym niegodziwym biskupem, ponoć bardzo hałaśliwym... Tak słyszałem.

– No, Benie, w końcu cię przyłapałem. Masz na myśli arcybiskupa Lauda<sup>2</sup>, srogiego prześladowcę purytanów, jak często nazywano twoich ziomków, za czasów Karola I. Purytanie okrutnie się zemścili: w roku pańskim tysiąc sześćset czterdziestym dziewiątym przy Charing Cross obcięli rzezonemu Karolowi głowę.

– Cromwell.

– Właśnie, Cromwell maczał w tym palce. No dobrze, Benie. Stoimy tak sobie przy tej młynówce, ja zaczynam marznąć, koń się niepokoi... Jak już zaznaczyłem, znaleźliśmy

---

<sup>1</sup> Od angielskiego *bark* - szczeakać (przyp. tłum.).

<sup>2</sup> Ben myli angielskie słowo *loud* (głośny) z nazwiskiem Laud (przyp. tłum.).

punkt, w którym twoja erudycja ustępuje miejsca niewiedzy. Z przyjemnością dotrzymam umowy, to znaczy nauczę cię czegoś, abyś po powrocie do domu mógł powiedzieć Josiahowi, że przez cały dzień byłeś w szkole. Co nie zmienia faktu, że twój nauczyciel może przedstawić mu inną wersję wydarzeń, sprzeczną z twoją. Ale mniejsza z tym. W zamian oczekuję od ciebie paru drobnych przysług.

– Służę uprzejmie, panie Root.

– Szukam w Bostonie pewnego człowieka. Starego człowieka. Podobno tu mieszka.

– Jest starszy niż pan?

– Nie, ale może na takiego wyglądać.

– No to ile ma lat?

– Widział na własne oczy, jak królowi Karolowi I obcinano głowę.

– Czyli co najmniej sześćdziesiąt cztery.

– Widzę, że sumy i różnice masz w małym palcu.

– Podobnie jak ilorazy i iloczyny, panie Root.

– Uwzględnij zatem wskazówkę, jakiej ci udzielę: człowiek, którego szukam, mógł bez przeszkód śledzić przebieg egzekucji, ponieważ ojciec wziął go na barana.

– Miał zatem najwyżej parę lat. Albo z jego ojca był naprawdę kawał chłopca.

– W pewnym sensie był. Dwa dziesięciolecia wcześniej w Izbie Gwiazdzistej arcybiskup Laud kazał mu obciąć uszy i nos. On jednak nie dał się zastraszyć i dalej agitował przeciw królowi. Przeciw wszystkim królom.

– Był barkerem.

I tym razem słowo zostaje wypowiedziane bez cienia pogardy w głosie. To niesamowite, jak bardzo Boston różni się od Londynu.

– Wracając do twojego pytania, Benie: Drake nie był siłaczem.

– Czyli syn, którego wziął na barana, był małym dzieckiem. Mógłby mieć teraz jakieś sześćdziesiąt osiem lat. Ja jednak nie znam żadnego pana Drake'a.

– Drake to imię ojca, nie nazwisko.

– Jak zatem brzmi nazwisko?

– Na razie ci nie powiem – odpowiada Enoch.

Człowiek, którego szuka, może mieć paskudną opinię wśród tutejszych. Kto wie, czy już go nie powiesili na błoniach.

– Jak mam panu pomóc go znaleźć, jeśli nie wiem, jak się nazywa?

– Zaprowadź mnie do promu do Charlestown. Wiem, że syn Drake'a spędza dużo czasu na północnym brzegu Rzeki Karola.

– Proszę za mną. Mam nadzieję, że ma pan srebro.

– O tak, mam srebro.

\* \* \*

Obchodzą dookoła pagórek po północnej stronie miasta. Od jego podnóża wybiegają w morze liczne keje, mniejsze i starsze niż główne nabrzeże. Leżące na brzegu żagle, reje, maszty i stengi tworzą rozległą, niepojętą płataninę, jak litery na stronicy książki w oczach niepiśmiennego wieśniaka. Enoch nigdzie nie widzi van Hoeka ani *Minerwy*. Zaczyna się obawiać, że przyjdzie mu chodzić po tawernach, wypytywać, tracić czas i zwracać na siebie uwagę.

Ben prowadzi go prosto do pirsu, przy którym stoi gotowy do drogi prom do Charlestown. Na pokładzie stłoczyli się niedawni świadkowie egzekucji i Enoch musi zapłacić dodatkowo za przewiezienie konia. Rozwiązuje sakiewkę, zerkając do środka. Rzucają mu się w oczy herby hiszpańskich królów, odbite w srebrze i znajdujące się w różnych stadiach zatarcia, deformacji i obłamania. Imiona królów zmieniają się – monety bito w Nowej Hiszpanii za panowania różnych władców – ale po imieniu zawsze widnieje napis D.G. HISPAN ET IND REX, czyli „Z łaski bożej król Hiszpanii i Indii”. Wszyscy królowie umieszczają na swoich monetach podobne przechwałki.

Te słowa nie mają wielkiego znaczenia; przecież i tak mało kto umie je przeczytać. Liczy się fakt, że kiedy człowiek stojący na smaganym zimnym wiatrem bostońskim nabrzeżu chce wsiąść na prom, który jest własnością Anglika, nie może zapłacić za podróż monetami bitymi przez sir Isaaca Newtona w Królewskiej Mennicy w londyńskiej Tower. Jedyne uznawane tu pieniądze pochodzą z Hiszpanii. Identyczne monety przechodzą w tej samej chwili z rąk do rąk w Limie, Manili, Makau, Goa, Bandar Abbas, Mokce, Kairze, Smyrnie, Madrycie, Marsylii, na Malcie i Wyspach Kanaryjskich.

Człowiek, który kilka miesięcy wcześniej odprowadził Enocha do portu w Londynie, powiedział:

– Złoto wie o rzeczach, o których żaden człowiek nie ma pojęcia.

Enoch potrząsa sakiewką, aż podskakują odłamki monet. Próbuje wypatrzeć wśród nich pojedynczy wycinek srebrnego krążka – jedną ósmą peso, czyli jednego reala. Wkrótce jednak zdaje sobie sprawę, że większość reali wydał po drodze na różne niezbędne drobiazgi i najmniejszy kawałek, jaki mu został, to połówka monety. Całe cztery reale.

Rozgląda się i dosłownie rzut kamieniem od nabrzeża dostrzega kuźnię. Kowal mógłby mu rozmienić tę połówkę – wystarczyłoby jedno uderzenie młotem.

Przewoźnik czyta Enochowi w myślach. Nie udało mu się zerknąć do sakiewki, ale usłyszał donośny brzęk uderzających o siebie całych monet, nie zakłócony blaszanym podzwaniem ułomków.

– Odbijamy – oznajmia z satysfakcją.

Enoch otrząsa się z zamyślenia, przypomina sobie, co ma zrobić, i podaje przewoźnikowi połówkę srebrnego krążka.

– Chłopak płynie ze mną – stwierdza z naciskiem. – A potem odwiezie go pan z powrotem.

– Niech będzie.

Ben nie śmiał żywić nadziei, że tak mu się poszczęści, ale mimo wszystko w skrytości ducha na to liczył. Jest zbyt powściągliwy, żeby się do tego przyznać, lecz przejażdżka do Charlestown jest dla niego równie wielką atrakcją jak rejs na Karaiby i żywot pirata łupiącego hiszpańskie galeony. Kiedy wchodzi na pokład promu, wydaje się nie dotykać stopami trapu.

Charlestown leży niespełna milę od Bostonu, po drugiej stronie ujścia leniwej rzeki. Zielone wzgórze jest upstrzone długimi, smukłymi stogami siana, które suszy się na łąkach okolonych murkami z kładzionych bez zaprawy kamieni. Na stoku od strony Bostonu, poniżej wierzchołka, ale ponad bezkresną równiną zalewową i porośniętymi pałąką mokradłami, pojawiło się miasto – po części wykreślone przez geodetów, po części zaś pieniające się swobodnie niczym bluszcz.

Należący do przewoźnika muskularni Afrykanie chodzą w tę i z powrotem po pokładzie, zataczając na nim krótkie łuki i młóćąc czarną wodę Zatoki Karola długimi, umocowanymi w dulkach wiosłami. Pióra wiosła tworzą w wodzie złożone układy zawirowań, te przemieszczają się ku rufie, splatają i dzielą, kreśląc przecinające się, spłaszczone stożki, których przekroje sir Isaac najprawdopodobniej wyliczyłyby z pamięci. Hipoteza zawirowań przysparza wielu problemów. Niebo wygląda jak delikatna sieć z napiętego jutowego sznura i obrobionych ośnikiem pni drzew – zacumowane przy brzegu statki szarpiają się i dygoczą w podmuchach wiatru niczym konie spłoszone hałasem odległych wystrzałów. Nieregularne fale chlupoczą o kadłuby, na których roi się od bosych robotników, utykających dokuczliwe szpary smołą i pakułami. Kiedy prom się porusza, wzrok płata człowiekowi figle i statki zdają się ślizgać po wodzie na boki. Enoch, który ma to szczęście, że jest odrobinę wyższy od większości pasażerów, oddaje Benowi wodze konia i zaczyna przeciskać się przez ciżbę na pokładzie, próbując odczytać nazwy na dziobach.

Statek, którego szuka, rozpoznaje jednak nie po napisie, lecz po aflastonie pod bukszprytem. Rzeźba przedstawia szarooką kobietę w złoconym hełmie, która z wężową tarczą i – co zrozumiałe – sterczącymi sutkami rzuca wyzwanie zimnym wodom północnego Atlantyku. Na szczęście *Minerwa* nie podniosła jeszcze kotwicy, ale jest wyładowana po brzegi i wygląda, jakby lada chwila miała wyjść w morze. Na jej pokład są właśnie wnoszone kosze świeżego, parującego chleba. Enoch odwraca się plecami do brzegu i z obrośniętego pąklami słupa odczytuje stan wody. Spogląda też na księżyc, szacując jego wysokość nad horyzontem. Wkrótce zacznie się odpływ; *Minerwa* z pewnością będzie chciała z niego skorzystać.

Udaje mu się w końcu zauważyć na fordeku van Hoeka, który podpisuje właśnie jakieś dokumenty. Stojąca beczka służy mu za biurko. Jakaś niezwykła, telepatyczna siła każe mu podnieść wzrok i dostrzec Enocha na pokładzie promu.



Van Hoek spogląda na niego i nieruchomieje.

Enoch nie reaguje. Patrzy mu tylko w oczy – wystarczająco długo, by van Hoek zaczął się wahać, czy pospieszne rzucenie cum rzeczywiście będzie najszcześniejszym pomysłem.

Kolonista w czarnym kapeluszu próbuje zawrzeć znajomość z jednym z Afrykanów. Ten wprawdzie bardzo słabo mówi po angielsku, ale nie stanowi to dla nich przeszkody, gdyż biały mężczyzna najwyraźniej zna parę słów w jednym z afrykańskich narzeczy. Niewolnik ma bardzo ciemną skórę. Ponieważ na jego lewym barku widnieje wypalony herb króla Hiszpanii, pochodzi zapewne z Angoli. Życie na pewno wygląda dla niego dziwnie. Najpierw dał się złapać Afrykaninowi bardziej bojowemu niż on sam. Zakuty w łańcuchy trafił do lochu w Luandzie, gdzie został oznakowany rozpalonym żelazem dla potwierdzenia, że zapłacono za niego cło. Z lochu trafił na pokład statku, który zawiózł go do zimnego kraju zamieszkanego przez bladokórych ludzi. Można by pomyśleć, że po takich przeżyciach nie go już nie zaskoczy, ale słowami tego barkera jest najwyraźniej zdumiony. Sam barker gestykuluje zżywieniem – bynajmniej nie dlatego, że nie umie się wysłowić. Zakładając, że jest w stałym kontakcie z dzielącymi jego poglądy londyńczykami (a byłoby to założenie nader rozsądne), najprawdopodobniej tłumaczy Angolczykowi, że wszyscy niewolnicy – on również – mają pełne prawo chwycić za broń i wzniecić bunt.

– Piękny wierzchowiec. Przywiózł go pan z Europy?

– Nie, Benie. Wypożyczyłem w Nowym Amsterdamie... To znaczy w Nowym Jorku.

– Dlaczego popłynął pan do Nowego Jorku, skoro człowiek, którego pan szuka, mieszka w Bostonie?

– Tak się złożyło, że najbliższy statek z Londynu do Ameryki płynął właśnie tam, nie tutaj.

– Musi się panu ogromnie spieszyć.

– Zaraz pospieszę się jeszcze bardziej i wyrzucę cię za burtę, jeśli nie przestaniesz wyciągać takich wniosków.

Ben milknie, ale tylko na chwilę – w sam raz, żeby podejść Enocha z innej strony.

– Właściciel rumaka musi być pańskim dobrym przyjacielem, skoro go panu pożyczył.

Enoch zdaje sobie sprawę, że musi zachować ostrożność. Właściciel karego ogiera cieszy się w Nowym Jorku powszechnym szacunkiem. Jeżeli Enoch będzie się upierał przy zażyłości z nim, a potem zrobi w Bostonie krwawą jatkę, reputacja owego dżentelmena zostanie poważnie nadszarpięta.

– Niezupełnie. Poznałem go zaledwie kilka dni temu, kiedy zapukałem do drzwi jego domu.

Benowi nie mieści się to w głowie.

– Dlaczego w ogóle pana przyjął, skoro się nie znaliście? Proszę mi wybaczyć, ale biorąc pod uwagę pański wygląd i tę broń... Jak to możliwe, że pożyczył panu tak niezwykłego wierzchowca?

– Wpuścił mnie za próg, ponieważ zanosilo się na zamieszki, a ja poprosilem o schronienie. – Enoch zerka nad ramieniem chłopca na barkera, po czym nachyla się do Bena.

– Posłuchaj, opowiem ci coś ciekawego. Kiedy mój statek zawinął do portu, Nowy Jork przywitał nas niezwykle widowiskiem. Tysiące niewolników z Irlandii i Angoli biegały ulicami, wymachując widłami i płonącymi żagwiami. Żołnierze maszerowali za nimi w zwartym szyku i strzelali salwami. Biały dym z luf muszkietów unosił się w powietrzu i mieszał z czarnym dymem z płonących magazynów. Niebo przypominało rozpalony, sypiący skrami tygiel, cudowny, kiedy się na niego patrzyło, ale, jak się obawialiśmy, niegościnnie dla wszelkiego życia. Nasz pilot wstrzymał statek, dopóki przyływ nie zepchnął nas z redy. Przybiliśmy do bronionego przez żołnierzy pirsu. Ale mniejsza o szczegóły. – Enoch zauważa, że jego wywód niepotrzebnie przyciąga uwagę słuchaczy. – Dzięki temu zamieszaniu udało mi się dostać do jego domu. Pożyczył mi konia, ponieważ obaj jesteśmy członkami pewnego stowarzyszenia. W dodatku można powiedzieć, że przybyłem tu właśnie na zlecenie tej organizacji.

– Czy to coś w rodzaju Towarzystwa Barkerów? – pyta szeptem Ben.

Przysuwa się do Enocha i zerka podejrzliwie na mężczyznę, który naucza niewolnika. Zauważył już mnogość broni, z jaką obnosi się Enoch, i skojarzył ją z gawędami rodziców, którzy z pewnością opowiadali mu o wstrętnej sekcie przeżywającej rozkwit w czasach, gdy królobójstwa i łupienie kościołów były na porządku dziennym.

– Nie, filozofów – ucina szybko Enoch, zanim jego rozmówca zdąży popuścić wodze wyobraźni.

– Filozofów!

Spodziewał się, że ta odpowiedź rozczaruje Bena, ale dzieciak jest wyraźnie podekscytowany. A więc nie mylił się: to niebezpieczny chłopak.

– Filozofów naturalnych, chłopcze, nie tych drugich...

– Nienaturalnych?

– Celne sformułowanie. Są ludzie, którzy właśnie filozofów nienaturalnych obarczyliby winą za wojny protestantów z protestantami w Anglii i z katolikami wszędzie poza nią.

– Kim wobec tego jest filozof naturalny?

– Człowiekiem, który stara się zapanować nad swym błędzącym umysłem poprzez trzymanie się obserwowalnych faktów, oraz, o ile to możliwe, kierowanie się regułami logiki przy dowodzeniu swych hipotez. – Ta odpowiedź niczego Benowi nie wyjaśnia. – Naturalista przypomina sędziego, który żąda faktów i gardzi plotką, pogłoskami i sentymentami. Tak jak wasi sędziowie, którzy w końcu wybrali się do Salem i dowiedli, że tamtejsi mieszkańcy powariowali.

Ben kiwa głową. To dobrze.

– Jak się nazywa ten wasz klub?

– Towarzystwo Królewskie w Londynie.

– Ja też zostanę jego członkiem. I takim sędzią, jak pan powiedział.

– Natychmiast po powrocie mianuję cię jednym z nas, Benie.

– Czy w kodeksie Towarzystwa jest zapisane, że w razie potrzeby jego członkowie muszą sobie nawzajem pożyczać konie?

– Nie. Powinni jednak płacić składki, bo te zawsze są potrzebne. A ten człowiek od lat z nimi zalega. Sir Isaac, który jest przewodniczącym Towarzystwa, krzywo patrzy na takich jak on. Wyjaśniłem temu dżentelmenowi z Nowego Jorku, dlaczego źle jest znaleźć się na czarnej liście sir Isaaca. Moje argumenty wydały mu się na tyle przekonujące, że bez dalszej dyskusji pożyczył mi swojego najlepszego wierzchowca.

– Piękny koń – przyznaje Ben, gładząc chrapy zwierzęcia.

Z początku ogier spoglądał na niego nieufnie, ponieważ Ben jest drobny, ruchliwy i śmierdzi padliną. Z czasem jednak nauczył się traktować go jak ruchomy pacholek, zdolny dodatkowo do kilku prostych czynności, takich jak drapanie po nosie i odganianie much.

Przewoźnik jest bardziej rozbawiony niż zły, kiedy odkrywa barkera spiskującego z jednym z jego niewolników. Przegania go dobrodusznie, barker zaś wybiera Enocha na swą następną ofiarę i próbuje na początek nawiązać z nim kontakt wzrokowy. Enoch odsuwa się i udaje, że bez reszty pochłania go obserwacja coraz bliższego brzegu. Prom właśnie opływa tratwę zbudowaną z olbrzymich bali, która wynurza się z ujścia rzeki. Wszystkie bale są opatrzone znakiem Królewskiej Strzały. To znak, że będą budulcem dla okrętów marynarki wojennej.

Za Charlestown rozciągają się luźne zbiorowiska chałup i małe osiedla, połączone wydeptanymi przez bydło ścieżkami. Największa z nich prowadzi aż do Newtowne, gdzie mieści się Kolegium Harvarda. Większość łądu przypomina jednak zwyczajny las, nad którym unoszą się dymy (choć drzewa nie płoną) i z którego dochodzi stłumiony stukot siekier i młotów. Z oddali dobiegają sporadyczne odgłosy muszkietowych wystrzałów, niosące się echem z wioski do wioski – całkiem interesujący system przekazywania informacji na znaczne odległości. Enoch nie ma pojęcia, jak w tym całym rozgardiaszu znajdzie Daniela.

Podchodzi do pogrążonej w rozmowie grupy, która uformowała się na środku pokładu, osłonięta od wiatru ciałami mniej wykształconych obywateli – nie ulega bowiem wątpliwości, że dyskutanci są z Harvardu: mieszanina nadętych pijaczków i rzutkich mężczyzn o wyrazistej mimice, którzy przetykają swoje wypowiedzi fatalną łaciną. Niektórzy wyglądają wypisz, wymaluj jak typowi skwaszeni purytanie, inni noszą ubrania, które zaledwie przed rokiem wyszły w Londynie z mody. Mężczyzna w popielatej peruce, o ciele w kształcie gruszki i zaczerwienionym nosie, wygląda na dziekana tego pospiesznie zwołanego uniwersytetu. Enoch czeka, aż na niego spojrzy, i dyskretnie odsłania rapier – nie po to, żeby mu grozić, ale by wyraźnie określić swój status.

– Proszę, proszę, dżentelmen z zagranicy! Witamy w naszej skromnej kolonii.

Enoch machinalnie wykonuje stosownie uprzejme gesty i udziela wymaganych obyczajem zdawkowych odpowiedzi. Wzbudza spore zainteresowanie, co jasno dowodzi, że w Kolegium Harvarda niewiele ostatnio dzieje się ciekawego. Czegóż się jednak spodziewać po uniwersytecie, który liczy sobie zaledwie trzy czwarte wieku? Pytają, czy Enoch pochodzi z Niemiec; odpowiada, że niezupełnie. Zgadują, że sprowadza go jakiś problem natury alchemicznej; ich domysły brzmią znakomicie, lecz są chybione. Kiedy uznaje, że nadeszła odpowiednia chwila, wyjawia im nazwisko człowieka, którego szuka.

W życiu nie słyszał takiej pogardy w ludzkim głosie. Wszyscy, jak jeden mąż, są zniesmaczeni, że dżentelmen przebył Atlantycką, a teraz także Zatokę Karola, tylko po to, by psuć sobie podróż rozmową z kimś takim.

– Nie znam go – kłamie Enoch.

– Pozwól zatem, panie, że przygotujemy cię na spotkanie z nim – proponuje jeden z rozmówców. – Daniel Waterhouse jest człowiekiem niemłodym, z którym w dodatku czas obszedł się mniej łaskawie niż z panem.

– Przysługuje mu tytuł doktora, prawda?

Ciszę, która zapada, mącą stłumione gniewne pomruki.

– Nie jest moim zamiarem poprawianie panów – ciągnie Enoch. – Chciałbym jednak mieć pewność, że nie urażę go, gdy spotkamy się twarzą w twarz.

– Istotnie, jest doktorem – przytakuje gruszkowaty wykładowca. – Jednakże...

– Doktorem czego?

– Trybików – odpowiada ktoś, budząc powszechną wesołość.

– Ależ skąd! – mityguje zebranych dziekan w udawanym przypiływie życzliwości. – Wszystkie te jego trybiki na nic by się zdały bez *primum mobile*, źródła siły i motywacji...

– Mały Franklin!

Wszystkie oczy zwracają się na Bena.

– Dziś jest nim młody Ben, jutro jego miejsce może zająć mały Godfrey Waterhouse, a później, kto wie, może jakiś gryzoń w kołowrotku. Co nie zmienia faktu, że ta *vis viva* jest przekazywana do przekładni doktora Waterhouse'a za pośrednictwem... No, słucham? Kto mi powie?

Dziekan, niczym Sokrates, demonstracyjnie przystawia otwartą dłoń do ucha.

– Wałków? – zgaduje jeden.

– Kołków! – wykrzykuje drugi.

– Doskonale! A zatem nasz kolega, doktor Waterhouse, jest doktorem... Czego?

– Kołków! – odpowiada gromadka unisono.

– No więc nasz doktor od kołków bez reszty poświęca się swojej pracy – przyznaje z podziwem dziekan. – Całymi dniami chodzi w jednym ubraniu...

– Kiedy siada do posiłku, z rękawów sypią mu się opiłki...

– To lepsze niż pieprz!

- I tańsze!
- Czy zamierza pan może dołączyć do jego Instytutu?
- Czy może raczej go przejąć?

Przezabawne.

– Słyszałem o tym Instytucie, ale właściwie niewiele o nim wiem – przyznaje Enoch Root. Spogląda na Bena, który, zaczerwieniony po czubki uszu, odwraca się plecami do wszystkich i gładzi końskie chrapy.

– Nie ma się pan czego wstydzić. Wielu uczonych mężów trwa w stanie podobnej niewiedzy.

– Po przybyciu do Ameryki doktor Waterhouse zaraził się miejscową odmianą grypy, której objawy polegają głównie na tym, że chorzy szukają coraz to nowych zajęć i wyszukują nowe problemy, zamiast pokusić się o rozwiązanie starych.

– A zatem nie jest zadowolony z tego, jak funkcjonuje Kolegium Harvarda? – dziwi się Enoch.

- Ależ tak. Założył...
- ...osobiście ufundował...
- ...i położył kamień węgielny...
- ...a po prawdzie to raczej belkę węgielną...
- ...pod... jakżeż on to nazywa?
- Instytut Sztuk Technicznych Kolonii Zatoki Massachusetts.
- Gdzie znajdę ów Instytut doktora Waterhouse'a? – indaguje Enoch.

– W pół drogi z Charlestown do Harvardu. Proszę podążać za zgrzytem kół zębanych, aż stanie pan przed najmniejszym i najbardziej zadymionym domostwem w całej Ameryce...

– Jest pan człowiekiem uczonym i światłym – wtrąca dziekan. – Jeżeli pańskie poszukiwania dotyczą filozofii, czy nie lepiej byłoby, gdyby skierował pan swoje kroki do Kolegium Harvarda?

– Pan Root jest wysoce poważanym filozofem naturalnym! – wypala Ben, z najwyższym trudem powstrzymując się od płaczu. Z tonu jego głosu łatwo wywnioskować, że uczonych z Harvardu uważa raczej za filozofów drugiego rodzaju. – I członkiem Towarzystwa Królewskiego!

O rany...

Diekan robi krok w przód, pochyla się nad Enochem i garbi jak spiskowiec.

- Proszę o wybaczenie. Nie wiedziałem.
- Nic się nie stało.
- Powinien pan wiedzieć, że doktor Waterhouse znalazł się pod silnym wpływem Herr Leibniza...
- ...tego samego, który podkradł sir Isaacowi rachunek różniczkowo-całkowy...
- Właśnie. I podobnie jak Leibniz zaraził się tym metafizycznym myśleniem...

– ...cofnął się w ten sposób do ery scholastyki, szanowny panie... nie bacząc na to, że sir Isaac nader jasno wykazał, jakim jest ona przeżytkiem...

– ...teraz zaś pracuje jak obłąkany nad Maszyną, którą zaprojektował zgodnie z wyłożonymi przez Leibniza zasadami i która, jak miernia, pozwoli mu odkrywać nowe prawdy na drodze obliczeń!

– A może nasz gość ma wyegzorcyzmować demony Leibniza? – sugeruje któryś z bardziej podchmielonych słuchaczy.

Poirytowany Enoch odchrząkuje grudkę żółci – *humoru* gniewu i porywczosci.

– To krzywdzące dla doktora Leibniza nazwać go zwykłym metafizykiem – stwierdza.

Pierwszą reakcją na prowokację jest chwila ciszy, która jednak zaraz ustępuje miejsca rozbawieniu i ekscytacji. Dziekan uśmiecha się kwaśno i stroszy bojowo piórka.

– Przy Harvard Square jest taka mała tawerna. To doskonałe miejsce, by pozbawić naszego dżentelmena złudzeń...

Wizja dzbana z piwem i okazji do oświecenia tych wesółków jest niebezpiecznie kusząca. Brzeg Charlestown zbliża się jednak nieubłaganie; niewolnicy wykonują coraz krótsze pociągnięcia wiosłami. *Minerwa* szarpie cumy, dosłownie rwie się do wyjścia w morze na fali odpływu.

Nie ma czasu do stracenia. Enoch wolałby zachować dyskrecję, ale po tym, jak Ben go zdemaskował, może co najwyżej działać szybko i skutecznie.

Poza tym stracił już cierpliwość.

Wyciąga z kieszeni na piersi złożony i zalakowany list i – z braku lepszego określenia – wywija nim w powietrzu.

Uczeni biorą od niego list, obracają go w rękach i oglądają ze wszystkich stron – z jednej widnieje adres „Doktor Waterhouse – Newtowne – Massachusetts”. Wygrzebują z wyłożonych aksamitem kieszonek monokle i badają pieczęć: grudę czerwonego wosku wielkości pięści Bena. Poruszają wargami i wydają dziwne, stłumione dźwięki, usiłując nagiąć spierzchnięte usta i języki do niemczyzny.

Wszyscy jednocześnie zdają sobie sprawę z tego, co próbują czytać, i cofają się gwałtownie, jakby list był grudą białego fosforu, która nagle stanęła w ogniu. Dziekan zostaje z nim sam i podaje go Enochowi Rudemu z miną rozpaczliwą i błagalną. Ten jednak postanawia go ukarać i nie spieszy się z odebraniem pisma.

– *Bitte, mein Herr...*

– Angielski w zupełności wystarczy – zapewnia go Enoch. – Ba, ja wręcz wolę angielski.

Znajdujący się na obrzeżach zakapturzonego tłumu krótkowzroczni naukowcy są oburzeni, że nie dano im odczytać napisu na pieczęci. Koledzy szepczą im słowa w rodzaju „Hanower” i „Ansbach”.

Jeden z nich zdejmuje kapelusz i kłania się Enochowi. Następny robi to samo.

Nie zdążyli nawet zejść na ląd w Charlestown, a profesorowie już zrobili zamieszanie. Tragarze i niedoszli pasażerowie spoglądają ze zdumieniem na zbliżający się prom, ustępując przed okrzykami „Z drogi!”, popartymi zamaszystymi gestami. Prom staje się pływającą sceną, na której roi się od kiepskich aktorów. Enoch zastanawia się, czy któryś z nich naprawdę wierzy, że wieść o ich gorliwości dotrze aż na dwór w Hanowerze i do uszu ich przyszłej królowej. Trochę to makabryczne: zachowują się tak, jakby królowa Anna już dawno umarła i została pochowana, a tron przejęła dynastia hanowerska.

– Gdyby raczył mi pan powiedzieć, że szuka Daniela Waterhouse’a, natychmiast bym pana do niego zaprowadził. Bez zbędnych ceregieli.

– Pomyliłem się, Benie – przyznaje Enoch. – Powinienem był ci zaufać.

W rzeczy samej. Teraz, kiedy się nad tym zastanawia, wydaje mu się oczywiste, że w takiej małej mieścinie albo Daniel musiał zwrócić uwagę na Bena, albo Ben zainteresować się Danielem. Albo jedno i drugie.

– Znasz drogę?

– Ależ oczywiście!

– No to wskakuj. – Enoch wskazuje skinieniem głowy konia.

Benowi nie trzeba tego dwa razy powtarzać: z pajęczą zwinnością wdrapuje się na grzbiet wierzchowca. Enoch siada za nim najszybciej, jak to możliwe, biorąc pod uwagę powagę sytuacji i siłę bezwładności. Razem wciskają się w siodło. Ben siedzi Enochowi na kolanach, z nogami odgiętymi do tyłu i wkliniowanymi między jego uda i końskie żebra. Rumak, nie oglądając się na profesorów i prom, zbiega po trapie, gdy tylko ten opiera się o nabrzeże. Co zwinniejsi uczeni próbują ich gonić ulicami Charlestown, ale jako że Charlestown w ogóle ma niewiele ulic, pościg nie trwa długo. Wyjeżdżają na zachód, na cuchnące bagniska, które przypominają Enochowi podobnie podmokłe, brudne i trapione miazmatycznymi wyziewami okolice innego miasteczka mędrców – angielskiego Cambridge.

– Trzeba przejechać przez tamten zagajnik, a potem przejść w bród strumień – mówi Ben.

– W ten sposób zgubimy profesorów i, być może, znajdziemy Godfreya. Widziałem z promu, jak szedł z wiadrem w tamtą stronę.

– Czy Godfrey to syn doktora Waterhouse’a?

– Tak, proszę pana. Jest o dwa lata młodszy ode mnie.

– A czy na drugie imię ma przypadkiem William?

– Skąd pan to wie?

– Przypuszczam, że ochrzczono go tak na cześć Gottfrieda Wilhelma Leibniza.

– Czy to przyjaciel sir Isaaca i pański?

– Mój tak. Sir Isaaca nie. To długa historia, zbyt długa, by ją teraz przytaczać.

– Wystarczyłoby jej na książkę?

– Nawet na kilka. Tym bardziej że jeszcze się nie skończyła.

– A kiedy się skończy?

– Czasem obawiam się, że nigdy. Ale dzisiaj, Benie, razem przyspieszymy nadejście jej ostatniego aktu. Daleko jeszcze do Instytutu Sztuk Technicznych Kolonii Zatoki Massachusetts?

Ben wzrusza ramionami.

– Instytut leży w pół drogi między Charlestown i Harvardem, blisko rzeki. Stąd będzie więcej niż mila, ale mniej niż dwie.

Koń nie ma ochoty wchodzić między drzewa, Ben zeskakuje więc z siodła i zagłębia się w gąszcz, żeby wypłoszyć małego Godfrey'a. Enoch znajduje bród na przecinającym zarośla strumieniu, po czym objeżdża lasek dookoła. Po drugiej stronie zagajnika Ben toczy walkę na jabłka z mniejszym i słabiej opalonym chłopcem.

Enoch zsiada z konia, doprowadza do zawarcia rozejmu i sadza obu chłopców na siodło. Sam idzie przodem, prowadząc zwierzę za uzdę – przynajmniej dopóki koń nie orientuje się, że zmierzają do widocznego nieopodal drewnianego domu. Trudno się zwierzęciu dziwić: jest to jedyny budynek w okolicy, a w dodatku prowadzi do niego wydeptana, choć słabo widoczna ścieżka. Od tej pory wystarczy, że Enoch idzie obok konia i podkarmia go jabłkami.

– Kiedy zobaczyłem, jak obrzucacie się jabłkami w tym ponurym, wietrznym, purytańskim krajobrazie, przypomniała mi się scena, którą widziałem dawno temu.

– Gdzie? – pyta Godfrey.

– W Grantham, w Lincolnshire. Lincolnshire to część Anglii.

– Kiedy dokładnie? – dopytuje się Ben jak rasowy empirysta.

– To pytanie trudniejsze, niżby się mogło z pozoru wydawać. Pamiętam wiele rzeczy, ale w bardzo chaotyczny sposób.

– Dlaczego udał się pan do tego ponurego miejsca? – wtrąca Godfrey.

– Żeby pozbyć się natręta. W Grantham mieszkał aptekarz, niejaki Clarke, nieznośny męczydusza.

– Dlaczego zatem pojechał pan do niego, zamiast go unikać?

– Naprzykrzał mi się listownie. Chciał, żebym dostarczył mu pewne niezbędne w jego fachu towary. Od lat to robił, od czasu kiedy znów można było przesyłać listy.

– A dzięki czemu stało się to możliwe?

– W moim zakątku świata, a mieszkalem wtedy w Saksonii, w mieście zwanym Lipskiem, sprawił to pokój westfalski.

– Tysiąc sześćset czterdziesty ósmy! – wyjaśnia Ben Godfreyowi z wyraźną wyższością.

– Koniec wojny trzydziestoletniej.

– Dla króla konflikt zakończył się odłączeniem głowy od reszty ciała – dodaje Enoch. – To położyło kres wojnie domowej i w Anglii zapanował jaki taki pokój.

– Tysiąc sześćset czterdziesty dziewiąty – mruczy Godfrey. Udaje mu się uprzedzić Bena.

Enoch zastanawia się, czy Daniel był na tyle nieostrożny, żeby raczyć syna opowieściami o królewskiej egzekucji.



– Skoro ten Clarke niepokoił pana od lat, musiał pan pojechać do Grantham w połowie lat pięćdziesiątych – zauważa Ben.

– A przecież nie jest pan aż taki stary – dodaje Godfrey.

– O to zapytaj ojca – odpowiada Enoch. – Ja na razie staram się jak najdokładniej rozstrzygnąć kwestię kiedy do tego doszło. Ben ma rację. Nie mogłem działać pochopnie i udać się do Grantham wcześniej, powiedzmy w roku pięćdziesiątym drugim, ponieważ mimo królobójstwa wojna ciągnęła się jeszcze kilka ładnych lat. Pod Worcester Cromwell zmiażdżył rojalistów po raz setny i ostatni. Karol II uciekł do Paryża, zabierając ze sobą wszystkich swoich popleczników, którzy jeszcze pozostali przy życiu. Prawdę mówiąc, nawet widziałem ich w Paryżu.

– W Paryżu?! Co pan tam robił? – Ben nie może się nadziwić. – To fatalny pomysł jechać z Lipska do Lincolnshire przez Paryż!

– Widzę, że z geografii jesteś lepszy niż z historii. Jaką zatem trasę byś mi polecił?

– Przez Niderlandy. To chyba zrozumiałe.

– Tam również zajechałem. Odwiedziłem w Hadze niejakiego pana Huygensa. Ale nie popłynąłem do Anglii z holenderskiego portu.

– Czemu? Przecież Holendrzy są znacznie lepszymi żeglarzami od Francuzów.

– Owszem. Czy pamiętasz jednak, co zrobił Cromwell zaraz po zwycięstwie w wojnie domowej?

– Przyznał wszystkim ludziom, nawet żydom, prawo swobodnego wyznawania wiary – odpowiada Godfrey jakby recytował katechizm.

– No tak, zgoda... O to przecież chodziło od samego początku, prawda? A poza tym?

– Wymordował mnóstwo Irlandczyków – podsuwa Ben.

– To też prawda, w dodatku bolesna... Ale tego również nie miałem na myśli. Odpowiedź brzmi: Wydał *Akt Nawigacyjny*. I wypowiedział Holandii wojnę morską. Jak zatem widzisz, drogi Benie, jadąc przez Paryż, obrałem wprawdzie drogę dłuższą, ale znacznie bezpieczniejszą. Poza tym paryżanie również mi się naprzykrzali, a byli znacznie bardziej majętni od pana Clarke'a. Dlatego też pan Clarke musiał odstać swoje w kolejce, jak to się mówi w Nowym Jorku.

– Dlaczego tylu ludzi się panu naprzykrzało? – pyta Godfrey.

– Pewnie sami bogaci torysi!

– „Torysami” zaczęliśmy ich nazywać znacznie później – poprawia Bena Enoch. – Ale pytanie jest jak najbardziej na miejscu: Co takiego miałem w Lipsku, na czym zależało aptekarzowi z Grantham i dworzanom Karola, którzy siedzieli w Paryżu i czekali, aż Cromwell zestarzeje się i umrze z przyczyn naturalnych?

– Czy to ma coś wspólnego z Towarzystwem Królewskim?

– Niezły strzał. Spryciarz z ciebie, Benie. Sęk w tym, że w tamtych czasach nie było jeszcze Towarzystwa. Nikomu się nawet nie śniło o filozofii naturalnej w takim sensie, jak

dziś ją rozumiemy. To znaczy, było paru ludzi, którzy dostrzegali światełko prawdy: Francis Bacon, Galileusz, Kartezjusz; robili, co mogli, żeby przyciągnąć do niego jak najwięcej zwolenników. Ale w tamtych czasach jegomościów, którzy interesowali się funkcjonowaniem świata, znacznie bardziej kusila inna metoda, zwana alchemią.

– Mój tata nie cierpi alchemików – oznajmia z dumą Godfrey.

– Chyba nawet wiem dlaczego. Mamy jednak rok tysiąc siedemset trzynasty. Wiele się zmieniło. A wtedy w interesujących nas obszarach wiedzy nie było wyboru: albo alchemia, albo nic. Znałem wielu alchemików. Dostarczałem im surowce, których potrzebowali. Niektórzy z angielskich rojalistów też parali się tą sztuką; należało to wtedy do dobrego tonu. Nawet król na wygnaniu miał własne laboratorium. Kiedy dostali w skórę od Cromwella i czmychnęli do Francji, nie mieli wielkiego wyboru rozrywek. Pozostało im tylko...

Gdyby Enoch opowiadał tę historię dorosłym, w tym miejscu wyliczyłby prawdziwe uciechy, jakim oddawali się na obczyźnie angielscy uchodźcy.

– Tylko co, panie Root?

– Badanie tajemnych praw rządzących Bożym Stworzeniem. Niektórzy, w szczególności John Comstock i Thomas More Anglesey, dostali się pod przemożny wpływ monsieur LeFebure'a, nadwornego aptekarza francuskich królów. I razem wiele czasu poświęcili alchemii.

– Ale czy nie były to w gruncie rzeczy bzdury, nonsensy, głupoty, oszukaństwa i idiotyzmy?

– Godfrey, jesteś żywym dowodem na to, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Kimże jestem, aby dyskutować o tych sprawach z twoim ojcem? Owszem, to była piramidalna bzdura.

– No to po co pojechał pan do Paryża?

– Prawdę powiedziawszy, między innymi po to, żeby być przy koronacji francuskiego króla.

– Którego? – pyta Godfrey.

– Tego samego, którego dziś mają. – Ben jest zły, że muszą tracić czas na wyjaśnianie tak oczywistych spraw.

– Wielkiego króla. Ludwika XIV. Jego oficjalna koronacja odbyła się w tysiąc sześćset pięćdziesiątym czwartym roku. Został namaszczony specjalnym anielskim balsamem, który liczy sobie tysiąc lat.

– Rety... Ależ musi cuchnąć!

– We Francji to rzecz względna.

– Skąd oni go wzięli?

– Mniejsza z tym. Stopniowo zbliżam się do odpowiedzi na pytanie „kiedy”. Koronacja nie była jedyną przyczyną mojej wizyty, chociaż rzeczywiście chodziło o to, że dzieje się tam coś ważnego. Huygens, błyskotliwy młodzieniec ze świetnej haskiej rodziny, pracował

wówczas nad zegarem wyposażonym w wahadło. To było arcydzieło! Naturalnie, wahadła znano już od dawna, ale to Huygens wprowadził prostą i zarazem piękną poprawkę, która sprawiła, że jego zegar naprawdę odmierzał czas! Widziałem prototyp w Holandii: tykał w haskiej rezydencji, pławiąc się w promieniach popołudniowego słońca z Plein... To taki plac, położony tuż obok holenderskiego pałacu królewskiego. Stamtąd udałem się do Paryża, gdzie Comstock i Anglesey mozolili się nad, jak to słusznie zauważyłeś, głupotami. Naprawdę chcieli się czegoś dowiedzieć, ale brakowało im geniuszu Huygensa i odwagi, która pozwoliłaby stworzyć całkiem nową dyscyplinę naukową. Alchemia była dla nich jedyną drogą do celu.

– Jak udało się panu przedostać do Anglii, skoro na morzu trwała wojna?

– Popłynąłem z francuskimi przemytnikami soli – wyjaśnia Enoch takim tonem, jakby odpowiedź była oczywista. – Wielu angielskich dżentelmenów dochodziło do wniosku, że lepiej będzie siedzieć cicho w Londynie i bawić się w alchemików, niż opływać kraj dookoła i wojować z Cromwellem i jego Armią Nowego Wzoru. Bez kłopotu zatem pozbyłem się w Londynie towaru i napełniłem sobie kiesę. Stamtąd przemknąłem się do Oxfordu. Chciałem odwiedzić Johna Wilkinsa i wziąć sobie kilka egzemplarzy *Cryptonomiconu*.

– A co to jest? – zaciekawia się Ben.

– Bardzo dziwna, stara księga, okropnie gruba i pełna bzdur – wyjaśnia Godfrey. – Tata podkłada ją czasem pod drzwi, kiedy nie chce, żeby wiatr je zatrzasał.

– To zbiór tajnych kodów i szyfrów, które Wilkins jakiś czas temu spisał – tłumaczy Enoch. – Był wtedy przełożonym Kolegium Wadhama, wchodzącego w skład uniwersytetu w Oxfordzie. Kiedy się u niego zjawiłem, szykował się do złożenia najwyższej ofiary na ołtarzu filozofii naturalnej.

– Został ścięty? – zapytał Ben.

– Torturowali go? – zawtórował mu Godfrey.

– Okaleczyli? – spróbował ponownie Ben.

– Nie. Ożenił się z siostrą Cromwella.

– Zaraz... – Godfrey marszczy brwi. – Mówił pan, że wtedy nikomu się jeszcze nie śniło o filozofii naturalnej.

– Nikomu poza Johnem Wilkinsem i tym, którzy raz w tygodniu spotykali się w jego lokum w Kolegium Wadhama. Do Klubu Filozofii Doświadczalnej należeli Christopher Wren, Robert Boyle, Robert Hooke i inni, o których też powinniście byli słyszeć. Zanim do nich dotarłem, zlikwidowali siedzibę w apartamentach Wilkinsa i zmienili środowisko na mniej zapalne: przenieśli się do sklepu aptekarza. Nie kto inny, jak właśnie on namówił mnie, abym udał się na północ i złożył wizytę panu Clarke'owi w Grantham.

– Czy udało nam się już ustalić rok, w którym do tego doszło?

– Jeszcze chwileczkę, Benie. Zanim dotarłem do Oxfordu, zegar wahadłowy, który widziałem na stole w domu Huygensów w Hadze, został ostatecznie wyczelowany i

wprawiony w ruch. To była pierwsza konstrukcja, która naprawdę zasługiwała na nazwę zegara. Galileusz w swoich eksperymentach mierzył czas badając własny puls lub słuchając muzyki. Za to od czasów Huygensa używaliśmy już wyłącznie zegarów odmierzających, jak twierdzą niektórzy, czas absolutny, ustalony, niezmienny. Czas boski. Później Huygens opublikował książkę na ten temat, ale najważniejsze jest to, że jego zegar zaczął bić i odmierzać Wiek Filozofii Naturalnej w roku pańskim...

## 1655

*Albowiem między prawdziwą wiedzą a błędnymi doktrynami niewiedza jest środkiem*

Hobbes, *Lewiatan*<sup>3</sup>

We wszystkich królestwach, cesarstwach, księstwach, arcybiskupstwach i elektoratach, które zdarzyło się Enochowi odwiedzić, karą za przemienianie nieszlachetnych metali w złoto – czasem za samą próbę przemiany, a czasem wręcz za myślenie o niej – była śmierć. Nie martwił się tym zbytnio. Był to tylko jeden z tysięcy pretekstów, którymi władcy podpierali się przy likwidacji niewygodnych osób; w dodatku jeden z tych, które stawiały ich w dobrym świetle. Ale jeśli ktoś mieszkał na przykład we Frankfurcie nad Menem, gdzie zarówno arcybiskup-elektor von Schönborn, jak i jego główny minister i zausznik Boyneburg z zapalem praktykowali Sztukę, najprawdopodobniej nic mu nie groziło.

Co innego w cromwellowskiej Anglii. Odkąd purytanie zabili króla i przejęli władzę, Enoch wolał nie kręcić się po Wspólnocie (jak nazwali swoje nowe państwo) w szpiczastym kapeluszu ozdobionym gwiazdkami i księżycami. Enoch Rudy nigdy nie należał do tego rodzaju alchemików, ale stara sztuczka z gwiazdami i księżycami pozwalała skutecznie wyciągać pieniądze od nadmiernie ufnych zwolenników Sztuki – nawet jeśli konieczność chodzenia po prośbie kłóciła się z rzekomą umiejętnością zamiany ołowiu w złoto.

Z biegiem czasu Enoch stał się kimś w rodzaju eksperta w kwestii długowieczności. Minęło zaledwie kilka dziesięcioleci, odkąd niejaki doktor John Lambe – samozwańczy czarownik, lubiący się przechwalać swoimi koneksjami na dworze – zginął zlinczowany na londyńskiej ulicy. Tłum uznał, że Lambe jest odpowiedzialny za niedawną burzę i huragan, który zdarł ziemię z grobów kilku nieszczęśników zmarłych podczas ostatniego nawrotu zarazy. Nie chcąc skończyć jak Lambe, Enoch ćwiczył umiejętność prześlizgiwania się po

---

<sup>3</sup> Cytaty z „Lewiatana” w przekładzie C. Znamierowskiego (przyp. tłum.).

obrzeżach ludzkiej percepcji, jak sen, który nie zakotwiczy się solidnie w pamięci i rozwiewa się bez śladu w obliczu pierwszych porannych myśli i wrażeń.

Zatrzymał się na tydzień czy dwa u Wilkinsa i uczestniczył w spotkaniach Klubu Filozofii Doświadczalnej, które były dla niego prawdziwym objawieniem, bowiem od wybuchu wojny domowej żadne wieści nie przenikały poza granice Anglii. Uczni mężowie z Lipska, Paryża i Amsterdamu zaczęli traktować Albion jak skalistą wysepkę na północnym Atlantyku, która znalazła się we władaniu uzbrojonych po zęby kaznodziejów.

Wyglądał przez okna apartamentów Wilkinsa i obserwował podążających na północ podróżnych. Zaskoczyła go liczba odważnych kupców i domokrażców wszelkiej maści, którzy – korzystając z zakończenia wojny – wyruszyli w głąb kraju handlować z wieśniakami; dobrze wiedzieli, że kupią ich produkty za znacznie mniejsze sumy niż na miejskim targowisku. Wyglądali w większości na rasowych purytanów, toteż Enoch nie miał ochoty podróżować w ich towarzystwie. Poczekał więc na pełnię księżyca i bezchmurną noc i wyruszył do Grantham po zmierzchu, by przed świtem przybyć na miejsce.

\* \* \*

Przed domem Clarke'a panował porządek, z czego Enoch wywnioskował, że pani Clarke jeszcze żyje. Zaprowadził konia na tyły zabudowań, na podwórze przed stajnią. Wszędzie wały się popękane tygły i moździerze, upstrzone żółtymi, czerwonymi i srebrnymi plamami. Osmolony piec wznosił się wysoko nad otaczającymi go hałdami węgla. Podwórze zaścieniały odłamki stwardniałych szumowin, zgarbionych z powierzchni stopionego w tyglach metalu; niczym odchody pozostałe po procesach alchemicznych mieszały się teraz z miękkimi ekskrementami koni i gęsi.

Clarke wyszedł na podwórze bocznymi drzwiami. Szedł tyłem, trzymając oburącz napełniony po brzegi nocnik.

– Nie wylewaj tego – poradził mu Enoch. Odezwał się pierwszy raz od dwóch dni, toteż głos miał zgrzytliwy i zachrypnięty. – Z moczu można wydobyć wiele ciekawych substancji.

Aptekarz rozpoznał Enocha i stanął jak wryty. Najpierw prawie upuścił nocnik, a kiedy udało mu się go jednak utrzymać w rękach, natychmiast tego pożałował, ponieważ ten skomplikowany manewr wzbudził w naczyniu złożone, niebezpieczne fale. Próbując im przeciwdziałać, Clarke ugiął nogi w kolanach i ruszył posuwistym krokiem przez zamrzniętą trawę, w której jego bosc stopy wytapiały wyraźne ślady. Koniec końców fale w nocniku spieniły się i aptekarz musiał ratować się pospiesznym wylaniem zawartości na ziemię. Koguty zamieszkujące Grantham w hrabstwie Lincolnshire przegapiły wprawdzie przybycie Enocha, teraz jednak jak na komendę obudziły się i wszczęły zgodny jazgot dla uczczenia wyczynu Clarke'a.

Słońce przez kilka godzin ślizgało się po horyzoncie, jak spasiona kaczka, która próbuje z wody zerwać się do lotu. Zanim jednak dzień rozpoczął się na dobre, Enoch siedział już u Clarke'a w aptece i gotował wywar z liści przywiezionego ze wschodu ziela.

– Weź małą garstkę i wrzuc do wrzątku...

– Woda robi się brązowa!

– A teraz zdejmij kociołek z ognia, bo inaczej napar paskudnie zgorzknieje. I daj mi sitko.

– Co ty sobie wyobrażasz, że ja spróbuję tego świństwa?!

– Nie tylko spróbujesz, ale wypijesz. Nie rób takiej ponurej miny. Ja pijam je od miesięcy i nie odczuwam żadnych przykrych skutków.

– Poza uzależnieniem.

– Aleś ty podejrzliwy. Marathowie nie piją nic innego!

– Aha! Więc miałem rację z tym uzależnieniem!

– Daj spokój. Ma działanie lekko pobudzające.

– Mhm... Niezłe, całkiem niezłe – przyznał po chwili Clarke, kiedy ostrożnie spróbował napoju. – Na jakie przypadłości pomaga?

– Na żadne.

– Ach tak... To co innego. Jak się nazywa?

– Różnie: cza, czaj, the, taj. Pewien holenderski kupiec ma w Amsterdamie kilka ton tego ziela. W magazynie...

– No nie, Enoch. – Clarke parsknął śmiechem. – Nie dam się wciągnąć w żadne zagraniczne machinacje handlowe. Ten cały taj jest może nieszkodliwy, ale wątpię, żeby udało się przekonać Anglików do tak egzotycznego napoju.

– Jak chcesz. Porozmawiajmy zatem o innych towarach.

Enoch odstawił filiżankę, sięgnął do zdjętych z końskiego grzbietu juków i zaczął wyjmować woreczki z siarką zebraną we Włoszech na zboczach płonącej góry, długie na palec samorodki antymonu, flakony ciężkie od rtęci, maleńkie gliniane tygły i retorty, palniki spirytusowe oraz księgi ilustrowane drzeworytami przedstawiającymi projekty przeróżnych pieców. Rozłożył to wszystko na aptecznych ladach i stołach, pokrótce tłumacząc przeznaczenie poszczególnych przedmiotów. Clarke stał z boku i z całych sił zaplatał palce – trochę po to, żeby je rozgrzać, a trochę po to, żeby nie rzucić się łapczywie na leżące przed nim dobra. Odkąd ostatni raz miał podobne cuda w rękach, minęły całe lata, przez kraj przetoczyła się wojna, a przy Charing Cross spadła królewska głowa. Domyślał się, że zamieszkali na kontynencie adepci Sztuki przez cały ten czas bez przeszkód zgłębiali tajniki Bożego Stworzenia. Enoch jednak dobrze wiedział, że europejscy alchemicy niczym nie różnią się od Clarke'a. Tak samo jak on mieli nadzieję – i zarazem bali się – że Enoch wróci do nich z wieścią, że jakiś pracujący w odosobnieniu angielski uczony odkrył tajemnicę uzyskiwania filozoficznej rtęci ze zwykłej, ciemnej, zimnej, ekskrementalnej materii świata;

że posiadał klucz do przemiany metali, osiągnął najwyższą mądrość i przeniknął sekret nieśmiertelności.

Enoch był raczej posłańcem niż kupcem. Dostarczanie siarki i antymonu traktował jak przyjacielską przysługę; przyjmował pieniądze, żeby mieć z czego pokryć wydatki, ale najważniejsze ładunki przewoził w głowie. Rozmawiali z Clarkiem przez kilka godzin.

Ze strychu dał się słyszeć łoskot kroków, senne tupanie i piskliwe głosy. Schody rozskrzypiały się i rozjęczały jak statek w czasie sztormu. Służąca napaliła w piecu i przyrządziła owsiankę. Pani Clarke wstała i podała śniadanie aż nazbyt licznym dzieciom.

– Czy naprawdę minęło aż tyle czasu? – spytał Enoch. Wsłuchując się w dobiegający zza drzwi szczebiot, próbował policzyć dziecięce głosiki.

– To nie nasze – wyjaśnił Clarke.

– Prowadzicie stancję?

– Niektórzy gospodarze posyłają swoje pociechy do szkoły mojego brata. Mamy na górze wolny pokój, a żona przepada za dziećmi.

– A ty?

– Jedne lubię bardziej, inne mniej.

Młodzi lokatorzy uporali się z owsianką i rzucili do wyjścia. Enoch niespiesznie podszedł do okna, złożonego z małych, romboidalnych szkiełek wielkości męskiej dłoni, zielonkawych, zdeformowanych i pełnych bąbli. Każdy fragment był samodzielnym pryzmatem, toteż światło słońca zalewało pokój kaskadą tęczy. Dzieci przypominały różowe cętki, prześlizgujące się ze szkiełka do szkiełka; czasem rozpadały się na kawałki, by zaraz się połączyć, jak rozlane na stole kropelki rtęci. Wizja ta niespecjalnie dziwiła Enocha, który zawsze postrzegał dzieci w podobny sposób.

Jeden z chłopców – drobny, jasnowłosy – przystanął pod oknem i zajrzał do środka. Musiał mieć bardziej wyczulone zmysły od reszty, ponieważ wiedział, że pan Clarke od rana ma gościa. Może dobiegł go pomruk głosów Enocha i Clarke'a, a może usłyszał dobiegające ze stajni rzenie obcego konia. Albo cierpiał na bezsenność i przez szparę w ścianie obserwował Enocha, kiedy ten przed świtem kręcił się po gospodarstwie. Przytknął teraz stulone dłonie do skroni, odcinając dopływ padającego z boku światła; jego ręce wyglądały jak zbryzgane kolorowymi farbami. W jednej trzymał jakiś drobny przedmiot, zabawkę lub broń, zrobioną z kawałka sznurka.

Drugi chłopiec zawołał coś do niego. Maluch obrócił się na pięcie i popędził przed siebie jak jaskółka.

– Czas na mnie – stwierdził Enoch, nie bardzo wiedząc, dlaczego to mówi. – Nasi pobratymcy z Cambridge wiedzą już zapewne, że byłem w Oxfordzie. Będą wściekli.

Grzecznie, lecz stanowczo zbył wysiłki Clarke'a zmierzające do zatrzymania go w domu: podziękował za owsiankę i wymówił się od wspólnej modlitwy, tłumacząc, że wypocznie w Cambridge.

Koń miał zaledwie kilka godzin na to, żeby sobie podjeść i się zdrzemnąć. Kiedy Enoch pożyczał go od Wilkinsa, rozumiało się samo przez się, że będzie go traktował po ludzku. Zamiast dosiąść go, wziął zwierzę za uzdę i poprowadził główną ulicą Grantham w stronę szkoły, zagadując doń przyjaźnie.

Wkrótce dostrzegł małych lokatorów stacji. Zdążyli już znaleźć kamienie, które koniecznie należało kopnąć, psy, którym brakowało towarzystwa, i kilka późno dojrzałych jabłek, które jeszcze trzymały się gałęzi. Przystanął w cieniu długiego muru i śledził rozwój sytuacji przy jabłonce. Widać było, że operacja wymagała pewnej dozy planowania – czyli szeptanej narady, do jakiej zapewne doszło poprzedniego wieczoru we wspólnej sypialni. Jeden z chłopców wspiął się na drzewo i pomalutku przesuwiał po interesującej wszystkich gałęzi. Była za cienka, żeby mógł bezpiecznie na nią wejść, ale liczył na to, że pod jego ciężarem zegnije się dostatecznie nisko, by najwyższy z kompanów mógł w wyskoku dosięgnąć jabłka.

Mały blondynek z rozdziawioną buzią obserwował bezowocne wysiłki podskakującego kolegi. Sam jednak zamierzał wprowadzić w życie własny plan, którego zapowiedź Enoch dostrzegł wcześniej przez okno: na końcu sznurka miał przywiązany kamień. To była nie byle jaka sztuczka, tak umocować kamień. Rozkręcił go na sznurku i wyrzucił w stronę gałęzi z jabłkami. Kamień owinał się wokół gałęzi, co pozwoliło chłopcu ściągnąć ją w dół, przez co znalazła się w zasięgu ręki. Wysoki chłopak niechętnie odsunął się na bok, ale blondynek oburącz przytrzymał sznurek i upierał się, żeby to on zerwał jabłko. Widząc malujące się na jego twarzy uwielbienie, Enoch omal nie jęknął z rozpaczy.

Twarz wysokiego chłopca przedstawiała mniej przyjemny widok. Miał ogromną ochotę na jabłko, ale bał się podstęp. W końcu jednak błyskawicznie wyciągnął rękę i zerwał owoc. Zgarnawszy łup, zerknął podejrzliwie na blondynka, próbując dociec jego motywacji. Spochmurniał i wyraźnie się zaniepokoił. Odgryzł kawałek jabłka. Mniejszy chłopiec wpatrywał się w niego jak w obraz. Trzeci ich kompan zszedł z drzewa i z trudem odpłatał sznurek od gałęzi. Obejrzał przywiązany do niego kamień i uznał, że kpina będzie najbezpieczniejszym wyjściem z sytuacji.

– Nadawałbyś się do robienia koronek! – zachichotał.

Ale blondasek nie odrywał wzroku od swojego mistrza.

Ten zaś splunął na ziemię i cisnął jabłko ponad płotem na podwórko, gdzie dwie świnię natychmiast zaczęły się o nie bić.

Dalszy rozwój sytuacji był trudny do zniesienia. Enoch zaczynał żałować, że podążył śladem uczniaków. Dwóch głępszych chłopców popędziło blondynka przed sobą, mierząc go szeroko otwartymi oczyma i widząc cząstkę tego, co dostrzegł w nim Enoch. Z daleka dolatywały urywki ich szyderstw:

– Co ty masz na rękach?

– Co tam mamrociesz? Farba?



– A po co ci farba? Pewnie rysujesz obrazki, co? Nie? Malujesz meble?!

– Nie widziałem żadnych mebli! Ach tak, mebelki dla lalek?!

Enocha – jako rasowego empiryka – nie interesowały trywialne okoliczności, w jakich blondynek rozczaruje się swoim ukochanym. Podszedł do jabłonki i obejrzał jego zabawkę.

Chłopiec oplótł kamień siatką w kształcie dwóch spiral: jedna z nich owijała go zgodnie z ruchem wskazówek zegara, druga przeciwnie. Przecinając się, tworzyły wzór w kształcie rombów, podobny do siatki ołowianych oprawek, w których tkwiły szkiełka w oknie domu Clarke'a. Nie był to zapewne zbieg okoliczności. Splot z początku układał się nierówno, ale po pierwszym rzędzie supełków chłopiec nauczył się uwzględniać odcinek sznurka potrzebny na zawiązanie węzła i pod koniec siatka rombów była regularna jak precesja zodiaku.

Enoch zważym krokiem ruszył dalej i dotarł do szkoły w samą porę, by stać się świadkiem nieuniknionej bójki. Blondynek miał zaczerwienione oczy i zarzygany owsianką podbródek; można było się domyślić, że dostał pięścią w brzuch. Jeden z uczniów, samozwańczy mistrz ceremonii (w każdej szkole się taki znajdzie), zagrzewał przeciwników do walki, zwracając szczególną uwagę na blondynka, który był mniejszy, obrażony i wyglądał na pewną ofiarę. Szkolna brać nie posiadała się ze zdumienia – i zachwytu – kiedy malec wyszedł na plac i podniósł gardę.

Enoch na razie nie zamierzał się wtrącać. Przyda się maluchowi odrobina zadziorności. Talent nie był niczym nadzwyczajnym; rzadkość stanowiła zdolność przetrwania mimo posiadania talentu.

Doszło do zwania. Padło zaledwie kilka ciosów, zanim mniejszy chłopiec wykonał jakiś sprytny ruch, rzucił się przeciwnikowi do nóg i powalił go na ziemię. Natychmiast wyrznął go kolanem w krocze, potem w splot słoneczny, a na koniec przycisnął mu nogą gardło. Nagle leżący na plecach wysoki chłopak zaczął się rozpaczliwie wyrywać – wyglądało na to, że blondynek usiłuje mu oberwać uszy. Jak wieśniak, prowadzący krowę za wpięte w nos kolucho, blondasek podniósł przeciwnika za uszy i zaciągnął pod pierwszą z brzegu ścianę – tak się złożyło, że był to mur olbrzymiego, wiekowego kościoła w Grantham. Przycisnął mu twarz do muru i zaczął szorować nią o kamień, jakby chciał mu ją zetrzeć z czaszki.

Do tego momentu mali obserwatorzy entuzjastycznie reagowali na rozwój wydarzeń; nawet Enoch musiał przyznać, że poruszyły go pierwsze oznaki zwycięstwa. Widząc jednak, że tortura się przeciąga, chłopcy tracili zainteresowanie, odwracali się, zaczęli uciekać. Blondynek wpadł w szal, do złudzenia przypominający erotyczną ekstazę: poruszał się niezdarnie i młócił powietrze rękoma, jakby ciało nie mogło pomieścić rozsadzających go namiętności, jakby stało się brzemieniem, które uniemożliwia eksplozję i rozkwitnienie ducha.

W końcu jakiś dorosły (brat Clarke'a?) wyskoczył z budynku i przemierzył plac dzielący szkołę od kościoła chwiejnym krokiem człowieka, który nie nawykł do szybkiego poruszania się; trzymał w ręce laskę, ale nawet nie dotykał nią ziemi. Był tak wściekły, że nie próbował

rozdzielić chłopców, lecz bez słowa zaczął wymachiwać laską. Wkrótce znalazł się w zasięgu ciosu, stanął w rozkroku i wziął się do roboty: laska wydawała przenikliwy świst, zakończony soczystymi plaśnięciami. Kilku lizusów uznało, że mogą już bezpiecznie wrócić na plac boju. Pierwszych dwóch odciągnęło blondynka od jego ofiary, która skuliła się pod murem w pozycji płodowej, osłaniając zmasakrowaną twarz dłońmi rozpostartymi jak okładki książki. Przełożony szkoły cały czas namierzał ruchomy cel, jak teleskop podążający za ruchem komety, ale blondynek najwyraźniej nie odczuł jeszcze żadnego z zadanych mu przezeń ciosów: na jego twarzy malował się uparty wyraz słusznego triumfu. Podobnie, pomyślał Enoch, musiał wyglądać Cromwell, kiedy przyglądał się rzezi Irlandczyków pod Drogheda.

Zawleczono go do szkoły, gdzie czekała nań dalsza kara. Enoch wrócił konno do apteki Clarke'a, powstrzymując głupią chętkę, żeby przegalopować przez miasto jak Kawaler<sup>4</sup>.

Clarke popijał taj i jadł biszkopty, pogrążony w lekturze nowego traktatu alchemicznego. Zgłębiając tajniki łaciny, poruszał wargami, do których przykleiły mu się okruszki ciasta.

– Kim on jest? – spytał bez zbędnych wstępów Enoch, stając w progu.

Clarke postanowił udawać niewiniątka i milczeć. Enoch podszedł do schodów. Imię chłopca nie miało wielkiego znaczenia – ot, jedno z wielu angielskich imion.

Na górze znajdowała się jedna duża, niekształtna izba o nisko zawieszonych, poharatanych toporkiem dźwigarach i szorstko otynkowanych ścianach, które dawno nie były bielone. Enoch rzadko bywał w pokojach dziecinnych, ale to wnętrze bardziej przypominało kryjówkę złodziei, porzuconą przez nich w pośpiechu i przypadkiem odnaniezoną przez konstablą, pełną dowodów intrygujących, sprytnych i głupawych machinacji, które nagle musiały zostać zarzucone. Zatrzymał się w progu. Jak na empiryka przystało, powinien wszystko obejrzeć, ale niczego nie zmieniać.

Ściany nosiły ślady, które z początku wziął za szramy pozostawione przez kielnię niechlujnego tynkarza. Dopiero kiedy wzrok przywykł mu do ciemności, dotarło do niego, że lokatorzy państwa Clarke'ów mieli zwyczaj rysować po ścianach pokoju, i to najprawdopodobniej węglem wyniesionym z kominka. Bez trudu domyślił się, kto jest autorem których obrazków. Większość przedstawiała wyuczone na pamięć karykatury, skopiowane od starszych dzieciaków. Ale inne, znajdujące się bliżej podłogi, stanowiły prawdziwe mapy geniuszu i proklamacje intelektu – zawsze precyzyjne, a najczęściej także piękne. Enoch słusznie podejrzewał chłopca o posiadanie wyjątkowo wyostrzonych zmysłów; blondynek chłonał wszystko to, co z powodu wrodzonej ślepoty i umysłowego ograniczenia uchodziło uwagi innych.

W pokoju stały cztery małe łóżka. Rozrzucone na podłodze zabawki wyglądały na chłopięce, tylko przy jednym z łóżeczek walało się nieco więcej kolorowych wstążek i szmatek. Clarke wspomniawszy mu o tym, że mają na stacji jedną dziewczynkę. Enoch znalazł miniaturowy domek i rodzinę szmacianych lalek w różnych stadiach rozwoju. Najciekawsze

---

<sup>4</sup> Kawaler (ang. Cavalier) - stronnik Karola I w jego konflikcie z parlamentem (przyp. tłum.).

były jednak mebelki dla lalek, zaprojektowane przez ten sam bystry umysł i wykonane przez te same zwinne ręce, które oplótły kamień regularną siatką ze sznurka. Ze źdźbeł trawy chłopiec wyplótł ratanowe stoliki, z wierzbowych witek – bujane fotele. Musiał mieć w sobie coś z alchemika, kiedy kopiował przepisy z Batesa, starego deprawatora wścibskiej młodzieży i autora *Tajemnic natury i sztuki*, wydobywał z roślin barwniki i produkował farby.

Próbował szkicować postaci pozostałych chłopców, kiedy spali – czyli w jedynym momencie, kiedy mógł mieć pewność, że będą tkwić nieruchomo i zachowywać się przyzwoicie. Brakowało mu jeszcze umiejętności, by rysować portrety z prawdziwego zdarzenia, ale zdarzało się, że muza prowadziła jego rękę i szczęśliwą kreską udawało mu się uchwycić prawdziwe piękno, zakłęte w zakrzywionym zarysie szczęki lub linii rzęs.

Na podłodze leżały też elementy rozmontowanych i zepsutych mechanizmów, których przeznaczenia Enoch nie potrafił się domyślić. Dopiero później, przeglądając notes, w którym chłopiec notował przepisy na farby, znalazł narysowane przekroje serc szczerów i ptaków, którym blondynek najwidoczniej zrobił sekcję. I nagle istnienie małych mechanizmów nabrało sensu. Czym bowiem jest serce, jeśli nie modelem *perpetuum mobile*? I czym jest *perpetuum mobile*, jeśli nie maszyną, która mogłaby zastąpić serce? Maszyną, która pozwoli określić jego tajemną moc i zaprząć ją do własnych celów?

Clarke wszedł do niego na górę. Był podenerwowany.

– Co ty tam sobie wykoncypowałeś? – zagadnął go Enoch.

– Chodzi ci o...

– Natknąłeś się na niego przez przypadek?

– Niezupełnie. Jego matka jest znajomą mojej żony. Widywałem go wcześniej.

– I zorientowałeś się, że obiecujący z niego smyk... No tak, nie mogło być inaczej.

– Nie ma ojca. Zaproponowałem matce, żeby posłała go do szkoły. To porządna kobieta, w miarę przyzwoita, na wpół piśmienna...

– Ale zbyt ograniczona, żeby docenić, kogo urodziła?

– O tak. Zdecydowanie.

– Wzięłeś zatem chłopca pod swoje skrzydła, a kiedy okazywał zainteresowanie Sztuką, bynajmniej go nie zniechęcałeś.

– Oczywiście, że nie! Przecież to może być ten jedyny!

– On jest jedyny, ale nie w tym sensie, o jakim myślisz. Będzie z niego doskonały empiryk. Być może osiągnie w przyszłości coś, o czym nawet nie śnimy.

– O czym ty właściwie mówisz, Enochu?

Głowa go rozbolała. Jak miał wyjaśnić to Clarke'owi w taki sposób, żeby ten nie wyszedł na durnia, a on sam – na oszusta?

– Dzieje się coś ważnego.

Clarke wyduł wargi i czekał na konkrety.

– Galileusz i Kartezjusz byli tylko zwiastunami. Świat się zmienia. Poziom rtęci w ziemi podnosi się jak woda w studni.

Enoch nie mógł przestać myśleć o Oxfordzie – o Hooke’u, Wrenie i Boyle’u, którzy przerzucali się słowami i ideami tak szybko, że iskry niemal przeskakiwały w powietrzu. Postanowił spróbować innego podejścia.

– W Lipsku mieszka podobny chłopiec. Jego ojciec niedawno zmarł i zostawił mu w spadku tylko obszerną bibliotekę. Chłopiec zaczął czytać, chociaż ma dopiero sześć lat.

– To nic niezwykłego. Zdarza się przecież, że sześciolatki umieją czytać.

– Po niemiecku, grecku i łacinie?

– Jeśli mają odpowiednich nauczycieli...

– Właśnie. Nauczyciele zakazali matce wpuszczać chłopca do biblioteki. Dowiedziałem się o tym, porozmawiałem z nią i przekonałem, żeby zapewniła małemu Gottfriedowi swobodny dostęp do książek. W rok opanował grekę i łacinę.

– Świetnie. – Clarke wzruszył ramionami. – Może to właśnie mały Gottfried jest wybrańcem.

Enoch powinien był się zorientować, że podjął się beznadziejnego zadania, ale jeszcze nie zrezygnował.

– Jesteśmy empirykami. Gardzimy scholastykami, którzy uczą się na pamięć starych ksiąg i odrzucają wszystko, co nowe. Doskonale. Odkąd jednak wszystkie nasze nadzieje związałyśmy z odkryciem filozoficznej rtęci, ustaliliśmy z góry cel naszych poszukiwań. Nie powinniśmy tego robić.

Clarke zdenerwował się jeszcze bardziej. Enoch sięgnął po kolejne argumenty:

– Mam w jukach egzemplarz *Principia Philosophica*, ostatniego dzieła Kartezjusza. Zadedykował je córce Królowej Zimy<sup>5</sup>...

Clarke starał się udawać zainteresowanie, jak obowiązkowy student, który nie doszedł jeszcze do siebie po nocnej bibie. Enoch przypomniał sobie kamień na sznurku i uznał, że czas przejść do konkretów.

– Huygens zbudował zegar sterowany wahadłem.

– Huygens?

– To młody holenderski uczonek. Nie jest alchemikiem.

– Tak?

– Udało mu się skonstruować wahadło, które kołysze się z nadzwyczajną regularnością. Połączywszy je z mechanizmem zegara, otrzymał idealny przyrząd do mierzenia czasu. Jego tykanie odmierza wieczność, tak jak cyrkiel mierzy odległość na mapie. Dzięki tym dwóm przyrządom – zegarowi i cyrklowi – możemy określić rozmiar i czas, i stosując przedstawioną

---

<sup>5</sup> Królowa Zimy (Winter’s Queen) to przydomek Elżbiety Stuart, siostry Karola I i żony Fryderyka V, elektora Palatynatu Reńskiego i króla Czech (przyp. tłum.).

przez Kartezjusza nową metodę ich analizy, opisać Stworzenie, a nawet, być może, przewidzieć przyszłość.

– Teraz rozumiem! To znaczy, że ten Huygens jest... kimś w rodzaju astrologa?

– Ależ nie! Nie, nie, nie! Nie jest ani astrologiem, ani alchemikiem, lecz kimś zupełnie nowym. I takich jak on będzie coraz więcej. Wilkins próbuje ich zgromadzić w jednym miejscu, u siebie w Oxfordzie. Ich osiągnięcia mogą w przyszłości przewyższyć dokonania alchemików. – Enoch musiał przyznać, że byłby rozgoryczony, gdyby tak się nie stało. – Moim zdaniem ten chłopiec może okazać się następnym Huygensem.

– Chcesz, żebym zniechęcił go do Sztuki?! – wykrzyknął Clarke.

– Nie, dopóki się nią interesuje. Ale poza tym zostaw go swojemu losowi. Niech sam wyciąga wnioski i podąża ich tropem. – Enoch spojrzał na wyrysowane na ścianie twarze i diagramy. Wyróżniały się zgrabnym zastosowaniem perspektywy. – I spróbuj go zainteresować matematyką.

– Chłopak ma żywe usposobienie, niespecjalnie nadaje się na zwyczajnego rachmistrza – zaoponował Clarke. – Jeżeli będzie całymi dniami przesiadywał nad papierami, młócił logarytmy, wyciągał pierwiastki, liczył cosinusy...

– Dzięki Kartezjuszowi matematyka znajduje ostatnio także inne zastosowania – przerwał mu Enoch. – Każ bratu przedstawić mu prace Euklidesa, a dalej niech sam sobie radzi.

\* \* \*

Ta rozmowa mogła wyglądać nieco inaczej. Enoch traktował swoje wspomnienia podobnie jak żeglarz statek: zawsze go koczyło, żeby naciągać luzy, obszywać strzępiące się końcówki lin, uszczelniać przecieki i chować – albo wyrzucać za burtę – rzeczy zbędne. Niewykluczone zatem, że rozmowa z Clarkiem zbłądziła jeszcze w kilka innych ślepych zaułków, o których zapomniał. Z pewnością masę czasu pochłonęły zdawkowe uprzejmości, a cała konwersacja zabrała im większą część krótkiego jesiennego dnia, ponieważ Enoch bardzo późno wyjechał z Grantham. Kierując się w stronę Cambridge, przejechał obok szkoły. Wszyscy chłopcy poszli już do domu – poza jednym, któremu kazano zostać w kozie i zetrzeć swoje podpisy ze wszystkich parapetów i krzeseł, na których je wydrapał. Brat Clarke'a najprawdopodobniej dawno już zauważył te autografy, a z ukaraniem chłopaka czekał na dzień, kiedy odrobina dyscypliny będzie mu szczególnie potrzebna.

Popołudniowe słońce, zawieszone nisko nad widnokregiem, zaglądało w otwarte okna. Znalazłszy się przy północno-zachodniej ścianie szkoły, Enoch ściągnął wodze konia, zatrzymał się – ktoś, kto spojrzałby w jego stronę, dostrzegłby tylko długi, zakapturzony cień – i przez chwilę obserwował chłopca przy pracy. Słońce malowało szkarłatem twarz dziecka, i tak już zarumienioną od wysiłku. Chłopiec, o dziwo, podchodził do kary ze szczerym entuzjazmem, jakby chciał zatrzeć wszelkie ślady swojego istnienia; jakby ta zapuszczona

szkółka nie była godna noszenia jego nazwiska. Nazwisko I. NEWTON szybko zniknęło z kolejnych parapetów.

## **Newtonne, Kolonia Zatoki Massachusetts**

### **12 października 1713**

*Angielskie kolonie rozrastają się i rozwijają do tego stopnia, że niektórzy – i to nie wcale nie najgorzej poinformowani – sugerują, że mogłyby zbuntować się przeciw angielskiemu rządowi i powołać niezależne władze. Zgoda, sama idea jest absurdalna i bezpodstawna, ale potwierdza to, co powyżej napisałem o faktycznym rozwoju kolonii i rozkwicie prowadzonego w nich handlu.*

Daniel Defoe, *Opisanie handlu angielskiego*

Czasem można by pomyśleć, że dosłownie wszyscy emigrują do Ameryki – kiedy żaglowce tłoczą się na północnym Atlantyku jak promy na Tamizie i niewiele brakuje, żeby zaczęły złobić w wodzie koleiny – toteż Enoch przypuszcza, że jego przybycie do Instytutu Sztuk Technicznych Kolonii Zatoki Massachusetts bynajmniej nie zdziwi jego założyciela.

A jednak na widok Enocha Danielowi Waterhouse'owi oczy wychodzą z orbit, i to nie tylko dlatego, że rąbkiem płaszcza gość przewraca wysoki, chwiejący się stosik kart. W pierwszej chwili Enoch obawia się, że gospodarz doznał apopleksji i że ostatnim jego wkładem w rozwój Towarzystwa Królewskiego, któremu dzielnie służył prawie przez całe życie, będzie traumatycznie zdeformowany mięsień sercowy, zamarynowany w spirytusie i przechowywany w kryształowej karafce. Pierwszą minutę rozmowy doktor spędza zastygły w niewygodnej, pół stojącej, pół siedzącej pozycji, z otwartymi ustami i lewą dłonią przyciśniętą do mostka. Można by ją wziąć za wstęp do dworskiego ukłonu, bądź za pospieszny manewr, mający na celu ukrycie pod opończą koszuli tak brudnej, że jej stan położyłby się cieniem na reputacji młodej małżonki Waterhouse'a. A może to po prostu filozoficzne badanie i doktor mierzy sobie puls? Byłaby to dobra wiadomość, jako że sir John Floyer dopiero niedawno wynalazł tę metodę – jeśli więc doktor Waterhouse słyszał o niej, znaczyłoby to, że jest na bieżąco z postępami londyńskiej nauki.

Korzystając z wahania gospodarza, Enoch dokonuje dalszych obserwacji, próbując dociec empirycznie, czy Daniel Waterhouse rzeczywiście jest aż tak niespełna rozumu, jak twierdzą uczeni z Harvardu. Nasłuchawszy się na promie drwin z doktora, spodziewał się zastać w Instytucie same tryby i przekładnie. I rzeczywiście: warsztat mechanika stoi jak byk w kącie tego... Jak należałoby opisać Towarzystwu tę budowlę? Określenie „chata z bali”, chociaż całkowicie poprawne, przywodzi na myśl odzianych w skóry dzikusów. „Solidne, praktyczne,

i bynajmniej nie ekstrawaganckie laboratorium, w pomysłowy sposób wykorzystujące miejscowy budulec”. Tak. Świetnie. Ale najważniejsze, że większą część jego powierzchni zajmują nie metalowe przyrządy, lecz przedmioty wykonane z miękkiego tworzywa, a mianowicie karty. Stoją w smukłych stosach, które runęłyby na ziemię przy podmuchu powietrza spod skrzydeł ćmy, gdyby nie fakt, że oparte o siebie i ciasno stłoczone tworzą mury, schody i tarasy. Cała konstrukcja wspiera się na rozłożonych na klepisku ceramicznych płytkach, zapewne po to (jak domyśla się Enoch), by nie chłonęła wody, której jest tu w ziemi aż nadto. Ostrożnie wchodzi głębiej do izby i wyglądając zza karcianego szafca, dostrzega biurko, którego blat jest zawalony czystymi kartami. Wystrzępione szare pióra sterczą z kałamarzy; inne, pogięte i połamane, zaścielają kratownicą podłogę. Drobiniki puchu, odłamki stosin, strzępy chorągiewek i inne szczątki ptasiej materii kładą się na wszystkim cienką, lupieżowatą warstwą.

Tłumacząc, że chce posprzątać bałagan, którego narobił, Enoch podnosi z posadzki rozsypane karty. U góry każdej z nich widnieje jakaś liczba, dość duża i zawsze nieparzysta, a pod nią długi rząd zer i jedynek, który (biorąc pod uwagę, że za każdym razem kończy się jedyneką, która oznacza liczbę nieparzystą) jest zapewne tą samą liczbą wyrażoną w zapisie dwójkowym, niedawno udoskonalonym przez Leibniza. Niżej znajduje się słowo lub krótki zwrot – na każdej karcie inny. Podnosząc karty i układając je na powrót w stos, Enoch czyta: *Arka Noego; Traktaty kończące wojny; Membranofony (np. ntirlitony); Pojęcie społeczeństwa bezklasowego; Gardło i jego narośle; Przybory do rysowania (np. przykładnica); Sceptycyzm Pirrona z Elis; Wymogi morskich umów ubezpieczeniowych; Bakufu w Kamakurze; Błędne twierdzenia nie poparte wiedzą; Agaty; Przepisy określające zasadność pytań w rzymskich sądach cywilnych; Mumifikacja; Plamy na słońcu; Organy generatywne mszaków (np. wątrobowca); Geometria euklidesowa – jednokładności i podobieństwa; Pantomima; Wybór i panowanie Rudolfa Habsburskiego; Jądra; Niesymetryczne relacje dwuargumentowe; Spór o inwestyturę; Fosfor; Tradycyjne lekarstwa na impotencję; Herezja arminiańska; i...*

– Niektóre z nich są uderzająco skomplikowane jak na monady – zauważa Enoch, chcąc za wszelką cenę przełamać lody. – Weźmy na przykład tę: „Rozwój portugalskiej hegemonii w Afryce środkowej”.

– Spójrz na liczbę u góry tej karty – mówi Waterhouse. – To iloczyn pięciu liczb pierwszych: pierwsza oznacza „rozwój”, druga „portugalską”, trzecia „hegemonię”, czwarta „Afrykę”, a piąta „środkową”.

– Czyli to nie jest wcale monada, tylko produkt złożony.

– Właśnie.

– Trudno to docenić, kiedy karty są ułożone zupełnie przypadkowo. Nie powinieneś ich jakoś uporządkować?

– Niby jak? – pyta podstępnie Waterhouse.

– O nie, w tę dyskusję nie dam się wciągnąć.

– Żaden liniowy system indeksowania nie opisuje należycie wielowymiarowości ludzkiej wiedzy. Jeśli jednak każdej karcie przypiszemy inną liczbę – monadzie liczbę pierwszą, pojęciu złożonemu iloczyn liczb pierwszych – uporządkowanie ich sprowadzi się do wykonania prostych obliczeń... panie Root.

– Witam, panie doktorze Waterhouse. Przepraszam za najście.

– Nic się nie stało. – Waterhouse nareszcie siada i wraca do przerwanej zajęcia, czyli szlifowania bryły metalu długim pilnikiem, wydając przy tym odgłosy do złudzenia przypominające kichanie. – Pańskie przybycie, jakże niespodziewane, jest dla mnie miłą odmianą w codziennej pracy – przekrzykuje zgrzyt rozgrzanego pilnika i metaliczne dźwięczenie obrabianej grudy. – Nad wyraz dobrze się pan trzyma.

– Cenię sobie trwałość mojego ciała i przedkładam ją nad jej przeciwieństwo, choć bywa to uciążliwe. Jestem wiecznym chłopcem na posyłki dla osób o słabszej konstytucji.

– A misje, które panu zlecają, są długie i żmudne.

– Pański widok rekompensuje mi z nadstatkiem niebezpieczeństwa, niewygody i znużenie podróżą. Tym bardziej że znajduję pana w dobrym zdrowiu i przy pracy.

Tak mniej więcej mówi Enoch. Ta wymiana uprzejmości i tak już pewnie długo nie potrwa. Gdyby zaczął mu prawić komplementy, Daniel poczułby się urażony, bo nikt uczciwy nie powiedziałby, że jest dobrze zakonserwowany w takim sensie, w jakim można to powiedzieć o Enochu. Wygląda na swoje lata, ale jest szczupły, żyłasty, ma bystre błękitne oczy, ręce mu się nie trzęsą, a głos nie drży – przynajmniej od momentu, gdy oswoił się z obecnością Enocha (a może w ogóle kogokolwiek) w Instytucie. Daniel Waterhouse jest prawie zupełnie łysy; wąska obręcz siwych włosów obejmuje od tyłu jego czaszkę niczym pierścień zmrożonego śniegu, wtłoczonego wiatrem w korę drzewa. Nie przeprasza, że przyjmuje gościa z gołą głową, nie sięga po perukę, ba, wygląda na to, że w ogóle jej nie posiada! Ogromne oczy i permanentny wytrzeszcz nie poprawiają jego aparycji. Haczykowaty nos częściowo przesłania wąskie wargi skąpca, który sprawdza w zębach podejrzaną monetę. Uszy są wydłużone i obrośnięte puszką niczym świetlistą aureolą. Wyraźna nierównowaga między narządami wejścia i wyjścia sugeruje, że Daniel widzi i wie więcej, niż mówi.

– Jest pan teraz kolonistą czy...

– Przyjechałem spotkać się z panem.

Daniel obrzuca Enocha spokojnym, przenikliwym spojrzeniem.

– Wizyta towarzyska! Cóż za heroiczny wyczyn... Przy zwykłej wymianie listów nie grożą nam przecież piraci, choroba morska, szkorbut, utonięcie...

– Skoro mowa o listach... Mam coś dla pana.

Enoch wyjmuje zalakowany list.

– Wielka, wspaniała pieczęć. Musiał go napisać ktoś strasznie ważny. Nie umiem nawet wyrazić, jak bardzo jestem poruszony.



– To od osobistej przyjaciółki doktora Leibniza.

– Od Zofii, elektorskiej córki?

– Miałem na myśli tę drugą przyjaciółkę.

– Ach tak... A czego księżniczka Karolina może ode mnie chcieć? Musi chodzić o coś naprawdę ważnego, bo inaczej nie kazałyby panu mnie dręczyć.

Doktor Waterhouse wstydzi się swojego wcześniejszego oszołomienia i próbuje maskować je rozdrażnieniem. Enochowi wcale to nie przeszkadza. Widzi przynajmniej, jak trzydziestoletni Waterhouse, który nadal żyje w tym mężczyźnie, napiera od środka na luźną cielesną powłokę niczym marmurowy posąg wypychający spowijające go płótno.

– Proszę to potraktować jak próbę kuszenia, doktorze Waterhouse. Znajdźmy sobie jakąś gospodę...

– Znajdziemy, ale najpierw chcę usłyszeć odpowiedź. Czego księżniczka ode mnie chce?

– Tego co zwykle.

Doktor Waterhouse kurczy się w oczach. Skryty w nim trzydziestolatek wycofuje się i Daniel zmienia się w dobrodusznego, dziwnie znajomo wyglądającego staruszka.

– Powinienem był się domyślić. Po co komu stary, wysłużony monadolog?

– To niesamowite.

– Niby co?

– Znam pana od... Ilu lat? Trzydziestu? Czterdziestu? Niemal równie długo, jak pan zna Leibniza. Widywałem pana w różnych niegodnych pozazdroszczenia sytuacjach, ale pierwszy raz słyszę, żeby się pan skarżył.

Daniel przez chwilę przetrawia słowa Enocha, a potem parska śmiechem.

– Serdecznie przepraszam.

– Ależ nie ma za co!

– Liczyłem na to, że ktoś tu doceni moją pracę. Chciałem założyć ośrodek, który będzie dla Harvardu tym, czym Kolegium Greshama jest dla Oxfordu. Wyobrażałem sobie, że zbierze się wokół mnie grono studentów, albo że przynajmniej znajdę sobie jakiegoś protegowanego, który pomoże mi zbudować Maszynę Logiczną. Nie udało się. Wszystkim, którzy mają choć krztynę talentu, marzą się maszyny parowe. To niedorzeczne! Co złego jest w kołach wodnych? Mają tu mnóstwo rzek. Proszę spojrzeć, malutka strużka płynie nawet między pańskimi stopami!

– To naturalne, że młodzi bardziej interesują się machinami.

– Nie musi mi pan tego tłumaczyć. Kiedy ja byłem studentem, zadziwiał nas zwykły pryzmat. Specjalnie poszliśmy z Isaakiem na targ w Stourbridge, żeby kupić sobie pryzmaty, małe cudenka zawinięte w aksamit. Bawiliśmy się nimi całymi miesiącami.

– Teraz wszyscy znają pryzmaty.

– A dzieciaki nie wiedzą, co mają robić. Są rozdarte jak ćwiartowani skazańcy. Ćwiartowani, ósemkowani, szesnastkowani... To samo dzieje się z Benem, a niedługo

zagrozi i mojemu synowi. „Powinienem zająć się matematyką? Euklidesową czy kartezjańską? A rachunkiem różniczkowym newtonowskim czy raczej w wersji Leibniza? A może lepiej obrać drogę empiryka? Mógłbym robić sekcje zwierzętom, klasyfikować chwasty, warzyć w tyglach różne mikstury, turlać kulki po nachylonych płaszczyznach, bawić się elektrycznością i magnesami...”. Jak moja szopa może konkurować z takimi pokusami?

– Czy brak zainteresowania pańskimi pracami nie wynika przypadkiem z faktu, iż wiadomym jest, że realizuje pan projekt Leibniza?

– Dużo pozmieniałem. Leibniz chciał użyć kulek w drewnianych rynkach jako reprezentacji cyfr binarnych i dokonywać na nich operacji logicznych, przepuszczając je przez mechaniczne bramki. Pomysłowe to było, ale niepraktyczne. Ja stosuję popychacze.

– Niewielka różnica. Powtórzę moje pytanie: Czy brak popularności, na który się pan skarża, nie bierze się przypadkiem z powszechnego wśród Anglików przekonania, że Leibniz jest oszustem i plagiatorem?

– Coś dziwnie nam się układa ta rozmowa. Kręci pan, panie Root.

– Tylko troszeczkę.

– Ech, wy i ten wasz kontynentalny charakter...

– Po prostu dyskusja o priorytetach Towarzystwa przybrała ostatnio paskudny obrót.

– Wiedziałem, że tak będzie.

– Nie sędzę, żeby rozumiał pan w pełni jej niepożądane skutki.

– Ja natomiast nie sędzę, żeby pan zdawał sobie sprawę, jak dobrze znam sir Isaaca.

– Chodzi mi o to, że jej reperkusje mogą dosięgać pana aż tutaj, w tym pokoju, i tłumaczyć pańskie – proszę mi wybaczyć te słowa – osamotnienie i mizerne postępy w pracy.

– Nonsens!

– Widział pan najnowsze paszkwile, które krążą po Europie, niepodpisane, bez daty, pozbawione nawet znaków drukarskich? Czytał pan anonimowe recenzje, podkładane niczym saperskie miny w uczonych pismach? Zna pan zaskakujące artykuły, demaskujące anonimowych dotąd „czołowych matematyków” i zmuszające ich do potwierdzenia lub porzucenia poglądów, które od dawna głoszą w prywatnych rozmowach? Słyszał pan o geniuszach, którzy w każdej innej epoce dokonywaliby odkryć na miarę dzieła Kopernika, a tymczasem przypada im zaledwie rola narzędzi w cudzych rękach, bo muszą się opowiedzieć po stronie któregoś z dwóch luminarzy? O nowych, słusznie niepopularnych dziennikach, niespodziewanie wyniesionych do rangi naukowych autorytetów tylko dzięki temu, że jakiś pochlebca opublikował na ostatniej stronie swoje najnowsze zdradzieckie arcydzieło? O zwolennikach i przeciwnikach Leibniza i Newtona, którzy przez Kanał La Manche przerzucają się najbardziej niewybrednymi argumentami, próbując za wszelką cenę dowieść, że ich patron jest autorem rachunku różniczkowego, a jego oponent zaledwie miernym epigonem? O reputacji, o której decyduje dziś biegłość we władaniu szablą...

– Nie – przerywa Enochowi Daniel. – Przeprowadziłem się tutaj, żeby znaleźć się z dala od europejskich intryg.

Spuszcza wzrok i patrzy na list. Enoch również.

– To zwykły kaprys losu, że Gottfried jako pozbawiony majątku młodzieniec, szukający dla siebie stanowiska – jakiegokolwiek pozycji, która pozwoliłaby mu spokojnie pracować – trafił na dwór pewnego mało znanego niemieckiego księcia. Księcia, który dzięki niemiłosiernie skomplikowanej płataninie małżeństw, cudzołóstw, zgonów, nawróceń, wojen, rewolucji, poronień, dekapitacji, wrodzonych upośledzeń, ekskomunik *et caetera* wśród europejskiej elity – na szczególną uwagę zasługuje tu zwłaszcza śmierć wszystkich siedemnaściora dzieci królowej Anny – stał się głównym pretendentem do tronu Anglii i Szkocji, czy też, jak powinniśmy ją teraz nazywać, Wielkiej Brytanii.

– Niektórzy powiedzieliby, że to przeznaczenie, inni, że...

– Nie zagłębiajmy się w to.

– W porządku.

– Anna jest chora. Dynastia hanowerska pakuje szpiczaste hełmy i ozdobne kufle do piwa i pilnie uczy się angielskiego. Zofia może jeszcze zostać królową Anglii, przynajmniej na krótki czas, ale wkrótce to Jerzy Ludwik będzie królem Isaaca Newtona, a także, biorąc pod uwagę, że sir Isaac nadal pracuje w mennicy, jego bezpośrednim przełożonym.

– Rozumiem, do czego pan zmierza. Sytuacja jest nader niezręczna.

– Jerzy Ludwik jest ucieleśnieniem niezręczności, ale nie zdaje sobie z tego sprawy i nic go to nie obchodzi; zresztą, gdyby ktoś mu o tym powiedział, uznałby to zapewne za zabawne. Jego synowa, księżniczka, autorka tego listu, a w przyszłości, być może, również angielska królowa, przyjaźni się z Leibnizem. A przy tym podziwiała Newtona. I chciałaby doprowadzić do pojednania między nimi.

– Inaczej mówiąc, chciałaby posłać gołąbka pokoju między Słupy Herkulesa, po których do dziś spływają flaki poprzednich rozjemców.

– Podobno pan jest inny niż reszta.

– To znaczy? Mam w sobie coś z Herkulesa?

– No cóż...

– Jak pan sądzi, dlaczego jestem inny, panie Root?

– Nie wiem, doktorze Waterhouse.

– Chodźmy w takim razie do gospody.

\* \* \*

Ben i Godfrey wracają promem do Bostonu. Daniel krzywi się na najbliższą karczmę (chodzi o jakiś zadawniony konflikt z właścicielem), wyjeżdżają więc z Enochem na trakt i jadą kilka mil na północny zachód, od czasu do czasu zjeżdżając na pobocze, aby przepuścić

pasterzy pędzących stadka bydła do Bostonu. Docierają do miejsciny, która była stolicą Massachusetts, zanim bostońscy rajcy pozbawili ją tego zaszczytu. Kilka dróg wynurza się w tym miejscu z lasów i krzyżuje w środku osady. Wieśniacy, pasterze, traperzy i drwale mieszą ich rozmokłą nawierzchnię, przez co skrzyżowanie zmienia się w błotno-gnojowe grzęzawisko. Nieopodal znajduje się Kolegium Harvarda. Inaczej mówiąc, Newtowne jest rajem dla karczmarzy i przy głównym placu aż roi się od gospód.

Waterhouse wchodzi do pierwszej z brzegu, ale natychmiast cofa się od progu. Enoch zagląda do środka nad jego ramieniem. Przy barze siedzi sędzia w białej peruce, a na drewnianych ławach rozsiedli się przysięgli. Sąd przesłuchuje brudnego rzezimieszka.

– To nie najlepsze miejsce dla takich dwóch wałkoni jak my – mruczy pod nosem Waterhouse.

– Czy u was rozprawy sądowe naprawdę odbywają się w karczmach?!

– A co? Ten sędzia jest takim samym pijaczyną jak urzędnicy z Old Bailey<sup>6</sup>.

– Cóż, jeśli tak na to spojrzeć, wasza decyzja wydaje się całkowicie logiczna.

Daniel wybiera inną oberżę i razem otwierają jej ceglasczerwone drzwi. Przy wejściu kołyszą się – zgodnie z przepisami – dwa skórzane kubły przeciwpożarowe, na ścianie zaś wisi chłopak do butów, dzięki któremu karczmarz może na noc brać obuwie gości w niewolę. Właściciel siedzi schowany w małym drewnianym blokhauzie w narożniku głównej izby. Za plecami ma półki z butelkami, a jakaś groteskowa broń palna o co najmniej sześciostopowej lufie stoi oparta o ścianę w kącie. Karczmarz właśnie sortuje pocztę gości. Enoch nie może się nadziwić rozmiarom desek, z których zrobiona jest podłoga. Pod stopami kręcących się po sali ludzi skrzypią i trzeszczą jak lód na zamrzniętym jeziorze.

Waterhouse prowadzi go do stołu, którego blat stanowi pojedyncza masywna tarcica, wycięta z drzewa mającego z całą pewnością dobre trzy stopy średnicy.

– Takich olbrzymów od setek lat nie widuje się już w Europie – przyznaje Enoch, mierząc blat ramieniem. – To drzewo powinno było trafić prosto do królewskiej stoczni! Jestem wstrząśnięty.

– Od tej reguły są wyjątki – zauważa Waterhouse i pierwszy raz trochę się rozpogadza. – Wiatrołomy są własnością publiczną. To dlatego Gomer Bolstrood i jego przyjaciele barkerzy osiedlają się na odludziu, gdzie drzewa rosną olbrzymie...

– I gdzie w każdej chwili może rozhulać się huragan?

– Właśnie. W każdej chwili i w dodatku niepostrzeżenie dla sąsiadów.

– Jedno pokolenie dzieli podżegaczy od stolarzy... Ciekawe, co by na to powiedział stary Knott.

– Nie dzieli ich, tylko łączy – poprawia Enocha Waterhouse.

– A zresztą... Gdybym nazywał się Bolstrood, byłoby mi wszystko jedno, gdzie mieszkam, byle z dala od torysów i arcybiskupów.

---

<sup>6</sup> Old Bailey - główny londyński sąd kryminalny (przyp. tłum.).

Daniel Waterhouse wstaje i podchodzi do kominka. Bierze dwa polana i ze złością wpycha je w palenisko. Idzie porozmawiać z karczmarzem, który po chwili wbija do dwóch kufli po jajku i zaczyna dolewać rum, angosturę i melasę. Mikstura jest skomplikowana i lepka – podobnie jak cała sytuacja, w jaką wpakował się Enoch.

Za ścianą znajduje się druga izba, podobna, ale zarezerwowana dla kobiet. Dobia z niej warkot kołowrotek i szelest kart ślizgających się po suknie. Ktoś stroi jakiś instrument smyczkowy – nie staromodną wiołę, lecz raczej (sądząc po dźwięku) skrzypce. Enoch nie wierzy własnym uszom, zwłaszcza gdy uświadamia sobie, gdzie się znajduje, ale nagle skrzypaczka zaczyna grać. Zamiast barokowego menueta zza ściany płyną niezwykle, płaczliwe nuty jakiejś – chyba irlandzkiej – melodii. Połączenie jest równie nedorzeczne jak pomysł szycia z mory worków na zboże; londyńczycy popłakaliby się ze śmiechu. Enoch wstaje i zagląda do drugiej sali, żeby sprawdzić, czy nie uległ złudzeniu. Widzi jednak dziewczynę o włosach koloru marchewki, która gra na skrzypcach ku uciesze szyjących i przędących kobiet. I one, i sama muzyka są irlandzkie do szpiku kości.

Enoch kręci z niedowierzaniem głową i wraca do stołu. Daniel wrzuca do kubków gorące żelazne kule z uchwyty; napój rozgrzewa się i gęstnieje. Enoch siada, pociąga łyk i dochodzi do wniosku, że napitek jest całkiem smaczny. Muzyka też coraz bardziej mu się podoba.

Gdziekolwiek spojrzy, widzi odwracających wzrok ludzi. Niektórzy klienci wybiegają i pędzą do innych gospód, niosąc wiadomość o przybyciu Roota i Waterhouse'a, jak gdyby ich obecność sama w sobie była rozrywką. Profesorowie i studenci wchodzą do izby nonszalanckim krokiem, jakby codziennie zostawiali niedopite piwo w jednej karczmie i szli zamówić następne w drugiej.

– Skąd ci przyszło do głowy, Danielu, że przenosząc się tutaj, uciekniesz przed intrygami?

Daniel nie słyszy pytania. Wodzi wzrokiem po klientach.

– Mój ojciec, Drake, edukował mnie tylko w jednym, jedynym celu – mówi w końcu. – Miałem mu pomóc w przygotowaniach do nadejścia Apokalipsy. Spodziewał się, że nastąpi to w roku tysiąc sześćset sześćdziesiątym szóstym, rozumiesz, liczba bestii i tak dalej. Przyszedłem zatem na świat w tysiąc sześćset czterdziestym szóstym, bo Drake jak zwykle wszystko starannie zaplanował. W przyszłości miałem przywdziać sutannę, osiąść pełne uniwersyteckie wykształcenie, włącznie ze znajomością wielu klasycznych i martwych języków, po czym, stanąwszy na urwisku w Dover, płynnym aramejskim przywitać wracającego do Anglii Chrystusa. Czasem się tak rozglądałem – Waterhouse szerokim gestem ogarnia wnętrze gospody – patrząc, co z tego wyszło, i zastanawiam się, czy ojciec mógł się jeszcze bardziej pomylić.

– Moim zdaniem trafiłeś doskonale. Tutaj nic nie dzieje się zgodnie z planem. Ta muzyka, te meble... Wszystko przeczy oczekiwaniom.

– Któregoś dnia w Londynie oglądaliśmy z ojcem egzekucję Hugh Petersa, kapelana Cromwella. Prosto stamtąd pojechaliśmy do Cambridge. Jako że egzekucje odbywają się zazwyczaj o świcie, przykładowy purytanin może sobie jakąś obejrzeć, a i tak będzie miał cały dzień na podróż i pracę, zanim nastanie czas wieczornej modlitwy. Ten wyrok wykonano nożem. Widok wnętrzości brata Hugh bynajmniej nie poruszył Drake'a; chyba tylko zmobilizował go dodatkowo, żeby wprowadzić mnie do Cambridge. Pojechaliśmy tam więc i spotkaliśmy się z Wilkinsem w Kolegium Świętej Trójcy.

– Zaraz, chyba pamięć mnie zawodzi... Wilkins wykładał przecież w Oxfordzie, prawda? W Kolegium Wadhama...

– W tysiąc sześćset pięćdziesiątym szóstym ożenił się z Robiną, siostrą Cromwella.

– To pamiętam.

– I Cromwell mianował go dziekanem Kolegium Świętej Trójcy w Cambridge. Naturalnie podczas restauracji nominację cofnięto, toteż Wilkins spędził w Cambridge zaledwie parę miesięcy. Nic dziwnego, że o tym zapomniałeś.

– No dobrze. Przepraszam, że ci przerwałem. Więc Drake zabrał cię do Cambridge...

– I poszliśmy prosto do Wilkinsa. Miałem wtedy czternaście lat. Ojciec zostawił nas samych, święcie przekonany, że ten człowiek – był przecież szwagrem Cromwella, na Boga! – wskaże mi ścieżkę prawości, omówi ze mną wybrane wersety Biblii traktujące o dziewięciogłowej bestii, albo pomodlimy się razem za Hugh Petersa.

– Wy jednak zapewne nie robiliście żadnej z tych rzeczy.

– Powinieneś zobaczyć wnętrza Świętej Trójcy. To prawdziwy gotycki labirynt z kamienia, przypominający podziemia jakiejś prastarej katedry. Stoły rozstawione bez ładu i składu, poplamione i osmolone w alchemicznych eksperymentach, zastawione kolbami i retortami, w których zalegają resztki jaskrawych substancji o gryzących woniach... Ale przede wszystkim były tam książki, ustawione w równych stosach jak drewno na opał. W życiu nie widziałem tylu ksiąg na raz w jednym miejscu. To było już dobre dziesięć, może nawet dwadzieścia lat po tym, jak Wilkins napisał swój słynny *Cryptonomicon*. Rzecz jasna, pracując nad nim, zgromadził księgi okultystyczne z całego świata. Skompilował wszelką tajemną wiedzę dostępną od czasów starożytnych. Wydanie *Cryptonomiconu* przyniosło mu sławę wśród tych, którzy interesują się tą materią; egzemplarze jego dzieła docierały do Pekinu, Limy, Isfahanu, Szachdżahanabadu. W odpowiedzi dostawał coraz więcej ksiąg: od portugalskich kryptokabalistów, od arabskich uczonych kryjących się w ruinach i zgliszczach Aleksandrii, od parsów, którzy potajemnie czczą Zoroastra, od kupców z Armenii, którzy komunikują się z całą rozsianą po świecie ormiańską diasporą za pośrednictwem czegoś w rodzaju sieci informacyjnej; używają dyskretnych znaków i symboli, ukrytych na marginesach i między wierszami tak sprytnie, że konkurent, który przechwyci wiadomość, rozpozna w niej tylko trywialny list grzecznościowy, za to inny Ormianin wydobędzie z niej istotne informacje z równą łatwością, jak ty czy ja odczytujemy rozwieszane na ulicach

ulotki. Wilkins poznał również tajemnice mandarynów, którzy używają chińskiego pisma i w przeciwieństwie do nas nie mogą korzystać ze zwykłych szyfrów. Są więc zmuszeni kodować treść wiadomości w ułożeniu znaków na stronie. Znają też inne sposoby, tak chytne, że ich opracowanie musiało im zająć całe pokolenia. Dzięki sławie *Cryptonomiconu* jego biblioteka ogromnie się rozrosła. Aby lepiej zrozumieć moje położenie, powinieneś wiedzieć, że wychowano mnie – zarówno Drake, jak i Knott zadbali o moją edukację – w przekonaniu, że każde słowo w tych księgach i każdy znak są dziełem szatana. Że gdybym choć na chwilę uchylił okładkę którejś z nich i naraził się na kontakt z zawartymi w niej okultystycznymi symbolami, zostanę w mgnieniu oka wciągnięty do piekła.

– Widzę, że wywarło to na tobie spore wrażenie...

– Wilkins przez pełne pół godziny dał mi się napawać atmosferą kolegium. Dopiero potem zaczęliśmy buszować po jego apartamentach i przypadkiem podpaliliśmy jeden ze stołów. Dostał do recenzji *Sceptycznego chemika* Boyle'a... Nawiasem mówiąc, powinieneś to kiedyś przeczytać...

– Znam mniej więcej treść.

– Próbowaliśmy powtórzyć jedno z doświadczeń Boyle'a, ale coś nam nie wyszło. Na szczęście obeszło się bez większych szkód. Pożar był niewielki, lecz spowodował reakcję, o jaką chodziło Wilkinsowi: zdarł maskę dobrego wychowania, którą zawdzięczałem Drake'owi. Rozgadałem się na dobre. Musiałem chyba wyglądać jak człowiek, który doznał boskiego objawienia. Wilkins napomknął mi, że jeśli szukam prawdziwego wykształcenia, jest w Londynie instytucja, która nazywa się Kolegium Greshama, gdzie w towarzystwie swoich starych oxfordzkich kompanów wyklada filozofię naturalną bezpośrednio, pomijając kilka lat gdzie indziej obowiązkowej, lecz nużącej i nieciekawej edukacji klasycznej. Byłem jeszcze młody i niezbyt sprytny; zresztą nawet gdybym był kuty na cztery nogi, w apartamentach Wilkinsa dwa razy bym się zastanowił, czy się tym popisywać. Wypaliłem więc prosto z mostu, że religia nic a nic mnie nie interesuje, zwłaszcza jako moje przyszłe powołanie, i że chciałbym zostać naturalistą jak Boyle albo Huygens. Co oczywiście nie było dla Wilkinsa żadną niespodzianką. „Zostaw to mnie”, powiedział i mrugnął porozumiewawczo.

Drake nie chciał nawet słyszeć o posłaniu mnie do Greshama, więc skończyło się na tym, że dwa lata później zacząłem naukę w starej szkółce dla pastorów, czyli Kolegium Świętej Trójcy. Ojciec był przekonany, że postąpiłem zgodnie z jego życzeniem, ale Wilkins miał inne plany. Sam widzisz, że miałem dość czasu, by oswoić się z myślą, że inni ludzie planują za mnie moje życie. Dlatego właśnie przyjechałem do Massachusetts i nigdzie się stąd nie ruszę.

– Nie wnikam w twoje zamiary. Proszę tylko, żebyś przeczytał ten list.

– Co się stało, że cię tu przysłali, Enochu? Czyżby sir Isaac pokłócił się ze swoim młodym uczniem?

– Cóż za przenikliwość!

– Nie większa niż u Halleya, kiedy przewidział powrót komety. Odkryte przez Newtona prawa obowiązują wszystkich. W pracach nad drugim wydaniem *Principiów* sir Isaakowi pomagał taki młody chłopak. Jakżeż on się nazywa?

– Roger Cotes.

– Taki młody, sympatyczny, obiecujący?

– Sympatyczny jest bez wątpienia. A obiecujący był, dopóki...

– Dopóki nie popełnił jakiegoś błędu. Wtedy Newton wpadł w szał i stracił go w otchłań piekielną.

– Na to wygląda. W każdym razie praca Cotesa, czyli poprawki do *Principia Mathematica* i projekt ugody z Leibnizem, poszła na marne. Przynajmniej chwilowo.

– Mnie Isaac nigdy nie stracił w otchłań – mruczy w zadumie Daniel. – Byłem taki młody i taki niewinny... Nie mógł źle o mnie myśleć, nie aż tak źle, jak o innych.

– Skoro o tym mowa... – Enoch kładzie list na stole. – Proszę.

Daniel łamie pieczęć i gwałtownym szarpnięciem rozkłada papier. Wygrzebuje z kieszeni binokle i przytrzymuje je przed oczami, jakby założenie ich na nos wiązało się z jakimś nieodwołalnym zobowiązaniem. Najpierw ogląda cały list na wyciągnięcie ręki, ocenia go jako dzieło kaligrafii, podziwia wdzięczne pętle i spirale.

– Bogu dzięki, że nie jest skreślony tym barbarzyńskim germańskim pismem – stwierdza, po czym zgina rękę w łokciu, przysuwa list bliżej i zagłębia się w lekturze. Przed końcem pierwszej strony wyraz jego twarzy zupełnie się zmienia.

– Jak zapewne zauważyłeś – wtrąca Enoch – księżniczka, zdając sobie sprawę z ryzyka, z jakim wiąże się rejs przez Atlantyk, wykupiła polisę ubezpieczeniową...

– Pośmiertna łapówka! – prycha Daniel. – W Towarzystwie roi się ostatnio od aktuariuszy i statystyków; liczą i kreślą tabelki dla tych giełdowych kanciarzy. Pewnie przerachowaliście, co trzeba, i wyliczyliście, jakie jest prawdopodobieństwo, że człowiek w moim wieku przeżyje podróż do Anglii, kilka miesięcy albo i lat życia w tamtejszej metropolii, która jest wylegarnią wszelkich chorób, oraz rejs powrotny do Bostonu.

– Ależ Danielu! Zapewniam cię, że niczego nie „przerachowaliśmy”. To rozsądne ze strony księżniczki, że postanowiła cię ubezpieczyć.

– Na taką kwotę? To renta, a właściwie spadek dla mojej żony i syna.

– A czy w tej chwili masz zapewnioną jakąś rentę?

– Słucham?! W porównaniu z tą sumą mam tyle, co kot napłakał. – Daniel wściekłym gestem przejeżdża paznokciem po rzędzie zer widocznym pośrodku listu.

– Wygląda na to, że Jej Królewska Wysokość wysunęła przekonujący argument.

W tej właśnie chwili Waterhouse zdaje sobie sprawę, że wkrótce wsiądzie na statek płynący do Londynu. Ta świadomość natychmiast odmalowuje się na jego twarzy, ale trzeba



poczekać jeszcze godzinę, może dwie, zanim będzie gotowy głośno to powiedzieć. Enocha czekają trudne chwile.

– Zresztą nawet bez polisy wyjazd do Anglii leżałby w twoim interesie – zauważa. – W filozofii naturalnej, tak jak na wojnie i w miłości, najlepiej sprawdzają się ludzie młodzi. A sir Isaac od tamtego tajemniczego wypadku w dziewięćdziesiątym trzecim nie dokonał żadnego nowego odkrycia.

– Dla mnie nie ma w nim nic tajemniczego.

– Od tamtej pory haruje w mennicy, opracowuje nowe wersje starych ksiąg i pluje jadem na Leibniza.

– A ty chciałbyś, żebym go naśladował?!

– Chciałbym, żebyś odłożył pilnik, spakował karty, porzucił swój warsztat i pomyślał o przyszłości rewolucji.

– A jakąż to rewolucję możesz mieć na myśli? W osiemdziesiątym ósmym mieliśmy Wspaniałą. Tutaj też chodzą słuchy, że coś się szykuje, ale...

– Nie kpil, Danielu. Mówisz i myślisz w języku, który nawet nie istniał, kiedy z sir Isaakiem zaczęliście naukę w Świętej Trójcy.

– Dobrze już, dobrze. Jeżeli chcesz, nazwij to rewolucją. Nie będę się sprzeczał.

– Ta rewolucja powoli zwraca się przeciwko sobie. Spór o rachunek różniczkowy przeradza się w schizmę między naturalistami z Wielkiej Brytanii i Europy kontynentalnej. Brytyjczycy mają o wiele więcej do stracenia. Z niechęcią wypowiadają się o technikach Leibniza, a te są bardziej zaawansowane, gdyż Leibniz zadał sobie trud rozpowszechnienia swoich idei. Problemy, jakie napotkałeś, zakładając Instytut Sztuk Technicznych Kolonii Zatoki Massachusetts, są objawem tej samej przypadłości. Pora przestać błąkać się na obrzeżach cywilizacji, doktorze Waterhouse; zostaw te swoje karty i popychacze, wróć do źródła, poznaj przyczynę choroby i wylecz ją raz na zawsze. Jeżeli tego dokonasz, to kiedy twój syn dorośnie i rozpocznie studia, Instytut nie będzie już tonącą w bagnie chałupą z bali, lecz kompleksem sklepionych pawilonów i wielopokojowych laboratoriów nad Rzeką Karola. Najznamienitsi młodzi Amerykanie będą się w nim spotykać, aby studiować i doskonalić sztukę automatycznego rachowania.

Doktor Waterhouse posyła Enochowi puste, litościwe spojrzenie, jakie zwykle rezerwuje się dla podstarzałych krewnych, którzy posunęli się w latach tak dalece, że nie kontrolują wydzielania gazów.

– W najgorszym razie nabawię się febry i za trzy dni umrę, a Faith i Godfrey będą mieli całkiem przyzwoitą rentę.

– To dodatkowa motywacja.

\* \* \*

Cały świat miał słuszne powody sądzić, że celem życia europejskich chrześcijan było budowanie statków, żeglowanie do wszelkich możliwych krain, których wybrzeża nie jeżą się jeszcze mrowiem armatnich luf, zejście na ląd nieopodal ujścia jakiejś rzeki, ucałowanie ziemi, wbicie w grunt krzyża albo drzewca z flagą, przepłoszenie ewentualnych tubylców pokazową salwą z muszkietów, a następnie – skoro już tak daleko dotarli, tyle zaryzykowali i wycierpieli – dobycie z bagażu płaskiej misy i zgarnięcie na nią mułu z rzecznoego dna. Wystarczyło mocno nią zakręcić, aby w wodzie powstał mętny wir; zawirowanie podrywało muł z dna misy, jak trąba powietrzna porywa drobinki ziemi. Kiedy rzeczny nurt splukał większość brudu, odsłaniał się utrwalony na dnie spiralny kształt. Ze środka naczynia sterczał kopczyk mułu, który pomału rozpadał się od zewnątrz, w miarę jak lżejsze drobinki zsuwały się na obrzeża misy i spływały do wody. Błękitne oczy przybyszów wpatrywały się uważnie w tkwiące w mule grudki cięższej materii – zdarzało się bowiem, że grudki te były żółte i błyszczące.

Łatwo, rzecz jasna, zarzucić tym ludziom głupotę (nie zapuszczając się na szerokie wody takich tematów, jak chciwość, arogancja, gwałtowne usposobienie *et caetera*) – trzeba być bowiem swego rodzaju idiotą, żeby z własnej, nieprzymuszonej woli udać się do obcego kraju, zlekceważyć jego mieszkańców wraz z ich językiem i sztuką, zignorować zamieszkujące go zwierzęta, rosnące w nim kwiaty, zioła i drzewa, i zbagatelizować tkwiące w lesie ruiny, a skupić się bez reszty na paru grudach ciężkiej substancji spoczywających pośrodku patelni. Kiedy jednak siedzący w gospodzie Daniel próbuje zebrać wspomnienia z początków swojej nauki w Kolegium Świętej Trójcy, ze złością stwierdza, że w jego głowie podobny proces zachodzi już od pół wieku.

Jego doznania z tamtych lat były równie złożone jak wrażenia konkwistadora, który wyciągał szalupę na brzeg kolejnej białej plamy na mapach. Takie słowa, jak „konfuzja” czy „konsternacja” dobrze opisywały stan zarówno ducha podróżnika zagubionego w dziczy, jak i świadomości Daniela w pierwszych latach nauki w Cambridge. Skojarzenie z konkwistadorem nie było zresztą wcale takie odległe. Daniel został studentem Świętej Trójcy tuż po restauracji i nagle znalazł się w środowisku młodych dżentelmenów, którzy większość życia spędzili w Paryżu. Ich stroje były dla Daniela równie przepyszne, jak kolorowe upierzenie egzotycznych ptaków dla odzianego w czerń jezuitę, a ich sztylety i rapiery zdawały się nie mniej zabójcze niż kły i pazury zamieszkujących dżunglę drapieżników. Będąc z natury człowiekiem skłonny do zadumy, od pierwszego dnia próbował przeniknąć sens tej maskarady, dotrzeć do sedna problemu, niczym odkrywca, który odwraca się plecami do orangutanów i orchidei, by nabrać do miski błoto z dna rzeki. Ale jedynym wynikiem tych rozmyślań był mętny wir.

W późniejszych latach rzadko wracał do tych wspomnień. Kiedy robi to teraz, w karczmie nieopodal Kolegium Harvarda, ze zdumieniem odkrywa, że mętny wir zniknął. W jego głowie woda plukała zawartość misy przez całe pięćdziesiąt lat, spychając na obrzeża

muł i lekkie okruchy piasku, aż w naczyniu zostało zaledwie kilka maleńkich samorodków. Nie bardzo wie, dlaczego akurat te się ostały, inne zaś, choć kiedyś równie dla niego ważne (jeśli nie ważniejsze), wymył rzeczny nurt. Jeżeli jednak porównanie z poszukiwaniem złota nie jest chybione, oznacza to, że te ocalałe wspomnienia znaczą więcej od utraconych. Złoto zatrzymuje się na środku patelni ze względu na swoją wyjątkową gęstość: zawiera najwięcej materii (czykolwiek by ona była) na jednostkę objętości.

Tłum przy Charing Cross i miecz, który bezszelestnie spada na kark Karola I – tak wygląda pierwszy samorodek. Dalej rozciąga się pustka, aż do czasu, gdy kilka miesięcy później Waterhouse'owie z zaprzyjaźnionymi Bolstroodami wyjechali na coś w rodzaju wakacji. I przy okazji zdemolowali katedrę.

Samorodek: na tle katedralnej rozety rysuje się czarna sylwetka kulejącego, zgarbionego upiora. Jego ramiona kołyszą się jak wahadło. Trzyma w rękach głowę świętego, odłamana od marmurowego korpusu. To Drake Waterhouse, ojciec Daniela. Ma około sześćdziesięciu lat.

Samorodek: kamienna głowa w locie. Odwraca się i jakby zdumiona wpatruje w Drake'a. Cudowne okno zapada się jak przebity łyżką kozuch na gotującej się zupie. Sypie się szkło. Niezwykły ornament na rozecie ustępuje miejsca błękitnozielonemu krążkowi angielskiego wzgórza pod srebrzystym niebem. W Anglii trwa wojna domowa.

Samorodek: niski, krępy mężczyzna miazdzy pozłacany płotek, którym arcybiskup Laud odgrodził prezbiterium od nawy, i z impetem spuszcza młot na ołtarz. To Gregory Bolstrood; miał wtedy jakieś pięćdziesiąt lat i był kaznodzieją. Sam siebie nazywał independentem. Jego porywczosć i skłonność do ataków szału sprawiły, że rozeszły się plotki o tym, jakoby podczas trzygodzinnych kazań szczeptał jak pies. Dlatego też członkowie sekty, którą Bolstrood założył, a Drake sponsorował, zyskali przydomek barkerów.

Samorodek: któryś z młodszych barkerów żelaznym prętem roztrzaskuje kościelne organy. Dostojne piszczałki padają jak ścięte drzewa, błyszczące klawisze z bukszpanowego drewna sypią się na marmurową posadzkę. Oto Knott Bolstrood, syn Gregory'ego, w kwiecie wieku.

\* \* \*

Wszystko to są jednak wspomnienia z wczesnego dzieciństwa, z czasów, gdy nie umiał jeszcze czytać ani myśleć. Później jego młodość była uporządkowana i (jak stwierdza ze zdumieniem, patrząc na nią z perspektywy czasu) całkiem interesująca. Nawet, rzecz by można, pełna przygód. Drake był kupcem. W latach pięćdziesiątych, po zwycięstwie Cromwella i zakończeniu wojny, z młodym Danielem przemierzali Anglię wzdłuż i wszerz, skupując za grosze wytwory miejscowych wieśniaków, które potem z zyskiem odsprzedawali do Holandii. Mimo że handel ten był w znacznej mierze nielegalny (Drake, który żywił

niewzruszone przekonanie o niestosowności wszelkich nakładanych przez państwo ceł i podatków, traktował przemyt nie tylko jak rozsądną strategię handlową, ale niemal jak swój święty obowiązek), przebiegał w zasadzie bez zakłóceń. Wspomnienia Daniela z tego okresu – nieliczne, jakie mu w ogóle pozostały – są proste i ugrzecznione jak purytańskie jasełka. Dopiero po restauracji i wstąpieniu do Świętej Trójcy jego życie ponownie się skomplikowało. W pewnym sensie rozpoczęło się dla niego drugie dzieciństwo.

Samorodek: noc przed wyruszeniem do Cambridge, gdzie miał rozpocząć czteroletnią sesję naukową przygotowującą go do końca świata, spędził w domu ojca na przedmieściach Londynu. Spał na prostokątnym łożu, składającym się z czterech grubych belek i przewleczonego przez nie zygzakiem szorstkiego sznura, który przytrzymał rozciągnięty na tej ramie kawał płótna. Do towarzystwa miał siennik i z pół tuzina religijnych dysydentów, chrapiących jeden drugiemu w podkulone stopy. Monarchia wróciła. Anglia znów miała króla (tym razem był nim Karol II), a król miał dworzan. Jeden z nich, John Comstock, przygotował *Akt o Jedności Wiary*, król zaś podpisał go, jednym pociągnięciem pióra zmieniając independenckich kaznodziejów w bezrobotnych heretyków. A wszyscy independenci trafiali – naturalnie – do Drake’a. Sir Roger L’Estrange, główny cenzor królewski, regularnie wizytował jego dom, ani chybi podejrzewając, że pozbawieni zajęcia fanatycy powielają w piwnicy antyrojalistyczne paszkwile.

Wilkins, który krótko był dziekanem Kolegium Świętej Trójcy, załatwił Danielowi przyjęcie w poczet studentów. Danielowi marzyło się, żeby zostać jego osobistym uczniem i protegowanym, zanim jednak trafił na uniwersytet, przez kraj przetoczyła się restauracja i Wilkins musiał ustąpić ze stanowiska. Wyjechał do Londynu, gdzie został pastorem w kościele świętego Wawrzyńca Żydowskiego, a w wolnym czasie zajął się tworzeniem Towarzystwa Królewskiego. To była dla Daniela doskonała nauczka, podręcznikowy wręcz przykład tego, jak nawet najlepszy plan może fatalnie spalić na panewce. Mieszkał przecież wcześniej w Londynie i gdyby tam został, mógłby do woli spędzać czas z Wilkinsem i brać udział w spotkaniach Towarzystwa; wystarczyłoby przespacerować się po mieście, żeby dowiedzieć się o filozofii naturalnej wszystkiego, co sobie wymarzył. Zamiast tego rozpoczął edukację w Świętej Trójcy w kilka miesięcy po tym, jak Wilkins na zawsze rozstał się z uczelnią.

Samorodek: przydrożne figury świętych po drodze do Cambridge. Dawno temu purytanie w przypiływie religijnego gniewu poutrącali im młotkami uszy i nosy, przez co święci nieodparcie przywodzili mu na myśl Drake’a. Miał wrażenie, że kiedy obok nich przejeżdża, odwracają głowy i odprowadzają go wzrokiem.

Samorodek: umalowana dziewczyna pada z piskiem na jego łóżko w Kolegium Świętej Trójcy. Daniel ma erekcję. To były czasy restauracji.

Ciężar leżącej na nim kobiety nagle się podwoił, kiedy przewrócił się na nią o połowę młodszy chłopak, spowity w rozedrgany kokon z francuskiej koronki. Oto hrabia Upnor.

Samorodek: szcęk ozdobnego rapiera o podłogę. Jego właściciel padł na czworaki, posadzkę zalała bulgocząca fala wymiocin. Wychrypiał „Eeeghr” i dźwignął się na kolana. Głowa opadła mu do tyłu i oparła się na koronkowej krezie. Blask świec padł mu na twarz – niezbyt udaną kopię oblicza króla Anglii. Oto księżę Monmouth.

Samorodek: niezamożny sizar<sup>7</sup> z kubłem i szmatą próbuje sprzątnąć pokój, ale Monmouth, Upnor, Jeffreys i inni wysyłają go do piwnicy po piwo. To Roger Comstock, daleki krewny Johna Comstocka, autora *Aktu o Jedności Wiary*. Pochodzi ze skłóconej z rodziną Johna gałęzi rodu, stąd jego podrzędny status w Świętej Trójcy.

Mimo że Daniel miał w kolegium własne łóżko, źle sypiał. Kiedy u Drake’a dzielił wielkie łoże ze śmierzącymi fanatykami albo tłoczył się z tłumem gości na wspólnym posłaniu w którejś z angielskich gospód, cieszył się długimi godzinami czarnego, spokojnego snu bez marzeń. Kiedy jednak trafił na uniwersytet, przyszło mu dzielić pokój – i łóżko – z młodzieńcami zbyt pijanymi, żeby mogli utrzymać się na nogach, a przy tym zbyt groźnymi, żeby się z nimi kłócić. Noce rozpadały się na kawałki, na odpryski porozdzielane szczelinami, z których wyraziste i wyczerpujące sny buchały jak para wydobywająca się z popękane go naczynia.

Pierwsze sensowne wspomnienie ze Świętej Trójcy wiąże się właśnie z jedną z takich nocy.

## Kolegium Niepodzielnej Trójcy Świętej, Cambridge

1661

*Dysydenci gardzą wszelkimi ozdobnikami mającymi na celu zadowolenie zmysłów. Ich kaznodzieje nauczają, że wszelką nadzieję powinni pokładać we własnych staraniach, a swą doktrynę utwierdzać – poza słowami, w których ją głoszą – wyłącznie uczciwością postępowania i przykładnym życiem.*

*Przewinienia, które powinny powodować usunięcie z rządu wigów,  
anonim (przypisywane Bernardowi Mandeville), 1714*

Zamieszanie na dole, na dziedzińcu. I to nie jakieś zwykłe pijackie hałasy, bo nie zwróciłby na nie uwagi.

Daniel wstał i stwierdził, że jest sam w pokoju. Dobiegające z dołu głosy brzmiały groźnie. Podeszedł do okna. Ogon Wielkiej Niedźwiedzicy przypominał wskazówkę

---

<sup>7</sup> Sizar - w Cambridge ubogi student, korzystający z wypłacanego przez uczelnię stypendium socjalnego (przyp. tłum.).

olbrzymiego niebieskiego zegara, z którego Daniel powoli uczył się odczytywać czas. Dochodziła trzecia nad ranem.

Kilka sylwetek poruszało się w plamach mętnego światła latarni. Jedna z nich była ubrana tak, jak do niedawna ubierali się wszyscy mężczyźni, których Daniel widywał: w czarny płaszcz i czarne spodnie, bez żadnych ozdób. Za to falbaniaste stroje pozostałych przypominały upierzenie egzotycznych ptaków.

Wyglądało na to, że człowiek w czerni broni innym wstępu do kolegium. Do niedawna wszyscy w Cambridge wyglądali tak jak on, a działanie uczelni tolerowano tylko dlatego, że pobożny kraj potrzebował księży i teologów biegłych w grece, łacinie i hebrajszczyźnie. Mężczyzna stał przed drzwiami, ponieważ ci w koronkach, jedwabiach i aksamitach sprowadzili sobie dziewczynę. I to bynajmniej nie pierwszy raz! Najwyraźniej miał dość nocnych schadzek i nie zamierzał łatwo ustąpić.

Chłopak w czerwonym stroju wyskoczył z ciemności w sam środek plamy światła. Wyglądał jak drżący bukiet frędzli i falban. Kiedy rozkładał skrzyżowane na brzuchu ręce, rozległ się ostry, metaliczny zgrzyt. W dłoniach trzymał dwie smugi srebrzystego blasku: dłuższą w prawej, krótszą w lewej ręce. Przykucnął. Jego towarzysze pokrzykiwali chórem. Daniel nie rozumiał słów, ale w ich głosach strach mieszał się z entuzjazmem. Mężczyzna w czarnym płaszczu też dobył broni – ciężkiego, dźwięczącego rapiera o zmatowiałej klingie. Chłopak w szkarłacie skoczył na niego jak skłębiona chmura czerwieni, z której serca strzelają błyskawice. Walczył jak zwierzę, instynktownie, tak szybko, że nie sposób było nadążyć wzrokiem za jego ruchami. Za to przeciwnik walczył jak zwykły człowiek, niepewnie i z wahaniem. Wkrótce – podziurawiony jak sito – osunął się na trawę niczym sterta zakrwawionych szmat. Czołgał się i przewracał na boki, próbując znaleźć takie ułożenie ciała, które nie przyprawiłoby go o męki.

Kawalerowie się rozpierzchli. Książę Monmouth zarzucił sobie dziewczynę na ramię jak worek z ziarnem i popędził za nimi na złamanie karku. Szkarłatny chłopiec stanął nad umierającym, oparł mu stopę na barku, odwrócił go na plecy i prychnął coś pogardliwie.

W domach wokół podwórza okiennice zamykały się z głośnym trzaskiem.

Daniel narzucił płaszcz, wzuł buty, zapalił latarnię i zbiegł na dół, ale niepotrzebnie się spieszył. Ciało zniknęło. Krew na trawie do złudzenia przypominała smołę. Idąc jej tropem, Daniel przemierzył podwórze, okrążył kolegium od tyłu i wyszedł na Backs, podmokłą równinę zalewową Camu, który leniwie opływał uniwersytet od tyłu. Zerwał się lekki wiatr i szum drzew prawie zagłuszył plusk wody. Świadek mniej gorliwy od Daniela mógłby z czystym sumieniem stwierdzić, że nic nie słyszał.

Zatrzymał się. Jego umysł wreszcie się rozbudził i Daniel zaczynał się bać. Znajdował się na środku bagnistego pustkowie, podążał śladem trupa w stronę rzeki, a wiatr usilnie próbował zgasić płomyk jego latarni.

W kręgu światła pojawiło dwóch nagich mężczyzn. Daniel krzyknął.

Jeden z nich, wysoki, miał najpiękniejsze oczy, jakie Daniel widział w całym swoim życiu. Przypominały oczy postaci z piety, którą Drake spalił kiedyś w kominku. Mężczyzna spojrział na Daniela, jakby chciał zapytać „A któż to ma czelność tak się wydzierać?”.

Jego towarzysz, znacznie niższy, skrzywił się, oślepiiony blaskiem latarni. Daniel rozpoznał w nim Rogera Comstocka, ubogiego sizara i sprzątacza.

– Kto idzie? – zapytał Comstock. – To ty, mój panie?

– Nie jestem niczym panem – odparł Daniel. – To ja, Daniel Waterhouse.

– Tu Comstock i Jeffreys. Co pan tu robi w środku nocy?

Byli nadzy i mokrzy, długie włosy opadały im na ramiona, kleiły się do skóry i ociekały wodą. Mimo to w porównaniu z Danielem – suchym, ubranym i zaopatrzonym w latarnię – Comstock był okazem spokoju.

– O to samo mógłbym was zapytać. Gdzie macie ubrania?

Jeffreys postąpił krok w przód. Comstock postanowił milczeć.

– Rozebraliśmy się, zanim wskoczyliśmy do wody – wyjaśnił Jeffreys takim tonem, jakby to była najbardziej naturalna rzecz pod słońcem.

Comstock równie szybko jak Daniel dostrzegł lukę w tym tłumaczeniu i pospieszył ją załatać:

– Po wyjściu na brzeg stwierdziliśmy, że trochę nas zniosło. Po ciemku nie możemy znaleźć ubrań.

– Po co włąziliście do rzeki?

– Goniliśmy rozbójnika.

– Robójnika?!

Gwałtowna reakcja Daniela sprawiła, że cudne oczy zwęziły się i na twarzy Jeffreysa pojawił się wyraz lekkiego zniesmaczenia. Roger Comstock był jednak łaskaw kontynuować konwersację:

– Tak! Jakiś fanatyk, pewnie purytanin, może nawet barker, wyzwał mojego pana, lorda Upnor, na pojedynek! Pewnie pan tego nie widział?

– Owszem, widziałem.

– Ach tak... – Jeffreys odwrócił się w stronę kolegium, ujął ociekającego wodą penisa w dwa palce i bryznął na ziemię potężną strugą moczu. – Okno pokoju, który zajmujecie razem z panem Monmouthem, jest dość niewygodnie usytuowane. Musiałeś się mocno wychylić.

– Może trochę się wychyliłem.

– W przeciwnym razie nie widziałbyś chyba pojedynku, prawda?

– Pojedynku? Czy raczej morderstwa?

Jeffreys znów się skrzywił, jakby sama myśl o tym, że musi rozmawiać z człowieczkiem pokroju Daniela, sprawiała mu niewysłowioną przykrość.

– Twierdzi pan więc, że był świadkiem morderstwa? – zapytał tymczasem Comstock z niezłe udawanym zdumieniem.

Daniela замуrowało. Jeffreys nadal zalewał ziemię moczem, który parował obficie w zetknięciu z gruntem. Wyglądało na to, że Jeffreys zamierza zamaskować swoją nagość chmurą pary.

– Morderstwo, powiadasz... Ktoś zginął?

– Tak... Tak przypuszczam – wyjąkał Daniel.

– Hmm... Opieranie się na przypuszczeniach to niebezpieczna praktyka, kiedy zarzuca się taką zbrodnię arystokracie. Lepiej by chyba było, gdybyś wskazał zwłoki sędziemu pokoju i poczekał, aż koroner ustali przyczynę zgonu.

– Zwłoki zniknęły.

– Powiedziałeś „zwłoki”. Może należałoby użyć określenia „ranny”?

– No... Nie sprawdziłem, czy serce przestało mu bić, jeśli o to ci chodzi.

– A zatem „ranny” będzie bliższe prawdy. Kiedy ścigaliśmy go z Comstockiem przez Backs, zdecydowanie bardziej przypominał człowieka rannego niż trupa.

– Bez wątpienia – przytaknął Comstock.

– Ale widziałem, jak leżał na ziemi...

– Przez okno? – Jeffreys wreszcie skończył sikać.

– Tak.

– Ale teraz chyba nie wyglądasz przez okno, co, Waterhouse?

– Oczywiście, że nie.

– Miło, że mi wyjaśniłeś, co jest oczywiste, a co nie. Wskoczyłeś oknem czy zszedłeś po schodach?

– Zszedłem, rzecz jasna!

– Czy ze schodów widać podwórze?

– Nie.

– A zatem schodząc, straciłeś rannego człowieka z oczu.

– Naturalnie.

– I w gruncie rzeczy nie masz zielonego pojęcia, Waterhouse, co się działo na podwórzu, kiedy schodziłeś po schodach. Mam rację?

– Tak, ale...

– Tymczasem mimo swojej absolutnej i bezdyskusyjnej niewiedzy ośmielasz się oskarżać hrabiego, bliskiego przyjaciela króla, o popełnienie... Jak to powiedziałeś?

– Powiedział „morderstwo” – podsunął usłużnie Comstock.

– Właśnie. Chodźmy, poszukamy sędziego pokoju – zaproponował Jeffreys.

Wyrwał Danielowi z ręki latarnię i skierował się w stronę uniwersytetu. Rozchichotany Comstock ruszył za nim.

Jeffreys musiał się najpierw osuszyć i wezwać usługującego mu młodszego studenta, żeby ułożył mu włosy i pomógł się ubrać – dżentelmen, stając przed obliczem sędziego, powinien prezentować się schludnie. Daniel musiał na niego poczekać u siebie w sypialni, w



towarzystwie Comstocka, który z niezwykłym dla siebie zapalem krzątał się i porządkował pokój. Ponieważ Daniel nie miał nastroju do pogawędki, Roger Comstock sam wypełniał ciszę swoim mamrotaniem:

– Louis Anglesey, hrabia Upnor, włada szpadą jak prawdziwy demon, prawda? Kto by pomyślał, że ma dopiero czternaście lat! A wszystko dzięki temu, że on, Monmouth i reszta spędzili czas bezkrólewia w Paryżu i uczyli się fechtunku w akademii *monsieur* du Plessisa, nieopodal Palais Cardinal. Zapoznali się tam z bardzo francuską koncepcją honoru i po powrocie nie zdążyli przywyknąć do angielskich realiów. Pod byle pretekstem, prawdziwym lub wymagowanym, są gotowi wyzwać człowieka na pojedynek. Ależ panie Waterhouse, proszę się tak nie turbować. Proszę nie zapominać, że jeżeli przeciwnik lorda Upnor zostanie odnaleziony, i faktycznie będzie martwy, przyczyną zgonu zaś okażą się odniesione obrażenia, a przy tym zostanie dowiedzione, że rany te rzeczywiście zadał mu lord Upnor, w dodatku nie w pojedynku *per se*, lecz w niesprowokowanym akcie przemocy, oraz pod warunkiem, że uda się przekonać przysięgłych, żeby przymknęli oko na uchybienia, jakich się pan dopuścił – krótko mówiąc, jeśli lord Upnor zostanie osądzony za to hipotetyczne morderstwo – nie będzie pan miał najmniejszych powodów do zmartwień! Przecież, jeżeli jest winny, nie będzie mógł zarzucić panu, że zniesławia go pan swoim osądzeniem, prawda? I wszystko się ułoży, panie Waterhouse. Chociaż, przyznaję, niektórzy jego przyjaciele mogą być na pana zagniewani... Nie, nie, panie Waterhouse, proszę mnie źle nie zrozumieć, ja nie jestem pańskim wrogiem. Niech pan nie zapomina, że wywodzę się ze Złotych Comstocków, nie ze Srebrnych.

Roger już nie pierwszy raz powiedział coś podobnego. Daniel zdawał sobie sprawę, że więzy krwi w groteskowo rozrośniętym rodzie Comstocków są niewiarygodnie skomplikowane. Przodkowie Rogera występowali w epizodycznych rólkach na królewskim dworze już w czasach Ryszarda Lwie Serce. Daniel domyślał się, że podział na Złotych i Srebrnych Comstocków wiąże się z jakąś zadawnioną rodzinną waśnią. Roger dokładał wszelkich starań, by wbić mu do głowy, że poza nazwiskiem nie ma absolutnie nic wspólnego z Johnem Comstockiem, podstarzałym magnatem prochowym i arcyrojalistą, obecnym Lordem Kanclerzem i autorem niedawno opublikowanego *Aktu o Jedności Wiary* – tego samego, który zapełnił dom Drake’a bezrobotnymi ranterami, barkerami, kwakrami *et caetera*.

– Za pozwoleniem... – wtrącił Daniel. – Twoi krewni, Złoci Comstockowie, jak ich nazywasz... Kim właściwie są?

– Słucham?

– Czy to dostojnicy Wysokiego Kościoła?

Daniel miał na myśli anglikanów skupionych wokół arcybiskupa Lauda, którzy zdaniem Drake’a i jemu podobnych niczym nie różnili się od papistów (a trzeba w tym miejscu nadmienić, że Drake uważał papieża za antychrysta we własnej osobie).

– Albo Niskiego?

Tym razem chodziło mu o anglikanów bliższych kalwinistom i podejrzliwych wobec księży w pstrokatych szatkach.

– A może są independentami?

Czyli wiernymi, którzy zerwali wszelkie więzy z oficjalnym Kościołem i zaczęli tworzyć własne kongregacje wedle swojego widzimisie.

Daniel postanowił nie zapędzać się dalej w głąb tego kontinuum, ponieważ było oczywiste, że i tak dalece wykroczył poza granice teologicznej wiedzy Rogera.

Roger rozłożył bezradnie ręce.

– Ze względu na konflikt z gałęzią Srebrnych Comstocków Złoci spędzają ostatnio wiele czasu w Republice Holenderskiej.

Dla Daniela Republika Holenderska składała się głównie z bogobojnych osiedli w rodzaju Lejdy, gdzie pielgrzymi gromadzili się przed rejsem do Massachusetts. Szybko jednak okazało się, że Roger ma na myśli Amsterdam.

– W Amsterdamie jest mnóstwo przeróżnych kościołów. Stoją jeden obok drugiego. Dziwnie to zabrzmi, ale z biegiem lat przejeżdżaliśmy od nich część tej mody.

– Co masz na myśli? Że nauczyłeś się trwać przy swojej wierze, mimo że zewsząd otaczają cię heretycy?

– Niezupełnie. Chodziło mi raczej o to, że mam taki Amsterdam w głowie.

– Że co?!

– W moim umyśle bez przerwy ścierają się różne sekty i dogmaty. To taka religijna wieża Babel, pod którą rozlega się wieczny zgłęb. Już się do tego przyzwyczaiłem.

– I teraz w nic nie wierzysz?!

Dalszą dysputę – o ile zmaganie się z bełkotem Rogera zasługuje na to miano – przerwało przybycie Monmoutha, który wszedł do pokoju niespiesznym krokiem. Był wręcz nieprzyzwoicie rozluźniony i spokojny. Roger Comstock natychmiast się koło niego zakrzętnął: ściągnął mu buty, rozpuścił włosy, pomógł się rozebrać, zabawiając go przy tym opowieścią o pościgu za purytańskim mordercą, który uciekając przez Backs, salwował się w końcu skokiem w nurt Camu. Im dłużej książkę przysłuchiwał się tej historii, tym bardziej mu się podobała i tym łaskawiej spoglądał na Rogera Comstocka. A że Comstock tu i ówdzie życzliwie napomknął o Waterhousie, Daniel poczuł, że należą do jednej wesołej kompanii. Raz czy drugi Monmouth zaszczylił go nawet porozumiewawczym mrugnięciem.

W końcu zjawił się Jeffreys w świeżo wyczesanej peruce, oblamowanej futrem pelerynie, kamizelce z fioletowego jedwabiu i frędzlastych bryczesach. U boku miał rapier z ozdobioną rubinem rękojeścią, a na nogach fantazyjne buty, których cholewki wywinał tak nisko, że prawie ocierały się o ziemię. Dzięki temu wyglądał na dwakroć starszego i dziesięć razy majątniejszego od Waterhouse'a, chociaż był o rok młodszy i – zapewne – bez grosza przy duszy. Z potykającym się Danielem i wesołkowatym Comstockiem, któremu nic nie było w

stanie popsuć dobrego humoru, zeszli na parter, zatrzymawszy się po drodze, aby rozważyć absolutną niemożliwość dostrzeżenia ze schodów podwórza. Przemierzyli trawnik kolegium i przez bramę wyszli na ulicę Cambridge, gdzie wypełnione deszczówką koleiny, odbijające poranny brzask, wyglądały jak apatyczne, fosforyzujące węże.

W kilka minut dotarli do domu sędziego pokoju, tam zaś poinformowano ich, że gospodarz jest w kościele. Jeffreys zaprowadził ich zatem do karczmy, gdzie wkrótce otoczył go tłum dziewczyn. Kazał przynieść jedzenie i picie. Daniel usiadł i patrzył, jak wgryza się w olbrzymi, krwisty udziec wołowy, zapijając go dwiema półkwatrkami piwa i czterema szklaneczkami irlandzkiego napoju znanego pod nazwą „usquebaugh”. Alkohol zdawał się nie mieć na niego żadnego wpływu, Jeffreys należał bowiem do tych ludzi, którzy mogą upić się całkiem niepostrzeżenie, tylko stopniowo stają się coraz cichsi i spokojniejsi.

Dziewczyny bez reszty pochłaniały uwagę Jeffreysa, Daniel zaś siedział i się bał. Nie był to jakiś abstrakcyjny lęk, który – jak uczciwie twierdził – odczuwał, słuchając kaznodziejów straszących go ogniem piekielnym, lecz najprawdziwsze fizyczne doświadczenie, smak grozy w ustach i przeświadczenie, że w każdej chwili może z niewiadomego kierunku uderzyć ostrze z francuskiej stali, które przeszyje jego wnętrzności i zapoczątkuje powolny proces wykrwawiania się lub gnicia. Po co w przeciwnym razie Jeffreys zabierałby go do takiej spelunki? Ta nora idealnie nadawała się na scenę morderstwa.

Tylko wdając się w dyskusję z Rogerem Comstockiem, mógł oderwać się od tych ponurych myśli, Roger zaś usilnie (choć całkowicie bez sensu) starał się mu przypodobać. Udało mu się jeszcze raz skierować rozmowę na Johna Comstocka, z którym – o czym nie przestawał Daniela gorąco zapewniać – absolutnie nic go nie łączyło. Twierdził, że z dobrego źródła wie, iż proch wytwarzany w fabrykach Johna Comstocka jest bardzo zanieczyszczony piaskiem, w związku z czym albo w ogóle się nie zapala, albo od razu rozsadza lufy dział. Nie licząc garstki żyjących złudzeniami purytanów, wszyscy już wiedzieli, że pierwszy król Karol poniósł klęskę nie dlatego, że Cromwell był takim genialnym dowódcą, lecz właśnie z winy nędznego prochu, w jaki Comstock zaopatrzył Kawalerów. Śmiertelnie przerażony Daniel nie miał szans zrozumieć genealogicznych zawłości, które pozwalały odróżnić Comstocków Srebrnych od Złotych. Pocieszał się jednak faktem, że Roger najwyraźniej chce się z nim zaprzyjaźnić, desperacko zapewnia go o swojej życzliwości i w istocie jest najlepszym kompanem, jakiego można sobie wymarzyć, jeśli wybaczy mu się, że przez pewną część nocy był pochłonięty topieniem ofiary morderstwa w rzece.

Dźwięk kościelnych dzwonów oznajmił, że sędzia pokoju najprawdopodobniej spożył już swój poranny posiłek złożony z chleba i wina, ale Jeffreysowi, który na dobre rozgościł się w gospodzie, donikąd się nie spieszyło. Czasem spoglądał Danielowi w oczy, jakby prowokował go do wyjścia, ale Daniel również nie wyrywał się na spotkanie z sędzią. Rozpaczliwie szukał wymówki, która pozwoliłaby mu nic nie robić.

W końcu wymyślił coś takiego: Upnor i tak zostanie osądzony – raz na zawsze – za pięć lat, kiedy Jezus wróci na ziemię. Po co zatem kłopotać doczesną władzę i zaprzętać jej głowę wydawaniem sądu w jego sprawie? Gdyby Anglia nadal była krajem świętym, tak jak jeszcze niedawno, proces Louisa Angleseya, hrabiego Upnor, byłby znakomitym pokazem jej siły i autorytetu. Jednakże król wrócił na tron, Anglia stała się drugim Babilonem, Waterhouse i zabity w nocy purytanin byli obcymi w obcym kraju, niczym pierwsi chrześcijanie w pogańskim Rzymie, i Daniel tylko niepotrzebnie zbrukałby sobie ręce, grzęznąc w niekończących się sporach prawniczych. Lepiej było się do tego nie mieszać i spokojnie czekać na rok tysiąc sześćset sześćdziesiąty szósty.

Skończyło się więc na tym, że nie niepokojąc sędziego pokoju, wrócili do Kolegium Niepodzielnej Trójcy Świętej. Zaczęło padać i zanim dotarli na miejsce, deszcz zmył krew z trawy.

\* \* \*

Zwłoki znaleziono dwa dni później: zaplątały się w trzciny pół mili w dół rzeki od kolegium. Zabity był profesorem, wykładowcą hebrajskiego i aramejskiego, i dalekim znajomym Drake'a. Jego przyjaciele szukali świadków, ale nikt nic nie widział.

Hałaśliwe nabożeństwo żałobne odprawiono w prymitywnym kościele, mieszczącym się w stodole pięć mil od Cambridge. Dokładnie pięć mil od Cambridge. *Akt o Jedności Wiary* stwierdzał bowiem, że independenci nie mogą gromadzić się w świątyniach odległych o mniej niż pięć mil od anglikańskiego kościoła parafialnego. Nic więc dziwnego, że purytanie zaczęli nagle masowo kupować kompasy i interesować się mapami. Wiele pustych skrawków ziemi zmieniło właściciela. Drake pojawił się na pogrzebie w towarzystwie starszych przyrodnych braci Daniela – Raleigha i Sterlinga. Odśpiewano hymny i wygłoszono homilie dla potwierdzenia faktu, że zmarłego czeka po śmierci wieczna nagroda. Daniel modlił się – i to całkiem głośno – o wyzwolenie z legowiska żmij, jakim było Kolegium Trójcy Świętej.

A potem, rzecz jasna, musiał wysłuchać dobrych rad starszych. Ojciec pierwszy wziął go na stronę.

Sam Drake dawno już oswoił się z brakiem nosa i uszu, ale za każdym razem, gdy choć na chwilę zwracał twarz w kierunku Daniela, ten natychmiast uświadamiał sobie, że jego przeżycia na uniwersytecie nie są wcale takie straszne. Dlatego też nie mógł się skupić na słowach ojca. Drake mówił coś o tym, jak poważną pokusą dla młodego człowieka jest znajdowanie we własnym łóżku opłaconych dziwek (co noc innej), ale twierdził też, że nie ma nic przeciwko temu. Porównywał tę pokusę do wystawiania stóp delikwenta na działanie ognia piekielnego, aby przekonać się, z jakiej naprawdę gliny jest ulepiony.

Nie powiedział tego wprost, ale było oczywiste, że jego zdaniem syn zda ten egzamin śpiewająco. Daniel zaś nie odważył mu się przyznać, że już go oblał.

Następnie Raleigh ze Sterlingiem zabrali go do wyjątkowo prowincjonalnej piwiarni, znajdującej się po drodze do miasta, i zaczęli mu tłumaczyć, że musi być niebywałym matolkiem i niewdzięcznikiem, skoro nie docenia stanu błogiej szczęśliwości, w jakim przyszło mu żyć. Drake i jego starsi synowie dorobili się fortuny pomimo prześladowań na tle religijnym (choć chyba słuszniej byłoby stwierdzić, że dorobili się właśnie dzięki tymże). Ich zdaniem jedyny sens studiów w Cambridge polegał na tym, że miało się możliwość obcowania z możnymi tego świata. Kosztem wielu wyrzeczeń, które przy każdej okazji wypominali Danielowi, wysłali go więc na uniwersytet, i jeżeli nawet zdarzało mu się budzić w środku nocy, bo uwalił się na nim nieprzytomny książę Monmouth, znaczyło to, że ich marzenia się spełniły.

Dali mu też do zrozumienia, że nie wierzą w nadejście końca świata w roku tysiąc sześćset sześćdziesiątym szóstym, w związku z czym jego niechęć do pogębienia Upnora nie miała sensu.

Wkrótce potem wszyscy w Trójcy Świętej najwyraźniej zapomnieli o całym wydarzeniu – wszyscy poza Waterhousem i Jeffreysem. Jeffreyś najczęściej całkowicie ignorował Daniela, ale zdarzało mu się czasem usiąść naprzeciwko niego przy kolacji, wpatrywać się weń uporczywie przez cały posiłek, a potem wyjść za nim na dziedziniec i przyznać:

– Nie mogę oderwać od pana wzroku, panie Waterhouse. Fascynuje mnie pan. Jest pan ucieleśnieniem tchórzostwa. Był pan świadkiem morderstwa, a jednak nic pan w tej sprawie nie przedsięwziął. Twarz ma pan czerwoną jak rozpalone żelazo do znakowania bydła. Mam nadzieję, że na trwałe wypali mi się w pamięci, abym na starość mógł ją podziwiać jako coś na kształt platońskiego ideału bojaźliwości.

– Zamierzam zostać specjalistą od prawa. Wie pan, że symbolem sprawiedliwości jest waga? Dwie szale zwieszające się z belki. Na jednej z nich kładziemy obiekt ważony, czyli oskarżonego, na drugiej wzorzec, złoty walec oznaczony stemplem probierczym. Pan, panie Waterhouse, jest dla mnie wzorcem, wedle którego będę oceniał wszystkich innych tchórzy.

– Jakąż to purytańską sofistyką usprawiedliwił pan swoją bierność, panie Waterhouse? Inni wsiedli na statki i pojechali do Massachusetts, żeby uwolnić się od nas, grzeszników, i wieść cnotliwe życie. Sądzę, że jest pan do nich podobny, ale rejs przez Atlantyk to nie wycieczka na piknik, więc stchórzył pan i został w Anglii. Za to w myślach uciekł pan do takiego swojego małego Massachusetts. Ciało zostawił pan tutaj, w Trójcy Świętej, a duchem umknął do jakiejś wymyślonej Plymouth Rock. Kiedy siedzimy przy stole, wyobraża pan sobie, że znajduje się w wigwamie, gryzie indyjskie udka, żuje indiańską kukurydzę i wdzięczy się do jakiejś czerwonoskórej dziewczki.

\* \* \*

Właśnie z takich powodów Daniel dużo czasu spędzał na spacerach po parkach i ogrodach Cambridge, gdzie, o ile starannie wybrał marszrutę, mógł przez bity kwadrans nie natknąć się ani na pijanego do nieprzytomności słuchacza, ani (w cieplejsze dni) na Monmoutha lub któregoś z jego totumfackich, kopulujących z prostytutkami *al fresco*. Kilkakrotnie zdarzyło mu się dostrzec na Backs innego samotnego spacerowicza. Nie znał go, ale odkąd nabrał nawyku rozglądania się za nim, zaczął go coraz częściej zauważać, stale obecnego na obrzeżach uniwersyteckiego życia. Nieznajomy był biednym sizarem, nic nie znaczącym prowincjuszem, który miał nadzieję wyrwać się ze swojego pośledniego stanu przez przyjęcie święceń i marzył o probostwie w jakiejś chłostanej huraganowymi wiatrami parafii na krańcu świata. Razem z innymi sizarami (także z Rogerem Comstockiem) przychodził do jadalni, żeby pożywić się resztkami posiłku i sprzątnąć ze stołów, kiedy przedstawiciele klas wyższych – ci z fundowanym czesnym (tacy jak Daniel) oraz sami opłacający swoje studia (czyli na przykład Monmouth i Upnor) – skończyli jeść.

Niczym dwie komety, które w bezkresnej pustce niewyjaśniona siła ściąga ku sobie, tak oni dwaj przyciągali się wzajemnie wśród parków i mokradeł. Ponieważ obaj byli raczej nieśmiali, z początku podczas przechadzek obierali raczej równoległe trajektorie, z czasem jednak ich drogi zbiegły się i skrzyżowały. Isaac był blady jak światło gwiazd i tak wątpy, że kiedy był dzieckiem, nikt by nie wierzył, że dożyje wieku, jakiego już dożył. Miał wyjątkowo jasne włosy, dodatkowo poprzetykane pierwszymi pasemkami siwizny, lekko wytrzeszczone, prawie bezbarwne oczy i ostro zarysowany nos. Odnosiło się wrażenie, że w jego głowie sporo się dzieje, ale Isaac nie ma najmniejszej ochoty dzielić się swoimi przemyśleniami z otoczeniem. Ponieważ jednak był – podobnie jak Daniel – wyobcowanym purytaninem, który w skrytości ducha żywił zainteresowanie filozofią naturalną, koniec końców los musiał ich zbliżyć.

Zorganizowali zamianę pokojów. Pewien syn kupca chętnie przeniósł się do lokum Daniela, dostrzegając w przeprowadzce szansę awansu społecznego. W Kolegium Niepodzielnej Trójcy Świętej z mniejszą surowością niż gdzie indziej przestrzegano zasad segregacji klasowej, toteż Isaac i Daniel mogli bez przeszkód zamieszkać razem. Przypadł im w udziale maleńki pokoik z oknem wychodzącym na miasto, co dla Daniela stanowiło ogromną zaletę, gdyż widok uniwersyteckiego dziedzińca wciąż budził w nim przykre, krwawe wspomnienia. W czasie wojny domowej kolegium zostało ostrzelane z muszkietów i kule, które wpadły przez okno do środka, wyryły głębokie – i wciąż widoczne – ślady na suficie.

Okazało się, że Newton pochodzi z rodziny całkiem zamożnej – przynajmniej jak na standardy Lincolnshire. Jego ojciec zmarł, zanim mały Isaac przyszedł na świat, i zostawił po sobie niezgorszy spadek, jak każdy gospodarujący na swoim włościanin. Niedługo potem matka wyszła za mąż za średnio zamożnego duchownego. Sądząc ze słów Isaaca, nie była nadopiekuńczą rodzicielką, bo wkrótce wysłała syna do szkoły w miasteczku Grantham.

Biorąc pod uwagę schedę z pierwszego małżeństwa i dochody z drugiego, mogła później bez wysiłku zafundować mu edukację w Cambridge, ale, czy to ze skąpstwa, czy z wrodzonej złośliwości, czy też wreszcie z niechęci do wszelkiego wykształcenia, przeznaczyła mu na uniwersytecie rolę sizara, co znaczyło, że Isaac musiał czyścić buty i podawać do stołu lepiej sytuowanym studentom. Kochana mamusia, nie mogąc upokarzać syna na odległość, zadbała o to, żeby inni ludzie – mniejsza o to, którzy konkretnie – ją w tym wyręczali. Daniel czuł się w tej sytuacji raczej nieswojo, zwłaszcza że młody Newton był od niego wyraźnie bystrzejszy. Zasugerował więc, aby połączyli siły i zasoby, i żyli jak równi.

Ku jego zdziwieniu Isaac odrzucił tę propozycję i bez słowa skargi kontynuował wypełnianie obowiązków sizara. Jego los i tak ogromnie się poprawił. Spędzali całe dnie w mikroskopijnym pokoiku i zużywali funty świec i kwarty atramentu, przegryzając się – każdy na własną rękę – przez Arystotelesa. Obaj marzyli o takim życiu.

Ale Daniel dziwnie czuł się z tym, że codziennie rano Isaac pomaga mu się ubrać, a potem poświęca co najmniej kwadrans na utrefienie mu włosów. Pół wieku później bez fałszywej skromności mógł przyznać, że za młodu był przystojnym człowiekiem; włosy miał gęste i długie, Isaac zaś odkrył, że jeśli zaczesze je w odpowiedni sposób, to uformuje mu nad czołem naturalną falę, i co rano nie spoczął, póki nie uzyskał tego efektu. Daniel bez protestów poddawał się tym zabiegom. Młody Isaac już wtedy sprawiał wrażenie człowieka, który może być niebezpieczny, jeśli poczuje się urażony; Waterhouse instynktownie wyczuwał, że Newton nie byłby zachwycony jego odmową.

I tak to szło, aż do pewnych Zielonych Świątek, kiedy Daniel obudził się i stwierdził, że Isaac zniknął. Daniel położył się dobrze po północy, Isaac zaś swoim zwyczajem zasiedział się jeszcze dłużej. Ze świec zostały małeńkie ogarki. Początkowo przypuszczał, że Newton poszedł wylać zawartość nocnika, ale nie mogąc się doczekać jego powrotu, wstał, przejrzał papiery na biurku i znalazł wśród nich kartkę z narysowanym przez Isaaca wyjątkowo udatnym portretem śpiącego młodego człowieka o anielskiej urodzie – tak anielskiej, że trudno było w pierwszej chwili stwierdzić, czy to chłopiec, czy dziewczyna. Dopiero przeniósłszy rysunek bliżej okna, do światła, Daniel zauważył pewien szczegół, detal we włosach, nad czołem, który zadziałał jak kryptologiczny klucz i pozwolił mu odszyfrować wiadomość. Nagle rozpoznał na rysunku siebie – nie prawdziwego, ale wyidealizowanego, oczyszczonego, udoskonalonego, niczym w jakimś alchemicznym procesie rafinacji: po zebraniu kożucha i wygarnięciu żużla został tylko świetlisty duch, błyszczący jak rtęć filozoficzna. Tak mógłby wyglądać Daniel Waterhouse, gdyby poszedł do sędziego pokoju, oskarżył Upnora, stanął przed sądem i zginął chrystusową śmiercią.

W końcu znalazł Isaaca w kaplicy – skulonego, na klęczkach, cierpiącego i modlącego się rozpaczliwie o zbawienie swojej nieśmiertelnej duszy. Nie mógł mu nie współczuć, chociaż zbyt mało wiedział o grzechu i o samym Isaacu, żeby domyślić się, za co jego przyjaciel tak się korzy. Usiadł więc w pobliżu i pomodlił się trochę we własnej intencji. Bój i strach z

wolna się rozplywały, kaplica powoli zapełniała się wiernymi, zaczęło się nabożeństwo. Wyjęli modlitewniki i otworzyli je na stronie poświęconej Zielonym Świątkom.

Kapłan zaintonował:

– Czego wymaga się od tych, którzy przychodzą na Wieczere Pańską?

Odpowiedzieli:

– Szczerego żalu za grzechy i mocnego postanowienia poprawy.

Kiedy Daniel spoglądał na recytującego te słowa Isaaca, widział malujący się na jego twarzy ów ferwor, który rozświetlał okaleczone rysy Drake'a, gdy ten do czegoś się zapalał. Obaj przyjęli komunię. „Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata”.

Daniel śledził przemianę Isaaca z udreżonego wraku człowieka, który dosłownie wił się z bólu, jaki cierpiała jego dusza, w świetlistego, oczyszczonego świętego. Wyraziwszy szczery żal za grzechy (i powziąwszy mocne postanowienie poprawy), wrócili do swojego pokoju. Isaac cisnął rysunek w ogień, otworzył notatnik i zasiadł do pisania. Pierwszą czystą stroną zatytułował *Grzechy popełnione przed Zielonymi Świątkami roku 1662*, pod spodem zaś wypisał wszystkie swoje złe uczynki, jakie pamiętał od czasów dzieciństwa: życzenie śmierci ojczymowi, pobicie jakiegoś chłopca w szkole i tak dalej. Pisał przez cały dzień i znaczną część nocy, a kiedy zasób grzechów się wyczerpał, napisał u góry następnej kartki *Po Zielonych Świątkach 1662*. Stronicę na razie zostawił niezapisaną.

Daniel tymczasem wrócił do swojego Euklidesa. Jeffreys niezmordowanie przypominał mu, że nie nadaje się na świętego męża; wydawało mu się, że w ten sposób szczególnie dręczy Waterhouse'a-purytanina. Daniel jednak nigdy nie pragnął być duchownym i rozważał tę możliwość czysto teoretycznie, wiedząc, że w ten sposób sprawiłby przyjemność ojcu. Odkąd poznał Wilkinsa, nie marzył jednak o niczym innym, jak tylko o zostaniu naturalistą. Kiedy nie przeszedł próby moralności, ta droga stanęła przed nim otworem, chociaż przypłacił to srogą odrazą wobec własnej słabości. Jeśli nawet filozofia naturalna miała go poprowadzić wprost ku wiecznemu potępieniu, i tak nie mógł nic na to poradzić – Drake, jako zwolennik predestynacji, pierwszy przyklasnąłby takiemu argumentowi. Na razie całe lata lub nawet dziesięciolecia mogły dzielić Zielone Świątki roku tysiąc sześćset sześćdziesiątego drugiego od dnia, w którym Daniel Waterhouse stanie u bram piekła – dlaczego więc nie miałby wypełnić tego czasu czymś, co go przynajmniej interesowało?

Miesiąc później, korzystając z chwilowej nieobecności Isaaca, otworzył jego notatnik na stronie zatytułowanej *Po Zielonych Świątkach 1662*. Nadal była pusta.

Po dwóch miesiącach zajrzał tam znowu. Wciąż nic.

Początkowo przypuszczał, że Isaac albo zapomniał o swoim postanowieniu, albo z dnia na dzień przestał grzeszyć. Dopiero wiele lat później zrozumiał, że jego domysły były mylne. Isaac Newton uznał się za osobę niezdolną do popełnienia grzechu.

Dla każdego człowieka byłaby to okrutna krytyka, zwłaszcza w świetle ewangelicznego „Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni”. Kiedy jednak miało się do czynienia z takim



człowiekiem jak Isaac Newton, najsurowszym i najbardziej bezwzględnym sędzią, jakiego świat widział, samemu trzeba było wydawać sądy szybko i precyzyjnie.

## **Boston, Kolonia Zatoki Massachusetts**

### **12 października 1713**

*(...) inni*

*Siedli na wzgórzu w pewnym oddaleniu*

*I myśli wzniosie wymieniając, wiedli*

*Dyskurs wysoki o Losie, o woli,*

*O Opatrzności i przewidywaniu*

Milton, *Raj utracony*<sup>8</sup>

Niczym przykładowy kartezjanin, który wszystkie odległości odmierza od stałego punktu odniesienia, Daniel Waterhouse, rozmyślając o powrocie do Anglii, nie przestaje jednym okiem zerkać – przez szparę w półprzymkniętych drzwiach – na swojego syna, Godfreya Williama, który jest dla niego jak palik mierniczy, po wielu latach tułaczki na wieki wbity w ziemię. Można by mu zarzucić, że ulokował go w przypadkowo wybranym miejscu na pozbawionej wszelkich punktów orientacyjnych płaszczyźnie, ale nie zmienia to faktu, że mały Godfrey jest teraz dla niego punktem wyjścia do wszelkich rozważań. Sir Isaac powiedziałby pewnie, że otacza nas coś na kształt wiecznotrwałego cudu, że planety krążą po swoich orbitach, a atomy tkwią na swoich miejscach podtrzymywane immanentną wolą boską. Patrząc na syna, Daniel nie mógłby się z nim nie zgodzić. Chłopak jest jak zwinięta sprężyna, mieści w sobie potencjał całych pokoleń amerykańskich Waterhouse'ów – a przecież równie dobrze może się rozchorować i jutro już nie żyć.

W przeciętnym bostońskim domu małym Godfreyem opiekowałyby się niewolnica, a jego rodzice mogliby spokojnie zabawiać gościa rozmową. Daniel Waterhouse jednak nie ma niewolników, i to z kilku powodów, przy czym niektóre z nich można by nawet nazwać altruistycznymi. Dlatego też Godfrey nie siedzi na kolanach jakiejś Murzynki z Angoli, lecz sąsiadki Waterhouse'ów, stukniętej, ale zgoła nieszkodliwej pani Goose, która przychodzi do nich czasem, by zająć się jedyną rzeczą, jaką potrafi: zabawianiem dzieci mnóstwem bzdurnych opowieści i marnych rymowanek, które gdzieś zasłyszała lub wymyśliła. Enoch udał się do portu, żeby dobić targu z kapitanem van Hoekiem z *Minerwy*, dzięki czemu

---

<sup>8</sup> Cytaty z „Raju utraconego” w przekładzie M. Słomczyńskiego (przyp. tłum.).

Daniel, Faith i młody wielebny Wait Still Waterhouse<sup>9</sup> mogą się swobodnie naradzić, jak należałoby zareagować na niespodziewane zaproszenie księżniczki Karoliny z Ansbach. Pada wiele słów, mają jednak na Daniela podobnie nikły wpływ, jak idiotyczne gawędy pani Goose o sztuccach przeskakujących przez ciała niebieskie i wiedźmach zamieszkujących porzucone buty.

Wait Still Waterhouse mówi mniej więcej coś takiego:

– Zgoda, masz sześćdziesiąt siedem lat, ale jesteś zdrowy jak koń. Przecież wielu ludzi dożywa późnej starości.

– Jeżeli będziesz unikał tłumów, dużo spał i dobrze się odżywiał... – wtrąca Faith.

– Most londyński wali się, wali się, wali się... – śpiewa pani Goose.

– Nigdy dotąd nie odniosłem tak silnego wrażenia, że mam w głowie gąszcz trybików i przekładni – mówi Daniel. – Już jakiś czas temu podjąłem decyzję.

– Ale przecież każdy może zmienić zdanie... – zauważa wielebny.

– Czyżbyś był zwolennikiem koncepcji wolnej woli? – dziwi się Daniel. – Przyznam, że to szokujące u Waterhouse'a. Czego oni dziś uczą w tym Harvardzie? Nie wiesz, że założyciele tej kolonii uciekali do Ameryki przed wyznawcami teorii wolnej woli?

– Wątpię, żeby kwestia wolnej woli miała naprawdę coś wspólnego z powstaniem kolonii. Chodziło raczej o bunt wobec Kościoła jako instytucji, czy to w wydaniu papistów, czy anglikanów. Prawdą jest, że wielu independentów – wśród nich John Waterhouse, nasz przodek – przyswoiło sobie w Genewie doktrynę kalwinistów i wyszydzało tak cenioną przez papistów i anglikanów koncepcję wolnej woli. Ów fakt nie wystarczyłby jednak, żeby pchnąć ich na tułaczkę.

– Ja przyswoiłem ją sobie nie od Kalwina, tylko od naturalistów – zauważa Daniel. – Moim zdaniem umysł jest mechanizmem, maszyną logiczną.

– Taką samą jak ta, którą budujesz po drugiej stronie rzeki?

– Znacznie bardziej wydajną. Na szczęście.

– Czy sądzisz, że udoskonalisz ją na tyle, żeby mogła mierzyć się z ludzkim umysłem? Żeby miała duszę?

– Mówiąc o duszy, masz na myśli twór, który przerasta wszystkie zębaki i dźwignie, całą tę martwą materię, z której zbudowana jest moja maszyna logiczna albo ludzki mózg. Ja w niego nie wierzę.

– Dlaczego?

Jak to zwykle bywa z prostymi pytaniami, także na to Daniel nie potrafi dać łatwej odpowiedzi.

– Dlaczego? Chyba dlatego że kojarzy mi się z alchemią. Dusza, ten dodatek do mózgu, przypomina mi kwintesencję, której od wieków poszukują alchemicy: tajemniczy, nadnaturalny pierwiastek, który ma ponoć przenikać cały wszechświat. Szukają jej i szukają,

---

<sup>9</sup> Syn Praise-Goda., syn Raleigha W., syna Drake'a - czyli, w pewnym sensie, bratanek Daniela.

ale jakoś nie mogą znaleźć. Sir Isaac Newton strawił życie na jej poszukiwaniach i niczego nie osiągnął.

– Skoro tak stawiasz sprawę, nie będę próbował cię przekabacić – uznaje Wait Still. – Przynajmniej nie w kwestiach, gdzie w grę wchodzi wolna wola i predestynacja. Wiem jednak, że w dzieciństwie miałaś zaszczyt obracać się w towarzystwie Johna Wilkinsa, Gregory’ego Bolstrooda, Drake’a Waterhouse’a i innych sympatyków independentów, a więc wśród ludzi, którzy głosili wolność sumienia; którzy przedkładali Kościoły tworzone oddolnie nad te ustanowione prawem; którzy w małych kongregacjach widzieli przyszłość religii; którzy żądali odrzucenia głównych dogmatów wiary.

Daniel wciąż nie wierzy własnym uszom.

– To prawda... – mówi.

– Dlaczego zatem ja nie miałbym głosić zasady wolnej woli moim owieczkom? – pyta triumfalnie Wait Still.

Daniel wybucha śmiechem.

– Biorąc zaś pod uwagę, że jesteś nie tylko elokwentny, ale także młody, przystojny i charyzmatyczny, mógłbyś wiele z nich nawrócić na swoją wiarę. W tym, jak miemam, także moją żonę?

Faith się czerwieni, wstaje i odwraca, żeby ukryć rumieniec. Coś srebrnego w jej włosach odbija blask świecy: to spinka w kształcie kaduceusza. Tłumaczy, że musi zajrzeć do małego Godfrefa, chociaż pani Goose bynajmniej nie potrzebuje pomocy.

Można by pomyśleć, że w takiej miejscinie jak Boston nie sposób spokojnie porozmawiać, nie narażając się na podsłuchanie. Ba, mieszkańcy sami tak organizują sobie życie: listy dostarcza się na przykład nie do domów, lecz do najbliższej gospody, gdzie kilka dni czekają na adresata, a w wypadku nieodebrania są publicznie otwierane i karczmarz odczytuje je zebranych akurat słuchaczom. Daniel zakładał więc, że pani Goose będzie pilnie strzyc uszami podczas całej ich rozmowy. Ona jednak jest bez reszty pochłonięta swoją pracą, tak jakby opowiadanie dziecku bajek było stokroć ważniejsze od diabelnie poważnej decyzji, z którą Daniel zмага się niemal pod sam koniec swojego długiego życia.

– To nic złego, kochanie – mówi do tylnych partii stanika Faith. – Dorastałem u boku człowieka żywiącego przekonanie o predestynacji i wołałbym, doprawdy, żeby mojego syna wychowała kobieta, która wierzy w ludzką wolną wolę.

Mimo to Faith wychodzi z pokoju.

– No dobrze... – odzywa się Wait Still. – Naprawdę uważasz, że Bóg przeznaczył ci ten rejs do Anglii?

– Nie. Nie jestem kalwinistą. No, widzę, że zbiłem cię z tropu, wielebny. Za dużo czasu poświęciłeś w Harvardzie na czytanie starych ksiąg o Kalwinie, Laudzie i im podobnych, i nadal pochłania cię spór arminianów z purytanami.

– A co powinienem był czytać, doktorze? – pyta Wait Still z nieco udawaną swobodą.

– Galileusza, Kartezjusza, Huygensa, Newtona, Leibniza.

– To program twojego Instytutu Sztuk Technicznych?

– Owszem.

– Nie wiedziałem, że interesujesz się teologią.

– Cios poniżej pasa... Nie, nie, nic nie szkodzi. Podobasz mi się. Masz charakter. Jestem przekonany, że koniec końców to ty wychowasz mojego syna.

Daniel nie ma na myśli żadnych seksualnych podtekstów – widział wielebnego raczej jako przyszywanego wuja Godfreya – ale sądząc po rumieńcu na policzkach Waita Stilla, bardziej prawdopodobna będzie rola ojczyma.

To doskonała okazja, żeby zmienić temat i skierować rozmowę na rzeczy bardziej abstrakcyjne i techniczne.

– Wszystko można wywieść z aksjomatów, wszystko można zmierzyć i wszystkim rządzi prawa fizyki. Naszymi umysłami również. Mój mózg, który odpowiada za podjęcie decyzji, porusza się już ustalonym kursem, jak kula tocząca się w rynnie.

– Ależ wuju! Nie zaprzeczysz chyba istnieniu duszy... Ducha Najwyższego!

Daniel milczy.

– Newton i Leibniz nie zgodziliby się z tobą – ciągnie Wait Still.

– Boją się ze mną zgodzić, ponieważ są poważnymi ludźmi i zostaliby zniszczeni, gdyby powiedzieli głośno, co myślą. Nikomu zaś nie przyjdzie do głowy niszczyć mnie.

– Czy nasze argumenty mogą mieć wpływ na działanie maszyny twojego umysłu? – pyta Faith, która wróciła tymczasem do pokoju i stoi w drzwiach.

Daniel ma ochotę odpowiedzieć, że nawet najcelniejsze argumenty Waita Stilla będą miały na niego równie nikły wpływ, jak smarki z nosa, wysiłekane prosto w kadłub rozpędzonego liniowca, na pęd tegoż, ale nie widzi powodów do takiej uszczypliwości. Chodzi przecież o to, żeby ci, którzy zostaną w Nowym Świecie, zapamiętali go jak najlepiej – zgodnie z teorią, że kiedy słońce wschodzi nad wschodnim rąbkiem Ameryki, nawet najmniejsze przedmioty rzucają na zachód długie cienie.

– Przyszłość jest równie ustalona jak przeszłość – odpowiada. – I sprowadza się do tego, że za godzinę wejdę na pokład *Minerwy*. Możecie próbować mnie przekonać, że powinienem zostać w Bostonie i zająć się wychowaniem syna. Wiercie mi, niczego bardziej nie pragnę. Gdyby Bóg był mi łaskawy, z przyjemnością patrzyłbym do końca swoich dni, jak Godfrey dorasta. Miałby ojca z krwi i kości, obarczonego wieloma oczywistymi wadami i słabościami. Przez jakiś czas darzyłby mnie bezgranicznym szacunkiem, jakim wszyscy mali chłopcy darzą swoich ojców, ale nie trwałoby to długo. Jeśli jednak wsiądę na *Minerwę*, to zamiast ojca z krwi i kości, obiektu konkretnego i namacalnego, zostanie mu ojciec wyimaginowany, czyli nieskończenie plastyczny twór umysłu. Ja oczyma wyobraźni będę oglądał przyszłe pokolenia Waterhouse'ów, a dla Godfreya pozostanę ojcem-bohaterem, jakim naprawdę nigdy nie mógłbym się stać.

Wait Still Waterhouse, człowiek inteligentny i przyzwoity, widzi tyle luk w jego rozumowaniu, że ich mnogość odbiera mu głos. Faith, która jest lepszą matką niż żoną i ma lepszego syna niż męża, skinieniem głowy kwituje cały ten bezmiar kompromisów. Daniel zabiera syna z kolan pani Goose, Enoch przyprawdza wynajęty powóz i razem jadą do portu.

\* \* \*

*Potem ujrzałem w moim śnie, jak ów mąż zaczął biec. Nie oddalił się jeszcze bardzo od drzwi swego domu, gdy żona jego i dzieci zobaczywszy to, zaczęły wołać za nim, wzywając go do powrotu. Mąż ów jednak zatkał swe uszy palcami i uciekał wołając: „Żywot, żywot wieczny!” i nie oglądał się, lecz biegł ku środkowi równiny.*

John Bunyan, *Wędrowka Pielgrzyma*<sup>10</sup>

Minerwa podniosła już kotwicę. Chce wykorzystać falę przyływu, aby maksymalnie zwiększyć odległość między swoją stępką i przeszkodami zalegającymi wejście do portu. Daniel ma podpłynąć do niej szalupą używaną przez pilotów. Zaspany Godfrey posłusznie całuje tatusia. Całą scenę pożegnania rejestruje jak we śnie. I bardzo dobrze: później będzie mógł modyfikować to wspomnienie zgodnie ze swoimi zmieniającymi się potrzebami, jak ubranie, które co pół roku przerabia się, żeby pasowało na rosnącego młodziana. Patrząc na stojącego obok Faith Waita Stilla, Daniel mimo woli dochodzi do wniosku, że tworzą uroczą parę. Enoch, niszczyciel rodzin, stoi samotnie na końcu pirsu. W blasku księżyca w pełni jego srebrzyste włosy lśnią jak biały płomień.

Tuzin niewolników pociąga z mocą wiosłami. Daniel musi usiąść, jeśli nie chce, żeby szalupa wystrzeliła mu spod stóp i zostawiła go miotającego się na płyciźnie. Właściwie udaje mu się nie tyle usiąść, co szczęśliwie upaść na dno łodzi. Z brzegu wygląda to zapewne komicznie, lecz Daniel zdaje sobie sprawę, że incydent zostanie wymazany z historii rodu, jaką amerykańscy Waterhouse'owie będą sobie przekazywać z pokolenia na pokolenie. Rodzinna kronika znajduje się zresztą we właściwych rękach: pani Goose patrzy i wszystko zapamiętuje, a ma przecież niezwykły dryg do takich spraw. Enoch zaś zostaje w Bostonie nie tylko po to, żeby opiekować się pozostałościami Instytutu Sztuk Technicznych Kolonii Zatoki Massachusetts, lecz także po to, by śledzić losy historii i pilnować, żeby kształtowano ją i opowiadano w sposób dla Daniela najkorzystniejszy.

Daniel płacze.

Początkowo szloch zagłusza inne dźwięki, ale w pewnym momencie do uszu Daniela dociera niezwykła, cicha muzyka. To śpiewają niewolnicy. Czyżby piosenka wioślarzy? Raczej nie, bo miałyby mozolny, ciężki rytm, takie „jo-ho-ho”. Tymczasem ta pieśń ma bardzo skomplikowane, trudne do przewidzenia metrum. To chyba melodia afrykańska,

---

<sup>10</sup> Cytaty z „Wędrowki pielgrzyma” w przekładzie J. Prowera (przyp. tłum.).

dźwięki brzmią dziwnie nisko i fałszywie, choć zarazem do złudzenia przypominają irlandzkie piosenki. W Indiach Zachodnich, gdzie ci śpiewacy pierwszy raz poczuli knut na grzbiecie, jest wielu irlandzkich niewolników, co mogłoby wyjaśniać podobieństwo. Pieśń (pomijając wszelkie muzykologiczne dywagacje) jest bezgranicznie smutna. Daniel wie nawet dlaczego: kiedy wsiadł do szalupy i się rozplakał, każdy Afrykanin przypomniał sobie dzień, w którym został wywieziony w kajdanach z Gwinei i wepchnięty pod pokład żaglowca.

Po kilku minutach nabrzeża nikną im z oczu, chociaż nadal ze wszystkich stron otacza ich ląd – maleńkie wysepki, skaliste ostrogi i kościste macki bostońskiego portu. Martwi ludzie na sterczących z wody szubienicach wodzą za szalupą niewidzącymi oczyma. Piratów karze się za to, że napadając statki na morzach i oceanach, łamią przepisy ustanowione przez Admiralicję, której jurysdykcja sięga tylko do znacznika przyływu. Niewzruszona logika prawa wymaga więc, żeby szubienice dla piratów stawiać pośrodku przybrzeżnego pasma pływów. Kodeks stanowi również, że zwłoki morskich rabusiów muszą zostać trzykrotnie obmyte przez fale, zanim można je będzie zdjąć. Naturalnie, zwykła śmierć byłaby dla piratów nadmiarem łaski, toteż wyrok zazwyczaj przewiduje powieszenie ich na szubienicy w żelaznych klatkach, które uniemożliwiają zabranie ciał i chrześcijański pochówek.

Można odnieść wrażenie, że w Nowej Anglii jest co najmniej tyle samo piratów, ilu uczciwych żeglarzy. Ale i w tym względzie – podobnie jak w wielu innych – Opatrzność czuwała nad Massachusetts: w zatoce portowej w Bostonie wprost roi się od omywanych falami przyływu wyseppek, które doskonale nadają się do wieszania morskich rozbójników. Prawie wszystkie zostały zresztą już w tym celu wykorzystane. Za dnia trudno dostrzec klatki ze szczytkami skazańców, tyle się wokół nich uwija wygłodniałych ptaków, ale w nocy ptaszyska wracają do Bostonu i Charlestown gdzie śpią w gniazdach uwitych z pirackich włosów. Teraz jest przyływ, woda przykrywa wystające skały i szubienice sterczą wprost z morskiej toni. I tak oto kiedy śpiewający wioślarze wyprawiają Daniela w – jak przypuszcza – ostatnią w jego życiu podróż, dziesiątki zasuszonych i ogryzionych do kości piratów, zawieszonych pod zalanym księżycową poświatą niebem, odprowadzają go wzrokiem niczym gwardia honorowa.

Dogonienie *Minerwy*, która właśnie mija mielizny przy Spectacle Island, zajmuje im ponad godzinę. Jej beczkowaty kadłub zakrzywia się nad głowami siedzących w szalupie ludzi. Z pokładu opada drabinka sznurowa. Nie jest łatwo po niej wejść: trzeba zmagać się nie tylko z grawitacją, ale i z coraz wyższymi falami, które zakradają się z północnego Atlantyku pod *Minerwę* i ciskają Danielem o poszycie. Jest wściekły, gdy wspinaczka przywodzi mu na myśl wszystkie purytańskie dogmaty, które tak usilnie starał się zapomnieć: drabinka zmienia się w Drabinę Jakubową, łódź pełna spoconych niewolników staje się Ziemią, statek Niebem, marynarze w rozświetlonym księżycem takielunku – aniołami, a kapitan – Drakiem we własnej osobie, który dawno temu dokonał wniebowstąpienia, a teraz pogania go, żeby szybciej gramolił się na górę.

Daniel opuszcza Amerykę, stając się częścią jej wspomnień, drobiną kompostu, z którego Nowy Świat wypuszcza pierwsze zielone pędy. Europa wyciąga po niego ręce: dwóch laskarów o ciałach i oddechach pachnących szafranem, asafetydą i kardamonem przechyla się przez reling, chwytając jego zimne, blade dłonie w swoje – ciemne i gorące – i wciąga go na pokład jak wielką rybę. W tej samej chwili pod kadłubem przewala się długa, leniwa fala i wszyscy trzej padają na deski w orgiastycznym splocie. Laskarzy natychmiast zrywają się na nogi i wciągają uwiązany na linach ekwipunek pasażera. W porównaniu z małą, skrzypiącą szalupą, gdzie cały czas było słychać chlupot wiosł i postękiwanie niewolników, *Minerwa* porusza się bezszelestnie, jak na dobrze strymowany statek przystało, co oznacza – przynajmniej Daniel ma taką nadzieję – że jest w pełnej harmonii z siłami i polami natury. Pokład kołysze się miarowo w górę i w dół, poruszany długimi falami, i bez wysiłku dźwiga jego ciało, tak jakby Daniel osunął się na brzuch spokojnie oddychającej matki. Leży więc przez chwilę rozkrzyżowany i patrzy w gwiazdy – białe geometryczne punkty na pociętej kratownicy takielunku tabliczce do pisania. Ten obraz przywodzi mu na myśl rysunek przecinających się krzywych łańcuchowych i euklidesowych przekrojów, objaśniający któreś z geometrycznych twierdzeń w newtonowskich *Principiach*.

## **Kolegium Niepodzielnej Trójcy Świętej, Cambridge 1663**

*Idiotę można przyuczyć do czytania i pisania, ale nikogo nie można nauczyć geniuszu.*

*Pamiętniki prawego złoczyńcy Johna Halla, 1708*

Daniel wyszedł wieczorem na spotkanie z Rogerem Comstockiem. Kiedy usiedli w gospodzie, głosił mu Słowo Boże i próbował przywieść go na łono Jezusa. Bez powodzenia. Po powrocie do kolegium zastał na stole kota nurzającego pyszczek w kolacji Newtona. Sam Isaac siedział tuż obok z igłą do cerowania wbity na kilka cali w oko.

Daniel wrzasnął ile sił w płucach. Okrutnie obżarty kot (który zjadał właściwie wszystkie przeznaczone dla Isaaca posiłki) spadł ze stołu bezwładnie niczym czworonożny pulpet i powlókł się do kąta. Newton nawet nie drgnął – i chyba dobrze się stało. Poza tym krzyk Daniela nijak nie wpłynął na życie kolegium; ci, którym stan zdrowia w ogóle pozwolił go usłyszeć, założyli pewnie, że drze się jakaś zgrywająca cnotkę dziewczyna.

– Kiedy w Grantham dokonywałem sekcji zwierząt, często zachwycał mnie idealnie kulisty kształt ich ślepi, wyróżniających się spośród innych organów, kości, żył, włókien i bebeczków, obleczonych nieforemnym workiem ze skóry. Zupełnie jakby Stwórca zbudował je na wzór sfer niebieskich, aby dać do zrozumienia, że powinny czerpać z nich światło –

rozmyślał na głos Isaac. – Zastanawiałem się, rzecz jasna, jak spisywałoby się oko o kształcie innym niż sferyczny. Za kulą przemawiają zarówno argumenty teoretyczne, jak i praktyczne. Na przykład kuliste gałki mogą się łatwo poruszać w oczodołach. – Głos drżał mu z napięcia. Ból musiał być okrutny; łzy ciekły po policzkach Isaaca i rozbryzgiwały się na stole jak płyn wyciekający z zegara wodnego. To był jedyny raz, kiedy Daniel widział, jak Isaac płacze. – Inny praktyczny powód to fakt, że gałkę oczną wypełnia ciekły *humor* pod ciśnieniem.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że właśnie upuszczasz sobie tego *humoru*...

– Przyjrzyj się uważnie! – warknął Isaac. – Obserwuj, zamiast fantazjować!

– Nie mogę!

– Igła niczego nie przebiła. Oko mam nietknięte. Podejdź bliżej, to zobaczysz.

Daniel przysunął się do stołu. Jedną ręką zasłaniał sobie usta, niczym porywacz, który próbuje uprowadzić sam siebie. W rzeczywistości bał się, że zwymiotuje na otwarty dziennik, w którym Isaac wolną ręką spisywał notatki. Z bliska dostrzegł, że szpikulec tkwi nie w samej gałce ocznej, lecz w wilgotnym łożysku, w którym się obracała. Wyglądało na to, że Isaac odciągnął sobie dolną powiekę i sondował styk oka z oczodołem, aż znalazł szczelinę, w którą weszła igła.

– Igła jest tępa – dodał. – Nic mi nie będzie. Mógłbym cię prosić o pomoc? To nie potrwa długo.

W teorii Daniel był słuchaczem uniwersytetu; uczęszczał na wykłady i studiował dzieła Arystotelesa i Euklidesa. Przez ostatni rok stał się jednak jedynym czynnikiem, który – poza łaską bożą – utrzymywał Isaaca Newtona przy życiu. Dawno już przestał mu zadawać irytujące i bezcelowe pytania w rodzaju:

– Pamiętasz, kiedy ostatni raz coś jadłeś?

Albo:

– Nie sądzisz, że godzinka albo dwie drzemki, najlepiej co noc, dobrze by ci zrobiły?

Nie pozostało mu nic innego, jak obserwować Isaaca do chwili, gdy ten osuwał się na blat stołu, wlec go do łóżka jak hiena cmentarna przenosząca swój łup, siadać w pobliżu i zajmować się własnymi studiami, mając stałe baczenie na przyjaciela, aby w tej krótkiej chwili, gdy już odzyska przytomność, ale jeszcze nie zorientuje się, jaki mają dzień, i nie zacznie nowych poszukiwań naukowych, napełnić mu żołądek chlebem z mlekiem, chroniąc go w ten sposób od niechybnej śmierci głodowej. Wszystko to robił Daniel z własnej, nieprzymuszonej woli, poświęcając swoje wykształcenie i składając całopalną ofiarę z płaconego przez Drake'a czesnego, ponieważ uważał to za swój chrześcijański obowiązek. Isaac, chociaż teoretycznie nadal był szefem, stał się jego panem, Daniel zaś zmienił się w usłużnego kamerdynera. Oczywiście Isaac w najmniejszym stopniu nie zdawał sobie sprawy z czynionych przez przyjaciela wysiłków, przez co posługa Daniela jeszcze bardziej upodabniała się do doskonałego, chrystusowego wyrzeczenia. Przypominał tych fanatycznych papistów, u których dopiero po śmierci znajdowano pod aksamitnymi szatami włosienice.



– Ilustracja pomoże ci zrozumieć ideę dzisiejszego eksperymentu – powiedział Isaac.

Nakreślił w dzienniku poprzeczny przekrój gałki ocznej i dłoń z igłą. Był to pierwszy w miarę artystyczny rysunek, jaki wyszedł spod jego ręki od czasu niezwykłych wydarzeń, do których doszło rok wcześniej w Zielone Świątki. Od tamtej pory z jego pióra spływały wyłącznie równania matematyczne.

– Mogę zapytać, po co właściwie to robisz?

– Częścią mojego programu jest teoria barw – odparł Isaac.

Miał na myśli znaną Danielowi listę filozoficznych pytań, niedawno spisanych przezeń w dzienniku, oraz plan studiów, które podjął na własną rękę, aby udzielić na nie odpowiedzi. Obaj znajdujący się w pokoju młodzi mężczyźni – zarówno pochłonięty swoim programem Newton, jak i Waterhouse, któremu Bóg powierzył pieczę nad przyjacielem – od ponad roku nie uczestniczyli w zajęciach kolegium.

– Czytałem właśnie najnowszą pracę Boyle’a, *Doświadczenia i rozważania dotyczące kolorów* – ciągnął Isaac – kiedy coś sobie uświadomiłem. Boyle wszystkich swoich obserwacji dokonuje oczyma. Oczy pełnią zatem rolę przyrządów, podobnie jak na przykład teleskop. Ale czy Boyle rozumie ich działanie? Gdyby astronom nie wiedział, jak funkcjonują jego lunety, nędzny byłby z niego naturalista.

Daniel mógł zareagować rozmaicie, ale skończyło się na tym, że zapytał:

– Jak mogę ci pomóc?

W tych słowach kryło się coś więcej niż błaganie skamlącego pochlebcy. Przez chwilę Daniel był po prostu bezgranicznie oszołomiony świadomością, że oto zwykły dwudziestojednoletni student bez formalnego wykształcenia ośmiela się kwestionować zdolność wielkiego Boyle’a do prowadzenia prostych obserwacji. Zaraz potem przyszła refleksja: A jeśli to Newton ma rację, a wszyscy pozostali się mylą? Trudno było w to uwierzyć – ale Daniel bardzo chciał uwierzyć, ponieważ znaczyłoby to, że opuszczając dziesiątki wykładów nie tracił dosłownie nic, usługując zaś Newtonowi odbierał wykształcenie wymarzone dla przyszłego naturalisty.

– Chciałbym, żebyś narysował na kartce papieru krzyżyk i ustawiał go w różnej odległości od mojej rogówki, za każdym razem mierząc tę odległość. Ja będę poruszał igłą w górę i w dół, w mniejszym lub większym stopniu odkształcając sobie gałkę oczną. Jedną ręką mi do tego wystarczy, więc drugą będą notował swoje spostrzeżenia.

I na takich próbach upłynęła im noc. O świcie Isaac Newton wiedział o ludzkim oku najwięcej ze wszystkich naukowców, zarówno żywych, jak i tych dawno zmarłych, a Daniel najwięcej poza Isaakiem. Każdy mógł przeprowadzić taki eksperyment – ale tylko jeden człowiek faktycznie to zrobił.

Wreszcie Newton wyjął sobie igłę z oka, które zrobiło się przez ten czas krwistoczerwone i spuchło tak bardzo, że ledwie na nie widział. Przerzucił kartki dziennika i zaczął się zmagać z jakimś złożonym problemem matematycznym rodem z analizy kartezjańskiej, półprzytomny

Daniel zszedł zaś po schodach i udał się do kościoła. W promieniach słońca kapliczne witraże zmieniały się w tafle szkła wysadzone ognistymi klejnotami.

Postrzegał rzeczywistość w nieznanym mu dotąd sposób: jego umysł zmienił się w homunkulusa, który siedząc w głębi czaszki, wygląda na świat przez dobre, lecz niedoskonałe teleskopy i nasłuchuje przez również niezłe, ale bynajmniej nie perfekcyjne trąbki, gromadząc fakty, które po drodze ulegają zafałszowaniu, tak jak światło przechodzące przez soczewkę zmienia się wskutek aberracji chromatycznej. Człowiek oglądający świat przez teleskop pomyślałby, że aberracja jest nieodłącznym elementem rzeczywistości i że gwiazdy naprawdę wyglądają tak jak w okularze. Jakże zatem fałszywe założenia czynili dotąd naturaliści, kierując się świadectwem swoich zmysłów?

Kiedy tak siedział skąpany w odpustowym blasku witraży, wsłuchany w dźwięk organów i śpiew chóru, z umysłem sympatycznie otepiałym ze zmęczenia, doświadczył skromnej namiastki tego, co Isaac Newton musiał odczuwać przez cały czas: stanu permanentnego objawienia, wiecznego zanurzenia w oślepiającym blasku i zasłuchania w kosmiczne harmonie dźwięków.

## **Na *Minerwie*, w Zatoce Massachusetts**

### **Październik 1713**

Leżący na pokładzie Daniel zdaje sobie nagle sprawę, że ktoś nad nim stoi: krępy, rudowłosy i rudobrody mężczyzna z dymiącym cygarem w ustach, w okularach o maleńkich, okrągłych szkiełkach. To van Hoek, kapitan *Minerwy*, który postanowił sprawdzić, czy pasażerowi nie będzie trzeba następnego dnia urządzać marynarskiego pogrzebu. Daniel wreszcie siada i się przedstawia. Van Hoek jest małomówny; prawdopodobnie udaje, że mówi po angielsku słabiej niż w rzeczywistości, żeby Daniel nie nachodził go niepotrzebnie w kajucie o najdziwniejszych porach. Prowadzi go po głównym pokładzie (nazywanym również „górnym”, chociaż bliżej rufy wznoszą się nad nim trzy następne) i dalej po schodach do kasztelu rufowego, gdzie wskazuje mu jego kabinę. Nawet van Hoek, którego z daleka można by wziąć za barczystego dziesięciolatka, musi się schylić, żeby nie uderzyć głową w delikatnie wygięte dźwigary, na których wspiera się umiejscowiony powyżej pokład kasztelu. Kiedy opiera się ręką o jedną z biegnących nisko belek, dotyka jej nie dłonią, lecz mosiężnym hakiem.

Kajucie, choć mała i niska, nie można nic zarzucić: jest w niej skrzynia na bagaż, latarnia i łóżko – drewniane pudło z wypchanym słomą płóciennym workiem. Słoma jest świeża i przez cały rejs do Anglii jej aromat będzie pasażerowi przypominał zielone pola

Massachusetts. Daniel zrzuca dosłownie parę elementów odzienia, zwija się na posłaniu w kłębek i zasypia.

Kiedy się budzi, słońce świeci mu w oczy. W kabinie znajduje się maleńkie okno (przednia ściana jest głęboko cofnięta pod pokład kasztelu, więc można je było bezpiecznie oszklić), a ponieważ płyną na wschód, rano słońce świeci prosto do środka. Tak się składa, że po drodze jego promienie padają na szprychowe koło sterowe, również umieszczone pod osłoną pokładu, żeby sternik, chroniąc się przed deszczem, miał dobry widok na całą *Minerwę*. W tej chwili pętle z liny, zarzucone na rumbi wystające poza obręb koła, utrzymują ster w niezmiennym położeniu, a statek na stałym kursie. Przy sterze nikogo nie ma. Koło dzieli czerwoną tarczę wschodzącego słońca na zgrabne, równe wycinki.

## **Kolegium Niepodzielnej Trójcy Świętej, Cambridge**

**1664**

Znajdujący się na głównym dziedzińcu kolegium zegar słoneczny bardzo się nie podobał Newtonowi. Płaska tarcza była podzielona ponumerowanymi promieniami na sektory, a z jej środka wyrastał gnomon: naiwnie skopiowany z rzymskich zegarów, cechujący się swoistą klasyczną elegancją – i nigdy nie pokazujący właściwej godziny. Na południowej ścianie dziedzińca Newton konstruował własny zegar, w którym rolę gnomonu pełnił cienki pręt zakończony kulą. W każdy pogodny dzień cień kulki kreślił na murze krzywą – codziennie nieco inną, gdyż z upływem czasu i pór roku zmieniało się położenie Ziemi na orbicie okołosłonecznej. Pęk krzywych stanowił znakomity zbiór danych astronomicznych ale jako zegar był do niczego. Chcąc mierzyć czas, Isaac (albo jego wierny asystent Daniel Waterhouse) musiał zaznaczać krzyżykami miejsca, do których sięgał cień gnomonu w chwili, gdy dzwon w kolegijskiej kaplicy (który nigdy nie zgadzał się z dzwonem królewskim) wybijał godziny. Teoretycznie po trzystu sześćdziesięciu pięciu dniach obserwacji powinny powstać na ścianie krzywe upstrzone krzyżykami dla godziny ósmej rano, potem dziewiątej i tak dalej. Połączywszy liniami krzyżyki oznaczające tę samą godzinę w różne dni, Isaac uzyskałby drugą rodzinę krzywych, mniej więcej równoległych między sobą i w przybliżeniu prostopadłych do krzywych obserwacji dziennych.

Pewnego wieczoru, po mniej więcej dwustu dniach i ponad tysiącu krzyżyków, Daniel zapytał Isaaca, co go tak fascynuje w zegarach słonecznych. Isaac zerwał się jak oparzony, wybiegł z pokoju i popędził prosto na Backs. Daniel dał mu jakieś dwie godziny spokoju, po czym wyszedł go szukać i – około drugiej nad ranem – znalazł w parku Jesus Green, gdzie Isaac w świetle księżyca kontemplował swój długi cień.

– Pytałem z czystej, szczerzej ciekawości. Chciałbym, żebyś mi wyjaśnił, co takiego niezwykłego jest w zegarach słonecznych, co w swoim ograniczeniu przegapiłem?

Wyglądało na to, że Isaac trochę się uspokoił, chociaż nie przeprosił Daniela za to, że potraktował go jak durnia. Odparł mniej więcej tak:

– Eter jest przesycony niebiańskim światłem, którego promienie są proste, równoległe i, dopóki coś nie stanie na ich drodze, niewidzialne. Wyjawiają nam wszystkie sekrety Bożego Stworzenia, mówią jednak językiem, jakiego nie rozumiemy, jakiego nawet nie słyszymy: kierunek, z którego padają, spektrum barw... To wszystko są znaki kryptogramu. Gnomon... Spójrz na nasze cienie. Teraz to my jesteśmy gnomonami. Przecinamy bieg tego światła, ono nas ogrzewa i oświetla. Powstrzymujemy jego bieg i niszczyliśmy część informacji, nie pojmując jej. Rzucamy cienie, wycinamy dziury w świetle, wysyłamy promienie mroku, mające kształt naszych ciał. Ktoś mógłby powiedzieć, że jedyną informacją, jaką zawierają, są zarysy naszych sylwetek, ale to nieprawda. Gdybyśmy zarejestrowali, rozciągnęli i odkształcili nasze cienie, odzyskalibyśmy utraconą część kryptogramu. Do obserwacji potrzebujemy tylko ustalonej, regularnej powierzchni, płaszczyzny, na którą padłby cień. A Kartezjusz dał nam tę płaszczyznę.

Daniel rozumiał, że celem żmudnej pracy nad zegarem słonecznym nie było samo wykreślenie krzywych, lecz zrozumienie ich kształtu. Innymi słowy, Isaacowi chodziło o to, żeby nawet w pochmurny dzień mógł stanąć przed pustą ścianą, wbić w nią gnomon i narysować cały zbiór krzywych, wiedząc z góry, jak będzie się przesuwiał cień gnomonu. Oznaczałoby to, że zna położenie słońca na niebie, to zaś z kolei – że zna usytuowanie Ziemi w jej ruchu dookoła słońca i własnej osi.

Z tą tylko różnicą, że – jak w miarę upływu kolejnych miesięcy uświadamiał sobie Daniel – Isaac chciałby umieć to zrobić nawet wówczas, gdyby ściana znajdowała się – powiedzmy – na powierzchni księżyca, który całkiem niedawno Christian Huygens odkrył na orbicie Saturna.

Pytanie, w jaki sposób zamierzał tego dokonać, powodowało lawinę dalszych kwestii spornych: Czy Isaac zostanie relegowany z Kolegium Trójcy Świętej? A Daniel? Czy Ziemia i wszystkie dzieła człowieka zbliżają się nieubłaganie do końca długiej epoki rozkładu, która zaczęła się z chwilą wygnania z raju, a zakończy się, i to niebawem, Apokalipsą? Czy może jednak sprawy idą ku lepszemu, a prognozy na przyszłość są jeszcze korzystniejsze? Czy ludzie mają dusze? Czy mają wolną wolę?

**Na *Minerwie*, w Zatoce Massachusetts**

**Październik 1713**

*Jest więc oczywiste, że gdy ludzie żyją, nie mając nad sobą mocy, która by ich wszystkich trzymała w strachu, to znajdują się w stanie, który się zwie wojną; i to w stanie takiej wojny, jak gdyby każdy był w wojnie z każdym innym. Albowiem wojna polega nie tylko na walce czy też na rzeczywistym zmaganiu; czasem wojny jest odcinek czasu, w którym dostatecznie jest wyraźne zdecydowanie na walkę.*

Hobbes, *Lewiatan*

Myśl, że ktoś kiedyś żywił podobne wątpliwości, jest dla Daniela niepojęta. Wychodzi na pokład *Minerwy*, która mknie na wschód po gładkiej jak szkło tafli oceanu. Horyzont rysuje się idealnym okręgiem, tarcza słońca zakreśla na niebie regularny ślad, zmieniając barwę od czerwonej, przez żółtą, do białej. Natura, *Minerwa* i świat ludzi tworzą rodzinę krzywizn, w której nie ma miejsca dla linii prostych. Pokłady są lekko wybrzuszone wzdłuż osi statku, co wzmacnia konstrukcję i ułatwia odpływ wody; maszty gną się pod naporem żagli, ale pajęczyna takielunku – podobna do przecinających się krzywych, które Isaac kreślił na tarczy zegara – pomaga im trzymać pion. Naturalnie, zarówno wiatr wypełniający żagle, jak i ściekająca z pokładu woda podlegają prawom odkrytym przez Bernoulliego w oparciu o rachunek różniczkowo-całkowy (w wersji Leibniza). *Minerwa* jest więc zbiorem leibnizowskich krzywych żeglującym zgodnie z prawami Bernoulliego po powierzchni olbrzymiej, w większości pokrytej wodą kuli, której wielkość, dokładny kształt, trajektorię i przeznaczenie określił Newton.

Każdy, kto wsiada na statek, wyobraża sobie jego katastrofę. Wizja Daniela przypomina operę – rozwija się przez kilka godzin i dzieli na kilka aktów.

Akt pierwszy: Bohater się budzi. Statek sunie równo jak po stole, niebo jest pogodne, słońce podąża po regularnej, dobrze znanej drodze niebieskiej, ocean jest gładką płaszczyzną, marynarze brzdąkają na gitarach, rzeźbią artystyczne drobiazgi z kłów morsów i oddają się podobnym zajęciom, pasażerowie zaś roztrząsają ważne zagadnienia natury filozoficznej.

Akt drugi: Aura zaczyna kaprysić. Kapitan wnioskuje ze wskazań barometru, że szykuje się zmiana pogody. Po kilku godzinach jego słowa znajdują potwierdzenie: na horyzoncie pojawiają się chmury, które natychmiast zostają przerysowane na papier i przeanalizowane. Marynarze w świetnych humorach szykują się do burzy.

Akt trzeci: Zaczyna się nawałnica. Oprócz barometru także termometr, klinometr i kompas zwiastują zmianę, nie widać już natomiast pozostałych instrumentów – ciał niebieskich. Ze skłębionego nieba co i rusz biją pioruny. Morze jest wzburzone, statkiem miota na wszystkie strony, elementy ładunku na razie tkwią solidnie przywiązane na swoich miejscach, a większość pasażerów w ogóle o nich nie myśli: cierpią na chorobę morską i mają masę innych zmartwień. Marynarze pracują bez wytchnienia; niektórzy składają ofiary z kurcząt, próbując w ten sposób przebłagać bogów. W takielunku połyskują ognie świętego Elma, interpretowane jako przejaw działania sił nadprzyrodzonych.

Akt czwarty: Maszty łamią się z trzaskiem, ster odpada. Na statku panuje panika. Są już pierwsze ofiary, na razie nie wiadomo jednak jak liczne. Armaty i skrzynie ślizgają się po całym pokładzie, przez co trudno ocenić, kto z ocalałych rozstanie się z życiem w ciągu najbliższych dziecięciu sekund. Kompas, barometr i reszta przyrządów zostają zniszczone, a logi z ich wskazaniem zmiecione za burtę. Rysunek map rozpuszcza się w wodzie. Marynarze są bezradni – ci, którzy jeszcze żyją i są przytomni, potrafią się już tylko modlić.

Akt piąty: Statek przestał istnieć. Rozbitkowie dryfują po morzu uciepieni skrzyń i fragmentów poszycia, opędzając się od tych, którzy mieli mniej szczęścia od nich i teraz są skazani na utonięcie. Czują już tylko zwierzęcy strach i rozpacz. Ogromne fale ciskają ludźmi na wszystkie strony, drapieżne ryby zaczynają karmić się żywymi. Znikąd nie widać pomocy – ba, nie tylko jej nie widać, ale wręcz trudno ją sobie wyobrazić.

Mógłby jeszcze być akt szósty, w którym wszyscy są martwi, ale wyszłaby z tego kiepska opera, więc Daniel postanawia go sobie darować. Ludzie z jego pokolenia urodzili się w akcie piątym<sup>11</sup>, dorastali w czwartym, a czasy studenckie spędzili skuleni w ciasnej i kruchej bańce aktu trzeciego. Prawdę mówiąc, rodzaj ludzki od początku swojego istnienia najczęściej tkwił w akcie piątym. Dopiero niedawno dokonał cudu i z rozrzuconych na morzu potrzaskanych desek zbił statek, wdrapał się na jego pokład, skonstruował przyrządy, którymi obmierzył świat, a następnie odkrył w wynikach pomiarów pewne prawidłowości. W Cambridge osobista aura aktu drugiego otaczała Newtona, prostą drogą zmierzającego wprost ku aktowi pierwszemu.

Traf chciał, że obracali się wtedy wśród ludzi, którzy musieli chyba zaglądać w niewłaściwy koniec lunety i wmówili sobie, że rzeczywistość przedstawia się dokładnie odwrotnie: świat był w przeszłości miejscem wspaniałym i uporządkowanym, ludzkość w miarę bezboleśnie zniosła przeprowadzkę z raju do Aten Platona i Arystotelesa, po drodze zahaczywszy o Ziemię Świętą, gdzie na kartach Biblii zakodowała tajemnice wszechświata, a potem rozpoczął się powolny, lecz nieubłagany proces rozkładu. W Cambridge rządzą starzy, nieszkodliwi ramole, do spółki z purytanami, ulokowanymi tam przez Cromwella po usunięciu tych, których on osobiście uznał za szkodliwych. Poza nielicznymi wyjątkami w rodzaju Isaaca Barrowa żaden z nich nie widział zastosowania dla zegara Newtona, ponieważ wyglądał inaczej niż stare zegary słoneczne, oni zaś woleli mylić się w określaniu czasu na klasyczną modłę, niż określać go prawidłowo, kierując się podejrzanymi nowinkami. Krzywe, które Newton wyrysował na murze, najlepiej ilustrowały ich pomyłkę, w czym przypominały zbiór też przybitych przez Lutera do drzwi katedry.

Próbując wyjaśnić ich kształt, wykładowcy w Cambridge odruchowo odwoływali się do geometrii euklidesowej. Zakładali, że Ziemia jest kulą, która krąży wokół Słońca po eliptycznej orbicie. Elipsę najłatwiej uzyskać, wyobrażając sobie olbrzymi stożek, przecięty

---

<sup>11</sup> Mowa o wojnie domowej w Anglii, która wyniosła Cromwella do władzy, oraz o wojnie trzydziestoletniej, która w tym okresie trwała na kontynencie.

wyimaginowaną płaszczyznę: przekrój stożka ma właśnie kształt eliptyczny. Wychodząc od takiego prostego obrazu (małej kuleczki orbitującej w przestrzeni, gdzie urojona płaszczyzna przecina gigantyczny stożek), geometryści dokładali dalsze sfery, stożki, płaszczyzny, linie i inne elementy (było ich tyle, że gdyby istniały naprawdę, niebo zrobiłoby się całkiem czarne), aż wreszcie wytłumaczyli sobie kształt wyrysowanych przez Newtona krzywych. Każdy kolejny krok rozumowania weryfikowali, stosując do niego taką czy inną regułę, której prawdziwość Euklides wykazał dwa tysiące lat wcześniej w Aleksandrii, gdzie mieszkali sami geniusze.

Isaac nie studiował Euklidesa z przesadnym zapałem, ponieważ nie chciało mu się nad nim ślęczeć. Kiedy rozważał kształt jakiejś krzywej, odruchowo zapisywał ją nie jako przecięcie płaszczyzn i stożków, lecz w postaci ciągu cyfr i liter, czyli wyrażenia algebraicznego. Było to możliwe dzięki istnieniu języka, a przynajmniej alfabetu, który pozwalał opisywać krzywe bez ich rysowania i który dopiero niedawno został opracowany przez *monsieur* Kartezjusza. Kartezjusz zaczął od tego, że wyobraził sobie proste, krzywe *et caetera* jako zbiory pojedynczych punktów, a następnie obmyślił sposób przedstawiania punktu poprzez podanie jego współrzędnych: dwóch liczb, reprezentujących liczby liter, lub (to było najpiękniejsze) wyrażenia algebraicznego, które mogło generować liczby. Umożliwiło to przełożenie całej geometrii na zupełnie nowy język, rządzący się własnymi prawidłami: algebrę. Tworzenie równań stało się ćwiczeniem translatorskim. W oparciu o reguły algebraiczne można było tworzyć nowe stwierdzenia, poprawne i prawdziwe, nie zastanawiając się nad tym, co symbole oznaczają w fizycznym wszechświecie. Ta właśnie z pozoru nadprzyrodzona moc algebry śmiertelnie przerażała niektórych purytanów, a także po trochu samego Isaaca.

W roku tysiąc sześćset sześćdziesiątym czwartym, kiedy to Newton i Waterhouse powinni albo obronić swoje traktaty dyplomowe, albo wynieść się z Cambridge, Isaac, wykorzystując najnowsze osiągnięcia importowanej analizy kartezjańskiej i przenosząc je na nowy, niezbadany jeszcze grunt, dokonywał na polu filozofii naturalnej odkryć, jakich nauczyciele w Świętej Trójcy nie byłiby w stanie nawet ogarnąć rozumem, nie mówiąc już o ich powtórzeniu. Poza nim samym i Danielem nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, ciało pedagogiczne kolegium szykowało się tymczasem do poddania ich obu pradawnemu, tradycyjnemu obrządkowi egzaminów z geometrii euklidesowej. Gdyby ich nie zdali, zostaliby napiętnowani jako para przygłupich nieuków i wyrzuceni z uniwersytetu.

W miarę zbliżania się terminu egzaminów Daniel coraz częściej przypominał o nich Isaacowi. Koniec końców udali się do Isaaca Barrowa, pierwszego lucasowskiego profesora Cambridge<sup>12</sup> i zdecydowanie najlepszego matematyka na całej uczelni. Wybrali go także dlatego, że kiedy podczas niedawnego rejsu po Morzu Śródziemnym statek, którym płynął,

---

<sup>12</sup> Profesura lucasowska (Lucasian Professorship) - prestiżowe stanowisko naukowe na uniwersytecie w Cambridge, ufundowane w 1663 roku przez parlamentarzystę Henry'ego Lucasa (przyp. tłum.).

został napadnięty przez piratów, Barrow wypadł na pokład z kordelasem w dłoni i pomógł pokonać rozbójników. Wydawało się prawdopodobne, że nie przejmie się specjalnie kolejnością, w jakiej słuchacze przyswajają sobie materiał. Mieli całkowitą rację: kiedy pewnego dnia, niepokojąco blisko końca swojej akademickiej kariery, Isaac zgłosił się do niego z paroma szylingami i nabył łaciński przekład Euklidesa, Barrow nawet nie mrugnął okiem. Książka była mała i prawie pozbawiona marginesów, co nie przeszkodziło Isaacowi sporządzać na brzegach stronic notatek, spisywanych mikroskopijnym pismem. Podobnie jak Barrow przełożył greckie traktaty Euklidesa na uniwersalną łacinę, tak teraz Newton przetłumaczył pomysły Greka (wyrażone w krzywych i płaszczyznach) na algebrę.

Pół wieku później stojący na pokładzie *Minerwy* Daniel nie pamięta więcej szczegółów ich wspólnej klasycznej edukacji. Przystąpili do egzaminów, w których różnie im poszło (Danielowi lepiej, Isaacowi gorzej), i otrzymali tytuły magistrów. Uzyskali też prawo do stypendiów, to zaś oznaczało stały dochód; Isaacowi nie groził już powrót do rodzinnego Woolsthorpe i praca na roli. Dalej mieszkali w jednym pokoju i w dalszym ciągu Daniel więcej uczył się z głośnych rozmyślań roztargnionego Isaaca niż od wszystkich wykładowców Cambridge razem wziętych.

\* \* \*

Rozgościwszy się na pokładzie statku, Daniel zdaje sobie sprawę, że jeśli z łaski bożej dotrze do Londynu, będzie musiał wypowiadać się ze wszystkiego, co wie na temat wynalezienia rachunku różniczkowo-całkowego. Korzystając więc z faktu, że *Minerwa* przemieszcza się po oceanie statecznie i spokojnie, siada przy ogromnym stole we wspólnej jadalni, jeden pokład niżej, niż znajduje się jego kajuta, i próbuje zebrać myśli.

*Parę tygodni po uzyskaniu stypendiów, zapewne wiosną tysiąc sześćset sześćdziesiątego piątego, postanowiliśmy z Isaakiem wybrać się na targ w Stourbridge.*

Czyta to, co przed chwilą napisał, wykreśla „zapewne” i wstawia „z pewnością nie później niż”.

Pomija w tym zdaniu wiele szczegółów. To Isaac oznajmił, że udaje się do Stourbridge, on zaś postanowił przyłączyć się do wycieczki, żeby mieć baczenie na przyjaciela. Isaac dorastał w małym miasteczku i nigdy jeszcze nie odwiedził Londynu. Skoro uważał, że Cambridge jest dużym miastem, był kompletnie nieprzygotowany na widok targu w Stourbridge, jednego z największych w Europie. Natomiast Daniel bywał na nim wielokrotnie z ojcem lub przyrodnim bratem i wiedział przynajmniej, jak nie należy się tam zachowywać.



*Wyszliśmy na tyły Kolegium Trójcy Świętej i ruszyliśmy z biegiem Camu. Minąwszy most w centrum miasta, od którego uniwersytet wziął swą nazwę<sup>13</sup>, znaleźliśmy się w północnej części Jesus Green, gdzie Cam zakreśla wdzięczne łuki, płynąc korytem w kształcie wydłużonej litery S.*

Ma ochotę dopisać „albo symbolu całkowania”, ale się powstrzymuje. Zarówno symbol, jak i samo słowo „całkowanie” to pomysły Leibniza.

*Poczynilem jakąś po studencku żartobliwą uwagę na temat kształtu rzeki – krzywe zajmowały nas przecież niemal przez cały poprzedni rok – co wywołało ożywioną reakcję Newtona. Mówił z przekonaniem i entuzjazmem i oczywistym było, że słucham nie jakichś improwizowanych spekulacji, lecz wykładu w pełni rozwiniętej teorii, nad którą od dłuższego czasu pracował.*

*„Wyobraź sobie, że płyniemy taką małą puchówką”, powiedział, wskazując wąską, płaskodenną łódeczkę, jakich próżnujący studenci używali do wycieczek po Camie. „I że most jest punktem zerowym kartezyjskiego układu współrzędnych, obejmującego Jesus Green i resztę przybrzeżnych terenów”.*

Nie, nie, nie, nie. Daniel zamacza pióro w atramencie i wykreśla ostatni fragment. To anachronizm. Gorzej: to leibnicyzm. Naturaliści mogą tak mówić w roku tysiąc siedemset trzynastym, ale nie pięćdziesiąt lat wcześniej. Musi przełożyć słowa Newtona na język Kartezyusza:

*„Przypuśćmy” – ciągnął Newton – „że mamy linę, na której w regularnych odstępach zawiązaliśmy węzły, jak na marynarskim logu. Przywiążmy jeden jej koniec do mostu, który jest ustalonym punktem w przestrzeni absolutnej. Gdybyśmy ją mocno napięli, upodobniłaby się do jednej z opatrzonych numerami osi, które monsieur Kartezyusz stosuje w swojej geometrii. Połączywszy za jej pomocą puchówkę z mostem, moglibyśmy zmierzyć odległość, na jaką łódź zdryfowała w dół rzeki”.*

Szczerze mówiąc, Isaac nigdy by się tak nie wyraził – ale Daniel pisze dla książąt i parlamentarzystów, nie dla naturalistów, musi więc wkładać w usta Newtona przydługie wyjaśnienia.

*„Zalóżmy wreszcie, że Cam, a wraz z nim nasza łódź, płynie przez cały czas z taką samą szybkością. Spróbujmy opisać ten płynny ruch po krzywej. Zauważyłeś*

---

<sup>13</sup> Most to po angielsku bridge. Cambridge to zatem „most na Camie” (przyp. tłum.).

*chyba, że gdybyśmy, idąc wzdłuż pierwszego odcinka koryta, tam gdzie rzeka skręca na południe, obesli Kolegium Jezusowe, składowa naszego ruchu mierzona w kierunku północ-południe cały czas by się zmieniała. Po przejściu pod mostem kierowalibyśmy się na północny wschód, mielibyśmy więc znaczącą składową północną. Chwilę później, znalazłszy się tuż powyżej kolegium, szlibyśmy dokładnie na wschód i składowa północno-południowa naszego ruchu byłaby równa zero. Wkrótce potem zatoczylibyśmy łuk, znaleźli się na wysokości Błóń Świętojańskich i ruszyli na południowy wschód, a zatem nasz ruch zyskałby sporą składową południową, która jednak niedługo zostałaby zredukowana do zera – w miejscu gdzie Cam wykręca ku północy, w stronę Stourbridge”.*

Na tym może skończyć. Dla tych, którzy umieją czytać między wierszami, będzie oczywiste, że w tysiąc sześćset sześćdziesiątym piątym Newton znał już podstawy rachunku różniczkowo-całkowego, a zatem najprawdopodobniej opracował go rok wcześniej. Nie było sensu wtlaczać im tego na siłę do głów...

Chociaż... W gruncie rzeczy właśnie o to chodzi, że ktoś musi oberwać po głowie.

## **Nad brzegiem Camu**

**1665**

*Prawie przed pięciu tysiącami lat, do Niebieskiego Grodu zdążali pielgrzymi, podobni do tych dwóch szczerych ludzi. Ale Belzebub, Apolion i Legion wraz ze swoimi towarzyszami, uświadomiwszy sobie, że droga, którą zdążają pielgrzymi, przechodzi przez miasto Próżności, postanowili tam właśnie urządzić targi, na których handlowano by przez cały rok. Stąd też na targach sprzedawane są: domy, pola, interesy, place, zaszczyty, protekcje, tytuły, kraje, królestwa, pożądlivości, rozkosze i różnego rodzaju przyjemności; również nierządnice, żony, mężowie, dzieci, panowie, sługi, życie, krew, ciała, dusze, srebro, złoto, perły, drogie kamienie i mnóstwo innych rzeczy.*

*Poza tym na targach tych można o każdej porze zobaczyć oszustwa, kręactwa, gry, zabawy, głupców, małpy, złodziei, awanturników – i to różnego gatunku.*

*John Bunyan, Wędrówka Pielgrzymia*

Na targ szło się niecałą godzinę po łagodnie pofalowanych wzgórzach nad rzeką, wśród płaczących wierzb, pod którymi leżeli wypoczywający studenci. Czarne bydło wyskubywało nierówno trawę, znacząc swój szlak krowimi plackami. Z początku Cam był na tyle płytki, że

dałoby się go przejść w bród. Z dna wyrastało wodne zielsko o smukłych liściach, u góry lekko przygiętych łagodnym nurtem.

– Wyobraź sobie teraz krzywą, która kielkuje prostopadle z dna rzeki, czyli jej składowa w kierunku zgodnym z biegiem strumienia przy dnie jest zerowa, ale zwiększa się wraz ze zmniejszaniem się głębokości.

Daniel trochę się pogubił.

– Myślałem, że słowo „składowa” opisuje przepływ, ruch w czasie. Podoba mi się, kiedy za jego pomocą określasz położenie puchówki na rzece, która faktycznie płynie. Teraz jednak użyłeś go do opisu kształtu rośliny, która nigdzie nie płynie, tylko rośnie przytwierdzona do dna. No i trochę się wygina.

– Widzisz, Danielu, główną zaletą takiego opisu jest fakt, że rzeczywista sytuacja nie ma znaczenia. Krzywa to krzywa; wszystko, co odnosi się do krzywej zakreślonej przez rzekę, odnosi się również do zakrzywionego zielska. Uwolniliśmy się od tych staromodnych bzdur.

– Isaac miał na myśli arystotelesowską wizję rzeczywistości, w której swobodne pomieszczenie rzeczy o tak ewidentnie różnej naturze byłoby nie do pomyślenia. Liczył się tylko kształt, jaki przyjmowały po przełożeniu na język analizy kartezjańskiej. – Tłumaczenie obiektu na język analityczny przypomina trochę pracę alchemika, który z zanieczyszczonej rudy wydobywa czystego ducha, esencję, *pneumę*. Nieczystości, czyli toporna forma zewnętrzna obiektów, która tylko nas zwodzi, zostają odrzucone, odsłaniając ukrytego ducha. W ten sposób przekonujemy się, że niektóre rzeczy – choć z pozoru zupełnie różne – są w istocie bardzo podobne.

Wkrótce zabudowania uniwersytetu zostały z tyłu, Cam rozlał się szerzej, stał się głębszy i natychmiast pojawiło się na nim mrowie znacznie większych łodzi. Nadal nie były to jednostki zdolne wyjść w morze, ale mając długie, wąskie i płaskodenne kadłuby, nadawały się do żeglugi po rzekach i kanałach i przewożenia o wiele większych ładunków niż puchówki. Z oddali dobiegał zgiełk targu w Stourbridge – pomruk tysięcy targujących się sprzedawców i kupców, szczekanie psów i przenikliwe dźwięki dud i szalamai, trzepoczące nad głowami tłumu jak targane wiatrem kolorowe wstążki. Isaac i Daniel przyglądali się pasażerom łodzi: independenckim kupcom w czarnych kapeluszach i białych krawatach, wodnym Cyganom, rudym Szkotom i Irlandczykom, i prostym Anglikom o skomplikowanych życiorysach, którzy użerali się z nawykłymi do rzeczno-życia psami, wylewali za burtę kubły płynów tajemniczego pochodzenia i wiedli domowe spory z niewidzialnymi oponentami, ukrytymi w stojących na pokładach szałasach i namiotach.

A potem wyszli z zakrętu rzeki i targ ukazał się ich oczom w całej okazałości – rozpostarty na rozległej połaci łądu, większy niż Cambridge, bardziej hałaśliwy i zdecydowanie bardziej zatłoczony. Składał się głównie z namiotów, a zamieszkujący je ludzie stanowili odrębną kategorię Anglików. Isaac, przypomniawszy sobie o przykładowej purytańskiej postawie, wyprostował się i z miejsca zyskał dobre dwa cale wzrostu. Daniel

wiedział, że w odległych zakątkach placu poważni kupcy handlują bydłem, drewnem, żelazem, beczkowanymi ostrygami – wszystkim, co tylko dało się przywieźć łodzią tak daleko w górę rzeki lub przetransportować na wozie z głębi łądu. Ale wszyscy ci hurtownicy woleli pozostać niezauważeni – i świetnie im się to udawało. Dla Isaaca istniało tylko targowisko detalistów, którego wielkość i krzykliwość wręcz nieproporcjonalnie przewyższały jego znaczenie, zwłaszcza jeśli mierzyć je ilością pieniędzy, jakie przechodziły z rąk do rąk. Przy szerszych alejkach (czyli rzekach błota, po których chodziło się, stąpając po rozrzuconych tu i ówdzie deskach i kłodach, albo przynajmniej odpychając się od nich stopami) stały namioty linokoczków, żonglerów, aktorów, lalkarzy, zapaśników, tancerek i, rzecz jasna, wyspecjalizowanych prostytutek, dzięki którym targ cieszył się tak ogromnym zainteresowaniem studentów uniwersytetu. Kiedy jednak skręciło się w węższe boczne uliczki, odkrywało się stoły, kramy i sprytnie rozkładane wozy tych kupców, którzy zwozili towary z całej Europy, podążali z nimi w górę Ouse i Camu, a potem sprzedawali je w Stourbridge.

Isaac i Daniel błądzili po targu przez blisko godzinę, nie zwracając uwagi na krzyki i błagania handlarzy, aż w pewnym momencie Isaac zawahał się, zrobił krok w bok i przystanął przed małą gablotą na składanych nóżkach, przy której stał wysoki chudy Żyd w czarnym płaszczu. Daniel z zaciekawieniem przyglądał się kupcowi – Cromwell zaledwie dziesięć lat wcześniej ponownie wpuścił Synów Mojżeszowych do Anglii, skąd wygnano ich całe wieki temu, przez co stali się równie egzotyczni jak żyrafy. Isaac natomiast nie odrywał wzroku od przypominających klejnoty przedmiotów wyłożonych na kawałku czarnego aksamitu. Widząc jego zainteresowanie, Izraelita szerzej rozwinął aksamit, odsłaniając dalsze cuda: soczewki wklęsłe i wypukłe, płaskie krążki szkła na soczewki, buteleczki proszku ściernego o różnej ziarnistości, oraz pryzmaty.

Isaac dał mu do zrozumienia, że jest gotów rozpocząć pertraktacje w kwestii możliwości kupna dwóch pryzmatów. Szlifierz soczewek odetchnął głęboko, wyprężył pierś i zamrugał. Daniel zajął stanowisko za plecami Isaaca, nieco z boku, sygnalizując gotowość wsparcia przyjaciela.

– Macie peso – oznajmił obrzezaniec, tonem na wpół pytającym, na wpół twierdzącym.

– Wiem o tym, panie, że wasz lud mieszkał niegdyś w królestwie, gdzie peso było walutą obowiązującą – zaczął Isaac. – Ale...

– Nic pan nie wie. Moi rodacy nie pochodzą z Hiszpanii, lecz z Polski. Macie zatem francuskie monety? Luidory?

– Luidory są piękne – przyznał Daniel. – Idą w parze z chwałą Króla Słońce i są pewnie w powszechnym użyciu tam, gdzie mieszkasz, panie... W Amsterdamie?

– W Londynie. Co w takim razie proponujecie... Hmm... Talary?

– Skoro jesteś, panie, jak i ja, Anglikiem, pozostanmy przy angielskich środkach płatniczych.

- Chcecie mi zapłacić serem? Cyną? Suknem?
- Za ile szylingów sprzedasz, panie, te dwa pryzmaty?

Starozakonny zrobił udręczoną minę cierpiętника i zapatrzył się w punkt nad głowami Isaaca i Daniela.

– Pokażcie pieniądze – odparł tonem, w którym pobrzmiwał łagodny smutek, tak jakby Isaac jeszcze przed chwilą miał szansę kupienia pryzmatów, a teraz pozostało mu tylko wysłuchać przykrego kazania o niewiarygodnej mierności angielskiej waluty.

Isaac wsunął rękę do kieszeni i poruszył palcami – rozległ się metaliczny brzęk, sugerujący sporą zasobność jego kieszy – a następnie wyjął garść poczerńiałych monet i mignął nimi szlifierzowi przed oczami. Daniel obserwował z niemym podziwem poczynania przyjaciela, chociaż nie do końca się im dziwił: w końcu Isaac żył z pożyczania pieniędzy innym słuchaczom. Może po prostu miał talent.

– Musiał się pan pomylić – stwierdził Izraelita. – Nie ma w tym pańskiej winy, wszyscy popełniamy błędy. Sięgnął pan do niewłaściwej kieszeni i pokazał mi czarne pieniądze<sup>14</sup>, które rzuca pan żebrakom.

– Ehm... Istotnie. Gdzie to ja schowałem pieniądze dla kupców? – Isaac obmacał kieszenie. – Ale wracając do mojego pytania: Ile porządnych, nie czarnych, szylingów, będzie mnie to kosztowało?

– Ma pan na myśli nowe szylingi, prawda?

– Jakuba I?

– Nie, nie, Jakub I zmarł pół wieku temu. Nikt nie użyłby określenia „nowy” w odniesieniu do funtów bitych za jego panowania.

– Powiedział pan „funtów”? – wtrącił Daniel. – Funt to spora suma, toteż wzmianka o funtach wydaje mi się zgoła niestosowna w wypadku transakcji, która jest co najwyżej szylingowej miary.

– Pozostawmy zatem przy monetach, dopóki nie dowiem się, czy macie panowie na myśli stare, czy nowe.

– Nowe byłyby zatem monety wybite... Kiedy? Za naszego życia?

– Mam na myśli monety z czasów restauracji – wyjaśnił przedstawiciel narodu wybranego. – A może wasi profesorowie zapomnieli was poinformować, że Cromwell nie żyje, a monety bite w okresie interregnum zostały trzy lata temu wycofane z obiegu?

– W rzeczy samej... Chyba nawet słyszałem, że król zaczął bić nowy pieniądz – przyznał Isaac, szukając u Daniela potwierdzenia swoich słów.

– Mój przyrodni brat mieszka w Londynie i zna człowieka, który widział kiedyś złotą monetę z napisem CAROLUS II DEI GRATIA, wystawioną na jedwabnej poduszce w kryształowej gablotce – odparł Daniel. – Nazywa się takie pieniądze gwineami, ponieważ są bite ze złota, które kompania księcia Yorku sprowadza z Afryki.

---

<sup>14</sup> Falszywe monety, bite z tanich metali, takich jak miedź czy ołów.

- Czy to prawda, Danielu, co mówią ludzie? Że te nowe monety są idealnie okrągłe?
- O tak, Isaacu. W niczym nie przypominają starych angielskich monet, które w ogromnym nadmiarze wypełniają nasze kieszenie i sakiewki.
- Co więcej – dodał wyznawca Mojżesza – król sprowadził z Francji uczonego sługę króla Ludwika, *monsieur* Blondeau. Blondeau zbudował mu maszynę, która ozdabia brzegi monet żłobkami i napisami.
- Typowo francuska ekstrawagancja – mruknął Isaac.
- Doprawdy, król za dużo czasu spędził w Paryżu – przytaknął Daniel. – To mu zaszkodziło.
- Wprost przeciwnie – zaproponował Żyd. – Jeżeli ktoś okroi albo spiłuje metal z krawędzi takiej żłobkowanej monety, będzie to natychmiast widoczne.
- To pewnie dlatego ludzie przetapiają te nowe monety, ledwie wyjdą z mennicy, i wysyłają kruszec do Orientu... – powiedział Daniel.
- Przez co tacy ludzie jak ja i mój przyjaciel nie możemy wejść w ich posiadanie – dokończył Isaac.
- Tak... To całkiem niezły pomysł. Jeżeli macie srebrne monety, ale błyszczące, nie takie czarne, przyjmę je na wagę.
- Na wagę!
- Tak, na wagę.
- Słyszałem, że tak się robi w Chinach – przyznał z namysłem Newton. – Ale tutaj, w Anglii, szyling to szyling.
- Bez względu na to, jak mało waży?!
- Tak. Właściwie tak.
- Kiedy zatem gruda metalu trafia do mennicy, zyskuje magiczną własność szylingowości, która sprawia, że nawet po okrojeniu, spiłowaniu i całkowitym zatarciu rysunku szyling pozostaje szylingiem?
- Przesadza pan – zaprotestował Daniel. – Mam tu na przykład ślicznego szylinga królowej Elżbiety. Noszę go jako pamiątkę panowania Gloriany, ponieważ jest stanowczo zbyt piękny, by go tak po prostu wydać. Widzi pan? Jest równie błyszczący jak w dniu, kiedy go wybito...
- Zwłaszcza na krawędzi, gdzie niedawno został oberżnięty – zauważył szlifierz.
- To tylko zwyczajna, miła dla oka nieregularność kształtu, typowa dla wszystkich ręcznie bitych monet.
- Szyling należący do mojego przyjaciela, choć piękny i z pewnością wart na rynku dwa lub trzy szylingi, nie jest niczym niezwykłym – odezwał się Isaac. – Proszę, oto moneta Edwarda VI. Wpadła mi w ręce, kiedy podpity syn księcia, który wcześniej pożyczył ode mnie szylinga, zwałił się nieprzytomny na ziemię i pieniądze wysypały mu się z sakiewki.

Ten szyling potoczył mi się prosto pod nogi. Wziąłem go, traktując to jako zwrot długu. Wydał mi się interesujący.

– Jak mógł się potoczyć, jeśli ma trzy proste krawędzie? Jest prawie trójkątny.

– To złudzenie optyczne.

– Problem z monetami bitymi za panowania Edwarda VI polega na tym, że nie wiadomo, które z nich wybito w okresie Wielkiej Dewaluacji. A wtedy, zanim sir Thomas Gresham wziął sprawy w swoje ręce, ceny wzrosły dwukrotnie.

– Wbrew powszechnemu mniemaniu przyczyną inflacji nie była wcale dewaluacja pieniądza, lecz fakt, że na rynek trafił skonfiskowany majątek zlikwidowanych w tym okresie klasztorów i tanie srebro z Nowej Hiszpanii – wtrącił Daniel.

– Gdybyście pozwolili mi, panowie, zbliżyć się choć na dziesięć stóp do tych monet, z pewnością doceniłbym ich numizmatyczną perfekcję – stwierdził szlifierz. – Mógłbym nawet za pomocą jednego z moich szkieł powiększających...

– Chyba poczułbym się urażony – oznajmił Isaac.

– Tę mógłby pan obejrzeć z bliska – odezwał się Daniel. – Nie znalazłby pan najmniejszych śladów przestępczej manipulacji. Dostałem ją od niewidomego karczmarza, który odmroził sobie opuszki palców. Nie miał pojęcia, co mi daje.

– A nie mógł jej zgryźć? O tak? – zasugerował starozakonny, biorąc szyling od Daniela i ściskając go między trzonowcami.

– Na co by mu się to zdało?

– Przekonałby się, że fałszerz, który wybił monetę, użył przynajmniej porządnego metalu, a nie stopu, w którym jest ponad pięćdziesiąt procent ołowiu.

– Uznajmy to za zgryźliwy żart, który jednakże byłby całkowicie nie na miejscu w wypadku tego oto szylinga. Mój przyrodni brat znalazł go na ziemi po bitwie pod Naseby, w pobliżu szczątków kapitana rojalistów, rozerwanego przez eksplodujące działo. Trzeba panu wiedzieć, że martwy kapitan służył wcześniej w londyńskiej Tower, gdzie bije się nowe monety.

Żyd powtórzył ceremonię przygryzania, a następnie podrapał monetę paznokciem, chcąc się upewnić, że nie trzyma w ręce pomalowanej na srebro mosiężnej fałszywki.

– Bezwartościowy. Ale jestem winien szylinga pewnemu złemu człowiekowi w Londynie. Nienawidzi Żydów. Z ogromną, wartą całego szylinga przyjemnością wcisnę mu tę grudę żelastwa.

– Świetnie. – Isaac wyciągnął rękę po pryzmaty.

– Tacy znamienici kolekcjonerzy mają zapewne jakieś pensy...

– Mój ojciec rozdaje nowiutkie pensówki jako prezenty świąteczne – odparł Daniel. – Trzy lata temu...

Zawiesił głos, gdy zorientował się, że uwagę szlifierza przyciągnęło zamieszanie za ich plecami. Odwróciwszy się, ujrzał mężczyznę, dość zamożnego, który miał wyraźne problemy

z poruszaniem się, mimo że przyjaciel i służący podtrzymywali go z dwóch stron. Czuł chyba przemożną chęć położenia się na ziemi, co było dość niefortunnym pomysłem, jako że brodził akurat po kostki w błocie. Kiedy służący wsunął mu rękę pod pachę i przypadkiem dotknął żeber, mężczyzna kwiknął jak kot zmiażdżony kołem wozu, szarpnął się w tył i runął na wznak na ziemię. Trumnokształtna fala błota zbryzgała wszystko w promieniu kilku metrów.

– Bierzcie swoje pryzmaty – burknął szlifierz. Prawie wepchnął szkiełka Isaacowi do kieszeni i zaczął składać gablotkę. Jeżeli miał podobne odczucia jak Daniel, to do pospiesznego odejścia zmusił go nie tyle widok chorego i przewracającego się człowieka, co raczej jego przeraźliwy krzyk.

Isaac ruszył w stronę chorego ostrożnym, sprężystym krokiem linoskoczka.

– Wracamy do Cambridge? – zasugerował Daniel.

– Znam się trochę na sztuce aptekarskiej – odparł Isaac. – Może będę mógł mu pomóc.

Gapie otoczyli kręgiem leżącego, był to jednak krąg bardzo szeroki; bliżej podeszli tylko Isaac i Daniel. Chory sprawiał wrażenie, jakby chciał zdjąć spodnie, ponieważ jednak ręce miał zupełnie sztywne, usiłował wyczołgać się z ubrania. Sługa z przyjacielem ciągnęli od dołu za nogawki, ale spodnie wyglądały jak przyrośnięte do ciała. W końcu przyjaciel wyciągnął sztylet, rozciął materiał i rozdarł obie nogawki od dołu do góry – albo rozerwała je rosnąca gwałtownie opuchlizna na udach. W każdym razie spodnie opadły w błoto. Przyjaciel i służący cofnęli się i odsłoniłoby widok na nogi chorego aż po krocze, gdyby nie czarne gruzły, które niczym małe kule armatnie wypychały od środka skórę na wewnętrznej stronie jego ud.

Mężczyzna przestał się więc i krzyczeć, ponieważ był martwy. Daniel złapał Isaaca za rękę i stanowczo próbował go odciągnąć, ten jednak nie dawał się łatwo zniechęcić. Daniel powiódł wzrokiem dookoła i stwierdził, że w zasięgu strzału z muszkietu nie ma już żywej duszy: zostały tylko namioty, konie i sterty towarów, porzuconych przez tragarzy, którzy znajdowali się teraz pewnie w pół drogi do Ely.

– Dymienica postępuje, mimo że człowiek zmarł – zauważył Newton. – Duch rodny żyje, przeobraża martwą tkankę w coś nowego, podobnie jak robaki roją się w zepsutym mięsie, a pod górami rośnie srebro. Dlaczego jednak duch raz sprowadza życie, a kiedy indziej śmierć?

W końcu Daniel wywłócił Isaaca z targu i skierowali się w górę rzeki, z powrotem w stronę Cambridge. Newton wciąż jednak rozmyślał o szatańskich cudach, które wyrosły w kroczu trupa.

– Podziwiam analizę *monsieur* Kartezjusza, ale czegoś mi brakuje w jego domniemaniu, że cały świat składa się ze skrawków materii, objających się o siebie jak monety w sakiewce. To nie tłumaczy jej zdolności do samoorganizacji w oczy, liście i salamandry, do przyjmowania różnych postaci. Poza tym materia zespala się samoistnie nie tylko w rzeczy dobre. Nie jesteśmy świadkami wiecznotrwałego cudu Stworzenia. Ten sam proces, który pozwala naszemu organizmowi rosnać, kiedy jemy mięso i pijemy mleko, sprawia, że ciało



może w kilka godzin zmienić się w masę wrzodów. Nam się wydaje, że to proces bezcelowy, ale z pewnością się mylimy. To, że jeden człowiek choruje i umiera, a inny rozwija się i ma się świetnie, to dwa znaki w zaszyfrowanym komunikacie, który naturaliści próbują odcyfrować.

– A może cały ten komunikat został dawno temu zapisany w Biblii, gdzie każdy może go bez trudu przeczytać? – zasugerował Daniel.

Pięćdziesiąt lat później jest wściekły, że takie słowa przeszły mu przez gardło, ale wspomnienia są nieubłagane.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Mamy połowę tysiąc sześćset sześćdziesiątego piątego roku. Wiesz, jaki będzie następny. Muszę jechać do Londynu. Czarna śmierć zawitała do Anglii. Dziś widzieliśmy pierwszy zwiastun Apokalipsy.

## **Na *Minerwie*, nieopodal wybrzeży Nowej Anglii**

### **Listopad 1713**

Daniel budzi się, słysząc dobiegające z forkasztelu<sup>15</sup> pianie koguta, który w końcu doszedł do wniosku, że poświata na wschodnim widnokregu nie jest tylko wytworem jego wyobraźni. Niestety, wschód znajduje się dziś na bakburcie *Minerwy*; wczoraj był na sterburcie. *Minerwa* od blisko dwóch tygodni pływa w tę i z powrotem wzdłuż brzegów Nowej Anglii, szukając mocnego wiatru, który pchnie ją na głębokie wody, czyli – jak mówią marynarze – „poza zasięg sond”. W tej chwili znajduje się pewnie jakieś pięćdziesiąt mil od Bostonu.

Schodzi na pokład działowy, mroczny i przesycony ostrą wonią. Kiedy wzrok przyzwyczaja mu się do ciemności, dostrzega armaty: zostały odwrócone na lawetach, ustawione wzdłuż kadłuba przy burtach i zamocowane linami w tej pozycji. Ambrazury są szczelnie zasłonięte ciężkimi pokrywami. Nie widząc horyzontu, musi zdać się na podeszwy swoich stóp, które podpowiedzą mu, jak statek się kołysze – gdyby czekał na informacje od zmysłu równowagi, byłoby za późno na reakcję. Krótkimi, starannie mierzonymi kroczkami przemieszcza się ku rufie, wodząc palcami po suficie i roztrącając zawieszony pod nim wyciory i szufle do prochu. Trafia do drzwi, a następnie do kajuty, zajmującej całą szerokość kadłuba i zaopatrzonej w szereg okien, przez które sączy się słaba poświata zachodniego nieba i zachodzącego księżyca.

---

<sup>15</sup> Forkasztel to krótka nadbudówka na pokładzie w dziobowej części statku.

Zastaje w niej kilku ludzi, pracujących i pogrążonych w rozmowach, wyraźnie starszych od szeregowych marynarzy. Właśnie w tym pomieszczeniu znajdują się olbrzymie skrzynie z doskonałymi narzędziami i arkusze pokryte imponującymi wykresami. Sterownica wielkości tarana biegnie pod sufitem pośrodku kabiny i wychodzi przez tylną ścianę, gdzie dalej łączy się z płetwą sterową. Przód sterownicy jest poruszany dwiema linami, które przez otwory w pokładach są połączone z kołem sterowym. Czuć zapach kawy, świeżych wiórów i fajkowego dymu. Żeglarze witają Daniela mrukliwym „dzień dobry”, gdy przechodzi na tył pomieszczenia i siada przy oknie. Okna są wbudowane w ukośny okap, więc kiedy spogląda w dół, widzi kilwater *Minerwy*, biorący początek w spienionych wirach wokół steru. Otwiera klapkę pod oknem i opuszcza przez nią zawieszony na sznurku termometr Fahrenheita, najnowszy europejski wynalazek w dziedzinie pomiarów temperatury. Enoch podarował mu go w charakterze prezentu urodzinowego. Daniel moczy go przez parę minut w wodzie, a potem podciąga i odczytuje temperaturę.

Stara się odprawiać ten rytuał co cztery godziny, żeby stwierdzić, ile prawdy jest w pogłosce, jakoby wody północnego Atlantyku były poprzecinane ciepłymi prądami. Zebrane informacje przedstawi Towarzystwu Królewskiemu – o ile z łaski bożej dotrze do Londynu. Z początku dokonywał pomiarów z pokładu, ale nie podobało mu się, że termometr tak bardzo obija się o kadłub, a poza tym miał już dość zdziwionych spojrzeń marynarzy. Staruszkowie spod pokładu też pewnie uważają go za wariata, ale przynajmniej nie dają mu tego odczuć.

I tak jak podróżny, który w obcym mieście znajduje w końcu przytulną kawiarnię, Daniel zadomowił się w kajucie na rufie i został w niej zaakceptowany. Najmłodszy jej bywalcy mają nieco ponad trzydzieści lat, najstarsi dobiegają pięćdziesiątki. Jest wśród nich Filipińczyk, laskar, mulat z portugalskiego Goa, hugenot, Kornwalijszyk, który zadziwiająco słabo mówi po angielsku, oraz Irlandczyk. Świetnie się tu czują, tak jakby *Minerwa* miała z tysiąc lat, a ich przodkowie zamieszkiwali ją od niepamiętnych czasów. Daniel ma wrażenie, że jeśli statek pójdzie kiedyś na dno, będą szczęśliwi, tonąc razem z nim, bo i tak prawdopodobnie nie mieliby gdzie się podziać. Złączeni na dobre i na złe z *Minerwą* i ze sobą nawzajem mogą popłynąć dokądkolwiek chcą, w razie potrzeby pokonać piratów, a przez cały czas smacznie jadać i spać w wygodnych łózkach. Gdyby jednak *Minerwa* się rozbiła, nie miałyby znaczenia, czy zostaliby rzućeni w środek styczniowego huraganu na północnym Atlantyku, czy łagodnie osiedliby na brzegu w jakimś porcie – tak czy inaczej pozostałby im żywot krótki i smutny. Daniel żałuje, że nie potrafi przeprowadzić krzepiącej analogii z sytuacją Towarzystwa Królewskiego, ale ponieważ tamci dżentelmeni właśnie próbują wyrzucić za burtę jednego ze swoich<sup>16</sup>, podobieństwo wydaje się pozorne.

W forkasztelu znajduje się wyłożona cegłą kabina. Jest wiecznie zadymiona, ponieważ pali się tam ogień – a od czasu do czasu wydostaje się z niej jedzenie. Raz dziennie Daniel otrzymuje solidny posiłek, który spożywa – najczęściej sam, czasem w towarzystwie kapitana

---

<sup>16</sup> Barona Gottfrieda Wilhelma von Leibniz.

van Hoeka – we wspólnej jadalni. Jest jedynym pasażerem. Przy posiłkach najlepiej widać, że *Minerwa* ma swoje lata: nakrycia pochodzą z różnych serwisów, są stare i poobtłukiwane. Istotne elementy statku zostały dobrze zakonserwowane bądź nawet wymienione (Daniel z każdym dniem jest tego coraz bardziej pewny) w ramach dyskretnego i subtelnego, ale rzetelnego programu konserwacji, który van Hoek opracował, a jeden z jego matów wcielił w czyn. Stan nakryć i inne oznaki wskazują, że *Minerwa* liczy sobie dobre trzydzieści lat, dopóki jednak człowiek nie zejdzie do ładowni i nie obejrzy stępki i wręg, nie znajdzie elementów starszych niż pięćdziesiąt lat.

Nie ma dwóch takich samych talerzy, przez co każdy posiłek (zwykle jakiś gulasz, doprawiony drogimi ziołami i korzeniami) staje się dla Daniela czymś na kształt gry, której celem jest odkrycie widocznego na talerzu wzoru. Dla członka Towarzystwa Królewskiego rozrywka jest raczej kretyńska, ale Daniel nie zastanawia się zbytnio nad tym faktem – do czasu, aż któregoś wieczoru wpatruje się w gęsty sos, przelewający się po talerzu w rytm kołysania statku (taki miniaturowy Atlantyk), i nagle widzi...

## Rok zarazy

### Lato 1665

*Ziemi płaszczyna stołem tylko jest, na którym  
Rośliny, bydło i ludzie jak dania gotowe Śmierci czekają.  
A ona w okrutnym gniewie wciąga miliony  
Do swej krwawej, morowej, lub zagłodzonej paszczyki.*

John Donne, *Elegia na śmierć pani Boulstred*

Daniel trzydziesty piąty raz z rzędu jadł na obiad śledzia z ziemniakami. Ponieważ robił to w domu rodzinnym, musiał głośno dziękować Bogu za ten przywilej, zarówno przed, jak i po jedzeniu. Jego dziękczynne modlitwy z każdym dniem brzmiały coraz bardziej nieszczęrze.

Na tyłach domu krowy rykiem wyrażały swoją wieczną konsternację, a biegnącą z przodu ulicę przemierzali ludzie z dzwonekami (dla tych, którzy słyszeli) i długimi czerwonymi patykami (dla tych, którzy widzieli) w rękach. Zaglądali do domów, na podwórza i wystawiali gęby ponad mury ogrodów w poszukiwaniu trupów zadżumionych. Wszyscy, którzy mieli dość pieniędzy, żeby opuścić Londyn, wyjechali. Zaliczali się do nich przyrodni bracia Daniela – Raleigh i Sterling – z rodzinami, a także jego przyrodnia siostra Mayflower, która zabrała dzieci i schroniła się w Buckinghamshire. Tylko jej mąż, Thomas Ham, i patriarcha

Drake Waterhouse nie zgodzili się wyjechać. Pan Ham wprawdzie miał na to ochotę – ale miał również w City pewną piwniczkę, którą musiał się opiekować.

Drake'owi nawet przez myśl nie przeszło, że mógłby uciec z Londynu tylko dlatego, że gdzieś tam wybuchła epidemia starej, dobrej znajomej – czarnej śmierci. Obie jego żony pomarły już jakiś czas temu, starsze dzieci zwały gdzie pieprz rośnie i tylko Daniel mógł mu przemówić do rozsądku. Cambridge na czas trwania epidemii zostało zamknięte na głucho, Daniel wrócił więc do Londynu, wyobrażając sobie, że dokona odważnego, błyskawicznego natarcia na pusty dom – zastał zaś Drake'a przy wirginalu, grającego stare hymny z czasów wojny domowej. Ponieważ wydał większość porządnych pieniędzy – najpierw na przyrządy Newtona, potem zaś na łapówkę dla mrukliwego woźnicy, który nie bardzo miał ochotę kręcić się po morowej okolicy – nie mógł się ruszyć z Londynu i był całkowicie zdany na łaskę ojca, któremu bał się choćby napomknąć o pieniądzach. Skoro Bóg i tak wszystko z góry zaplanował, nie mieli szans uniknąć zarazy, jeśli takie było ich przeznaczenie... A jeżeli było inne, to przecież mogli bez obaw mieszkać na obrzeżach miasta, świecąc przykładem jego uciekającym i/lub umierającym obywatelom.

Dzięki modyfikacjom, jakim poddano jego głowę na polecenie arcybiskupa Lauda, jedzący śledzia z ziemniakami Drake Waterhouse wydawał niezwykle świsty i bulgotania.

W tysiąc sześćset dwudziestym dziewiątym roku został wraz z grupką przyjaciół aresztowany za rozpowszechnianie na ulicach Londynu świeżo wydrukowanych pamfletów. Paszkwile krytykowały najnowszy wymysł Karola I, tak zwany „podatek okrętowy”, ale ich treść w gruncie rzeczy nie grała roli. Gdyby aresztowano ich rok wcześniej, rozlepialiby jakieś inne ulotki, z pewnością nie mniej obelżywe dla króla i arcybiskupa.

Niedyskretna uwaga, na jaką pozwolił sobie jeden z kompanów Drake'a, gdy wbito mu płonące drzazgi pod paznokcie, doprowadziła do znalezienia prasy, na której Drake drukował pamflety (trzymał ją ukrytą na wozie pod stertą siana). Kiedy więc ujawniono jego kluczową rolę w spisku, biskup Laud kazał go – wraz z grupą innych wyjątkowo drażniących go kalwinistów – postawić pod pręgierzem, napiętnować rozpalonym żelazem i okaleczyć. Nie chodziło bynajmniej o to, żeby zresocjalizować przestępców, którzy ewidentnie do żadnej resocjalizacji się nie nadawali. Kiedy jednak stali nieruchomo pod pręgierzem, cały Londyn mógł ich sobie dobrze obejrzeć i zapamiętać, a przypalenie i okaleczenie naznaczało ich na zawsze jako złoczyńców rozpoznawalnych na całym świecie.

Ponieważ wydarzenia te nastąpiły na długo przed przyjściem na świat Daniela, nie przywiązywał do nich żadnej wagi – tata po prostu zawsze tak wyglądał. A i sam Drake z pewnością się nimi nie przejął. Nie minęły trzy tygodnie, a już wrócił na angielskie trakty, skupując sukno, które następnie szmugłował do Niderlandów. W wiejskiej gospodzie, w której zatrzymał się w drodze do St. Ives, poznał małomównego, ponurego faceta o krzaczastych brwiach. Facet nazywał się Oliver Cromwell, niedawno utracił wiarę i całe jego

życie legło w gruzach – a właściwie tak mu się wydawało do chwili, gdy ujrzał Drake’a i odnalazł Boga. Ale to już zupełnie inna historia.

Celem ludzi, którzy w owym czasie posiadali własne domy, było również posiadanie mebli – w jak najmniejszej liczbie, ledwie zaspokajającej życiowe potrzeby, za to możliwie jak największych, najcięższych i najciemniejszych. Z tego też powodu Daniel i Drake spożywali śledzia z ziemniakami przy stole, który miał rozmiary i ciężar średniowiecznego mostu zwodzonego. W całym pokoju nie było poza tym żadnych sprzętów, za to znajdujący się w sąsiednim korytarzu dwuipółmetrowy zegar stojący nie dawał zapomnieć o swojej obecności. Jego wahadło miało rozmiary kuli armatniej i huśtając się na boki, wprawiało w kołysanie cały dom, który chwiało się wtedy i zataczał jak pijak na przechadźce. Mechanizm pracował z przenikliwym zgrzytem i chrzęstem, a ogłuszające bicie, dobiegające z pudła w niepokojąco przypadkowych odstępach czasu, sprawiało, że wędrowne ptaki, przelatujące tysiące stóp nad dachem domu Drake’a, zderzały się w panice, odbijały od siebie nawzajem i obierały zupełnie nowe kursy. Draperie kurzu, zwieszające się z gotyckich blanków zegara, niewyczerpany zapas znajdowanych w nim mysich bobków, rzymskie cyfry wyryte przez jego twórcę na cyferblacie i całkowita niezdolność do odmierzenia czasu nieomylnie wskazywały, że urządzenie jest wytworem techniki pre-Huygensowskiej. Dobywający się z niego łoskot działałby Danielowi na nerwy nawet gdyby rozlegał się regularnie, co kwadrans, o każdej półgodzinie i każdej pełnej godzinie, ponieważ słysząc go i tak za każdym razem prawie wyskakiwał ze skóry. Fakt, że zegar nie dostarczał absolutnie żadnej informacji na temat upływającego czasu, doprowadzał go do takiej rozpacz, że oczyma wyobraźni widział siebie stojącego na skrzyżowaniu korytarzy i przy każdej okazji wręczającego przechodzącemu Drake’owi pamflety krytykujące wiekową maszynę i domagające się unieruchomienia jej niesforne wahadła oraz zastąpienia jej nowoczesnym przyrządem Huygensa. Drake jednak kazał mu się zamknąć i zabronił poruszać kwestię zegara, toteż Daniel był całkowicie bezradny.

Całymi dniami nie słyszał żadnych innych dźwięków. Wszystkie potencjalne tematy do rozmów dzieliły się na dwie kategorie: (1) te, które prowokowały Drake’a do wygłoszenia zapalczywej tyrady słyszanej przez Daniela już tyle razy, że mógłby ją wyrecytować z pamięci, oraz (2) te, z których mogła rozwinąć się interesująca dyskusja. Daniel unikał tematów z pierwszej grupy, a wszystkie z drugiej zostały wyczerpane. Nie mógł, na przykład, zapytać „Co słyhać u Praise-Goda w Bostonie?”<sup>17</sup>, ponieważ zadał to pytanie już pierwszego dnia, Drake na nie odpowiedział, a potem poczta funkcjonowała w kratkę, ponieważ listonosze albo już byli martwi, albo na złamanie karku uciekali z Londynu. Tylko prywatni

---

<sup>17</sup> Praise-God W. Był pierwotnym synem Raleigha W. i, co za tym idzie, najstarszym wnukiem Drake’a W. W wieku lat szesnastu, czyli całkiem niedawno, popłynął do Bostonu. Zamierzał studiować na Harvardzie, stać się częścią Miasta Na Wzgórzu, które było wtedy Ameryką, a następnie, o ile będzie to możliwe, wrócić w chwale, przegnać z Anglii pomiot arcybiskupa Lauda i raz na zawsze zreformować Kościół anglikański.

kurierzy jeszcze przynosili listy – najczęściej adresowane do Drake’a i związane z interesami, choć zdarzały się i takie, których odbiorcą był Daniel. Ich pojawienie się wywoływało ożywioną rozmowę, która mogła trwać nawet i pół godziny (nie licząc tyrad), ale na co dzień dźwiękowy świat Daniela ograniczał się do dzwonek zbieraczy trupów i skrzypienia ich wózków, łoskotu i dzwonienia przerażającego zegara, muczenia krów, głosu Drake’a czytającego na głos Księgę Daniela i Apokalipsę, dźwięków wirginału oraz skrzypienia pióra, którym sporządzał notatki z Euklidesa, Kopernika, Galileusza, Kartezjusza i Huygensa. Posiadał naprawdę niewiarygodną wiedzę; był prawie pewien, że dotarł do punktu, w którym Isaac znalazł się przed paroma miesiącami. No, ale teraz Isaac był sto mil od Londynu, w domu rodzinnym w Woolsthorpe, i z pewnością wyprzedzał go już o całe lata.

Wymiótł talerz do czysta z determinacją godną więźnia drążącego w ścianie tunel i jego oczom ukazał się wzór na porcelanie. Rodową zastawę Waterhouse’ów wyprodukowali szczerze oddani Drake’owi holenderscy nowicjusze. Kiedy Jakub I zabronił eksportu surowego angielskiego płótna do Niderlandów, Drake zaczął je przemycać, co było o tyle ułatwione, że w Lejddie wręcz roiło się od angielskich pielgrzymów. Zbił na tym pierwszą ze swych przemysłowych fortun, i to w dodatku w sposób, który z pewnością był miły Bogu, ponieważ odważnie przeciwstawił się zamachowi króla na wolność handlu. Co więcej, w tysiąc sześćset siedemnastym roku poznał w Lejddie dziewczynę, pątniczkę, z którą wkrótce się ożenił. Zaczął też hojnie łożyć na wiernych, którzy próbowali nabyć statek. Zanim wdzięczna kongregacja zaokrętowała się na płynący do słonecznej Wirginii *Mayflower*, sprezentowała Drake’owi i jego młodej małżonce Hortensji zastawę z holenderskiej porcelany z Delft. Najprawdopodobniej sami ją ulepili i wypalili, zgodnie z przekonaniem, że kiedy los rzuci ich na wybrzeża Ameryki, dobrze będzie wiedzieć, jak wyrabia się przedmioty z gliny. Talerze były ciężkie, toporne, miały białą polewę i błękitny, skreślony cienką linią napis:

## PROCHEM JESTEŚMY

Wpatrując się po raz trzydziesty piąty z kolei w to motto, pływające w zupie z wydzielin śledzia, Daniel nieoczekiwanie oznajmił:

– Pomyślałem sobie, że jeśli Bóg pozwoli, mógłbym odwiedzić Johna Wilkinsa.

Korespondowali z Wilkinsem od czasu tamtego katastrofalnego nieporozumienia przed pięcioma laty, kiedy to Daniel przyjechał do Kolegium Trójcy Świętej tuż po tym, jak Wilkinsa na zawsze z niego wyrzucono.

Wzmianka o Wilkinsie nie spowodowała tyrady, co w praktyce oznaczało, że Daniel może właściwie ruszać w drogę. Pozostały jednak do załatwienia pewne formalności.

– Po co? – zapytał Drake głosem, który wydobywał się częściowo z jego ust, częściowo zaś z nosa, przez co przywodził na myśl organy, w których ktoś pozatykał większość piszczałek. Większość pytań akcentował w dodatku w taki sposób, jakby były stwierdzeniami; zamiast „Po co?” równie dobrze mógłby powiedzieć „Prochem jesteście”.

– Chcę się uczyć, ojcze, a mam wrażenie, że z ksiąg, które są tutaj, nauczyłem się już wszystkiego.

– A co powiesz na Biblię.

Znakomita riposta.

– Biblię, dzięki Bogu, są wszędzie. Za to wielebny Wilkins jest tylko jeden.

– Wygłasza kazania w tym kościele anglikańskim, nieprawdaż?

– W rzeczy samej. U Świętego Wawrzyńca Żydowskiego.

– Po co zatem miałbyś gdzieś jechać.

Z domu Drake'a do kościoła Świętego Wawrzyńca był najdalej kwadrans piechotą.

– Chodzi o zarazę, ojcze... Wątpię, żeby Wilkins bywał w ostatnich czasach w Londynie.

– A co z jego trzódką.

Daniel omal nie wypalił: „Masz na myśli Towarzystwo Królewskie?”, co w większości domów zapewniłoby mu pochwałę za *bon mot*. Ale nie w tym.

– Wierni również uciekli, ojcze. Przynajmniej ci, którzy nie pomarli.

– Tacy już są ci z Wysokiego Kościoła – stwierdził Drake, jakby to wszystko wyjaśniało.

– A gdzie teraz jest Wilkins.

– W Epsom.

– Z Comstockiem. Co on sobie wyobraża.

– Wszyscy wiedzą, ojcze, że stanęliście z Wilkinsem po przeciwnych stronach barykady.

– Po przeciwnych stronach złotego płotu, którym Laud otoczył Ołtarz Pański! O tak!

– Wilkins jest tak samo zagorzałym zwolennikiem tolerancji jak ty. Ma nadzieję, że uda się zreformować Kościół od środka.

– Owszem. A żaden człowiek poniżej godności arcybiskupa nie może być bardziej w środku niż Comstock, hrabia Epsom. Po co jednak ty miałbyś się mieszać do tych spraw?

– Wilkins nie zajmuje się w Epsom roztrząsaniem kontrowersji religijnych, lecz filozofią naturalną.

– Dziwne sobie wybrał miejsce.

– Syn hrabiego, Charles, z powodu zarazy nie może uczęszczać do Cambridge. Wilkins i grupa filozofów z Towarzystwa Królewskiego pełnią w Epsom rolę jego nauczycieli.

– Ach tak! To wszystko wyjaśnia. Kwestia przystosowania.

– Właśnie.

– Czego chcesz się nauczyć od wielebnego Wilkinsa.

– Wszystkiego, czego zechce mnie uczyć. Za pośrednictwem Towarzystwa Królewskiego jest w stałym kontakcie z najwybitniejszymi naturalistami Wysp Brytyjskich, a także z wieloma na kontynencie.

Drake przetrwał słowa Daniela.

– Domagasz się ode mnie wsparcia finansowego, aby osiąść hipotetyczną wiedzę, co do której zakładasz, że pojawiła się całkiem niedawno, i to w dodatku znikąd.

– Tak, ojcze.

– To prawdziwy akt wiary, nie uważasz?

– Nie w takim stopniu, jak mogłoby się z pozoru wydawać, ojcze. Mój przyjaciel Isaac, o którym ci opowiadałem, mówił mi o „duchu rodnym”, który wszystko przenika i sprawia, że ze starych rzeczy mogą powstawać nowe. Jeśli mi nie wierzysz, to sam sobie zadaj pytanie: jak to możliwe, że z gnoju wyrastają kwiaty? Dlaczego w mięsie lęgną się larwy, a w poszyciu statków robaki? Dlaczego w kamieniach znajdujących z dala od morza odciskają się muszelki? Skąd się biorą nowe kamienie na polach, skoro poprzedniego roku wszystkie zostały wykopane i wyzbierane? Musi działać jakaś zasada, która porządkuje te zjawiska. Jest wszechobecna i niewidzialna, ale tłumaczy, skąd bierze się na świecie wszelka nowość. To dzięki niej wszystko się odradza, zamiast tylko się rozkładać.

– Ale mimo to się rozkłada. Spójrz przez okno, posłuchaj dzwonek. Dziesięć lat temu Cromwell przetopił klejnoty koronne na złoto i dał ludziom wolność. Dzisiaj Anglią rządzi kryptopapista<sup>18</sup> do spółki z lokajem antychrysta<sup>19</sup>, z angielskiego złota robi się olbrzymie puchary na królewskie orgie, a ludzie tacy jak my, zgromadzeni w zborach, muszą czcić Boga potajemnie niczym pierwsi chrześcijanie w pogańskim Rzymie!

– Jedną z cech ducha rodnego, która wymaga szczegółowych badań, jest jego zdolność do wypaczania się – odparł Daniel. – *Pneuma*, od której na ciałach ofiar zarazy nabrzmiewają wrzody, musi być w jakimś sensie podobna do tej, która sprawia, że po deszczu grzyby wychodzą spod ziemi. Mimo to efekty działania jednej nazywamy złymi, a drugiej dobrymi.

– I wydaje ci się, że Wilkins będzie wiedział więcej na ten temat.

– Chciałem wyjaśnić ci istnienie takich ludzi, jak Wilkins, ojcze, i członkowie tego jego klubu, który nazywa teraz Towarzystwem Królewskim, a także innych, podobnych grup, takich jak salon *monsieur de Montmora* w Paryżu...

– Rozumiem. Przypuszczasz, że ten sam duch twórczy nawiedza umysły naturalistów.

– Właśnie, ojcze. Jest obecny w najżyźniejszej tkance narodów, które w tak krótkim czasie wydały tylu naturalistów, ku wielkiemu pogębieniu papistów. – Daniel uznał, że nie zaszkodzi dać kuksańca papieżowi. – I tak jak farmer może być pewien wzrostu zasianego zboża, tak ja jestem przekonany, że w ostatnich miesiącach naturaliści poczynili znaczne postępy.

– Ale teraz, gdy zbliżają się Dni Ostatnie...

– Parę miesięcy temu, na jednym z ostatnich spotkań Towarzystwa Królewskiego, pan Daniel Coxe twierdził, że w Line, w dole pozostałym po wybraniu kredy, rtęć płynie jak woda. Lord Brereton dodał, że w gospodzie w St. Alban's odkryto rtęć wypełniającą dół na trociny w drewnie.

– I twoim zdaniem to oznacza... No co?

---

<sup>18</sup> Król Anglii Karol II.

<sup>19</sup> Zazwyczaj mówi się w ten sposób o papieżu, ale w tym wypadku chodzi o króla Francji Ludwika XIV.



– Być może ten rozkwit widoczny w tyłu dziedzinach: w filozofii naturalnej, zarazie, władzy króla Ludwika, orgiach w pałacu Whitehall, rtęci wypływającej z trzewi ziemi, jest nieodzownym preludium Apokalipsy. Duch rodny wzbiera wszędzie, jak morze podczas przyływu.

– To oczywiste, Danielu. Zastanawiam się jednak, po co masz kontynuować naukę, skoro koniec jest tak bliski.

– A czy pochwalilibyś farmera, który pozwala polu zarosnąć chwastami tylko dlatego, że zbliża się koniec świata?

– Naturalnie, że nie. Słuszna uwaga.

– Jeżeli naszym obowiązkiem jest zachować czujność, wypatrując Dni Ostatnich, pozwól mi wyjechać, ojcze. Jeśli tymi znakami będą komety, pierwsi dostrzegą je astronomowie. Jeżeli ma nim być dżuma, pierwsi dowiedzą się o tym...

– Medycy. Rozumiem. Ty jednak sugerujesz, że adepci filozofii naturalnej są w stanie wniknąć w istotę Bożego Stworzenia, osiąść jakąś tajemną wiedzę, niedostępną zwykłemu czytelnikowi Biblii.

– Eee... No tak, chyba właśnie to sugeruję.

Drake pokiwał głową.

– Tak też mi się wydawało. Cóż, Bóg nie bez przyczyny dał nam mózgi; niekorzystanie z nich byłoby grzechem. – Wstał, zaniósł talerz do kuchni, a potem z małego, zaopatrzonego w mnóstwo szuflad biurka w saloniku przyniósł wszelkie przybory niezbędne do pisania. – Nie mam akurat za dużo pieniędzy – mruknął, poruszając piórem w zamasztych zawijasach przerywanych długimi pauzami, jak rapierem w pojedynku. – Ale weź to.

*Pan Ham będzie łaskaw wypłacić sumę £ 1 (słownie jednego funta) z moich pieniędzy, które ma na przechowaniu, okazicielowi tego rachunku.*

Drake Waterhouse

Londyn

– Co to za papier, ojcze?

– Nota złotnicza. Ludzie zaczęli się nimi posługiwać mniej więcej w tym czasie, kiedy wyjechałeś do Cambridge.

– Dlaczego napisałeś „okazicielowi”, a nie „Danielowi Waterhouse’owi”?

– Na tym właśnie polega urok noty. Gdybyś chciał, możesz za jej pomocą spłacić jednofuntowy dług: wystarczy oddać ją wierzycielowi, który w wolnej chwili wpadnie do Hama i odbierze sobie tego funta. Albo spłaci nią swoje długi.

– Rozumiem. Ale to oznacza, że jeśli pójdę z nią do City, do wuja Thomasa albo jakiegoś innego Hama...

– Zrobią to, co tu jest napisane.

Był to normalny przejaw wrodzonego fanatyzmu Drake'a. Daniel mógł sobie uciekać do Epsom, które było siedzibą arcyanglikanina Johna Comstocka, i studiować tam filozofię naturalną do końca świata, ale w celu uzyskania środków na naukę musiał dać dowód swej wiary i przemierzyć w poprzek cały zarażony Londyn. Poddać się prawdziwemu sądowi bożemu.

Następny ranek. Płaszcz i sfatygowane buty jeździeckie, mimo że letni dzień był pogodny i ciepły. Chustka na twarz<sup>20</sup>. Minimalny zapas czystych koszul i kalesonów (miał zamiar posłać po więcej, jeśli cało i zdrowo dotrze do Epsom). Stosunkowo niewielka liczba ksiąg, małych studenckich książek formatu *octavo*, autorstwa tych samych co zwykle europejskich uczonych, o marginesach szczelnie pokrytych notatkami. List od Wilkinsa z załącznikiem od niejakiego Roberta Hooke'a, dostarczony do domu Drake'a tydzień wcześniej, w jednym z rzadkich okresów aktywności poczty. Wszystko to trafiło do torby, torba na koniec kija, a kij na ramię. Daniel upodobił się trochę do wagabundy, ale wielu mieszkańców Londynu, straciwszy normalne źródła utrzymania, trudniło się ostatnio rabunkiem, więc dobrze było wyglądać na biedaka i mieć przy sobie solidny kawał kija.

Pożegnanie z Drakiem:

– Powiedz staremu Wilkinsowi, że nie mam mu za złe przejścia na anglikanizm, ponieważ żywię szczerze przekonanie, iż uczynił to w celu zreformowania tego Kościoła, co, jak wiesz, jest wspólnym celem wszystkich tych, których pogardliwie nazywa się purytanami.

Kilka słów przeznaczonych dla samego Daniela:

– Uważaj na siebie i nie zaraż się chorobą. Nie mam na myśli czarnej śmierci, lecz plagę sceptycyzmu, tak modną wśród zwolenników Wilkinsa. Pod pewnymi względami twoja dusza może być bezpieczniejsza w burdelu niż wśród członków Towarzystwa Królewskiego.

– To nie jest sceptycyzm dla samego sceptycyzmu, ojcze. Raczej świadomość naszej podatności na błędy, które utrudniają nam bezstronne postrzeganie świata.

– Wszystko jest w porządku, dopóki mówimy o kometach.

– Nie będę zatem dyskutował o religii. Do zobaczenia, ojcze.

– Niech Bóg cię prowadzi, Danielu.

\* \* \*

Otworzył drzwi, powstrzymał grymas obrzydzenia, kiedy owionęło go ciepłe powietrze, i zszedł po schodkach na ulicę Holborn, która zmieniła się w rzekę ubitego kurzu (od dawna nie padało). Dom Drake'a był nowy (post-Cromwellowski), w połowie murowany, w połowie

---

<sup>20</sup> Najlepsi lekarze z Towarzystwa Królewskiego zgadzali się co do tego, że dżuma nie jest wywołana morowym powietrzem, lecz ma jakiś związek z przebywaniem w tłumie, zwłaszcza cudzoziemców (pierwszymi ofiarami zarazy w Londynie byli Francuzi, którzy niedługo po zejściu z pokładu statku zmarli w gospodzie niespełna pięćset jardów od domu Drake'a). Nie zmieniało to faktu, że wszyscy i tak oddychali przez chustki.

zaś zbudowany z drewna. Stał po północnej stronie ulicy, w szeregu głównie drewnianych budynków, tworzącym coś na kształt płotu, który oddzielał Holborn od pól ciągnących się na północy aż po granice Szkocji. Domy po drugiej, południowej stronie były takie same, tylko o dwa dziesięciolecia starsze (sprzed wojny domowej). Otaczała je płaska jak stół okolica, jeśli nie liczyć czegoś w rodzaju zastygłej fali ziemi, biegnącej skosem przez pola i w poprzek Holborn. Garb przecinał ulicę całkiem niedaleko, na prawo od Daniela, tak jakby kometa uderzyła w Most Londyński, a wywołana nią fala rozeszła się w gruncie, minęła dom Drake'a i tam zamarła na zawsze. Była to pozostałość po umocnieniach, którymi otoczono Londyn<sup>21</sup> na początku wojny domowej, by bronić do niego dostępu wojskom królewskim. Na Holborn znajdowała się dawniej brama, a nieopodal usypano gwiaździstego kształtu szaniec ziemny – bramę jednak dawno już rozebrano, a szaniec zmienił się w trawiasty pagórek, strzeżony przez co młodsze i odważniejsze okazy bydła.

Daniel skręcił w lewo, w stronę Londynu. Zakrawało to na szaleństwo, ale list od Wilkinsa i załącznik Hooke'a – protegowanego Wilkinsa z oksfordzkich czasów, a teraz Kuratora Eksperymentów w Towarzystwie Królewskim – zawierały pewne uprzejmie (lub, w wypadku Hooke'a, nieco mniej uprzejmie) sformułowane żądania. Obaj panowie poinformowali Daniela, że bardzo by się im przysłużył, gdyby ze wskazanych londyńskich domów przywiózł im pewne niezbędne przedmioty.

Daniel mógł spalić list i udać, że go nie dostał. Mógł pojechać do Epsom nie zabrawszy żadnego z wymienionych przedmiotów i tłumaczyć się epidemią dżumy. Miał jednak przecucie, że Wilkins i Hooke pozostaliby równie obojętni na jego usprawiedliwienia jak Drake.

Udając się do Kolegium Trójcy Świętej w najgorszym z możliwych momentów, przegapił pierwsze pięć lat działalności Londyńskiego Towarzystwa Królewskiego. Ostatnio wziął udział w kilku spotkaniach, lecz za każdym razem miał wrażenie, że śledzi je zza szyby, przyciskając do niej nos.

Dzisiejszą wyprawą do Londynu zamierzał wkupić się w łaski Towarzystwa. Z pewnością nie było to najniebezpieczniejsze przedsięwzięcie, jakiego mógł się podjąć student filozofii naturalnej.

Postawił jedną nogę przed drugą – i stwierdził, że jeszcze nie umarł. Powtórzył więc tę czynność, potem zrobił to jeszcze raz. Na pierwszy rzut oka przedmieścia wyglądały całkiem zwyczajnie, ciszę mącił tylko żałobny dźwięk dzwonów, bijących chyba w stu parafiach jednocześnie. Dopiero z bliska było widać, że wielu ludzi przyozdobiło ściany domów rozpaczliwymi błaganiami o bożą litość, być może w nadziei na to, że podobnie jak krew jagniąt, którą Izraelici wymazali drzwi domostw, ich graffiti również zniechęci anioła śmierci. Wozy z rzadka zajeżdżały na Holborn. Puste jechały do miasta, zaplamione i cuchnące, poprzedzane i odprowadzane przez chmary ptaków, które, zniżając lot, wycinały sobie tunel

---

<sup>21</sup> Wówczas pro-Cromwellowski.

w otaczających pojazdy chmurach much – to karawany wracały z nocnych wypraw na podmiejskie cmentarze. Inne wozy, pełne ludzi, przemieszczały się pod eskortą pieszych z dzwonekami i czerwonymi kijami w dłoniach, kierując się za miasto. W pobliżu starych fortyfikacji i skrzyżowania z drogą do Oxfordu, gdzie kończyła się ulica Holborn, ulokowano prowizoryczny szpital, a kiedy zapełnił się trupami, następny umieszczono w Marylebone, na północ od szubienicy w Tyburn. Niektórzy pasażerowie wozów wyglądali całkiem zdrowo, inni jednak osiągnęli stan, w którym najmniejszy ruch przyprawiał ich o piekielny ból, przez co nawet bez dzwoneków i czerwonych kijów zbliżanie się tych pojazdów było oczywiste: przy najlżejszym podskoku na nierównościach drogi dobiegały z nich głośnie wrzaski i żarliwe modlitwy. Daniel i inni nieliczni przechodnie cofali się na ich widok w progi domostw i zasłaniali twarze chustkami.

Przeszedł przez Newgate, minął resztki rzymskich murów i więzienie (ciche, lecz bynajmniej nie puste) i skierował się w stronę kwadratowej wieży kościoła Świętego Pawła, gdzie umęczeni dzwonnicy bili w olbrzymi dzwon, odmierzając wiek zmarłych. Stara dzwonnica chyliła się na bok od tak dawna, że londyńczycy przestali zwracać na to uwagę. W tych szczególnych okolicznościach wydawała się jednak jeszcze bardziej krzywa niż zwykle i Daniel zaczął się martwić, że może mu runąć na głowę. Zaledwie przed kilkoma tygodniami Robert Hooke i sir Robert Morray wdrapali się na nią, żeby przeprowadzić doświadczenie z wahadłami dwustopowej długości. Teraz katedrę otaczał ziemny wał podobny do szańca – to świeże groby piętrzyły się dobry jard nad powierzchnią dziedzińca.

Dym z palonego węgla wyżarł połowę starej fasady kościoła, więc przed trzydziestu, może czterdziestu laty doklejoną do niej nowomodny, klasycystyczny portyk. Nowe kolumny już zaczynały się kruszyć, tym bardziej że konstrukcja sklepiń, które powstały w ich cieniu za czasów Cromwella, pozostawiła na nich trwałe blizny. Wtedy to okrągłogłowi kawalerzyści wynieśli i spalili ławki z zachodniej części katedry, a w opróżnionym wnętrzu urządzili olbrzymią stajnię dla blisko tysiąca wierzchowców, których gnój sprzedawali zziębniętym londyńczykom jako paliwo po cztery pensy za buszel. We wschodniej połowce kościoła Drake, Bolstrood i inni odprawiali nabożeństwa i wygłaszali trzygodzinne kazania dla kurczącej się gromadki wiernych. Teraz ponoć król Karol zarządził remont świątyni, ale Daniel jakoś nie mógł się dopatrzeć jego śladów.

Obszedł katedrę od południa, chociaż nie była to najkrótsza droga, ponieważ chciał sobie obejrzeć południowy transept, który jakiś czas temu się zawalił. Mówiło się, że co większe kamienie wywożono stąd na budowę nowego skrzydła rezydencji Johna Comstocka przy Picadilly – i rzeczywiście, wielu kamieni brakowało, ale w tej chwili w pobliżu kościoła pracowali tylko grabarze.

Cheapside. Mężczyźni wdrapywali się po drabinach do górnych okien zabitego na głucho domu i wynosili z niego bezwładne, wycieńczone dzieci, które jakimś cudem przeżyły rodziców. W dole, bliżej rzeki, Daniel natknął się na jedyne większe zbiorowisko ludzi: długą

kolejkę przed domem doktora Nathaniela Hodgesa, jednego z nielicznych medyków, którzy zostali w mieście. Kawałek dalej, też przy Cheapside, znajdował się dom Johna Wilkinsa. Wilkins przysłał Danielowi klucz, który jednak okazał się zbędny, gdyż do domu już się włamano. Złodzieje powyrywali deski z podłogi i pocięli materace, przez co wnętrze – zaśmiecone kawałkami drewna i słomą – upodobniło się do stodoły. Zrzućli z półek całe rzędy książek, żeby sprawdzić, czy czegoś za nimi nie ukryto. Daniel podstawił je na miejsce, zatrzymując tylko dwie czy trzy najnowsze, które miał zawieźć Wilkinsowi.

I poszedł do kościoła Świętego Wawrzyńca Żydowskiego<sup>22</sup>. „Idź za rynną i znajdź płazy”, napisał Wilkins. Daniel obszedł dookoła usłany grobami kościelny dziedziniec, ale ów nie osiągnął jeszcze stadium, w którym nowych zmarłych chowano by na głowach poprzednich; większość parafian Wilkinsa stanowili zamożni kupcy bławatni, którzy w porę uciekli do swoich wiejskich rezydencji. Rdzawoczerwona miedziana rura połączona z opadającą z narożnika dachu rynną zakrzywiła się i wchodziła do wnętrza kościoła przez znajdujące się poniżej wybite okno. Daniel wszedł do środka i tropem miedzianej rury trafił do piwnicy, gdzie uspione boskie akcesoria czekały na swoją chwilę w nieubłaganie odmierzającym czas kalendarzu liturgicznym (Wielkanoc, Boże Narodzenie i tak dalej) lub na nagłe wstrząsy w obowiązującej teologii (dostojnicy Wysokiego Kościoła, w rodzaju świętej pamięci biskupa Lauda, kazali grodzić ołtarze, żeby parafialne psy nie obsikiwały Stołu Pańskiego; barbarzyńcy z Niskiego Kościoła, tacy jak Drake, opowiadali się przeciwko tym praktykom; wielebny Wilkins, któremu bliżej było do Drake’a niż do Lauda, trzymał płotek w piwnicy). W pomieszczeniu dało się słyszeć intensywne buczenie, tak niskie, że ściany prawie wpadały w wibracje. Można by pomyśleć, że to ukryci po kątach mnisi wyśpiewują swoje psalmy, ale w rzeczywistości źródło dźwięku stanowiła ogromna musza społeczność (niektóre okazy były tak ogromne, że musiały chyba bzyrzeć basem), która wylęgła się ze szcurzych trucheł, zalegających posadzkę niczym zeschnięte jesienne liście. Śmierdziało odpowiednio.

Miedziana ronna przebijała sufit piwnicy i uchodziła do kamiennej chrzcielnicy – naprawdę potężnej, takiej w której dałoby się zanurzyć całe dziecko – wciśniętej przez kogoś w kąt pomieszczenia prawdopodobnie w tym samym okresie, kiedy król Henryk VIII wyrzucił z kraju papistów. Daniel domyślił się tego, spojrzawszy na zdobienia chrzcielnicy, tak gęsto upstrzonej symbolami Rzymu, że gdyby ktoś chciał je wszystkie zetrzeć,

---

<sup>22</sup> Kościół ten nie miał nic wspólnego z Żydami. Swą nazwę tylko po części zawdzięczał faktowi, że wybudowano go w części miasta zamieszkaanej przez Żydów, dopóki Edward I w 1220 r. nie wyrzucił ich z Anglii. W społeczeństwie katolickim czy anglikańskim w zasadzie nie było miejsca dla Żydów, ponieważ cały kraj został podzielony na parafie i każdy mieszkaniec należał - z definicji - do Kościoła, który zbierał podatki, prowadził rejestr urodzeń i zgonów, i wymuszał regularne uczestnictwo w nabożeństwach. Dominacja tzw. religii państwowej sprawiała, że dysydenci w rodzaju Drake’a nie mieli innego wyjścia, jak głosić ideę zgromadzeń, skupiających ludzi o podobnych poglądach na dowolnym obszarze. Cromwell, który zalegalizował istnienie takich zgromadzeń, pośrednio zezwolił także na powrót Żydów do Anglii.

uszkodziłby strukturę naczynia. Kiedy woda z rynny wypełniła chrzcielnicę, przelewała się na podłogę, ściekała w kąt i wsiąkała w ziemię. Zapewne właśnie źródło wody pitnej zwabiło tu taką gromadę szczurów.

Chrzcielnica była przykryta obciążoną cegłami kratą, spod której dobiegał radosny rechot. Różowe pasemko wystrzeliło spomiędzy prętów kraty, trafiło muchę w locie, na ułamek sekundy zastygło napięte jak struna i błyskawicznie zostało wciągnięte z powrotem. Daniel odsunął cegły, zdjął kratę i ujrzał kilka żab, zdrowych jak konie, wielkich jak teriery i zdolnych upolować przelatującą jaskółkę. Żaby spojrzały na niego. Stojąc tak w sercu Miasta Umarłych, Daniel parsknął śmiechem. Duch rodny wpadł w ciała szczurów w morderczy szał, przeobraził ich trupy w muchy, a te ginęły, dając życie gromadce szczęśliwych, zielonych, mrugających teraz na niego żab.

Tysiące ledwie słyszalnych chrobotów zlały się w jeden dźwięk, do złudzenia przypominający odgłos, jaki wydaje zacinający deszcz ze śniegiem, kiedy uderza o szybę. Daniel spojrzał w dół: to hordy pcheł porzuciły szczurze zwłoki, zbiegły się do niego ze wszystkich zakamarków, a teraz skakały i odbijały się od skórzanych cholewek wysokich butów. Przeszukał piwnicę, znalazł kosz na chleb, wrzucił do niego żaby, przykrył je kawałkiem szmaty i wyszedł z kościoła.

Z dziedzińca nie widział wprawdzie rzeki, domyślał się jednak, że zaczyna się odpływ. Woda z Tamizy pomalutku zaczynała ściekać rynsztokiem pośrodku Poultry Lane w dół, w stronę Leadenhall. Zazwyczaj niosła tony papierów porzuconych przez handlarzy na Gieldzie, ale teraz rynsztok był usłany zwłokami szczurów i kotów.

Starając się trzymać jak najdalej od niego, ruszył w przeciwną stronę, pod górę, ku obrzeżom dzielnicy złotników, gdzie ulice Threadneedle, Poultry, Lombard i Cornhill spletały się w chaotyczny węzeł. Skierował się w górę Cornhill i trafił do najwyższego punktu londyńskiego City, w którym Cornhill łączyła się z Leadenhall (biegnącą stamtąd dalej na wschód), Fish Street (prowadzącą wprost na Most Londyński) i Bishopsgate (ciągącą się w dół ku murom miejskim, Bedlam i położonemu tuż obok cmentarzysku dla zadżumionych). Na środku skrzyżowania znajdował się hydrant z czterema wylotami, skierowanymi w odchodzące od niego ulice. Rzeczna woda tryskała z wylotów i splukiwała rynsztoki. Hydrant łączył się z zakopaną pod Fish Street rurą, biegnącą do północnego krańca Mostu Londyńskiego, gdzie w czasach elżbietańskich pewien zmyślny Holender zbudował koła wodne. Nawet jeśli ich opiekunowie pomarli albo uciekli na wieś, podczas odpływu koła kręciły się z zapalem i kierowały wodę do pomp zainstalowanych pod Fish Street. Woda miała dwojakie działanie: ze wzgórza dwa razy dziennie splukiwała zgromadzone na nim nieczystości, a wszędzie poza tym dwa razy dziennie przynosiła falę śmieci, odchodów i zwierzęcych trupów.

Idąc w ślad za wspomnianą falą, patrzył, jak woda w rynsztokach staje się coraz brudniejsza, ale nie doszedł do murów: zatrzymał się przed dużym domem, a właściwie

kompleksem mieszkalnym, wybudowanym przed stu laty przez sir Thomasa Greshama (tego od maksymy o złym pieniądzu wypierającym dobry) za pieniądze, które zarobił na reformie monetarnej i kredytach udzielanych Koronie. Podobnie jak wszystkie stare pół murowane, pół drewniane budynki, dom Greshama powoli wypaczał się i gubił pion, ale Daniel go uwielbiał, ponieważ był siedzibą Kolegium Greshama i Towarzystwa Królewskiego.

A także domem Roberta Hooke'a, Kuratora Eksperymentów w Towarzystwie Królewskim, który przed dziewięcioma miesiącami wprowadził się do kolegium, dzięki czemu mógł już bez przerwy prowadzić swoje doświadczenia. Przysłał Danielowi spis przeróżnych drobiazgów, niezbędnych mu do pracy w Epsom. Daniel odłożył kosz z żabami i resztę rzeczy na stół w pokoju, w którym odbywały się spotkania Towarzystwa, po czym, traktując go jako coś w rodzaju bazy wypadowej, rozpoczął wyprawy po apartamentach Hooke'a, wszystkich pokojach, pomieszczeniach na strychu i komórkach w piwnicy, które Towarzystwo zaanektowało jako przestrzeń magazynową.

Zobaczył, podeptał i przekopał się przez niezliczone plastry wycięte z pni drzew, które ktoś zgromadził w jednym miejscu, aby udowodnić, że cienkie fragmenty słoików mają skłonność do zwracania się ku północy. Czego tam nie było... Brazylijska ryba kompasowa, którą Boyle zawiesił na nitce pod sufitem, żeby sprawdzić, czy (zgodnie z legendą) zachowa się podobnie do plastrów drewna (kiedy Daniel się na nią natknął, wskazywała południe z lekkim odchyleniem na południowy wschód). Słoiki ze sproszkowanymi płucami i wątrokami żmij (komuś się wydawało, że można z nich stworzyć młode żmije); z tak zwanym proszkiem sympatycznym, który ponoć w magiczny sposób przyspieszał gojenie ran; z próbkami tajemniczej czerwonej cieczy, pobranej z Krwawego Stawu w Newington; z orzeszkami betelu, drzazgami drewna lawsonii, ziarnami kulczyby i sproszkowanym rogiem nosorożca. Kłębek włosów, który sir William Curtius znalazł w żołądku krowy. Ślady niedokończonych eksperymentów: zatopione w wodzie kamyki, które ledwie dało się przecisnąć przez szyjki słoików (później zamierzano sprawdzić, czy kamienie da się wyjąć; jeśli nie, byłby to dowód, że urosły od wody); ogromne ilości porąbanego na szczapy drewna najróżniejszych gatunków, krajowych i zagranicznych (pozostałości prób wytrzymałościowych, jakim Towarzystwo bez końca poddawało drewniane belki); serce hrabiego Balcarres, który łaskawie zapisał je w spadku Towarzystwu, zastrzegłszy się jednak, że warunkiem otrzymania schedy jest śmierć darczyńcy z przyczyn naturalnych; pudełko pełne kamyków, które różni ludzie wykastywali z płuc i które Towarzystwo zbierało z zamiarem wysłania w prezencie królowi; setki gniazd ptaków i os, opatrzonych nazwiskami członków Towarzystwa, z dumą dostarczających je do kolegium; skrzynka z dziecięcymi kręgami, wydobytymi z olbrzymiego wrzodu w boku kobiety, która dwanaście lat wcześniej poroniła. Zakonserwowane w słojach z alkoholem ludzkie płody, głowa żrebaka z podwójnym okiem pośrodku czaszki, oraz japoński węgorz. Rozpięta na ścianie skóra jagnięcia o dwóch tułowiach, siedmiu nogach i jednym łbie. Rozkładająca się w szklanych pojemnikach kolekcja jadowitych węży, które padły z

głodu; niektóre miały łeb przywiązany do ogona – najwyraźniej padły ofiarą eksperymentu, w którym kazano im naśladować Uroborosa. Następne kłęбки włosów. Serce straconego przestępcy, na pierwszy rzut oka niczym nie różniące się od serca hrabiego Balcarres. Fiolka z ziarenkami, które podobno pewna holenderska dziewczyna wydalila w moczu. Słoik niebieskiego barwnika, uzyskanego z wyciągu z galasów, i słoik zielonego, wyprodukowanego z węgierskiego witiolu. Szkic przedstawiający jednego z karłów, którzy rzekomo mieli zamieszkiwać Wyspy Kanaryjskie. Setki odłamków magnetytu najróżniejszych kształtów i rozmiarów. Model zaprojektowanej przez Hooke'a gigantycznej kuszy, która miała miotać wielorybiczne harpuny. Szklana rurka w kształcie litery U, którą Boyle napełnił żywym srebrem, chcąc wykazać, że fluktuacje rtęci i ruch wahadła mają sporo wspólnego.

Hooke prosił Daniela o przyniesienie różnych części, narzędzi i materiałów niezbędnych przy konstruowaniu zegarów i innych precyzyjnych mechanizmów; kamyków znalezionych w sercu hrabiego; cylindrycznego pojemnika z żywym srebrem; higroskopu wykonanego z wąsów głuchego owsa; soczewki osadzonej w drewnianej ramie; grubych, wypukłych okularów do patrzenia pod wodą; kolektora rosy<sup>23</sup>; części sporej kolekcji zwierzęcych pęcherzy (rybiego, świńskiego, krowiego i tak dalej). Zażyczył sobie również ogromnej, całkowicie nierealistycznej liczby kul różnej wielkości i wykonanych z różnych materiałów (ołowiu, bursztynu, drewna, srebra *et caetera*), nieocenionych w eksperymentach wymagających turlania i rzucania. Chciał również dostać części zamienne do sprężarki oraz swoje Sztuczne Oko. Na koniec prosił Daniela o zebranie „wszelkich napotkanych szczeniąt, kociąt, kurcząt i myszy, ponieważ dostępne na miejscu zapasy kurczą się w zastraszającym tempie”.

Mimo kłopotów, jakie ostatnio przeżywała poczta, w kolegium zebrano trochę listów. Większość z nich była zaadresowana po prostu „GRUBENDOL, Londyn”. Zgodnie z poleceniem Wilkinsa Daniel zebrał wszystkie listy i dorzucił do stosu rzeczy przeznaczonych do zabrania, tylko te adresowane do GRUBENDOLA związał w osobną paczuszkę.

Teraz mógł już opuścić Londyn – brakowało mu tylko pieniędzy i jakiegoś środka transportu umożliwiającego przewiezienie całego tego majdanu. Zszedł Bishopsgate na dół, zostawiwszy w kolegium wszystko oprócz kosza z żabami, które wymagały stałego nadzoru, skręcił w Threadneedle i dotarł do Cornhill. W pobliżu skrzyżowania dominowała gęsta zabudowa szeregowa, a domy wychodziły na obie te ulice jednocześnie. Widząc siedzących na dachach mężczyzn, uzbrojonych w muszkiety i palących fajki, nawet analfabeta domyśliłby się, że domy należą do złotników. Daniel skierował się do jednego z nich, opatrzonego szyldem BRACIA HAM. W witrynie przy drzwiach wystawiono kilka błyskotek

---

<sup>23</sup> Stożkowate naczynie, szerokie u góry i zwężające się ku dołowi, które po napełnieniu zimną wodą (a najlepiej śniegiem) zostawiało się na noc na dworze. Rankiem rosa skraplała się na jego zewnętrznych ściankach i ściekała do podstawionego pojemnika.



i dwie złote płytki, jakby dla zasygnalizowania, że Bracia Ham w dalszym ciągu wytwarzają towary ze złota.

W zakratowanym judaszu pojawiła się męska twarz.

– Daniel! – Judasz zatrzasnął się ze szczękiem, drzwi jęknęły, zadźwięczały, kiedy gospodarz odsunął potężne żelazne sztaby, i wreszcie stanęły otworem. – Wejdz.

– Dzień dobry, wuju Thomasie.

– Raczej przyrodni szwagrze niż wuju – zauważył Thomas Ham, jakby uparcie wierzył, że pedanterię i powtarzalność można za pomocą jakichś alchemicznych zabiegów przekuć w dowcip.

Jeśli chodzi o pedanterię, to właściwie słusznie poprawił Daniela – ożenił się z jego przyrodnią siostrą; jeśli zaś idzie o powtarzalność, to żartował w ten sam sposób odkąd Daniel pamiętał. Miał ponad sześćdziesiąt lat i należał do ludzi, którzy potrafią być jednocześnie żyłaci i otyli: niewiarygodne brzuszysko zwisało na chudej poza tym jak szczapa sylwetce, a obwisłe, trzęsące się policzki opadały z ostrych niczym brzytwy kości twarzy. Miał szczęście, że przygruchał sobie śliczną Mayflower Waterhouse – a w każdym razie tak uważał.

– Wystraszyłem się, kiedy tu trafiłem. Myślałem, że grzebiecie umarłych. – Daniel wskazał usypane w pobliżu fundamentów kopczyki ziemi.

Ham rozejrzał się dyskretnie po całej Threadneedle, tak jakby to, co robił, mogło być dla kogokolwiek tajemnicą.

– Budujemy kryptę, ale nie taką jak w kościele – odparł. – Dalej, wchodź. Co tam tak rechocze w tym koszu?

– Nająłem się za tragarza. Mógłbym pożyczyć od wuja na kilka dni jakiś wózek albo taczki?

– Owszem, mam wózek. Ciężki i solidny. Przewoziliśmy nim kasety pancerne do mennicy i z powrotem, ale odkąd wybuchła zaraza, nikt go nie ruszał. Możesz go śmiało wziąć.

W salonie znajdowało się jeszcze parę żalonych śladów jubilerskiego interesu, ale większość miejsca zajmowało olbrzymie biurko i książki. Schody prowadziły do znajdującej się na wyższych piętrach części mieszkalnej, ciemnej i pustej.

– Mayflower z dziećmi są w Buckinghamshire, prawda? – odezwał się Daniel. – Co tam u nich?

– Dzięki Bogu wszystko w porządku. Jej ostatni list naprawdę mnie uspokoił. Ale chodź, chodź na dół.

Wuj Thomas przeprowadził go przez następne wrota rodem z twierdzy, zaklinowane w pozycji otwartej, i po wąskich schodach zeszli pod poziom gruntu. Pierwszy raz, odkąd wyszedł z domu ojca, Daniel nie czuł żadnego przykrego odoru, lecz tylko łagodną woń świeżo wznuszonej ziemi.

Nigdy przedtem nie został zaproszony do piwniczki, chociaż, naturalnie, wiedział o jej istnieniu. Ze sposobu, w jaki o niej mówiono – czy raczej ze sposobu, w jaki unikano mówienia o niej – wnosił, że albo jest pełna złota, albo duchów. Teraz przekonał się, że jest nedorzecznie mała i przytulna jak na reputację, którą się cieszyła, a także w przyjemny sposób angielska – a przy tym faktycznie pełna złota. W dodatku z każdą chwilą stawała się coraz większa i coraz mniej przypominała zwykłą dziurę w ziemi. W pobliżu schodów leżały ułożone w stos złote półmiski, misy, dzbanki, noże, widelce, łyżki, kielichy, chochle, świeczniki i sosjerki, a obok worki monet, zapakowane w pudełka medale, ozdobione profilami różnych europejskich dostojników i upamiętniające tę czy tamtą bitwę, najprawdziwsze złote sztabki oraz grudki złota o nieregularnym kształcie, nazywane gąskami. Każdy przedmiot miał przywieszkę z opisem, na przykład następującym: „367 i 11/32 uncji troy, zdeponowane przez lorda Rochester w dniu 29 wrz. 1662”. Przedmioty ułożono podobnie jak stawiane bez zaprawy kamienne mury, czyli mniejsze poutykano w wolnych przestrzeniach pomiędzy większymi w taki sposób, żeby cała konstrukcja nie runęła na ziemię. Złoty kopiec był obsypany ziemią, odłamkami cegieł i kawałkami stwardniałej zaprawy, ponieważ w przeciwnym końcu pomieszczenia trwała wyteżona praca. Jeden robotnik rozkopywał kilofem ziemię i szuflą ładował ją do kosza, drugi wynosił ją na górę, cieśla mocował się z grubymi belkami, zajęty czynnościami, które, jak domyślał się Daniel, miały na celu zapobieżenie zawaleniu się domu Hamów, a murarz z pomocnikiem budowali fundamenty i ściany nowej piwniczki. Piwnica wyglądała bardzo schludnie i nie było w niej ani jednego szczura.

– Nie widać chyba świeczników należących do twojej świętej pamięci matki, ponieważ znalazły się w tylnej warstwie tej... eee... konstrukcji... – zaczął Thomas Ham.

– Nie zamierzam jej naruszać – uspokoił go Daniel i wyjął wypisaną przez ojca notę.

– Ach tak! Nie ma sprawy. Z przyjemnością spełnię tę prośbę – oznajmił pan Ham, kiedy już włożył na nos okulary, wczytał się w treść noty i zatrzęsł obwisłymi policzkami jak ogar węszący za zwierzyną. – Kieszonkowe dla młodego naukowca... Czy raczej młodego sługi bożego? Jak to jest?

– Podobno Cambridge nieprędko zostanie znów otwarte, muszę więc szukać nauki gdzie indziej – odparł Daniel z roztargnieniem. Przyglądał się małej kupce przybrudzonych przedmiotów, które nie były wykonane ze złota. – A to co takiego?

– Resztki rzymskiego domu, który dawniej stał w tym miejscu – wyjaśnił pan Ham. – Ci, którzy się takimi sprawami interesują, a przyznam, że do nich nie należę, twierdzą, że przed tysiąc dwustu laty z okładem płynął tędy strumień zwany Walbrook, wpadający do Tamizy w miejscu, gdzie stał pałac gubernatora prowincji. Rzymscy bławatnicy pobudowali domy na jego brzegach, żeby ułatwić sobie transport towarów.

Daniel odgarnął obcasem buta sypką ziemię ze znajdującej się pod spodem twardej powierzchni i odsłonił układankę z maleńkich wielokątów w kolorze rudobrazowym, indygo,

białym i beżowym. Patrzył na wycinek pokrytej mozaiką podłogi. Odgarnął więcej ziemi i zorientował się, że ma przed sobą nagą nogę, zgiętą w kolanie i z obciążoną stopą, jakby jej właściciel gdzieś biegł. Z kostki wyrastały dwa małe skrzydełka.

– Zachowamy tę rzymską posadzkę – zapewnił go pan Ham. – Przyda nam się zapora, która powstrzyma spryciarzy z łopatami. Jonas? Gdzie są te inne drobiazgi?

Mężczyzna z kilofem pchnął nogą w ich stronę drewnianą skrzynkę, do połowy wypełnioną różnymi drobiazgami. Były w niej dwa kościane grzebienie, gliniana lampa, szkielec broszy, kilka klejnotów, które dawno wypadły z opraw; fragmenty zdobionych polewą naczyń oraz jakiś długi, smukły przedmiot, który Daniel wziął za spinkę do włosów, oczyściwszy go uprzednio z ziemi. Najprawdopodobniej wykonano ją ze srebra, ale z wiekiem paskudnie szerniała.

– Weź ją, chłopcze – powiedział pan Ham, mając na myśli nie tylko spinkę, ale także błyszczącą srebrną jednofuntówkę, którą właśnie wygrzebał z kieszeni. – Może przyszłej pani Waterhouse sprawi przyjemność upinanie włosów błyskotką zdobiacą kiedyś głowę żony jakiegoś rzymskiego kupca.

– Słuchacze Kolegium Trójcy Świętej nie mogą się żenić – zauważył Daniel. – Ale i tak ją wezmę. Może doczekam się bratanicy albo innej krewnej o pięknych włosach, której nie przeszkodzi pogański charakter ozdóbki.

Zorientował się już, że spinka ma kształt kaduceusza.

– Pogański?! W takim razie wszyscy jesteśmy poganami! Przecież to symbol Merkurego, patrona handlu, którego w tej piwnicy i w całym naszym mieście czci się od tysiąca lat. Cześć oddają mu zarówno kupcy, jak i biskupi. Ten kult dostosowuje się do każdej religii, tak jak żywe srebro dopasowuje się do kształtu naczynia. Pewnego dnia, Danielu, spotkasz młodą damę, która będzie równie elastyczna. Masz.

Wepchnął Danielowi monetę do ręki, zacisnął mu na niej palce i ujął jego pięść, chłodną od dotyku metalu, w swoje ciepłe dłonie w geście błogosławieństwa.

\* \* \*

Daniel popychał przed sobą wózek, idąc Cheapside na zachód. Wstrzymał oddech, przemknął obok cuchnącego cmentarzyska otaczającego katedrę Świętego Pawła i nie odważył się odetchnąć pełną piersią, dopóki nie przeszedł przez Ludgate. Jeszcze gorsze było przejście przez most na kanale Fleet Ditch, prawie zatarasowanym trupami szczurów, psów i kotów, jak również całkiem sporą liczbą ludzkich zwłok. Ten, kto zrzucił je z wozów, nie miał nawet na tyle przyzwoitości, żeby chociaż przysypać je ziemią. Daniel obwiązał usta i nos chustką; zdjął ją dopiero za Tempie Bar, minąwszy strażnicę stojącą na środku Strandu naprzeciwko Somerset House. Między budynkami migwały mu już zielone pola i odległy

widnokrag, a wiatr niósł zapach gnoju, który w porównaniu z wonią Londynu wydawał się wręcz cudowny.

Obawiał się trochę, że koła wózka ugrzęzną w błocku wiecznie zalegającym na Charing Cross, ale letnie upały i mały ruch sprawiły, że skrzyżowanie było suche jak pieprz. Sfora pięciu bezdomnych psów odprowadzała Daniela wzrokiem, gdy przemierzał poślubiony koleinami, spieczony słońcem plac. Przyszło mu do głowy, że mogłyby go zaatakować, ale ulżyło mu, gdy zauważył, że jak na bezdomne psy są wyjątkowo spasio.

Oldenburg mieszkał w rezydencji przy Pall Mall. Nie licząc jednego czy dwóch bohaterskich lekarzy, był jedynym członkiem Towarzystwa, który mimo zarazy nie wyjechał z Londynu. Daniel wyjął paczkę listów adresowanych do GRUBENDOLA i położył ją na progu. Wysłano je z Wiednia, Florencji, Paryża, Amsterdamu, Berlina, Moskwy...

Trzykrotnie zapukał do drzwi, a kiedy się spod nich cofnął, dostrzegł okrągłą twarz człowieka, który mu się przyglądał. Patrzył przez zielone, deformujące obraz szybki w oknie jak przez kurtynę łez. Żona Oldenburga zmarła niedawno (choć nie na dżumę) i nie brakowało ludzi, którzy podejrzewali, że wdowiec został w mieście tylko po to, by czarna śmierć jak najszybciej go do niej zabrała.

Opuszczając Londyn, Daniel miał aż nadto czasu, żeby skojarzyć, że GRUBENDOL jest anagramem nazwiska Oldenburg.

## **Epsom**

### **1665-1666**

*To wskazuje, jak konieczne jest dla człowieka, który dąży do prawdziwej wiedzy, by badał definicje wcześniejszych autorów i aby bądź je poprawiał, gdy zostały ustalone niedbale, bądź też sam je tworzył. Błędy bowiem, które wynikają z definicji, mnożą się w miarę, jak postępuje naprzód rozumowanie; i prowadzą ludzi do niedorzeczności, które oni wreszcie w pewnej chwili dostrzegają, lecz nie mogą ich usunąć, nie rozpoczynając na nowo rozumowania.*

Hobbes, *Lewiatan*

John Comstock mieszkał w Epsom nieopodal Londynu, w rozległej posiadłości, której rozmiary były mu bardzo na rękę podczas zarazy, ponieważ jego lordowska mość mógł udzielić gościny kilku członkom Towarzystwa Królewskiego (co dodatkowo podnosiło jego i tak niemały już prestiż), nie wchodząc z nimi w bliższy kontakt (zakłócający spokój jego domostwa i poważnie zagrażający bezpieczeństwu jego zwierząt domowych). Daniel doskonale zdawał sobie z tego sprawę, gdy jeden ze służących Comstocka przywitał go przy

bramie i poprowadził z dala od dworku przez swoistą obronną strefę buforową, złożoną z pastwisk i ogrodów, do stojącego na uboczu domku, sprawiającego wrażenie zapuszczonego i dziwnie zagraconego.

Po jednej jego stronie rozciągało się cmentarzysko, dosłownie białe od zgromadzonych na nim czaszek psów, kotów, szczurów, świń i koni. Po drugiej znajdował się staw, na którym tłoczyły się modele statków o niezwykłych typach ożaglowania. Nad studnią wisiał skomplikowany wielokrążek, od którego lina biegła w poprzek pastwiska aż do stojącego na jego krańcu niedokończonego rydwanu. Na dachu stały rzędem małe wiatraczki przedziwnej konstrukcji; jeden z nich zainstalowano dokładnie nad kominem i jego łopatki poruszały się w snopie dymu. Wszystkie wyższe gałęzie w okolicy były obwieszane wahadłami, którym wiatr poplątał sznurki, tworząc postrzępioną filozoficzną pajęczynę. Na trawniku przed domem rozpościerało się mechaniczne cudo złożone z masy zębatek i przekładni, zepsute albo nigdy nie ukończone. Obok stało olbrzymie koło, zaprojektowane w taki sposób, żeby człowiek mógł wejść do środka i, napędzając je ruchem nóg, przemieszczać się po okolicy.

Drabiny opierały się o wszystkie ściany, drzewa i drzewka zdolne utrzymać ich ciężar. Na jednej z nich stał korpulentny blondyn, który na pierwszy rzut oka był już bliski dnia swojej naturalnej śmierci, ale chyba nie zamierzał na nią czekać: wspinał się po drabinie w skórzanych butach na sztywnych podeszwach, zapewniających idealny poślizg na szczeblach, i przytrzymywał się tylko jedną ręką, drabina zaś przy każdym jego kroku cal po calu odskakiwała wstecz. Daniel dopadł do niej i ją przytrzymał, a następnie spojrzał do góry na rozhuśtaną postać wielebnego Wilkinsa, który w wolnej ręce trzymał jakiś uskrzydłony przedmiot.

Skoro już o uskrzydłonych obiektach mowa, Daniel poczuł delikatne łaskotanie, spuścił wzrok i stwierdził, że na dłoniach usadowiło mu się kilkanaście pszczoł. W empirycznym przerażeniu patrzył, jak jedna z nich wbija żądło w luźny fałd skóry między kciukiem i palcem wskazującym. Zagryzł wargi i uniośł głowę, chcąc się przekonać, czy gwałtowne puszczenie drabiny na pewno skończyłoby się niechybną śmiercią Wilkinsa. Odpowiedź brzmiała: Owszem. Pszczoł przybywało: buszowały Danielowi w grzywce nad czołem, śmigły między szczeblami drabiny i buczącą chmurą otaczały całego Wilkinsa.

Wilkins tymczasem osiągnął największą dostępną mu wysokość – beczelnie kusząc PANA, by poraził go swą mocą – i wypuścił trzymany w dłoni przedmiot. Cichy terkot obwieścił uruchomienie jakiegoś mechanizmu; coś zafurkotało i poszybowało w powietrzu, wchodząc z nim w interakcję, z pewnością bardziej złożoną niż zwyczajny spadek swobodny – ale koniec końców i tak opadło, odbiło się od kamiennej ściany domku i rozleciało na części, sypiąc odłamkami po całym podwórku.

– W ten sposób nigdy nie uda mi się dolecieć na księżyc – mruknął Wilkins.

– Wydawało mi się, że chce się pan dać wystrzelić na księżyc z armaty.

Wilkins poklepał się po brzuchu.

– Jak widzisz, młodzieńcze, mam stanowczo zbyt wiele *vis inertiae*, aby dało się mnie dokądkolwiek wystrzelić. Z dowolnej broni. Zanim do ciebie zejdę, pozwól, że zapytam: Dobrze się czujesz, młody człowieku? Nie masz dreszczy, opuchlizn, potów?

– Przypuszczałem, że się pan tym zainteresuje, doktorze Wilkins, i specjalnie spędziłem z żabami dwie noce w gospodzie w Epsom. Jestem zdrow jak ryba.

– Wyśmienicie! Pan Hooke ogołocił okolicę ze wszystkich małych zwierząt; gdybyś nie mu nie przyniósł, kazałby pokroić ciebie. – Wilkins zaczął schodzić po drabinie. Jego krokom brakowało pewności, masywne pośladki zbliżały się do Daniela nieuchronnie niczym widmo ostatecznej zagłady. Stanąwszy wreszcie na *terra firma*, nieustraszonym machnięciem ręki opędził się od pszczoł. Obaj otrzepali ręce z insektów i przywitali się długim, ciepłym uściskiem dłoni. Pszczoły stopniowo przestawały się nimi interesować i zwracały swą uwagę ku błyszczącej konstrukcji ze szkła. – To dzieło Wrena – wyjaśnił Wilkins. – Chodź, pokażę ci. – Podreptał w ślad za pszczołami.

Lśniaca konstrukcja była modelem budynku; miała wydmuchaną ze szkła kopułę i rzeźbione kryształowe kolumny. Była utrzymana w gotyckim stylu i nadawałaby się na rządowy gmach w Londynie albo siedzibę uniwersytetu. Przez otwarte drzwi i okna swobodnie wlatywały i wylatywały pszczoły, które w środku zbudowały sobie gniazdo – prawdziwą katedrę z sześciokątnych komórek.

– Z całym szacunkiem dla pana Wrena, dostrzegam tu pewne pomieszanie stylów...

– Coś podobnego! Gdzie?! – Wilkins zerknął na model w poszukiwaniu zakłóceń architektonicznej harmonii. – Każę chłopaka wychłostać!

– To nie wina budowniczego, lecz lokatorów. Te woskowe sześciokąćki... niezupełnie pasują do koncepcji pana Wrena, nieprawdaż?

– A który styl bardziej ci się podoba? – zapytał podchwytliwie Wilkins.

– No...

– Zanim odpowiesz, miej świadomość, że idzie do nas pan Hooke – dodał wielebny szeptem.

Spojrząwszy w stronę domu, Daniel zobaczył zbliżającego się Hooke'a, który był zgarbiony, a na twarzy popielaty; wydawał się niemal przezroczysty, jak jedna z tych szarych plamek przemykających czasem pod powiekami.

– Dobrze się czuje?

– Miewa swoje napady melancholii, zrzedzi na brak odważnych kobiet...

– Pytałem, czy nie jest chory.

Hooke przystanął przy wózku Daniela, zwabiony rechosem żab. Wziął kosz do ręki.

– Zawsze wygląda, jakby od kilku godzin wykrwawiał się na śmierć. Ale na twoim miejscu bardziej bałbym się o żaby niż o Hooke'a.

Na twarzy Wilkinsa bezustannie błąkał się wszechwiedzący, ironiczny uśmieszek, dzięki któremu wielebny mógł bezkarnie wypowiadać się na wszelkie tematy. Ten właśnie uśmiech,

w połączeniu ze zdarzającymi mu się czasem majstersztykami taktycznymi (takimi jak ślub z siostrą Cromwella w okresie bezkrólewia), tłumaczył chyba najlepiej, w jaki sposób udawało mu się przetrwać wojny domowe i rewolucje jakby były zaledwie zwykłymi przedstawieniami w teatrze. Pochylił się nad szklanym ułem, udając, że łamie go w krzyżu, sięgnął pod spód i po chwili scenicznych manipulacji wyciągnął ze środka słoik wypełniony mniej więcej na wysokość cała mętnym, brunatnym miodem.

– Jak widzisz, pan Wren nie zapomniał o kanalizacji.

Podał słoik Danielowi (naczynie było w dotyku ciepłe jak krew) i skierował się w stronę domu. Daniel poszedł za nim.

– Mówiłeś, że odbyłeś kwarantannę w Epsom. Musiałeś zatem zapłacić za pobyt w gospodzie, to zaś oznacza, że masz jakieś pieniądze. Z pewnością od Drake'a. Coś ty mu powiedział, na miłość boską? Że po co się tu wybierasz? Muszę to wiedzieć, żeby przy okazji napisać mu w liście, że właśnie tym się zajmujesz – wyjaśnił Wilkins przepraszającym tonem.

– Że chcę być na bieżąco z postępami nauki, europejskiej i nie tylko. Mam go uprzedzić, gdybym zauważył oznaki zbliżającej się Apokalipsy.

Wilkins pogładził się po niewidzialnej brodzie i pokiwał głową w zadumie. Daniel doskoczył do drzwi domku i otworzył je na oścież. Weszli do pierwszej izby, w której w rozległym palenisku dogorywał ogień. Dwa lub trzy pokoje dalej Hooke krzyżował właśnie żabę na kawałku deski; słychać było jego przekleństwa, gdy przypadkiem uderzył się młotkiem w kciuk.

– Może pomożesz mi przy książce...

– Szykuje pan nowe wydanie *Cryptonomiconu*?

– Nawet o tym nie myśl! Niech mnie diabli, prawie zapomniałem o tym starociu. Napisałem go ćwierć wieku temu. Pomyśl tylko, co to były za czasy: król odchodził od zmysłów; jego ministrów wieszano w parlamencie; jego własni ludzie, obsługujący mosty zwodzone, odcieśli go od arsenałów; wrogowie przechwytywali za granicą listy, które jego żona, francuska papistka, słała do zagranicznych władców, błagając ich o interwencję. Hugh Peters wrócił z Salem i podbuntował purytanów, co nie było wcale takie trudne, jeśli się weźmie pod uwagę, że król, goły jak święty turecki, zagarnął całe złoto kupców zdeponowane w Tower. Szkoccy prezbiterianie pod Newcasde, zbuntowani katolicy w Ulsterze, panika w Londynie, dżentelmeni sięgający po broń pod byle pretekstem, albo i bez pretekstu. Zresztą gdzie indziej wcale nie działo się lepiej: w Europie trwająca od dwudziestu pięciu lat wojna trzydziestoletnia, wilki pożerające dzieci na trakcie pod Besançon, rozpad Hiszpanii i Portugalii na dwa osobne królestwa. Holendrzy wykorzystali sytuację i zagarnęli portugalską Melakę. Wtedy było oczywiste, że *Cryptonomicon* powstał, a ludzie go kupili! Jeśli jednak *Cryptonomicon* był Omegą, pomagał ukryć informację, stłumić światło i oddać świat mrokom, to *Pismo uniwersalne* jest Alfą. Początkiem. Świtem. Świecą w ciemnościach. Nie jestem przypadkiem niesmaczny?

– Czy to ma coś wspólnego z pomysłem Comeniusa?

Wilkins pochylił się nad Danielem, jakby zamierzał wytargać go za uszy.

– To jest jego pomysł! Tym właśnie chcieliśmy się zająć, my i cała gromada Niemców: Hartlib, Haak, Kinner, Oldenburg, kiedy wpadliśmy na pomysł założenia Niewidzialnego Kolegium<sup>24</sup>. Ale, widzisz, prace pana Comeniusa spłonęły na Morawach.

– Przez przypadek? Czy...

– To doskonałe pytanie, młodzieńcze. Na Morawach nigdy nic nie wiadomo. Gdyby w czterdziestym pierwszym posłuchał mojej rady i został przełożonym Kolegium Harvarda, jego los mógłby się potoczyć inaczej...

– Koloniści wyprzedziliby nas o dwadzieścia pięć lat!

– Istotnie. Tymczasem filozofia naturalna kwitnie w Oxfordzie, w nieco mniejszym stopniu w Cambridge, a żalosny Harvard wlecz się w ognie.

– Ciekaw jestem, dlaczego pana nie posłuchał?

– Tragedia uczonych z Europy Środkowej polega na tym, że wiecznie próbują stosować swą filozoficzną przenikliwość na niwie polityki.

– A Towarzystwo Królewskie jest...

– Całkowicie i bezwzględnie apolityczne – odparł Wilkins i posłał Danielowi sceniczne, dramatycznie przesadzone perskie oko. – Gdybyśmy nie mieszały się do polityki, za kilka pokoleń latalibyśmy skrzydlatymi rydwanami na księżyc. Wystarczyłoby pozbyć się pewnych barier, które hamują postęp...

– Na przykład?

– Łaciny.

– Łaciny?! Ale przecież łacina jest...

– Wiem, uniwersalnym językiem uczonych i duchownych, *et caetera, et caetera*. Poza tym tak pięknie brzmi, prawda? Możesz wyartykułować po łacinie dowolną bzdurę, a nasi żałośni uczeni i tak będą zachwyceni, a przynajmniej oszołomieni. To dlatego papieżom tak długo udawało się wciskać ludziom kiepską religię: wykładali ją po łacinie. Gdybyśmy jednak rozwikłali ich poplątane frazy i przełożyli je na język filozoficzny, natychmiast ujawniłyby się zawarte w nich sprzeczności i luki.

– Mhm... Powiedziałbym wręcz, że gdyby istniał należycie skonstruowany język filozoficzny, nie można by formułować w nim fałszywych twierdzeń, nie naruszając reguł jego gramatyki – ośmielił się wtrącić Daniel.

– Oto jego najzwyczajniejsza definicja! Chyba nie próbujesz ze mną konkurować, co? – spytał dobrodusznie Wilkins.

– Nie! – Przerażony Daniel nie wychwycił ironii w jego głosie. – Rozumowałem po prostu w zgodzie z zasadami analizy kartezjańskiej, w której nie sposób zapisać fałszywego stwierdzenia, o ile wszystkie terminy są zrozumiałe.

---

<sup>24</sup> Poprzednik Towarzystwa Królewskiego.



– Ach, terminy! To jest najtrudniejsze. Właśnie dla ich zapisu opracowuję język filozoficzny i system znaków uniwersalnych, żeby uczeni wszystkich ras i narodów mogli wyrażać w nich swoje idee.

– Jestem do pańskich usług, doktorze. Kiedy zaczynamy?

– Natychmiast! Zanim Hooke skończy z żabami, bo kiedy tu przyjdzie i zobaczy, że nic nie robisz, zniewoli cię. Każe ci sprzątać żabie bebechy albo, co gorsza, ocenić dokładność wskazań jego zegarów. Będziesz musiał cały dzień stać przed wahadłem... i... liczyć... jego... wahnięcia.

Hooke wszedł do pokoju. Jego kręgosłup prezentował się fatalnie – nie dość, że przygięty do ziemi, to jeszcze wykrzywiony. Przydługie brązowe włosy niechlujnie okalały twarz, a kiedy Hooke trochę się wyprostował i uniósł głowę, opadły na boki, jak franki, odsłaniając jego blade oblicze. Niedogolone policzki sprawiały, że wydawał się jeszcze bardziej wychudzony, a jego oczy jeszcze większe niż w rzeczywistości.

– Żaby też – stwierdził.

– Nic mnie już nie zdziwi, panie Hooke.

– Wygląda na to, że wszystkie żywe stworzenia są z nich złożone.

– Nie myślał pan o spisaniu swoich spostrzeżeń, panie Hooke? Panie Hooke?!

Ale Hooke wyszedł już na podwórze przed stajnię, żeby wykonać następny eksperyment.

– Złożone z czego? – spytał Daniel.

– Kiedy pan Hooke ogląda coś przez swój nowy mikroskop, za każdym razem stwierdza, że obiekt składa się z małych cegiełek, podobnych do siebie jak dwie krople wody – zdradził mu Wilkins. – I ułożonych jak cegły w murze.

– Jak wyglądają te cegły?

– On ich tak nie nazywa. Są puste w środku, więc nazwał je „komórkami”... Ale chyba nie chcesz dalej słuchać tych bzdur. Mój drogi Danielu, najlepiej zapomnij o komórkach. Aby zrozumieć język filozoficzny, musisz wiedzieć, że wszystkie rzeczy na ziemi i w niebie dzielą się na czterdzieści rodzajów, w których oczywiście wyróżniamy dalsze podziały.

Wilkins szturchnięciem skierował Daniela do służbówki, gdzie ktoś wstawił już biurko i złożył na stopy masę książek i papierów, poświęciwszy ich porządkowi tyle samo uwagi, co pszczoły kolejności lepienia sześciokątnych komórek plastra. Wilkins, przechodząc, spowodował spore zawirowanie powietrza, toteż kartki pofrunęły w powietrze. Daniel złapał jedną z nich i przeczytał, co na niej zapisano: „Orlica, proso, jęczmnik, nasięźrał, podejźrzon, uludka, algi, łyzy hiobowe, zaraza, łuskiewnik, chrzan, fiołek, skalnica, konwalia, marzanka, dąbrówka, endywia, mlecz zwyczajny, mlecz koleczasty, aminek zębodłubka, krwawnica, groszek”.

Wilkins skinął niecierpliwie głową.

– Zioła torebkowane, nie dzwonekowane, i wiecznozielone krzewy jagodonośne. Musiały się jakoś pomieszać z tymi rodzącymi żołędzie i orzechy.

– Czyli język filozoficzny to rodzaj botanicznego...

– Spójrz na mnie! Widzisz, jak drzę? Wzdragam się na samą myśl o botanice! Błagam cię, Danielu, weźże się w garść. Ta sterta zawiera nazwy wszystkich zwierząt, od tasiemca do tygrysa. Tu są terminy geometrii euklidesowej, a także te związane z czasem, przestrzenią i porównaniami. Tu jest klasyfikacja chorób: krosty, czyraki, torbiele, strupy, podżebrowe wapory śledzionowe, bóle miednicy, duszności.

– Czy duszności to choroba?

– Doskonałe pytanie. Bierz się do pracy i znajdź na nie odpowiedź – zadudnił basem Wilkins.

Daniel podniósł tymczasem następną kartkę.

– Fujara, ptaszek, fiut...

– Synonimy penisa – wyjaśnił zirytowany Wilkins.

– Dziad, żebrak, jałmużnik, szmaciarz...

– Synonimy żebraka. W języku filozoficznym będzie tylko jedno określenie na penisa, jedno na żebraka. Powiedz mi, Danielu, czy jest różnica między utyskiwaniem i gderaniem? Szybciutko!

– Tak mi się wydaje, ale...

– Albo coś z innej beczki: Czy możemy połączyć przyklęknięcie z dygnięciem i nadać im jedną nazwę?

– No... Nie wiem, doktorze.

– Widzisz? Czekają nas mnóstwo pracy. Ja w tej chwili ugrzęzłem w niekończących się dygresjach na temat Arki.

– Przymierza?

– Nie, tej drugiej.

– Jaki to ma związek z językiem filozoficznym?

– JF musi zawierać jedno – i tylko jedno – słowo na określenie każdego gatunku zwierzęcia. Każde takie określenie musi odzwierciedlać jego przynależność gatunkową. To znaczy, że nazwy okonia i leszcza powinny brzmieć podobnie, tak jak nazwy rudzika i drozda. Zarazem miana ptasie muszą wyraźnie różnić się od rybich.

– Brzmi to bardzo... ambitnie.

– Pół Oxfordu zasypuje mnie nudnymi listami. Moim, to znaczy naszym zadaniem jest je posegregować, stworzyć tablicę zawierającą nazwy wszystkich stworzeń na świecie. Sklasyfikowałem już zwierzęta uciążliwe dla innych: wszy i pchły; umieściłem w tablicy te, które przechodzą dalszą przemianę – gąsienice i larwy. Wyróżniłem insekty jednorogie o osłoniętych skrzydłach, a także zwierzęta bezkrwawe o stożkowatych skorupach; uprzedzając twoje pytanie dodam, że podzieliłem je na takie, których stożki są spiralnie skręcone, i takie, które są tego skręcenia pozbawione. Łuskowate ryby rzeczne. Roślinożerne ptaki długoskrzydłe. Drapieżne kotowate... I kiedy tak rysowałem te tabele i sporządzałem listy,

przyszło mi do głowy, że gdy cofniemy się do Księgi Rodzaju, rozdziału szóstego, wersów od piętnastego do dwudziestego drugiego, okaże się, że Noe musiał jakoś upakować te wszystkie istoty w drewnianej balii o długości trzystu łokci! Zacząłem się martwić, że niektórzy uczeni z kontynentu, żywiący ateistyczne sentymenty, mogliby wykorzystać mój spis do podważenia prawdziwości wydarzeń opisanych w Księdze Rodzaju...

– Można sobie też wyobrazić, że jezuita użyłby go przeciwko panu, twierdząc, że pan również wykazuje ateistyczne ciągoty, doktorze Wilkins.

– W rzeczy samej, Danielu! Dlatego też muszę sporządzić i załączyć w osobnym rozdziale dokładny opis Arki Noego, na którym nie tylko zilustruję rozlokowanie wszystkich zwierząt, ale wskażę też miejsca składowania paszy dla roślinożerców, żywego bydła dla drapieżników oraz zapasów paszy przeznaczonych dla tegoż, aby utrzymać je przy życiu dopóki nie zostanie pożarte... Gdzie, pytam, gdzie to wszystko się pomieściło?!

– Potrzebna była też woda pitna – dodał Daniel.

Wilkins, który miał w zwyczaju podchodzić coraz bliżej i bliżej do ludzi, z którymi rozmawiał, aż ci zaczynali się przed nim cofać, chwycił plik papierów z najbliższego stosu i grzmotnął nim Daniela w głowę.

– Zaniedbujesz lekturę Pisma, młodzieńcze! Przecież cały czas padało!

– No tak, naturalnie, zwierzęta mogły pić deszczówkę – odparł dotkliwie upokorzony Daniel.

– Potraktowałem miarę łokcia dość swobodnie – przyznał Wilkins, jakby zdradzał swój wielki sekret – ale myślę, że wystarczyłoby tysiąc osiemset dwadzieścia pięć owiec. Dla mięsożerców.

– Musiały zająć cały jeden pokład!

– Nie chodzi o to, ile miejsca potrzebowały. Znacznie poważniejszy problem stanowił ich gnój. Ktoś musiał uprzętać go za burtę. Ale mniejsza z tym. Grunt, że problem Arki zastopował wszelkie prace nad JE. Chciałbym, żebyś zajął się Obelgami.

– Jak to?!

– Czy nie czułeś, drogi Danielu, pewnej irytacji, słysząc, jak jeden z niedouczonej londyńczyków nazywa drugiego „nikczemnym łotrem”? „Nędznym tchórzem”? „Cwanym szelmą”? „Leniwym obibokiem”? „Służalczym fagasem”?

– To zależy od tego, kto kogo wyzywał...

– Nie, nie, nie! Zacznijmy od czegoś prostszego. „Puszczalska dziwka”.

– Zbędny epitet. Fraza razi ucho kulturalnego słuchacza.

– Bezmyślny bałwan.

– To samo. Podobnie rzecz ma się z tym „fagasem” i pozostałymi.

– A zatem w języku filozoficznym w takich sytuacjach nie potrzebujemy osobnych przymiotników i rzeczowników.

– A co pan powie na „Niedomytego flejtucha”?

– Doskonale! Zapisz to, Danielu.

– Rozpustny alfons... Krotochwilny kawalarz... Perfidny zdrajca...

Kiedy Daniel kontynuował tę wyliczankę, Wilkins doskoczył do biurka, wyjął pióro z kałamarza i strząsnął nadmiar atramentu. Wrócił do Daniela, wcisnął mu pióro do ręki i zaprowadził go do biurka.

I w ten sposób zagonił do pracy. W kilka krótkich godzin Daniel wyczerpał Obelgi, wzięt się za Cnoty (intelektualne, etyczne i teologiczne), a następnie przeszedł do Kolorów, Dźwięków, Smaków i Zapachów, Zawodów, Rzemiosł (do których zaliczył m. in. ciesielstwo, szycie i alchemię) i tak dalej. Mijały dni. Wilkins szybko się irytował, jeśli uznał, że Daniel (lub ktokolwiek inny) pracuje zbyt ciężko, często więc urządzało w kuchni „sympozja” i „seminaria”; miód z gotyckiego ula Wrena przydawał się wtedy do przygotowania grzanego wina. Często odwiedzała ich Charles Comstock, piętnastoletni syn ich szlachetnego gospodarza, i przysłuchiwał się wykładom Wilkinsa lub Hooke’a. Zwykle przynosił też listy, wysyłane na adres Towarzystwa przez Huygensa, Leeuwenhoeka, Swammerdama albo Spinozę, nierzadko zawierające nowe idee, które Daniel natychmiast wprowadzał do tablic języka filozoficznego.

Pracował akurat w pocie czoła nad listą rzeczy, jakie człowiek może posiadać (były już na niej akwedukty, osie, pałace i zawiasy), kiedy dobiegło go natarczywe wołanie Wilkinsa. Gdy zszedł na parter, wielebny trzymał w dłoniach piękny list, a Charles Comstock właśnie sprzątał ze stołów: związał arkusze z przekrojami Arki i grafikami karmienia tysiąca ośmiuset dwudziestu pięciu owiec, żeby schować je i zrobić miejsce dla ważniejszych papierów. Oto Karol II, z łaski bożej król Anglii, przysłał im list. Jego Wysokość raczył zauważyć, że jaja mrówek są większe od samych mrówek, i niniejszym zapytywał, jak to możliwe.

Daniel natychmiast pobiegł po mrówcze gniazdo i wkrótce wrócił w glorii, niosąc na szufli serce mrowiska. We frontowym pokoju Wilkins zaczął dyktować (a Charles Comstock pisać) odpowiedź dla króla – nie jej treściwą część, lecz długie akapity wstępne, obfitujące w usprawiedliwienia i ociekające pochlebstwami: „Swą światłością opromienia Wasza Wysokość krainy, które od dawna... eee... tkwiły w... no...”.

– To brzmi jak aluzja do Króla Słońce – ostrzegł Wilkinsa Charles.

– To ją wykreśl! Bystry z ciebie chłopak. Przeczytaj mi ten cały bełkot.

Mijając laboratorium Hooke’a, Daniel zwolnił kroku, ale zanim zebrał się na odwagę i zapukał, Hooke go usłyszał i otworzył drzwi. Skinął na gościa i wskazał mu solidnie poplamiony stół, uprzątnięty i gotowy do pracy. Daniel wszedł do pokoju, zrzucił mrówcze gniazdo na blat, odstawił szufłę – i dopiero wtedy odważył się głębiej odetchnąć. Pracownia Hooke’a nie cuchnęła aż tak okropnie, jak się tego spodziewał.

Hooke odrzucił opadające na twarz włosy i kawałkiem sznurka związał je z tyłu głowy w kucyk. Daniel nie mógł się nadziwić, że różnica wieku między nimi wynosi zaledwie dziesięć

lat: przed kilkoma tygodniami, w czerwcu, Hooke obchodził trzydzieste urodziny. Mniej więcej w tym samym czasie Daniel z Isaakiem uciekali z zadżumionego Cambridge.

Hooke nie odrywał wzroku od żywego kopczyka ziemi na stole. Zawsze mrużył oczy i skupiał wzrok na małym wycinku obrazu, jakby patrzył na świat przez pustą łodyżkę sitowia. Kiedy wędrował po świecie albo siedział we frontowej izbie domku, wyglądało to dość dziwnie, ale kiedy obserwował mały wszechświat na swoim stole, nabierało sensu. Mrówki biegały w tę i z powrotem, wynosząc z ruin jaja i ustawiając szyki obronne. Stojący naprzeciw niego Daniel miał przed sobą tę samą scenę, ale najwyraźniej nie widział tego co Hooke.

W dwie minuty napatrzył się na mrówki do syta, po pięciu zaczął się nudzić, a po dziesięciu przestał nawet udawać zainteresowanie i zaczął kręcić się po laboratorium, oglądając pozostałości mikroskopowych próbek Hooke'a: kawałki porowatego kamienia, skrawki zapleśniałej skóry z buta, słóiczek z etykietką MOCZ WILKINSA, drzazgi skamieniałego drewna, niezliczone kopertki z nasionami, owady w słoikach, fragmenty różnych materiałów, maleńkie dzbanki z napisami ZĘBY ŚLIMAKÓW oraz ZĘBY JADOWE ŻMIJ. W kącie leżała sarta przykurzonych, zardzewiałych narzędzi – noży, igieł i brzytw. Złośliwy żart sam się cisnął na usta: Hooke prędzej położyłby brzytwę pod mikroskop, niż się nią ogolił.

Ponieważ czekanie przedłużało się w nieskończoność, Daniel doszedł do wniosku, że zamiast tracić czas, może spróbować się czegoś nauczyć. Sięgnął ostrożnie do stosu ostrych przyborów, wziął z niego igłę i przeniósł ją na stół przy oknie (Hooke zaanektował wszystkie pokoje, których okna wychodziły na południe, żeby mieć jak najwięcej światła), gdzie stała umieszczona na małym stojaku rura – podobnej wielkości jak zwinięty w rulon arkusz papieru do pisania, z jedną soczewką na górze i drugą, maleńką, wielkości kurzego ślepią, u dołu. Ta dolna była wycelowana w mały podest, mocno oświetlony wpadającymi przez okno promieniami słońca. Daniel położył na nim igłę i spojrzał w górną soczewkę mikroskopu.

Spodziewał się ujrzeć błyszczącą, zwierciadlaną powierzchnię metalowego pręta, zobaczył jednak tylko pokrzywiony patyk. Czubek igły przypominał zaokrągloną, upstrzoną kraterami kupkę żużlu.

– Panie Waterhouse? – odezwał się Hooke. – Kiedy już skończy pan to, czym się pan zajął, pozwoli pan, że skonsultuję się z moim Merkurym.

Daniel wyprostował się i odwrócił. W pierwszej chwili pomyślał, że Hooke każe mu przynieść rtęć<sup>25</sup> (którą od czasu do czasu pijał jako lekarstwo na bóle i zawroty głowy, a także inne przypadłości), ale Hooke stał przy stole ze wzrokiem utkwionym w mikroskop.

– Ależ naturalnie!

Merkury był posłańcem bogów. Nosicielem informacji.

– Co pan teraz myśli o igłach? – zainteresował się Hooke.

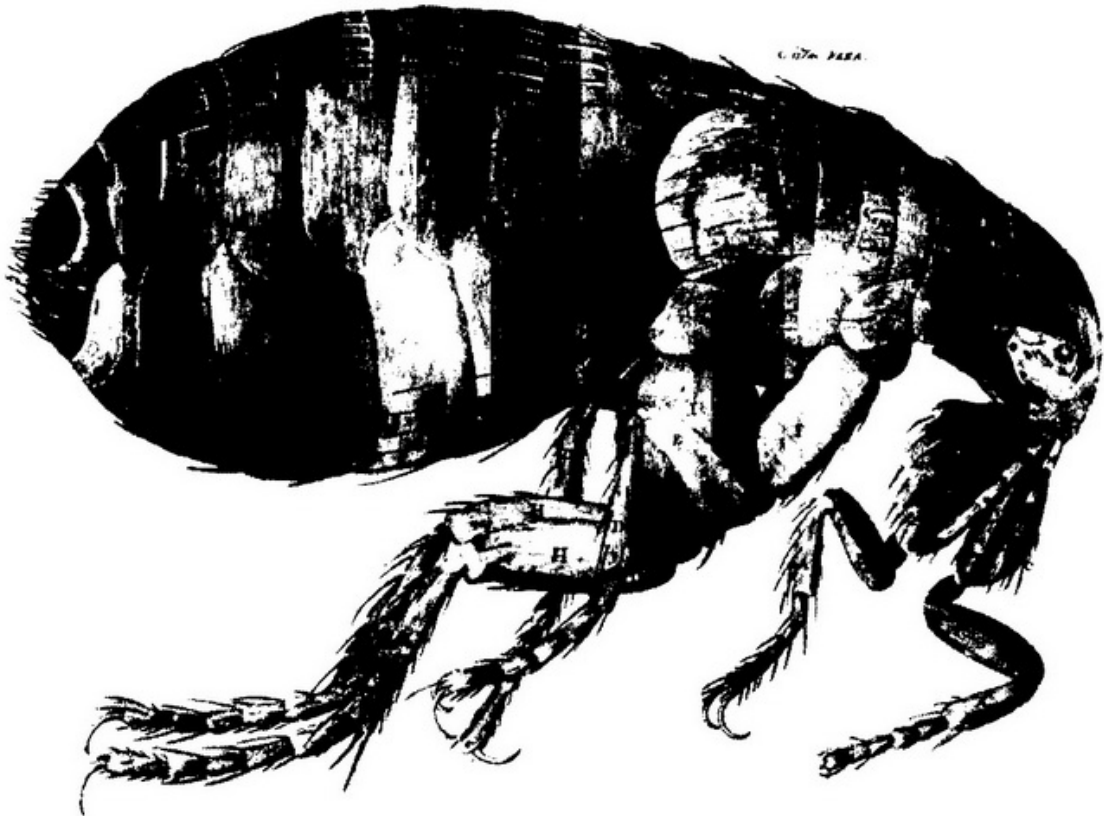
---

<sup>25</sup> Angielskie słowo Mercury oznacza zarówno Merkurego, jak i rtęć (przyp. tłum.).

Daniel wyjął igłę spod mikroskopu i podniósł do oczu. Nagle ujrzał ją w zupełnie nowym świetle.

– Ma wręcz odstręczający wygląd.

– Brzytwy są jeszcze gorsze. Mają przeróżne kształty, ale zawsze dalekie od ideału. Dlatego przestałem już oglądać pod mikroskopem wytwory rąk ludzkich: ich toporność i brzydota są przykre dla oka. Tymczasem obiekty, które powinny wyglądać brzydko, w powiększeniu zachwycają swoim widokiem. Ja postaram się zaspokoić królewską ciekawość, pan zaś może tymczasem przejrzeć moje ryciny.



Przeniósł mrówcze jajo pod mikroskop i gestem wskazał stos papierów, które Daniel zaczął przeglądać.

– Nie wiedziałem, że jest pan artystą.

– Po śmierci ojca oddano mnie do terminu do pewnego malarza-portrecisty.

– Był znakomitym nauczycielem...

– Stary osioł niczego mnie nie nauczył – burknął Hooke. – Wystarczy pooglądać obrazy, żeby dowiedzieć się wszystkiego na temat malarstwa. O ile ma się choć trochę oleju w głowie. Po co tracić czas na terminowanie?

– Ta pchła to prawdziwe arcydzieło...

– Wcale nie. To nawet nie jest sztuka, tylko wyższa forma partactwa – zaproponował Hooke. – Kiedy oglądałem tę pchłę pod mikroskopem, widziałem w jej oku doskonałe odbicie ogrodów i rezydencji Johna Comstocka, kwitnących kwiatów, wydymany wiatrem zasłon w oknach...

– To wspaniałe – przyznał Daniel, i to całkiem szczerze; wcale nie starał się być w tej chwili cwany, szelmą ani służalczym fagasem.

Mimo to Hooke się zirytował.

– Powtórzę to: Prawdziwe piękno można znaleźć tylko w dziełach natury. Im bardziej powiększa się i im uważniej ogląda obiekty sztucznego pochodzenia, tym głębsze i bardziej szpetne się wydają. A świat naturalny w powiększeniu okazuje się coraz bardziej złożony i coraz piękniejszy.

Wilkins zapytał Daniela, co mu się bardziej podoba: szklany ul Wrena czy gniazdo, które pszczoły zbudowały w środku. A potem ostrzegł go, że Hooke się zbliża i może ich usłyszeć. Teraz Daniel rozumiał jego zachowanie: dla Hooke’a istniała tylko jedna odpowiedź.

– Muszę przyznać panu rację.

– Dziękuję.

– Nie chciałbym wyjść na zrzedliwego jezuitę, muszę jednak zapytać, czy mocz Wilkinsa jest tworem naturalnym, czy sztucznym?

– Widział pan słoik...

– Widziałem.

– Gdyby zlał pan mocz wielebnego do innego naczynia i obejrzał jego pozostałości pod mikroskopem, ujrzałby pan klejnoty, których Wielcy Mogołowie mogliby mu pozazdrościć. Przy mniejszym powiększeniu przypominają żwir, ale jeśli zastosować lepszy obiektyw i mocniejsze oświetlenie, naszym oczom ukazuje się góra kryształów: rombów, prostokątów, kwadratów, białych, żółtych i czerwonych, które błyszczą jak brylanty w dworskim pierścieniu.

– Czy tak samo wygląda mocz każdego człowieka?

– U wielebnego jest tych klejnotów więcej. Ma kamień w pęcherzu.

– Mój Boże!

– Na razie nie ma powodów do obaw, ale kamień rośnie i za kilka lat z pewnością go zabije.

– I ten kamień składa się z tej samej substancji, co kryształy w moczu?

– Takie jest moje zdanie.

– Czy nie można go jakoś...?

– Rozpuścić? Oliwa albo witriol mogłyby pomóc, ale wątpię, żeby nasz wielebny chciał je sobie wprowadzić do pęcherza. Proszę jednak rozpocząć własne badania, jeśli pan chce. Ja wypróbowałem tylko oczywiste środki.

\* \* \*

Po świecie rozeszła się wieść o śmierci Fermata, który pozostawił po sobie kilka nieudowodnionych twierdzeń. Zmarł również Filip, król Hiszpanii, i na tronie zasiadł jego

syn, Karol II. Był jednak chorowity i należało oczekiwać, że nie dożyje końca roku. Portugalia uzyskała niepodległość. Niejaki Lubomirski szykował w Polsce rokosz.

John Wilkins pracował nad unowocześnieniem pojazdów konnych. W tym celu zawiesił nad studnią obciążnik, który, spadając w głąb studni, ciągnął przywiązane na linie rydwany. Za pomocą jednego z zegarów Hooke'a można było mierzyć ich prędkość. Ten obowiązek spadł na barki Charlesa Comstocka, spędzającego całe dnie na próbach rydwanów i naprawach połamanych kół. Służący jego ojca czerpali ze studni wodę dla znajdującego się pod ich opieką żywego inwentarza, toteż często musiał demontować wielokrażek i wyciągać ciężar. Daniel z uśmiechem na ustach obserwował jego zmagania, przygotowując spis Kar:

## **KARY GŁÓWNE ORAZ SPOSOBY ROZMAITE UŚMIERCANIA LUDZI W MAJESTACIE PRAW, KTÓRE W RÓŻNYCH NACJACH SĄ LUB BYŁY STOSOWANE**

### *PROSTE, POPRZEZ:*

- rozdzielenie części ciała:
  - oddzielenie głowy od ciała: ŚCIĘCIE, dekapitacja, odgłowienie.
  - oddzielenie innych części ciała od siebie nawzajem: POĆWIARTOWANIE, rozczłonkowanie.
- zranienie
  - na odległość:
    - ręcznie: UKAMIENOWANIE.
    - za pomocą przyrządów – muszkietów, łuków etc: ROZSTRZELANIE.
  - z bliska, za pomocą:
    - ciężaru innego obiektu: ZMIAŻDŻENIE.
    - ciała ofiary: STRĄCENIE, defenestracja, zrzucenie.
    - broni, poprzez pchnięcie:
      - dowolne: ZADŹGANIE, zarżnięcie, zasztyletowanie.
      - z dołu do góry: NABICIE NA PAL.
- odebranie niezbędnego pożywienia lub podanie zatrutego
  - ZAGŁODZENIE.
  - OTRUCIE, wytrucie.
- odcięcie dopływu powietrza
  - przy ustach:
    - w powietrzu: UDUSZENIE, zadławienie.
    - pod ziemią: POGRZEBANIE ŻYWCEM.
    - w wodzie: UTOPIENIE.



- w ogniu: SPALENIE ŻYWCEM.
- w gardle:
  - za pomocą ciężaru ciała ofiary: POWIESZENIE.
  - z użyciem siły osób trzecich: UDUSZENIE, zadławienie, zgarotowanie.

*MIESZANE*, POWSTAŁE PRZEZ POŁĄCZENIE RANIENIA I GŁODZENIA; CIAŁO W POZYCJI:

- pionowej: UKRZYŻOWANIE.
- leżącej, na kole: ŁAMANIE KOŁEM.

## **KARY INNE NIŻ GŁÓWNA, PODZIELONE ZE WZGLĘDU NA OBIEKT CIERPIEŃ:**

*CIAŁO* – nazwa ogólna, sygnalizująca ogromny ból: TORTURY

- bicie
  - przyrządem wiotkim: CHŁOSTA, biczowanie, smaganie.
  - przyrządem sztywnym: DAWANIE KIJÓW, pałowanie, bastonada.
- rozciąganie ciała przemocą
  - na leżąco: ŁOŻE SPRAWIEDLIWOŚCI.
  - w powietrzu: STRAPPADO.

*WOLNOŚĆ*, której człowiek zostaje pozbawiony przez

- ograniczenie możliwości poruszania się
  - w miejscu odosobnienia: UWIĘZIENIE, posadzenie za kratkami, aresztowanie, zamknięcie, przymknięcie, internowanie, zapuszkowanie; więzienie, paka, ciupa, kić, pierdel.
  - na skutek użycia przedmiotu: ZAKUCIE W KAJDANY, łańcuchy, okowy, pęta, kajdanki, bransoletki, więzy, żelaza.
- poza krajem
  - za zgodą innego państwa: WYGNANIE, banicja, deportacja.
  - wiążące się z uwięzieniem na terytorium innego państwa: ZSYŁKA, zesłanie.

*REPUTACJA*, jeśli ucierpi w sposób

- łagodny: INFAMIA, potępienie, pręgierz.
- bolesny, przez wypalenie znaków na skórze: NAPIĘTNOWANIE, naznaczenie.

*MIENIE*, utracone

- częściowo: GRZYWNA, mandat, kara pieniężna.
- w całości: KONFISKATA, przepadek.

*GODNOŚĆ I WŁADZA*, przez pozbawienie

- tytułu: DEGRADACJA, usunięcie, zdjęcie ze stanowiska, wydalenie.

- zdolności sprawowania urzędu: DYSKWALIFIKACJA, pozbawienie praw.

Kiedy Daniel biczował, pałował, smagał i maltretował swój umysł na wszelkie wymyślne sposoby, próbując wymyślić rodzaje kar, które im z Wilkinsem umknęły, usłyszał dobiegający z pracowni Hooke’a szcęk krzesiwa. Zaciekawiony, poszedł sprawdzić, co też on oznacza.

Hooke stał nad czystą kartką papieru.

- Proszę zaznaczyć, gdzie trafiają iskry – poprosił.

Daniel zastygł z piórem w ręce nad kartką i obwodził kółeczkiem ślad każdej większej iskry na papierze. Następnie obejrzelni papier pod mikroskopem i pośrodku każdego okręgu znaleźli pozostałość iskry: mniej lub bardziej sferyczny skrawek stali.

– Jak pan widzi, proponowana przez alchemików koncepcja ciepła jest niedorzeczna – stwierdził Hooke. – Nie ma czegoś takiego, jak pierwiastek ognisty. Ciepło to tylko krótkotrwałe wzburzenie cząstek obiektu. Jeżeli uderzymy kamieniem o kawałek stali, jej drobinka zostanie odłupana...

- I to właśnie jest iskra?

– To właśnie jest iskra.

- Ale dlaczego iskry świecą?

– Siła uderzenia tak mocno wzburza cząstki stali, że rozgrzewa ją do temperatury topnienia.

– Zgoda, ale jeśli pańska hipoteza jest słuszna, jeżeli istotnie nie istnieje pierwiastek ognisty, a ciepło pochodzi z uderzających o siebie cząstek, to właściwie dlaczego gorące przedmioty emitują światło?

– Moim zdaniem światło jest rodzajem drgań. Kiedy drobinki wibrują odpowiednio gwałtownie, świecą. Tak jak dzwon, który po uderzeniu wibruje i wydaje dźwięk.

Daniel uznał, że temat został wyczerpany – dopóki pewnego dnia nie poszli z Hookiem nad strumień, żeby zebrać okazy wodnych insektów. Przykucnęli w miejscu, gdzie woda przepływała po większym kamieniu i z bulgotem wpadała do znajdującej się poniżej niecki. Spod wody wypływały bąbelki powietrza, wtłoczonego pod powierzchnię siłą miniaturowego wodospadu: miliony maleńkich sfer pojawiały się i pękały. Hooke zauważył je, zamyślił się na chwilę i stwierdził:

– Planety i gwiazdy są kuliste z tego samego powodu, dla którego bańki i iskry mają sferyczny kształt.

- Jak to?!

– Płyn otoczony innym płynem samoistnie przybiera kształt kuli. Zatem powietrze otoczone wodą tworzy sferę, którą my nazywamy bąblem. Drobinka stopionej stali otoczona powietrzem przybiera kształt kulki, którą nazywamy iskrą. A stopiona ziemia oblana eterem formuje się w sferę, którą nazywamy planetą.

Kiedy w drodze powrotnej podziwiali sierp księżycy goniący zachodzące słońce, Hooke znów się odezwał:

– Gdybyśmy umieli wytworzyć odpowiednio jasne iskry albo inne błyski światła, moglibyśmy patrzeć, jak odbijają się od zacienionej części księżycowej tarczy, i w ten sposób wyznaczyć prędkość światła.

– Moglibyśmy wykorzystać do tego proch strzelniczy – podsunął Daniel. – John Comstock byłby zachwycony.

Hooke obrzucił go chłodnym, badawczym spojrzeniem, jakby próbował stwierdzić, czy Daniel również składa się z komórek.

– Myślisz jak dworzanin – zauważył głosem wypranym z wszelkich emocji. Nie wygłaszał swojej opinii, lecz stwierdzał fakt.

\* \* \*

*Głównym zamiarem wyżej wzmiankowanego klubu było rozpowszechnianie nowych kaprysów i złożonych doświadczeń mechanicznych oraz promowanie eksperymentów zarówno użytecznych, jak i całkowicie nieprzydatnych. Aby realizować ten godny pochwały zamysł, każdego entuzjastycznego artystę, szalonego chemika lub nieobliczalnego wizjonera, który miał choć odrobinę oleju w głowie, przyjmowano, jako mile widzianą bratnią duszę, w poczet członków Towarzystwa, którzy oceniali się nawzajem nie podług urodzenia, lecz wedle zasług, jakie położyli dla odkrycia tajemnic natury, oraz zgodnie z użytecznością nawet najdrobniejszych swoich wynalazków. Szaleniec, który przepuścił fortunę na miech i piec w bezowocnym poszukiwaniu kamienia filozoficznego, albo medyk, który postradał ojcowiznę na pozyskiwaniu niezawodnego panaceum, sal graminis, z popiołów spalonego siana, cieszyli się takim samym poważaniem, jak znakomici mechanicy, którzy, aby zasłużyć na miano wirtuozów, całymi dniami przesiadywali na spotkaniach klubu, gdy tymczasem ich małżonki z pomocą kuzynów przyprawiały im rogi.*

Ned Ward, Klub Wirtuozów

Liście żółkły. Zaraza w Londynie rozszalała się na dobre: w ciągu tygodnia zmarło osiem tysięcy ludzi. Kilka mil dalej, w Epsom, Wilkins, zakończywszy dygresję na temat Arki, zajął się gramatyką i systemem zapisu języka filozoficznego. Daniel uzupełniał brakujące kategorie, między innymi Terminów Związanych Z Żeglarstwem: szwy, raksy, brzuchy żagli i kabestany. Jego umysł błędził daleko od Epsom.

Gdzieś z dołu dobiegał dziwny dźwięk, podobny do brzmienia szarpniętej struny, jakby ktoś bezustannie stroił lutnię. Kiedy Daniel zszedł na parter, Hooke siedział przy stole; z ucha

sterczała mu długa na parę cali stosina gęsiego pióra, a ręką trącał rozpięty na drewnianej ramce kawałek sznurka. Nie był to bynajmniej najdziwniejszy z jego pomysłów, Daniel wrócił więc do swojego zajęcia, które polegało na próbach rozpuszczenia w różnych płynach kamieni podobnych do tych, które zalegały w pęcherzu Wilkinsa. Hooke jednak dalej brzdąkał i mrucał pod nosem, aż w końcu Daniel postanowił zainteresować się bliżej jego poczynaniami.

Na czubku stosiny sterczącej z ucha Hooke'a przysiadła mucha. Daniel chciał ją przepłoszyć, ale mimo że zabzyczała, nie ruszyła się z miejsca. Dopiero popatrzawszy na nią z bliska, zorientował się, że jest przyklejona.

– Zrób to jeszcze raz – polecił mu Hooke. – Ma inny dźwięk.

– Słyszysz pan jej bzyczenie?

– Skrzydła muchy wydają określony dźwięk. Jeśli uda mi się dostroić ten sznurek do tej samej nuty – *plum, plum* – będę wiedział, że skrzydła i sznurek drgają z tą samą częstotliwością. A ponieważ umiem określić częstotliwość drgań sznurka, dowiem się, ile razy na sekundę mucha uderza skrzydełkami. Taka informacja może się nam przydać, jeśli chcemy zbudować maszynę latającą.

Jesienne deszcze rozmyły pole przed domem, zmieniły je w grzędawisko i uniemożliwiły dalsze eksperymenty z rydwanami. Charles Comstock musiał sobie znaleźć inne zajęcie. Wstąpił wprawdzie niedawno do Cambridge, ale z powodu epidemii uniwersytet zamknięto. Daniel domyślał się, że w zamian za prawo zamieszkiwania w Epsom Wilkins zobowiązał się do udzielania Charlesowi lekcji filozofii naturalnej. Nauki jednak najczęściej nie dało się odróżnić od mozolnej harówki przy kolejnych prowadzonych przez Wilkinsa doświadczeniach, z których większość – odkąd pogoda się pogorszyła – odbywała się w piwnicy. Wilkins głodził zamkniętą w słoju żabę, żeby sprawdzić, czy wyrosną z niej młode żabki. Trzymał też w piwnicy wyłowionego z wody karpia i karmił go namoczonym chlebem; Charles musiał kilka razy dziennie przemywać mu skrzela. Królewskie pytanie o mrówki doprowadziło do uruchomienia eksperymentu, który od dawna kusił wielebnego: wkrótce oprócz zdychającej żaby i suszonego karpia w piwnicy zamieszkała olbrzymia larwa, którą należało karmić gnijącym mięsem i raz dziennie ważyć. Kiedy zaczęła śmierdzieć, przenieśli ją do stojącej po zawietrznej szopy, gdzie Wilkins rozpoczął całą serię eksperymentów z muchami i robakami lęgnącymi się w rozkładającym się mięsie, serze i innych substancjach. Wszyscy wiedzieli – a właściwie wszystkim się wydawało – że wylęg insektów następuje spontanicznie. Jednakże Hooke wypatrzył pod swoim mikroskopem znajdujące się na spodzie niektórych liści małe drobinki, z których wyrastały owady; znalazł też w wodzie mikroskopijne jaja, z których wylęgały się gzy. Doszedł więc do wniosku, że podobnie może być ze wszystkimi stworzeniami, rzekomo lęgnącymi się ze zgnilizny – że, być może, w powietrzu i wodzie unosi się mrowie niewidzialnych jajeczek i nasion, które zakiełkują, gdy tylko trafią na podatny – czyli nadpsuty i wilgotny – grunt.

Od czasu do czasu na teren posiadłości wpuszczano (niechętnie) wóz albo karetę przybywającą ze świata zewnętrznego. Z jednej strony miło było mieć świadomość, że w Anglii są jeszcze jacyś żywi ludzie, z drugiej jednak...

– Co to za szaleniec, który tak ciągle przyjeżdża i odjeżdża, nie bacząc na zarazę? – zdziwił się Daniel. – I dlaczego John Comstock go u siebie przyjmuje? Przecież on nas może wszystkich pozarażać!

– Zamiast usiłować go powstrzymać, John Comstock równie dobrze mógłby próbować zaprzestać oddychania – odparł Wilkins, który z bezpiecznej odległości śledził przez lunetę przejazd powozu. – To skryba pieniężny.

Daniel pierwszy raz usłyszał to określenie.

– Nie doszedłem jeszcze w tablicach do miejsca, w którym definiuje się skrybę pieniężnego – przyznał. – Czy on zajmuje się tym samym, co złotnicy?

– To znaczy kuciem złota? Nie.

– To zrozumiałe. Miałem raczej na myśli ten nowy fach, który złotnicy sobie ostatnio przyswoili: wymianę not zastępujących pieniądze.

– Człowiek pokroju hrabiego Epsom nie dopuściłby takiego złotnika w pobliże swojego domu! – zauważył z wyższością Wilkins. – Co innego skrybę pieniężnego. Chociaż, istotnie, wykonują podobny zawód.

– Mógłby mi pan to wyjaśnić? – poprosił Daniel, ale w tym momencie przerwał im dobiegający z sąsiedniego pokoju okrzyk Hooke'a:

– Danielu?! Proszę sprowadzić armatę!

W innych okolicznościach żądanie Hooke'a nastęczyłoby zapewne sporo trudności, mieszkali jednak w majątku człowieka, który zainicjował produkcję prochu w Brytanii i był głównym dostawcą uzbrojenia dla Karola II. Dlatego też Daniel po prostu wyszedł z domu i przekazał prośbę Hooke'a synowi gospodarza, Charlesowi Comstockowi, a ten z kolei zapędził do pracy oddział służących i kilka koni. Wydobyli armatę z prywatnej zbrojowni Johna Comstocka i przetoczyli ją na środek pastwiska. Pan Hooke sprowadził przez ten czas z miasteczka starego służącego, który od dawna był głuchy jak pień. Kazał mu stanąć na tym samym pastwisku, zaledwie sążeń od wylotu lufy (aczkolwiek nieco z boku!). Charles Comstock, znający się na takich sprawach, naładował armatę najlepszym ojcowskim prochem, wcisnął długi lont w zapał, podpalił go i uciekł. Efektem wystrzału była gwałtowna fala sprężonego powietrza, mająca w zamyśle Hooke'a udrozić kanały słuchowe głuchego mężczyzny. W dworku Johna Comstocka posypały się szyby z okien, znakomicie ilustrując słuszność przyjętych założeń, ale służący nie odzyskał słuchu.

– Jak panom zapewne wiadomo, na terenie mojego majątku przebywa obecnie znaczna liczba gości – stwierdził John Comstock, hrabia Epsom i Lord Kanclerz Anglii, który niespodziewanie stanął w progu małego domku.

Hooke i Wilkins wydzierali się wniebogłosy na służącego, chcąc sprawdzić, czy coś słyszy. Daniel pierwszy zauważył gościa i próbował ich przekrzyczeć:

– Panowie?! Panowie!! WIELEBNY!!

Trwające kilka minut zamieszanie, przeprosiny i podejmowane *ad hoc* próby zastosowania się do etykiety skończyły się tym, że Wilkins i Comstock zasiedli po przeciwnych stronach stołu, sącząc z kieliszków bordo, a Hooke, Waterhouse i głuchy służący podpierali tyłkami najbliższą ścianę.

Comstock dobiegał sześćdziesiątki. W Epsom był u siebie, nie bawił się więc w noszenie peruk i innych dworskich atrybutów. Siwe włosy wiązał w zwykły kucyk, ubierał się zaś w proste stroje myśliwsko-jeździeckie.

– W roku, w którym przyszedłem na świat, założono Jamestown, pielgrzymi zbiegli do Lejdy i rozpoczęły się prace nad Biblią Króla Jakuba. Przeżyłem zamieszki i wybuchy paniki w Londynie, zarazę i Spiski Prochowe. Uciekałem z płonących budynków. Zostałem ranny w bitwie pod Newark i w niezbyt komfortowych warunkach musiałem udać się w podróż do bezpiecznego Paryża. Nie była to moja ostatnia bitwa – ani na lądzie, ani na morzu. Byłem świadkiem koronacji Jego Królewskiej Mości na wygnaniu w Scone i towarzyszyłem mu w triumfalnym powrocie do Londynu. Zabijałem. Pan o tym wszystkim dobrze wie, doktorze Wilkins, nie przypominam więc faktów, by się nimi chełpić, ale by podkreślić, że gdybym wiódł samotny żywot w tym oto dworze, mógłby pan strzelać z armat i urządzać pokazy pirotechniczne o każdej porze dnia i nocy. Bez uprzedzenia. Mógłby pan również ułożyć wysoką na pięć sążni górę mięsa i spokojnie czekać, aż zgnije pod oknem mojej sypialni. Nie przeszkadzałoby mi to. Tak się jednak składa, że w moim domu przebywa obecnie sporo szanowanych postaci, w tym także członków rodu królewskiego. Wśród nich jest wiele kobiet, są także osoby w niezwykle młodym wieku. Dwoje moich gości jest jednocześnie tym, tym i tym.

– Na Boga! – wykrzyknął Wilkins.

Daniel obserwował go uważnie. Trudno mu się było dziwić: możliwość oglądania kogoś takiego jak Wilkins, wezwanego na dywanik przez kogoś takiego jak Comstock, stanowiła o wiele większą atrakcję niż najciekawsze nawet szczucie psów na niedźwiedzia w Southwark. Do tej pory Wilkins tylko udawał zakłopotanego, chociaż, trzeba mu przyznać, grał swoją rolę znakomicie. Teraz jednak naprawdę się zawstydził.

„Dwoje moich gości jest jednocześnie tym, tym i tym”. Co to miało znaczyć? Kto należał do rodu królewskiego, był kobietą i zarazem dzieckiem? Karol II nie miał córek, chyba że z nieprawego łoża. Elżbieta, Królowa Zimy, rozsiała po Europie całkiem sporo książątek i księżniczek, zanim przed trzema laty zmarła, wydawało się jednak wątpliwe, aby mieszkająca na kontynencie młodzież królewskiej krwi zechciała odwiedzić Anglię akurat teraz, w czasie zarazy.

Comstock kontynuował:

– Przybyli do mnie w poszukiwaniu schronienia. Są przerażeni nie tylko samą zarazą, ale także innymi niebezpieczeństwami, wśród których można wymienić chociażby groźbę holenderskiej inwazji. Gwałtowne sprężenie powietrza, które zarówno panowie, jak i ja możemy uważać za potencjalny lek na głuchotę, ci ludzie postrzegają zgoła inaczej...

Wilkins udzielił jakiejś diabelnie przebiegłej i stosownej odpowiedzi, po czym następne dwa dni spędził na korzeniu się i usprawiedliwianiu przed wszystkimi szlachetnie urodzonymi świadkami jego ostatnich eksperymentów, którzy słyszeli lub zwęszyli ich skutki. Hooke był zmuszony skonstruować nakręcane zabawki dla dwóch najmłodszych królewien, a Daniel i Charles uprzątnęli ślady cuchnących doświadczeń, dopilnowali przyzwoitego pochówku istot biorących w nich udział i zajęli się generalnym porządkiem okolicy.

Dopiero po wielu dniach podglądania zza żywopłotów fircyków, identyfikowania herbów wymalowanych na drzwiach karet i wspinania się po drzewach genealogicznych przeróżnych szlacheckich i królewskich rodów Daniel zrozumiał, co Wilkins naprawdę wychwytał ze zwięzłej wypowiedzi Johna Comstocka i co wyczytał z jego uniesionych brwi.

Z jednej strony dworu Comstocka rozpościerał się wypielegnowany ogród, który z wielu doskonale uzasadnionych powodów był dla naturalistów niedostępny. Przechadzali się po nim ubrani na francuską modłę goście, co nie było właściwie niczym nadzwyczajnym: życie niektórych ludzi było wypełnione spacerami po ogrodach, tak jak życie stajennego jest wypełnione wyrzucaniem gnoju. Z daleka wszyscy ci goście wyglądali tak samo – przynajmniej dla Daniela, bo Wilkins, znacznie lepiej obeznany z królewskim dworem i dworzanami, podglądał ich czasem przez lunetę. Niczym marynarz, który, chcąc ustalić w nocy swoją pozycję, szuka najpierw Wielkiej Niedźwiedzicy, a więc konstelacji wyjątkowych rozmiarów i nieprzeciętnej jasności, tak Wilkins nieodmiennie rozpoczynał swoje obserwacje od zogniskowania lunety na pewnej kobiecie. Nie sprawiało mu to wielkiej trudności, bowiem kobieta ta była dwa razy większa od innych spacerowiczów. Na jej spódnicy zużyto całe furlongi kolorowych tkanin, które błyszczały z daleka niczym francuskie sztandary pułkowe. Czasem towarzyszył jej na przechadzce jasnowłosa mężczyzna, niczym księżyc obiegający planetę. Z daleka przypomniał Danielowi Isaaca.

Daniel go nie znał, a zarazem był zbyt zakłopotany, żeby zapytać kim jest, i ujawnić bezmiar swojej niewiedzy. Jednakże pewnego dnia przyjechał z Londynu powóz, z którego wysiadło kilku mężczyzn w admirałskich kapeluszach. Podeszli porozmawiać z jasnowłosym mężczyzną, zanim jednak wdali się w konwersację, wszyscy zdjęli kapelusze i ukłonili się nisko.

– Czy ten blondyn, który spaceruje po ogrodzie w towarzystwie Wielkiej Niedźwiedzicy... Czy to nie jest przypadkiem księżę Yorku?

– Owszem – przytaknął krótko Wilkins. Oddychał szybko i płytko, szeroko otwartym okiem wpatrując się w zielonkawy okular lunety.

– Lord Admirals – ciągnął Daniel.

– Ma wiele tytułów – stwierdził Wilkins bezbarwnym tonem.

– Zatem ci goście w kapeluszach muszą być...

– Z Admiralicji. A w każdym razie z jakiegoś jej odłamu.

Wilkins wyprostował się nad lunetą. Danielowi zamarzyło się, żeby dał mu w nią zerknąć, ale nic z tego nie wyszło: Wilkins podniósł oparty w rozwidleniu drzewa przyrząd i złożył tubus. Daniel domyślił się, że zobaczył coś, czego zdaniem Wilkinsa młody asystent nie powinien oglądać.

Holandia i Anglia prowadziły wojnę. Z powodu zarazy działania wojenne cechował na razie chaos i Daniel właściwie o nich zapomniał. Był środek zimy i mróz ograniczył rozprzestrzenianie się choroby. Na wznowienie kampanii morskich należało czekać jeszcze ładne kilka miesięcy, ale właśnie nastał czas ich planowania. Nikogo zatem nie powinno zaskakiwać, że przedstawiciele Admiralicji akurat teraz spotykają się z przełożonym – właściwie należałoby się dziwić, gdyby tego nie zrobili. Najdziwniejszy w tym wszystkim był fakt, że Wilkins tak bardzo przejął się tym, że Daniel coś zobaczył. W okresie restauracji i niewoli babilońskiej w Cambridge przyzwyczał się myśleć o sobie jak o człowieku absolutnie pozbawionym znaczenia (może poza dziedziną filozofii naturalnej, ale ostatnio z każdym dniem coraz lepiej rozumiał, że i na tym polu jest nikim w porównaniu z Wrenem i Hookiem). Dlaczego zatem John Wilkins przejął się tym, że Daniel wytropił flotyllę admirałów i z jej widoku wywnioskował, że gościem Johna Comstocka jest Jakub, książę Yorku, brat Karola II i najbliższy pretendent do tronu?

Idąc przez pozbawiony liści sad, obok pogrążonego w zadumie Wilkinsa, Daniel doszedł do wniosku, że chodzi o to, że jest synem Drake'a. Mimo że Drake był już tylko emerytowanym agitatorem rozbitej sekty i nie ruszał się ze swojego domu w Holborn, niektórzy ludzie wciąż się go bali.

Jego samego – albo jego organizacji.

Ale przecież sekta rozpadła się na tysiąc klik i koterii. Cromwell zmarł, Drake był stary, Gregory Bolstrood został ścięty, jego syn Knott skazany na banicję...

No tak. Bali się Daniela.

– Co cię tak bawi? – zainteresował się Wilkins.

– Ludzie. I to, co się czasem dzieje w ich głowach.

– Nie masz chyba na myśli mnie...

– Ależ skąd. Nie ośmieliłbym się naigrawać z lepszych ode mnie.

– Za pozwoleniem... A któż w tej posiadłości nie jest od ciebie lepszy?

To było trudne pytanie. Daniel nie odpowiedział, ale Wilkinsa niepokoiło nawet jego milczenie.

– Zapominam, że jesteś fanatykiem do szpiku kości – zauważył.

Co znaczyło mniej więcej tyle: „Twoim zdaniem nikt nie jest od ciebie lepszy, prawda?”.

– Przeciwnie. Widzę doskonale, że ani na chwilę pan o tym nie zapomina, wielebny.



Ale Wilkins już błdził myślami gdzie indziej. Niczym admirał, który ostrzy statkiem na wiatr i robi nagły zwrot, on również zmienił front i po krótkotrwałym zamieszaniu wszedł na zupełnie nowy kurs.

– Ta kobieta nazywała się dawniej Anna Hyde. Jest bliską krewną Johna Comstocka, a więc, jak sam rozumiesz, arystokratką. Jej ród nie jest jednak wystarczająco szlachetny, żeby mogła zostać żoną księcia, chociaż jest zarazem zbyt poważany, żeby po prostu odesłać ją do jakiegoś klasztoru na kontynencie. Zresztą i tak jest za gruba, żeby w ogóle ruszyć się gdzieś dalej. W każdym razie urodziła księciu dwie córki: Marię i Annę. I księżę w końcu się z nią ożenił, choć nie obeszło się bez komplikacji. Ponieważ Maria lub Anna teoretycznie mogą w przyszłości odziedziczyć tron, zrobiła się z tego afera wagi państwowej. Namówiono, przekupiono i zaszantażowano całą armię dworaków, którzy wystąpili publicznie i przysięgali na całe stopy Biblii, że wyobracali Annę Hyde na prawo i lewo, rżnęli ją na Wyspach Brytyjskich i we Francji, w Niderlandach i na wyżynach Szkocji, w mieście i na wsi, na statku i w pałacu, w łóżku i hamaku, w krzakach i na rabatach, w toalecie i na strychu, posuwali ją pijaną i trzeźwą, od tyłu i od przodu, z góry, z dołu i z obu boków, pojedynczo i w grupach, za dnia i w nocy, przy wszystkich fazach księżycy i pod każdym znakiem zodiaku; sugerowali również, że kiedy sami się tym nie zajmowali, ich rolę spełniały tabuny kowali, wagabundów, francuskich żigolaków, jezuickich prowokatorów, komediantów, golibrodów i czeladników rymarskich. Mimo to księżę Yorku ożenił się z nią i ukrył ją w pałacu St. James, gdzie żyła sobie w piwnicy jak jeden z naszych entomologicznych cudów.

Oczywiście Daniel wcześniej słyszał już fragmenty tej historii – z ust ludzi, którzy składali Drake’owi hołd w domu przy Holborn – i odniósł teraz wrażenie, że w pewnym sensie Wilkins składa hołd jemu. Co było, naturalnie, wykluczone, ponieważ Daniel nie miał żadnej władzy, wpływów ani nawet perspektyw ich pozyskania.

Bardziej wiarygodne wydawało się, że Wilkins się nad nim lituje (niż się go boi) i próbuje ustrzec go przed tymi niebezpieczeństwami, których może mu oszczędzić, a przy okazji uczy, jak powinien sobie radzić z pozostałymi.

To zaś z kolei znaczyło, że wypadało przynajmniej wysłuchać tej lekcji. Księżniczki Maria i Anna miały – odpowiednio – trzy lata i roczek. Skoro ich matkę łączyły z Johnem Comstockiem więzy krwi, naturalne było, że gościły w jego rezydencji. To zaś wyjaśniało znaczenie słów Comstocka: „Dwoje moich gości jest jednocześnie tym, tym i tym”. Kobiety, dzieci, królewska krew.

Uciążliwe ograniczenia, jakie gospodarz narzucił ich filozoficznym badaniom, spowodowały zwołanie w kuchni bardzo długiego sympozjum, na którym Hooke i Wilkins podyktowali listę – Daniel notował ją coraz mniej starannym pismem – eksperymentów, które nie były ani hałaśliwe, ani śmierdzące, za to (w miarę jak wieczór się przedłużał) stawały się coraz bardziej fantazyjne. Hooke kazał Danielowi naprawić Maszynę Kondensacyjną, która za pomocą tłoka poruszającego się w cylindrze sprężała lub rozrzedzała powietrze. Był

przekonany, że powietrze zawiera substancję podtrzymującą ogień i życie, i że jeżeli ta substancja się wyczerpie, jedno i drugie zgaśnie. Z tej koncepcji wyniknęła zresztą cała seria doświadczeń. Zamknęli na przykład w szklanym naczyniu żywą mysz i płonąca świecę (mysz zdechła, zanim świeca zgasła). Okleili duży pęcherz zwierzęcy w taki sposób, aby był całkowicie szczelny, i na zmianę oddychali zawartym w nim powietrzem, żeby się przekonać, jak to się dla nich skończy. Za pomocą swojej maszyny Hooke wytworzył próżnię w dużej szklanej bani, wstawił do niej wahadło i kazał Charlesowi liczyć jego wahnięcia. W pierwszą naprawdę pogodną noc, jaka trafiła się na początku zimy, wyniósł na dwór lunetę i zajął się obserwacją Marsa. Wypatrzył na jego powierzchni jakieś ciemne i jasne plamy, a potem systematycznie śledził ich ruch, żeby oszacować okres obrotu planety wokół własnej osi. Charlesowi i Danielowi zlecił szlifowanie coraz doskonalszych szkieł powiększających; sprowadzał również soczewki z Amsterdamu, od Spinozy. Oglądali przez nie coraz mniejsze i mniejsze obiekty na powierzchni księżyca. I znów okazało się, że Hooke widzi rzeczy, które uchodzą uwagi Daniela.

– Księżyc również musi wytwarzać grawitację – stwierdził. – Jak Ziemia.

– Z czego pan to wnosi?

– Góry i doliny mają ustalone formy. Owszem, bywają nieregularne i ostre, ale na całej kuli nie widać nawisów, które istniałyby przy braku ciężenia. Gdybym miał lepsze szkła, mógłbym wyznaczyć kąt tarcia i obliczyć wartość tej siły.

– Skoro Księżyc ją wytwarza, to podobnie rzecz ma się ze wszystkimi ciałami niebieskimi – stwierdził Daniel<sup>26</sup>.

Z Amsterdamu dostarczono im długi, cienki pakunek. Daniel spodziewał się znaleźć w środku następny teleskop, był to jednak prosty, cienki róg o długości około półtora metra i powierzchni pokrytej spiralnymi rowkami i żebrowaniem.

– Co to jest? – zapytał Wilkinsa.

Wilkins spojrzął znad okularów na róg i odparł lekko poirytowany:

– Róg jednorożca.

– Myślałem, że jednorożce to stworzenia mityczne.

– Cóż, ja nigdy żadnego nie widziałem.

– Skąd w takim razie wziął się ten róg?

– A skąd miałbym to wiedzieć, do diaska? Wiem tylko, że można je kupić w Amsterdamie.

\* \* \*

---

<sup>26</sup> Nie był pierwszym, który to zauważył.

*Częstokroć królowie, choć zbrojni w legiony, słabi są w sporach. Od kołyski przywykli, że wola jest ich prawicą, lewicą zaś – rozum. Kiedy niespodziewanie narzuci im się inne warunki pojedynku, okazują się mizernymi oponentami.*

Milton, w przedmowie do *Eikonoklastesa*

Daniel przyzwyczaił się do widoku księcia Yorku jeżdżącego konno i udającego się na polowanie w towarzystwie swoich książęcych przyjaciół – przynajmniej w stopniu, w jakim syn Drake’a w ogóle mógł do takich widoków przywyknąć. Pewnego razu myśliwi minęli go w odległości strzału z łuku, tak blisko, że usłyszał, jak książę mówi coś do jednego z kompanów – po francusku. Daniel miał ochotę podbiec do tego francuskiego katolika we francuskich ciuszkach, który mienił się przyszłym królem Anglii, i zakończyć jego marny żywot. Opanował się jednak, wspomniawszy, jak głowa ojca księcia spadła do kosza z szafotu przed Banqueting House. Co za dziwaczna rodzina, pomyślał.

Nie potrafił już wykrzesać z siebie dość żółci i złości na tych ludzi. Drake wychował synów w nienawiści do arystokracji. Przy każdej okazji wypominał jej przywileje i sposób, w jakich z nich korzysta, choć w gruncie rzeczy nie jest nawet świadoma ich istnienia. Ta polityka sprawdzała się znakomicie, zresztą nie tylko u Drake’a, ale we wszystkich dysydenckich domach w całym kraju. Doprowadziła do Cromwella i innych wydarzeń, ale za sprawą Cromwella purytanie zyskali władzę, która, jak zaczynał dostrzegać Daniel, próbowała – zupełnie jak żywa, obdarzona własnym rozumem istota – przenieść się na niego. To zaś znaczyłoby, że Daniel również jest człowiekiem uprzywilejowanym.

Tablice języka filozoficznego zostały ukończone; były jak rozciągnięta we wszechświecie ogromna, gęsta sieć, w której miriadach oczek znalazło się wszystko, co człowiekowi znane na ziemi i w niebie. Aby znaleźć szukany obiekt, wystarczyło wskazać jego położenie w tablicach, położenie zaś dawało się wyrazić w postaci ciągu liczb. Wilkins opracował system nazywania znajdujących się w tablicach obiektów, dzięki czemu po rozbiciu nazwy na sylaby od razu było wiadomo, gdzie jej szukać i do czego się odnosi.

Spuścił również całą krew z dużego psa i wstrzyknął ją innemu, mniejszemu, którego wcześniej też osuszył. Pięć minut później mały pies biegał wesoło po podwórzu i aportował patyki. Hooke zbudował nowy zegar, a oglądając jego najdrobniejsze elementy pod mikroskopem, odkrył nowy rodzaj roztoczy żyjących w szmatach, którymi owinięte były części mechanizmu. Narysował je, a potem przeprowadził trzydniowy, wyczerpujący cykl doświadczeń, mających wykazać, co zabija małe pajączki, a co nie. Okazało się, że najskuteczniejszy jest pewien trujący wywar z liści tytoniu.

Odwiedził ich sir Robert Moray. Zmełł kawałek rogu jednoroźca na proszek, usypał z niego krąg i postawił w jego środku pajaka, który jednak bez problemu uciekł. Powtórzywszy doświadczenie kilkakrotnie, Moray oświadczył, że w takim razie róg jest fałszywy.

Pewnej nocy, krótko przed świtem, Wilkins wyciągnął Daniela z łóżka i zabrał go na niebezpieczną przejażdżkę wozem drabiniastym do miejskiego więzienia w Epsom.

– Fortuna nam sprzyja – stwierdził. – Człowiek, do którego jedziemy, został skazany na śmierć przez powieszenie. Niestety, przy wieszaniu interesujące nas narządy, a mianowicie delikatne struktury kostne szyi i karku, ulegają zniszczeniu. Mieliliśmy jednak szczęście, bo zanim kat upomniał się o skazańca, ten zmarł na krwawą biegunkę.

– Trzeba będzie uzupełnić tablice? – zapytał znużonym tonem Daniel.

– Nie rób z siebie durnia! Struktury anatomiczne, o których mówię, są znane od dawna. Ten trup przyda nam się do stworzenia Prawdziwego Pisma.

– Czyli alfabetu do zapisania języka filozoficznego?

– Oczywiście. Obudź się wreszcie, Danielu.

– Pytam, ponieważ mam wrażenie, że wielebny opracował już kilka takich alfabetów.

– Wszystkie są w mniejszym lub większym stopniu arbitralne. Gdyby jakiś naturalista z innego świata obejrzał zapisane w nich dokumenty, doszedłby do wniosku, że zamiast języka filozoficznego ma przed sobą *Cryptonomicon*. Potrzebny nam jest alfabet systematyczny, czyli taki, w którym sam kształt znaków będzie dostarczał kompletu informacji na temat ich wymowy.

Te słowa obudziły w Danielu złowrogie przecucie, które wkrótce okazało się w pełni uzasadnione. Zanim słońce na dobre weszło, przetransportowali nieboszczyka z więzienia do posiadłości Comstocka i ostrożnie obcięli mu głowę. Obudziwszy Charlesa Comstocka, kazali mu zrobić sekcję zwłok, będącą dlań lekcją anatomii, dla nich zaś szansą na pozbycie się ciała. Hooke z Wilkinsem podłączyli tymczasem sterzącą z głowy tchawicę do zespołu miechów, żeby móc pompować powietrze przez głośnię. Poinstruowali Daniela, jak należy odpiłować czubek czaszki i wyjąć mózg, aby od góry dosięgnąć podniebienia miękkiego, języka i innych narządów odpowiedzialnych za wydawanie dźwięków. Daniel pełnił więc rolę lalkarza z pacynką na dłoni, Hooke manipulował nosem i wargami trupa, a Wilkins wdmuchiwał powietrze do krtani. Wspólnymi siłami zmusili głowę do mówienia. Kiedy ścisnęło się wszystkie narządy w pewien określony sposób, z ust trupa dobył się wyraźny dźwięk „O”, który Danielowi (bardzo już zmęczonemu) wydał się odrobinę straszny. Wilkins zapisał na papierze kółko, przypominające kształt rozwartych ust trupa. Takie eksperymenty trwały całusieńki dzień. Kiedy Hooke i Daniel wykazywali oznaki zmęczenia, Wilkins przypominał im, że głowa, którą otrzymali w darze, nie jest wieczna – tak jakby i bez jego upomnień nie było to wystarczająco oczywiste. Udało im się zmusić ją do wydania trzydziestu czterech różnych dźwięków. Każdy z nich Wilkins zapisywał znakiem, przypominającym z grubsza ułożenie warg, języka i pozostałych narządów mowy. Wreszcie oddali głowę w ręce Charlesa Comstocka, by mógł kontynuować naukę anatomii, a Daniel poszedł spać. Przez kilka nocy z rzędu miał bardzo barwne koszmary.

Obserwacja Marsa skierowała uwagę Hooke'a ku kwestiom natury astronomicznej. Z tego też powodu pewnego ranka wyładował skrzynię sprzętem po brzegi (musiał to być niezwykle istotny ekwipunek, Hooke bowiem spakował go osobiście i nikomu nie pozwolił się do skrzyni zbliżyć), załadował ją na wóz, wziął Daniela i razem ruszyli w drogę. Wilkins próbował ich namówić, żeby zamiast pożyczać wóz Johna Comstocka (i ryzykować dalsze pogorszenie stosunków z gospodarzem), wzięli olbrzymie koło; twierdził, że napędzane przez młodego i żwawego Daniela Waterhouse'a pozwoli im (teoretycznie) z łatwością przemierzać pola, mokradła i niezbyt głębokie zbiorniki wodne, dzięki czemu mogliby zrezygnować z poruszania się po drogach i zmierzać prosto do celu. Hooke jednak nie dał się przekonać i wzięli wóz.

Kilka godzin spędzili w podróży, której celem była pewna studnia, głęboka ponoć na z górą trzysta stóp i wydrążona w litej kredowej skale. Sam wygląd Hooke'a wystarczył, żeby przepłoszyć spod niej miejscowych farmerów, którzy i tak zresztą tylko pili i leniuchowali. Hooke kazał Danielowi zbudować poziomą platformę nad wlotem studni, sam zaś zdjął z wozu swoją najdokładniejszą wagę i zaczął ją czyścić i kalibrować.

– Przypuśćmy – zasugerował – tylko teoretycznie, że planety są utrzymywane na orbitach nie z powodu zawirowań eteru, lecz dzięki sile grawitacji.

– Przypuśćmy.

– Wystarczy trochę porachować, żeby dojść do wniosku, iż byłoby to możliwe tylko wówczas, gdyby siła przyciągania zmniejszała się wraz ze wzrostem odległości.

– Czyli podnoszony przedmiot powinien stawać się coraz lżejszy?

– A opuszczany coraz cięższy.

– Rozumiem! Zważymy jakiś przedmiot najpierw tu, na powierzchni, a potem... – Daniel urwał w pół zdania. Był śmiertelnie przerażony.

Zgarbiony Hooke odwrócił się i spojrzał na niego zaintrygowany, a potem, pierwszy raz, odkąd się poznali, wybuchnął śmiechem.

– Boisz się, Danielu Waterhouse, że opuszczę cię trzysta stóp w głąb studni z wagą w rękach i każę ci coś zważyć, kiedy znajdziesz się nad lustrem wody? I że kiedy już tam wylądujesz, pęknie lina, co? – Znow się roześmiał. – Przemyśl jeszcze raz to, co powiedziałem.

– No tak, to by nic nie dało – przyznał Daniel, zawstydzony i zakłopotany z więcej niż jednego powodu.

– A dlaczegoż to? – zapytał Hooke sokratycznie.

– Ponieważ waga działa w ten sposób, że porównuje ciężar obiektu na jednej szalce z wzorcem na drugiej. Jeżeli rzeczywiście na dole studni wszystkie przedmioty ważą więcej, to ciężar zarówno ważonego przedmiotu, jak i odważników zwiększy się w tym samym stopniu. Szalki dalej będą w równowadze i niczego się nie dowiemy.

Hooke spoważniał.

– Pomóż mi odmierzyć trzysta stóp sznurka.

Zrobili to, odwijając sznurek z rolki i przykładając po kawałku do długiego na sążen pręta. Odliczyli pięćdziesiąt sążni. Na jednym końcu sznura Hooke zawiesił ciężką bryłę mosiądzu. Postawił wagę na zbudowanej przez Daniela platformie i na jednej szalce położył grudę mosiądzu wraz z całym zwojem sznurka. Dokładnie ją zważył; procedura pomiaru przeciągała się niewyobrażalnie, ponieważ co i rusz zakłócały ją delikatne podmuchy wiatru. Skończyło się na tym, że musieli poświęcić dwie godziny na rozstawienie płóciennego parawanu, żeby uzyskać wiarygodny wynik. Przez następne pół godziny Hooke oglądał jęczyczek wagi przez szkło powiększające, dokładając na szalkę lub ujmując z niej złote blaszki ważące tyle co płatki śniegu. Przy każdej zmianie ramiona wagi kołysały się przez parę dobrych minut, zanim ustabilizowały się w nowej pozycji. Wreszcie podał dokładny ciężar mosiężnej grudy wyrażony w funtach, uncjach, granach i ułamkach granów, a Daniel go zapisał. Hooke przywiązał wolny koniec sznurka do uszka przykręconego od spodu do szalki i zaczęli po kawałku opuszczać ciężarek w głąb studni, zmieniając się przy sznurku i wypuszczając go po kilka cali na raz: gdyby się rozhuśtał i uderzył w kredową ścianę studni, przybrałby minimalnie na wadze i całą próbę trzeba by zaczynać od początku. Kiedy sznurek się skończył, Hooke wybrał się na krótki spacer; dopóki ciężarek kołysał się lekko na sznurku, jego ruch mógł zafałszować wynik pomiaru. Hooke odczekał więc, aż bryła mosiądzu znieruchomieje, po czym wziął do rąk lupę i pincetę i zabrał się do pracy.

Jak widać, Daniel miał tego dnia mnóstwo czasu na własne przemyślenia. Komórki, pajęczce oczy, rogi jednorożców, sprężone i rozrzedzone powietrze, radykalne metody leczenia głuchoty, języki filozoficzne i latające rydwany świetnie nadawały się na temat do rozmyślań, ponieważ jednak ostatnio Hooke coraz bardziej interesował się sprawami niebios, umysł Daniela także podążył tą ścieżką. Przypomniawszy sobie swojego współlokatora. Podobnie jak niektórzy samozwańczy naturaliści na mniej znaczących europejskich dworach umierali z ciekawości, co Wilkins z Hookiem robią w Epsom, tak Daniel rozmyślał o tym, co porabia Isaac w Woolsthorpe.

– Waży tyle samo – oznajmił w końcu Hooke. – Zmiana odległości o trzysta stóp nie wprowadziła żadnej mierzalnej różnicy.

Dał w ten sposób sygnał do pakowania ekwipunku i oddania studni miejscowym wieśniakom.

– To niczego nie dowodzi – zauważył, kiedy już po ciemku wracali do domu. – Waga jest za mało dokładna. Gdyby jednak skonstruować zegar wahadłowy, zamknięty w szczelnym szklanym naczyniu, tak by zmiany ciśnienia i wilgotności nie miały wpływu na jego funkcjonowanie... i gdyby wstawić go do takiej studni na długi czas... Zmiana ciężaru wahadła objawiłaby się zwolnieniem lub przyspieszeniem jego ruchów i działania zegara.

– Ale skąd by pan wiedział, że zegar się spóźnia lub spieszy? Trzeba by porównać jego wskazania ze wskazaniem innego, wzorcowego.

– Albo z rytmem obrotów ziemi – odparł Hooke, ale było widać, że pytanie Daniela go przygnębiło. Nie odezwał się ani słowem do chwili, kiedy po północy dotarli do Epsom.

\* \* \*

Nocą temperatura zaczęła spadać poniżej punktu zamarzania wody, nadszedł więc odpowiedni czas, by zająć się kalibracją termometrów. Daniel, Charles i Hooke wytwarzali je od paru tygodni z metrowej długości szklanych rurek, wypełnionych barwionym koszenilą alkoholem. Na razie jednak nie nanieśli na nie podziałki. W zimne noce opatulali się ciepło, zanurzali termometry w baliach z wodą destylowaną i siedzieli przy nich całymi godzinami, od czasu do czasu mieszając wodę. Jeżeli nadstawiło się ucha, to w chwili jej zamarzania, kiedy na powierzchni pojawiały się pierwsze płyty lodu, dało się słyszeć ciche skrzypienie i chrzęst. Wtedy zrywali się na równe nogi i diamencikami kreślili na rurkach rysy w miejscu, do którego sięgał słupek czerwonego płynu.

Trzymali stale na dworze kawałek czarnego aksamitu, który dzięki temu zawsze był chłodny. Kiedy w ciągu dnia padał śnieg, Hooke wynosił przed dom mikroskop, rozkładał pod nim aksamit i oglądali spadające na niego przypadkiem płatki. Zarówno Hooke, jak i Daniel zwrócili uwagę, że nie ma wśród nich dwóch identycznych. Ale po raz kolejny Hooke dostrzegł coś, czego Daniel nie zauważył.

– W każdym płatku wszystkie sześć ramion wygląda identycznie. Dlaczego? Dlaczego nie mogą mieć różnych kształtów?

– Z pewnością obserwujemy działanie jakiejś centralnej siły porządkującej, ale...

– To jest tak oczywiste, że nawet nie warto o tym wspominać – prychnął Hooke. – Gdybym miał lepszy obiektyw, moglibyśmy zajrzeć do środka płatka i odkryć naturę tej siły.

Tydzień później Hooke rozciął klatkę piersiową żywego psa, usunął mu wszystkie żebra i odsłonił bijące serce. Niestety, przy tej okazji płuca sflaczały i przestały pełnić swoją funkcję.

Skowyt psa przypominał do złudzenia ludzki krzyk. Z domu Johna Comstocka przybył zwabiony nim mężczyzna o eleganckim głosie. Daniel, któremu podkrążone oczy nie pozwalały dobrze widzieć, a zmęczony umysł – trzeźwo myśleć, wziął go za majordomusa lub kogoś w tym rodzaju.

– Napiszę mu wyjaśnienie i list z przeprosinami – wymamrotał, rozglądając się za piórem. Wytarł w spodnie lepkie od krwi ręce.

– Komu, jeśli wolno zapytać? – zdziwił się rozbawiony majordomus.

Był chyba trochę za młody na majordomusa. Ledwo po trzydziestce. Miał na sobie płócienną koszulę nocną. Na jego głowie połyskiwał delikatny blond meszek, jasno sugerujący, że na co dzień nosi perukę.

– Hrabiemu Epsom.

– Może napisze pan od razu do księcia Yorku?

– Niech będzie.

– A nie prościej byłoby darować sobie tę pisaninę i po prostu wyjaśnić mi, co panowie tu, do diabła, wyczyniacie?!

Daniel wziął tę uwagę za przejaw bezczelności gościa, dopóki nie podniósł wzroku na jego twarz i nie zorientował się, że stoi przed nim księżę Yorku we własnej osobie.

Powinien się być uklonić czy coś w tym guście. Naprawdę powinien. Zamiast tego tylko się wzdrygnął. Księżę gestem dał do zrozumienia, że przyjmuje ten dreszcz jako wyraz należytego szacunku, i zapytał, czy mogliby wreszcie przejść do rzeczy i rozpocząć właściwą konwersację.

– Towarzystwo Królewskie – zaczął Daniel, zasłaniając się „Królewskim” niczym tarczą – ożywiło martwego psa, wstrzykując mu krew żywego, a obecnie prowadzi badania nad sztucznym oddechem.

– Mój brat lubi to wasze Towarzystwo – przyznał Jakub. – A raczej należałoby powiedzieć, że lubi swoje towarzystwo, bo to dzięki niemu stało się „królewskim”.

Daniel przypuszczał, że te słowa miały wyjaśniać, dlaczego księżę Yorku nie każe ich wszystkich natychmiast wychłostać.

– Zaintrygował mnie jednak ten hałas – ciągnął księżę. – Czy będzie się rozlegał przez całą noc?

– Wprost przeciwnie. Już go nie ma – zauważył Daniel.

Lord Admirał wszedł przed nim do kuchni, gdzie tymczasem Hooke i Wilkins wepchnęli do tchawicy psa mosiężną rurkę, podłączoną do zaufanej pary miechów, które wcześniej pozwoliły im ożywić głowę trupa.

– Pompując powietrze do rury, napełniamy płuca psa, żeby się nie udusił – wyjaśnił Charles Comstock, kiedy wszyscy uklonili się księciu. – Pozostaje nam tylko sprawdzić, jak długo pożyje w takim stanie. Pan Waterhouse i ja będziemy się zmieniać przy miechach, dopóki pan Hooke nie obwieści zakończenia eksperymentu.

Na dźwięk nazwiska Daniela księżę zerknął na niego przelotnie.

– Skoro musi cierpieć w imię waszej ciekawości, chwała Bogu, że cierpi w milczeniu – stwierdził i odwrócił się do wyjścia. Kiedy eksperymentatorzy próbowali pójść za nim, zatrzymał ich słowami: – Proszę sobie nie przeszkadzać. – I zwrócił się do Daniela: – Pozwoli pan na słówko, panie Waterhouse.

Wyszli na trawnik. Daniel zastanawiał się, czy czeka go los gorszy niż poćwiartowanego psa.

Przed chwilą powstrzymał głupi impuls, który kazał mu złapać Jego Królewską Mość wpół i powalić na ziemię, zanim Jego Królewska Mość wejdzie do kuchni i z niesmakiem odkryje naturę prowadzonych w niej doświadczeń. Zapomniał jednak, że księżę, choć młody, brał już udział w wielu bitwach lądowych i morskich. Czyli że widział znacznie gorsze krzywdy, jakie jedni ludzie wyrządzali drugim. Członkowie Towarzystwa Królewskiego byli



wedle królewskich standardów nie bandą obłąkanych rzeźników, lecz grupą amatorów i dyletantów. Co dodatkowo odbierało Danielowi pewność siebie.

Daniel umiał się kierować w swoich poczynaniach wyłącznie racjonalizmem. Książęta uczyli się tego i owego o zdrowym rozsądku, tak jak uczyli się brzdąkać na lutni i znośnie tańczyć ricercara, ale ich zachowaniem rządziła raczej przede wszystkim siła woli. Koniec końców zawsze robili to, co chcieli, nie oglądając się na racjonalność swoich postępów. Daniel z upodobaniem wmawiał sobie, że posługiwanie się rozsądkiem daje lepsze wyniki niż uciekanie się do prymitywnej siły woli, ale na razie stał twarzą w twarz ze zniecierpliwionym eksperymentami księciem Yorku.

– Mój przyjaciel przywiózł sobie z Francji jakieś paskudztwo – oznajmił Jego Królewska Mość.

Rozszyfrowanie tego komunikatu zajęło Danielowi dłuższą chwilę. Próbował na różne sposoby odgadnąć jego znaczenie, gdy wtem olśnienie przetoczyło mu się przez głowę jak łoskot grzmotu przez zagajnik. Książę powiedział „Mam kiłę”.

– To przykre – odparł ostrożnie, nie mając pewności, czy prawidłowo przełożył królewskie oświadczenie. Musiał zachować czujność i wypowiadać się jak najmętniej, aby rozmowa nie stoczyła się w otchłań komedii omyłek zakończonej jego gwałtowną śmiercią od pchnięcia rapiera.

– Podobno rtęć bywa skuteczna w takich wypadkach.

– Jest również trucizną.

Daniel wygłosił powszechnie znany truizm, ale chyba utwierdził nim Jakuba Stuarta, księcia Yorku i Lorda Admirala, w przekonaniu, że rozmawia z właściwym człowiekiem.

– W Towarzystwie jest wielu znakomitych uczonych, którzy pracują nad sztucznym oddechem i innymi zagadnieniami. Z pewnością mają jakieś pomysły, jak pomóc mojemu przyjacielowi.

A także jego żonie i dzieciom, dodał w myślach Daniel. Jakub albo zaraził się od Anny Hyde, albo też sam ją zaraził syfilisem. W każdym razie matka najprawdopodobniej przekazała chorobę w spadku córkom, Marii i Annie. A starszy brat Jakuba, panujący król, na razie nie doczekał się prawowitego potomka. Nie brakowało wprowadzić bękartów w rodzaju Monmoutha, ale żaden z nich nie miał realnego prawa do tronu. Dlatego paskudztwo, które Jakub przywłókł z Francji, mogło zdecydować o losie dynastii Stuartów.

To zaś nasunęło Danielowi fascynujące dodatkowe pytanie. Dlaczego, mając do dyspozycji kilku członków Towarzystwa Królewskiego, Jakub zwrócił się z tą sprawą do tego z nich, który był akurat synem fanatyka?

– To delikatna sprawa – nadmienił książę. – Jeśli się o niej za dużo mówi, może na zawsze splamić honor dżentelmena.

Tłumaczenie brzmiało następująco: „Jeśli piśniesz o tym choć słówko, przyślę kogoś, kto wyzwie cię na pojedynek”. Chociaż i tak nikt nie zwróciłby uwagi na zarzut wątpliwego

prowadzenia się, przedstawiony księciu Yorku przez syna Drake'a. Sam Drake miał podobne oskarżenia bez przerwy od pięćdziesięciu lat.

I nagle książęca strategia stała się jasna: Jakub wybrał Daniela na swojego słuchacza, ponieważ gdyby Daniel okazał się takim durniem, żeby rozpowiadać na prawo i lewo o ich rozmowie, jego głos utonąłby w potoku oszczerstw Drake'a. Poza tym i tak nie trwałoby to długo, bo wkrótce znaleziono by go na jakiejś podlondyńskiej łące, dokumentnie skłutego rapierem.

– Mam nadzieję, że zawiadomi mnie pan, gdyby Towarzystwo Królewskie poczyniło w tej materii jakieś postępy? – zapytał Jakub, szykując się do odejścia.

– Aby Wasza Królewska Mość mógł przekazać informację swojemu przyjacielowi? Nie omieszkam tego uczynić.

Na tym rozmowa się skończyła i Daniel wrócił do kuchni, zaciekawiony, jak długo jeszcze potrwa najnowszy eksperyment Towarzystwa.

Odpowiedź brzmiała: Dłużej, niżby tego chcieli. Zanim skończyli, brzask zaczął zakradać się przez okna, dając im pewne pojęcie o tym, jak makabryczny widok będzie przedstawiała kuchnia, kiedy słońce wstanie na dobre. Hooke siedział na krześle, przechylony, wstrząśnięty, markotny i do głębi przejęty własnym zachowaniem. Wilkins zgarbił się i oparł głowę na zakrwawionej pięści.

Przybyli do Epsom, rzekomo chroniąc się przed czarną śmiercią, ale w rzeczywistości uciekali od własnej niewiedzy. Rozpaczliwie pragnęli zrozumienia i przypominali zagłodzonych żebraków, którzy włamali się do pańskiego domu i rozpoczęli istną orgię obżarstwa i opilstwa; łapczywie pochłaniali kolejne posiłki, zanim zdołali strawić (czy choćby przeżuć) poprzednie. Trwało to blisko rok, a kiedy teraz słońce wschodziło nad pobożowiskiem po eksperymencie ze sztucznym oddechem, siedzieli po kątach i tępo mrugali powiekami, wodząc wzrokiem po zrujnowanej kuchni, rozwleczonych po podłodze psich żebrach, po słojach z zakonserwowanymi śledzionami i woreczkami żółciowymi, po przybitych do ścian i przyklejonych do szyb okazach egzotycznych pasożytów, po bulgoczących nad ogniem okrutnych truciznach – i nagle poczuli głęboką odrazę do samych siebie.

Daniel wziął szczątki psa na ręce – wybrudził się przy tym, ale nie miało to wielkiego znaczenia: i tak musieli spalić wszystkie ubrania – i wyniósł je na cmentarz po wschodniej stronie domku, gdzie trafiały pozostałości wszystkich doświadczeń Hooke'a i Wilkina; niektóre grzebano, inne palono, na jeszcze innych studiowano rozwój spontanicznie powstających musznych kolonii. Mimo to powietrze nad cmentarzem było względnie czyste i świeże. Złożywszy szczątki na ziemi, Daniel złapał się na tym, że idzie przed siebie, prosto w stronę jasno świecącej planety, która znajdowała się zaledwie kilka stopni nad zachodnim horyzontem i nie mogła być niczym innym jak tylko Wenus. Szedł tak i szedł, a rosa zmywała mu krew z butów. Pola o świcie mieniły się różem i zielenią.

Jakiś czas przedtem dostał list od Isaaca: „Potrzebuję pom. przy obs. Wenus. Przyjedź, jeśli możesz”. Wtedy zastanawiał się, czy nie jest to jakaś zawołana prośba zupełnie innej treści, ale stojąc teraz na posrebrzonej rosą łące, mając za plecami jatkę, a przed sobą tylko Gwiazdę Zaranną, przypomniał sobie, co dawno temu powiedział Isaac o sferach na niebie i kulach, przez które je oglądamy.

Cztery godziny później galopował na pożyczonym koniu na północ.

## **Na *Minerwie*, w Zatoce Plymouth, Massachusetts**

### **Listopad 1713**

Daniel budzi się zmartwiony. Sztywność żwaczy i obolałe mięśnie skroni i czoła sugerują, że martwił się czymś przez sen. Lepiej jednak martwić się niż bać, jak to czynił przez cały poprzedni dzień, zanim kapitan van Hoek wreszcie porzucił zamiar pożeglowania *Minerwą* prosto w paszczę huraganu i wrócił na spokojniejsze wody u wybrzeży Massachusetts.

Van Hoek powiedziałby coś pewnie o „krótkiej fali” albo użył innego morskiego eufemizmu, ale Daniel po prostu wrócił do kabiny z wiadrem na wymiociny i pustą butelką na notatki, które od paru dni pracowicie gryzmołił. Gdyby pogoda jeszcze bardziej się popsowała, wyrzuciłby ją z dziobu. Może jakiś Maur albo Hotentot za sto czy dwieście lat wyłowiłby ją i przeczytał wczesne wspomnienia doktora Waterhouse’a na temat Newtona i Leibniza.

Spód pokładu kasztelu rufowego znajduje się zaledwie kilka cali od jego twarzy, kiedy Daniel leży na wznak na swoim sienniku. Nauczył się rozpoznawać stukot kapitańskich butów. Na statku przebywanie w promieniu sążnia od kapitana uznawane jest za przejaw złych manier, toteż kroki van Hoeka otacza zawsze szeroka strefa ciszy. Ponieważ poszukiwanie korzystnego wiatru przeciąga się – najpierw do tygodnia, potem do dwóch – Daniel uczy się z odgłosu kroków odczytywać kapitańskie nastroje. Każdy rytm jest inny, tak jak różne są takty dworskich tańców. Długi, spokojny krok oznacza, że wszystko jest w porządku i van Hoek robi po prostu rutynowy obchód pokładu. Kiedy śledzi zmiany pogody, zatacza na pokładzie małe kółka, a kiedy namierza kwadrantem słońce, stoi nieruchomo, balansując na palcach. Tego ranka jednak (Daniel się domyśla, że jest wczesny ranek, chociaż słońca jeszcze nie widać) van Hoek zachowuje się w sposób, jakiego do tej pory Daniel u niego nie zaobserwował: szybkim, nerwowym krokiem przemierza kasztel rufowy w tę i z powrotem, na kilka sekund zatrzymując się przy relingu na jednej lub drugiej burcie. Marynarze już nie śpią, ale siedzą pod pokładem jak myszy pod miotłą, uciszają się nawzajem i oddają cichym, spokojnym zajęciom.

Wczoraj wpłynęli do Zatoki Cape Cod, płytkiego jeziora ulokowanego w zagłębieniu przylądka Cape Cod, żeby schronić się przed północno-wschodnim huraganem, poczynić drobne naprawy i jeszcze lepiej niż dotąd przyszykować statek do zimy. Potem jednak wiatr zmienił kierunek na północny i zagroził zepchnięciem ich na piaszczyste łąchy na południowym skraju wspomnianej wyżej zatoki, pożeglowali więc na zachód, z wielką ostrożnością wprowadzili wielki statek między skały na sterburcie i zatopione wyspy na bakburcie i weszli do Zatoki Plymouth. Kiedy nastała noc, rzucili kotwicę w wąskiej cieśninie, osłonięci od wiatru i (jak spodziewał się Daniel) gotowi stać tak kilka dni w oczekiwaniu na bardziej sprzyjającą pogodę. Van Hoek był jednak podenerwowany: kazał podwoić strażę i zapędził marynarzy do czyszczenia i oliwienia znajdującego się na *Minerwie* zadziwiająco obszernego arsenału małokalibrowej broni palnej.

Szyby w oknie kajuty drżą od nagłego huku. Daniel wyskakuje z łóżka żwawo jak czternastolatek i przemyka do drzwi, wodząc ręką przed sobą, żeby w ciemnościach nie rozbić sobie głowy o dźwigar. Kiedy wynurza się na pokład, wydaje mu się, że słyszy ostrzał z okalających ich wysepek i wzgórz, ale po chwili zdaje sobie sprawę, że to tylko zwielokrotnione echo pierwszego wystrzału. Gdyby miał dokładny zegarek, mógłby na podstawie tych ech narysować mapę okolicy...

Dappa, pierwszy oficer *Minerwy*, siedzi po turecku przy kole sterowym i w blasku świecy przegląda morskie mapy. Dziwne sobie znalazł miejsce. Ze sznurka rozpiętego nad jego głową zwieszają się różne piórka i kolorowe wstążeczki, które Daniel z początku bierze za plemienny fetysz (Dappa pochodzi z Afryki). Dopiero kiedy jedno z piórek leciuteńko drży w podmuchu chłodnego powietrza, Daniel domyśla się, że Dappa obserwuje zmiany wiatru i próbuje przewidzieć, skąd powieje rano. Pierwszy oficer ucisza go gestem, zanim Daniel zdąży się odezwać. Po wodzie niosą się krzyki, ale dochodzą z bardzo daleka; *Minerwa* jest cicha jak statek widmo.

Daniel wychodzi dalej na pokład i widzi rozrzucone po morzu mrowie żółtych gwiazdek, które co chwila są zaćmiewane wznoszącymi się i opadającymi falami.

– Nie wiedział pan, w co się pakuje – stwierdza Dappa.

– Niech będzie, połknę haczyk... W co się wpakowałem?

– Znalazł się pan na statku, którego kapitan nie chce nawet słyszeć o piratach. Nienawidzi ich. Przybił swoją banderę do masztu dwadzieścia lat temu, ten van Hoek, i prędzej spali *Minerwę*, niż odda rabusiom choćby pensa.

– Te światełka na wodzie...

– Głównie szalupy wielorybnicze, może jakaś barka albo dwie... – wyjaśnia Dappa. – Kiedy wzejdzie słońce, powinniśmy zobaczyć żagle, ale zanim zaczniemy się nimi martwić, trzeba coś zrobić z tymi łodziami. Słyszał pan krzyki przed godziną?

– Nie, spałem.

– Jedna taka szalupa z wyciszonymi wiosłami podkradła się do nas. Udawaliśmy, że śpimy, odczekaliśmy, aż dobije do naszej burty i wrzuciliśmy jej do środka komętę.

– Kometę?

– Małą kulę armatnią, owiniętą w nasączone olejem szmaty i podpaloną. Kiedy wyląduje w łodzi, trudno ją wyrzucić za burtę. Dopóki świeciła, mieliśmy dobry widok: w szalupie siedział z tuzin Anglików. Jeden z nich już się szykował do rzucenia liny z kotwiczką...

– Ma pan na myśli angielskich kolonistów? Czy...

– To jedna z rzeczy, które chcielibyśmy ustalić. Przegoniliśmy tamtych i spuściliśmy własną szalupę na wodę.

– A ten wybuch...

– Granat. Mamy w załodze paru emerytowanych grenadierów.

– Wrzuciliście komuś bombę do łodzi?!

– No tak. Potem, gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, nasi Filipińczycy – wie pan, to są byli poławiacze pereł, świetni nurkowie – mieli wdrapać się na pokład z nożami w zębach i poderżnąć kilka gardeł...

– Przecież to jakiś obłąd! Jesteśmy w Massachusetts!

– No właśnie. – Dappa parska śmiechem. – Nie inaczej.

Godzinę później nad Zatoką Cape Cod rozpoczyna się piękny wschód słońca. Daniel kręci się po pokładzie, szukając sobie miejsca, w którym nie słyszałby wrzasku piratów. Dwie szalupy obijają się z tępym łoskotem o burty statku: jedna pochodzi z samej *Minerwy*, jest świeżo uszczelniona i pomalowana; druga, piracka, była w kiepskim stanie jeszcze przed rozpoczęciem nocnych podchodów. W miejscu, gdzie granat zdruzgotał ławkę, błyszczą jasne drzazgi. Wzmagający się wiatr kołysze łodzią i na dnie chlupocze cal albo dwa krwi. Pięciu ocalałych piratów przewieziono na *Minerwę*. Sądząc po odgłosach, znajdują się w zęzie, gdzie dwóch najsilniejszych marynarzy właśnie wciska im głowy w brudną wodę. Wyciągnięci na powierzchnię krztuszą się i wyją rozpaczliwie. Danielowi przypominają się Hooke, Wilkins i ich nieszczęsne psy.

## **Woolsthorpe, hrabstwo Lincolnshire**

### **Wiosna 1666**

*On odkrywa rzeczy głębokie i skryte,  
zna, co jest spowite w ciemnościach,  
a światłość z nim mieszka.*

## Księga Daniela 2, 22<sup>27</sup>

Pomny wskazówek Isaaca („Skręć w lewo przy ruinach Grimehtorpe”), Daniel spodziewał się widoku paru nędznych chałupin przycupniętych na skraju smaganego wiatrem urwiska, ale musiał przyznać, że w całej Anglii nie widział ładniejszej wioski niż Woolsthorpe. Na północ od Cambridge okolica była przygnębiająco płaska, a teren poprzecinany tylko rowami melioracyjnymi. Dopiero kiedy minął Peterborough, przybrzeżne mokradła ustąpiły miejsca świetlicie zielonym łąkom, przypominającym witraże, na których pasą się stada owiec. Nieopodal rosło kilka wysokich sosen, przez co można było pomyśleć, że człowiek znalazł się znacznie dalej na północ niż w rzeczywistości. Po kolejnym dniu jazdy teren zaczął łagodnie falować, a ziemia przybrała brunatny kolor kawy; tu i ówdzie wyrastały z niej kremowej barwy głązy – niegdyś były nieregularne, później, dzięki kamieniarzom, którzy powycinali z nich bloki budulca, nabrały kanciastych kształtów. Woolsthorpe wyglądało jak wioska położona na wyżynie, prawie pod samym niebem. Drzewa wzdłuż drogi pochylały się mocno, dając jasno do zrozumienia, że nie przez cały rok panuje tu tak przyjemna pogoda, jak w dniu przyjazdu Daniela.

Woolsthorpe Manor prezentował się bardzo zwyczajnie. Miał kształt pogrubionej litery T, której poprzeczka wychodziła na drogę. Wymurowano go z jasnego, miękkiego kamienia, będącego w tej okolicy powszechnym materiałem budowlanym. Dach pokrywała lita pierzyna porostów. Dom postawiono bokiem na stoku łagodnego, wznoszącego się ku północy wzgórza, przez co teren na południe od domu wyraźnie opadał i mury były wystawione na działanie słońca. Twórcy domu nie wykorzystali jednak tego faktu i w całą południową ścianę wstawili zaledwie dwa okna, niewiele większe od szczelin strzelniczych, oraz małe okienko na strychu, którego lokalizacja w pierwszej chwili wydała się Danielowi całkowicie chybiona. Kiedy koń z mozołem wspinał się pod górę w grząskim wiosennym błocie, Daniel zwrócił uwagę, że Isaac nie omieszkiał wykorzystać pustej połaci ściany do swoich celów i wykreślił na niej liczne tarcze zegarów słonecznych. Poniżej, nieco dalej od drogi, stały długie budynki stajni i obór – widome znaki, że gospodarstwo prosperuje. Ale Daniel nie zwracał na nie uwagi.

Skręcił w bok. Dom stał najdalej dwadzieścia stóp od drogi. Nad drzwiami widniał wyrzeźbiony w kamieniu herb: dwie skrzyżowane ludzkie kości udowe na pustej tarczy – Jolly Roger<sup>28</sup> bez czaszki. Siedząc jeszcze w siodle, Daniel przez dłuższą chwilę kontemplował paskudny symbol i dręczył się tępym, bolesnym zakłopotaniem, spowodowanym faktem, że jest Anglikiem. Czekał, aż służący zauważą jego przybycie.

---

<sup>27</sup> Cytaty z Biblii za Biblią Gdańską (przyp. tłum.).

<sup>28</sup> Jolly Roger - tradycyjna bandera piracka, używana od XVI-XVII w., kiedy to zaczęto się nią posługiwać na Morzu Karaibskim (przyp. tłum.).

Isaac wspomniał w liście, że jego matka wyjechała na kilka tygodni, co bardzo odpowiadało Danielowi. Wiedział o niej tylko tyle, że zostawiła trzyletniego Isaaca pod opieką babki i przeprowadziła się do nowego, zamożnego męża, który mieszkał kilkanaście mil dalej. Przyszło mu do głowy, że są pewne rodziny (na przykład Waterhouse'owie), które mają praktykę w robieniu dobrej miny do złej gry i nie dają światu poznać, co się w nich naprawdę dzieje. Taka fasada była, naturalnie, stekiem kłamstw, ale stanowiła ogromną wygodę dla gości. W innych rodzinach emocjonalne rany nigdy się nie goiły, nie miały szans zasklepić się i pokryć strupem, i nikt nawet nie starał się ich zamaskować. Przypominały makabryczne figury w niektórych kościołach papistów, z odsłoniętymi, tryskającymi krwią sercami i wywleczonymi na wierzch wnętrznościami. Wspólny obiad czy nawet zwykła rozmowa z nimi przypominały asystowanie Hooke'owi w eksperymencie z psem: cokolwiek się powiedziało lub zrobiło, działało to jak ściśnięcie miecha; można było zajrzeć w głąb rozciętej piersi, obserwować bezwonną reakcję narządów i śledzić bicie serca, wiecznie rozdygotanego pod wpływem napędzającej je siły. Daniel przypuszczał, że rodzina Newtonów zalicza się do tej drugiej kategorii – herb nad drzwiami był najlepszym potwierdzeniem słuszności jego podejrzeń, pewnym jak dowody Euklidesa – i bardzo się cieszył, że matki Isaaca nie ma w domu.

– To ty, Danielu? – usłyszał stłumiony głos Isaaca.

W krwiobiegu Daniela zabulgotała banieczka euforii: ponowne spotkanie z kimś, kogo znało się w czasach przed zarazą, zakrawało na cud. Podniósł wzrok. Północny kraniec domu był przyciśnięty do zbocza, które stanowiło doskonałą osłonę przed wiatrem. Gospodarze założyli w tym miejscu niewielki sad jabłkowy, gdzie na ławce, plecami do Daniela i słońca, siedział człowiek – trudno było powiedzieć, czy jest mężczyzną, czy kobietą – którego bezbarwne włosy opadały na otulone kocem ramiona.

– Isaac?

Człowiek na ławce poruszył lekko głowę.

– Tak, to ja.

Daniel wjechał do sadu, zsiadł z konia i uwiązał go do zwieszającej się nisko gałęzi jabłoni oblepionej białymi girlandami kwiatów. Płatki sypały się na ziemię jak śnieg. Szerokim kopernikańskim łukiem okrążył siedzącego w samym środku wonnej zamieci Isaaca. Newton zawsze miał niezwykle jasne włosy i w dodatku młodo zaczął siwieć, ale przez rok, kiedy się nie widzieli, osiwił całkowicie. Włosy otulały go jak kaptur. Zaszedłszy go od przodu, Daniel spodziewał się zobaczyć wytrzeszczone oczy, tymczasem Isaac spojrzął na niego dwoma złotymi krążkami; wyglądało to, jakby w miejsce oczu wstawił sobie pięciogwineowe monety. Daniel musiał chyba krzyknąć, bo Isaac rzekł spokojnie:

– Nie bój się. Sam zrobiłem te okulary. Zapewne zdajesz sobie sprawę, że złoto jest ogromnie plastyczne, ale mogłeś nie wiedzieć, że jeśli rozklepie się je odpowiednio cienko, można przez nie patrzeć na wylot? Masz, spróbuj.

Jedną ręką zdjął okulary, a drugą, wolną, natychmiast zasłonił sobie oczy. Daniel omal nie upuścił okularów – były lżejsze, niż się spodziewał, pozbawione szkieł, w miejsce których wstawiono złote membrany, napięte na drucianej oprawce jak skóra na bębnie. Podniósł okulary na wysokość twarzy. Zmieniły kolor.

– Są niebieskie!

– Oto kolejna wskazówka co do natury światła. Złoto ma żółty kolor, czyli odbija tę część światła, która jest żółta, ale przepuszcza resztę. A ta reszta pozbawiona żółtego składnika jest niebieska.

Przed oczami Daniela roztaczał się błękitny krajobraz: kwitnące na niebiesko jabłonie stały przed domem z niebieskiego kamienia, niebieski Isaac Newton siedział na ławce, niebieską dłonią zasłaniał sobie oczy, a za jego plecami świeciło niebieskie słońce.

– Wybacz, że są takie toporne. Robiłem je po omacku.

– Masz jakiś kłopot z oczami, Isaacu?

– Nic poważnego. Jak Bóg da, wkrótce będę widział normalnie. Za długo wpatrywałem się w słońce.

– Aha.

Daniel poczuł dokuczliwe wyrzuty purytańskiego sumienia, że na tak długo zostawił przyjaciela bez opieki. Cud, że Isaac się przez ten czas nie zabił.

– Mogę pracować w zaciemnionym pokoju i obserwować widmo światła słonecznego rozproszonego na pryzmacie. Niestety, promienie Wenus są za słabe.

– Wenus?!

– Moje spostrzeżenia na temat natury światła przeczą teoriom Kartezjusza, Boyle’a i Huygensa. Rozdzieliłem blask słońca na kolory, a potem połączyłem je z powrotem i znów uzyskałem białe światło. Powtarzałem to doświadczenie wielokrotnie, na różnych przyrządach, żeby wyeliminować potencjalne źródła błędów. Pracuję nad usunięciem jeszcze jednego: słońce nie jest punktowym źródłem światła, jego tarcza ma całkiem spory rozmiar kątowy. Moi przyszli krytycy wytkną mi z pewnością, że promienie, które rozszczepiam pryzmatem, pochodzą z różnych fragmentów słonecznej tarczy, w związku z czym padają nań pod nieco różnymi kątami. Ten fakt podważy wyniki moich doświadczeń i każe je uznać za bezwartościowe. Dlatego chcę im wytrącić argument z ręki i powtórzyć eksperyment nie ze słońcem, lecz z Wenus, która jest maleńkim punkcikiem światła. Kłopot w tym, że świeci zbyt słabo i moje okaleczone oczy nie wystarczą. Jesteś mi potrzebny, Danielu, żeby dokonać obserwacji. Zaczniemy dziś w nocy. Może chciałbyś się teraz zdrzemnąć?

Dom Newtonów był podzielony na dwie części, północną i południową. W północnej, tej z oknami i bez słońca, znajdowało się królestwo matki Isaaca: na parterze salonik, a nad nim sypialnia, urządzone w obowiązującym wówczas stylu – czyli oszczędnie w liczbie i bez umiaru w wielkości mebli. Część południowa, zaopatrzona w nieliczne i małe otwory przepuszczające światło, należała do Isaaca. Na parterze mieściła się kuchnia z olbrzymim



kominkiem, w którym zmieściłby się wyprostowany dorosły mężczyzna i który świetnie nadawał się do prac alchemicznych, piętro zaś zajmowała sypialnia.

Isaac przekonał Daniela, żeby się przespał w – albo przynajmniej na – łóżku matki, po czym wygłosił niefortunną uwagę, że właśnie w tym łóżku dwadzieścia cztery lata temu przyszedł na świat, zresztą o parę tygodni przedwcześnie. Skończyło się na tym, że Daniel, sztywny jak ofiara tężca, poleżał na nim pół godziny, wpatrując się w widoczny pomiędzy jego stopami pierwszy obraz, jaki ukazał się oczom małego Isaaca (okno wychodzące na sad), a potem wstał i wyszedł z powrotem na dwór. Isaac znów siedział na ławce. Na kolanach trzymał książkę, ale złote okulary na jego nosie były wycelowane w odległy horyzont.

– Jak na mój gust, to dali im bobu.

– Słucham?

– Zaczęło się bliżej brzegu, ale potem bitwa się oddaliła.

– Isaacu, co ty wygadujesz, na litość boską?!

– Mówię o bitwie morskiej. Odparliśmy atak Holendrów w Kanale. Nie słyszysz dział?

– Leżałem nieruchomo na łóżku, ale nic nie słyszałem.

– Tutaj, na zewnątrz, słyhać je wyraźnie. – Isaac wyciągnął rękę i złapał w palce sfruwający z drzewa płatek kwiatu. – Wiatr sprzyja naszej flocie. Holendrzy wybrali zły moment.

Danielowi zakręciło się w głowie – po części dlatego, że uświadomił sobie, że Jakub, książę Yorku, który nie tak dawno stał od niego na wyciągnięcie ręki i wypytywał go o syfilis, znajduje się w tej chwili na pokładzie okrętu flagowego, ostrzeliwuje holenderską flotę i sam jest pod ostrzałem. Grzmot eksplozji przetaczał się nad morzem i skupiał w olbrzymiej małżowinie zatoki Wash i akwenów Boston i Lynn; Long Sand i Brancaster Roads pełniły rolę kanału słuchowego, którym łoskot przemieszczał się nad lądem w głąb Welland, rozpraszał wśród jej dopływów, a potem docierał do wzgórz i dolin Lincolnshire – i do uszu Isaaca. Drugą przyczyną chwilowego zamroczenia Daniela był widok roztaczający się przed jego oczami: z jabłoni sypały się tysiące białych płatków, które tym samym skośnym torem opadały na ziemię, spychane wiatrem wiejącym od lądu ku morzu.

– Pamiętasz, co się działo, kiedy umarł Cromwell? – spytał Newton. – Szatański Wichur poniósł jego duszę do piekła.

– Pamiętam. Szedłem w kondukcje pogrzebowym. Wiatr był taki, że wgniatał starych purytanów w ziemię.

– Byłem wtedy na podwórku przed szkołą. Urządziliśmy sobie konkurs skoku w dal i wygrałem go, mimo że byłem mały i drobny. A właściwie nie mimo że, tylko dlatego że; wiedziałem, że będę musiał wysilić umysł. Ustawiłem się w taki sposób, żeby Szatański Wichur dał mi w plecy, i tak obliczyłem moment wybicia, żeby trafić na wyjątkowo silny podmuch. Poniósł mnie w powietrzu jak ten płatek. Przez chwilę ogarnęło mnie niesamowite uczucie, po części strach, po części entuzjazm, że poniesie mnie w dal, nigdy już nie dotknę

stopami ziemi i że będę się tak ślizgał tuż nad jej powierzchnią, aż okrążę świat. Byłem tylko chłopcem, rzecz jasna. Nie wiedziałem jeszcze, że pociski lecą po krzywych parabolicznych i choćby nie wiem jak szybko pędziły, prędzej czy później muszą spaść na ziemię. Ale co by się stało, gdyby kula armatnia albo chłopiec porwany nadprzyrodzonym wiatrem rozpędzili się tak bardzo, że siła odśrodkowa (jak nazwał ją Huygens) zrównoważyłaby ich skłonność do spadania?

– No... To zależy, co wiemy o naturze procesu spadania. Dlaczego spadamy? I w jakim właściwie kierunku?

– W stronę środka ziemi. Siła odśrodkowa też jest do niego zaczepiona, jak kamień do sznurka.

– Wydaje mi się, że gdyby udało się je zrównoważyć, latałbyś dookoła świata bez końca, nie spadając, ale i nie oddalając się od niego. Ale to strasznie mało prawdopodobne. Bóg musiałby kierować twoim lotem, tak jak ruchem planet na orbitach.

– Jeżeli poczynimy pewne założenia na temat siły grawitacji i uwzględnimy fakt, że zmniejsza się ze wzrostem odległości, nie będzie w tym nic niezwykłego – zauważył Isaac. – Tak po prostu jest. Człowiek latałby wokół ziemi w nieskończoność.

– Po okręgu?

– Po elipsie.

– Po elipsie... – I nagle w głowie Daniela wybuchła bomba. Z wrażenia aż przysiadł na trawie. Spodnie przesiąkły mu wilgocią z opadłych przed rokiem jabłek. – Jak planeta!

– Właśnie. Gdybyśmy umieli wybić się dostatecznie mocno albo mieli odpowiednio silny wiatr w plecy, wszyscy bylibyśmy planetami.

Rozumowanie było tak piękne i naturalne, że przez kilka następnych godzin Danielowi nawet do głowy nie przyszło wypytać Isaaca o szczegóły. Słońce powoli zachodziło. Czekali, aż na południowym niebie pojawi się Wenus.

– Opracowałem nową metodę liczenia różniczek, dzięki której to wnioskowanie jest oczywiste – dodał Isaac.

Pierwsze skojarzenie Daniela brzmiało: „Muszę o tym powiedzieć Wilkinsowi”. Wilkinsa, który napisał powieść o podróży ludzi na księżyc, zachwyciłoby sformułowanie: „Wszyscy bylibyśmy planetami”. Zaraz jednak przypomniał sobie Hooke’a i eksperyment ze studnią. Miał przeczucie, że na razie lepiej będzie trzymać Newtona i Hooke’a w osobnych komórkach.

Sypialnia Isaaca sprawiała wrażenie zaprojektowanej specjalnie w celu prowadzenia eksperymentów z pryzmatami. Do takich doświadczeń niezbędny jest bowiem małeńki otwór w ścianie, przez który wpadnie pojedynczy promień światła, padający potem na pryzmat, poza tym jednak pokój powinien być zaciemniony, aby na ścianie można było obserwować rozszczepione widmo. Wadą takiego stanu rzeczy był fakt, że Daniel bezustannie potykał się o leżące na podłodze rzeczy. Isaac mieszkał w tym pokoju przed wyjazdem do Cambridge i

Daniel się domyślał, że musiał wieść wtedy bardzo samotne życie. Po podłodze walały się przedmioty, które wykonał, ale których nie miał czasu wyrzucić, a otynkowane na biało ściany były pokryte rysunkami, które wykreślił węglem bądź wydrapał paznokciami: projektami wiatraków, wizerunkami ptaków, dowodami twierdzeń geometrycznych. Daniel poruszał się po omacku, szurając stopami po ziemi, żeby przypadkiem nie zmiażdżyć jakiegoś starego mebelka dla lalek, nie stąpnąć na ostre pozostałości niedoszlifowanych soczewek, nie zgnieść delikatnego mechanizmu zegara wodnego, nie rozdeptać kruchej jak papier czaszki jakiegoś małego zwierzęcia i nie wejść w tygiel obłany zastygłym metalem.

Isaac wyliczył, w jakich godzinach Wenus będzie świecić dokładnie na południową ścianę Woolsthorpe Manor, przy czym obliczenia przeprowadził nie tylko dla najbliższej nocy, ale na kilka tygodni naprzód. Zaplanował też cały cykl eksperymentów, mających im całkowicie wypełnić ten czas. Dla Daniela było oczywiste, że Isaac broni swoich racji przed sądem złożonym z wyimaginowanych jezuitów, którzy ze wszystkich stron rzucają mu metaforyczne łacińskie kłody pod nogi, a krytykując go, używają częstokroć niedorzecznych argumentów. Newton widział się w roli człowieka, będącego skrzyżowaniem Galileusza i świętej Anny, ale w odróżnieniu od Galileusza nie chciał odwołać swoich twierdzeń, a w odróżnieniu od świętej Anny nie zamierzał umierać przeszyty strzałami wrogów. Prędzej wyłapałby strzały i odrzucił je w twarz krytykom.

Hooke nigdy nie miał podobnych zmartwień. Wystarczało mu, że ma rację, i nic sobie nie robił z tego, co inni pomyślą o jego ideach.

Kiedy Isaac ustawił pryzmaty na parapecie i zdmuchnął świeczkę, Daniel oślepl. Przez długą chwilę był zawstydzony jak dziecko; bał się, że mając wzrok mniej wyczulony od Isaaca, nie będzie w stanie obserwować widma światła Wenus na ścianie.

– Cierpliwości – odezwał się Isaac z serdecznością, jakiej Daniel od lat nie słyszał w jego głosie.

Kiedy tak siedzieli w ciemnościach, Danielowi przyszło do głowy, że Isaac mógł mieć wiele powodów, które skłoniły go do założenia złotych okularów. Owszem, chroniły jego okaleczone oczy przed światłem. Ale czy przy okazji nie chroniły także jego okaleczonego serca przed widokiem Daniela?

Nagle dostrzegł na ścianie wielobarwną plamę, świetlną drzazgę, czerwoną na jednej krawędzi i fioletową na drugiej.

– Mam! – powiedział i aż podskoczył, słysząc donośny chrobot, dobiegający gdzieś sponad jego głowy. – Co to było?!

– W ścianie jest małe okno, żeby sowy mogły gnieździć się na strychu – wyjaśnił Isaac. – Dzięki temu gryzonie nie zjadają schowanego tam ziarna.

Daniel parsknął śmiechem. Przez chwilę czuli się z Isaakiem jak chłopcy, którym pozwolono dłużej niż zwykle pobawić się ulubionymi zabawkami; na ten krótki moment

zapomnieli o skomplikowanej przeszłości, przestali myśleć o niebezpieczeństwach przyszłości.

Rozległo się basowe pohukiwanie, głębokie niczym rezonujący w pieszczalce dźwięk organów, potem dał się słyszeć szelest piór, kiedy ptak przeciskał się przez otwór, a następnie trzepot silnych skrzydeł, regularny jak cichnące w oddali bicie serca. Widmo światła Wenus zniknęło na ułamek sekundy, kiedy sowa przecięła bieg promieni, a potem wróciło na swoje miejsce. Daniel zdał sobie sprawę, że widzi nie tylko widmo Gwiazdy Zarannej, ale także maleńkie plamki koloru rozrzucone po całej ścianie: widma gwiazd otaczających Wenus na południowym niebie. Nie widział niczego poza nimi. Ziemia obracała się i kolorowe wstążeczki wędrowały po niewidzialnym murze w tempie cała na minutę, przelewając się po nierównym tynku jak błyszczące krople żywego srebra popychane silnym wiatrem i oświetlając cudownymi barwami maleńkie fragmenty wykreślonych i wydrapanych przez Isaaca rysunków. Każda z mikroskopijnych tęcz wyławiała z mroku tylko część obrazu, każdy z obrazów był z kolei tylko częścią stworzonego przez Isaaca większego wzoru, ale Daniel miał wrażenie, że gdyby prowadził obserwacje przez odpowiednio dużą liczbę długich, zimnych nocy, i gdyby należycie się skoncentrował, zdołałby sobie wyrobić zgrubne pojęcie o całości zdobiącej ścianę dzieła. Podobnie zresztą musiał traktować wszystkie dokonania Isaaca Newtona.

\* \* \*

*Niemniej ja uwierzyłem i w tym przekonaniu trwam nadal, że istotnie nasze miasto zostanie spalone ogniem i siarką z wysokości, i dlatego z niego uciekłem.*

*John Bunyan, Wędrowka Pielgrzyma*

Tej wiosny próbowano wznowić zajęcia w Cambridge, ale ledwie Daniel z Isaakiem rozgościli się w swoim pokoju, ktoś zmarł na dżumę i znów musieli się wyprowadzić. Isaac wrócił do Woolsthorpe, Daniel – do swojego wędrownego życia. Spędził kilka tygodni u Isaaca, kontynuując jego doświadczenia z kolorami, kilka następnych u Wilkinsa (ów przeniósł się z powrotem do Londynu, gdzie regularnie przewodniczył posiedzeniom Towarzystwa Królewskiego), opracowując Pismo Uniwersalne, kilka dalszych w towarzystwie Drake'a i swojego przyrodniego rodzeństwa, które na polecenie ojca przybyło do Londynu, by tam oczekiwać nadejścia Apokalipsy. Rok tysiąc sześćset sześćdziesiąty szósty – Rok Bestii – powoli upływał, minęła połowa, potem dwie trzecie. Zaraza wygasła. Wojna trwała, a w dodatku nie była już zwykłą potyczką angielsko-holenderską, ponieważ Francuzi opowiedzieli się po stronie Holendrów. Najwyraźniej jednak plany opracowane przez księcia Yorku i jego admirałów w ów zimny dzień w Epsom musiały być coś warte, ponieważ Anglicy radzili sobie na froncie całkiem nieźle. Drake z pewnością cierpiał,

rozdarty między patriotycznym zapałem i rozczarowaniem, że wojna jakoś nie wykazuje znamion wojny ostatecznej, godnej Apokalipsy: ot, zwykła seria morskich potyczek, w których flota angielska systematycznie wypierała z Kanału okręty holenderskie i francuskie. *Summa summarum* wydarzenia nie dorastały do opisów przedstawionych w Księdze Daniela i w Objawieniu Świętego Jana, co zmuszało Drake'a do codziennego odczytywania ksiąg na nowo i opracowywania coraz bardziej naciąganych interpretacji. Sam Daniel całymi dniami potrafił w ogóle nie myśleć o końcu świata.

Był wczesny wrześnieowy wieczór. Daniel wracał do Londynu z północy, z Woolsthorpe, gdzie pomagał Isaacowi dokonać obliczeń związanych z jego teorią orbit planetarnych. Rachunki nie przyniosły jednak rozstrzygnięcia, ponieważ nie mieli pojęcia, jaka dokładnie odległość dzieli ich od środka Ziemi, kiedy stoją na jej powierzchni i ważą różne przedmioty. Po drodze zajrzał do umęczonego zarazą Cambridge, w poszukiwaniu książki, która ponoć zawierała kluczową informację: długość obwodu Ziemi. Teraz zaś jechał do ojca, gdy ten przysłał mu niepokojący list. Twierdził w nim, że udało mu się właśnie w drodze obliczeń uzyskać dokładną datę końca świata. Tak się złożyło, że dzień ten przypadał na początek września.

Daniela dzieliło od Londynu jeszcze dwadzieścia mil, kiedy minął go galopujący konno posłaniec.

– Londyn płonie! – krzyczał. – Pożar trwa już drugi dzień!

Daniel domyślał się prawdy (przynajmniej w pewnym sensie), ale do tej pory jej zaprzeczał. W powietrzu od rana snuł się zapach spalenizny, a dym czepiał się koron drzew i zalegał w zagłębieniach terenu. Rozpalona plama słońca zdawała się zajmować pół południowego widnokregu. Teraz, kiedy pod koniec dnia chyliło się ku zachodowi, stało się intensywnie pomarańczowe, potem czerwone i kładło się krwawą poświatą na olbrzymich kłębach i słupach dymu – znakach i omenach stokroć ważniejszych niż (wciąż nieznan) promień Ziemi. Nastąpiła noc, ale bynajmniej nie zapadł zmrok: niebo nad Londynem rozświetlała wysoka na milę kupa ognia. Ziemia drżała od łoskotu, który Daniel z początku wziął za odgłos walących się budynków. Rozlegały się jednak z taką regularnością, że domyślił się w końcu, iż mieszkańcy wysadzają domy w powietrze, próbując utorować w płonącym mieście dukty przeciwpożarowe.

Początkowo wydawało mu się nieprawdopodobne, by pożar dosięgnął domu Drake'a, stojącego na przedmieściach, przy Holborn, ale liczba eksplozji i średnica ognistego łuku kazały mu wątpić w słuszność tych przypuszczeń. Teraz brnął już pod prąd rwącej rzeki ludzi, a właściwie żalosnych istot o usmolonych twarzach. Poruszał się bardzo powoli, ale nie mógł nic na to poradzić. Sadza odkładała się w fałdach jego ubrania – a nawet w zakamarkach małżowin usznych – wraz z drobinami i płatkami popiołu, które jak deszcz sypały się z nieba i z cichymi pacnięciami osiadały na wszystkim w okolicy.

– Cor! Patrz, śnieg pada! – zawołał jakiś chłopiec, zadzierając głowę. Odbity od nieba blask łuny oświetlił mu twarz.

Daniel (który wcale nie miał ochoty oglądać tego widoku) wolno podniósł wzrok. W powietrzu unosiło się pełno śmiecia, które tu i ówdzie wirowało leniwie w podmuchach wiatru, ale generalnie opadało ku ziemi. Chwycił przelatujący w pobliżu kawałek: była to osmolona na brzegach kartka z Biblii, strona numer 798. Następny wpadł mu w ręce odręcznie wypisany rachunek od złotnika, z jeszcze żarzącym się różkiem, potem pamflet krytykujący swobodną wymianę surowego kruszcu na monety, jeszcze później prywatny list pewnej damy do innej damy. Karteluszek osiadały mu na ramionach jak opadające liście. Wkrótce przestał je czytać.

Dotarcie do miasta zajęło mu tyle czasu, że kiedy ujrzał przy drodze pierwszy płonący dom, był wstrząśnięty. Z okien tryskały lite słupy ognia, podświetlając sylwetki ludzi ze skórzanymi kubłami, obrzeża których ociekały wodnymi diamencikami. Stłoczeni na polach przy Grays Inn Road uciekinierzy znudzili się już oglądaniem pożaru i zaczęli budować prowizoryczne schronienia.

Niedaleko Holborn drogę przegradzał wał gruzu, który posypał się, gdy domy po obu stronach zostały wysadzone w powietrze. Mimo wszechobecnej woni pożogi, Daniel czuł unoszący się w powietrzu siarkowy odór prochu. Nagle dom po prawej eksplodował. Daniel miał zaledwie ułamek sekundy na reakcję – tuż przed wybuchem dostrzegł kątem oka żółty płomień – zanim w następnej chwili drobne kamyki wbiły mu się w twarz (choć, prawdę mówiąc, miał wrażenie, że ktoś po prostu zdarł mu z niej skórę) i ogłuchł. Spłoszony koń stąpnął w gruz, złamał nogę i zrzucił go z siodła. Daniel spadł ciężko na kamienie i połamane deski; nie miał pojęcia, jak długo leżał bez ruchu. Słyszał dalsze eksplozje, coraz częstsze, w miarę jak ściana ognia zbliżała się do miejsca, w którym się znajdował. Kłęby pary i dymu buchały z rozgrzanych ścian i dachów, z ubrań żywych i martwych ludzi na ulicach. Korzystając z rozjaśniającej okolicy poświaty, przegramolił się na drugą stronę zatoru i znalazł na odcinku drogi względnie przejezdnym, lecz i tak skazanym na spalenie.

Przy Holborn odwrócił się plecami do ściany ognia i pobiegł prosto w stronę, z której dobiegał łoskot wybuchów. Jakaś część mózgu dokonywał na bieżąco obliczeń geometrycznych, wyznaczał punkty eksplozji, ekstrapolował przebieg łączącej je krzywej i z każdą chwilą zyskiwał coraz większą pewność, że dukt przeciwpożarowy przejdzie w pobliżu domu Drake'a.

Na samej Holborn natknął się na kolejną stertę gruzu, na tyle świeżą, że kamienie jeszcze nie przestały się z niej osypywać. Wbiegł na nią z rozpędu, nie patrząc pod nogi, jakby się bał, że zobaczy wśród gruzu szczątki mebli Drake'a. Tymczasem z jej szczytu ujrzał nietknięty dom, który zachował swoją zgarbioną pozę, ale stał osamotniony, ponieważ sąsiednie budynki już wysadzono. Jego ściany zaczynały dymić, płonące żagwie sypały się z

nieba jak meteoryty, a sam Drake stał na dachu i osłaniał głowę trzymaną oburącz Biblią. Krzyczał coś, czego nie dało się w tym tumultie zrozumieć – zresztą nie było takiej potrzeby.

Na ulicy roiło się od wymachujących bronią dżentelmenów w osmolonych i poprzypalanych dworskich strojach, oraz towarzyszących im muszkietierów, którzy wyglądali na nieszczęśliwych, ponieważ przyszło im znaleźć się w takiej okolicy z prochownicami u pasa. Bogaci i wpływowi londyńczycy spoglądali w górę na Drake'a, machali do niego i wołali, żeby natychmiast zszedł na ulicę, on jednak wpatrywał się w ogień.

Daniel odwrócił się, ciekaw, co tak bez reszty przykuło uwagę ojca, i omal nie runął na wznak, porażony temperaturą i wizją pożaru. Ogień wypełniał sobą cały wschód i południe Londynu, a także całą przestrzeń pod gwiazdami. Bił w górę i pulsował, tryskał i falował, a domy waliły się przed nim w gruzy jak źdźbła trawy pod olbrzymim terenowym kołem Johna Wilkinsa.

Na dodatek zbliżał się nieuchronnie, i to tak szybko, że doganiał niedoszłych uciekinierów: najpierw upodabniali się do utkanych z dymu widm, po chwili wybuchił płomieniem i w biegu rozpływali się w oślepiającym blasku, jakby dostąpili wniebowzięcia. Nie uszło to uwagi Drake'a, który gorączkowymi gestami wskazywał nadciągającą ścianę ognia, ale tłum dworskich dandysów całkowicie go ignorował. Drake zawsze widział w nich istoty z piekła rodem; byli przecież służalcami Karola II, arcydemonów w służbie samego Ludwika XIV. A teraz jak na złość zebrawi się przed jego domem.

Daniel wymachiwał rozpaczliwie rękami, próbując zwrócić na siebie uwagę ojca, zanim dotarło do niego, że dla Drake'a jest tylko ciemną sylwetką na tle łuny pożaru – czyli najmniej interesującym elementem rozległej panoramy.

Wszyscy dworacy zwrócili się ku centrum swojej grupy, wpatrzeni w stojącego tam człowieka. Nawet Drake na niego spojrział. Danielowi mignął w ciżbie Lord Burmistrz, uznał więc, że to on jest ośrodkiem zainteresowania – ale Lord Burmistrz również na kogoś patrzył. Daniel przesunął się w bok na stercie gruzu i wreszcie dostrzegł wysokiego, śniadego mężczyznę w niewiarygodnie eleganckim stroju i ogromnej peruce, która trzęsła się, gdy jej poirytowany właściciel kręcił głową. Nagle zrobił krok naprzód, wziął pochodnię z rąk któregoś z pochlebców, ostatni raz spojrział na stojącego na dachu Drake'a, a potem przykucnął i podpalił ulicę. Dymiąca gwiazdka pomknęła w stronę strzaskanych drzwi domu Drake'a.

Mężczyzna z pochodnią odwrócił się i Daniel rozpoznał w nim Anglię.

Nastąpiło coś w rodzaju przedwczesnej eksplozji, ludzie rozpierzchli się w pośpiechu, żeby znaleźć się jak najdalej od domu Drake'a. Dworzanie i muszkietrzy stłoczyli się za plecami króla, by osłonić go przed latającymi kawałkami klawikordu. Drake wycelował palec wskazujący w Jego Królewską Mość, a drugą ręką podniósł wysoko Biblię, przywołując jakieś nowe przekleństwo. Widząc żagwie lecące z nieba, niczym ogniste włócznie aniołów

zemsty, mógł sobie wyobrażać, że odgrywa istotną rolę w Dniu Sądu Ostatecznego. Żaden płonący pocisk nie trafił jednak króla.

Gwiazdka wdrapywała się tymczasem na frontowe schody. Daniel rzucił się w dół po stercie wnętrzości wyprutych z okolicznych domów. Był święcie przekonany, że dogoni gwiazdkę, wyrwie jej lont i go zgasi, zanim ognek dotknie beczulek z prochem, które zapewne wtoczono przez rozbite drzwi do salonu. Drogę zagrodzili mu biegnący w przeciwnym kierunku królewscy gwardziści. Spojrzeli na niego zdumieni, on zaś uskoczył i wyminął ich bokiem. Kątem oka dostrzegł, że jeden z dworaków zorientował się, co się święci – jego twarz stężała, szczeka opadła, usta otworzyły się bezwładnie – taki sam wyraz przybierały twarze studentów, kiedy – wreszcie – doznawali olśnienia. Gwardzista wyskoczył z szeregu i uniósł do ramienia rurę z ziejącym na końcu ogromnym otworem. Daniel spojrzał na dom ojca: gwiazdka zakradała się w głąb ciemnego korytarza. Skulił się, oczekując wybuchu, ale usłyszał grzmot nie przed sobą, lecz za plecami. W tej samej chwili poczuł tysiąc jednoczesnych ukąszeń i jak długi runął na ziemię.

Przetoczył się na plecy, żeby stłamsić palące ogniki bólu, i ujrzał Drake'a wstępującego na niebiosa. Jego czarny strój zmieniał się właśnie w szatę utkaną z ognia. Stół, książki i stojący zegar dotrzymywały mu kroku.

– Ojczy? – zdziwił się Daniel.

Ta wypowiedź nie miała, naturalnie, nawet cienia sensu, o ile jedynym Wyznacznikiem sensowności miałyby być kryterium filozofii naturalnej. Nawet gdyby założyć, że Drake żył jeszcze, gdy Daniel do niego przemówił (a byłoby to naprawdę odważne założenie, które z pewnością nie wpłynęłoby korzystnie na opinię, jaką młody człowiek cieszył się w Towarzystwie Królewskim), to przecież znajdował się już dosyć daleko i oddalał coraz bardziej w istic apokaliptycznym tłumie, rozpraszało go wiele ubocznych okoliczności wniebowzięcia, a poza tym wskutek wybuchu najprawdopodobniej stracił słuch. Sęk w tym, że Daniel w jednej i tej samej chwili zobaczył eksplodujący dom i został postrzelony z garlaca, na skutek czego wszelkie skojarzenia natury filozoficznej wywietrzały mu z głowy. Chwilowo mógł się kierować wyłącznie sentymentalną logiką pięciolatka oszołomionego perspektywą rozstania z ojcem, które trudno nazwać naturalnym i właściwym wydarzeniem w życiu dziecka. W dodatku nie zdążył powiedzieć ojcu o tylu ważnych sprawach, że na ich zrelacjonowanie potrzebowałby dobrych dwudziestu lat. Zgrzeszył wobec Drake'a, chciał się wypowiedzieć i uzyskać rozgrzeszenie; Drake zgrzeszył wobec niego i zasłużył na to, by go pociągnięto do odpowiedzialności. Zdecydowany za wszelką cenę powstrzymać ten ohydny i sprzeczny z naturą proces rozstania, Daniel użył jedynego środka samoobrony dostępnego pięciolatkom: głosu. A ten, z natury, jest zaledwie falowaniem powietrza. W przepelnionym miłością domu takie wezwanie wzbudziłoby niepokój i sprowadziło pomoc.

– Ojczy? – powtórzył.



Jednakże jego dom był w tej chwili burzą kamieni i huraganem drewnianych odłamków, z których każdy zataczał w przestworzach własny łuk, zanim runął na dymiącą i parującą ziemię, ojciec zaś stał się już tylko płonąca chmurą. Jak Bóg w starotestamentowej teofanii. O ile jednak dawne ogniste obłoki były formą manifestacji YHWH, Jego sposobem na objawienie się ziemskim dzieciom, to ten po prostu pochłonał Drake'a i zamiast go wypluć, zjednoczył z *Mysterium Tremendum*. Drake na zawsze uciekł Danielowi.

## **Na *Minerwie*, w Zatoce Plymouth, Massachusetts**

### **Listopad 1713**

Jego myśli dość znacznie wyprzedziły pióro; pióro wyschło, ale Daniel ma twarz mokrą od potu. Siedzi sam w kabinie i przez minutę oddaje się innej z ulubionych rozrywek pięciolatków. Niektórzy mówią, że płacz to dziecinada. Daniel, który od czasu narodzin Godfrey'a znacznie częściej oglądał płacz, niżby sobie tego życzył, jest temu stwierdzeniu przeciwny. Owszem, głośne płkanie jest dziecinne, ponieważ odzwierciedla wiarę płaczącego w to, że ktoś go usłyszy i przybiegnie pocieszyć. Natomiast cichy szloch, jaki tego ranka wstrząsa Danielem, jest oznaką cierpienia człowieka dojrzałego, który nie żywi już podobnie kojących złudzeń.

Z pokładu działowego dobiega rytmiczny, narastający rumor, który nagle eksploduje tupotem licznych stóp na mahoniowych stopniach. W jednej chwili na całej *Minerwie* dosłownie roi się od marynarzy, biegających tam i z powrotem, zderzających się po drodze i tworzących żywą ilustrację praw, które według Hooke'a rządzą wytwarzaniem ciepła. Danielowi przychodzi do głowy, że może ktoś zauważył pożar w prochowni i wszyscy za chwilę porzucą statek, widzi jednak, że cały ten chaos jest w gruncie rzeczy w miarę uporządkowany.

Ociera twarz, korkuje kałamarz i wychodzi na pokład. Wyrzuca za burtę sklezione zakrzepłym atramentem pióro. Większość marynarzy wspięła się już na liny i rozwija olbrzymie połacie białego płótna, jakby chciała oszczędzić szczerowi lądowemu widoku flotyli słupów i szalup, które płyną ku *Minerwie* ze wszystkich zatoczek i cieśnin Zatoki Plymouth. Kamienie i drzewa na brzegu poruszają się – w stosunku do nieruchomych przedmiotów na pokładzie – w sposób, w jaki absolutnie nie powinny się poruszać.

– Płyniemy... – stwierdza Daniel. – Dryfujemy!

Podniesienie kotwicy na statku o rozmiarach *Minerwy* jest przedsięwzięciem absurdalnie skomplikowanym i czasochłonnym: mała armia podśpiewujących marynarzy maszeruje w kółko przy olbrzymim kabestanie na górnym pokładzie, chłopcy okrętowi czyszczą ze szlamu mokrą linę kotwiczną i posypują ją piaskiem, żeby nie ślizgała się na niej linka okrężna,

owinięta trzykrotnie na kabestanie, jeden z marynarzy zwinnie rozwija buchty linki, drugi klaruje ją z drugiej strony. Tymczasem od wschodu słońca nie zaszło nic takiego.

– Dryfujemy! – zwraca się zaniepokojony Daniel do Dappy, który właśnie zeskoczył zwinnie z kasztelu rufowego i omal nie wylądował mu na plecach.

– Oczywiście, panie kapitanie. Dlatego wpadliśmy w panikę. Nie widać?

– Jest pan niesprawiedliwy wobec siebie i załogi. A właściwie dlaczego mówi pan do mnie „kapitanie”? I jakim cudem dryfujemy, skoro nie podnieśliśmy kotwicy?

– Proszę wejść na kasztel rufowy, panie kapitanie. Tak, tak, tędy...

– Pozwoli pan, że wezmę z kajuty kapelusze...

– Lepiej nie, panie kapitanie. Piraci w całej Nowej Anglii, a tak się składa, że wszyscy zebrali się właśnie wokół *Minerwy*, muszą zobaczyć te siwe włosy i lśniąca, zaróżowioną łysinę. Wygląda pan jak kapitan, który od wieków nie wychodził na pokład. Tędy, psze pana, proszę uważać na koło sterowe... dobrze... Nie mógłby się pan trochę bardziej trząść? Albo mrużyć oczu? Słońce pana razi... Świetnie... O to chodzi, kapitanie!

– Niech nas Bóg ma w swojej opiece, panie Dappa! Straciliśmy kotwice! Jakiś szalencie przeciął liny!

– Mówiłem przecież, że wpadliśmy w panikę. Tędy, po schodkach, pomalutku, panie kapitanie...

– Proszę mnie puścić! Sam sobie dam...

– Służę uprzejmie, panie kapitanie... Na górze schodów czeka już na pana ten garbaty Holender...

– Kapitan van Hoek! Dlaczego przebrał się pan za zwykłego marynarza? I jak to się stało, że straciliśmy kotwice?!

– Zbędny balast – odpowiada van Hoek i mruczy coś po holendersku.

– Powiedział, że zachowuje się pan jak rasowy choleryk. Tego nam trzeba! Proszę wziąć lunetę. Mam pomysł. Niech pan spojrzy w nią najpierw z niewłaściwego końca, potem zmiesza się i rozzłości, jakby któryś z tępych marynarzy podał ją panu odwrotnie.

– Dla pańskiej wiadomości, panie Dappa, był czas, kiedy na optyce znałem się najlepiej na świecie, jeśli nie liczyć jednego... powiedzmy dwóch dżentelmenów, pod warunkiem, że uwzględnimy Spinozę. Ale Spinoza był zwykłym szlifierzem szkieł i znacznie bardziej pochłaniały go jego ateistyczne rozważania...

– Proszę to zrobić! – warczy jednoręki Holender.

Ponieważ to van Hoek nadal jest kapitanem *Minerwy*, Daniel staje przy relingu kasztelu rufowego, podnosi do oka lunetę i zagląda w okular. Słyszy, naprawdę słyszy dobiegający z szalup śmiech piratów. Van Hoek wrywa mu lunetę, odwraca ją i wciska z powrotem w dłoń. Daniel próbuje ją wycelować w zbliżającą się łódź wielorybniczą, ale dziób łodzi ginie w chmurze dymu, która rozwiewa się na jego oczach, unoszona coraz silniejszym wiatrem.

Od paru minut zagle *Minerwy* wypełniają się wiatrem, wydając przy tym łopot do złudzenia przypominający wystrzały, ale...

– A niech mnie! – mamrocze Daniel. – Strzelają do nas!

Dostrzega zamocowany na dziobie szalupy obrotowy falkonet i paskudnie wyglądającego faceta, który pakuje do wąskiej lufy paczuszkę ołowianych kulek.

– To nic takiego – uspokaja go Dappa. – Strzelili nam przed dziób. Ale pańska przerażona mina... i te gesty... Doskonale!

– Tyle łodzi... Czy ci wszyscy piraci współpracują?

– Później będzie aż nadto czasu na wyjaśnienia. Teraz proszę sprawiać wrażenie załamanego... Chwycić się za pierś, jak przy ataku apopleksji... Może niech się ugną pod panem kolana. Zaraz zaprowadzimy pana do kajuty na górnym pokładzie.

– Ale moja kajuta znajduje się w kasztelu rufowym.

– Został pan tymczasowo awansowany, kapitanie. Proszę za mną, za długo już pan był na słońcu. Odpocznie pan, otworzy sobie butelkę rumu...

\* \* \*

– Proszę nie dać się zwieść tej strzelaninie – uspokaja Daniela Dappa, wtykając przez drzwi kabiny swoją kudłatą, siwiejącą głowę. – Gdybyśmy walczyli na serio, szalupy wylatywałyby w powietrze jedna po drugiej.

– Jeśli to nie jest prawdziwa bitwa, to jak nazywacie sytuację, w której ludzie na łodziach ostrzeliwują się nawzajem ołowianymi kulami?

– To gra. Albo taniec. Przedstawienie teatralne. A skoro już o tym mowa... Ćwiczy pan swoją rolę?

– Wydawało mi się to nierozsądne, dopóki kartacze świszczą w powietrzu. Ale skoro to tylko rozrywka... – Daniel wychodzi na czworakach spod kapitańskiego stołu i ostrożnie, bokiem, przemieszcza się ku oknu. Jego ruchy przywodzą na myśl paradoks Zenona z Elei: każdy kolejny krok jest o połowę krótszy od poprzedniego. Kabina van Hoeka ciągnie się przez całą szerokość statku; można by w niej swobodnie grać w wolant. Cała ściana od strony rufy jest jednym wielkim oknem, łagodnie zakrzywionym i wychodzącym (co Daniel dopiero teraz może docenić) na Zatokę Plymouth. Widać przez nią maleńkie domki i wigwamy na wzgórzach oraz kolebiące się na falach niezliczone łodzie, otulone prochowym dymem i od czasu do czasu plujące żółtymi płomykami mniej więcej w kierunku *Minerwy*. – Chyba reagują na mnie wrogo.

Na lewo od niego mała szybka zostaje strzaskana czymś, co Daniel bierze za kulę muszkietową.

– Co za grymas! I ten ruch rąk, jakby chciał pan zatkać sobie uszy, ale powstrzymał się w pół gestu, niby w objęciach *rigor mortis*! To prawdziwy cud, że się nam pan trafił.

– Czy mam rozumieć, że te wszystkie zabiegi nie służą niczemu innemu, jak tylko złożonej i wyrafinowanej manipulacji psychiką piratów?

– Proszę się nie unosić. Oni też nami manipulują. Co druga ich armata jest wystrugana z drewna i tylko pomalowana na czarno, żeby wyglądała jak prawdziwa.

Jakiś olbrzymi pocisk niczym meteoryt wrywa drzwi z zawiasów i wbija się w dębowy zastrzał. Przekrzywia go lekko, a wraz z nim odkształceniu ulega cała kabina. Deformacji ulega cały układ odniesienia, w którym Daniel prowadzi obserwacje: albo to Dappa stoi krzywo, albo cały statek się przechyla.

– Niektóre działa są, rzecz jasna, prawdziwe – dodaje Dappa, zanim Daniel zdąży zatriumfować.

– Skoro chcemy zwieść piratów, jaki sens ma udawanie, że kapitanem statku jest stetryczła panikarz? Jeśli umiem czytać między wierszami, to taką właśnie rolę mi przeznaczono. Nie lepiej byłoby otworzyć wszystkie ambrazury, wytoczyć działa, walić do piratów salwami aż echo pójdzie, i postawić van Hoeka na kasztelu rufowym, żeby wymachiwał tam tym swoim hakiem?

– Wszystko w swoim czasie. Na razie jednak najważniejszy jest wielowymiarowy blef.

– Ale dlaczego?

– Dlatego że mamy do czynienia z więcej niż jedną grupą piratów.

– Co takiego?!

– Właśnie dlatego przed świtem złapaliśmy i przesłuchaliśmy...

– Niektórzy powiedzieliby „torturowaliście”.

– ...Kilku piratów. W zatoce jest ich taka masa, że zakrawa to na absurd. Nie mogli się wszyscy sprzymierzyć. I faktycznie, okazuje się, że porządni, ciężko pracujący piraci z Zatoki Plymouth, ci w mniejszych łodziach... Proszę wstać, kapitanie! Szybko! Będzie pan łaskawy przejść dwa kroki na bakiurę!

Komentarz Dappy jest wywołany widokiem za oknem. Daniel odwraca się i widzi zwisającą pionowo, naprężoną linę z manili. W jej widoku nie byłoby nic dziwnego, gdyby nie fakt, że przed chwilą jeszcze jej tam nie było. Lina dygocze, wybijając szybki rytm na szybie, a potem pojawiają dwie zaciśnięte na niej dłonie, stwardniałe i pokryte odciskami. Za nimi wylania się kapelusze z szerokim rondem, pod nim głowa i twarz człowieka, który trzyma w zębach sztylet. Zza pleców Daniela dobiega ogłuszające FUUUM! i coś paskudnego dzieje się z twarzą intruza – zmianę można obserwować tym wygodniej, że dzieląca go od kajuty szybka przestała istnieć. Kłęb dymu zatrzymuje się na ocalałych szybach i przesłania widok, a kiedy się rozwiewa, pirata już nie ma. Dappa stoi na środku kabiny z dymiącym żelastwem w rękach.

Ze skrzyni van Hoeka wyjmuje hak, opatrzony mnóstwem pasków i obejmą na kikut.

– O takich właśnie piratach mówiłem. Nie odważyliby się na tak nierozważny krok, gdyby nie ci nowi, którzy dają im do wiwatu.

– Jacy nowi?

Dappa krzywi się z niesmakiem. Wysuwa przez okno rękę z hakiem, zaczepia nim o linę, wciąga ją do środka i przecina jednym ruchem kordelasa.

– Proszę spojrzeć dalej, w stronę horyzontu, kapitanie. Widzi pan tę flotyllę? Słupy, szkunery pod topslami, i jeden kecz... Formują szyk. Jest ich z pół tuzina, jeśli nie więcej. Komunikują się kolorowymi chorągiewkami, wystrzałami i błyskami lusterek.

– Czy to z ich powodu ta nędzna drobnica w szalupach nie ma z czego żyć?

– Tak, kapitanie. Gdybyśmy, jak pan sugerował, od razu dobrali się im do skóry, wiedzieliby, że nie mają szans. Wtedy mogliby pokusić się o zawarcie przymierza z Teachem.

– Z Teachem?

– Kapitan Edward Teach jest dowódcą tamtej pirackiej flotylli. Ale drobnica się zmęczyła, próbując przechwycić *Minerwę*, zanim Teach postawi żagle i sformuje szyk. Teraz możemy zająć się samym Teachem.

– W Królewskiej Marynarce Wojennej służył pewien Teach...

– To ten sam. W czasie wojny stanęli po stronie królowej i łupili hiszpańskie okręty. Teraz, po podpisaniu traktatu pokojowego, Hiszpania nie jest już naszym wrogiem i chłopcy nie mieli gdzie się podziąć. Przepłynęli więc Atlantycką, żeby w Ameryce znaleźć sobie port dogodny do pirackich wypadów.

– Mniemam zatem, że nie chodzi im o nasz ładunek, lecz...

– Moglibyśmy wyrzucić za burtę wszystko, co mamy, a Teach i tak by nas ścigał. Chce zrobić z *Minerwy* swój okręt flagowy. Byłby z niej świetny pirat.

Od dłuższego czasu nie słychać wystrzałów, Daniel podchodzi więc do okna i patrzy, jak flotylla Teacha stawia kolejne żagle, upodabniając się do zalegającej nad zatoką chmury.

– Szybkie statki – stwierdza. – Niedługo zobaczymy Teacha na własne oczy.

– Łatwo go rozpoznać. Jeśli wierzyć ludziom, których przesłuchaliśmy, jest mistrzem pirackiego teatrzyku. Okręca sobie głowę dymiącym lontem, jakby mu się paliły włosy. W nocy wtyka sobie w brodę zapalone świece. Połowa mieszkańców Plymouth uważa, że to wcielony diabeł.

– A co pan o nim myśli, Dappa?

– Ja tylko wiem, że świat nie widział takiego diabła jak kapitan van Hoek, kiedy piraci chcą mu odebrać jego panią.

## **Charing Cross**

**1670**

*Sir ROBERT MORAY przedstawił rozprawę dotyczącą kawy, sporządzoną na polecenie króla przez doktora Goddarda. Dokument odczytano i zgodnie z życzeniem autora Towarzystwo zatrzymało jeden jego egzemplarz.*

*Pan BOYLE wspomniał, iż mówiono mu, że spożywanie kawy w nadmiarze prowadzi do drgawek lub paraliżu.*

*Biskup Exeter poparł go i dodał, że sam zaobserwował jej niedowładogenne działanie. Sądził jednak, że kawa wywiera taki wpływ wyłącznie na osoby gorączkowane.*

*Pan GAUNT przytoczył przykład znajomych dwóch dżentelmenów, wielkich miłośników kawy, którzy są sparaliżowani.*

*Doktor WHISTLER zasugerował sprawdzenie, czy te same osoby nie przyjmowały w nadmiarze tytoniu.*

Historia Londyńskiego Towarzystwa Królewskiego  
Dla Rozwoju Wiedzy Naturalnej, 18 Sty. 1664/65<sup>29</sup>

Nie mając ochoty ani na drgawki, ani – tym bardziej – na paraliż, Daniel unikał kawy aż do roku tysiąc sześćset siedemdziesiątego, kiedy to pierwszy raz spróbował jej w kawiarni pani Green, sprytnie ulokowanej w miejscu, gdzie zachodni kraniec Strandu wychodził na Charing Cross. Na zachód od tego punktu stał kościół St. Martin-in-the-Fields, Świętego Marcina Wśród Pól<sup>30</sup>, na wschodzie zaś znajdował się nowy gmach Giełdy, stanowiący jądro całego kwartału sklepów. Na północ od Charing Cross rozpościerał się Covent Garden, na południu zaś – jak wieść gminna niosła – płynęła Tamiza, odległa zaledwie o kilkaset jardów, lecz niewidoczna, ponieważ domy i pałace arystokratów tworzyły lity mur, ciągnący się od rezydencji króla (pałacu Whitehall) wzdłuż łuku rzeki, aż do kanału Fleet Ditch, od którego zaczynały się portowe nabrzeża.

Pewnego letniego poranka tysiąc sześćset siedemdziesiątego roku Daniel przeszedł obok kawiarni pani Green dosłownie minutę po tym, jak uczynił to Isaac Newton. Kawiarnia miała nieduży ogródek z kilkoma stolikami. Daniel wszedł do niego i sprawdził, czy nic nie będzie mu zasłaniało widoku. Isaac wstał wcześniej, na paluszkach wyszedł z sypialni i bez śniadania wymknął się do miasta – co nie było dla niego niczym niezwykłym. Daniel ruszył za nim. Wyszedł frontowymi drzwiami z rezydencji Waterhouse'ów (odbudowanej i znacznie powiększonej), przeciął Lincoln Inn's Fields, gdzie wytworne ranne ptaszki spacerowały z psami lub zbierały się w grupki pogrążone w tajemniczych konwersacjach, i minął – cóż za zbieg okoliczności – dokładnie tę samą gospodę na rogu Drury Lane i Long Acre, w której

---

<sup>29</sup> Wszędzie poza Anglią był już rok 1665, w Anglii zaś nowy rok zaczynał się dopiero 25 marca.

<sup>30</sup> Pola zmieniały się z wolna w miejskie ulice, toteż w tym okresie był to właściwie „kościół Świętego Marcina Na Skraju Pola”, a niedługo potem należałoby go nazwać „kościółem Świętego Marcina, Z Którego Widać Bardzo Drogie Pole Albo Dwa”.

przed sześciu laty dwóch Francuzów zmarło na dżumę, dając początek pamiętnej epidemii. Dalej zagłębił się w wąwóz sypkiej ziemi i luźnych brukowców, czyli St. Martins Lane. John Comstock, hrabia Epsom, pełniący funkcję Komisarza Kanalizacji, zarządził, że wijącą się krowią ścieżkę należy wybrukować i uczynić z niej ulicę z prawdziwego zdarzenia, która stanie się osią całego nowego Londynu.

Daniel trzymał się w bezpiecznej odległości, żeby Isaac nie zauważył go, kiedy się odwróci – chociaż z Isaakiem, który miał zmysły czulsze niż wiele dzikich zwierząt, człowiek nigdy nie mógł być pewny swego. Na St. Martins Lane tłoczyły się olbrzymie wozy z kamieniem brukowym zaprzężone w ciężkie konie, nad którymi woźnice z trudem panowali. Daniel musiał usuwać się im z drogi i wymijać sterty gruzu, jeśli nie chciał stracić przyjaciela z oczu.

Znalazszy się na otwartym terenie Charing Cross i przylegającego doń placu, na którym królowie szkoccy korzyli się kiedyś przed rezydującym w Whitehallu suwerenem, Daniel mógł pozwolić sobie na zwiększenie dzielącego ich dystansu: siwa głowa Isaaca była z daleka widoczna w tłumie. Jeżeli kierował się do któregoś z licznych sklepików, kawiarni, stajni, ogrodów, kramów lub arystokratycznych domów przy rozległym skrzyżowaniu, Daniel mógł spokojnie usiąść w kawiarnianym ogródku i mieć go na oku.

Nie miał pojęcia, dlaczego to robi, ale Isaac sam się prosił o to, by go śledzić, kiedy tak wstał i wymknął się po kryjomu. Zresztą nie był nawet szczególnie dobry w tym wymykaniu się. Tak bardzo przywykł do myśli, że przewyższa wszystkich intelektem, że w gruncie rzeczy nie miał pojęcia, co przeciętny człowiek potrafi. Dlatego też kiedy postanowił być przebiegły, stosował sztuczki, na które nawet pies nie dałby się nabrać. Właściwie można by się na niego obrazić – ale też przebywanie w towarzystwie Isaaca Newtona nie było rozrywką dla miernot.

W Kolegium Trójcy Świętej nadal mieszkali razem, chociaż przenieśli się do małego domku tuż za bramą uniwersytetu, gdzie przeprowadzali doświadczenia z pryzmatami i soczewkami. Dwa razy w tygodniu Isaac udawał się do kolegium i przy pustej sali prowadził wykład, w którym poruszał tak skomplikowane zagadnienia matematyczne, że poza nim nikt ich nie rozumiał. Jak widać, pod tym względem nic się nie zmieniło. Ostatnimi czasy stracił jednak zainteresowanie optyką (być może dlatego że wiedział już wszystko na jej temat) i zrobił się dziwnie tajemniczy. A potem, przed trzema dniami, z wystudiowaną nonszalancją oznajmił, że zamierza na parę dni przenieść się do Londynu. Kiedy Daniel stwierdził, że również się tam wybiera (chciał złożyć wizytę nieszczęsnemu Oldenburgowi i wybrać się na spotkanie Towarzystwa Królewskiego), Isaac nie zdołał ukryć swej irytacji – ale przynajmniej próbował, co było naprawdę wzruszające.

W pół drogi do Londynu Daniel (w ramach swoistego eksperymentu) głośno wyraził swoje zdumienie faktem, że Isaac chce zamieszkać w jakiejś gospodzie. Powiedział, że nie może być o tym mowy – nie po tym, jak Raleigh włożył znaczną część majątku

Waterhouse'ów w budowę nowego, przestronnego domu przy Holborn. Na te słowa Isaacowi oczy wyszły z orbit jeszcze bardziej niż zwykle, a jego twarz przybrała wyraz godny udęzonego męczennika, który zniknął dopiero po zapewnieniu ze strony Daniela, że dom Raleigha jest tak duży i ma tyle wolnych pokoi, że jeśli się w nim zatrzymają, prawdopodobnie nawet nie zobaczą jego przyrodniego brata.

W oparciu o takie spostrzeżenia Daniel postawił hipotezę, że Isaac dopuszcza się z kimś Czynów Przeciwnych Naturze. Były jednak fakty (na przykład Isaac nigdy nie dostawał żadnych listów), które tym podejrzaniom przeczyły.

Kiedy tak stał przed kawiarnią, z St. Martins Lane wyjechał dżentelmen<sup>31</sup> na koniu. Ściągnął wodze, stanął w strzemionach i przez chwilę śledził wzrokiem spokojny chaos Charing Cross. Sprawiał wrażenie podenerwowanego, dopóki nie wypatrzył tego, czego szukał – wtedy bowiem odprężył się, opadł na siodło i wolno ruszył w stronę... Isaaca Newtona. Daniel usiadł w ogródku kawiarni pani Green, zamówił kawę i poprosił o gazetę.

Król Hiszpanii Karol II był schorowany i osłabiony; spodziewano się, że nie dożyje zimy. Comenius również był umierający. Anna Hyde, małżonka księcia Yorku, zapadła na – jak powszechnie sądzono – syfilis. John Locke pisał konstytucję Karoliny, na Ukrainie Rosjanie krwawo tłumili kozacki bunt Stieńki Razina, Turek jedną ręką odbierał Kretę Wenecjanom, a drugą podpisywał wypowiedzenie wojny Polsce. W Londynie spadek cen pieprzu doprowadził wielu kupców z City do bankructwa, a tymczasem całkiem niedaleko, po drugiej stronie Kanału, V.O.C. (Holenderska Kompania Wschodnioindyjska) wypłacała właśnie czterdziestoprocentową dywidendę.

Ale najważniejsze wiadomości dotyczyły poczynań CABAL<sup>32</sup>, czyli Kabały, oraz dworaków. John Churchill należał do tych nielicznych dworzan, którzy naprawdę byli zdolni popłynąć do kraju Berberów i zмагаć się *mano a mano* z pogańskimi korsarzami, toteż gazety poświęcały mu sporo uwagi. Obecnie na czele większości angielskich okrętów pilnował blokady portu w Algierze, próbując – nareszcie – raz na zawsze załatwić sprawę berberyjskich piratów.

Dżentelmen na koniu miał w sobie coś z dworzanina, był jednak nader niemodnie poobijany i postrzępiony. Chwilę wcześniej omal nie stratował Daniela, kiedy ten wyszedł z domu Raleigha i jak dureń stanął na samym środku drogi, próbując wypatrzeć Isaaca.

\* \* \*

---

<sup>31</sup> Tzn. mężczyzna z rapierem u pasa.

<sup>32</sup> Mowa o pięciu osobach, którym król Karol II powierzył rządy w Anglii. Byli to John Comstock, hrabia Epsom, Lord Kanclerz; Thomas More Anglesey, Książę Gunfleet, minister skarbu; Knott Bolstrood, który dał się przekonać do powrotu z wygnania w Holandii (sam się na nie skazał) i objęcia stanowiska Sekretarza Stanu Jego Królewskiej Mości; sir Richard Apthorp, bankier, założyciel Kompanii Wschodnioindyjskiej; oraz generał Hugh Lewis, książę Tweed.



Jeździec wyglądał na zubożalego szlachcica z jakiejś wyżynnej, kamienistej baronii, który chciał zdobyć sławę w Londynie, ale brakowało mu po temu stosownych środków. Na nogach miał bardzo praktyczne skórzane buty z prawdziwego zdarzenia – zamiast żartobliwych wariacji na temat butów jeździeckich, jakie upodobali sobie miejscy młodzieńcy. Był ubrany w ciemną narzutkę do jazdy konnej, luźno wzorowaną na księżej sutannie i ozdobioną mnóstwem srebrnych guzików. Miał kosztowne siodło, które założył na grzbiet całkiem przeciętnego konia, upodabniając go w ten sposób do handlarki ryb przebranej w generalski mundur. Jeżeli Isaac szukał metresy (albo metresa, czy jak tam nazywa się męski odpowiednik metresy), mógł trafić gorzej – choć mógł i lepiej.

Daniel miał przy sobie pewien Cenny Przedmiot. Zabrał go z domu nie po to, by go użyć, lecz ze strachu, że któryś ze służących Raleigha mógłby go ukraść lub zepsuć. Przedmiot znajdował się w zamykanej na klamerki drewnianej skrzyneczce. Daniel położył ją przed sobą na stoliku, odpiął sprzączki, podniósł wieko i zdjął czerwony aksamit, odsłaniając walcowaty obiekt, długi mniej więcej na stopę, szerszy niż męska pięść i zamknięty z jednego końca. Był zainstalowany na drewnianej kuli wielkości jabłka, kula zaś mieściła się w zacisku, który pozwalał poruszać nią we wszystkich kierunkach. Można było na przykład postawić zacisk na stole, a następnie skierować otwarty koniec rury w dowolną stronę – i to właśnie zrobił Daniel. W pobliżu otwartego końca w rurze nawiercono otworek o średnicy palca, w środku zaś, pod otworkiem, znajdowało się małe lustro, umieszczone na osi tubusu i zwrócone w stronę zamykającego tubus wklęsłego krążka z posrebrzonego szkła. Isaac zaprojektował ten przyrząd, a Daniel wprowadził kilka ulepszeń i zbudował prototyp.

Przyłożywszy oko do otworu, zobaczył tylko wielobarwną plamę. Pokręcił więc śrubą umieszczoną przy wklęsłym zwierciadle, skracając w ten sposób tubus, i jego oczom ukazał się wycinek ozdobnego okna na drugim końcu Charing Cross. Wiatr targał zwisającą na zewnątrz koronkową firankę. Daniel ze zdumieniem uświadomił sobie, że zagląda przez okno pałacu Whitehall, należące – jeśli się nie mylił – do apartamentów lady Castlemaine, ulubionej kochanki angielskiego króla.

Delikatnie obrócił tubus i zobaczył narożnik Banqueting House, gdzie w dzieciństwie był świadkiem dekapitacji Karola I: to był koniec boskiego prawa do tronu, zapowiedź powstania republiki i wprowadzenia wolności handlu. Daniel siedział na barana na ramionach szczęśliwego Drake'a i patrzył na toczącą się głowę króla. W tamtych czasach wychodzące na ulicę okna Whitehallu były zamurowane dla ochrony przed ostrzałem, a większość fircykowatych ozdóbek, czyli rzeźb i obrazów, popakowano do skrzyń i sprzedano Holendrom. Teraz okna znów wyglądały jak okna, dzieła sztuki odkupiono i nigdzie nie było widać bezgłowego króla.

Nie był to więc najlepszy moment na wspomnianie Drake'a. Daniel poruszał teleskopem, dopóki wystrzępione pióro w kapeluszu jeźdźca nie zamajaczyło w okularze jako

podskakująca biała plama, niczym omyk spłoszonego zająca. Kiedy wyostrzył obraz, wystarczyły dwie drobne poprawki, żeby w polu widzenia znalazła się srebrzysta czupryna Isaaca – w samą porę zresztą, gdyż Isaac wchodził właśnie po schodach do budynku stojącego naprzeciw Haymarket, przy szerokiej rzece pieszych i pojazdów, przechodzącej dalej w Pall Mall. Daniel powiódł wzrokiem po fasadzie gmachu, spodziewając się ujrzeć kawiarnię, bar albo gospodę, w której Isaac zaczeka na swojego przyjaciela-dżentelmena. Srodze się jednak pomylił. Przede wszystkim budynek wyglądał jak najzwyczajniejszy mieszczański dom – a mimo to elegancy mężczyźni regularnie wchodzili do środka, wychodząc zaś, nieśli (lub kazali nieść służącym) liczne pakunki. Daniel doszedł do wniosku, że to jakiś dyskretny sklep, którego właściciel nie chce reklamować swoich towarów. W tej części Londynu było sporo takich przybytków, lecz ich odwiedzanie nie leżało w naturze Isaaca.

Jeździec nie wszedł do środka. Przejechał obok sklepu raz, potem drugi i trzeci, zerkając z ukosa na wejście, najwyraźniej tak samo zbity z tropu jak Daniel. Zamienił dwa zdania z człowiekiem, którego Daniel wziął za przechodnia, dopóki sobie nie przypomniał, że wcześniej jeźdźcowi towarzyszyło dwóch pieszych służących. Teraz jeden z tych paziów (czy kim tam byli) pomknął biegiem przez tłum przekupniów, w poprzek Charing Cross, i zniknął w głębi Strandu.

Dżentelmen zsiadł z konia, oddał wodze drugiemu paziowi i demonstracyjnie rozpiął rękawy, przeobrażając w ten sposób sutannę w prawdziwy płaszcz. Zdjął sztylpy, odsłaniając spodnie i pończochy, które wyszły z mody nie dalej niż przed rokiem, i znalazł sobie kawiarenkę naprzeciwko tajemniczego sklepu, po drugiej stronie Pall Mall i – tym samym – przy południowym skraju St. James's Field, jednego z tych pól, wśród których dawniej stał kościół świętego Marcina. Ostatnio jednak prostokątne pole, obudowane ze wszystkich stron domami, przechodziło pospieszną przemianę w ogród.

Danielowi nie pozostało nic innego, jak tylko siedzieć i czekać. Aby spłacić czynsz za wynajmowane krzesło, zamawiał kolejne filiżanki kawy. Pierwszy łyk był wręcz obrzydliwy – napar przypominał jedną z tych niezwykłych trucizn, które z upodobaniem warzyli członkowie Towarzystwa. Jakież jednak było zdumienie Daniela, gdy po niedługim czasie stwierdził, że filiżanka jest pusta.

Obserwacja rozpoczęła się wcześnie rano, kiedy ludzie dobrze urodzeni jeszcze spali, a chłód i poranna rosa nie zachęcały do wysiadywania przy stolikach w ogródku. Daniel jednak uparcie siedział na swoim krześle, udając, że czyta gazetę, a słońce zdążyło tymczasem wspiąć się nad York House i Scotland Yard. Ogródek stał się bardziej przytulny i miejsca wokół Daniela zaczęły zajmować Ważne Osoby, także udając pogrążone w lekturze. Wyczuwał nawet, że wśród gości są przedstawiciele grup, o których jego rodzeństwo rozmawia czasem przy kolacji. Siedząc wśród nich czuł się jak bywalec teatru, który po spektaklu odpoczywa w towarzystwie aktorów – oraz, w lepszych czasach, aktorek.

Przez chwilę próbował zajrzeć przez teleskop w górne okna tajemniczego sklepu, ponieważ wydawało mu się, że w jednym z nich mignęła mu srebrzysta grzywa Isaaca. Przychodzenie i wychodzenie gości kawiarni rejestrował w tym czasie wyłącznie za pośrednictwem bijących od nich woni perfum, szelestu damskich krynolin, złowrogiego skrzypienia fiszbinów w gorsetach, klekotu rapierów obijających się o stoliki, kiedy ich właściciele źle ocenili odległość między meblami, oraz stukotu podkutych butów.

Perfumy pachniały znajomo, a wszystkie żarty już znał, wysłuchawszy ich przy stole w domu Waterhouse'ów. Pięćdziesięciodwuletni Raleigh znał wręcz niewiarygodną liczbę nudziarzy, którzy najwyraźniej nie mieli nic lepszego do roboty, jak włóczyć się po domach znajomych niczym banda kłusujących po wsiach wagabundów i dzielić ze wszystkimi swoją drętwość. Zawsze się dziwił, słysząc, że ma przed sobą markizów, baronów i słynnych kupców.

– A niech mnie! Daniel Waterhouse we własnej osobie! Boże, chroń króla!

– Boże, chroń króla – odparł odruchowo Daniel.

Podniósł wzrok i jego oczom ukazało się ogromne kłębowisko tkanin i kupionych włosów, w którym po krótkich poszukiwaniach wypatrzył twarz sir Winstona Churchilla – członka Towarzystwa Królewskiego i ojca tego Johna Churchilla, który pod Algierem zapisywał świetne karty w historii brytyjskiej marynarki wojennej.

Nastąpiła chwila wyjątkowo krępującego milczenia. Churchill poniewczasie przypomniał sobie, że wyżej wzmiankowany król osobiście wysadził w powietrze ojca Daniela. Sam miał w rodzinie wielu antyroyalistów i chlubił się tym, że jest jednak odrobinę od nich sprytniejszy.

Szczałków Drake'a nie odnaleziono. Mętne wspomnienia Daniela (mętne, ponieważ w tym samym momencie został trafiony z garłacza) ograniczały się do świadomości, że wybuch posłał Drake'a mniej więcej w te okolice, gdzie szalał Wielki Pożar Londynu. Było więc mało prawdopodobne, by zostało z niego coś więcej niż uporczywie lepka warstewka tłustawego popiołu, która osiadła na parapetach domów i praniu rozwieszonym po zawietrznej. Znalezienie w gruzach resztek potłuczonej porcelany z mottem PROCHEM JESTEŚMY zdawało się potwierdzać tę tezę. John Wilkins (który jeszcze się nie pozbierał po tym, jak w pożarze stracił wszystkie księgi poświęcone Pismu Uniwersalnemu) był łaskaw odprawić nabożeństwo żałobne. Tylko dzięki niemu, jego pojednawczej naturze, urokowi osobistemu i przebiegłości pogrzeb nie przerodził się w zamieszki, a legion rozjuszonych fanatyków nie ruszył na Whitehall z zamiarem dokonania królobójstwa.

Od śmierci Drake'a – i od przejścia przez Raleigha większości majątku – Daniel rzadko widywał się z rodziną. Razem z Newtonem poznawał sekrety optyki i zawsze niepomierne się dziwił, że inni Waterhouse'owie robią różne rzeczy za jego plecami. Praise-God, najstarszy syn Raleigha, który przed zarazą wyjechał do Bostonu, uzyskał w końcu stopień naukowy w Kolegium Harvarda i ożenił się, dzięki czemu wszyscy (zarówno Waterhouse'owie, jak i ich goście) rozmawiali tylko o nim. Zawsze jednak była w ich

słowach nuta przekory, jak u dzieci, którym uchodzi na sucho jakiś psikus. Od czasu do czasu rzucali ukradkowe spojrzenia na Daniela, aż ten doszedł do wniosku, że on i Praise-God są ostatnimi w rodzie strażnikami idei purytanizmu, Raleigh zaś cieszy się powszechnym (choć dyskretnym) podziwem kawiarnianego towarzystwa, ponieważ udało mu się ulokować jednego w Cambridge, a drugiego w Harvardzie, skąd nie mogli przeszkodzić reszcie Waterhouse'ów w ich knowaniach.

Z przeróżnych niezmiernie znaczących spojrzeń, wymienianych przy stole w najmniej oczekiwanych momentach przez jego przyrodnie rodzeństwo, ich liczne rodziny i ubranych z nadmiernym przepychem znajomych, wywnioskował, że Waterhouse'owie, Hamowie i być może jeszcze jacyś inni londyńczycy zawiązali zakrojony na szeroką skalę spisek, którego natury nie udało mu się odkryć, ale który dla nich był równie złożony i ważny, jak – powiedzmy – plan obalenia Świętego Cesarstwa Rzymskiego.

Thomasa Hama nazywano teraz wicehrabią Walbrook. Całe jego złoto stopiło się podczas pożaru, ale ani kropla nie wyciekła z odnowionej piwniczki. Kiedy wrócił do niej po pożodze, zastał w środku największą sztabę złota na świecie. Jego starzy klienci nie stracili ani pensa, a nowi pchali się drzwiami i oknami, żeby zdeponować złoto u cieszącego się niewiarygodną renomą pana Hama. Udzielił królowi pożyczki na odbudowę Londynu, król zaś – trochę z wdzięczności za ten gest, trochę zaś w ramach zadośćuczynienia za wysadzenie w powietrze jego teścia – nadał mu tytuł szlachecki.

Wszystkie te fakty stanowiły dla Daniela złożony kontekst spotkania, kiedy siedząc w ogródku, patrzył na zmieszanego sir Winstona Churchilla. Gdyby Churchill zapytał go o zdanie, Daniel mógłby mu wyjaśnić, że wysadzenie Drake'a w powietrze było dla króla najprawdopodobniej jedynym rozsądnym wyjściem z sytuacji. Ale Churchill, zamiast zapytać, wolał kierować się swoimi przypuszczeniami. Dlatego marny był z niego naturalista – co nie zmieniało faktu, że tolerowano go w Towarzystwie Królewskim, ponieważ regularnie opłacał składki.

Daniel był natomiast boleśnie świadomy, że znajduje się w otoczeniu elity, która ukradkiem zerka na niego. Znalazł się w Trudnym Położeniu, a bardzo takowych nie lubił. Teleskop stał przed nim na stoliku, dobrze widoczny i oskarżycielski jak odcięta głowa. Zakłopotany sir Winston na razie jeszcze na niego nie spojrział, ale lada chwila musiał go zauważyć i – ponieważ należał do Towarzystwa od czasów przed zarazą – domyślić się, co ma przed sobą. Zresztą nawet gdyby Daniel go okłamał, prawda wyszłaby na jaw wieczorem, kiedy to Daniel miał w imieniu Isaaca zaprezentować teleskop na spotkaniu Towarzystwa. Teraz miał ochotę ściągnąć go ze stołu i ukryć, ale w ten sposób tylko niepotrzebnie zwróciłby na niego uwagę.

W dodatku sir Winston był tylko jedną z wielu osób, które rozpoznał w kawiarni. Wyglądało na to, że niechcący usiadł przy szlaku uczęszczanym przez grubą zwierzynę: wszyscy mieszkańcy Whitehallu i Westminsteru kupowali pończochy, rękawiczki, kapelusze,

lekarstwa na kilę *et caetera* w sklepach w okolicy Giełdy, znajdującej się przy Strandzie i odległej dosłownie o rzut kamieniem, a po drodze zaglądali do kawiarni pani Green, aby zapoznać się z najnowszymi trendami mody.

Daniel nie poruszył się ani nie odezwał od chyba dobrych dziesięciu minut; sądząc po złowrogiej zawartości filiżanki, można by pomyśleć, że został sparaliżowany! W końcu wykrztusił coś w rodzaju „W rzeczy samej!”, czym przełamał impas protokolarny, i spróbował wstać. Próba ta zakończyła się rozpaczliwym spazmem całego ciała, ponieważ przy okazji wdał się w pojedynek na kopniaki ze swoim stolikiem. Zatrzęsły się sąsiednie stoły, filiżanki podskoczyły na spodeczkach. Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę.

– Pan Waterhouse, jak na prawdziwego naturalistę przystało, prowadzi właśnie badania nad szkodliwym działaniem kawy! – oznajmił wszem wobec sir Winston. Odpowiedział mu powszechny śmiech i wątle oklaski.

Sir Winston należał do pokolenia Raleigha i walczył w wojnie domowej jako Kawaler. Był człowiekiem poważnym, toteż ubierał się w stylu, który w jego kręgach uchodził za dyskretny i pełen godności: płaszcz z czarnego aksamitu kończący się tuż przed kolanem, koronkowe chusteczki powiewające w przeróżnych otworach i rozcięciach niczym obłóczki pary, żółta kamizelka pod płaszczem – i Bóg jeden wie co jeszcze pod kamizelką, bowiem rękawy kolejnych elementów ubioru sir Winstona kończyły się w okolicy łokci gęstymi zwojami koronek i falban, ustępując pola brązowym rękawiczkom z kozłej skóry. Na głowie miał modny wśród Kawalerów kapelusz z szerokim rondem, obszyty białą, puszystą materią pochodzącą najprawdopodobniej z kupra ptaka, który całymi dniami przesiadywał na krach lodowych. Twarz sir Winstona zdobił cieniutki wąsik, a głowę – żółta peruka, której zwinięte w loki włosy ułożono w kosztownym nieładzie. Na nogi włożył czarne pończochy, modnie zrolowane na łydkach, i trzewiki na obcasie, przybrane ośmiocalowej szerokości kokardami. Punkt styku pończoch i spodni musiał znajdować się gdzieś w okolicy kolan, na tej wysokości widniał bowiem niewiarygodnie skomplikowany tuman wstążeczek, podwiązek i falbanek, zaprojektowany w taki sposób, żeby gustownie wystawać spod skraju płaszcza, kamizelki i reszty eleganckiej garderoby.

Pani Churchill obnosiła się z wyjątkowo zjadliwym kapeluszem. Na pierwszy rzut oka przypominał purytańskie nakrycie głowy, typowe dla pielgrzymów, czyli ścięty stożek umieszczony pośrodku szerokiego ronda. Ożywiały go jednak kolorowe paski, powiewające wstążeczki, wysadzone klejnotami brosze, egzotyczne pióra i inne ekscentryczne ozdóbki, czyniąc z niego parodię i kąśliwe zaprzeczenie wszelkich purytańskich założeń. Wszystko w jej stroju – od ronda kapelusza aż po rąbek sukni – emanowało takim przepychem, że Daniel nie potrafił ogarnąć go umysłem; czuł się jak prymitywny analfabeta, któremu pokazano iluminowane stronicę Biblii. Zauważył natomiast, że chłopiec niosący tren sukni jest ubrany jak irlandzki skrzat (sir Winston prowadził liczne interesy z królem Irlandii).

Sporo tego było jak na zwykłą przechadzkę do kawiarni, ale Churchillowie zdawali sobie sprawę, że wszyscy będą im tego dnia schlebiać i gratulować szlachetnego syna, uznali więc, że powinni ubrać się stosownie do okazji.

Pani Churchill patrzyła ponad ramieniem Daniela na ulicę, Daniel mógł więc swobodnie przyjrzeć się jej twarzy, do której przykleiła kilka kawałków czarnego aksamitu, co upodobniło ją do dalmatyńczyka, zwłaszcza że skórę twarzy pobielila jakimś silnie działającym kosmetykiem.

– Jest tutaj – powiedziała do osoby, na którą patrzyła. I spytała zmieszonym tonem: – Nie spodziewał się pan tu zastać swojego przyrodniego brata?

Odwróciwszy się, Daniel ujrzał Sterlinga Waterhouse'a, mężczyznę mniej więcej czterdziestoletniego, Beatrice, która od trzech lat była jego małżonką, oraz cały tłum ludzi, którzy chyba odgrywali scenę napadu rabunkowego na Giełdę. Sterling i Beatrice wytrzeszczyli oczy ze zdumienia, ale po tym, co zrobiła pani Churchill, nie mieli wyjścia i musieli wejść do ogródka. Co też uczynili. Uśmiechnęli się, a potem nastął czas powitań, prezentacji i innych formalności (między innymi gratulowano Churchillom wspaniałego syna i obiecywano modlić się o jego bezpieczny powrót spod Trypolisu), które łącznie zajęły bez mała pół godziny. Daniel miał ochotę poderżnąć sobie gardło. Oni musieli tak żyć. On nie.

Uzyskał jednak pewną informację, która mogła mu się przydać w dalszych kontaktach z rodziną. Chodziło o udział Raleigha w tajemniczym spisku, którego istnienia Daniel od niedawna się domyślał, najpewniej dotyczącego gruntów. Skoro był w niego zamieszany także wuj Thomas („wicehrabia Walbrook”), musiało chodzić o jakieś zyskowe inwestycje majątnych londyńczyków. A ponieważ Sterling również coś o nim wiedział, spisek musiał się jakoś wiązać ze sklepami. Od czasu ognistego wniebowstąpienia Drake'a Sterling stopniowo odchodził od preferowanego przez niego modelu prowadzenia interesów (czyli przemytu, handlu obwoźnego i zawierania transakcji z dala od oficjalnych rynków), skłaniając się ku nowomodnej procedurze składowania towarów w jednym miejscu i czekania, aż klienci sami do niego przyjdą.

Wszystkie te elementy złożyły się w umyśle Daniela w spójną całość, kiedy siedząc w kawiarence przy Charing Cross patrzył na tłum dworzan, dandysów i elegantów wszelkiej maści, wylewający się z nowiutkich rezydencji i przemierzający tereny, które cztery lata wcześniej albo były rozległymi pastwiskami, albo zostały strawione przez ogień. Wyglądało na to, że planują zagospodarowanie rozległych połaci gruntu na skraju miasta – najprawdopodobniej paru akrów łąk znajdujących się na tyłach domu Waterhouse'ów. Na ich obwodzie pobudowałoby nowe rezydencje, w środku powstałby plac, a dookoła placu Sterling postawiłby swoje sklepy. Do rezydencji wprowadziliby się zamożni lokatorzy i wkrótce Waterhouse'owie i ich wspólnicy zarządzaliby kawałkiem ziemi, z którego czynsz przewyższałby dochody z tysiąca akrów w Irlandii. W pewnym sensie staliby się farmerami wypasającymi bogatych mieszczan.

Cały plan był tym sprytniejszy (czego po planie Sterlinga należało się spodziewać), że nie powinni napotkać najmniejszego oporu. Nie musieliby obłaskawiać przeciwników ani pokonywać przeszkód; należało tylko poddać się pewnym nieuniknionym trendom i odpowiednio je wykorzystać. Wystarczyło więc, żeby zauważyli – to znaczy, żeby Sterling zauważył – owe trendy. Sterling miał zaś opinię człowieka wyjątkowo spostrzegawczego (to dzięki temu jego sklepy cieszyły się doskonałą opinią), toteż musiał tylko znaleźć się w odpowiednim miejscu we właściwym czasie. Odpowiednim miejscem była zaś – co zrozumiałe – kawiarnia pani Green.

Odpowiednim dla Sterlinga, ale fatalnym dla Daniela, którego interesowały przede wszystkim poczynania Isaaca. Dookoła toczyły się ożywione rozmowy, które równie dobrze mogłyby być prowadzone w obcym języku, co zresztą w wielu przypadkach się odbywało. Daniel usiłował robić jednocześnie kilka rzeczy: zerkał na teleskop i zastanawiał się, czy uda mu się ściągnąć go dyskretnie ze stołu; popatrywał na tajemniczy sklep i jeźdźca-dżentelmena; toczył braterskie pojedynki na spojrzenia ze Sterlingiem, który włożył tego dnia ozdobiony srebrnymi guzikami surdut z czerwonego jedwabiu i poprzyklejał sobie do twarzy liczne – choć nie tak liczne jak pani Churchill – muszki z czarnego materiału; oraz obserwował sir Winstona Churchilla, równie znudzonego, oszołomionego i nieszczęśliwego jak on sam.

W pewnej chwili zauważył, że teleskop przykuł uwagę sir Winstona, który, zmrużywszy oczy, prześlizgiwał się wzrokiem po tubusie, podczas gdy umysł rozpracowywał zasadę działania przyrządu. Daniel odczekał, aż sir Winston spojrzy na niego pytająco, i wtedy mrugnął porozumiewawczo i delikatnie pokręcił głową. Sir Winston uniósł brwi, najwyraźniej podekscytowany małą, prywatną intrygą, jaką uknuli na spółkę z Danielem; rozpromienił się, jakby nieoczekiwanie usiadła mu na kolanach śliczna siedemnastolatka. Ktoś jednak z tłumu towarzyszącego Sterlingowi (jedna z młodych przyjaciółek Beatrice) zauważył tę wymianę znaczących spojrzeń i zażądał wyjaśnień odnośnie do natury walcowatego przedmiotu.

– Dziękuję za przypomnienie – odparł Daniel. – Schowam go.

– Ale co to jest? – nie ustępowała dama.

– Pewien przyrząd żeglarski – wyjaśnił sir Winston. – A właściwie jego model. Biedna będzie holenderska flota, kiedy wynalazek pana Waterhouse’a trafi do masowej produkcji.

– Jak on działa?

– To nie miejsce na taki pokaz – odparł porozumiewawczym tonem sir Winston, udając, że przepatruje tłum w poszukiwaniu holenderskich szpiegów.

Na ten widok wszystkie głowy się odwróciły, co doprowadziło do istotnego odkrycia: ze Strandu na Charing Cross wkraczał właśnie orszak, w którego środku musiał podążać ktoś niezmiernie ważny. Kiedy wszyscy zadawali sobie pytanie, kim jest owa osoba, Daniel włożył teleskop do pudełka i zamknął wieko.

– Hrabia Upnor – szepnął ktoś.

Słyszając to, Daniel również odwrócił się w stronę orszaku, ciekaw, jak też wygląda jego dawny współlokator.

Odpowiedź brzmiała następująco: Kiedy Louis Anglesey, hrabia Upnor, w męskim wieku dwudziestu dwóch lat uwolnił się z klasztornej celi Cambridge i trafił do Londynu, mógł nareszcie żyć i ubierać się tak, jak miał na to ochotę. Wchodząc tego dnia na Charing Cross, miał na sobie strój, którego przygotowanie musiało chyba przebiegać następującymi etapami: (1) ubranie hrabiego w koszulę z najdroższego płótna, zaopatrzoną w mierzące po dwadzieścia stóp rękawy; (2) wywiniecie rękawów w celu utworzenia niezliczonych nachodzących na siebie fałd na rękach; (3) wysmarowanie hrabiego klejem; (4) wrzucenie go do beczki zawierającej tysiące czarnych, jedwabnych farfocli; oraz (5) dodanie tu i ówdzie kolorowych akcentów (wprawdzie Karol II zadekretował przed paru laty, że dworzanie mogą się ubierać wyłącznie w czern i biel, ale pomysł ten przejadł mu się i zaczynał go nudzić; czekano jednak, aż król oficjalnie odwoła swoje zarządzenie), głównie w postaci kłębków efektownie zebranych i powiązanych wstążeczek, których łącznie wystarczyłoby chyba na wytyczenie drogi do Paryża i paryskiego sklepu, w którym hrabia nabył całą tę galanterię. Szyję miał przewiazaną szalem z jedwabiu, zaplecionym w taki sposób, żeby zademonstrować jego koronkowe wykończenie. Chorwaccy najemnicy Ludwika XIV, *les Cravates*, pierwsi nauczyli się podwiązywać obfite, trzepoczące kołnierze z koronki w taki sposób, żeby podmuchy wiatru nie wciskały im ich w twarz podczas bitwy lub pojedynku. Cały Paryż przejął od nich ten zwyczaj, a hrabia Upnor – jak zwykle w awangardzie mody – wiązał pod szyją już nie koronkowy kołnierz (jak dziesięć minut wcześniej), lecz właśnie jedwabny szal. Dzięki peruce był szerszy w głowie niż w ramionach, na nogi zaś wzuł buty na koturnie, wykonane z pięknej, śnieżnobiałej skóry, których cholewki, gdyby naciągnął je do końca, sięgnęłyby mu do krocza, w którym to punkcie osiągnęłyby szerokość większą niż obwód jego talii. Dlatego hrabia, co zrozumiałe, wywinął je, a następnie (jako że były niemiłosiernie długie), z powrotem podwinął, żeby nie wlokły się po ziemi. Dzięki temu wokół jego kolan powstały obejmy z białej skóry, rozmiarami przypominające buszlowe kosze i wypełnione spienioną koronką. Z tyłu koturnów sterczały złote, wysadzone klejnotami ostrogi długości dobrych ośmiu cali. Same koturny miały barwę wiśni i cztery cale wysokości, a przed kontaktem z rozmiękłym gruntem Charing Cross chroniły je luźne, płaskie papucie, które ciągnęły się po ziemi i cmokały w błocie. Ze względu na szerokość zwiniętych cholew stopy hrabiego przy każdym kroku zataczały obszerne łuki, a sam hrabia kolebał się na boki tak mocno, że utrzymywał równowagę tylko dzięki długiej, inkrustowanej i powiewającej wstążkami lasce, którą się podpierał.

Mimo to przemieszczał się całkiem żwawo i jego wielbiciel w kawiarnianym ogródku mieli dosłownie parę chwil na zapamiętanie szczegółów tego ubioru. Daniel zapiął sprzączki futerału i spojrzął na drugą stronę placu, szukając niezwykłego jeźdźca, który śledził Isaaca.



Dżentelmen zniknął z kawiarni naprzeciwko. Daniel przestraszył się, że go zgubił, ale spojrzawszy w stronę hrabiego Upnor, stwierdził, że hrabiowski orszak właśnie się przed nim rozstępuje.

Daniel – nie obciążony rapierem, olbrzymimi butami i mlaszczącymi papuciami – wstał i pospiesznie wyszedł z kawiarni pani Green, nie zwracając sobie głowy pożegnaniami. Nie ruszył prosto w kierunku Upnora, lecz zatoczył szeroki łuk wokół jego orszaku, jakby zamierzał załatwiać jakieś sprawunki po przeciwnej stronie Charing Cross.

Zbliżywszy się nieco, zaobserwował następującą scenę: dżentelmen zsiadł z konia i swobodnym krokiem podszedł do hrabiego, uśmiechając się z dumą. Miał duże, popsute zęby.

Uklonił się, Upnor zaś, korzystając z chwili jego nieuwagi, skinął głową na jednego ze swoich zauszników, który stanął z boku, pochylił się i wziął zamach. Coś wyleciało z jego ręki i spadło na wierzch hrabiowskiego buta. Ten sam człowiek chwilę później wyciągnął przed siebie rękę i wskazał przyklejoną do śnieżnobiałej skóry brunatną grudkę wielkości gwinei. Wszyscy – poza hrabią i jeźdźcem – zamarli ze zgrozy.

– O co chodzi? – zapytał hrabia z udawanym zdziwieniem.

– But, panie hrabio! – podsunął ktoś usłudnie.

– Nie widzę. Cholewka mi zasłania. – Upnor oparł się mocniej na lasce, wyprostował nogę i obciągnął palce. Teraz wszyscy na Charing Cross, włącznie z samym hrabią, świetnie widzieli but. – Ubrudziłeś mi but gównem! – wykrzyknął. – Chcesz, żebym cię zabił?

Spieszony jeździec nie posiadał się ze zdumienia. Na razie znajdował się na tyle daleko od hrabiego, że nijak nie mógł go ubrudzić – ale jedyni ludzie, których mógłby wziąć na świadków, byli przyjaciółmi Upnora. Rozejrzał się. Ze wszystkich stron otaczały go uróżowane, poznaczone czarnymi plamkami złowrogie twarze.

– Dlaczego tak mówisz, panie?

– Aby wyzwać cię na pojedynek... Co zapewne byłoby równoznaczne z zabiciem cię. Wszyscy, z którymi się pojedynkuję, dziwnym trafem giną. Nie widzę powodu, dla którego ty miałbyś być wyjątkiem.

– Ależ... czemu... pojedynek, mój panie?

– Ponieważ niemożliwym wydaje mi się uzyskanie od ciebie należytych przeprosin. Nawet mój pies umie przeproszać, ale nie ty! Może okazałbyś choć odrobinę skruchy za swój uczynek, co?!

– Moje uczynki...

– Ubrudziłeś mi but gównem!

– Obawiam się, mój panie, że ktoś wprowadził cię w błąd.

W odpowiedzi, z orszaku dobiegły naprawdę paskudne odgłosy.

– Spotkamy się rano w Tyburn. Przyrowadź sekundanta. Tylko żeby był na tyle silny, żeby cię wynieść, kiedy z tobą skończę.

Dżentelmen zrozumiał wreszcie, że upieranie się przy swojej niewinności zaprowadzi go donikąd.

– Umiem okazać skruchę, mój panie.

– Naprawdę? Jak pies?

– Tak, mój panie.

– Kiedy mój pies nasra tam, gdzie nie powinien, wciskam mu ryj w gówno. – Hrabia ponownie uniósł nogę, celując butem w twarz jeźdźca.

Daniel znalazł się tymczasem za plecami dżentelmena, w odległości niecałych dwunastu stóp od niego. Wyraźnie widział rozplywającą się po jego kroczu i nogawce plamę uryny.

– Mój panie, błagam... Zrobiłem to, co kazałeś. Śledziłem tego siwowłosego człowieka, potem wysłałem wiadomość. Dlaczego mi to robisz, mój panie?

Hrabia bez słowa podniósł wyżej nogę. Jeździec pochylił się nad nią, ale wtedy Upnor zaczął ją opuszczać, aż postawił stopę na ziemi. Dżentelmen nie miał wyboru: musiał się najpierw schylić, potem uklęknąć, a na koniec podeprzeć w błocie łokciami, aby jego nos znalazł się tam, gdzie zażyczył sobie hrabia.

Na tym cała scena się skończyła. Jeździec uciekł z Charing Cross z twarzą ukrytą w dłoniach i – zapewne – mocnym postanowieniem niewracania do Londynu, o co najprawdopodobniej chodziło Upnorowi.

Hrabia otrząsnął się z orszaku w najbliższej gospodzie i sam wszedł do sklepu, w którym wcześniej zniknął Isaac Newton. Nawiasem mówiąc, Daniel nie wiedział nawet, czy Isaac jeszcze jest w środku. Przechodząc przed frontem, dostrzegł w oknie małą tabliczkę: MONSIEUR LEFEBURE-APTEKARZ.

Przez następne pół godziny kręcił się po Charing Cross, zaglądając przelotnie w okna pana LeFebure'a, aż za którymś razem dostrzegł w jednym z nich siwogłowego Isaaca pograżonego w rozmowie z Louistem Angleseyem, hrabią Upnor, który słuchał go z uwagą i kiwał głową.

Podobnie jak słońce wypaliło swój wizerunek na siatkówkach Isaaca w Woolsthorpe, tak ten obraz na długo utkwiał pod powiekami Daniela, który odwrócił się w końcu plecami do Charing Cross i poszedł sobie. Długo błąkał się ulicami Londynu, przekładając ciężki teleskop z ręki do ręki. Kierował się mniej więcej w stronę Bishopsgate, gdzie zamierzał wziąć udział w spotkaniu. Dręczyło go trudne do zidentyfikowania uczucie, w którym dopiero po dłuższym czasie rozpoznał pewien rodzaj zawiści. Nie miał pojęcia, co sprowadziło Isaaca do domu/sklepu/laboratorium/salonu pana LeFebure'a. Podejrzewał, że chodzi o alchemię, pederastię lub jakąś ich ognistą mieszaninę – albo przynajmniej o flirt z obiema tymi dziedzinami. Co oczywiście było prywatną sprawą Isaaca i nie powinno Daniela nic a nic obchodzić – tym bardziej że podobne rozrywki wcale go nie interesowały. Jego zazdrość była zatem głupia.

Mimo to nie umiał się jej wyzbyć. Isaac najwyraźniej znalazł przyjaciół, którym zwierzał się z sekretów skrywanych przed Danielem. Oto i cała prawda, oczywista i bolesna jak policzek. Ale Daniel też miał przyjaciół. Zamierzał się z nimi wkrótce spotkać. A że niektórzy z nich nie byli ani uczciwsi, ani mądrzejsi od alchemików... Może Isaac tylko odpłacał mu pięknym za nadobne?

## **Spotkanie Towarzystwa Królewskiego, Kolegium Greshama**

**12 sierpnia 1670**

*Kiedy Klub zbierał się w nocy, w którą jakiś wybitny pomyleniec zaplanował – ku pożytkowi całego społeczeństwa – demonstrację siły powietrza za pomocą pistoletu pneumatycznego, porównanie oddziaływania grawitacyjnego dymu z tytoniu, podbiału i dyptamu, albo jakiś inny eksperyment, w spotkaniu zawsze uczestniczyła niezwykła zbieranina ludzi, niczym w cokwartalnym zebraniu Stowarzyszenia Dzwonników. Gruby, na wpół ślepy filozof zasiadał obok gadatliwego optyka; przygłupi arystokrata obok obdartego matematyka; naprzeciwko nich astronom-suchotnik obok cherlawego konowała i człowiek przemieniający metale obok poszukiwacza kamienia filozoficznego; przy drugim końcu stołu rozgadany inżynier w towarzystwie twardorękiego murarza; na honorowym miejscu, być może, alchemik-ateista i zdziwaczały akademik; przeuczeni mądrale wciśnięci tu i ówdzie, w towarzystwie ekscentrycznych rzemieślników i specjalistów wszelkich możliwych profesji; niektórzy przygięci do ziemi pod ciężarem wieku i mozolnej pracy, inni wychudzeni od wstrzemięźliwego żywota, z oczyma podkrążonymi od nocnych studiów, niczym wygłodniałe krowy faraona, które mają przestrzec świat przed nadejściem chudych lat; jeszcze inni roztrzęsieni i toczący wokół dzikim wzrokiem, jakby niepowodzenie ich projektów przyprawiło ich o obłęd. Kiedy zebrali się w jednym miejscu, szczęśliwym był człowiek, który odkrył nową gwiazdę na firmamencie; wypatrywał zachwianie Słońca na jego niezmiennej drodze; obmyślił nowe wytłumaczenie plam na Księżycu; lub po prostu przedstawił uczonemu Towarzystwu niecodzienny problem, nad którym mogli sobie łamać głowy i który miał przez miesiąc spędzać im sen z powiek, kiedy leżąc na poduszkach będą rozmyślać, jak pojąć istotę sprawy i jak rozplątać węzeł trudności ku swojej chwale i ogólnemu pożytkowi.*

Ned Ward, Klub Wirtuozów

12 sierpnia. Spotkanie Towarzystwa.

Panowie NICOLAS MERCATOR i JOHN LOCKE zostali przyjęci w poczet członków Towarzystwa.

Odczytano sprawozdanie z pozostałych doświadczeń pana BOYLE'A dotyczących światła. Towarzystwo wyraziło swoje zadowolenie, pan BOYLE zaś zalecił zaprotokołowanie sprawozdania i zaproponował, żeby pan HOOKE przedstawił Towarzystwu podobne doświadczenia, gdy tylko zdobędzie kawałek świecącego próchna lub rybę.

Doktor CROUNE dostarczył martwą papugę.

Sir JOHN FINCH zaprezentował azbestową wstążkę do kapelusza.

Doktor ENT rozważał, dlaczego latem jest cieplej niż zimą.

Pan POWELL poprosił Towarzystwo o zatrudnienie go w dowolnym charakterze.

Pod nieobecność pana OLDENBURGA pan WATERHOUSE odczytał list od portugalskiego arystokraty, w którym ten przesyłał swoje najuprzejmniejsze wyrazy podziwu dla Towarzystwa za udane operacje usunięcia śledziona u psów, które to operacje nie przyniosły żadnych ujemnych skutków. Zapytywał również, czy Towarzystwo nie zechciałoby wykonać podobnej operacji na jego małżonce, która cierpi częste rozstroje psychiczne, spowodowane złym funkcjonowaniem śledziona.

Doktorowi ENTOWI przypomniał się pewien raport na temat ostryg.

Pan HOOKE przedstawił wynalazek pozwalający stwierdzić wypoziomowanie powierzchni, złożony z bańki powietrza uwięzionej w szczelnie zamkniętej szklanej rurce z wodą.

Zapytano o psa, któremu na poprzednim spotkaniu wycięto kawałek skóry. Jego opiekun przyznał, że pies zbiegł, przykazano mu zatem, aby na następne spotkanie sprowadził kolejnego, na którym zostanie przeprowadzony eksperyment z przeszczepem.

Prezes Towarzystwa zaprezentował ofiarowaną przez sir WILLIAMA CURTIUSA kulkę sierści, znaną w żołądku krowy.

KSIAŻĘ GUNFLEET odczytał list *mons. HUYGENSA*, wysłany z Paryża i dotyczący nowych obserwacji Saturna, dokonanych wiosną ubiegłego roku w Rzymie przez niejakiego CAMPANIEGO. Wyżej wymieniony stwierdził mianowicie, że na powierzchni Saturna widać cień, z czego *mons. HUYGENS* wnosi, że – zgodnie z jego hipotezą – Saturn jest okolony pierścieniem.

Wystąpił pewien wagabunda, który niedawno otrzymał postrzał w brzuch, wskutek czego jego wnętrzności zostały rozdarte na dwoje. Z lewej strony brzucha sterczał mu odbył, przez który się wypróżniał, co też dla członków Towarzystwa uczynił.

Pan POVEY podarował Towarzystwu szkielec.

Pan BOYLE doniósł, że jaskółki żyją w zamrzniętym Bałtyku pod lodem.

Doktor GODDARD zauważył, że zdobione boazerią pokoje rankiem i wieczorem wydają skrzypiące dźwięki.

Pan WALLER nadmienił, że ropuchy najłatwiej spotkać w dni dżdżyste i chłodne.

Pan HOOKE oznajmił, że w Pasie Oriona znalazł nie trzy gwiazdy, o których informował *mons. HUYGENS*, lecz pięć.

Doktor MERRET przedstawił dokument, w którym stwierdza, że w opactwie franciszkańskim znaleziono trzy ludzkie czaszki z włosami i mózgami, umieszczone w cynowych naczyniach, zamurowanych w grubej, kamiennej ścianie i pokrytych inskrypcjami niewiadomej treści. Dokument wprowadzono do protokołu.

Pan HOOKE przeprowadził doświadczenie, mające na celu sprawdzenie, czy kawałek stali dotknięty – po starannym zważeniu – silnym magnesem przybierze mierzalnie na wadze. Odpowiedź była negatywna.

Doktor ALLEN przedstawił historię człowieka, który niedawno stracił znaczącą część mózgu, a mimo to żyje i pozostaje w dobrym zdrowiu.

Doktor WILKINS ofiarował Towarzystwu swoją książkę, zatytułowaną *Esej na temat Pisma Prawdziwego i Języka Filozoficznego*.

Pan HOOKE zasugerował, że warto byłoby zbadać, czy w roślinach występują naturalne zawory, które jego zdaniem są niezbędne w transporcie soków odżywczych na wysokość 200, 300 i więcej stóp. Stwierdził również, że podobny proces byłby niemożliwy bez pompujących płyny mechanizmów.

Sir ROBERT SOUTHWELL przekazał do magazynu czaszkę skazańca, porośniętą mchem w Irlandii.

BISKUP CHESTER zaproponował, aby pan HOOKE spróbował wyhodować mech na czaszce umarłego, wykorzystując w tym celu uprzednio prezentowane, odkryte pod mikroskopem ziarna mchu.

Pan HOOKE dał do zrozumienia, że doświadczenie proponowane przez BISKUPA CHESTER nie rozszerzy granic poznania w takim stopniu, jak inne godne uwagi eksperymenty, a tylko zajmie jego cenny czas.

Pod nieobecność pana OLDENBURGA pan WATERHOUSE odczytał wyjątek z listu, który pan OLDENBURG otrzymał z Paryża, i z którego wynikało, że doktor DE GRAAF dokonał rozplątania męskich jąder i zakonserwował jedno z nich w spirytusie. Niektórzy z obecnych na spotkaniu lekarzy przyznali, że w Anglii przed laty również prowadzono podobne próby, jednakże bez powodzenia, w związku z czym nie są skłonni przyjmować na wiarę rewelacji doktora DE GRAAFA.

KSIAŻĘ GUNFLEET wystawił doktorowi DE GRAAFOWI znakomitą opinię. Wyjaśnił również, że podczas pobytu w Paryżu doktor wyleczył jego syna (obecnego HRABIEGO UPNOR), który został ukąszony przez jadowitego pająka.

Przy okazji pajaków jeden z członków Towarzystwa powiedział, że ofiara ukąszenia tarantuli, nawet jeśli wyzdrowieje, raz do roku odczuwa nieprzepartą ochotę do tańca. Inny dodał, że różni pacjenci tańczą do różnych arii, w zależności od rodzaju tarantuli, która ich ukąsiła.

KSIAŻĘ GUNFLEET wyjaśnił, że pająk, który w Paryżu ukąsił jego syna, nie należał do tarantul, wobec czego hrabia w żadnym wypadku nie czuje przymusu tańca.

Towarzystwo zleciło wykonanie przenośnych barometrów według projektu pana BOYLEA. Mają one zostać rozesłane po całym świecie, nie tylko do najdalszych zakątków Anglii, lecz także, drogą morską, do Indii Wschodnich i Zachodnich, w szczególności na plantacje na Bermudach, Jamajce, Barbadosie, w Wirginii i Nowej Anglii. Ponadto do Tangeru, Moskwy, na Wyspę Świętej Heleny, Przylądek Dobrej Nadziei i do Iskenderun.

Doktor KING wpadł na pomysł dokonania sekcji homara i ostrygi.

Pan HOOKE zaprezentował płasko-wypukłe soczewki wielkości łebka od szpilki, które miałyby pełnić rolę obiektywów mikroskopowych. Poproszono go, by na próbę zainstalował je w należącym do Towarzystwa olbrzymim mikroskopie.

KSIAŻĘ GUNFLEET zaprezentował wyprawioną skórę Maura.

Pan BOYLE zauważył, że dwaj jego znajomi lekarze podali kobiecie cierpiącej na poważną niedrożność jelit ponad funt surowego żywego srebra, które przez kilka dni pozostawało w jej organizmie, nie wyrządzając żadnych widocznych szkód. Później, podczas sekcji zwłok, odkryli, że ten fragment jej wnętrzości, gdzie ekskrementy zostały zatrzymane, zaatakowała gangrena. Tymczasem żywe srebro nawet nie odbarwiło sąsiadującego z nim odcinka jelit.

Pan HOOKE wpadł na pomysł stworzenia przedmiotu cięższego od złota poprzez zanurzenie złotego obiektu w żywym srebrze, które miałyby wnikać w pory szlachetnego metalu.

Doktor CLARKE zaproponował, by poprosić króla o wydanie zwłok człowieka powieszonoego, w celu przeprowadzenia próby wskrzeszenia go. Gdyby eksperyment się powiódł, skazańcowi darowano by karę.

Pan WATERHOUSE zaprezentował nowy teleskop, wynaleziony przez pana Isaaca NEWTONA, profesora matematyki na uniwersytecie w Cambridge, i przewyższający poprzednie modele znacznym skróceniem toru promieni świetlnych. Teleskop spotkał się z uznaniem KSIĘCIA GUNFLEET, doktora CHRISTOPHERA WRENA i pana HOOKEA, którzy zasugerowali pokazanie go królowi oraz wysłanie jego opisu i projektu *mons. HUYGENSOWI* do Paryża, aby pan NEWTON miał zagwarantowane wszelkie prawa do wynalazku.

Zaproponowano przeprowadzenie eksperymentu polegającego na otwarciu tchawicy psa. Panowie HOOKE i WATERHOUSE, którzy już takie doświadczenia przeprowadzali, na czas operacji opuścili siedzibę Towarzystwa. Doktor BALLE i doktor KING przeprowadzili eksperyment, ale bez powodzenia.

\* \* \*

*Piątą Kabałą mógł być, na przykład, zespół matematyków, którzy tak długo rozmyślali nad kwadraturą koła, pijąc przy tym i rozprawiając głośno, aż wymiociny tryskały im z ust pionową strugą wprost do nocnika. Inna grupa oddawała się uczonej dyspacji o transmutacji metali i tak zajadle spierała się o przemianę ołowiu w złoto, że sąd w majestacie prawa mógłby upomnieć się o całe srebro w ich kieszeniach...*

Ned Ward, Klub Wirtuozów

Niektórzy z członków Towarzystwa trafili po zebraniu do gospody, niezbyt fortunnie nazwanej *Dogg*<sup>33</sup>, a ulokowanej przy Broad Street, nieopodal murów miejskich. Wilkins (który piastował już wtedy urząd biskupa Chester), sir Winston Churchill i Thomas More Anglesey (znany również jako książę Gunfleet) zabawiali się zaglądaniem przez teleskop Newtona w okna położonego naprzeciw gmachu skarbcza marynarki wojennej, gdzie urzędnicy pracowali do późna przy świetle lamp. Co kilka minut z warsztatów złotniczych przy Threadneedle przybywały wyładowane pancernymi kasetkami taczki.

Hooke zagarnął dla siebie mały stolik, położył na nim swój bąbelkowy przyrząd i zaczął poziomować mebel, utykając mu pod nóżki kawałki papieru. Daniel pił jedno piwo za drugim, konstatując, że wieczór wypadł znacznie lepiej niż poranek.

– Za Oldenburga! – zaproponował ktoś, na co nawet Hooke uniósł głowę, podniósł kufel i wypił zdrowie sekretarza.

– A czy wolno nam wiedzieć, dlaczego król zamknął go w Tower? – zapytał Daniel.

Kiedy nagle Hooke’a całkowicie pochłonęło poziomowanie stołu, a pozostałych obserwacja planety wschodzącej akurat nad Bishopsgate, Daniel doszedł do wniosku, że przyczyna aresztowania Oldenburga jest jedną z tych rzeczy, które każdy londyńczyk powinien po prostu wiedzieć; jednym z tych oczywistych faktów, które mieszkańcy stolicy wdychają razem z węglowym dymem.

John Wilkins wyszedł na dwór, przeciskając się obok Daniela i poszturchując go znacząco. Po drodze wziął jeszcze fajkę z wiszącej na ścianie skrzyneczki z tytoniem. Daniel dołączył do niego na ulicy. Był piękny letni wieczór. Po drugiej stronie murów, w Bedlam, obłąkani prowadzili ożywione dyskusje z aniołami, demonami i duchami nieżyjących krewnych, tutaj zaś z półotwartych okien Kolegium Greshama dobiegało rytmiczne skamlenie piły – to koteria biskupów, arystokratów, doktorów i pułkowników rozcinała klatkę piersiową żywego kundla. Szyld gospody kołysał się i skrzypiał na wietrze. Monety dźwięczały cicho w kasetkach, które tragarze z mozołem taszczyli po schodach skarbcza. Przez okno było widać czasem Samuela Pepysa, członka Towarzystwa Królewskiego, który komenderował podwładnymi i tęsknie spoglądał w stronę *Dogga*. Daniel z biskupem przez dobrą minutę stali w milczeniu, jakby odprawiali rytuał, nim zaczęli rozmawiać – tak jak papiści żegnają się przed wejściem do kościoła.

---

<sup>33</sup> Ang. *dog* - pies (przyp. tłum.).

– Pan Oldenburg jest sercem TK – zaczął biskup Wilkins.

– Moim zdaniem ten zaszczytny tytuł należy się wam, wielbny, albo może panu Hooke'owi...

– Zaczekaj, to miała być przenośnia. Nie zapominaj, że kiedy wygłaszam kazania, wierni chłoną każde moje słowo. A przynajmniej udają, że chłoną. W każdym razie siedzą cicho i pozwalają mi swobodnie rozwijać metafory.

– Proszę o wybaczenie. Już udaję, że chłonę.

– Doskonale. A teraz do rzeczy. Jak dowiedzieliśmy się z okrucieństw wyrządzonych bezdomnym psom, serce przyjmuje krew, która spływa do niego z różnych organów, takich jak mózg, przez żyły, takie jak żyła szyjna, wysyła zaś krew w głąb ciała przez arterie w rodzaju tętnicy szyjnej. Pamiętasz, co się stało, kiedy pan Hooke połączył mastyfowi żyłę z tętnicą? Tylko nie mów, że złączka pękła i krew bryzgnęła na całą kuchnię. To akurat pamiętam doskonale.

– Krew znalazła się w stanie równowagi i zaczęła krzepnąć.

– Z czego wysnuliśmy wniosek, że...

– Nie pamiętam... Że odłączenie serca to kiepski pomysł?

– Można by pomyśleć – podsunął biskup – że martwe naczynie krwionośne, które tylko przyjmuje krew, ale jej nie oddaje, upodabnia się do starorzecza wypełnionego stojącą wodą. Innymi słowy, że serce, wypompowując krew, uruchamia cykl, w którym ta sama krew po pewnym czasie do niego wraca. Witam, panie Pepys! – Biskup przeniósł wzrok na drugą stronę ulicy. – Co tam, wszczynamy wojnę?

– To byłoby zbyt łatwe... – dobiegła odpowiedź z okna. – My próbujemy wojnę zakończyć.

– A zanosi się na rychły jej koniec? Dajcie nam wszystkim przykład swoją pracowitością. Proszę powstrzymać wojnę!

– Zaobserwowałem już oznaki jej wygasania...

– Tak, Danielu... Wystarczy przeczytać zapiski z posiedzeń Towarzystwa, by zorientować się, że pan Oldenburg na każdym spotkaniu odczytuje kilka listów od uczonych z kontynentu: od pana Huygensa, ostatnio także od doktora Leibniza...

– Nie słyszałem tego nazwiska.

– Jeszcze usłyszysz. To zapalony epistolograf i pupil Huygensa, wielki zwolennik pansofii. Ostatnio dosłownie zasypuje nas nader ciekawymi dokumentami. Nie słyszałeś o nim, ponieważ pan Oldenburg rozdaje jego pisma Hooke'owi, Boyle'owi, Barrowowi i innym, szukając kogoś, kto potrafiłby je odczytać, aby móc później ustalić, czy są coś warte. Ale odbiegam od tematu. Pan Oldenburg czyta co dziesiąty list z tych, które dostaje. Skąd ich się tyle bierze?

– Stąd, że podobnie jak serce pompuje krew, pan Oldenburg wysyła ich tak dużo...



– Właśnie. Całe worki listów przeprawiają się na drugą stronę Kanału, napędzając obieg informacji i przepływ idei, z którymi następnie zapoznajemy się na naszych małych spotkaniach.

– Do licha! A król go uwięził! – wykrzyknął Daniel, chociaż czuł, że jego kwestia brzmi nieco melodramatycznie. Nie był mistrzem takich dialogów.

– Serce zostało odłączone – stwierdził Wilkins, nieczuły na podobne subtelności. – Ja już czuję, jak Towarzystwo krzepnie. Dziękuję ci, że przyniosłeś teleskop pana Newtona. Świeża krew! Kiedy poznamy go osobiście?

– Może nigdy, jeśli nadal będziemy kroić psy.

– Ach tak... Jest wrażliwy? Odstępuje go okrucieństwo?

– Wobec zwierząt tak.

– Niektórzy nasi członkowie sugerują wypożyczenie pensjonariuszy... – Biskup skinieniem głowy wskazał Bedlam.

– To by mu chyba tak nie przeszkadzało – przyznał Daniel.

Służąca, która od jakiegoś czasu kręciła się w pobliżu, wykorzystała chwilę przerwy w rozmowie.

– Pan Hooke chciałby z panem porozmawiać – oznajmiła.

– Chwała Bogu... – mruknął Wilkins. – Już się bałem, że chce się pani poskarżyć na jego nieprzystojne zachowanie.

Klienci *Dogga* stali ściśnięci pod ścianami w konfiguracji, jaka zazwyczaj sprzyja oglądaniu bójek w lokalu – czyli tworząc krąg, w którego centrum znajdował się akurat idealnie wypoziomowany (jak pouczało doświadczenie z przyrządem bąbelkowym) stół pana Hooke’a. Stół był czysty i pusty, jeśli nie liczyć ulokowanej na środku kropli żywego srebra, otoczonej licznymi mniejszymi kropelkami, tworzącymi nieznaną wcześniej konstelację. Pan Hooke obserwował idealną kopułę największej kropli przez przyrząd optyczny własnego pomysłu i wyrobu. Podniósł wzrok, obrócił w palcach pojedynczy świński włos i przepchnął jedną z mikroskopijnych kropelek rtęci po blacie, aż zetknęła się i połączyła z tą największą. Znowu obejrzał ją przez szkło, a następnie zwinnie jak kot odsunął się od stołu. Oddaliwszy się na dobry sążeń od przedmiotu swoich badań, przeniósł wzrok na Wilkinsa i oznajmił:

– Miara uniwersalna!

– Co takiego?! Drogi panie! Co też pan mówi?!

– Zgodzi się pan ze mną, że idea „poziomu” jest koncepcją absolutną. Każdy rozumny człowiek może stworzyć poziomą powierzchnię.

– To pojęcie funkcjonuje w języku filozoficznym – odparł biskup Wilkins. To znaczyło „tak”.

Pepys wszedł do gospody. Wyglądał wspaniale. Już miał zamówić piwo, kiedy zdał sobie sprawę, że jest świadkiem jakiejś ceremonii.

– Rtęć też jest taka sama na całym świecie. W innych światach zresztą również.

– Zgoda.

– Podobnie jak liczba „dwa”.

– Naturalnie.

– Oto płaska, czysta, gładka i pozioma powierzchnia. Umieściłem na niej kroplę rtęci i nadałem jej taki kształt, by jej średnica była równo dwa razy większa niż wysokość. Każdy, gdziekolwiek się znajdzie, może powtórzyć te czynności i uzyskać kroplę rtęci identyczną z otrzymaną przeze mnie. A zatem jej średnica może zostać użyta jako uniwersalna jednostka miary w języku filozoficznym.

Odgłosy wytężonego myślenia.

I Pepys:

– Mógłby pan zbudować pojemnik, którego długość, szerokość i głębokość byłyby wielokrotnościami tej miary, napełnić go wodą i uzyskać standardową miarę ciężaru.

– W rzeczy samej, panie Pepys.

– Następnie, mając standardową miarę długości i ciężaru, mógłby pan skonstruować standardowe wahadło, którego okres wahań wyznaczyłby uniwersalną miarę czasu!

– Woda tworzy różne krople na różnych powierzchniach – zauważył biskup Chester. – Rtęć może zachowywać się tak samo.

Hooke z niechęcią:

– Można by zdefiniować powierzchnię, dla jakiej ustalamy miarę: miedź, szkło...

– A czy zmieniająca się wraz z wysokością siła ciężenia nie będzie miała wpływu na wysokość kropli? – zapytał Daniel Waterhouse.

– Można dokonać pomiaru na poziomie morza – odparł smętnie Hooke.

– Poziom morza zależy od pływów – wytknął Pepys.

– A co z innymi planetami? – zadudnił basem Wilkins.

– Jakimi innymi planetami?! Jeszcze nie skończyliśmy z tą jedną!

– Jak to powiedział nasz kolega, pan Oldenburg: Proszę łaskawie pamiętać, że zabraliśmy się od razu za cały wszechświat, gdyż taka była natura naszego planu.

Hooke, ponury teraz jak gradowa chmura, zgarnął większość rtęci przez lejek do butelki i wyszedł. Niespełna minutę później pan Pepys, zerkając przez newtonowski reflektor, wypatrzył go przemykającego w stronę Houndsditch w towarzystwie dziwki.

– To jeden z tych jego napadów melancholii. Nie pokaże się nam na oczy przez najbliższe dwa tygodnie – mruknął Wilkins. – A potem trzeba go będzie zrugać.

Tak jakby ktoś gdzieś zapisał ten fakt Pismem Uniwersalnym, Pepys, Wilkins i Waterhouse wiedzieli, że mają coś do zrobienia: musieli porozmawiać na osobności o panu Oldenburgu. Przez następną godzinę w *Doggu* cała trójka prowadziła ożywioną komunikację za pośrednictwem znaczących spojrzeń i uniesionych brwi, ale nie mogli wymknąć się z gospody wszyscy naraz. Churchill i paru innych dopominali się u Daniela o bliższe informacje na temat pana Newtona i jego teleskopu. Książę Gunfleet zapędził Pepysa w kozi

róg i przepytował z ciemnych aspektów zarządzania finansami królewskiej marynarki. Zachlapani krwią i przygnębieni członkowie Towarzystwa dobrnęli z Kolegium Greshama do gospody z wiadomością, że doktorowie King i Belle pogubili się w zawilościach psiej anatomii, zwierzę padło, a oni na gwałt potrzebowali Hooke'a. Właśnie, gdzie się podział Hooke? Przycisnęli biskupa Wilkinsa i zaczęli wypytywać go o politykę Towarzystwa. Czy Comstock znów stanie do wyborów na przewodniczącego? Czy Anglesey załatwi sobie nominację?

\* \* \*

Dopiero później – zbyt późno dla Daniela, który wstał o świcie, zaraz po Isaacu – znaleźli się we trzech w powozie Pepysa, który dokądś jechał.

– Zauważyłem, że lord Gunfleet okazał niespodziewane zainteresowanie sprawami marynarki wojennej – zagaił Wilkins.

– Ponieważ nasze bezpieczeństwo w wojnie z Holendrami zależy od naszej floty – zaczął ostrożnie Pepys – a większość floty stacjonuje obecnie w okolicach algierskiej kazby, całkiem sporo wysoko sytuowanych osób podziela ciekawość Angleseya.

– Nie słyszałem, żeby wypytywał pana o fregaty i armaty – odparł rozbawiony Wilkins. – Bardziej interesowały go weksle i kupony.

Pepys odchrząknął przeciągle i obrzucił Daniela niespokojnym spojrzeniem.

– Ci, którzy odpowiadają za opróżnianie kufrów marynarki, są odpowiedzialni przed tymi, którzy je napełniają – odparł w końcu.

Nawet Daniel, tępy studencina z Cambridge, rozumiał, że opróżniającym jest w tym wypadku producent broni John Comstock, hrabia Epsom, napełniającym zaś Thomas More Anglesey, książę Gunfleet i ojciec Louisa Angleseya, hrabiego Upnor.

– C i A już mamy – stwierdził Wilkins. – A co druga sylaba CABAL ma do powiedzenia w sprawach wojskowych?

– Stanowisko Bolstrooda<sup>34</sup> dla nikogo nie jest zaskoczeniem.

– Podobno chciałby odesłać flotę do Ameryki, żeby Holendrzy najechali Anglię i uczynili ją krajem kalwińskim.

– Biorąc pod uwagę, że VOC<sup>35</sup> wypłaca dywidendę w wysokości czterdziestu procent, przy Threadneedle zapewne roi się teraz od kalwinistów.

– Czy Apthorp jest jednym z nich?

---

<sup>34</sup> Knott Bolstrood, barker i stary przyjaciel Drake'a, był gorącym zwolennikiem protestantyzmu i zapięklonym wrogiem Francuzów. Król oddał mu stanowisko Sekretarza Stanu, ponieważ nikt przy zdrowych zmysłach nie zarzuciłby Bolstroodowi, że jest kryptokatolikiem.

<sup>35</sup> *Vereenigde Oostindische Compagnie*, czyli Holenderska Kompania Wschodnioindyjska.

– To jakaś absurdalna plotka. Aphorp wolałby założyć własną kompanię wschodnioindyjską niż zainwestować w holenderską.

– Zależy mu w takim razie na silnej marynarce, żeby nasze statki handlowe nie musiały bać się holenderskich, po burty wyładowanych działami.

– Zgadza się.

– A generał Lewis?

– Zapytajmy naszego młodego akademika – zaproponował przewrotnie Pepys.

Daniela zamurowało. Wilkins i Pepys chichotali jak dzieci.

Miał wrażenie, że teleskop też go obserwuje: leżał w swoim pudełku niczym jakiś organ należący do Isaaca Newtona, choć oddzielony od reszty ciała, i wpatrywał się w Daniela w nieludzkim skupieniu. Wyobraził sobie, że słyszy, jak Isaac pyta go, co on też sobie, na Boga, myśli, jeżdżąc po Londynie w karecie Samuela Pepysa i udając ważnego człowieka!

– No... Słaba marynarka wymusza utrzymywanie silnej armii, gotowej do odparcia holenderskiej inwazji – myślał głośno Daniel.

– Ale gdybyśmy mieli silną marynarkę, sami moglibyśmy najechać Holandię – zaprotestował Wilkins. – I generał Lewis, książę Tweed, okryłby się chwałą!

– Nie bez pomocy Francuzów – zauważył Daniel po chwili zastanowienia. – A lord Tweed jest pobożnym prezbiterianinem.

– Czy to nie ten sam pobożny prezbiterianin cieszył się tytułem hrabiowskim nadanym potajemnie przez dwór na wygnaniu w St. Germaine, kiedy Cromwell rządził Anglią?

– Jest po prostu rojalistą – odparł z wahaniem Daniel.

Rzeczywiście: co on właściwie sobie wyobrażał, jadąc takim powozem i prowadząc taką rozmowę? Poza tym, że robił z siebie durnia? Prawdziwą odpowiedź na to pytanie znał tylko John Wilkins, biskup Chester, autor *Cryptonomiconu* i *Języka Filozoficznego*, który lewą ręką pisał szyfry, prawą zaś odślaniał wiedzę przed całym światem. To on wprowadził Daniela do Kolegium Trójcy Świętej, zaprosił do Epsom w czasie zarazy, mianował członkiem Towarzystwa Królewskiego, a teraz najwyraźniej szykował mu następną niespodziankę. Czy Daniel miał pełnić rolę czeladnika przycupniętego u stóp mistrza? Taka myśl była wstrząsająco pyszna i zgoła nie purytańska, ale innego wyjaśnienia nie umiał znaleźć.

– Wszystko to łączy się w jakiś sposób z zagranicznymi listami pana Oldenburga... – stwierdził Pepys, kiedy jakiś tajemniczy czynnik (być może zmiana ciśnienia barycznego) zasugerował mu, że czas przerwać tę grę pozorów i porozmawiać serio.

– Tak myślałem – przytaknął Wilkins. – Z którym konkretnie?

– A jakie to ma znaczenie? Wszystkie listy GRUBENDOLA są przechwytywane i czytane, zanim do niego trafią.

– Zawsze mnie ciekawiło, kto je czyta. Ten ktoś musi być niezwykle bystry, bo w przeciwnym razie nic by z nich nie rozumiał.

– Przegląda się również wszystkie listy, które Oldenburg wysyła w świat. Ale o tym już pan wie.

– I w jednym z nich Oldenburg okazał się niedyskretny...

– Chodzi raczej o obfitość prowadzonej przez niego korespondencji. Jeśli dodać do tego fakt, że pan Oldenburg jest Niemcem, był dyplomatą na kontynencie i przyjaźni się z tym cromwellovskim purytańskim poetą...

– Johnem Miltonem.

– Właśnie... W dodatku nikt na dworze nie rozumie nawet dziesiątej części treści jego listów... Niektórzy są zaniepokojeni.

– Chce pan powiedzieć, że Oldenburga wtrącono do Tower, nie postawiwszy mu konkretnych zarzutów?

– Tak. Prewencyjnie.

– Ale... Czy to znaczy, że będzie tam siedział do końca życia?!

– Oczywiście, że nie. Tylko do zakończenia pewnych nadzwyczaj delikatnych negocjacji.

– Delikatnych negocjacji... – Wilkins kilkakrotnie powtórzył to sformułowanie, jakby spodziewał się wycisnąć dalsze informacje z suchych i oszczędnych słów.

W tym właśnie momencie Daniel doznał olśnienia i rozmowa, która dotychczas była dla niego całkowicie niezrozumiała, nagle stała się jasna i oczywista.

– Nie wiedziałem, że ten człowiek jest taki delikatny... Proszę się nie uśmiechać w ten sposób, panie Pepys. Nie chodziło mi wcale o to, co pan sobie pomyślał.

– Powszechnie wiadomo, że darzy *sa soeur* gorącym uczuciem. Ostatnio bez przerwy śle jej listy.

– A ona odpisuje?

– Minette produkuje listy z wprawą rasowego dyplomaty.

– A przy okazji, jak mniemam, na bieżąco informuje Jego Wysokość o nowinach w życiu ukochanego?

– Korespondencja jest tak obfita, że Jego Wysokość nigdy w przeszłości nie znał człowieka, o którym mówimy, tak dobrze, jak zna go obecnie. Złote kajdany są mocniejsze od żelaznych.

Wilkins poruszył się niespokojnie na siedzeniu.

– Hmm... W takim razie to chyba dobrze, że w oficjalnych kontaktach pośredniczą ci dwaj arcyprotestanci...

– Odesłałbym pana w tym miejscu do dziesiątego rozdziału pańskiego dzieła z tysiąc sześćset czterdziestego pierwszego roku – odparł Pepys.

– Przepraszam... ależ ze mnie dureń, pogubiłem się... Czy nadal mówimy o Oldenburgu?

– Ja nie zmieniłem tematu. W dalszym ciągu rozmawiamy o traktatach.

Powóz się zatrzymał i Pepys wysiadł. Daniel wsłuchał się w kłapanie płaskich podeszew na bruku. Wilkins wpatrywał się w mrok, próbując odcyfrować prawdziwe znaczenie słów Pepysa.

Przejażdżka kareta po Londynie była tylko odrobinę przyjemniejsza niż pobicie przez uzbrojonych w pałki bandytów, Daniel postanowił więc rozprostować kości. Wysiadł, obejrzał się przez ramię – i stwierdził, że stoi na środku kilkusetjardowej alei prowadzącej wprost do pałacu St. James. Odwróciwszy się, ujrzał Comstock House, oszłamiający, gotycki kopiec kamieni, dźwigający się w górę spośród ogrodów i bruku. Powóz Pepysa zjechał z Picadilly, skręcił i zatrzymał się na dziedzińcu rezydencji. Daniel podziwiał jej usytuowanie: gdyby Johnowi Comstockowi przyszła taka ochota, mógłby stanąć na progu domu i wypalić z muszkietu prosto przed siebie – pocisk przeleciałby ponad ogrodem, przez bramę, na drugą stronę Picadilly, wzdłuż wysadzanej drzewami alei, w poprzek Pall Mall, wprost do głównego wejścia St. James – i miałyby spore szanse ustrzelić kogoś z londyńskiej elity. Mury, żywopłoty i ogrodzenia z kutego żelaza wymodelowano w taki sposób, by zasłonić Picadilly i okoliczne domy, podkreślając przy tym złudzenie, że Comstock House i pałac St. James stanowią dwie części rodzinnej posiadłości.

Wyśliznął się przed bramę i stanął na skraju Picadilly, z twarzą zwróconą na południe, w stronę St. James. Patrzył, jak do pałacu wchodzi człowiek z torbą – zapewne medyk, który przyszedł upuścić Annie Hyde kwaterkę albo dwie krwi. Po lewej stronie, z grubsza rzecz biorąc w kierunku rzeki, rozciągała się otwarta przestrzeń, przemieniona ostatnio w olbrzymi plac budowy o boku długości ćwierci mili, w którego przeciwległym rogu znajdowało się Charing Cross. Ponieważ była noc i murarze spali, miało się wrażenie, że kamienne fundamenty i ściany wyrastają z gruntu samoczynnie, niczym muchomory, które o północy wynurzają się z ziemi.

Z miejsca, w którym stał, mógł ocenić Comstock House z właściwej perspektywy – jako jeden z wielu arystokratycznych domów przy Picadilly, zwróconych frontem w stronę pałacu St. James jak ustawieni na baczność żołnierze na przeglądzie wojsk. Berkeley House, Burlington House i Gunfleet House wyróżniały się z tłumu, ale tylko z Comstock House rozpościerał się bezpośredni widok na pałac.

Wyczuł, że olbrzymie drzwi się otwierają, usłyszał dystyngowane szepty i ujrzał Johna Comstocka, który wyszedł z domu pod ramię z Pepysem. Miał sześćdziesiąt trzy lata i, zdaniem Daniela, lekko, naprawdę leciutko wspierał się na Pepysie. Ale przecież w niejednej bitwie odniósł rany i chwilowa słabość nie musiała jeszcze oznaczać, że podupada na zdrowiu. Daniel rzucił się do powozu, wyjął teleskop i kazał woźnicy ulokować go bezpiecznie na dachu. Potem dosiadł się do trzech pozostałych pasażerów, kareta zatoczyła łuk i przy wtórze klekotu kopyt przejechała przez Picadilly, kierując się w stronę pałacu.

John Comstock, hrabia Epsom, przewodniczący Towarzystwa Królewskiego i doradca króla we wszystkich kwestiach związanych z filozofią naturalną miał na sobie perską

kamizelkę: grube, ciężkie, podobne do płaszcza okrycie, które – razem z fularem – stanowiło ostatni krzyk dworskiej mody. Pepys był ubrany podobnie, Wilkins miał kompletnie niemodny strój, a Daniel jak zwykle przypominał wędrownego purytanina sprzed dwudziestu lat, w dodatku bez grosza przy duszy. Zresztą i tak nikt na niego nie patrzył.

– Pracował pan do późna? – zapytał Comstock Pepysa, najwidoczniej wyczytawszy z jego stroju jakąś wskazówkę.

– Biuro wypłat ma wyjątkowo dużo pracy.

– Król do niedawna bardzo się interesował zagadnieniami polityki monetarnej. Do niedawna, bo ostatnio skłania się z powrotem ku swej pierwszej wielkiej miłości, filozofii naturalnej.

– Mamy coś, co z pewnością go zachwyci – wtrącił Wilkins. – Nowy teleskop.

Comstock, którego teleskopy nie interesowały, udał, że nie słyszy dygresji, i mówił dalej:

– Jego Wysokość prosił mnie o zwołanie w pałacu Whitehall zebrania, jutro wieczorem. Księżę Gunfleet, biskup Chester, sir Winston Churchill, pan, panie Pepys, i ja jesteśmy zaproszeni na pokaz: Enoch Rudy zademonstruje nam *phosphorus*.

Powóz nie dojechał do pałacu, lecz skręcił w Pall Mall, w stronę Charing Cross.

– Światłonośny? – zdziwił się Pepys. – A co to takiego?

– Nowy pierwiastek – wyjaśnił Wilkins. – Alchemicy z kontynentu ostatnio nie mówią o niczym innym.

– Z czego się składa?

– Z niczego. Dlatego nazwałem go pierwiastkiem!

– Z jaką planetą jest związany? Wydawało mi się, że wszystkie planety już mają swoje pierwiastki.

– Enoch nam wszystko wyjaśni.

– A czy w innej interesującej dla Towarzystwa sprawie odnotowano jakiś postęp?

– Ależ tak! – przytaknął Comstock. Spojrzał Wilkinsowi w oczy i zerknął znacząco na Daniela. Wilkins odpowiedział prawie niedostrzegalnym skinieniem głowy. – Panie Waterhouse... – ciągnął Comstock. Sięgnął po imponujący dokument, opatrzony zwisającą z dolnej krawędzi grubą pieczęcią z wosku. – Mam przyjemność przekazać panu list od lorda Penistone'a<sup>36</sup>. Proszę jutro wieczorem pokazać go strażnikom w Tower. Kiedy my na jednym krańcu Londynu będziemy podziwiać demonstrację *phosphorusu*, pan spotka się z panem Oldenburgiem na drugim końcu miasta. Będzie pan miał okazję zaspokoić jego potrzeby. Wiem, że prosił o nowe struny do teorbanu, pióra, atrament, książki... Czekają na niego również olbrzymia liczba nieprzeczytanych listów.

– Nieprzeczytanych przez GRUBENDOLA, ma się rozumieć – wtrącił żartobliwie Pepys.

---

<sup>36</sup> Lordem Penistone był nie kto inny, jak Knott Bolstrood we własnej osobie, któremu król nadał szlachectwo ze względów formalnych, kiedy mianował go na stanowisko Sekretarza Stanu. Przyznał mu tytuł lorda Penistone, aby Bolstrood - ultrapuritanin - musiał w swoim podpisie umieszczać słowo „penis”.

Comstock spiorunował go wzrokiem. Pepys poczuł się mniej więcej tak, jakby patrzył wprost w lufę naładowanego działa. Daniel Waterhouse i biskup Chester wymienili dyskretne, porozumiewawcze spojrzenia. Wiedzieli już, kto przegląda zagraniczną pocztę Oldenburga. Comstock.

Comstock odwrócił się do nich z powrotem i uśmiechnął uprzejmie – choć bynajmniej nie miło – do Daniela.

– Mieszka pan w domu swojego przyrodniego brata?

– Tak, proszę pana.

– Rano przyślę panu rzeczy dla pana Oldenburga.

Kareta zajeżdżała na południowy skraj Charing Cross i stanęła przed pięknym, nowym domem. Daniela, który najwyraźniej przestał być już potrzebny, poproszono – z niezwykłym wdziękiem i galanterią – o opuszczenie pojazdu i zajęcie miejsca na dachu. Posłuchał tej uprzejmej prośby i nawet nieszczególnie się zdziwił, widząc, że zatrzymali się przed sklepem *monsieur* LeFebure’a, królewskiego aptekarza, w którym Isaac Newton spędził większość poranka i odbył przypadkowe zaaranżowane spotkanie z hrabią Upnor.

Drzwi domu otworzyły się i w progu stanął mężczyzna w długim płaszczu. Znajdująca się w środku lampa podświetlała jego sylwetkę, gdy podchodził do powozu. Kiedy wyszedł z kręgu światła w mrok, było widać, że rąbek jego płaszcza i czubki palców emanują niezwykłą, zielonkawą poświatą.

– Witaj, Danielu Waterhouse – powiedział.

Zanim Daniel zdążył zareagować, Enoch Rudy wsiadł przez otwarte drzwiczki karety i zamknął je za sobą.

Powóz skręcił, zjechał z Charing Cross i znalazł się na rogu brukowanego placu przed pałacem Whitehall, kierując się prosto ku Bramie Holbeina – gotyckiemu zameczkowi z czterema wieżami, który był wyższy niż szerszy i zamykał plac od południowego zachodu. Szereg jednakowych ścian szczytowych zasłaniał znajdujące się po lewej stronie rozległe przestrzenie: najpierw Scotland Yard, stanowiący nieregularną mozaikę tartaków i tłoczni cydru ze składowanymi pod gołym niebem stertami węgla i drewna, a później główny dziedziniec pałacowy. Po prawej, gdzie w okresie dzieciństwa Daniela rozciągał się park i rozpościerał widok na pałac St. James, ciągnął się długi kamienny mur, dwa razy wyższy od dorosłego człowieka i podziurawiony otworami strzelniczymi. Siedzący na dachu powozu Daniel widział sięgające ponad mur gałęzie drzew i dachy drewnianych budynków, które Cromwell kazał zbudować w obrębie muru jako koszary Gwardii Konnej. Nowy król – zapewne pamiętając, że w gwardii roilo się dawniej od ludzi, którzy patrzyli, jak kat obcina głowę jego ojcu – postanowił zostawić w spokoju mur, otwory strzelnicze i całą Gwardię Konną.

Po lewej minęli główną bramę pałacu, za którą mignął główny dziedziniec i dwa, może trzy gmachy i kaplice na jego drugim krańcu, bliżej rzeki. Mniej lub bardziej eleganccy ludzie



przechodzili przez bramę w obu kierunkach, dwójkami i trójkami, korzystając z publicznej drogi wytyczonej w poprzek dziedzińca (która nawet w nocy była doskonale widoczna jako wyraźnie wydeptana ścieżka), wijącej się wśród pałacowych zabudowań i wychodzącej na Schody Whitehallu, gdzie rzeczni przewoźnicy przyjmowali na pokład jednych pasażerów i wysadzali innych.

Po chwili brama i rozciągający się za nią widok zostały przesłonięte przez narożnik Banqueting House, olbrzymiej tabakiery z białego kamienia, gdzie rzadko paliły się światła, ponieważ dym z pochodni i świec mógłby poczernić hoże, pulchne boginki nabazgrane przez Rubensa na suficie. Teraz jednak w Banqueting House płonęły ze dwie albo trzy pochodnie i Daniel dostrzegł przez okno Minerwę dławiącą Rebelię. Karetą dotarła już prawie do końca placu i zaczynała zwalniać, znalazłszy się w sąsiedztwie tak żalonym pod względem estetycznym, że nawet koniom zbierało się na mdłości: stare, niby-holenderskie ściany szczytowe apartamentów lady Castlemaine, przysadzisty gotycki łuk Bramy Holbeina ze strzelającymi pod niebo średniowiecznymi wieżyczkami, zbudowany w stylu włoskiego renesansu Banqueting House oraz nagi kamienny mur ze strzelnicami, chyba najlepszy przykład stylu purytańskiego w architekturze (którego purytanie w gruncie rzeczy nigdy się nie dorobili).

Brama Holbeina prowadziła na King Street, przy której mieścił się nieduży apartament Pepysa. Ale zamiast tam się udać, woźnica zmusił konie do trudnego skrętu w lewo, w ciemny, biegnący w dół zaułek, niewiele szerszy od powozu i prowadzący wzdłuż ściany Banqueting House wprost ku Tamizie.

Każdy przyzwoicie ubrany Anglik miał prawo spacerować po całym Whitehallu. Mógł wejść, gdzie mu się żywnie podobało, nawet do królewskich przedpokojów, chociaż przeciętny europejski arystokrata z kontynentu powiedziałby, że podobne praktyki nie kwalifikują się już nawet do miana uwłaczających, lecz są niewybaczalnym dziwactwem. Mimo to Danielowi nigdy wcześniej nie zdarzyło się zabłądzić w tę uliczkę, która po prostu nie wyglądała na dobre miejsce do spacerów dla młodego purytanina. Nie wiedział nawet, czy nie jest to przypadkiem ślepy zaułek, a w dodatku wyobrażał sobie, że w takich właśnie zakamarkach ludzie pokroju hrabiego Upnor molestują dziewczki służebne i odbywają pojedynki.

Po prawej stronie uliczki ciągnęła się Privy Gallery. Galeria, jak sama nazwa wskazuje, powinna być po prostu długim korytarzem – w tym wypadku prowadzącym bezpośrednio w te rejony Whitehallu, w których król mieszkał, zabawiał się z kochankami i przyjmował doradców, podobnie jednak jak Most Londyński z biegiem lat zarósł gąszczem domów mieszkalnych, gospód oraz sklepów szmuklerzy, rękawiczników i bławatników, tak i Privy Gallery, choć sama pozostała pustym kanałem komunikacyjnym, obrosła po bokach starymi budynkami, najczęściej mieszczącymi dworskie apartamenty, oddane przez króla do dyspozycji tych spośród dworzan i kochanek, którzy akurat cieszyli się jego łaską.

Apartamenty tworzyły mroczny wał na prawo od Daniela i wydawały się znacznie większe niż w rzeczywistości, ponieważ były bardzo liczne i brakowało w ich rozmieszczeniu jakiegokolwiek logiki. Przywodziły na myśl truchło żaby, które z powodzeniem mieści się człowiekowi w kieszeni, lecz młodemu naturaliście wydaje się szerokie na miłę, kiedy próbuje je pociąć i sporządzić spis jego licznych elementów składowych.

Kilka razy zaskoczyły go wybuchy śmiechu, dobiegające z rozświetlonych blaskiem świec okien na wyższych piętrach; wydawało mu się, że tak mogą śmiać się tylko ludzie dystyngowani i okrutni zarazem. Zaulek tymczasem skręcił i z miejsca, w którym się znajdowali, Daniel nareszcie dostrzegł jego koniec: małe, wysypane żwirem podwórko, o którym zdarzyło mu się nieraz słyszeć. Ponoć król, stojąc w oknie któregoś z wychodzących na podwórko salonów, zwykł słuchać wygłaszanych na nim kazań. Zanim jednak dotarli do tego świętego miejsca, woźnica ściągnął lejce i pojazd stanął. Zdumiony Daniel rozejrzał się dookoła, ale dostrzegł tylko kamienne schodki, prowadzące w dół do krypty lub tunelu biegnącego pod Privy Gallery.

Pepys, Comstock, biskup Chester i Enoch Rudy wysiedli z powozu. W głębi tunelu pojawiły się pierwsze światła. Chwilę później Daniel ujrzał przez okno przygotowywaną dla gości kolację: udziec barani, krąg sera cheshire, danie ze skowronków, *ale*, słodkie pomarańcze. Nie była to jednak sala bankietowa – po kątach stały połyskujące w świetle retorty, butle rtęci, precyzyjne wagi, żarzące się piece. Daniel słyszał już o tym, że król polecił zbudować w podziemiach pałacu laboratorium alchemiczne – ale do tej pory traktował te rewelacje jak plotki.

– Woźnica zabierze pana do rezydencji pana Raleigha Waterhouse’a – poinformował go Pepys, zatrzymawszy się przed wejściem na schody. – Proszę rozgościć się w karecie.

– To bardzo uprzejme z pana strony, ale mam stąd blisko do domu Raleigha, a spacer dobrze mi zrobi.

– Jak pan sobie życzy. Proszę pozdrowić ode mnie pana Oldenburga.

– To dla mnie zaszczyt – odparł Daniel, z trudem powstrzymując się, żeby nie dodać: „A pan niech pozdrowi ode mnie króla”.

Zebrał się na odwagę, wszedł na Sermon Court i spojrzął w okna królewskich komnat. Nie gapił się jednak zbyt długo – próbował udawać stałego bywalca tych okolic. Wąskie przejście pod samym koniuszkiem Privy Gallery zaprowadziło go do rozległych prywatnych ogrodów króla. Wzdłuż ich krawędzi równoległe do rzeki biegła następna galeria, prowadząca na królewski trawnik do gry w kule i dalej, do Westminsteru. Chwilowo jednak miał dość emocji jak na jeden raz, cofnął się więc przez ogród w stronę Bramy Holbeina. Wszędzie widział spacerujących i plotkujących dworzan. Od czasu do czasu odwracał się ku rzece i podziwiał dom króla i królowej, wznoszący się nad ogrodem i rozświetlony złocistą poświatą świec z pszczelego wosku.

Gdyby naprawdę był takim światowcem, jakiego przez chwilę próbował udawać, całą uwagę poświęcałby ludziom w oknach i na ogrodowych ścieżkach. Usilnie starałby się coś wypatrzeć: nowy trend w kroju perskich kamizelek, albo jakieś Ważne Osoby szepczące po kątach. Tak się jednak złożyło, że tylko jeden widok bez reszty przyciągał jego wzrok, jak Gwiazda Polarna przyciąga magnes. Daniel odwrócił się plecami do królewskich apartamentów i spojrzął na południe, ponad ogrodem i trawnikiem, w stronę Westminsteru.

Tam właśnie, na czubku starej, sfatygowanej piki tkwił przedmiot o nieregularnym kształcie, widoczny w świetle księżyca jako szara plama: głowa Olivera Cromwella. Kiedy dziesięć lat temu król wrócił do kraju, kazał wykopać pogrzebane przez Drake'a i jego towarzyszy ciało, odciąć głowę i na wieczność zatknąć ją na pice. Od tamtej pory bezradnie spoglądała na arenę wszeteczeństwa i niczym nieskrępowanej lubieżności, jaką był pałac Whitehall. A teraz Cromwell, który kiedyś sadzał sobie najmłodszego syna Drake'a na kolanach, patrzył właśnie na niego.

Daniel zadarł głowę i spojrzął w gwiazdy. Z perspektywy siedzącego w niebie Drake'a świat musiał przypominać piekło. A on znajdował się w samym jego środku.

\* \* \*

Od czasu uwięzienia w Tower Oldenburg zupełnie zmienił zdanie na temat tego, co jest dla niego najważniejsze. Daniel spodziewał się, że sekretarz Towarzystwa Królewskiego zanurkuje do olbrzymiego worka z pocztą, ale więźnia interesowały przede wszystkim struny do teorbanu. Ponieważ bardzo przytył i z trudem się poruszał, Daniel musiał zaglądać w różne zakamarki półksiężycowatej celi i podawać mu instrument, dodatkowe świece, kamerton i nuty, oraz dorzucać drewno do ognia. Oldenburg położył sobie teorban na kolanach, odwrócił go jak niegrzecznego chłopca, któremu zaraz wymierzy klapsa, w dwóch, trzech miejscach obwiązał szyjkę lutni kawałkami jelita, które miały pełnić rolę progów (stare zupełnie się przetarły) i wymienił dwie pęknięte struny. Nastąpiło pół godziny strojenia lutni (nowe struny pomału się rozciągały), aż wreszcie spełniło się marzenie Oldenburga: usiedli z Danielem naprzeciw siebie pośrodku celi i razem zaśpiewali pieśń, skomponowaną w taki sposób, że ich głosy tworzyły miłe dla ucha akordy. Zakrzywiona ściana celi działała jak zwierciadło w teleskopie Newtona i odbijała dźwięk w ich stronę. Po kilku linijkach Daniel nauczył się swojej partii na pamięć i kiedy dochodził do refrenu, mógł się wyprostować, unieść brodę, śpiewać pełnym głosem i odczytywać napisy na ścianach, wydrapane w kamieniu rękami więźniów przez stulecia zajmujących tę celę. Nie przypominały wulgarnych gryzmołów z więzienia Newgate – napisy były w większości po łacinie, poważne i uroczyste jak epitafia nagrobne. Gdzieniedzie widniały diagramy astrologiczne i runiczne inkantacje wyryte przez uwięzionych czarowników.

Chłodnym *ale* orzeźwili struny głosowe, zagryźli pasztetem z dziczyzny, wyjętymi z beczułki ostrygami i pomarańczami przysłanymi przez Towarzystwo. Oldenburg przejrzał pocztę: na jeden stos złożył wszystkie doniesienia o najnowszych dokonaniach Salonu Hotelu *Montmor* w Paryżu, poza tym wyłowił dwa listy od Huygensa, krótki rękopis Spinozy, olbrzymią górę listów przysłanych przez mniej znaczących dziwaków – i osobną stertę korespondencji od Leibniza.

– Ten przeklęty Niemiec nigdy się nie zamknie! – mruknął, a biorąc pod uwagę, że sam był niezwykle gadatliwym Niemcem, żartował w gruncie rzeczy z siebie samego. – Niech no spojrzę... Leibniz proponuje założenie *Societas Eruditorum*, skupiającego młodych wagabundów, aby stworzyć z nich armię naturalistów, która napędzi stracha jezuitom... tutaj pisze o wolnej woli i predestynacji... byłoby ciekawie, gdyby udało się wmanewrować go w spór ze Spinozą... Pyta, czy słyszałem o śmierci Comeniusa... potwierdza gotowość przejścia gasnącego kaganka pansofii<sup>37</sup>... o, a tu jest lekka, łatwa i przyjemna analiza tego, jak kiepska łacina, którą posługują się uczeni na kontynencie, prowadzi do błędów w rozumowaniu, a w konsekwencji do schizm religijnych, wojen, chybionych poglądów filozoficznych...

– Jakbym słyszał Wilkinsa.

– Wilkins! Właśnie! Myślałem o tym, żeby ozdobić te ściany własnymi tekstami, zapisanymi Pismem Uniwersalnym... Ale to by było nazbyt przygnębiające. „Patrzenie, wymyśliliśmy nowy język filozoficzny, żebyśmy mogli wydrapywać doskonalsze napisy na murach, kiedy król wtrąci nas do więzienia”.

– Może to nas doprowadzi do świata, w którym królowie nie będą mogli ani chcieli nas więzić...

– Teraz mówisz jak Leibniz. No tak, nowe dowody matematyczne... nic, czego wcześniej nie dowiedliby Anglicy... ale dowody Leibniza są bardziej eleganckie... a tu skromnie zatytułowana *Hypothesis Physica Nova*. Dobrze, że siedzę w Tower. Inaczej nie miałbym kiedy tego wszystkiego przeczytać.

Daniel zaparzył kawę nad ogniem. Wypili ją i nabili gliniane fajki tytoniem z Wirginii. Kiedy je wypalili, przyszedł czas na wieczorną przechadzkę Oldenburga. Wszedł pierwszy po kamiennych wycinkach koła, tworzących kręcone schody.

– Przytrzymałbym drzwi i powiedział „proszę przodem”, ale gdybym się pośliznął, skończyłby pan na parterze Szerokiej Wieży zmiażdżony moim ciężarem. Mnie zaś nic by się nie stało.

– Dla Towarzystwa wszystko – zażartował Daniel. Ciekawiło go, jak wygląda masywne ciało Oldenburga wypełniające spiralnie skręcone przejście.

– Och, teraz jest pan dla nich cenniejszy niż ja.

---

<sup>37</sup> Pansofia była ruchem filozoficzno-religijnym, modnym wśród akademików z kontynentu, w którym rzeczony Comenius odgrywał znaczącą rolę. To pod jej wpływem Wilkins, Oldenburg i inni założyli Klub Filozofii Doświadczalnej, a później Towarzystwo Królewskie.

– Też coś!

– Ja zbliżam się do końca mojego okresu przydatności, pański zaś dopiero się zaczyna. Towarzystwo wiąże z panem wielkie nadzieje...

– Jeszcze wczoraj bym panu nie uwierzył. Ale potem byłem obecny przy rozmowie, której ni w ząb nie rozumiałem, ale która wydawała mi się ogromnie ważna.

– Proszę mi o niej opowiedzieć.

Wyszli na starą kamienną kurtynę, łączącą Szeroką Wieżę ze stojącą na południe od niej Wieżą Solną. Ramię w ramię ruszyli na przechadzkę po blankach. Po lewej stronie ciągnęła się fosa, czyli sztuczne jezioro o łukowatym kształcie, połączone z rzeką, za nią stok, koszary i magazyny marynarki, a potem pastwiska Wapping, położone w zakolu Tamizy, i przymglone światła Ratcliff i Limehouse. Dalej rozciągała się ciemność, skrywająca – między innymi – Europę.

– *Dramatis Personae*: John Wilkins, lord biskup Chester, i pan Samuel Pepys, sekretarz Admiralicji, skarbnik floty, archiwista Rady Marynarki Wojennej, zastępca syndyka Prywatnej Pieczęci, członek Korporacji Rybackiej, skarbnik Komisji Tangerskiej, prawa ręka hrabiego Sandwich, dworzanin... Coś pominąłem?

– Członek Towarzystwa Królewskiego.

– A tak, dziękuję.

– O czym rozmawiali?

– Najpierw o tym, kto przegląda pańską pocztę.

– Domyślam się, że John Comstock. Podczas bezkrólewia szpiegował już na rzecz króla, więc dlaczego nie miałby tego robić teraz?

– Coś w tym jest... Potem przerzucali się aluzjami do delikatnych negocjacji. Pan Pepys powiedział o królu Anglii coś takiego: „Darzy *sa soeur* gorącym uczuciem, często do niej pisuje”.

– Widzi pan, Minette przebywa we Francji...

– Minette?

– Tak król Karol nazywa swoją siostrę Henriettę Annę – wyjaśnił Oldenburg. – Nie polecam jednak używania tego przezwiska w przyzwoitym towarzystwie... Chyba że chce pan tu do mnie dołączyć.

– Czy to nie ona wyszła za mąż za księcia Orleanu<sup>38</sup>?

– Zgadza się. Francuski zwrot w ustach pana Pepysa miał to podkreślić. Proszę mówić dalej.

– Pan Wilkins zastanawiał się, czy odpisała, na co Pepys stwierdził, że Minette produkuje listy jak dyplomata.

Oldenburg skrzywił się i z zakłopotaniem pokręcił głową.

---

<sup>38</sup> Filip, książę orleański, był młodszym bratem Ludwika XIV.

– To bardzo toporne ze strony pana Pepysa. Dał do zrozumienia, że ta wymiana listów ma charakter negocjacji dyplomatycznych, ale nie było potrzeby traktować Wilkinsa tak oschle... Pan Pepys musiał być zmęczony, zdekoncentrowany...

– Pracował do późna. Do skarbcza marynarki zwozi się nocą duże ilości pieniędzy.

– Wiem o tym... Proszę spojrzeć!

Oldenburg złapał Daniela za ramię i obrócił go na zachód, przodem do Wewnętrznego Dziedzińca. Znajdowali się przy Wieży Solnej, w południowo-wschodnim narożniku mniej więcej kwadratowej twierdzy. Południowy odcinek muru ciągnął się przed nimi równoległe do rzeki, łącząc szereg przysadzistych, okrągłych baszt. Po prawej, na środku dziedzińca, znajdował się wiekowy donżon – wolnostojący gmach zwany Białą Wieżą. Niskie murki dzieliły plac na mniejsze czworokąty, ale najbardziej rzucał się w oczy zachodni mur, chroniący Tower od strony zawsze groźnego i niespokojnego City. Między nim i nieco niższym murem zewnętrznym biegła wąska ulica, niewidoczna z miejsca, w którym się zatrzymali. Znad niej buchały w niebo lite słupy dymu i pary, pochodzące z rozlokowanych przy niej kuźnic metali szlachetnych. Nazywała się Mint Street<sup>39</sup>.

– Te ich piekielne młoty nie dają mi spać – poskarżył się Oldenburg. – Dym z pieców wciska się do wieży przez ambrazury.

W murach Tower znajdowały się wyłącznie wąskie otwory strzelnicze o kształcie krzyża, nazywane ambrazurami, co było jednym z powodów, dla których twierdza doskonale nadawała się na więzienie. Zwłaszcza dla otyłych.

– Więc to dlatego król przeprowadził się do Whitehallu? – zażartował Daniel. – Żeby mieszkać po nawietrznej stronie mennicy?

Na twarzy Oldenburga chwilowe rozbawienie natychmiast ustąpiło miejsca rozdrażnieniu.

– Nic pan nie rozumie. Na Mint rzadko się coś dzieje. Ostatnio całymi miesiącami była cicha, pusta i wygaszona, a pracownicy bezrobotni i pijani w sztok.

– A teraz?

– Teraz są pijani w sztok i zapracowani. Kiedy przed paroma dniami stałem tu gdzie teraz, widziałem, jak wojenny trzymasztowiec, ciężko wyładowany, rzucił kotwicę za zakrętem rzeki. O, tam. Szalupy z ładunkiem zaczęły podpływać do bramy wodnej pośrodku południowego muru, a potem w nocy mennica nagle ożyła. I od tamtej pory nie śpi.

– A do skarbcza marynarki spływa strumień złota – dodał Daniel. – Przez co pan Pepys ma mnóstwo pracy.

– Wróćmy może do tej rozmowy, którą miał pan okazję słyszeć. Jak biskup Chester zareagował na niezręczne stwierdzenie pana Pepysa?

– Odparł mniej więcej tak: „A Minette na bieżąco informuje Jego Wysokość o poczynaniach swojego amanta?”.

---

<sup>39</sup> *Mint* (ang.) - kuźnica; mennica (przyp. tłum.).

– Jak pan sądzi, kogo miał na myśli?

– Jej męża...? Wiem, wiem, jestem żenująco naiwny.

– Filip, książę Orleanu, posiada największą i najciekawszą kolekcję damskiej bielizny w całej Francji. Jego przygody seksualne ograniczają się do tego, że daje się walić w dupała przystojnym oficerom.

– Biedna Minette!

– Doskonale wiedziała, co robi, wychodząc za niego za męża. – Oldenburg wywrócił oczami. – Miesiąc miodowy spędziła w łóżku ze swoim szwagrem, królem Ludwikiem XIV. I to jego miał na myśli biskup Wilkins, mówiąc o jej amancie.

– Przyjmuję krytykę.

– Proszę, niech pan mówi dalej.

– Pepys zapewnił Wilkinsa, że biorąc pod uwagę obfitość korespondencji, trudno sobie wyobrazić, żeby król Karol mógł bardziej zbliżyć się do człowieka, o którym mowa... Przywołał w tym miejscu analogię do złotych kajdan...

– Które, jak mniemam, wziął pan za symbol małżeńskiego szczęścia?

– Nawet ja wiedziałem, co ma na myśli Pepys – zaciętrzewił się Daniel.

– Z pewnością Wilkins również zdawał sobie z tego sprawę. Jak zareagował?

– Zaniepokoił się. Chciał usłyszeć zapewnienie, że „dwaj arcydysydenci” czuwają nad rozwojem oficjalnych kontaktów.

– Fakt, że hrabia Shaftesbury i książę Buckingham, stary kompan króla, z którym Jego Wysokość pił i chodził na dziwki, negocjują układ pokojowy z Francją, jest tajemnicą poliszynela. Ci, którzy nocą rozbijają się karetami po Londynie, doskonale o tym wiedzą. Tych dwóch wybrano nie ze względu na ich talenty dyplomatyczne, lecz dlatego że nawet pański świętej pamięci ojciec nie mógłby im zarzucić papistowskich sympatii.

Podszedł do nich strażnik Tower, dokonujący obchodu murów.

– Dobry wieczór panom.

– Dobry wieczór, George. Jak twoja podagra?

– A dziękuję, dziś czuję się lepiej. Najwidoczniej kataplazm mi pomógł. Skąd wziął pan tę receptę?

George wdał się w rutynową wymianę haseł i odzewów ze strażnikiem na dachu Wieży Solnej, po czym zawrócił, pożegnał się i niespiesznie odszedł.

Daniel odprowadzał go wzrokiem do chwili, gdy miał pewność, że jedyną żywą istotą, która mogłaby ich podsłuchać, jest kruk wielkości spaniela, przycupnięty nieopodal na blankach.

Pół mili w górę rzeki nurt przegradzały – prawie tamowały – gęste niczym zęby grzebienia sztuczne wysepki. Kształtem przypominały łódki, miały strome brzegi i podpierały ciąg krótkich, niezbyt ambitnych kamiennych łuków. Łuki były połączone jezdnią, w jednych miejscach zbudowaną z drewna, w innych kamienną, a przy tym w większości pokrytą

budynkami, które rozpełzały się we wszystkich kierunkach i zwieszały nad wodą, a nie osuwały się w nurt Tamizy tylko dzięki podtrzymującym je prymitywnym skośnym wspornikom. W górze rzeki – i w dole – woda płynęła leniwie i ospale, ale tam, gdzie wciskała się między izbice (jak nazywano stworzone ludzką ręką wysepki), pieniała się wściekle. Na samych izbicach – podobnie jak na brzegach Tamizy na przestrzeni następnych kilku mil – leżały wyrzucone przez rzekę szczątki łodzi, którym nie udało się pokonać bystrzy pod Mostem Londyńskim, a mniej więcej raz na tydzień można tam było znaleźć zwłoki pasażerów i należące do nich przedmioty.

Niektóre segmenty mostu pozostawiono niezabudowane, żeby uniemożliwić rozprzestrzenienie się pożaru na drugi brzeg. Jakaś tęga kobieta przystanęła w jednej z tych luk z zamiarem ciśnięcia trzymanego w rękach słoja w spieniony nurt poniżej. Daniel nie widział jej wyraźnie, ale wiedział, że słoje zdobi wymalowana po dziecięcemu twarz – tak wyglądał amulet chroniący przed urokiem wiedźmy. Umieszczone pod niektórymi łukami koła wodne meły nurt, zgrzytając przy tym i dźwięcząc tak głośno, że znajdujący się pół mili od nich Waterhouse i Oldenburg musieli stać blisko siebie i rozmawiać podniesionymi głosami. Daniel domyślał się, że nieprzypadkowo przystanęli w takim miejscu. Zanosilo się na to, że dochodzą do tego fragmentu rozmowy, który Oldenburg wolałby zataić przed bystrouchymi strażnikami.

Za Mostem Londyńskim, ale znacznie dalej, za zakrętem rzeki, majaczyły światła Whitehallu. Daniel prawie sobie wmówił, że dostrzega nad pałacem zielonkawą poświatę – to Enoch Root prezentował królowi, jego dworzanom i najszacowniejszym członkom Towarzystwa nowy pierwiastek, zwanym *phosphorusem*.

– Znaczenie następnych słów Pepysa umknęło nawet Wilkinsowi – powiedział Daniel. – Brzmiały tak: „Odsyłam pana do dziesiątego rozdziału pańskiego dzieła z tysiąc sześćset czterdziestego pierwszego roku”.

– Do *Cryptonomiconu*?

– Tak przypuszczam. W rozdziale dziesiątym Wilkins wyjaśnia ideę steganografii, czyli umieszczania tajnych wiadomości w niewinnie wyglądających listach... – Daniel urwał, widząc, jak twarz Oldenburga przybiera całkowicie fałszywy wyraz naiwnej ciekawości. – Zresztą sam pan o tym doskonale wie. Wilkins poprosił o wybaczenie, że ma przyciężki pomysłupek, i zapytał, czy Pepys nie mówi przypadkiem o panu.

– Ha, ha, ha! – zadudnił Oldenburg.

Jego śmiech odbił się echem od murów i poniósł po dziedzińcu niczym łoskot armatniego wystrzału. Kruk przyskoczył bliżej i zakrakał „Kra, kra, kra!”. Obaj mężczyźni parsknęli śmiechem i Oldenburg wyjął z kieszeni kawałeczek chleba. Podał go na otwartej dłoni krukowi, który przysunął się jeszcze bliżej i odchylił łepkę, szykując się do dziobnięcia. Wtedy jednak Oldenburg cofnął rękę i powiedział dobitnie:

– *Cryptonomicon*.



Ptak przekrzywił głowę, otworzył dziób i wydał z siebie przeciągły, gulgoczący dźwięk. Oldenburg z westchnieniem podsunął mu chleb.

– Próbuję go nauczyć mówić – wyjaśnił. – Ale dla kruka to za trudne.

Kruk porwał chleb z jego dłoni i odskoczył na bezpieczną odległość, na wypadek gdyby człowiek jednak zmienił zdanie.

– Zmieszanie Wilkinsa jest całkowicie zrozumiałe, ale jasny jest również sens słów Pepysa. W górze rzeki – tu Oldenburg wykonał nieokreślony gest, celując ręką mniej więcej w stronę Whitehallu – mieszkają pewne podejrzliwe osoby, które mają mnie za szpiega, komunikującego się z monarchami z kontynentu za pomocą wiadomości ukrytych w treści rzekomych traktatów filozoficznych. Nie są w stanie pojąć, że ktoś może tak bardzo jak ja interesować się nowymi gatunkami węgorzy, metodami kwadratury hiperboli i tak dalej. Pepysowi jednak nie o to chodziło. Jest o wiele sprytniejszy. Przekazał Wilkinsowi, że niezupełnie tajne negocjacje, prowadzone przez Buckinghama i Shaftesbury'ego, są w istocie tylko niewinną wiadomością, skrywającą prawdziwe sekretne porozumienie do którego dążą królowie i w którego zawarciu pośredniczy Minette.

– Na Boga... – stęknął Daniel i oparł się o blanki. Bał się, że jeśli tego nie zrobi, jego kręcąca się głowa pociągnie go za sobą do fosy.

– Porozumienie, którego szczegółów możemy się tylko domyślać, ale o którym wiemy jedno: dzięki niemu złoto pojawia się w środku nocy... tam. – Oldenburg wskazał wodną bramę Tower od strony Tamizy. Wrodzona dyskrecja nie pozwoliła mu przypomnieć jej dawnej nazwy: Brama Zdrajców.

– Pepys wspominał też o tym, że Thomas More Anglesey jest odpowiedzialny za napełnianie skarbcza marynarki... Nie bardzo rozumiem, co miał na myśli.

– Nasz księżę Gunfleet utrzymuje znacznie bliższe kontakty z Francją, niżby się mogło z pozoru wydawać – odparł Oldenburg, ale odmówił dalszych wyjaśnień.

\* \* \*

*Że zaś srebro i złoto mają swą wartość ze względu na samą swą materię, przeto mają, przede wszystkim one, ten przywilej, że ich wartość nie może się zmienić z mocy jednego państwa ani z mocy paru, jako że jest wspólną miarą dóbr na każdym miejscu. Pieniądz zaś z nieszlachetnego metalu łatwo może być podniesiony albo obniżony w swej wartości.*

Hobbes, *Lewiatan*

Wkrótce potem Oldenburg delikatnie spławił Daniela, chcąc w spokoju nacieszyć się stertą listów. Odprowadzany niby-uprzejmymi spojrzeniami strażników i ich na wpół oswojonych kruków Daniel wyszedł na Water Lane w południowym skraju Tower. Minął

dużą, prostokątną basztę tkwiącą w zewnętrznym murze i górującą nad Tamizą – i zbyt późno zorientował się, że gdyby zerknął w lewo, mógłby przez olbrzymi łuk Bramy Zdrajców spojrzeć na drugi brzeg rzeki. Niestety, stracił swoją szansę, a powrót pod wieżę nie wydawał mu się najlepszym pomysłem. Może zresztą dobrze się stało, że nie stanął tam z rozdziawionymi ustami – gdyby ktoś miał na niego oko, mógłby się domyślić, że Oldenburg wspomniał mu o bramie.

Czyżby zaczynał myśleć jak dworzanin?

Po prawej stronie mijał właśnie ośmiokątną bryłę Dzwonnicy. Przechodząc, rzucił okiem na uliczkę między dwiema kurtynami, szeroką najwyżej na pięćdziesiąt stóp i w połowie zajmowaną przez niskie domy i warsztaty mennicy. Mignęły mu okna pałające żarem pieców, od których nagrzewały się mury. Na tle ognistej poświaty rysowały się czarne sylwetki wozów z węglem. Uzbrojeni w muszkiety ludzie obrzucali go obojętnymi spojrzeniami. Pracownicy mennicy przemieszczali się wśród zabudowań ciężkim, znużonym krokiem.

A potem znalazł się pod łukiem Bocznej Wieży Strażniczej, wysokiej budowli strzegącej dostępu do Tower od strony łądu. Siedzący na gargulcu kruk zaskrzeczał „Cromwell!” i Daniel wszedł na most zwodzony przerzucony nad fosą i łączący Wieżę Bocznią z Wieżą Środkową. Dalej znajdowała się Lwia Wieża, ale królewska menażeria spała i nie usłyszał lwich ryków. Pokonał jeszcze ostatni, zapuszczony odcinek fosy (przechodząc po kolejnym moście zwodzonym), trafił na obwiedzione murami podwórze zwane Bastionem, aż wreszcie przez ostatnią z bram wy dostał się na świat, gdzie czekał go długi, samotny spacer po nagim stoku, w asyście żerujących szurów i kopulujących psów, zanim w końcu wszedł pomiędzy domy i między ludzi.

Znalazł się w sercu City – i trochę się pogubił, gdyż po pożarze wyprostowano w nim i przebudowano część ulic. Wyjął z kieszeni grube złote jajko – jeden z eksperymentalnych zegarków Hooke’a, efekt nieudanej próby rozstrzygnięcia Zagadnienia Długości Geograficznej, nadający się tylko dla szurów łądowych – i stwierdził, że pokaz właściwości *phosphorusu* w Whitehallu jeszcze się nie skończył, oraz że nie jest jeszcze za późno na odwiedzinę u szwagrów. Nie lubił wpadać do ludzi w odwiedzinę – myśl, że chcieliby otworzyć mu drzwi i spotkać się z nim, trąciła pychę – ale zdawał sobie sprawę, że właśnie w taki sposób ludzie pokroju Pepysa stają się ludźmi pokroju Pepysa. Ruszył więc do domu Hamów.

Dom był rozrzutnie rozświetlony, a przed nim stał zaprzężony w parę koni powóz. Daniel ze zdumieniem rozpoznał wymalowany na drzwiach pojazdu herb swojej rodziny (zamek posadowiony okraciem nad rzeką). Z przerośniętych kominów domu dym buchał jak z kuźni, rozświetlany snopami pomarańczowego blasku. Stanąwszy na schodach, Daniel usłyszał dobiegający z domu śpiew. Głos zadrzał, ale nie umilkł, kiedy gość zapukał do drzwi; była to modna ostatnio piosenka, której autor natrząsał się z Holendrów za to, że są tacy bystrzy,

pracowici i dobrze im się powodzi. Majordomus wicehrabiego Walbrook<sup>40</sup> otworzył drzwi i rozpoznał w Danielu gościa z towarzystwa – nie zaś, jak to czasem bywało, nocnego klienta z wystawioną przez złotnika notą.

Mayflower Ham, *de domo* Waterhouse – kobieta pulchna, jasnowłosa, dobiegająca pięćdziesiątki, a wyglądająca jak trzydziestolatka – przytuliła go z całej siły, niemal unosząc przy tym w powietrze. Menopauza położyła wreszcie kres jej głębokiemu i złożonemu związkowi z własnym łonem – epopei nieregularnych krwawień i jedenastomiesięcznych ciąż, jakby żywcem wyjętych z annałów Towarzystwa Królewskiego; przerażających omenów, poronień i tragicznych miesięcy bezdzietności przerywanych okresami tak rozbuchanej płodności, że wuj Thomas bał się do niej zbliżyć; niepokojących wahań stanu zdrowia, popraw i pogorszeń, napadów piekielnych skurczów, tajemniczych interakcji z Księżycem i innymi ciałami i zjawiskami niebieskimi, wstrząsających zaburzeń wszystkich czterech *humorów* znanych medycynie i paru innych znanych tylko Mayflower, istic sejsmicznych wstrząsów (słyszalnych w sąsiednich pokojach), wchłoniętych guzów oraz trzech – nie do wiary! – aż trzech udanych ciąż, zakończonych trwającymi po cztery dni porodami, podczas których łóżka pękały jak cienkie szczapki, obrazy spadały ze ścian, a rzesze pastorów, położnych, lekarzy i krewnych padały z nóg ze zmęczenia. Mayflower (na swoje szczęście) urodziła się z cechującą niektóre kobiety zdolnością do mówienia o swoim łonie w dowolnym towarzystwie i nieprzejmowania się niestosownością takiego zachowania. Nie dość na tym: człowiek nie znał dnia ani godziny, kiedy nagle – w środku rozmowy albo w połowie listu – Mayflower poruszy swój ulubiony temat, przyprawiając publikę o zimne poty i zmuszając ją swoimi opowieściami do rozważania problemów tak pierwotnej natury, że wykraczały poza ramy zwykłej eschatologii. Nawet Drake przestawał mówić o Apokalipsie, kiedy Mayflower się rozkręcała. Lokaje pierzchali, a pokojówki mdlały. Stan jej łona oddziaływał na nastroje Anglików jak Księżyc na pływy ziemskich mórz.

– Jak... eee... Jak się masz? – spytał Daniel, zebrawszy myśli.

Mayflower uśmiechnęła się promiennie, wygłosiła rutynowe przeprosiny, że dom jeszcze nie skończony (żaden naprawdę modny dom nigdy nie mógł być ukończony), i zaprowadziła go do jadalni, gdzie wuj Thomas zabawiał rozmową Sterlinga i Beatrice Waterhouse'ów oraz sir Richarda Apthorpa z małżonką. Apthorpowie, którzy mieli własny warsztat złotniczy, mieszkali przy Threadneedle, dosłownie parę domów dalej. Towarzystwo nie było natarczywie eleganckie i Daniel nie czuł się w nim tak potwornie obco, jak na przykład w kawiarni pani Green. Sterling przywitał się z nim uprzejmie, jakby chciał go przeprosić za wczoraj: „Wybacz, stary, ale interesy to interesy”.

Daniel odniósł wrażenie, że zebrani świętują jakąś uroczystą okazję. Ze wzmianek o czekającej ich pracy wnosił, że chodzi o milowy krok w realizacji ich wielkiego projektu domowo-sklepowego. Marzyło mu się, żeby ktoś go zapytał, gdzie był – mógłby wtedy od

---

<sup>40</sup> To król nadał Thomasowi Hamowi tytuł wicehrabiego Walbrook.

niechcenia rzucić, że wraca z Tower, i pomachać listem żelaznym wydanym przez sekretarza stanu. Ale nikt go o nic nie pytał, a wkrótce zdał sobie sprawę, że nawet gdyby wiedzieli, gdzie się podziewał, nic by ich to nie obchodziło. Tylne drzwi, wychodzące na Cornhill, na przemian otwierały się skrzypiąc i zamykały z łoskotem. Danielowi udało się w końcu postać wujowi pytające spojrzenie: Co też, u diabła, dzieje się na tyłach domu? Chwilę później wicehrabia Walbrook wstał, jakby zamierzał udać się tam, gdzie król chadza piechotą, ale wychodząc, poklepał szwagra po ramieniu.

Daniel wstał i poszedł za nim. Weszli w ciemny korytarz, rozjaśniany tylko pełgającą w głębi czerwoną poświatą. Daniel nic nie widział zza rozkołysanej sylwetki gospodarza, słyszał natomiast chrzęst szufli, zagłębiających się w sterty jakiegoś materiału – najwyraźniej węgla, rzucanego do pieca. Czasem jednak ponad ten dźwięk wybijało się metaliczne dźwięczenie spadających na twardą posadzkę monet.

W korytarzu zrobiło się gorąco, ściany były czarne od sadzy i znaleźli się w wyłożonym cegłą pomieszczeniu, w którym robotnik, ubrany tylko w kalesony, ładował węgiel w otwarte drzwiczki kuźni domu Hamów, znacznie powiększonej przy okazji odbudowy po pożarze. Drugi mężczyzna pompował nogami powietrze z miechów, jakby wspinał się po nie mającej końca drabinie. Przed przebudową mała kuźnia nadawała się najwyżej do pieczenia grzanek i w zupełności wystarczała złotnikowi, który wyrabiał kolczyki i łyżeczki do herbaty. Teraz przypominała odlewnię luf armatnich, w której komin stanowi połowę masy całego domu.

Na podłodze stało kilkanaście czarnych kaset pancernych; niektóre były wypełnione srebrnymi monetami, inne puste. Jeden ze starszych rachmistrzów Hama siedział obok nich w kałuży własnego potu i przekładał je na tacę, licząc głośno:

– Dziewięćdziesiąt osiem... dziewięćdziesiąt dziewięć... sto!

Po „stu” podał tacę Charlesowi Hamowi (najmłodszemu z braci Hamów; Thomas był najstarszy), który wysypał monety na szalkę wagi, zważył je przez porównanie z mosiężnym walcem, a potem zgarnął do tygla wielkości sporego wiaderka. Procedurę tę powtarzali tak długo, aż tygiel był prawie pełny. Wtedy otwarto żarzące się czerwono drzwiczki, z których strzeliły błękitne jęzory ognia. Charles Ham założył czarne rękawice, dźwignął z ziemi olbrzymie szczypce, wepchnął je w żar, zacisnął – i cofnął się w głąb piwnicy, wyciągając z paleniska drugi tygiel, promieniujący żółtym światłem. Odwrócił się ostrożnie, ustawił naczynie w odpowiedniej pozycji (Daniel mógłby śledzić ruchy tygla z zamkniętymi oczami, czując bijące od niego ciepło) i przechylił. Strumień blasku trysnął łukiem do glinianej formy. Na podłodze walały się inne formy: zajmowały każdy wolny skrawek powierzchni i stygły, a ich zawartość zmieniała barwę poprzez różne odcienie żółci, pomarańcza, czerwieni i zgaszonego brązu aż po czern. Wszędzie tam jednak, gdzie padało na nią światło, lśniła srebrzyście.

Po opróżnieniu tygla Charles Ham odstawił go na posadzkę obok wagi i umieścił w żarze naczynie wypełnione monetami. Rachmistrz na podłodze cały czas odliczał pieniądze z kasy: jego rytmiczny, piskliwy głos łączył się z *brzdęk, brzdęk, brzdęk* srebrnych krążków.

Daniel podszedł bliżej, nachylił się nad skrzynią, wziął jedną monetę i przekrzywił ją w taki sposób, żeby odbiła poświatę paleniska, niczym miniaturowe zwierciadło w teleskopie Isaaca. Spodziewał się ujrzeć wytartego szylinga z rozmazanym portretem królowej Elżbiety, stare peso albo talara, który wpadł w ręce Hamów przy okazji jakiejś transakcji, a tymczasem zobaczył oblicze Karola II, wyraziste i błyszczące, wybite w czystym jak kryształ srebrnym krążku. Lśniący odbitym żarem szyling obudził w nim wspomnienia pewnej ognistej nocy tysiąc sześćset sześćdziesiątego szóstego roku. Daniel cisnął go z powrotem do kasy i, nie wierząc własnym oczom, wydobyl z niej całą garść monet. Wyglądały identycznie, jakby przed chwilą wyszły spod pomysłowej maszyny *monsieur* Blondeau, a ich ostre jak brzytwy krawędzie zdawały się prawie kaleczyć skórę. W dotyku były ciepłe jak krew...

Nie mógł dłużej wytrzymać tego upału. Wybiegł na ulicę, żeby ochłonać. Wuj wyszedł za nim.

– Są jeszcze ciepłe! – wykrzyknął Daniel.

Wuj Thomas pokiwał głową.

– Prosto z mennicy?

– Owszem.

– Chce mi wuj powiedzieć, że monety bite w mennicy są jeszcze tej samej nocy przetapiane przy Threadneedle Street?!

Właśnie zauważył, że u Apthorpów, dwa domy dalej, z komina również bucha gęsty dym – podobnie zresztą jak z wielu innych warsztatów przy Threadneedle.

– Co się potem dzieje z tym srebrem?

– Tylko członek Towarzystwa Królewskiego mógł zadać takie pytanie – stwierdził Sterling Waterhouse, który również wyszedł z domu.

– Co chcesz przez to powiedzieć, bracie?

Sterling szedł niespiesznie w ich kierunku. Nie zatrzymał się jednak w porę, lecz rozłożył szeroko ramiona, zderzył się z Danielem, objął go i pocałował w policzek. Ani trochę nie zalatywało od niego alkoholem.

– Nikt nie wie, co się z nim dalej dzieje. To nie jest istotne. Liczy się fakt, że srebro gdzieś znika, jest w ciągłym ruchu, krąży jak krew w żyłach Handlu.

– Ale przecież coś musicie z nim robić...

– Oddajemy je pewnym dżentelmenom, którzy dają nam coś w zamian – powiedział wuj Thomas. – Przypomina to handel rybami przy Billingsgate. Myślisz, że handlarki interesują się tym, co się dzieje z ich towarem po sprzedaży?

– Powszechnie wiadomo, że srebro pomalutku przecieka na wschód, do Orientu, gdzie zatrzymuje się w skarbcach Wielkich Mogołów i cesarzy chińskich – wyjaśnił Sterling. – Po drodze setki razy przechodzi z rąk do rąk. Czy taka odpowiedź cię zadowala?

– Ja już nawet nie wierzę w to, co przed chwilą widziałem.

Daniel wrócił do warsztatu. Cienkie skórzane podeszwy jego butów odkształcały się na koślawym bruku, ciemny płaszcz zwisał na nim smętnie, żelazna poręcz wydała mu się nieprzyjemnie zimna w dotyku. Był drobinką materii w kałuży błota i marzył tylko o tym, żeby wrócić do świata ognia, ciepła i barwnych poświat.

Przez jakiś czas stał w kuźni i śledził proces przetopu. Najbardziej podobał mu się ten moment, kiedy ciekły metal gromadził się pod krawędzią przechylanego tygla, a potem nagle zaczynał płynąć, wykreślając w półmroku świetlicy łuk.

– Żywe srebro jest elementarną postacią wszelkiej przetapialnej materii. Wszelka materia bowiem zmienia się po stopieniu w żywe srebro i łączy z nim swobodnie, ponieważ mają wspólną naturę...

– Kto to powiedział? – zainteresował się Sterling. Zerkał podejrzliwie na młodszego brata, który najwyraźniej wykazywał pierwsze oznaki obłędu.

– Jakiś przeklęty alchemik. Dzisiaj wyzbyłem się złudzeń, że kiedykolwiek uda mi się zrozumieć istotę pieniądza.

– Nie jest wcale taka skomplikowana...

– Ale nie jest i prosta. Owszem, pieniądz zachowuje się zgodnie z pewnymi oczywistymi regułami, z logiką, a zatem filozofia naturalna powinna objaśniać jego zachowanie... I wydawało mi się, że skoro wiem i rozumiem więcej od większości członków Towarzystwa, będę w stanie ogarnąć jego naturę. Ale to nieprawda. Nigdy mi się to nie uda. Jeżeli nauka o pieniądzu jest nauką ścisłą, to jest również nauką mroczną, mroczniejszą niż alchemia. Oddzieliła się od filozofii naturalnej całe tysiąclecie temu i od tamtej pory rozwija się zgodnie z własnymi prawami...

– Alchemicy twierdzą, że znajdowane pod ziemią żyły minerałów są gałązkami i pędami olbrzymiego drzewa, które wyrasta ze środka Ziemi, i że metale wzbierają w nich jak żywica... – powiedział Sterling.

Ogień pełgał po jego zadumanej twarzy. Znużony Daniel nie od razu zrozumiał analogię – albo po prostu nie docenił Sterlinga. Miał wrażenie, że brat oczekuje od niego sugestii, gdzie szukać żył złota. Później jednak, kiedy powóz Sterlinga wiozł go w stronę Charing Cross, zrozumiał, że chodziło o coś zupełnie innego: handel i pieniądz przypominały – przynajmniej z punktu widzenia filozofii naturalnej – owo tajemnicze podziemne drzewo; można się było domyślać ich rozwoju, można go było wyczuć, czasem udawało się je wykorzystać do swoich celów, ale nie sposób było ogarnąć je rozumem.

\* \* \*

W gospodzie *Pod królewską głową* nie paliły się światła, ale była jeszcze otwarta. Znalazłszy się w środku, Daniel w paru miejscach – na stołach i ścianach – dostrzegł plamy bladej, zielonkawej poświaty. Usłyszał również dystyngowane szepty, przerywane wybuchami chóralnego śmiechu. Poświata słabła w oczach i wkrótce służące pozapalały latarnie. Oczom Daniela ukazali się Pepys, Wilkins, Comstock, księżę Gunfleet, sir Christopher Wren, sir Winston Churchill oraz – siedzący przy najlepszym stole – hrabia Upnor w stroju, który do złudzenia przypominał trójwymiarowy perski dywan, obsyty futrem i wysadzany grudami barwionego szkła. Które mogły ewentualnie być prawdziwymi klejnotami.

Upnor opowiadał właśnie o fosforze trzem chudym damom o szyjach i policzkach oblepionych kawałkami czarnego materiału:

– Adepci Sztuki wiedzą o tym, że metale powstają, kiedy promienie światła z określonej planety padną na Ziemię i wnikną w jej głąb. Słońce rodzi złoto, Księżyc srebro, Merkury rtęć, Wenus miedź, Mars żelazo, Jowisz cynę, a Saturn ołów. Odkrycie przez pana Roota nowego pierwiastka sugeruje istnienie jeszcze jednej planety, prawdopodobnie zielonej, krążącej za orbitą Saturna.

Daniel przysunął się dyskretnie do stołu, przy którym Churchill i Wren wymieniali się uwagami, z zadumą patrząc w przestrzeń:

– Jest zwrócone na wschód i znajduje się daleko na północy, prawda? Może Jego Wysokość powinien je nazwać Nowym Edynburgiem?

– Dopiero by prezbiterianie mieli uciechę! – prychnął Churchill.

– Nie jest aż tak daleko – wtrącił siedzący przy innym stoliku Pepys. – Boston leży tylko półtora stopnia szerokości geograficznej wyżej.

– Nie popełnimy chyba błędu, sugerując, żeby nazwał je na swoją cześć...

– Charlestown? Odpada. Jest już Charlestown pod Bostonem.

– A od imienia brata? Nie, w Wirginii jest już Jamestown<sup>41</sup>...

– O czym panowie mówicie? – zainteresował się Daniel.

– O Nowym Amsterdamie! – odparł Churchill, podnosząc głos. – Jego Wysokość dostanie go w zamian za Surinam.

– Głośniej, sir Winstonie, są pewnie w Dorset jeszcze jakieś wagabundy, które pana nie słyszały! – ryknął z przekąsem Pepys.

– Jego Wysokość zwrócił się do Towarzystwa Królewskiego z prośbą o wymyślenie nazwy dla Nowego Amsterdamu – wyjaśnił Churchill *sotto voce*.

– Hmm... Można powiedzieć, że jego brat w pewnym sensie zdobył Nowy Amsterdam, prawda? – Daniel znał odpowiedź na to pytanie, ale nie chciał prawić kazań takim ludziom.

---

<sup>41</sup> Charlestown (ang.) - Miasto Karola; Jamestown (ang.) - Miasto Jakuba (przyp. tłum.).

– Tak – przytaknął Pepys, robiąc mądrą minę. – To była część prowadzonej przez Yorka kampanii atlantyckiej. Najpierw odebrał Holendrom kilka portów w Gwinei, zasobnych w złoto i jeszcze zasobniejszych w niewolników, a potem pomknął na skrzydłach pasatów wprost ku następnej zdobyczy: Nowemu Amsterdamowi.

Daniel skłonił mu się lekko i mówił dalej:

– Jeżeli nie można użyć imienia Jamesa, może by tak ukuć nazwę od jego tytułu... Jakkolwiek by na to patrzeć, York leży na północy, na angielskim wschodnim wybrzeżu, a przy tym wcale nie tak znowu daleko...

– Myśleliśmy o tym – przytaknął niewesołym tonem Pepys. – Ale w Wirginii jest już Yorktown.

– To może „Nowy Jork”?

– Niezłe... Ale nawiązanie do Nowego Amsterdamu jest zbyt oczywiste – zauważył Churchill.

– Poza tym nazwa „Nowy Jork” nawiązywałaby do miasta York, a nam chodzi o to, żeby Nowy Amsterdam ochrzcić od księcia Yorku – dodał Pepys.

– Nie chcę się z panami sprzeczać... – zaczął Daniel.

– Dajcież spokój! – Wilkins uderzył otwartą dłonią w stół, rozbryzgując piwo i fosfor na wszystkie strony. – Nie bądźmy tacy pedantyczni, panie Pepys. Wszyscy będą wiedzieli, co to znaczy.

– W każdym razie wszyscy, którzy mają dość oleju w głowie, żeby mieć coś do powiedzenia – zawtórował mu Wren.

– Eee... Rozumiem, że sugeruje pan bardziej subtelne podejście – mruknął sir Winston Churchill.

– Sporządźmy listę. Przecież nic się nie stanie, jeśli spisemy wszystkie pochodne Jamesów i Yorków, jakie przyjdą nam do głowy.

– Tak! Tak! – zacharczał Churchill. A może po prostu odchrząknął... Albo zawołał służącą.

– Jak sobie panowie życzyście – zgodził się Daniel. – Zresztą to nieważne. Rozumiem, że urządzony przez pana Roota pokaz spotkał się z życzliwym przyjęciem...

Z niewiadomych powodów po tych słowach spojrzenia wszystkich zostały skierowane na hrabiego Upnor.

– Wszystko szło doskonale – odparł Pepys, nachylając się do Daniela. – Dopóki pan Root nie postraszył hrabiego, że da mu klapsa. Proszę na niego nie patrzeć. Proszę nie patrzeć! – ostrzegł, nie podnosząc głosu.

Wziął Daniela pod ramię i odciągnął od Upnora. Wybrał o tyle niefortunny moment, że hrabia właśnie mówił coś o Newtonie i Daniel za wszelką cenę chciał podsłuchać jego wypowiedź. Ale Pepysowi udało się przepchnąć go obok Wilkinsa, który właśnie dobrodusznie poklepywał barmankę po pupie.



Karczmarz uderzył w dzwonek i wszyscy zdmuchnęli latarnie. Jedynym źródłem światła był świeżo pobudzony fosfor. Zachwyceni goście zgodnym chórem westchnęli „Ooo...”, a Pepys wyciągnął Daniela na zewnątrz.

– Słyszał pan o tym, że pan Root uzyskuje tę substancję z moczu?

– Podobno. Pan Newton, który lepiej ode mnie zna się na Sztuce, mówił mi, że Enoch Rudy próbował w oparciu o starą recepturę wyekstrahować z uryny rtęć filozoficzną, ale zamiast niej uzyskał *phosphorus*.

– Zgadza się. Przytoczył też barwną opowieść o tym, jak to natrafił na tę recepturę w Babilonii. – Pepys wyrócił oczami. – Dworacy byli zachwyceni. Ale mniejsza z tym. Przygotowując się do dzisiejszego pokazu, zacerpnął mocz z kanału przy Whitehallu, a potem gotował go, bardzo długo, na pokładzie barki pływającej po Tamizie. Oszczędzę panu szczegółów, powiem tylko, że kiedy pokaz się skończył i oklaski umilkły, a dworzanie prześcigali się w pomysłach na porównanie splendoru i blasku królewskiej osoby do światła *phosphorusu*...

– No tak, nie mogło się bez tego obejść...

Wilkins wypadł z impetem przez drzwi gospody, chyba tylko w tym celu, żeby być obecnym przy opowieści Pepysa.

– Hrabia Upnor powiedział coś w tym guście, że nie widzi innego wyjaśnienia fenomenu *phosphorusu* niż fakt, że ciało króla jest przesycone jakimś władczym *humorem*, królewską esencją, którą wydala się w moczu. Gdy reszta dworaków przyklasnęła mu gorąco, nie mogąc się nadziwić jego zmysłowi filozoficznemu, Enoch Rudy odparł: „Prawdę powiedziawszy, mocz pochodzi głównie od żołnierzy Gwardii Konnej. I od ich koni”.

– Na co hrabia zerwał się na równe nogi, gotów sięgnąć po miecz i bronić, rzecz jasna, honoru Jego Wysokości – wtrącił Wilkins.

– A co na to Jego Wysokość?

Wilkins rozłożył ręce jak szalki wagi i zakołysał nimi lekko.

– Pan Pepys przeważył szalę. Przytoczył anegdotę z czasów restauracji, z roku tysiąc sześćset sześćdziesiątego. Płynął wtedy na statku z królem i garstką jego dworzan, w tym także hrabią Upnor, wówczas chłopcem najwyżej dwunastoletnim. Na statku znajdował się również ulubiony pies Jego Wysokości. Pies narobił na pokładzie. Młody hrabia kopnął go i kazał wyrzucić za burtę, ale król go powstrzymał, śmiejąc się i mówiąc: „Widzisz, chłopcze, pod pewnymi względami królowie nie różnią się od zwykłych ludzi”.

– Naprawdę tak powiedział?! – wykrzyknął Daniel i natychmiast poczuł się jak dureń.

– Oczywiście, że nie! – odparł Pepys. – Opowiedziałem anegdotę w taki sposób, ponieważ uznałem, że może być użyteczna...

– I była?

– Król się śmiał – stwierdził stanowczo Pepys.

- A Enoch Root zapytał, czy hrabiemu trzeba było wymierzyć klapsa, by nauczyć go szacunku dla starszych.
- Dla starszych?
- Pies był od niego starszy... Widzę, że pan nie słuchał! – Pepys teatralnie zmarszczył brwi.
- Wydaje mi się, że nie była to najrozsądniejsza uwaga.
- Król odparł: „Ależ skąd, Upnor od małego był porządnym chłopcem”, albo coś w tym rodzaju. W każdym razie obeszło się bez pojedynku.
- Ale wydaje mi się, że Upnor należy do tych ludzi, którzy długo chowają urazę...
- Enoch lepszych od niego wyprawiał do piekła – zapewnił Daniela Wilkins. – Proszę się o niego nie martwić. Powinien pan raczej zająć się tępieniem własnych wad, młodzieńcze, takich jak na przykład niepotrzebny umiar...
- Podatność na troski – zawtórował mu Pepys.
- I całkowity brak skłonności do rozpusty. Wracamy do gospody!

\* \* \*

Obudził się następnego dnia w wynajętym powozie jadącym do Cambridge, stłoczony w ciasnym wnętrzu w towarzystwie Isaaca Newtona i mnóstwa sprzętu, który Isaac nabył w Londynie: sześciotomowego wydania *Theatrum Chemicum*<sup>42</sup>, licznych skrzynek, z których wystawały opatulone słomą szyjki retort, i pojemników z dziwnie pachnącymi substancjami.

– Gdybyś znów zamierzał wymiotować – mówił właśnie Isaac – staraj się celować do tej miski. Zbieram żółć.

Daniel spełnił jego prośbę.

- Uda ci się to, co nie udało się Enochowi Rudemu?
- Słucham?
- Szukasz rtęci filozoficznej, Isaacu?
- A co innego mógłbym robić?
- Towarzystwo Królewskie rozplywa się z zachwyty nad twoim teleskopem. Oldenburg chciałby, żebyś napisał coś więcej na jego temat.
- Mhm... – mruknął zamyślony Isaac, zajęty akurat porównywaniem fragmentów trzech książek jednocześnie. – Możesz potrzymać?

W ten sposób Daniel stał się dla Isaaca żywą podpórką pod książkę. Nawiasem mówiąc, nie był w stanie spełniać bardziej złożonych funkcji. Przez następną godzinę trzymał na kolanach opasłe tomiszczce formatu *folio*, grubości czterech cali, oprawne w złoto i srebro i z pewnością o całe stulecia poprzedzające wynalazek Guttenberga. Miał ochotę wypalić: „Ta

---

<sup>42</sup> Olbrzymie, bombastyczne i kompletnie niespójne kompendium wiedzy alchemicznej.

księga musiała kosztować fortunę!”, ale po bliższych oględzinach znalazł wklejony do środka ekslibris z herbem Upnora i krótką notką od hrabiego:

*Panie Newton,  
Niech ta księga będzie dla pana skarbem równie cennym, jak dla mnie  
wspomnienie naszego szczęśliwego spotkania.*

UPNOR

## **Na *Minerwie*, w Zatoce Cape Cod, Massachusetts**

### **Listopad 1713**

Po wyjściu z Plymouth i wpłynięciu do Zatoki Cape Cod van Hoek wraca do swojej kabiny i znów zostaje kapitanem. Bałagan w kajucie trochę go denerwuje. Być może świadczy to o tym, że Daniel jest starym, zgorzkniałym, ateistycznym świrem, ale ma ochotę roześmiać się w głos. Cała *Minerwa* jest w gruncie rzeczy zbiorem drewnianych drzazg, które z grubsza trzymają się kupy dzięki całej masie gwoździ, kołków, lin i pakuł. W skali świata nie jest nawet drobinką kurzu; bardziej już przypomina jedno z tych niewidocznych gołym okiem jaj, które Hooke odkrywa pod mikroskopem. Nie tonie tylko dzięki temu, że chłopcy okrętowi na okrągło pracują przy pompach, a trzyma się prosto i jest nietknięta wyłącznie dlatego, że niezwykle inteligentni ludzie przepatrują dniem i nocą morze i niebo wokół niej. Liny i żagle niszcżą w oczach, jak śnieg topniejący w słońcu, toteż marynarze muszą bezustannie czyścić, bandażować, dopieszczać, smołować i zaplatać spowijającą *Minerwę* pajęczynę konopnych lin, aby nie rozpadła się nagle (jak to sobie wyobraża Daniel) na środku oceanu. Niczym wąż zmieniający skórę, statek również pozbywa się tego co stare i zniszczone, odnawia się, czerpiąc z wewnętrznych rezerw, i ewoluuje. Jedynym sposobem na podtrzymanie tej wiecznotrwalej i nieuniknionej ewolucji jest systematyczne odnawianie zapasów, które znikają z ładowni równie nieubłaganie, jak nieuchronnie przecieka do niej woda. A w tym celu należy handlować towarami, przewożąc je z portu do portu i zarabiając po odrobinie pieniędzy na każdym odcinku niekończącego się rejsu. Codziennie jest narażona na spotkania z huraganem i piratami. Przypadkowe znalezienie *Minerwy* na morzu jest równie prawdopodobne, jak odkrycie na pustyni piramidy postawionej do góry nogami. Statek jest jak dziecko w kołysce – albo raczej jak książka rzucona w ogień. A mimo to van Hoek ma czelność traktować swoją kabinę jak salon w domu dżentelmena, wyposażając ją w delikatne barometry, zegary, przyrządy optyczne i przyzwoitą bibliotekę, ozdabiając dwoma czy trzema obrazami i emaliowaną gablotką z chińską ceramiką, oraz zaopatrując w godny podziwu zapas brandy i portwajnu. Na Boga, przecież on ma tu nawet lustro na ścianach! Mało tego:

kiedy odkrywa walające się po podłodze drobinki szkła i – tu i ówdzie – maleńkie kratery po pociskach, wpada w szal. Dappa nawet nie musi tłumaczyć Danielowi, że chwilowo powinni dać kapitanowi spokój.

– Kurtyna opadła. Pańska rola dobiegła końca – mówi Dappa, prowadząc Daniela po schodach na pokład działowy. – Człowiek w pana sytuacji ma prawo czuć się jak pąkla: nie może zejść ze statku i działa na nerwy całej załozde. Ale na *Minerwie* znajdzie się zajęcie dla każdego.

Daniel go nie słucha. Od jego ostatniej wizyty na pokładzie działowym dużo się zmieniło. Zawalidrogi, które wcześniej plątały się dosłownie wszędzie, poupychano po kątach lub wyrzucono za burtę: armaty mają tu teraz bezwzględne pierwszeństwo przejazdu. Przedtem były przywiązane od wewnątrz do burt, teraz stoją obrócone o dziewięćdziesiąt stopni i wycelowane każda w swoją ambrazurę. Ponieważ *Minerwa* przemierza wody Zatoki Cape Cod, gdzie całe mile dzieli ją od najbliższego wroga, ambrazury są szczelnie zamknięte. Ale, podobnie jak obsługa przedstawienia teatralnego, która mozoli się za kulisami, tak i marynarze pracują bez wytchnienia, używając mnóstwa tajemnych rekwizytów: lontownic, klinów, wyciorów, grajcarów. Jeden z żeglarzy trzyma w rękach coś, co przypomina olbrzymią lupę, tyle że pozbawioną soczewki: żelazną obręcz z uchwytem. Siedzi okrakiem na skrzyni pełnej armatnich kul i pojedynczo przekłada je przez obręcz, sortując w ten sposób według rozmiaru i rozdzielając do mniejszych skrzyń. Inni przycinają i opiłowują okrągłe bloki drewna, nazywane sabotami, do których mocuje się podkalibrowe pociski. Nikt, kto trzyma w rękach metalowe narzędzie, nie ma prawa zbliżyć się do beczulek z prochem. Stal mogłaby skrzesać iskrę.

Jeden z marynarzy, Irlandczyk, rozmawia z pojmanym tego ranka piratem z Plymouth. Stoją po przeciwnych stronach działa, a kiedy mężczyźni znajdują się naprzeciw siebie, rozdzieleni armatą, muszą rozmawiać właśnie o niej.

– To jest Duża Zuzia, czyli DZ albo bum-bum, jak ją czasem przezywamy w ogniu walki. Możesz też mówić do niej „kochanie” albo „miłości mojego życia”, ale pod żadnym pozorem nie mów „Ślepa Zuzia”, jak czasem ośmielają się o niej mówić tamci... – Tu Irlandczyk złowrogo spogląda na załogę sąsiedniego działa. – Od pana Foote’a. Obrażają ją.

– A nie jest ślepa?

– Jest taka sama jak inne dziewczyny. Musisz ją dobrze poznać, a wtedy to, co z początku brałeś za ciąg przypadków, okaże się godną podziwu regularnością. Powiedziałbym nawet: wiernością. Dlatego pierwsze, co powinienes wiedzieć o naszej kochanej dziewczusce, to że znosi trochę w górę i na lewo od osi. No i jest ciasna, jak dziewica, ta nasza Zuzia. Dlatego musimy mieć oko na podkalibrowe kule i ostrożnie się z nimi obchodzić...

Ktoś z załogi Manilskiej Niespodzianki na chwilę uchyla pokrywę ambrazury. Do środka wpada promyk słońca... Ale przecież Niespodzianka stoi przy bakburcie...

– Płyniemy na południe?! – wykrzykuje Daniel.

– Z północnym wiatrem najlepiej płynie się właśnie na południe – zauważa Dappa.  
– Ale w ten sposób zbliżamy się do Cape Cod! To tylko parę mil! Co to za ucieczka?  
– Jak słusznie pan zauważył, kiedyś będziemy musieli zawrócić pod wiatr, żeby oddalić się od Zatoki Cape Cod – przytakuje Dappa. – A wtedy flota Teachy będzie halsować razem z nami. Kłopot w tym, że jego statki mają w większości ożaglowanie gaflowe, dzięki czemu mogą iść ostrzej na wiatr i płynąć szybciej od naszej kochanej *Minerwy* z rejowymi żaglami. Jeden zero dla Teachy.

– Nie lepiej by było płynąć na północ, póki można?

– Współpracując, okręty flotylli Teachy złapałyby nas błyskawicznie. A my chcemy z nimi walczyć pojedynczo, o ile to będzie możliwe, więc na razie płyniemy na południe. Przy pełnym wietrze jesteśmy od nich szybsi i Teach wie, że gdyby uparł się nas ścigać, ucieklibyśmy. Ale zdaje sobie również sprawę, że niedługo będziemy musieli zawrócić na północ. Dlatego rozciągnie swoją flotyllę w coś na kształt tyraliery.

– A jeśli przewidzi wasze manewry i nie rozproszy okrętów?

– Gdyby dowodził zdyscyplinowaną, żądną zwycięstwa flotą, można by się tego obawiać. Ale to jest chciwa łupów banda piratów. I zgodnie z piracką etykietą lwia część zdobyczy przypadnie w udziale temu, kto pierwszy dopadnie wroga.

– Czyli każdemu kapitanowi z osobna będzie zależało na tym, żeby odłączyć się od reszty i dopaść nas w pojedynkę.

– Nie inaczej, doktorze Waterhouse.

– Ale czy to rozsądne, żeby jakiś mały słup porywał się na statek z takim... wyposażeniem? – Daniel gestem wskazuje pokład działowy, który zmienił się w ożywiony bazar, gdzie kule, saboty i beczułki z prochem przechodzą z rąk do rąk, a marynarze przerzucają się kłamstewkami, obietnicami i złośliwościami.

– Owszem, kiedy ten statek ma niepełną załogę, a kapitan jest stetryczalym panikarzem. A teraz proszę na dół, do ładowni... Proszę się nie obawiać, zaraz zapalę tę latarnię, gdy tylko znajdziemy się z dala od prochowni... O, już. *Minerwa* to bardzo porządny statek, nie uważa pan?

– Że co? Porządny? Jak na statek, to chyba tak... – Zdaniem Waterhouse'a Dappa bywa chwilami zbyt subtelny. Z pewnością szkodzi mu nadmiar żywego srebra w konstytucji.

– Dziękuję panu. Ale ta schludność bywa, niestety, wadą, kiedy chcemy ostrzeliwać się z garłaczy. Jak zapewne się pan orientuje, zaletą garłacza jest fakt, że w charakterze pocisków można wykorzystać walające się w pobliżu gwoździe, kamyki i drzazgi. My zaś na *Minerwie* zmiatamy wszelkie śmieci za burtę, i to kilka razy dziennie. W takich chwilach jak ta szczerze żałujemy, że nie chowaliśmy ich na czarną godzinę.

– Wiem o garłaczach znacznie więcej, niż pan sądzi. Co mam robić?

– Za chwilę jeden z naszych ludzi pokaże panu, jak się uzbraja pociski moździerzowe, ale to jeszcze trochę potrwa. Na razie chciałbym, żeby zszedł pan ze mną na dół...

Doktor Waterhouse nie może uwierzyć w dalsze słowa Dappy, dopóki rzeczywiście nie zejdzie do ładowni. Nie widział jej wcześniej i spodziewa się, że będzie podobna do zagraconych magazynów Towarzystwa Królewskiego. Ale nie. W ładowni panuje niezwykle porządek: olbrzymie beczki i bele materiału są poukładane w sterty i starannie umocowane. Do grodzi przy schodach jest przybity Diagram, na którym zaznaczono położenie wszystkich pojemników, wraz z ich zawartością i datą załadunku. Poniżej, pod nagłówkiem ZEZA, van Hoek własnoręcznie dopisał „stara porcelana; trzymać na podorędziu”.

Dappa oderwał dwóch marynarzy od zajęcia, któremu poświęcili ostatnie pół godziny – czyli od stania przy ambrazurze i prowadzenia uczonej dyskusji o podchodzeniu pirackiego słupa. Oni uważali, że spędzają czas nadzwyczaj pożytecznie, on jednak nie podzielał ich opinii. Teraz oglądają Diagram, a Daniel z umiarkowanym zdumieniem stwierdza, że umieją czytać i znają cyfry. Są zgodni co do tego, że starej porcelany należy szukać bliżej dziobu, i tam też się udają – do najpiękniejszej części statku, gdzie z zakrzywiającej się ku górze stępki wyrastają liczne wręgi, tworząc odwróconą do góry nogami kościelną nawę; można się tam poczuć jak mucha w gotyckiej katedrze. Marynarze odsuwają z drogi kilka skrzyń; cały czas rozmawiają, próbując się nawzajem przelicytować mrozącymi krew w żyłach opowieściami o okrucieństwie sławnych piratów. Otwierają właz, przez który schodzi się do zęzy, i błyskawicznie wyciągają stamtąd dwie skrzynie wyjątkowo paskudnej porcelany. Same skrzynki są eleganckie, wykonane z drobnoziarnistego drewna czerwonego cedru, które wybrano specjalnie do tego celu, wiadomo bowiem, że nie zgnije w zęzie. Porcelanę wrzucono do nich na chybcika, nijak jej nie pakując, więc zadanie Daniela jest już częściowo wykonane. Dziękuje marynarzom, którzy obrzucają go dziwnymi spojrzeniami i wracają na górę. Rozkłada na podłodze stary hamak (czyli dwa metry płótna żaglowego), przewraca pierwszą skrzynię, po czym atakuje jej zawartość ciężkim tłuczkiem.

Jaka jest optymalna wielkość (zastanawia się) porcelanowego pocisku do garłacza? Kiedy podczas Wielkiego Pożaru królewscy gwardziści postrzelili go przed domem ojca, upadł, posiniaczony i pokaleczony, ale żaden pocisk nie wszedł mu w ciało. Może zatem im większe, tym lepsze? A i robota łatwiejsza... Aż chciałoby się zobaczyć turkoczące w powietrzu ostre kawałki kolorowej porcelany, wbijające się w ciała piratów i niczym noże tnące główne tętnice. Ale jeśli będą zbyt duże, nie zmieszczą się do luf. Daniel dochodzi do wniosku, że najlepszy będzie przekrój mniej więcej półcalowy, i miażdży talerze stosownie do tego założenia. Odłamki właściwej wielkości zgarnia do płóciennych woreczków, a te większe przysuwa sobie bliżej i poddaje dalszym torturom. Praca przynosi mu ogromną satysfakcję. Już po chwili łapie się na tym, że śpiewa starą piosenkę – tę samą, którą śpiewali z Oldenburgiem w Szerokiej Wieży. Tłuczkiem wybija takt i przeciąga nuty, od których cała ładownia zdaje się wibrować. Dookoła niego woda przecieka przez szpary poszycia (Daniel znajduje się głęboko pod linią wodną) i wesolutko ścieka do zęzy. Pompy, do których obsługi

potrzeba czterech chłopów, odsysają ją z rytmicznym mlaskaniem i sykiem, przypominającymi kurczenie się i rozkurczanie serca.

## **Kolegium Greshama, Bishopsgate, Londyn**

**1672**

*Dociekliwy jezuita RICCIOLI dołożył ogromnych starań, żeby w swoich siedemdziesięciu siedmiu postulatach obalić hipotezę kopernikańską... Moim zdaniem to jedno odkrycie obali wszystkie jego argumenty, a także dalszych siedemdziesiąt siedem, o ile ktoś zdoła ich tyle wymyślić i przedstawić.*

Robert Hooke

Daniel spędził bez mała dwa miesiące na dachu Kolegium Greshama, pracując przy dziurze – i to bynajmniej nie przy jej zatykaniu, lecz tworzeniu. Hooke nie mógł się tym zająć, ponieważ cierpiał na zawroty głowy. Gdyby dopadły go na wierzchołku kolegium, spadłby na ziemię jak robaczywe jabłko z gałęzi. Byłby to jego ostatni eksperyment badawczy w tajemniczej dziedzinie grawitacji.

Jak na człowieka, który twierdził, że nie znosi oglądać ostrych przedmiotów pod mikroskopem, Hooke zadziwiająco dużo czasu poświęcał wsadzaniu szpil dociekliwym jezuitom. Kiedy Daniel wiercił dziurę w dachu i montował osłaniającą ją przed deszczem klapę, Hooke przebywał bezpiecznie na poziomie gruntu i biegał po krużgankach w tę i z powrotem. Do krocza przypięte miał wąskie, twarde siodełko, z którego sterczał pręt z zamocowanym na końcu kołem, które z kolei za pośrednictwem zębatek łączyło się z tarczą zegarową. Tak wyglądał opracowany przez Hooke'a krokomierz, pozwalający mu zmierzyć długość drogi przebytej w marszu donikąd. Celem ćwiczenia – jak wyjaśnił Hooke Danielowi i zdumionym członkom Towarzystwa Królewskiego – było bowiem nie dotarcie z punktu A do punktu B, lecz wywołanie potów. Poty miały oczyścić jego ciało z substancji powodujących nudności oraz bóle i zawroty głowy. Od czasu do czasu robił sobie przerwę i orzeźwiał się kieliszkiem żywego srebra. Przy jednym końcu krużganków ustawił stół, na którym trzymał rękę i różne modne medykamenty *monsieur* LeFebure'a. Na blacie czekały również przeróżnej wielkości pióra i piórka. Jednych potrzebował do łaskotania się w gardło i wywoływania wymiotów, inne zaś ostrzył, maczał w atramencie i spisywał nimi dane z krokomierza, wylewał kubły pomyj na jezuitów, którzy nie zgadzali się z twierdzeniem, że Ziemia krąży wokół Słońca, kreślił plany Bedlam, pisał diatryby wymierzone przeciw Oldenburgowi, oraz załatwiał bieżące sprawy związane z pełnieniem obowiązków Mierniczego Miejskiego.

Dociekliwy jezuita Riccioli zauważył, że skoro niebo jest usłane gwiazdami, z których jedne znajdują się bliżej, inne zaś dalej od Ziemi, to gdyby Ziemia okrążyła Słońce po elipsie, ich wzajemne położenie powinno zmieniać się w ciągu roku, tak jak zmienia się położenie drzew w lesie w oczach jadącego przez las podróżnego. Nie zaobserwowano jednak takiej paralaksy, co dowodziło (przynajmniej według Ricciolego), że Ziemia tkwi nieruchomo w środku wszechświata. Zdaniem Hooke'a dowodziło to tylko tego, że nie zbudowano dotąd ani dość dobrych teleskopów, ani wystarczająco precyzyjnych przyrządów pomiarowych. Dla uzyskania niezbędnego mu powiększenia, musiał skonstruować teleskop mierzący trzydzieści dwie stopy długości. W celu skorygowania zakrzywienia promieni świetlnych w ziemskiej atmosferze (które było zjawiskiem oczywistym: wystarczyło zauważyć, że słońce tuż po wschodzie i krótko przed zachodem przybiera kształt owalny) teleskop musiał być skierowany pionowo do góry – stąd też żądanie wydrążenia pionowego szybu biegnącego przez całą wysokość kolegium. Zabytkowy dworek Greshama przypominał teraz prastary tynkowany mur, który klejono już i naprawiano tyle razy, że aktualnie składał się właściwie z samych nakładających się łat. Wyglądał jak jedna wielka blizna, co czyniło pracę na dachu niezmiernie interesującą. Daniel poznał (i to nawet lepiej, niżby sobie tego życzył) różne metody budowania domów oraz zabiegi, jakie się stosuje, aby raz postawione budynki za szybko się nie zawaliły.

Hooke chciał spojrzeć prosto do góry, w niebo, i zmierzyć odległość do najbliższych gwiazd. Tymczasem Daniel, który spędzał na dachu całe dni, w wolnych chwilach spoglądał raczej w dół, na Londyn, w którym wprawdzie minęło całe sześć lat od Wielkiego Pożaru, ale odbudowa właściwie dopiero się zaczynała.

Dawniej Kolegium Greshama tonęło w morzu podobnych budynków, od kiedy jednak pożar dotarł niemal pod same jego drzwi frontowe, przypominało samotny dworek górujący nad zrujnowanym lennem. Patrząc z krawędzi dachu na południe, w stronę odległego o pół mili Mostu Londyńskiego, Daniel wszędzie dostrzegał zgliszcza i okopcone mury. Można by sobie wyobrazić, że cały Londyn jest olbrzymią tarczą zegarka Hooke'a, z Kolegium Greshama umieszczonym centralnie, na osi wskazówek, i mostem wskazującym godzinę dwunastą. Wówczas mieszczące się za plecami Daniela Bedlam znajdowałyby się dokładnie na godzinie szóstej. Twierdza Tower – którą wschodni wiatr i nagi stok ocaliły przed ogniem – wskazywałaby mniej więcej dziesiątą. Klin zabudowy miejskiej, ciągnący się od Tower do mostu, stanowił prawdziwy labirynt starych uliczek, z którego tu i ówdzie osmolone iglice kościołów sterczały na podobieństwo palików mierniczych – i to dosłownie. Hooke był z ich powodu niepokieszony. Przedstawił władzom miejskim projekt racjonalnej odbudowy dzielnicy, nie dało się jednak zrealizować go właśnie z powodu takich zawałidróg, które przetrwały pożar. Przeciwnicy Hooke'a dedukowali z rozlokowania czarnych od sadzy iglic przebieg dawnych zaułków i postulowali ich odtworzenie w poprzedniej – krętej i wąskiej – postaci. Pusta przestrzeń między placami budów wytyczała nowe ulice, minimalnie szersze i



niewiele prostsze od poprzednich. W samym środku klina znajdowało się miejsce, skąd pożar rozprzestrzenił się na całe miasto: istic księżycowy krater, który odgradzono, by Hooke i Wren mogli w tym miejscu postawić pomnik.

Na wprost Daniela, w wycinku tarczy zegara obejmującym godziny od dwunastej do pierwszej, mieściła się dawna dzielnica złotników, wyznaczana przez Threadneedle i Cornhill, które zbiegały się przy gmachu Giełdy. Kolegium znajdowało się tak blisko, że Daniel słyszał dobiegający z dziedzińca Giełdy szum niegasnącego ognia handlu, podsycany najnowszymi informacjami z zagranicy. Mógł niemal zajrzeć w okna domu Hamów i zobaczyć Mayflower, która (jak dostojna matrona) układa poduszki na łóżku, albo (jak mała dziewczynka) bawi się w berka z Williamem, jej najmłodszym i ukochanym synem.

Z punktu połączenia Threadneedle i Cornhill wybiegała na zachód ulica Cheapside, którą za namową Hooke'a zamierzano znacznie poszerzyć. Ta propozycja spotkała się z rozpaczliwymi protestami i apokaliptycznymi tyradami przeciwników. Hooke, który nigdy nie przejmował się opinią innych na swój temat, całkowicie je ignorował. Cheapside biegła więc w miarę prosto (w stopniu, w jakim dało się ją w linii prostej wytyczyć) aż do miejsca, gdzie stała dawna – i miała stać przyszła – katedra Świętego Pawła, chwilowo wyglądająca jak kopiec poczerńiałych kamieni, oblany stopionym ołowiem z dachów i obsypany kośćmi ofiar zarazy; Wren nadal pracował nad modelem i planami nowego kościoła. Na ulicach przylegających do katedralnego cmentarza mieściły się liczne zakłady drukarskie, w tym również te, w których drukowano publikacje Towarzystwa Królewskiego, toteż spacer po Cheapside był dla Daniela codziennością. Daniel przynosił stamtąd, na przykład, egzemplarze *Micrographii* Hooke'a, albo szedł przejrzeć próbne wydruki *Pisma Uniwersalnego* Wilkinsa.

Podniósłszy minimalnie wzrok i prześliznąwszy się po strupie katedry (uloowanym w okolicach godziny drugiej), Daniel miał na celowniku stojący za Świętym Pawłem pałac Bridewell, dawniej goszczący królów, obecnie podupadły i dający schronienie dziwkom, aktorkom i dziewczkom wagabundów, które międlily konopie, oddziały z nich pakuły i wykonywały całą masę innych uszlachetniających prac do czasu nawrócenia się na właściwą drogę. W tych właśnie okolicach Fleet River (będąca w gruncie rzeczy rzeką gówna) wpadała do Tamizy – co wyjaśniało, dlaczego rodzina królewska wyprowadziła się z Bridewell i oddała pałac we władanie biedocie. Ogień bez problemu przeskoczył na drugą stronę kanału i swobodnie pochłaniał miasto do czasu, gdy brak paliwa i przeprowadzona przez króla i Lorda Burmistrza bohaterska kampania wyburzania domów odcięły mu drogę. Za każdym razem, kiedy Daniel zapuszczał się spojrzeniem tak daleko, chcąc nie chcąc, musiał prześledzić linię dzielącą spaloną część Londynu od ocalałej, prowadzącą od rzeki, przez Fleet Street do Holborn (godzina trzecia). Za miejscem, w którym przed sześciu laty wysadzono w powietrze jego ojca, znajdował się prostokątny plac, okolony domami i sklepami, ozdobiony ogrodami, fontannami i pomnikami. Podobne place pojawiały się wszędzie w tej okolicy, szczególnie w pobliżu znajdujących się na obrzeżach pól rezydencji przy Picadilly, takich jak Comstock

House. Ale cały ten projekt zabudowy – podobnie jak fortuna, jaką przyniósł Sterlingowi i Raleighowi – nie był dla Daniela niczym nowym i nie przyciągał specjalnie jego uwagi. Znacznie bardziej interesowały go zmiany zachodzące na obrzeżach miasta.

Kiedy odwracał się na północ i spoglądał ponad szczątkami starego rzymskiego muru, rozpościerało się przed nim odległe o niespełna ćwierć mili Bedlam. Ocalało z pożaru, ale merostwo kazało Hooke'owi zburzyć je i postawić na nowo od zera przy okazji odbudowy całego miasta. Najśmieszniejsze było to, że Bedlam i Londyn w pewnym sensie zamieniły się miejscami. Bedlam, wysiedlone i zburzone, gotowe do odbudowy, przypominało spokojny i sielski skalny ogródek, Londyn zaś (nie licząc paru wydzielonych parceli o szczególnym charakterze, takich jak plac pod pomnik i działka katedry) budował się na potęgę. Kamienie, cegły i drewniane belki transportowano ulicami, na których panował taki tłok, że kiedy rano śledziło się gęstniejący tłum, można było odnieść wrażenie, że obserwuje się pracę masarza napełniającego flak kiełbasianym nadzieniem. Żelazne obręcze kół zgrzytały o bruk, robotnicy burzyli wypalone ruiny, kopali nowe piwnice, mieszały zaprawę, zwalali przywiezioną na wozach kostkę i obciosywali cegły i kamienie. Wszystko to tworzyło obłąkańczą kakofonię, jakby jakiś mityczny tytan przegryzał się przez skałę.

No tak, to był naprawdę niezwykły widok. Natomiast za Bedlam, na północ i północny wschód od kolegium, a także dalej na wschodzie, za Tower, rozciągały się poligony artyleryjskie i wojskowe obozy. Ostatnio panowało tam spore ożywienie, spowodowane wojną z Holendrami, nie tą samą jednak, której odgłosów Isaac nasłuchiwał w sadzie jabłkowym w Woolsthorpe przed sześciu laty – tamta bowiem zakończyła się w tysiąc sześćset sześćdziesiątym siódmym roku. Nie, to była zupełnie nowa wojna angielsko-holenderska, trzecia w ostatnich trzydziestu latach. Tylko że tym razem Anglicy wreszcie zrozumieli, o co w tym wszystkim chodzi, i sprzymierzyli się z Francuzami. Jeżeli przymknęło się oko na problem angielskiej racji stanu i kwestię moralnej słuszności takiego sojuszu (którymi zresztą obecny król rzadko zwracał sobie głowę i nie pozwalał, żeby wchodziły mu w paradę), wszystko wskazywało na to, że jest to plan o wiele sensowniejszy niż walka przeciwko Francji. Do kraju napływały rzeki francuskiego złota, za które Ludwik XIV chciał się wkupić w łaski parlamentu i wybudować liczne okręty. Francja miała olbrzymią armię i na lądzie nieszczególnie potrzebowała wsparcia Anglików – dlatego też Ludwik kupił (ogromnie zresztą przepłacając) usługi Królewskiej Marynarki Wojennej, jej armaty i proch.

Tym trudniej było Danielowi zrozumieć, co się właściwie dzieje na północny wschód od Londynu. W ciągu kilku tygodni płaski plac defiladowy pokrył się krostami i zmarszczkami, które powoli rozrosły się w rowy i kopce, a z czasem przybrały kształt (tak jakby Daniel stopniowo wyostrzał obraz w lunecie) schludnych, równych fortyfikacji. Nigdy wcześniej nie widział takich konstrukcji, ponieważ do tej pory nie budowano ich w Anglii, ale znał je z książek i obrazów przedstawiających oblężenia miast, wiedział więc, że ma przed sobą wały,

bastiony, raweliny i słończoła. Jeśli jednak angielskie wojsko przygotowywało się w ten sposób do holenderskiej inwazji, to chyba nie przemyślało sprawy, fortyfikacje bowiem pobudowano zupełnie na uboczu, jak gdyby dla ochrony pastwiska zajmowanego przez stado nieco zagubionych, lecz z pewnością świetnie teraz bronionych krów. Niemniej jednak z magazynów artyleryjskich w Tower wyciągnięto działa, które utrudzone woły – chodzące przepukliny – wywlokły na wały. Morska bryza niosła trzask batów oraz prychnanie i ryki zwierząt ponad Houndsditch i murem miejskim, w górę, na smołowany dach Kolegium Greshama – prosto do uszu Daniela, który stał i patrzył z rozdziawionymi ustami.

Bliżej rzeki, na płaskim terenie w okolicy Tower marynarka wojenna przejmowała pałeczkę z rąk artylerii: nad Tamizą ciągnęły się stocznie pełne jasnego drewna ze Szkocji i Massachusetts; rozproszone deski łączyły się w zakrzywione poszycia kadłubów, a martwe świerki zmartwychwstawały pod postacią masztów. Wiatr unosił ogromne pióropusze czarnego dymu znad comstockowych kuźni, w których przetapiano tony żelaza i zlewano surówkę do podziemnych form na armaty. Na horyzoncie obracały się ramiona wiatraków, napędzających potężne comstockowe maszyny, drażące lufy tych armat.

I w ten sposób wzrok Daniela wracał do Tower, skąd zaczęła się cała wędrówka: tam był ośrodek tajemnicy. To tam francuskie (o czym wiedział już cały Londyn) statki zwoziły złoto, przetapiane później na gwinee, którymi płacono za okręty, działa i usługi Anglii w jej nowej roli morskiego pomocnika Francji.

\* \* \*

Dzwony kościelne były drugą, kiedy Daniel zszedł po umieszczonej w szybie drabinie. Hooke udał się na inspekcję jakiegoś nowego odcinka chodnika, pozostawiając po sobie tylko słaby, metaliczny odór wymiocin. Daniel przeszedł na drugą stronę ulicy, klucząc wśród wszechobecnych ciężkich wozów. Wsiadł do powozu Samuela Pepysa i rozgościł się w środku. Minęło kilka minut, które spędził na przyglądaniu się z okna przechodniom. Sto metrów dalej na południe, gdzie handlowano akcjami Kompanii Wschodnioindyjskiej i notami złotniczymi, panował trudny do opisanego zgiełk, ale tu, w zakątku pod starym murem miejskim, uchowała się niezwykła oaza spokoju. Patrzył na tłum marynarzy, dysydenckich kaznodziejów, cwaniaków uczeplonych Towarzystwa Królewskiego, cudzoziemców i wagabundów, którzy przechodzili obok i mijali się bez żadnego zauważalnego porządku. Ten niepojęty węzeł gordyjski został nagle przecięty sceną pościgu: brudny i bosy chłopak wystrzelił z tłumu jak z procy i w pełnym pędzie wpadł w Broad Street. Za nim biegł szeryf z pałką. Chłopiec dostrzegł zaułek odchodzący w bok między gmachem skarbcza marynarki i holenderskim kościołem, skręcił w niego z poślizgiem i zatrzymał się na ułamek sekundy, ważąc swoje szanse. A potem uwolnił się od ciężącego mu brzemienia, czyli podrzucił białą cegłę wysoko w powietrze. Cegła rozwarstwiła się, a kiedy powiał wiatr, eksplodowała

chmurą trzepoczących prostokątów, wirujących tajemniczo wokół dłuższej osi. Zanim Daniel – czy ktokolwiek inny – przypomniał sobie o właścicielu cegły, chłopak przepadł jak kamień w wodę. Szeryf zwolnił kroku, kołysząc się na boki i rozstawiając szeroko stopy, jakby dosiadał niewidzialnego kuca – albo próbował przydepnąć wszystkie karteluszkę na raz. Równocześnie zgarniał je oburącz i garściami upychał po kieszeniach. Dopadło do niego kilku ludzi ze straży miejskiej. Zamienili parę wydyszanych monosylab, odwrócili się i spojrzeli wilkiem na fasadę holenderskiego kościoła. A potem wzięli się za zbieranie ulotek.

Zapach wody kolońskiej i peruka poprzedzały wsiadającego do karety Samuela Pepysa, za nim zaś truchtał służący z olbrzymim zwojem zrolowanych dokumentów.

– Nieźle to chłopak rozegrał – stwierdził Pepys, gramoląc się do środka i podając Danielowi ulotkę.

– Stara sztuczka.

– Drake wysyłał pana na ulice? – spytał z entuzjazmem Pepys.

– Oczywiście... To była naturalna próba charakteru dla wszystkich młodych Waterhouse'ów.

Ulotka przedstawiała karykaturę króla Ludwika XIV z opuszczonymi do kolan spodniami i wypiętymi włochatymi pośladkami, który wypróżniał się prosto w usta angielskiego żeglarza.

– Pokażmy to Wilkinsowi! Będzie zachwycony!

Pepys zabębnił pięścią w sufit i woźnica popędził konie. Daniel rozluźnił się, żeby nie zbierać siniaków, objijając się nieustannie o ściany i ławki pojazdu.

– Przyniósł go pan? – spytał.

– Nigdy się z nim nie rozstaję. – Pepys wyjął z kieszeni nieregularną grudę wielkości piłki tenisowej. – Podobnie jak pan ze swoimi członkami.

– Żeby przypominał panu o pańskiej śmiertelności?

– Człowiek, któremu operacyjnie usunięto kamień, nie potrzebuje takiego przypomnienia.

– W takim razie po co?

– W ostateczności może pomóc zagać rozmowę. Każdy ma na jego temat coś do powiedzenia: Niemcy, purytanie, Indianie...

Pepys podał przedmiot Danielowi. Był ciężki. Jak kamień.

– Nie do wiary, że miał pan coś takiego w pęcherzu.

– Widzi pan? To zawsze działa!

Była to jednak jedyna odpowiedź, jaką Daniel uzyskał od Pepysa, który zdążył właśnie rozwinąć pierwszy z dokumentów, przegradzając nim wnętrze powozu na pół niczym parawanem. Daniel podejrzewał, że olbrzymie papiery zawierają plany okrętów, ale kiedy skręcili w Cheapside i ruszyli na zachód, słońce zaświeciło prosto w okno i prześwietliło arkusz, na którym widniała wypełniona liczbami tabela. Pepys mruzczał coś do swojego asystenta, który skrętnie notował, Danielowi zaś nie pozostało nic innego jak obracać w

rękach kamień moczowy i gapić się na Londyn, wyglądający z okien karety zupełnie inaczej niż z poziomu gruntu. Kiedy przejeżdżali przez plac przed katedrą Świętego Pawła, zauważył rozrzucone na chodniku wyposażenie i towar jednego z zakładów drukarskich. Kilku szeryfów i jeden z poruczników sir Rogera L'Estrange'a bobrowali w stosach luźnych kartek i oglądali w lusterkach drewniane czcionki.

Tak czy inaczej parę minut później zajechali pod dom Wilkinsa. Pepys zostawił asystenta i papiery w powozie i wbiegł po schodach, ściskając w ręce kamień moczowy, jak święty rycerz dzierżący odłamek Krzyża Świętego.

Pomachał nim Wilkinsowi przed oczami, na co ten parsknął śmiechem – i dobrze się stało, bo poza tym wyglądał makabrycznie. Nawet ciemne spodnie nie były w stanie ukryć faktu, że wydała krew w moczu i że zdarza mu się nie zdążyć do nocnika. Był jednocześnie opuchnięty i pomarszczony (o ile to w ogóle możliwe), a bijąca od niego woń sugerowała, że nerki Wilkinsa nieszczególnie wywiązują się ze swoich obowiązków.

Korzystając z tego, że Pepys ruga biskupa Chester i namawia go do poddania się operacji wycięcia kamienia, Daniel rozejrzał się po pokoju. Z przygnębieniem, choć bez specjalnego zdziwienia odnotował obecność kilkunastu pustych fiolek z apteki *monsieur* LeFebure'a. Powąchał jedną z nich: to był *Elixir Proprietalis LeFebure*, ten sam środek, którym leczył się Hooke, gdy bóle głowy przywodziły go na skraj samobójstwa, owoc badań LeFebure'a nad niezwykłymi właściwościami roślin spokrewnionych z makiem. Medykament ten cieszył się niezwykłą popularnością na królewskim dworze, także wśród osób, które nie skarżyły się ani na bóle głowy, ani pęcherza. Kiedy jednak Daniel zobaczył, jak Wilkins przechodzi atak – kamień w pęcherzu sprowadził go na te kilka minut do poziomu roztrzęsionego, skowyczącego zwierzęcia – doszedł do wniosku, że ten cały LeFebure nie jest chyba jednak takim skończonym łotrem.

Gdy ból minął i Wilkins znów stał się Wilkinsem, Daniel pokazał mu ulotkę i powiedział o nalocie L'Estrange'a na warsztat.

– Ci sami ludzie zachowują się dokładnie tak samo jak dziesięć lat temu – stwierdził Wilkins.

Z tych słów – a dokładniej z określenia „ci sami ludzie” – Daniel wywnioskował, że twórcą karykatur i prawdziwym celem L'Estrange'a musi być Knott Bolstrood.

– I właśnie dlatego nie mogę przerwać pracy – dodał Wilkins. – Nawet po to, żeby dać sobie wyciąć kamień.

\* \* \*

Daniel zawiesił nad szybem wielokrażek, Hooke na jeden dzień odłożył odbudowę Londynu i razem zainstalowali teleskop. Kiedy przyrząd obijał się o ściany, Hooke krzywił

się i krzyczał tak przeraźliwie, jakby precyzyjny instrument był dosłownie przedłużeniem jego oczu.

Tymczasem Daniel nijak nie mógł się skoncentrować na podziwianiu nieba, ponieważ szmer i poszturchiwania ze strony Londynu nie dawały mu spokoju: liściki wsunięte pod drzwiami, zdumione spojrzenia w kawiarniach, dziwne zdarzenia, których był świadkiem na ulicy, przyciągały jego uwagę znacznie bardziej niżby należało. A pod miastem, na stoku z tajemniczymi fortyfikacjami, wyrosły rusztowania, które z wolna pokrywały się długimi ławkami jak dachówką.

Aż w końcu pewnego popołudnia Daniel wraz z całą londyńską elitą (oraz większością kieszonkowców) znaleźli się wśród tych umocnień; jedni pozajmowali miejsca na ławkach, inni przechadzali się po polach. Przyjechał konno książę Monmouth w mundurze Kawalera, tak ozdobnym i bogatym, jakby chciał dać prztyczka w nos kalwińskim kaznodziejom – jeśli bowiem ci w swoich perorach mieli rację, książę powinien paść trupem na miejscu, zabity przez zazdrosnego Boga. John Churchill, prawdopodobnie jedyny Anglik przystojniejszy od Monmoutha, ubrał się z odrobiną mniejszym przepychem. Król Francji, pochłonięty podbijaniem Republiki Holenderskiej, nie mógł wziąć udziału w uroczystości, ale jego rolę grał postawny aktor. Przeparadował przez plac w królewskich gronostajach, zajął miejsce na tronie na sztucznym wzniesieniu i grał króla najlepiej jak umiał: śledził rozwój wydarzeń przez monokl; palcem pokazywał co ciekawsze widoki oblegającym go obsypanym klejnotami damom; berłem dawał znaki żołnierzom, by się zbliżyli; zszedł z podwyższenia i powiedział kilka ciepłych słów do rannych oficerów, których przyniesiono na noszach; a w momentach kryzysowych przybierał pomnikową pozę i gestem uciszał swoje podenerwowane *femmes*. Wynajęto również aktora, który wcielił się w rolę D'Artagnana. Ponieważ wszyscy dobrze wiedzieli, jak skończy, przywitała go burza oklasków; książę Monmouth (prawdziwy) był niepokieszony. Ale mniejsza z tym. Działa rozłokowane na umocnieniach „Maastricht” wystrzeliły malowniczą salwą, a znajdujący się na wałach „Holendrzy” stanęli w bohaterkich pozach, budząc wśród widzów słuszny gniew (jak śmiać się bronić?! Ci Holendrzy są po prostu bezczelni!), który szybko zmienił się w patriotyczny zapał, gdy na dany przez „Ludwika XIV” sygnał Monmouth i Churchill poprowadzili szarżę po stoku słoniczoła. Było trochę szermierki, sztuczna krew lała się strumieniami, aż w końcu zatknięto na umocnieniach flagi francuską i angielską, Monmouth i Churchill podali ręce „D'Artagnanowi” i wymienili z „królem” gesty wyrażające ich wierność i szacunek.

Gruchnęły wiwaty. Daniel nic już nie słyszał, więc tylko obserwował rozgrywającą się przed nim niezwykłą scenę. Młody człowiek w ciemnym stroju, który do tej pory zasłaniał mu widok swoim niby-pielgrzymim kapeluszem, odwrócił się teraz, rozłożył ręce i rozkraczył nogi jak zgnieciona pluskwa, przechylił głowę, aż opadła mu na białą krezę, wystawił język i przewrócił oczami. Przedrzeźniał „holenderskich” obrońców, którzy polegali podczas obrony

słoniczoła. Wyglądał paskudnie, tym bardziej że miał coś nie w porządku z twarzą – jego policzki były jedną wielką tragedią dermatologiczną.

Scena za jego plecami uległa zmianie: martwi obrońcy zmartwychwstawali i chronili się na tyłach szańców, przygotowując się do następnego wyjścia. Człowiek stojący przed Danielem również się otrząsnął i okazało się, że jednak nie jest martwym Holendrem, lecz zwykłym angielskim chłopakiem, tylko trochę skwaszonym. Jego strój nie był wcale przypadkowy, lecz dokładnie taki sam, jak ten noszony przez barkerów. Tak się złożyło, że (jak Daniel się nad tym chwilę zastanowił) do złudzenia przypominał mundury fałszywych Holendrów, rzekomych obrońców Maastricht. Na dobrą sprawę ci cali „Holendrzy” znacznie bardziej przypominali angielskich dysydentów niż prawdziwych mieszkańców Niderlandów, którzy (jeśli wierzyć plotkom) dawno już porzucili stare pielgrzymie togi – wzorowane, nawiasem mówiąc, na modzie hiszpańskiej – i nosili się jak wszyscy cywilizowani ludzie w Europie. Przedstawienie było więc nie tylko odtworzeniem oblężenia Maastricht, lecz także przypowieścią o tym, jak elegancyści hulacy i śmiałkowie pobili nudnych, ponurych kalwinistów na ulicach Londynu!

Olśnienie to służyło na Daniela rozpaczliwie powoli, co chyba ogromnie drażniło młodego barkera o głowie krągłej i łysej jak kula armatnia i potężnej zuchwie rodowitego Bolstrooda.

– To ty, Gomer?! – wykrzyknął Daniel, kiedy zgiełk przycichł i przeszedł w monotonne żądania piwa. Daniel znał syna Knotta Bolstrooda, kiedy ten był małym chłopcem, ale nie widzieli się dobre dziesięć lat.

Gomer Bolstrood nic nie powiedział, tylko spojrzał Danielowi prosto w oczy. Na policzkach, tuż obok nosa, widniały stare rany, zespół zabliznionych okopów i czerwonych bastionów, układających się w toporne litery „W.P.”. Wypalono je rozżarzonym żelazem na dziedzińcu sądu w Old Bailey, zaraz po uznaniu Gomera za Wywrotowego Paszkwilanta.

Mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat, ale opatrzona piętnem głowa o kształcie pocisku bardzo go postarzała. Znaczącym ruchem podbródka wskazał dyskretny zakątek za kulisami.

Gomer Bolstrood, syn królewskiego sekretarza stanu Knotta, syna superbarkera Gregory’ego, zaprowadził Daniela do złożonego z namiotów i wozów obozu wagabundów, pełniącego funkcję zaplecza całej gali. Część namiotów zajmowali aktorzy i aktorki. Przechodząc między nimi, Daniel i Gomer musieli brnąć pod prąd w fali „francuskich metres” wracających właśnie spod tronu „Króla Słońce”. Podobnie jak słońce utrwaliło swoją podobiznę w porażonych oczach Isaaca Newtona, kiedy ten prowadził swoje doświadczenia z barwami, tak teraz na siatkówkach oczu Daniela wypalił się obraz z tuzina albo i więcej rowków między kobiecymi piersiami. Gdzieś nad nimi musiały znajdować się głowy, ale Daniel zauważył tylko jedną: jej właścicielka mówiła z francuskim akcentem, zwracając się do drugiej dziewczyny – z czego wywnioskował (poniewczasie, jak dzieciak), że była

Francuzką. Zanim jednak zdążył odpłynąć w marzenia, Gomer Bolstrood złapał go za ramię i pociągnął do pobliskiego namiotu z piwem.

Piwo było holenderskie. Holendrem był również mężczyzna siedzący przy stole, ale wafel, który zjadał, pochodził bez wątpienia z Belgii.

Daniel usiadł na wskazanym krześle i patrzył, jak dżentelmen z Holandii je wafel. A przynajmniej skierował wzrok w tę stronę – bo przed oczami miał głównie damskie piersi i twarz „Francuzki”. Niestety, obraz ten wkrótce zbladł i ustąpił miejsca wafłowi, który podano mu na talerzu z holenderskiej porcelany, i to wcale nie tej ciężkiej, topornej, używanej przez pielgrzymów, lecz pierwszorzędnej. Eksportowej.

Wyczuł niewypowiedzianą na głos sugestię, że powinien się poczęstować. Odłamał więc rożek wafła, włożył go do ust i zaczął żuć. Smakowało mu. Danielowi wzrok przyzwyczaił się do panującego w namiocie półmroku i zaczynał dostrzegać leżące po kątach stopy ulotek popakowane w stare wydruki. Paszkwile były napisane we wszystkich możliwych językach – poza angielskim. Wydrukowano je w Amsterdamie i przewieziono do Anglii na statku z piwem albo na pokładzie barki z wafłami. Od czasu do czasu poły namiotu rozchylały się, a wtedy Gomer – albo któryś z małomównych, palących fajki Holendrów – podchodził do wejścia, wyglądał na dwór i podawał komuś plik ulotek.

– Co łączy belgijskie waafle i piersi tych koobiet? – zapytał holenderski ambasador, bo to on właśnie we własnej osobie siedział naprzeciwko Daniela. Miał blond włosy i ciało w kształcie piramidy, jakby żywił się wyłącznie piwem i wafłami. Otarł chusteczką masło z kącika ust. – Widziałem, jak pan na nie paatrzył – dodał przepraszająco.

– Nie mam pojęcia... mój panie.

– Przestrzeń ujemna – zaintonował ambasador. Tylko w ustach otyłego Holendra przeciągnięte samogłoski mogły tak potężnie rezonować. – Słyszał pan oo niej? To pojęcie z dziedziny sztuki. My, Holeendrzy, znaamy się na przestrzeni ujemnej, ponieważ ogroomnie lubiimy obraazy.

– Czy ma coś wspólnego z liczbami ujemnymi?

– To przestrzeń rozdzielająca dwa obiekty – odparł Holender. Położył dłonie na piersi i ścisnął mięśnie klatki piersiowej, tworząc żalostną namiastkę rowka. Daniel przyglądał mu się z uprzejmym niedowierzaniem, całą siłą woli powstrzymując dreszcz. Ambasador wybrał tymczasem następny wafel z talerza i podniósł go za rożek, jakby trzymał w palcach śmierzdzącą szmatę. – Podobnie rzecz ma się z tym belgijskim waaflem. Jego kształt i naturę określa nie on saam, lecz gorące żelazne płyty, które ściskają go od doołu i od góóry.

– Już rozumiem! Ma pan na myśli hiszpańskie Niderlandy!

Ambasador wznosił oczy ku niebu i cisnął wafel przez ramię za siebie. Zanim jednak ciastko zdążyło spaść na ziemię, krępy, niepokojąco podobny do małpy pies złapał je w locie i



zaczął się nad nim pastwić. Odgłosy, jakie wydawał, przywodziły na myśl przycupniętego na ziemi, rozmlaskanego homunkulusa.

– Ludwik XIV Buurbon łączywie pochłania wciśnięte między Fraancję i Republikę Holendeerską hiszpańskie Niderlaandy. Ale kiedy *Le Roi du Soleil* dotrze do Maastricht, dootknie... Czeego?

– Politycznego i militarnego odpowiednika rozpalonej żelaznej płyty?

Holenderski ambasador dotknął przestrzeni ujemnej poślinionym palcem wskazującym, cofnął go gwałtownie i zasyczał przez zęby. Może był to z jego strony jakiś holenderski fart, a może perfekcyjne wycucie czasu, ale w tej samej chwili Daniel poczuł, jak nagle zgęstniałe powietrze wyrznęło go w żołądek. Namiot najpierw zapadł się w sobie, a potem wydał na boki. Formy na wafle zaklekotały i zachrzęściły w półmroku jak zęby szkieletów. Małpopies podkulił ogon i wlaź pod stół.

Gomer Bolstrood odgarnął wiszącą w wejściu płachtę i odsłonił widok na szczyt słoniczoła, które zostało rozerwane potężną eksplozją składowanego za nim prochu. Przypominało rozłamany na pół parujący bochenek chleba. Wskrzeszeni Holendrzy tańczyli na jego szczycie, depcząc francuskie i angielskie flagi. Widzowie mieli ochotę rzucić się im do gardeł.

Gomer puścił płachtę, a Daniel wrócił do rozmowy z ambasadorem, który nie odrywał od niego wzroku.

– Może kiedy Fraancja zajmie Maastricht, a nie przyyjdzie jej to łaatwo, stracaci tego swojego bohatera, D'Artagnaana. Tak czy inaczej, to my wygraamy woójnę.

– Miło mi słyszeć, że odniesiecie zwycięstwo w Holandii. Czy rozważacie zmianę strategii stosowanej w Londynie? – Daniel podniósł głos, żeby Gomer także go słyszał.

– Co ma pan na myyśli?

– Słyszał pan, co robi L'Estrange.

– Słyszałem, czego L'Estrange nie robi! – prychnął Holender.

– Wilkins próbuje przerobić Londyn na Amsterdam. I nie mam na myśli mody na drewniaki.

– Rozumiem. Liczne kościoły, brak religii państwowej...

– To dzieło jego życia. W ostatnich latach zarzucił filozofię naturalną i całkowicie poświęcił się tej nowej pasji. Uważa, że to, co robi, leży w dobrze pojętym interesie Anglii, ale zarówno ortodoksyjni anglikanie, jak i dworscy kryptokatolicy są przeciwni wszelkim dysydenckim inicjatywom. Wilkins i tak ma twardy orzech do zgryzienia, a kiedy opinia publiczna skojarzy dysydentów z Holendrami, którzy są naszymi wrogami, będzie zupełnie bez szans.

– Za rok, kiedy podliczy się straty i doceni prawdziwe koszty wojny, jego zadanie będzie znacznie prostsze.

– Za rok Wilkinsa zabije kamień, który nosi w pęcherzu. Chyba że mu się go wytnie.

– Mógłbym polecić chirurga i balwierza w jednej osobie, bardzo zręcznie poczynającego sobie z nożem...

– Wilkins uważa, że nie może tracić kilku miesięcy na rekonwalescencję, kiedy zadanie jest tak pilne, a stawka tak wysoka. W tej chwili jest dosłownie o krok od sukcesu. Gdybyście, panie ambasadorze, choć trochę odpuścili...

– Opuścimy, jeżeli Francuzi odpuszczą. – Holender skinął na Gomera, który ponownie odsłonił wejście. Francuzi i Anglicy pod dowództwem Monmoutha odbili słończoło. „D’Artagnan” leżał ranny w wyrwie w umocnieniach. John Churchill trzymał na kolanach głowę starego muszkietera i poił go z manierki.

Płachta pozostawała odgarnięta dość długo, aż w końcu Daniel zrozumiał, że go odprawiono. Wychodząc, złapał Gomera pod łokieć i pociągnął za sobą.

– Bracie Gomerze, Holendrzy postradali rozum. To rozumiało. Ale nasza sytuacja nie jest aż tak rozpaczliwa.

– Wprost przeciwnie. Grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo, bracie Danielu.

Przeciętny człowiek miałby na myśli fizyczne zagrożenie, ale Daniel spędził dość czasu w środowisku ludzi takich jak Gomer – czyli takich jak on sam – aby wiedzieć, że Bolstrood ma na myśli niebezpieczeństwo natury duchowej.

– Chyba nie dlatego, że zagapiłem się na ładne dziewczyny...

Gomer nie był ubawiony. Na dobrą sprawę Daniel, jeszcze zanim się odezwał, miał świadomość, że tymi słowami utwierdzi Gomera w przekonaniu, że jest człowiekiem jeśli nie już upadłym, to z pewnością szybko upadającym. Spróbował więc z innej beczki:

– Twój ojciec jest przecież sekretarzem stanu!

– Idź, porozmawiaj z nim.

– Chodzi mi o to, że zastosowanie taktyki nikomu by nie zaszkodziło... Nie stanowi zagrożenia, jeśli wolisz. Cromwell wygrywał przecież bitwy właśnie dzięki taktyce, prawda? A to wcale nie znaczy, że był człowiekiem małej wiary. Przeciwnie: nieużywanie mózgu, który dał nam Bóg, i sprowadzanie każdej walki do ślepej szarży jest grzechem. Nie będziesz wystawiał na próbę Pana Boga swego!

– Wilkins ma kamień w pęcherzu. To, czy włożył mu go tam Bóg, czy diabeł, to pytanie dobre dla jezuitów. Ważne, że go ma i że ten kamień go zabije, o ile ktoś z tego waszego Towarzystwa nie wymyśli, jak go rozpuścić, żeby dało się go wysikać. Boisz się o Wilkinsa, więc karmisz się złudnym przekonaniem, że jeśli ja, Gomer Bolstrood, przestanę rozpowszechniać paszkwile w Londynie, uruchomię w ten sposób ciąg wypadków, prowadzących do tego, że Wilkins da sobie wyciąć kamień, przeżyje operację i będzie żył długo i szczęśliwie, jak kochający ojciec, którego nigdy nie miałeś. I ty mi mówisz, że to Holendrzy postradali rozum?

Daniel nie wiedział, co odpowiedzieć. Przemowa Gomera była dla niego jak cios w twarz, brutalny, ognisty i bolesny niczym piętnowanie, które Gomer przeżył za młodu.

– Ponieważ uważasz się za taktyka, zaciekało cię pewnie to kurewskie przedstawienie, rozgrywające się na naszych oczach.

Gomer skinął ręką w stronę słońca. Stojący na szczycie Monmouth ponownie zatknął w gruncie francuską i angielską flagę, co spotkało się z ogłuszającym aplauzem. Publika lubieżnym chórem podjęła *Pikes on the Dikes*, a „D’Artagnan” spokojnie wyzionął ducha. John Churchill zniósł go ze stoku i złożył na noszach, gdzie natychmiast obsypano zmarłego kwiatami.

– Oto męczennik! – ryknął Gomer. – Oddał życie za sprawę! Cała elita będzie go wspominać z wdzięcznością! I to jest dla ciebie taktyka? Przykro mi z powodu choroby Wilkinsa. Z własnej inicjatywy nigdy nie naraziłbym go na niebezpieczeństwo, ponieważ zawsze był naszym przyjacielem, ale nie mam takiej mocy, żeby powstrzymać śmierć, która puka do jego drzwi. A kiedy już go zabierze, uczyni zeń męczennika, może nie tak romantycznego jak D’Artagnan, ale bardziej znaczącego i zmarłego w imię ważniejszej sprawy. A teraz przepraszam cię, bracie Danielu.

Gomer oddalił się, rozrywając opakowanie pliku ulotek.

„D’Artagnana” niesiono właśnie przed trybuną dla mas, w kondukcje złożonym z malowniczo potarganych Kawalerów. Widzowie kupowali kwiaty od roznoszących je dziewcząt i rzucali bukiety i wiązanki swoim bohaterom, żywym i „martwym”. Kiedy na rzekomego muszkietera sypnęło się kwiecie, Daniel dostrzegł opadające dookoła skrawki papieru, które wiatr przyniósł od strony trybun. Złapał jeden z nich w locie i obejrzał obrazek przedstawiający francuskich kawalerzystów gwałcących holenderską mleczarkę. Inna karykatura przedstawiała muszkietera z fulem pod szyją, na tle płonącego protestanckiego kościoła, szykującego się do złapania rzuconego mu dziecka na czubek szpady. Wszędzie wokół Daniela, a także na trybunach, ludzie przekazywali sobie rysunki z rąk do rąk; niektórzy chowali je do rękawów i kieszeni.

Najwyraźniej problem był bardzo skomplikowany – a skomplikował się dodatkowo dziesięć minut później, kiedy podczas bombardowania „Maastricht” eksplodowała jedna z armat. Widzowie podejrzewali, że był to kolejny popis pirotechniczny, dopóki krwawe strzępy ciał artylerzystów nie spadły na nich jak deszcz, mieszając się z powodzią ulotek.

Daniel wrócił do kolegium i całą noc pracował z Hooke. Hooke z dołu obserwował gwiazdy, a Daniel siedział na dachu i podziwiał supernową, która wybuchła w zachodnim Londynie; tłum ludzi z pochodniami kłębił się na St. James’s Fields, strzelając z muszkietów w powietrze. Później dowiedział się, że tłuszcza, ponoć rozwścieczona wypadkiem z rozerwanym działem, zaatakowała Comstock House.

Rankiem w Kolegium Greshama pojawił się John Comstock we własnej osobie. Daniel nie od razu go rozpoznał: wstrząs, gniew i wstyd ogromnie go zmieniły. Zażądał, aby Hooke i pozostali porzucili swoje zajęcia i zbadali szczątki rozsadzonej armaty, przy której, jak się upierał, z pewnością manipulowali „moi wrogowie”.

# Kolegium Niepodzielnej Trójcy Świętej, Cambridge

1672

*Mało jest rzeczy, które nie mogłyby być reprezentowane na podstawie fikcji.*

Hobbes, *Lewiatan*

## ZNOWU W SPODNIACH

### Komedia

#### Dramatis Personae

##### Mężczyźni:

PAN VAN DER PODVODNY, *Holender*, założyciel wielkiego imperium handlowego specjalizującego się w świńskich uszach i oczkach ziemniaków;

NZINGA, Murzyn-kanibal, dawny król Konga, obecnie niewolnik pana van der Podvodnego;

JEHOSHAPHAT KOGUT, hrabia Siarczek, *entuzjasta*;

TOM WŁÓCZYKIJ, zdemobilizowany żołnierz, obecnie *wagabunda*;

WIELEBNY JAHWE FAŁDZIK, dysydencki kapłan;

EUGENIUSZ KOGUT, syn hrabiego Siarczka, kapitan piechoty;

FRANCISZEK PASKUDA, hrabia Grzędzidołu, *dworzanin* i *dandys*;

SZTUCZKA i BEŁCIK, wspólnicy Toma Włóczykija.

##### Kobiety:

PANNA LIDIA VAN DER PODVODNA, córka i jedyna dziedziczka pana van der Podvodnego; niedawno wróciła z *weneckiej* szkoły dla młodych dam;

LADY SIARCZEK, żona Jehoshaphata Koguta;

PANNA OKRAK, *towarzyszka* Toma Włóczykija.

SCENA: Grzędzidoł, wiejska posiadłość w hrabstwie Kent

AKT I. SCENA I

SCENA: Kabina morskiego statku. Słysząc grzmoty, widać błyskawice.

*Wchodzi pan van der Podvodny tu szlafroku, z latarnią w ręce.*

VAN DER PODV.: Bosman!

*Wchodzi Nzinga, cały mokry, z workiem na plecach.*

NZINGA: Słucham, mój panie, co...

VAN DER PODV.: Na Boga! Czyście wpadli do beczki ze smołą, bosmanie?

NZINGA: To ja, panie, wasz niewolnik, Moja Królewska Wysokość, z łaski boga drzew, boga skał, boga rzek i przeróżnych innych bogów, których zapomniałem, król Konga.

VAN DER PODV.: Ach tak, w rzeczy samej. Co masz w worku?

NZINGA: Jaja.

VAN DER PODV.: Jaja! A niech mnie! Tyś już całkiem zapomniał swoich lekcji cywilizacji!

NZINGA: Z lodu.

VAN DER PODV.: No to chwała Bogu.

NZINGA: Zebrałem je z pokładu, na który spadają jak kartacze. Czy za to dziękujesz Bogu, mój panie?

VAN DER PODV.: Tak, to bowiem oznacza, że bosman nie postradał żadnego ze swych członków. Bosman!

*Wchodzi Lidia w szlafroku, z rozwichrzonymi włosami.*

LIDIA: Ojczy drogi, czemuż to tak krzyczysz na bosmana?

VAN DER PODV.: Kochana Lidio, ja bym mu nawet był gotów zapłacić, byle skończył się ten piekielny sztorm.

LIDIA: Ależ ojczy, bosman nie może powstrzymać burzy

VAN DER PODV.: Ale może zna kogoś, kto to potrafi.

NZINGA: Znam boga pogody z Nowej Gwinei, który mógłby się tym zająć... W dodatku za bardzo rozsądną cenę. Przyjmuje zapłatę w rumie.

VAN DER PODV.: W rumie! Masz mnie za durnia? Jeżeli ten bóg pogody tak się zachowuje, kiedy jest trzeźwy...

NZINGA: Od biedy mogą być kauri. Jeżeli będzie pan łaskaw wyprawić Moją Wysokość w drogę najbliższą szalupą płynącą na południe, Moja Wysokość chętnie podejmie się pośrednictwa w transakcji...

VAN DER PODV.: Masz głowę do interesów. Przypomina mi się, jak kiedyś wymieniłem dziury w uszach miliona kanibali na oczka w milionie ziemniaków i po dwakroć wyszedłem na swoje...

*Dalsze grzmoty.*

VAN DER PODV.: Za wolno, za wolno! Bosman!

*Wchodzi hrabia Siarczek.*

HRABIA SIARCZEK: Zaraz, zaraz, o co ten krzyk?

LIDIA: Hrabio Siarczek... Do usług.

VAN DER PODV.: Cena za zakończenie burzy jest zbyt wysoka, a rynek pogańskich bóstw nazbyt odległy...

HRABIA S.: Po co zatem wzywasz bosmana, panie?

VAN DER PODV.: Jak to po co? Chcę mu powiedzieć, żeby nie tracił ducha w obliczu niebezpieczeństwa!

LIDIA: Za późno, ojcze!

VAN DER PODV.: Co masz na myśli, moje dziecko?

LIDIA: Kiedy bosman cię usłyszał, ojcze, postradał resztki ducha i czmychnął w panice!

VAN DER PODV.: Skąd o tym wiesz?

LIDIA: No przecież tak rozhuśtał hamak, że spadłam na pokład!

VAN DER PODV.: Och Lidio, Lidio... Twoja edukacja w Wenecji kosztowała mnie fortunę. Uczylaś się tam, jak być cnotliwą kobietą...

LIDIA: Bardzo się przykładałam do nauki, drogi ojcze, ale to takie trudne!

VAN DER PODV.: Czyżby pieniądze poszły na marne?

LIDIA: Ależ nie, ojcze. Nasz nauczyciel tańca, signore Fellatio, nauczył mnie cudownych pieśni.

*Śpiewa*<sup>43</sup>.

VAN DER PODV.: Dość! Wystarczy mi tego, co usłyszałem. Bosman!

*Wchodzi lady Siarczek.*

---

<sup>43</sup> W tym momencie połowa publiczności, złożonej głównie ze studentów Cambridge, wstała (o ile już nie oglądała przedstawienia na stojąco) i zaczęła klaskać. Naturalnie, młodzieńcy prężyliby się i okazywali swoją aprobatę każdej istocie ludzkiej na terenie kolegium, w której udałoby im się rozpoznać kobietę, ale to był przypadek szczególny, rolę Lidii bowiem grała Eleanor (Nell) Gwyn, królewska kochanka.

LADY SIARCZEK: Mój panie, czy wiesz już, kto czyni ten okrutny hałas?

HRABIA S.: To ten *Holender*, pani.

LADY S.: To tyle, jeśli chodzi o próżne *dochodzenia*. Ale co *przedsięwzięłaś* w tej sprawie, mój panie?

HRABIA S.: Nic, pani. Podobno tych wrzaskliwych Holendrów nie sposób uciszyć inaczej niż przez utopienie.

LADY S.: Utopienie? Też coś! Nie myślisz chyba, panie, o tym, aby wyrzucić go za burtę...?

HRABIA S.: Wszyscy na pokładzie, co do jednego, wprost marzą o tym, pani. Ale w wypadku Holendra nie ma takiej potrzeby, bo oni wszyscy i tak mieszkają już poniżej poziomu morza. Wystarczyłoby tylko przywrócić morze na miejsce, w którym pierwotnie ulokował je nasz Pan...

LADY S.: A jak zamierzasz to osiągnąć, mój panie?

HRABIA S.: Od jakiegoś czasu prowadzę eksperymenty z nowym silnikiem, który napędzałby wiatraki w przeciwnym kierunku i pompował wodę w dół, nie zaś do góry...

LADY S.: Eksperymenty! Silniki! A ja wam mówię, że najlepiej utopić Holendrów we francuskim prochu i angielskiej odwadze!

Cokolwiek odparł aktor grający hrabiego Siarczka, jego słowa utonęły w tłumie, jak splunięcie w nurcie Amazonki. Sceną tych wydarzeń był bowiem Dziedziniec Neville'a<sup>44</sup> w pewien wiosenny wieczór, a prezentacja prawdziwych osób dramatu wymagałaby całych jardów papieru i morza atramentu. Scenariusz stanowił niepublikowany dotąd majstersztyk w dziedzinie intryg dworskich i kolegialnych, zawierający setki lepszych i gorszych kwestii, wygłaszanych po kilka naraz, najczęściej *sotto voce*, i tworzących kontrapunkty zbyt złożone, by młody Daniel Waterhouse potrafił je ogarnąć. Najpierw zastanawiał się, po co tacy ludzie w ogóle chodzą do teatru, skoro przeciętny dzień w Whitehallu dostarcza lepszej rozrywki – potem jednak doszedł do wniosku, że historie opowiadane w teatrach pociągają ich, ponieważ są proste i po godzinie albo dwóch mają wyraźne zakończenie.

Tego wieczoru główną rolę grał król Anglii Karol II, usadowiony na piętrze mizernej biblioteki Kolegium Trójcy Świętej, gdzie kilka sąsiadujących okien – po otwarciu – pełniło funkcję łóż w operze. Królowa niejaka Katarzyna Bragancka, portugalska księżniczka słynąca ze swego jałowego łona, siedziała obok króla i jak zwykle udawała, że świetnie zna angielski. Gość honorowy, książę Monmouth (syna Karola II i jego kochanki Lucy Walter), zajmował miejsce z drugiej strony tronu. Z dalszych okien wyzierały inne elementy składowe królewskiego dworu. Była wśród nich Louise de Kéroualle, księżna Portsmouth, królewska metresa. Była także Barbara Villiers, znana również jako lady Castlemaine i księżna Cleveland, dawna kochanka Johna Churchilla, obecnie królewska metresa.

---

<sup>44</sup> Trawiasty prostokąt otoczony zabudowaniami Kolegium Trójcy Świętej.

Obok trzech centralnie położonych okien znajdowało się jedno w całości wypełnione Anglesejami: siedział przy nim Thomas More Anglesey i jego dwaj synowie, podobni do siebie jak dwie krople wody: mniej więcej dwudziestosiedmioletni Philip i o trzy lata młodszy – a wyglądający jeszcze młodziej – Louis. Protokół nakazywał, by hrabia Upnor, odwiedzając swoją *alma mater*, włożył szaty akademika. Mimo że zmobilizował szwadron francuskich krawców, którym kazał je upiększyć, toga pozostała togą, a biret, spoczywający na czubku jego peruki – biretem.

Dla zrównoważenia okna Angleseyów po przeciwnej stronie znajdowało się okno Comstocków, a dokładniej tak zwanej „srebrnej” gałęzi tego rodu. John z synami, Richardem i Charlesem, siedzieli najbliżej, również w togach i biretach, choć w przeciwieństwie do hrabiego Upnor ten ubiór najwyraźniej im nie przeszkadzał – przynajmniej do chwili rozpoczęcia przedstawienia, kiedy to Jehoshaphat Kogut, hrabia Siarczek, pojawił się na scenie ubrany identycznie jak oni.

Królewscy Komedianci, występujący na prowizorycznej scenie wybudowanej na Dziedzińcu Neville’a, postanowili kontynuować występ, chociaż nikt nie był w stanie usłyszeć ani słowa z wypowiedzianych przez nich kwestii. „Hrabia Siarczek” najwyraźniej obsztorcowywał żonę, prawdopodobnie za wzmiankę o prochu „francuskim” zamiast „angielskim”, która gdzieś daleko, na innej planecie, mogłaby zostać uznana za niewinną figurę retoryczną, tu jednak wyglądała jak przytyk pod adresem Johna Comstocka. Tymczasem większa część publiczności (ci z widzów, którzy mieli szczęście, siedzieli na krzesłach i ławkach skupionych w narożniku dziedzińca, bezpośrednio pod królewskimi oknami) próbowała zaśpiewać pierwszą zwrotkę *Pikes on the Dikes*, najpopularniejszej angielskiej piosenki, a właściwie nieskomplikowanej przyśpiewki o tym, dlaczego najazd na Holandię to doskonały pomysł. Król uciszył śpiewaków gestem. Nie dlatego bynajmniej, że brakło mu ducha walki – po prostu na scenie Lidia van der Podvodna wygłaszała właśnie kwestię, która zapowiadała się całkiem zabawnie. Poza tym król nie lubił, kiedy szum intryg zagłuszał słowa jego kochanek.

Komedianci padli jak rażeni gromem, choć raczej na sposób aktorski i mocno udawany – zwłaszcza Nell Gwyn, osuwając się na ławkę w malowniczej pozie, z wyciągniętą ręką i odsłaniając jard kwadratowy idealnie białych pach i piersi. Widzów zamurowało. Pojawił się wreszcie wyczekiwany od dawna bosman, oznajmiając, że statek wpadł na mieliznę nieopodal zamku Grzęzidół. „Hrabia Siarczek” kazał Nzindze przynieść skrzynię, która pojawiła się na scenie z szybkością, jaka jest możliwa tylko w teatrze. Hrabia zaczął w niej grzebać, wyrzucając szarobure, niemodne ubrania i różne niezwykle przedmioty, w rodzaju retort, tygli, ludzkich czaszek i mikroskopów. Lidia tymczasem zbierała z podłogi fragmenty jego garderoby (między innymi farmerskie spodnie i robocze buty), trzymając je w wyprostowanej ręce i krzywiąc się z obrzydzeniem. Wreszcie hrabia Siarczek wstał, wziął pod pachę baryłkę z prochem i wcisnął sobie na głowę wystrzępiony, zmaltretowany biret.



HRABIA S.: Trzeba nam prochu, by ruszyć statek z mielizny!

Zapanowało ogólne poruszenie. Widzowie siedzący na krzesłach popatrywali po sobie niepewnie, ci stojący na trawie przestępowali dodatkowo z nogi na nogę, nie bardzo wiedząc, z kogo kpią aktorzy w tej scenie. Chwasty biretów furkotały na wietrze, gdy akademicy przepytывali się nawzajem, kręcili głowami albo pochylali je w modlitwie za dusze Królewskich Komediantów, autora sztuki, oraz króla, który uparł się, że nie zniesie noclegu w Cambridge bez odrobiny stosownej rozrywki.

W tymczasowych łóżach teatralnych reakcje były zgoła odmienne. Księżna Portsmouth śmiała się do rozpuku. Jej pierś unosiła się i opadała gwałtownie jak trzepoczący na wietrze żagiel rozprzowy, głowę miała odchyłoną daleko w tył, odsłaniając całą zdobioną klejnotami szyję. Niektórzy uczeni mężowie, zajmujący miejsca na poziomie dziedzińca, pospadali na ten widok z krzeseł. Księżnej asystowało dwóch młodych chwatów w olbrzymich, kręconych i ozdobionych wstążeczkami perukach, którzy – oddawszy jej swoje koronkowe chusteczki – ocierali łzy radości palcami w rękawiczkach z koźlęcej skóry.

Tymczasem na twarzy Johna Comstocka, magnata prochowego, który przez długi czas torpedował starania księżnej Portsmouth zmierzające do wprowadzenia francuskiej mody na angielski dwór, błąkał się niewyraźny, jakby roztargniony półuśmieszek. Król, do tej pory zwykle stający po stronie Comstocka, uśmiechał się od ucha do ucha, Angleseyowie zaś bawili się setnie.

Daniel, szturchnięty łokciem w nerki, przestał wreszcie śledzić zmagania księżnej z opinającym ją gorsetem i przeniósł wzrok na siedzącego obok i wyglądającego o wiele zwyczajniej Oldenburga. Masywnego Niemca zwolniono z Tower równie nagle i niespodziewanie, jak wcześniej go tam osadzono. Patrzył właśnie w przeciwległy kąt dziedzińca, potem zaś odwrócił się do Daniela i zmarszczył brwi.

– Gdzież on jest?! Albo gdzie jest przynajmniej ten dokument?!

Miał na myśli – odpowiednio – Isaaca Newtona i jego pracę o stycznych. Następnie obrócił się w przeciwną stronę i zerknął spod biretu w stronę łoży Angleseyów: Louis Anglesey, hrabia Upnor, jakimś cudem zdołał opanować wesołość i posłał Oldenburgowi znaczące spojrzenie.

Daniel ucieszył się, że ma pretekst, aby wyjść z przedstawienia. Od początku sztuki próbował zawiesić niewiarę w nierealność całej sytuacji, ale za diabła mu to nie wychodziło. Wstał, zgarnął togę i bokiem przesliznął się wzdłuż rzędu krzeseł, depcząc po licznych stopach należących do Towarzystwa Królewskiego. Sir Winston Churchill: „Gratuluje występu pańskiego syna pod Maastricht”. Christopher Wren: „Budujmy wreszcie tę katedrę, nie ma na co czekać!”. Sir Robert Moray: „A może umówimy się na obiad i porozmawiamy o węgorzach?”. Hooke, chwala Bogu, miał wystarczająco dużo tupetu, by nie pojawić się na

przedstawieniu – całkowicie pochłaniała go odbudowa Londynu – Daniel nie musiał się więc martwić, że jemu też na coś nadejście. W końcu znalazł się na odsłoniętym skrawku trawnika. Przydałby mu się teraz John Wilkins, ale biskup Chester leżał w swoim łóżku w Londynie i zmagał się z kamieniem.

Obszedł scenę od tyłu i znalazł się wśród wozów, którymi przywieziono z Londynu teatralne cuda. Doczepiono do nich markizy, a między nimi rozbito namioty; linki przecinały się w ciemności, grube jak takielunek żaglowca i umocowane do rozszczepionych kołków, powbijanych w nieskazitelny – przynajmniej do czasu przybycia teatru – trawnik. Różne elementy damskiej odzieży spodniej (z pewnością były to jakieś elementy odzieży, a Daniel nigdy przedtem podobnych nie widział – *q.e.d.*) zwisały ze sznurów i potrafiły go śmiertelnie przestraszyć, czepiając się namolnie jego twarzy. Musiał wytyczyć sobie krętą trajektorię, a następnie powoli ją przemierzać, aby nie zaplątać się w pajęczynę. Dlatego też zupełnie, ale to zupełnie przypadkowo natknął się na dwie aktorki, zajęte tym, czym zajmują się kobiety, kiedy wymieniają znaczące spojrzenia i we dwie wymkną się z towarzystwa. Usłyszał sam koniec ich rozmowy:

– A co mam zrobić z tą starą? – spytała młoda dama o cudownym głosie. Akcent zdradzał, że pochodzi z tej części Anglii, gdzie owiec jest więcej niż ludzi.

– Rzuć w tłum – zasugerowała druga dziewczyna, Irlandka. – Zrobisz zamieszanie.

Odpowiedział jej donośny, chrapliwy śmiech. Najwyraźniej nikt nie uczył aktorek dyskretnie chichotać.

– Nie wiedzieliby nawet, co to jest – zauważyła ta o pięknym głosie. – Jesteśmy tu pierwszymi kobietami.

– To zostaw, niech tu leży. Też się nie zorientują – podsunęła Irlandka.

Jej towarzyszka porzuciła wiejski akcent i zaczęła mówić jak akademik-arystokrata z Cambridge:

– A cóż to leży na środku mojego trawnika? Zda mi się, że to... przynęta na lisa!

Tym razem wybuch śmiechu został przerwany męskim głosem, dobiegającym z wozu za kulisami:

– Tess! Zachowaj swoje żarty dla króla! Wchodźcie!

Kobiety podkasały sukienki i zniknęły. Daniel odprowadził je wzrokiem, gdy przemykały między namiotami, i rozpoznał w Tess aktorkę z *Oblężenia Maastricht*. Wtedy wziął ją za Francuzkę, ponieważ usłyszał, że mówi z francuskim akcentem. Teraz rozumiał już, że w rzeczywistości jest Angielką, która potrafi naśladować różne akcenty. Nie powinien się chyba dziwić, skoro była zawodową aktorką, ale dla niego było to coś nowego i Tess od razu wydała mu się interesująca.

Wyszedł zza namiotu, zza którego (można to śmiało stwierdzić) podglądał kobiety i – kierowany czysto filozoficzną ciekawością – skierował się ku miejscu, w którym Tess o pięknym głosie i wielu akcentach przed chwilą (co też można śmiało stwierdzić) przykucnęła.

Proch zapalony w rynnie nad sceną imitował kolejne błyskawice. Jego żółtawy blask oświetlił przez ułamek sekundy trawę pod stopami Daniela. Na trawie, wiosennej i zielonej niemal jak fosfor, leżała zmięta szmatka, parująca ciepłem ciała Tess i czerwona od krwi.

\* \* \*

*(...) ogniem drzewnym  
Może alchemik empiryczny zmienić  
Lub utrzymuje, że się zmienić dają,  
Rudy metali w przenajczystsze złoto,  
Jakby z kopalni.*

*Milton, Raj utracony*

To był długi dzień dla króla. Chociaż może i nie? Może to tylko Daniel w swojej naiwności tak sądził, dla króla zaś był to dzień jakich wiele, a zmęczyli się tylko studenci i wykładowcy, próbujący udawać, że mogą dotrzymać kroku monarsze? Królewski orszak pojawił się na horyzoncie późnym popołudniem. Przypominał trochę (przynajmniej tak się Danielowi wydawało) francuskie siły inwazyjne, które Ludwik XIV posłał niedawno przeciwko Republice Holenderskiej: dudnił, grzmiał, wzniecał tuman kurzu, pochłaniał owies i produkował hałdy nawozu jak prawdziwy regiment wojskowy. Jadące w nim wozy były jednak poślacane, żołnierze mieli ozdobne włoskie rapiery, marszałkowie polowi nosili spódnice i dowodzili – albo pomiatali – mężczyznami. W każdym razie skutek najazdu na Cambridge dalece przewyższył efekty, jakie dotychczas udało się uzyskać królowi Ludwikowi w Holandii. Miasto zmieniło się nie do poznania: zewsząd wyzierały głębokie dekolty, gołe tyłki dworzan migają za oknami, piękne zapachy mokradeł i łąk ustąpiły miejsca woni perfum, i to nie tylko paryskich, lecz także arabskich i radzastańskich. Król wysiadł z karety i przeszedł ulicami miasta, przyjmując hołdy i wiwaty od zebranych przed kolegiami akademików, odzianych i uszeregowanych zgodnie z rangą i stopniem, jak żołnierze na przeglądzie wojsk. Ustupający kanclerz przywitał go oficjalnie i wręczył mu w darze ogromną Biblię; ponoć z odległości pół mili było widać, jak Karol II krzywi się i wywraca oczami. Później król (w towarzystwie wiernej sfory skretyniałych piesków salonowych) spożył obiad w jadalni Kolegium Niepodzielnej Trójcy Świętej, pod olbrzymim portretem założyciela kolegium, Henryka VIII, pióra Hansa Holbeina. Daniel i Isaac jako wykładowcy kolegium przyzwyczaili się, że zajmują miejsca przy głównym stole, teraz jednak w mieście wprost roiło się od ważnych osób, toteż znaleźli się z dala od swoich zwykłych miejsc, w połowie długości sali odziany w czerwień Isaac rozmawiał właśnie z Boyle'em i Lockiem, Daniel zaś został wciśnięty w kąt w towarzystwie kilku pastorów, którzy – wbrew pewnym biblijnym zaleceniom – bynajmniej nie darzyli się miłością. Starając

się nie słuchać ich monotonnych sporów, usiłował wychwycić skrawki rozmów toczących się przy głównym stole. Król miał dużo do powiedzenia na temat Henryka VIII, przy czym głównie z niego kpił.

Zaczęło się od stosunku Starego Henia do poligamii, który, zdaniem króla, był tak prostacki, że aż zabawny. Wszystko to, naturalnie, Karol II podlewał obficie swoim królewskim dowcipem, nie powiedział nic wprost, ale wyglądało na to, że ma ochotę zapytać: „No i dlaczego ludzie nazywają mnie libertynem? Ja przynajmniej nikogo nie ścinam”. Gdyby Daniel (albo inny akademik, który znalazłby się na jego miejscu) miał ochotę szybko rozstać się z życiem, mógł w tym momencie wstać i zawołać:

– Ale Henrykowi udało się w końcu spłodzić prawowitego potomka!

Nic takiego się jednak nie wydarzyło.

Kilka kielichów później Karol zaczął snuć rozważania i czynić aluzje (nie zawsze subtelne) na temat urody, wspaniałości i zamożności Kolegium Trójcy Świętej. Zauważył, jakie to niezwykle, że podobne rezultaty udało się osiągnąć Henrykowi VIII przez zwykłe przeciwstawienie się papieżowi i złupienie paru klasztorów. Może w takim razie, zasugerował, skarby purytanów, kwakrów, barkerów i prezbiterian pewnego dnia przyczynią się do zbudowania jeszcze wspanialszego kolegium! Oczywiście powiedział to w żartach i zaraz dodał, że ma na myśli wyłącznie dobrowolne datki, ale i tak rozsierdził znajdujących się w jadalni dysydentów, chociaż (jak to później uświadomił sobie Daniel) nie bardziej, niż byli rozsierdzeni przed usłyszeniem jego słów. Przy okazji po mistrzowsku przypiął łatkę katolikom, a wszystko po to, by podnieść na duchu i uspokoić towarzyszących mu anglikanów w rodzaju Johna Comstocka. Król musiał stale uciekać się do podobnych sztuczek, ponieważ wielu podwładnych uważało, że jest zbyt miękki w stosunku do katolików, a niektórzy wręcz podejrzewali go o kryptokatolicyzm.

Innymi słowy, na oczach Daniela rozgrywały się najprawdopodobniej codzienne dworskie zabiegi polityczne, pozbawione zapewne większego znaczenia. Odkąd jednak John Wilkins przestał normalnie oddawać mocz, zadaniem Daniela była pilna obserwacja i relacjonowanie mu wszystkich wydarzeń, których był świadkiem.

Następnie towarzystwo przeniosło się do kaplicy, gdzie księżę Monmouth – który poza tym, że był bękartem i uczonym, zasłynął ostatnio jako bohater wojenny – został mianowany nowym kanclerzem uniwersytetu. A potem wreszcie przyszedł czas na komedię na Dziedzińcu Neville’a.

\* \* \*

Daniel zatrzymał się pod gotyckim łukiem i spojrzął w dół schodów prowadzących na główny dziedziniec Kolegium Trójcy Świętej, mniej więcej cztery razy większy od Dziedzińca Neville’a. W dziwny sposób przypominał mu dziedziniec londyńskiej Giełdy, z tą

różnicą, że tamten ożywał za dnia – mienił się wtedy złotymi konikami polnymi rodu Greshamów, a wszędzie tłoczyli się wrzeszczący maklerzy – ten zaś, aż do przesady gotycki w swoim charakterze i zalany delikatną, błękitną poświatą księżyca w kwadrze, był rzadko zaludniony ludźmi w togach i/lub obszernych perukach, przemykających po ścieżkach oraz tworzących małe grupki przy drzwiach. Poza tym maklerów łączyły wspólne sprawy – kupno akcji statków i udziałów w spółkach, handel jamajskim cukrem lub hiszpańskim srebrem – natomiast akademicy zawiązywali dyskretne spiski i wymieniali się okruchami dworskich informacji. Wizyta na dziedzińcu uniwersytetu była jak wyprawa na targ w Stourbridge: pozwalała załatwić różne sprawy, z których większość w pewnym sensie trąciła okultyzmem.

Daniel nic nie ryzykował, idąc przez dziedziniec prosto do bramy. Był akademikiem, miał więc prawo chodzić po tutejszych trawnikach, czego nie dałoby się powiedzieć o większości spacerowiczów. Nie przejmowali się wprawdzie pedantycznymi przepisami, obowiązującymi na terenie uniwersytetu, ale i tak woleli trzymać się w cieniu, obdarzeni naturalnym dla dworzan umiłowaniem ciemnych dziur i zakamarków. Szedł środkiem dziedzińca, przez odkrytą przestrzeń, aby nikt nie posądził go o próbę podsłuchiwania. Linia łącząca schody – którymi zszedł na dziedziniec – z bramą przecinała stojący na trawniku pawilon – osmiokątną budowlę, wzniesioną na podwyższeniu, na które prowadziło kilka stopni, z umieszczoną pośrodku fontanną w kształcie pucharu. Skośnie padające światło księżyca prześlizgiwało się między kolumnkami i nadawało pawilonowi makabryczny wygląd: kamień był biały jak ciało trupa oznaczone strużkami krwi tryskającej z przebitych żył. Danielowi przyszło do głowy, że to jakieś papistowskie zwidy. Już miał podnieść dłonie do światła i poszukać na nich stygmatów, gdy zaleciała go znajoma woń i przypomniał sobie, że z fontanny odciągnięto wodę i – na cześć króla i nowego kanclerza – napełniono ją winem. Decyzja wydawała się mocno kontrowersyjna, ale o gustach się nie dyskutuje...

– Afrykanie nie mogą się rozmnażać – zabrzmiał (zdumiewająco blisko) znajomy głos.

– Jak to? Rozmnażają się normalnie, jak my wszyscy – odpowiedział mu drugi głos, również znajomy. – Może nawet lepiej!

– Ale potrzebują do tego czarnych kobiet.

– Co pan powie...

– Proszę nie zapominać, że plantatorzy są krótkowzroczni. Chcieliby za wszelką cenę uciec z Jamajki; codziennie rano budzą się z lękiem, że ich samych albo ich dzieci dopadnie tropikalna gorączka. Import murzyńskich kobiet byłby niemal równie kosztowny jak import mężczyzn, ale kobiety nie wyprodukują tyle cukru. Zwłaszcza jeśli będą zajęte rozmnażaniem się.

Daniel rozpoznał pierwszy głos jako należący do sir Richarda Apthorpa, drugiego „A” w Kabale.

– To znaczy, że w ogóle nie kupują kobiet?

– W ogóle, mój panie. A świeżo sprowadzony mężczyzna jest zdolny do pracy najwyżej przez kilka lat.

– To wyjaśnia większość lamentacji, jakie ostatnio dobiegają z Giełdy.

Dwaj mężczyźni siedzieli na stopniach pawilonu, zwrócieni twarzą do bramy; Daniel usłyszał ich, zanim zdążył zobaczyć. Już chciał skrócić i ich wyminąć, kiedy rozmówca sir Richarda Apthorpa wstał, odwrócił się, zanurzył w fontannie kielich – i dostrzegł stojącego bez ruchu Daniela. Teraz wreszcie Daniel go rozpoznał: na ciemnym dziedzińcu Trójcy Świętej, z krwią na rękach, wyglądał nad wyraz znajomo.

– No proszę! – wykrzyknął Jeffreys. – Czyżby nam tu wyrósł jakiś nowy posąg? Purytański święty? Ależ nie, poruszył się! I z pomnika cnoty zrobił się Daniel Waterhouse, jak zwykle czujny i bystry obserwator, który tym razem nas obrał sobie za przedmiot swoich badań empirycznych. Proszę się nie obawiać, sir Richardzie, pan Waterhouse wszystko widzi, ale nic nie robi. To wręcz wzorowy członek Towarzystwa Królewskiego.

– Dobry wieczór, panie Waterhouse – powiedział Apthorp. Samym tonem głosu dał do zrozumienia, że uważa Jeffreysa za pretensjonalnego nudziarza.

– Dobry wieczór, panie Jeffreys. Dobry wieczór, sir Richardzie. Boże, chroń króla.

– Za króla! – powtórzył Jeffreys. Podniósł ociekający kielich i upił łyk wina. – Proszę odpowiedzieć jak pilny uczeń, panie Waterhouse: Dlaczego znajomi sir Richarda z Giełdy robią taki rwetes?

– Admirał de Ruyter popłynął do Gwinei i zajął wszystkie należące do księcia Yorku porty niewolnicze – odparł Daniel.

Jeffreys przysłonił dłonią usta i zniżył głos do scenicznego szeptu:

– Które kilka lat wcześniej książe Yorku zabrał Holendrom. Ale któż by w Afryce dzielił włos na czworo...

– Dopóki będąca własnością księcia kompania kontrolowała gwinejskie porty, na Jamajkę trafiało mnóstwo niewolników. Produkowali cukier, na którym wyrastały fortuny. Fortuny te zresztą mogłyby trwać i rosnąć, dopóki wystarczyłoby niewolników. Teraz jednak Holendrzy odcięli dostęp do ich źródła. Giełdowi klienci sir Richarda dobrze wiedzą, co to oznacza, stąd też pewne zamieszanie na rynku towarowym.

Niczym szukająca świadków niewinna ofiara napaści, Jeffreys odwrócił się do Apthorpa, który tylko uniósł brwi i pokiwał głową. Owszem, Jeffreys od paru ładnych lat pracował w Londynie jako prawnik, ale Daniel podejrzewał, że wydarzenia, o których przed chwilą mówił, prawnicy traktują jako niewyjaśnione osobliwości, doprowadzające ich klientów do bankructwa.

– Pewne zamieszanie... – powtórzył Jeffreys. – Cóż za oszczędny język, nieprawdaż? Proszę sobie wyobrazić jamajską rodzinę plantatorów, która widzi, jak siła robocza kurczy się w oczach, a wraz z nią maleją zbiory. Plantator usiłuje nie zbankrutować, nie poddać się febrze i nie dopuścić do buntu niewolników, stale przepatruje horyzont w poszukiwaniu żagli

i modli się o statki, które przyniosłyby mu wybawienie. A pan Waterhouse nazywa to „pewnym zamieszaniem”?

Daniel miał ochotę powiedzieć: „Proszę sobie wyobrazić prawnika, który widzi, jak jego sakiewka chudnie w oczach, kiedy przepija zarobione pieniądze, i przepatruje Strand w poszukiwaniu klienta, który spłaciłby jego długi...”.

Ale Jeffreys miał rapier i był pijany. Daniel ograniczył się więc do słów:

– Jeżeli ten plantator naprawdę się modli, najlepiej w kościele, nie musi już szukać zbawienia. Dobranoc panom.

Skierował się ku bramie, obchodząc fontannę szerokim łukiem, żeby nie kusić Jeffreysa. Sir Richard uprzejmie mu gratulował, Jeffreys zaś mamrotał coś złowrogo pod nosem i dopiero po chwili podniósł głos:

– Jesteś tym samym człowiekiem, którym byłeś dziesięć lat temu, Danielu Waterhouse. A raczej: którym nie byłeś! Wtedy strach rządził tylko tobą, a teraz chciałbyś, żeby zawładnął całą Anglią. Bogu niech będą dzięki, że jesteś uwięziony w tych murach i nie możesz zarazić Londynu swoim tchórzostwem.

Mówił jeszcze dalej w podobnym tonie, aż Daniel zniknął w sklepionym tunelu głównej bramy: masywnej budowli, ozdobionej stojącymi w narożnikach wieżyczkami z blankami – właściwie małej fortecy, świetnie nadającej się do tego, żeby schronić się w niej przed atakiem Jeffreysa. Między bramą i ścianą kaplicy ciągnęła się długa na rzut kamieniem luka w fortyfikacjach Kolegium Świętej Trójcy, załatana budynkiem mieszkalnym, przed którym z przodu, od strony miasta, rozciągał się mały, obwiedziony murem ogród. Na przestrzeni dziejów apartamenty te dawały schronienie licznym wykładowcom, ostatnio zaś mieszkali w nich tylko Isaac Newton i Daniel Waterhouse. Nawet kiedy ci dwaj kawalerowie przenieśli tam swoje meble, w budynku pozostało mnóstwo wolnego miejsca, co pozwoliło przekształcić go w czołowe laboratorium alchemiczne na świecie. Daniel wiedział o tym najlepiej, ponieważ osobiście pomógł je budować – a właściwie nie tyle pomógł, co pomagał, bowiem prace konstrukcyjne trwały bezustannie.

Wchodząc do domu, otulił się ciałniej togą, żeby nie zapaliła się od rozgrzanej kopuły pieca płomiennego. We wnętrzu pieca ogień buchał z dołu pod samo sklepienie, a następnie odbijał się i uderzał z pełną mocą w dół, gdzie spoczywał podgrzewany obiekt. Następnie Daniel podciągnął togę, żeby nie ubrudzić jej rąbka o hałdę węgla po prawej stronie (dobrze wiedział, gdzie leży węgiel, mimo że w pokoju było ciemno choć oko wykol) oraz o stertę końskiego nawozu po lewej (palony nawóz wydzieliał łagodne, jakby wilgotne ciepło). Przeszedł wąską dróżką między stosami skrzynek mieszczących jajowate butle żywego srebra, skręcił i znalazł się w sąsiednim pomieszczeniu.

Ta komnata przypominała miniaturowe miasto, wybudowane przez egzotycznych kamieniarzy i właśnie trawione przez pożar: każdy „budynek” miał inny, niezwykle kształt, który pozwalał mu w określony sposób zasysać powietrze, kierować płomieniami i

odprowadzać gazy spalinowe, i każdy płonął od środka. Niektóre dymiły, z innych buchała para, nad większością unosiły się podejrzanie cuchnące opary. Zamiast opisywać złożoną woń powstałą z ich połączenia, łatwiej byłoby wypisać te nieliczne zapachy, których nie dałoby się w niej wyróżnić. Bryłki złota leżały na stołach jak grudy masła w cukierni. Wśród szanujących się alchemików modne było okazywanie pogardy wobec szlachetnego kruszcu, które pozwalało odeprzeć naturalny zarzut, że kieruje nimi pogoń za pieniądzem. Nie wszystkie badania wymagały pieców, znalazło się więc również miejsce dla obitych miedzianą blachą stołów, na których lampy oliwne żółtym płomieniem lizały zaokrąglone denka kolb i retort.

Usmolone twarze zwróciły się ku Danielowi, cekiny potu skapnęły z krzaczystych brwi. Od razu rozpoznał Roberta Boyle'a i Johna Locke'a, członków Towarzystwa Królewskiego, ale oprócz nich dostrzegł również paru ludzi, którzy mieli zwyczaj przychodzić zakapturzeni pod furtkę ogrodową, i to o najdziwniejszych porach, jakby naprawdę musieli ukrywać swoją tożsamość, kiedy sam król praktykował Sztukę w Whitehallu. Widząc w blasku ognia ich poirytowane twarze, żałował, że zdjęli kaptury. Nie byli bowiem – niestety! – babilońskimi magami, jezuickimi rycerzami ani czarownikami z druidycznych lasów, lecz tworzyli jedyną w swoim rodzaju zbieraninę aptekarzy z małych miasteczek, znudzonych arystokratów i podstarzałych ekscentryków o obliczach albo zbyt ożywionych, albo za bardzo pozbawionych wyrazu. Jeden z nich wyróżniał się młodym wiekiem – Daniel rozpoznał w nim Rogera Comstocka, potomka tak zwanych Złotych Comstocków, który studiował w Cambridge razem z nim, Isaakiem, Upnorem, Monmouthem i Jeffreysem. Isaac zagonił go teraz do obsługi miecha. Było widać, że ta praca kosztuje Rogera sporo wysiłku, ale nie zamierzał się skarżyć. Daniel dostrzegł również drobnego, szczupłego mężczyznę o siwych włosach i twarzy sępa: to był *monsieur* LeFebure, królewski aptekarz, który wprowadził w tajniki Sztuki Johna Comstocka, Thomasa More Angleseya i wielu innych arystokratów, nie wyłączając samego króla, kiedy ci – za czasów Cromwella – przebywali na wygnaniu w St. Germain.

Wszyscy oni jednak byli zaledwie satelitami, albo nawet (jak księżycy Jowisza) satelitami satelitów. Człowiek, który był Słońcem, stał przy stole pośrodku pokoju i spokojnie notował coś w dużej, pożółkłej, poplamionej księdze. Miał na sobie długi kitel, zaplamiony i poprzepalany w wielu miejscach, spod którego wyzierał rąbek czerwonej togi. Na głowę włożył coś w rodzaju skórzanego worka ze wstawioną z przodu szybką, przez którą mógł oglądać świat. Z miejsca, gdzie stał Daniel, w szkiełku było widać odbicie otwartych drzwi pieca, toteż zamiast pary wytrzeszczonych oczu ujrzał świetliste jęzory ognia. Do worka była doprowadzona rurka do oddychania, sporządzona z pustych w środku segmentów trzciny, połączonych i uszczelnionych jelitami jakiegoś małego zwierzęcia; Isaac przerzucił ją sobie przez ramię, tak że zwisała mu z pleców i biegła po podłodze w stronę Rogera Comstocka, który za pomocą miecha pompował do niej powietrze. Wyglądało na to, że na ten wieczór zaplanowano jakiś eksperyment z żywym srebrem. Isaac zauważył, że wprowadzona do



organizmu rtęć ma działanie podobne jak kawa lub tytoń, tylko silniejsze, dlatego kiedy czuł, że grożą mu drgawki, korzystał z aparatu oddechowego. Na jednym ze stołów studziły się chyba wyniki któregoś z doświadczeń – zawieszony w mroku tygiel emanował, jak Mars, ponurą poświatą. Daniel uznał, że to doskonały moment na wejście. Stał na środku pokoju i pomachał w powietrzu krwawą szmatą.

– Oto krew miesięczna ludzkiej samicy – obwieścił. – Świeża, sprzed paru minut!

Zabrzmiało to może nieco melodramatycznie, ale ci ludzie uwielbiali takie sceny. Po co by się w przeciwnym razie przebierali w płaszcze czarodziejów, a posiadaną wiedzę ukrywali w tajemnych symbolach? Niektórzy na pewno byli pod wrażeniem. Newton odwrócił się i posłał mordercze spojrzenie Comstockowi, a ten pospiesznie nacisnął miech. Worek na głowie Isaaca wydał się i zaświszczał, sam Isaac zaś jeszcze przez chwilę piorunował zebranych wzrokiem. Jeden z widzów usłużnie podsunął Danielowi sporą zlewkę, do której ten wrzucił przyniesioną szmatkę. *Monsieur* LeFebure wystąpił naprzód i zaczął spokojnie wygłaszać swoje spostrzeżenia w języku składającym się w równych częściach z łaciny i francuszczyzny. Boyle i Locke słuchali go z uprzejmym zainteresowaniem, a pomniejsi alchemicy utworzyli wokół nich krąg, marszcząc czoła z wysiłku, jakiego wymagało zrozumienie słów królewskiego aptekarza.

Daniel oderwał od nich wzrok i zobaczył, jak Isaac ściąga z głowy mokry skórzany kaptur, zgarnia siwe włosy w kok i przytrzymuje go na czubku głowy, żeby schłodzić kark. Spojrzał na Daniela z obojętną miną. Zdawał sobie sprawę, że demonstracja zakrwawionej szmaty to taktyka obliczona na dywersję, ale nie robiło to na nim wrażenia.

– Zdasz jeszcze na drugi akt – odezwał się Daniel. – Trzymamy dla ciebie miejsce. Chociaż niewiele brakowało, żebyśmy się o nie pobili z tymi podstępными londyńczykami.

– A zatem twoim zdaniem Bóg umieścił mnie na ziemi i w swojej mądrości obdarzył licznymi talentami tylko po to, żebym przerywał pracę i tracił czas na oglądanie grzesznych, ateistycznych sztuk?

– Nie, Isaacu, oczywiście, że nie. Nie powinienes mi imputować takich pomysłów, nawet w rozmowie w cztery oczy.

Przeszli do następnego pokoju, który w bardziej dostojnym domu nazwano by zapewne salonem, tu jednak mieścił się w nim warsztat. Podłoga była śliska od trocin i wiórów z tokarki, chrzęściła od pozostałości nieudanych prób dmuchania szkła, a pod nogami wały się narzędzia które posłużyły Isaacowi i Danielowi do zbudowania warsztatu. Isaac milczał, wpatrywał się tylko w Daniela, cierpliwie, lecz wyczekująco.

– Od czasu do czasu, mniej więcej raz dziennie, udaje mi się namówić cię, żebyś coś zjadł – odezwał się Daniel. – Czy to znaczy, że według mnie znalazłeś się tu po to, żeby napychać sobie żołądek? Naturalnie, że nie. Ale jeśli chcesz wykonywać pracę, do której, jak obaj sądzimy, natchnął cię Bóg, musisz jeść.

– Czy naprawdę wydaje ci się, że obejrzenie *Znowu w spodniach* można porównać z jedzeniem?

– Do pracy potrzebujesz wielu zasobów. Pożywienie jest tylko jednym z nich. Stypendium, warsztat, narzędzia, wyposażenie... Skąd je bierzesz?

– Sam zobacz!

Isaac dumnym gestem ogarnął swoje imperium pieców i przyrządów. Przy okazji mankiet jego togi wysunął się spod kitla. Widząc to, Isaac złapał rękaw kitla drugą ręką i podciągnął go, odsłaniając czerwoną szatę lucasowskiego profesora matematyki. Ten sam gest w wykonaniu innego człowieka wydałby się teatralny i niezdanie pompatyczny, u Isaaca był jednak najkrótszą i najprostszą odpowiedzią na zadane przez Daniela pytanie.

– Posada akademicka, mieszkanie, laboratorium, profesura lucasowska... Pięknie. Masz wszystko, czego potrzebujesz. Przynajmniej na razie. Ale skąd się to wszystko wzięło, Isaacu?

– Opatrzność.

– Boża opatrzność, jak rozumiem. Ale...

– Chcesz przeniknąć wolę Boga i jego plan dla świata? Miło mi to słyszeć, bo sam niczego innego nie pragnę. Ale na razie mi w tym przeszkadzasz. Proponuję wrócić do laboratorium i wspólnie poszukać odpowiedzi na twoje pytanie.

– Gdybyś chociaż na kilka godzin oderwał się od tych swoich tygli, mógłbyś głębiej zrozumieć i lepiej docenić dary, jakimi Opatrzność raczyła cię obdarzyć.

Zbudowanie tego zdania wymagało od Daniela wyćmionej koncentracji. Z tym większą satysfakcją zauważył, że Isaac troszkę się w nim pogubił.

– Jeżeli przeczyłem jakieś informacje, oświeć mnie, proszę.

– Przypomnij sobie konkurs na stanowisko profesora przed paru laty. Siedziałeś zagrzebany po uszy w pracy, którą przeznaczył ci Bóg, zamiast robić to, czego oczekiwano po tobie w kolegium. Miałaś małe szanse na wygraną, nie sądzisz?

– Zawsze wierzyłem w...

– W Boga, wiem. To zrozumiałe. Ale nie mów mi, że się nie martwiłeś perspektywą wyrzucenia z uniwersytetu i spędzenia reszty swoich dni w roli farmera w Woolsthorpe. Kandydatów nie brakowało; stanęli przeciwko tobie ludzie, którzy potrafili zabiegać o łaski person na odpowiednich stanowiskach i umieli na pamięć cały ten średniowieczny bełkot, jakiego od nas wymagano. Czy pamiętasz, Isaacu, co się z nimi stało?

– Jeden zwariował. Drugi spił się do nieprzytomności, zasnął w polu, nabawił się gorączki i zmarł – recytował Isaac tonem znudzonego uczniaka. – Trzeci spadł po pijaku ze schodów i wskutek odniesionych obrażeń wycofał się z konkursu. Czwarty...

W tym miejscu się zawahał, co rzadko mu się zdarzało. Daniel skorzystał z okazji, podszedł bliżej i zrobił minę zaintrygowanego niewiniątka. Isaac spuścił wzrok.

– Czwarty też spadł po pijanemu ze schodów i się wycofał! Jeżeli zmierzasz do tego, że był to zbieg okoliczności wysoce nieprawdopodobny i niezwykle dla mnie korzystny, powiedziałem ci już, co o tym myślę: Opatrzność.

– W jaki sposób przejawiała się Opatrzność w tym wypadku? Czy mówimy o jakimś tajemniczym oddziaływaniu na odległość? Czy może o zwykłej ziemskiej mechanice rządzącej zderzeniami ciał?

– Zgubiłem się...

– Czy sądzisz, że Bóg wysunął z nieba rękę i zepchnął tamtych dwóch ze schodów? Czy raczej umieścił na ziemi człowieka, który zaaranżował te wypadki?

– Danielu, to niemożliwe, żebyś...

– Żebym ich zepchnął? – Daniel parsknął śmiechem. – Nie, to nie ja, ale wydaje mi się, że wiem, kto to zrobił. To, że możesz swobodnie pracować, Isaacu, zawdzięczasz pewnym siłom... Co wcale nie oznacza, że właśnie w ich funkcjonowaniu nie przejawia się Opatrzność. Pewne jest jednak, że czasem musisz zrobić sobie przerwę w pracy i spędzić parę godzin w towarzystwie tych sił, aby podtrzymać dobre stosunki.

Podczas tego krótkiego kazania Isaac przechadzał się nerwowo po pokoju i z powątpiewaniem kręcił głową. Kilka razy otwierał usta, żeby wyrazić sprzeciw, ale prawie dokładnie w tej samej chwili, w której Daniel zakończył swoją przemowę, coś zwróciło jego uwagę. Daniel pomyślał, że chodzi o któryś z wielu papierów i notesów, zaścielających jeden ze stołów. Cokolwiek to było, Isaac zamyślił się, a jego twarz straciła rozgorączkowany wyraz, jakby przygasł tłący się w nim żar. Zaczął zdejmować kitel.

– Dobrze – powiedział. – Powiedz pozostałym.

Pozostali zdążyli tymczasem wycisnąć szmatę do szklanej retorty i oddawali się próbom wydestylowania z krwi ducha rodnego, który – ich zdaniem – musiał przecież zamieszkiwać kobiece łono. Roger Comstock i reszta drobnicy byli niepokieszeni wiadomością o wyjściu profesora Newtona, ale Locke, Boyle i LeFebure przyjęli ją bez mrugnienia okiem. Newton błyskawicznie doprowadził się do ładu; to dlatego akademicy uwielbiają togi, a dandysi serdecznie ich nienawidzą. Grupa pięciu członków Towarzystwa Królewskiego – Boyle, Locke, LeFebure, Waterhouse i Newton – wyszła na główny dziedziniec Kolegium Trójcy Świętej. Czterej z nich byli ubrani w czarne togi i birety, Newton zaś, który prowadził pochód, ostrą czerwienią odcinał się od zielonego trawnika. Wyglądał jak kardynał w asyście stadka wron.

– Nie znam tej sztuki – przyznał Locke. – Widziałem natomiast jedną czy dwie, których scenariusz i postaci zostały do niej przeniesione w drodze...

Newton:

– Plagiatu.

Boyle:

– Inspiracji.

LeFebure:

– Zapożyczenia.

Locke:

– Adaptacji. Powiem zatem panom, że w czasie sztormu statek rozbił się na skałach nieopodal zamku, który jest własnością dandysowatego dworaka, noszącego nazwisko w rodzaju Percival Nerka, albo Reginald Burczyrękaw, albo...

– Francis Paskuda – podpowiedział Daniel. – Tak stoi w programie.

Isaac obejrzał się przez ramię i zmiażdżył go wzrokiem.

– Tym lepiej – ciągnął tymczasem Locke. – Dandys, rzecz jasna, woli mieszkać w Londynie i rzadko bywa u siebie na wsi. Dlatego też w zamku pomieszkują nielegalnie wagabunda nazwiskiem Roger Kosa, Judd Skoczek...

– Tom Włóczykij.

– ...Z kochanką, Madeline Wisienką czy...

– W tym wypadku chodzi o pannę Okrak.

– Widząc wyczołgujących się na ląd rozbitków, para wagabundów przebiera się w stroje z garderoby dandysa. Udają Franciszka Paskudę i jego aktualną metresę, ku wielkiemu zdumieniu purytańskiego kaznodziei, który teraz pojawia się na scenie...

– To wielebny Jahwe Fałdzik – wtrącił Daniel.

– Resztę zobaczymy sami.

– Dlaczego ten starszy jest cały osmolony? – zdziwił się Boyle, widząc aktora na scenie.

– Gra murzyńskiego niewolnika – wyjaśnił Daniel.

– Skoro już przy tym jesteśmy... – przypomniał sobie Locke. – Muszę wysłać list do mojego maklera. Obawiam się, że najwyższy czas sprzedać udziały w Kompanii Gwinejskiej...

– Ależ nie! – zaprotestował Boyle. – Nie. On naprawdę jest osmolony! Przypalony! Nawet włosy mu dymią!

– W wersjach, które znam, nie ma takiego wątku – przyznał Locke.

– Eee... We wcześniejszej scenie widziałem zapowiedź przezabawnego nieporozumienia z beczką prochu w roli głównej – zasugerował Daniel.

– To znaczy... Czyżby ta komedia powstała niedawno?

– Na fali... pewnych... wydarzeń?

– Pewności mieć nie można – odparł Daniel.

Ta wymiana zdań zakończyła się znaczącym pochrząkiwaniem i skubaniem bród (tylko Newton nie zrobił ani jednego, ani drugiego). Członkowie Towarzystwa zgodnie podnieśli wzrok na hrabiego Epsom.

LIDIA: Czy my idziemy, czy płyniemy?

VAN DER PODV.: Piękne błočko... piękny wicher... Wystarczyłoby tu postawić tamę, tam wiatrak i mógłbym przyłączyć okolicę do mojej posiadłości we Flandrii.

LIDIA: Przecież do ciebie nie należy, ojczy.

VAN DER PODV.: To się da załatwić. Jak się nazywa to miejsce?

LIDIA: Nasz śliczny bosman mówił, że znajdujemy się na wysokości Grzędzidołu.

VAN DER PODV.: Nie myśl o nim, Lidio. W tym zamku z pewnością znajdziemy porządnych ludzi. Ha! Już jakichś widzę! Hej, tam!

TOM WŁÓCZYKIJ: Widzi pani, panno Okrak? Już wzięli nas za dworzan. Kilka kradzionych fatałaszków wystarczy za tytuł i rodowód.

PANNA OKRAK: Zgoda, Tomie, ale na razie dzieli nas odległość strzału z łuku. Co będzie, jak podejda bliżej?

TOM (*patrząc przez lunetę*): Co będzie? Widzę kandydatkę...

OKRAK: To dziewczyna z dobrego domu, mój przewrotny Tomie... Pozna, żeś wagabunda, gdy usłyszy twój głos...

TOM: Umiem mówić gładko jak lord.

OKRAK: ...I przekona się, jakie masz maniere.

TOM: Nie słyszałaś, że brak dobrych manier jest teraz w modzie?

OKRAK: Nie kpj sobie ze mnie!

TOM: Prawdę mówię! Ci piękni paniczykowie obrażają się nawzajem od rana do wieczora! To się nazywa dowcip. A potem dźgają się mieczami i nazywają to honorem.

OKRAK: Skoro nie brak nam dowcipu i honoru, skarb z wraku już jest nasz.

VAN DER PODV.: Halo, dobry człowieku! Proszę nam rzucić linę! Toniemy w pańskim ogródku!

TOM: To dopiero musi być horrendalny idiota. Żeby pomylić tę błotnistą plażę z ogrodem...

OKRAK: Może nie horrendalny, tylko holenderski.

TOM: Myślisz, że to Holender?! To może powinienem pobrać od niego myto za wejście po linie...

OKRAK: Co sobie wtedy pomyśli jego córka?

TOM: Słusznie, słusznie...

*Rzuca linę.*

HRABIA SIARCZEK: A cóż to za Francuz na murach? Czyżby Francuzi podbili Anglię? Niech nas ręka boska broni!

LADY S.: To nie żaden Francuz, mój panie, lecz porządny angielski dżentelmen, który nosi się zgodnie z najnowszą modą. To z pewnością hrabia Grzędzidół, a ta dama to jego nowa kurtyzana.

HRABIA S.: Nie do wiary! *(Do panny Okrak)* Witaj, pani. Słyszałem, że jesteś, pani, kartezyjanką. Oto stoi przed tobą drugi kartezyjanin.

OKRAK: O co mu chodzi?

TOM: Nie przejmuj się. Pamiętasz, co ci mówiłem?

HRABIA S.: *Cogito, ergo sum!*

OKRAK: Sum? Jaki sum? Owszem, przypomina pan suma, i to zdechłego, kiedy pan tak kłapie jadaczką. Myślałam, że to od morza tak zalatuje, ale to panu z gęby. *(Do Toma)* O to chodzi?

TOM: Doskonale, mój kwiatuszku.

LADY S.: Co za bezczelna dziwka!

HRABIA S.: Nie bądź wulgarna, kochanie. To tylko znaczy, że traktuje nas jak równych sobie.

*Z drugiej strony sceny wchodzi wielebny Jahwe Fałdzik z BIBLIĄ i SZUFLĄ w rękach.*

FAŁDZIK: Oto dowód, że niezbadane są wyroki Pana. Przybyłem tu, spodziewając się znaleźć wrak statku i ciała topielców wymagające pochówku, którą to usługę zawsze chętnie świadczę, za drobną opłatą, oferując zniżki dla grup. Tymczasem zastaję piękną dworską scenę. Park St. James nawet w majowe poranki nie jest taki pogodny.

TOM: Mieli na pokładzie holenderskiego bławatnika i angielskiego hrabiego, więc wrak z pewnością obfituje w skarby. Gdyby udało ci się odciągnąć ich do zamku, dałbym znak naszym wesołym kompanom. Wykradliby im szalupę i popłynęli po towar.

OKRAK: A ty przez ten czas ocalisz cnotę tej holenderskiej dziewczki?

TOM: Obawiam się, że już ją straciła. Na morzu.

Scenografia się zmieniła i na scenie zaczęły wyrastać wnętrza zamku Grzędidół. Korzystając z chwili przerwy, Oldenburg nachylił się do Daniela.

– To on? – zapytał.

– Tak, to jest Isaac Newton.

– Świetnie. Angleseyowicie będą zachwyceni. Jak go wywabiłeś z nory?

– Nie jestem pewien...

– A co z artykułem o stycznych?

– Po kolei, szanowny panie, proszę...

– Nie rozumiem jego powściągliwości!

– Opublikował w życiu tylko jedną pracę...

– Tę o kolorach? To było dwa lata temu!

– Dla pana to były dwa lata wyczekiwania, dla Isaaca dwa lata życia w oblężeniu: musiał odpiierać ataki Hooke'a z jednej i jezuitów z drugiej strony.

– Może gdyby zrelacjonował mu pan wydarzenia z ostatnich dwóch miesięcy swojego życia...

Danielowi udało się nie roześmiać Oldenburgowi w twarz.

\* \* \*

Na scenie na Dziedzińcu Neville'a akcja zagęszczała się – albo (w zależności od tego, jak kto lubi przyrządzać fabuły) pieniała obficie. Panna Okrak, grana przez Tess, flirtowała z Eugeniuszem Kogutem, oficerem piechoty, który przyjechał z Londynu na złamanie karku, aby ratować rodziców z wraku. Tom Włóczykij przespał się już co najmniej raz z Lidią van der Podvodną. Francis Paskuda pojawił się w zamku incognito i zaczął ścigać Nzingę, chcąc potwierdzić plotki o pewnych wymiarach cechujących ciała Afrykanów.

Isaac Newton skubał się po nosie i wyglądał jak człowiek, któremu powoli zbiera się na wymioty. Oldenburg patrzył wilkiem na Daniela, a kilka ważnych osób w łóżach patrzyło wilkiem na Oldenburga.

Zaczynał się piąty akt sztuki. Przedstawienie powinno się wkrótce zakończyć, uruchamiając realizację planu Oldenburga, który miał wreszcie doprowadzić do przedstawienia Isaaca królowi i całemu Towarzystwu Królewskiemu. Jeżeli praca o stycznych nie zostanie przedstawiona tego wieczoru, na zawsze trafi do lamusa, a Isaac zostanie zapamiętany wyłącznie jako alchemik, który kiedyś tam wynalazł teleskop. Dlatego też Daniel jeszcze raz wymknął się z widowni i pomaszerował przez trawniki kolegium.

Postaci czających się na głównym dziedzińcu chyba ubyło – albo Daniel po prostu nie poświęcał im takiej uwagi jak przedtem. Podjął decyzję, co pozwoliło mu – pierwszy raz od miesięcy – zadrzeć swobodnie głowę i patrzeć w gwiazdy.

Okazało się, że Hooke, budując teleskop, miał znacznie ambitniejsze zamiary niż pokrzyżowanie szyków pedantycznemu jezuitcie. Siedząc w ciemnicy Kolegium Greshama i notując położenia gwiazd, wykrył Danielowi podstawy ogólniejszej teorii. Po pierwsze, wszystkie ciała niebieskie miały przyciągać wszystkie inne, znajdujące się w ich strefie oddziaływania. Po drugie, ciało wprawione w ruch miało się poruszać po linii prostej, dopóki nie zadziała na nie jakaś zewnętrzna siła. Po trzecie, siła przyciągania rosła wraz ze zbliżaniem się do ośrodka oddziaływania.

Oldenburg nie miał jeszcze pojęcia o możliwościach Isaaca. Bynajmniej nie dlatego, że był głupi – bo z pewnością nie był. Chodziło o to, że w odróżnieniu od Leibniza, niezmordowanego pisarza, czy Hooke'a, wiernego członka Towarzystwa, Newton nie nagłaśniał wyników swoich prac, a grono kompanów ograniczał do stukniętych alchemików. Dlatego właśnie Oldenburg postrzegał go jako bystrego dziwaka, który kiedyś napisał artykuł o kolorach, a potem wdał się w polemikę z Hookiem. Najwyraźniej Oldenburg uważał, że gdyby Newton choć trochę spoufalili się z członkami Towarzystwa, przekonałby się, że Hooke

dawno zapomniał o kolorach i zajął się – między innymi – problemem uniwersalnej grawitacji, który, co zrozumiałe, w najmniejszym stopniu nie interesował młodego pana Newtona.

Mówiąc krótko, plan od początku nie miał szans powodzenia. Było jednak całkiem możliwe, że przez następne sto lat nie nadarzy się taka okazja, żeby większa część Towarzystwa i król, naturalista z zamiłowania, nocowali razem w Cambridge, na wyciągnięcie ręki od pracowni i sypialni Newtona. Należało go tylko wyciągnąć z kryjówki, co tej nocy się udało. Może zresztą taki właśnie scenariusz był nieunikniony, bez względu na to, co Daniel zrobi w ciągu kilku najbliższych minut.

\* \* \*

Daniel wrócił do mieszkania. Roger Comstock, który niczym Kopciuszek miał sprzątać pracownię i doglądać pieców, najwyraźniej znudził się pracą i wymknął do piwiarni. Pogasił wszystkie świece i główny pokój rozjaśniała tylko czerwona poświata. Daniel nie wiedziałby zapewne, co zrobić, gdyby nie mieszkał z Isaakiem i nie nauczył się poruszać w domu po omacku. Wymacał w szufladzie świecę i zapalił ją od ognia w piecu, a potem wszedł do pokoju, w którym wcześniej rozmawiał z kaskiem. Grzebiąc w papierach w poszukiwaniu dokumentu traktującego o stycznych – pierwszego namacalnego owocu rozważań Newtona na temat krzywych – przypomniał sobie, że coś, co leżało na tym stole, zwróciło wcześniej uwagę Isaaca i przekonało go do poddania się mękom oglądania komedii. Wyteżył wzrok, ale znalazł tylko zwyczajne, nudne świstki i przepisy alchemiczne, często podpisane nie „Isaac Newton”, lecz „Jeova Sanctus Unus”, którego to pseudonimu Isaac używał w swoich alchemicznych poczynaniach.

W końcu – nie rozwiązawszy odwiecznej zagadki, dlaczego Isaac zrobił to, co zrobił – wytropił leżący na skraju stołu artykuł o stycznych i sięgnął po niego.

W pokoju rozlegało się mnóstwo niezwykłych dźwięków – głównie syków i trzasków wydawanych przez różne paliwa w piecach, oraz trzeszczenia i pojękiwania boazerii. Chwilami do jego uszu dolatywał jeszcze inny dźwięk, cichy i ulotny, ale arogancki portier, który siedzi okrakiem na wrotach świadomości, broni wstępu większości dostarczanych przez zmysły informacji i przepuszcza tylko te, które jego zdaniem są godne uwagi, zinterpretował go jako zgrzyt myszy drążącej tunel w ścianie i zepchnął na pobocze. Teraz jednak dźwięk ponownie zwrócił jego uwagę, ponieważ wyraźnie przybrał na sile; bardziej kojarzył się już ze szczurem niż z myszą. Daniel trzymał już w ręce dokument o stycznych, ale stał nieruchomo, próbując wytropić szkodnika, aby później, za dnia, odszukać miejsce jego pracy i obejrzyć jej skutki. Dźwięk rezonował w ścianie oddzielającej pokój od głównego laboratorium z piecami, mającego bardzo nieregularny kształt. Ludzie, którzy dawno pomarli, pobudowali w nim liczne wnęki w sobie tylko wiadomym celu – być może po to, żeby w



jednym miejscu dostawić dodatkowy komin, a w innym dołożyć spizarenkę. Daniel całkiem nieźle się orientował, co znajduje się za tą ścianką i może wydawać podobne chroboty: w odległym kącie laboratorium stał mały kredens, będący dawniej, kiedy pracownia służyła za jadalnię, zapewne używany przez służbę. Później jednak Isaac urządził w nim magazyn substancji alchemicznych, mózdzierzy, tłuczków i tym podobnych przedmiotów. Część preparatów, z którymi pracował, wykazywała niezdrową tendencję do zajmowania się ogniem, toteż dokładał wszelkich starań, żeby trzymać je właśnie w tym kredensie, jak najdalej od rozpalonych pieców.

Daniel po cichu wycofał się do pracowni. Odłożył dokument na stół i wziął do ręki żelazny pręt, leżący przy piecu i pełniący rolę pogrzebacza. Szczurów można się pozbyć na wiele sposobów, ale czasem najlepszy jest ten najprostszy – czyli zaskoczyć drania i zatłuc. Ruszył na palcach przejściem pomiędzy piecami, ważąc pogrzebacz w dłoni. Od reszty pomieszczenia oddzielał wnękę wolno stojący parawan, podobny do tych, za którymi damy lubią się przebierać, wykonany z materiałowej plecionki (obecnie mocno wyświechtanej) rozpiętej na lekkim drewnianym szkielecie. Parawan chronił kredens przed strzelającymi iskrami, a czułe wagi i delikatne proszki Isaaca przed podmuchami wiatru z okien i kominów.

Daniel zawahał się, ponieważ chrobotanie ucichło, tak jakby szczur wyczuł zbliżającego się drapieznika. Po chwili jednak rozległo się ponownie, i to bardzo głośno. Daniel zrobił krok w przód i kopniakiem obalił parawan. Pogrzebacz trzymał nad głową, wzniesiony do śmiertelnego ciosu, drugą ręką zaś wysunął przed siebie świecę, aby oświetlić i oslepić szczura, którego spodziewał się zastać na blacie kredensu.

Zamiast tego stwierdził, że dzieli ciasną wnękę z inną istotą ludzką. Był tak zaskoczony, że jednocześnie znieruchomiał i podskoczył na kilka cali w powietrze (o ile taka kombinacja jest w ogóle możliwa), a także zgubił pogrzebacz i omal nie upuścił świecy. Mało brakowało, a wepchnąłby ją Rogerowi Comstockowi prosto w twarz.

Roger pracował po ciemku, ucierając coś tłuczkiem w mózdzierzu, toteż nagłe pojawienie się płomienia nie tylko śmiertelnie go przestraszyło, ale także na wpół oslepiło. Przerazenie zwyciężyło i Roger wypuścił z rąk mózdzierz z ciemnoszarym proszkiem, który właśnie przesypywał do płóciennego worka, kiedy Daniel go przyłapał. Można by powiedzieć, że upuścił również sam worek, gdyby nie było to zbyt łagodne określenie, grawitacja bowiem nie działa tak szybko – Roger rzucił mózdzierz i worek na ziemię i w tej samej chwili odskoczył gwałtownie w tył.

Daniel patrzył, jak płomień rośnie do rozmiarów krowiego łba i pochłania mu rękę aż do łokcia. Upuścił świecę. Ognisty dywan przykrył podłogę, płomień z głośnym FUUM! skoczyły do góry i zniknęły. W pracowni zapanowały egipskie ciemności, chociaż ogień wcale nie zgasł, bo Daniel w dalszym ciągu słyszał jego trzaski. Mrok był spowodowany tumanami gęstego dymu, zasnuwającymi pokój. Daniel wciągnął go do płuc – i natychmiast tego pożałował.

Roger bawił się prochem.

Rogeroi wystarczyło pięć uderzeń serca, żeby uciec na dwór, mimo że poruszał się na czworakach. Daniel wyczołgał się za nim i zatrzymał przy drzwiach, aby oczyścić płuca kilkoma haustami świeżego powietrza.

Roger zdążył tymczasem przebiec przez ogródek i wypaść przez otwartą z impetem furtkę. Daniel podszedł do niej z zamiarem jej zamknięcia, ale wcześniej wyjrzał na ulicę. Dwóch odźwiernych, stojących przy pobliskiej głównej bramie kolegium, obrzuciło go umiarkowane zaciekawionymi spojrzeniami. Nikogo nie dziwił fakt, że w mieszkaniu lucasowskiego profesora matematyki rozlegają się czasem niezwykle dźwięki i rozbłyskują tajemnicze światła. Zakapturzone postaci w dymiących ubraniach uciekające stamtąd na złamanie karku, również nie budziły przesadnego zainteresowania. Pozostawienie za sobą niezamkniętej furtki było wprawdzie niewybaczalną gafą, ale Daniel już zajął się tą sprawą.

A potem wstrzymał oddech i wrócił do pracowni. Po omacku znalazł okna i otworzył je na oścież. Ogień strawił wprawdzie tkaninę parawanu, ale nie rozprzestrzenił się dalej, głównie dzięki temu, że Isaac nie pozwalał trzymać w laboratorium żadnych łatwopalnych substancji. Daniel zdeptał tłące się kawałki materiału.

W bardziej cywilizowanym wnętrzu dym z pewnością zaszkodziłby sprzętom i ścianom, naruszył je i nieprzyjemnie osmalił, ale w takiej pracowni mały pożar był bez znaczenia.

Tym bardziej że nie doszło do wybuchu – ponieważ proch, na całe szczęście, nie znajdował się w zamkniętej przestrzeni – lecz tylko do gwałtownego spalenia prochu. Parawan został zniszczony. Kredens we wnęce poczerniał. Waga, która spadła z blatu, najprawdopodobniej do niczego się już nie nadawała. Upuszczony przez Rogera mózdzierz leżał (w postaci grubych odłamków) w centrum plamy spalenizny, przywodząc Danielowi na myśl rozerwane działo w *Oblężeniu Maastricht* i wypadki na pokładach okrętów królewskiej marynarki wojennej, o których ostatnio sporo słyszał. Dookoła walały się nadpalone skrawki płótna – resztki worka, do którego Roger przesypywał proch, zanim Daniel go zapalił. Krótko mówiąc, trudno było sobie wyobrazić mniejsze straty wywołane spalaniem worka prochu w domu mieszkalnym. Co nie zmieniało faktu, że ten kąt pracowni wymagał gruntownego sprzątnięcia, czym i tak musiał się zająć Roger. Chyba że Isaac wcześniej go wyrzuci, co wydawało się całkiem prawdopodobne.

Można by pomyśleć, że niespodziewana eksplozja musi popsuć człowiekowi wieczór. Wszystko jednak wydarzyło się tak szybko, że Daniel nie widział powodu, by nie wykonać zadania, które sprowadziło go do domu. Co więcej, śmiertelnie poważne sprawy, zaprzęające mu po drodze umysł, nagle przestały się liczyć i na tle ostatnich wydarzeń wyglądały zgoła niepozornie. Rękę i – w mniejszym stopniu – twarz miał mocno poparzone, przypuszczał również, że przez parę tygodni będzie musiał obywać się bez brwi. Doszedł do wniosku, że przydałoby się umyć i przebrać, co nie stanowiło najmniejszego problemu, jako że mieszkał piętro wyżej.

Potem zaś zabrał dokument o stycznych, otrząsnął go z czarnych drobinek popiołu i wyszedł. Artykuł zawierał najwyżej dziesiątą część wiedzy Isaaca o stycznych i składowych, ale stanowił przynajmniej śladowy dowód jego prac. Nie dość, że był lepszy niż nic, to z pewnością przez wiele tygodni miał przyprawiać członków Towarzystwa o bóle głowy.

Noc była pogodna, widoki przepiękne, wszechświat rozpościerał wszystkie swoje tajemnice nad Kolegium Trójcy Świętej. Ale Daniel tylko spuścił wzrok i ciężkim krokiem skierował się ku stożkowi przydymionego światła, gdzie już wszyscy na niego czekali.

## **Most Londyński**

**1673**

*Po ustaleniu liczb charakteryzujących większość pojęć rodzaj ludzki zyska całkiem nowe narzędzie; narzędzie, które wzmocni nasz umysł o wiele bardziej, niż szkło powiększające wspomogło nasze oczy; narzędzie, które przewyższy teleskop i mikroskop w takim samym stopniu, jak rozum przewyższa wzrok.*

Leibniz, *Eseje filozoficzne*

Mniej więcej przez środek Mostu Londyńskiego, nieco bliżej City niż Southwark, przebiegał dukt przeciwpożarowy – luka ziejąca w zabudowie niczym dziura po zębie w kompletnej poza tym szczęce. Kiedy płynęło się łodzią w dół rzeki i z daleka widziało wszystkie dziewiętnaście przysadzistych filarów oraz dwadzieścia kamiennych i drewnianych łuków, pod którymi przelewała się woda, można było zauważyć, że ta pusta przestrzeń – czy też „Plac”, jak ją nazywano – znajduje się nad najdłuższym przęsłem, mierzącym całe trzydzieści cztery stopy.

W miarę jak człowiek podpływał bliżej mostu i coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, koncentrował się na bardziej przyziemnych sprawach i mógł zwrócić uwagę na kolejny fakt: kanał między izbicami – czyli zawalonymi śmieciem platformami o kształcie rakiet śnieżnych, z których wyrastały podpory – również był w tym miejscu najszerszy. Dzięki temu ściśnięta w nim Tamiza mniej niż pod innymi przęsłami przypominała wodospad, a bardziej górską rzekę podczas wiosennej odwilży. Jeżeli sternik nie stracił jeszcze władzy nad łodzią, chętnie kierował ją właśnie w ten fragment nurtu. Gdybyś zaś był, Czytelniku, pasażerem takiej hipotetycznej łodzi który ceni sobie swoje życie, uparłbyś się, żeby sternik na chwilę zacumował do czubka izbicy i wypuścił Cię na ład. Mógłbyś wtedy pokonać grzęzawisko świeższych i starszych śmieci, brnąć w nich po kolana, wejść po schodach na poziom jezdni, przebiec przez Plac (cudem unikając zderzenia z pędzącymi w obu kierunkach wozami), zbiec po schodach na drugi koniec izbicy, a następnie

skacząc, ślizgając się i potykając dobrnąć do jej krawędzi, gdzie czekałby Twój przewoźnik – pod warunkiem, rzecz jasna, że on i jego łódź nadal by istnieli.

Wszystko to w pewnym stopniu tłumaczyło specyfikę odcinka Mostu Londyńskiego nazywanego Placem. Podróżni płynący Tamizą na wschód i na zachód byli zwykle zamożniejsi i bardziej dostojni od tych, którzy przemierzali most z północy na południe lub odwrotnie. Ci z nich, którzy dbali o swoje życie, członki i majątek na tyle, by wysiąść z łodzi i pokonać izbicę i Plac na piechotę, należeli wśród nich do elity. Nic więc dziwnego, że budynki stojące na moście po obu stronach Placu doskonale nadawały się na siedziby wykwintnych sklepów i tawern.

Któregoś ranka Daniel spędził na Placu dwie godziny, czekając na człowieka, który miał przy płynąć łodzią. Ta łódź powinna była przybyć z przeciwnej strony, płynąc od morza w górę rzeki.

Usiadł w kawiarni i bawił się setnie, obserwując zdyszanych i zaczerwienionych pasażerów łodzi, którzy pojawiali się na szczycie schodów, jakby cudownie zrodzeni z cuchnących wód Tamizy. Doczołgawszy się do najbliższej gospody, zamawiali piwo, aby wzmocnić się przed pokonaniem szerokiej na dwanaście stóp jezdni, na której kilka razy w tygodniu ludzie ginęli pod kołami wozów. Jeżeli przeżyli ten etap podróży, wpadali do rękawicznika albo szmuklerza na drobne, odprężające zakupy, a potem zaglądali do kawiarni – często nawet do tej samej, w której siedział Daniel – na szybką filiżankę mocnej kawy. Reszta mostu podupadała, ponieważ ludzie pokroju Sterlinga otwierali modne sklepy w całym Londynie, ale Plac prosperował znakomicie, a dzięki nieustającej groźbie morskich katastrof był też najweselszą częścią miasta.

Bywał też zatłoczony do granic możliwości, zwłaszcza gdy jakiś statek przepłynął Kanał, rzucił kotwicę w Pool i przewoźnicy zaczęli dowozić na most pasażerów z kontynentu.

Jedna z takich łodzi zbliżyła się właśnie do mostu, kiedy Daniel dopił kawę, uregulował rachunek i wyszedł z kawiarni. Tłum przechodniów wprowadził niewiarygodne zamieszanie wśród jadących mostem cięższych i lżejszych wozów. Wszyscy piesi usiłowali jednocześnie zejść na izbicę po zachodniej stronie mostu, przez co utworzyli korek, który nie tylko zatkał schody, ale także zablokował ulicę. Widząc, że tłum składa się głównie z porządných ludzi, zainteresowanych swoimi sprawami, a nie wagabundów zainteresowanych sakiewkami innych, Daniel zagłębił się weń i wkrótce znalazł się u szczytu schodów, a następnie spłynął wraz z cizbą na izbicę. Wydawało mu się z początku, że wszyscy ci elegancy londyńscy stłoczyli się na moście, aby powitać jednego konkretnego pasażera. Kiedy jednak pierwsze łodzie znalazły się w zasięgu głosu, gapie zaczęły wykrzykiwać nie przyjazne powitania, lecz pytania – w kilku językach – o przebieg wojny.

– Jako wasz brat w wierze, protestant, choć luteranin, mam szczerą nadzieję, że Anglia i Holandia dojdą do porozumienia i wojna, o której mówicie, zakończy się.

Młody, ubrany na francuską modłę Niemiec stał wyprostowany w łodzi. Dopiero kiedy ta znalazła się niebezpiecznie blisko bystrzy poniżej mostu, poszedł po rozum do głowy i usiadł.

– Nadzieje nie mają wielkiej wartości, panie. Jakie są wasze spostrzeżenia?! – zawołał w odpowiedzi ktoś z kilkudziesięciu ludzi, zbitych na izbicy w ciasną gromadę.

Wszyscy chcieli się znaleźć jak najbliżej przepływających łodzi, nie dając się przy tym zepchnąć w morderczą kipieli. Wielu przycupnęło niczym gargulce na samej krawędzi Placu, jeszcze inni wsiedli do własnych łódek i na podobieństwo karaibskich flibustierów próbowali wprowadzić je na kurs zbieżny z którąś z szalup płynących w górę rzeki. Nikt nie przejmował się tą całą luterąską dyplomacją, nikt nie miał pojęcia, kim jest młody Niemiec – liczyło się tylko to, że przybył z zagranicy i chętnie opowiada. Nie płynął sam, ale pozostali pasażerowie nie zwracali najmniejszej uwagi na pokrzykujących londyńczyków. Jeżeli nawet posiadali jakieś informacje, zamierzali zabrać je ze sobą na Giełdę, przeliczyć na srebro i puścić w obieg podziemnymi kanałami rynku.

– Jakim statkiem pan przyплыwał? – zapytał ktoś.

– *Ste Catherine*.

– A skąd?

– Z Calais.

– Rozmawiał pan z kimś z marynarki?

– Trochę...

– Są jakieś wieści albo plotki o armatach rozsadzonych prochem na pokładzie angielskich okrętów?

– To się zdarza. I wtedy załogi wszystkich okolicznych okrętów to widzą, bo wybuch ogromną dziurę w kadłubie wyrywa i ciała w powietrze wylatują. Tak powiadają. Dla wszystkich marynarzy, swoich i obcych jest to chyba taka mała lekcja śmiertelności, więc potem wszyscy o tym mówią. Ale w tej wojnie podobne wypadki nie zdarzają się wcale częściej niż zwykle. Tak mi się wydaje.

– Czy to były działa Comstocka?

Przetrawiwszy te słowa, Niemiec zdał sobie sprawę, że nie zdążył jeszcze postawić stopy na angielskiej ziemi, a już wpakował się w poważne tarapaty.

– Ależ proszę pana! Armaty hrabiego Epsom uchodzą za najlepsze na świecie!

Ale nikt nie chciał tego słuchać. Gapie zmienili temat.

– A skąd przyjechał pan do Calais?

– Z Paryża.

– Czy jadąc przez Francję, widział pan jakieś wojska?

– Kilkakrotnie. Żołnierze maszerowali na południe. Byli okrutnie zmęczeni.

Tłum na izbicy przez dobrą chwilę mamrotał i wibrował, przyswajając sobie tę informację. Jeden z mężczyzn wyłonił się z cizby i przedarł ku schodom, gdzie wchłonęła go masa bosonogich, podskakujących niecierpliwie chłopców. Napisał coś na skrawku papieru i

podał go temu, który wyskoczył najwyżej. Chłopak obrócił się na pięcie i przepchnął między kolegami, pokonując po cztery stopnie na raz. Wypadł na Plac, przeskoczył nad wozem, potracił handlarke i zaczął nabierać szybkości. Nieco ponad sto jardów dzieliło Plac od brzegu po stronie londyńskiej, a od końca mostu do Giełdy należało pokonać dalsze sześćset jardów. Chłopak będzie tam najdalej za trzy minuty.

Tymczasem pod mostem trwało przesłuchanie:

– Widział pan okręty wojenne w Kanale, *mein Herr*? Angielskie? Francuskie? Holenderskie?

– Była... – W tym miejscu znajomość angielskiego zawiodła Niemca. Wykonał nieokreślony, zamaszysty gest.

– Mgła!

– Mgła – powtórzył.

– Słyszał pan strzały?

– Kilka razy, ale podejrzewam, że to były armaty sygnałowe. Zakodowana informacja przemierzała mgłę, która nie przepuszcza światła, lecz dla dźwięku jest całkowicie przezroczysta...

Tu z kolei zawiodły go umysłowe zwieracze i zaczął głośno myśleć po francusku, podpierając się łaciną i na bieżąco tworząc system przekazywana zaszyfrowanych danych za pomocą eksplozji. Niektóre idee zapożyczał z *Cryptonomiconu* Wilkinsa, włączając je od razu w praktyczny plan, który ze względu na hojne szafowanie prochem spotkałby się z gorącą aprobatą Johna Comstocka. Inaczej mówiąc, przedstawił się (przynajmniej Danielowi) jako doktor Gottfried Wilhelm Leibniz. Gapie przestali się nim interesować i zaczęli kierować swoje pytania do pasażerów innych łodzi.

Leibniz stanął na angielskiej ziemi. Zaraz za nim z łodzi wysiedli dwaj inni Niemcy, nieco starsi, znacznie mniej rozmowni i (jak się Daniel domyślał) znacznie od niego ważniejsi. Następny w kolejce był służący na czele krótkiej kolumny tragarzy objuczonych pudłami i torbami. Leibniz sam niósł drewnianą skrzynkę i za żadne skarby świata nie chciał się z nią rozstać. Daniel wyszedł im naprzeciw, ale został odepchnięty na bok przez jakiegoś obcesowego osobnika, który wręczył zalakowany list jednemu ze starszych mężczyzn i zamienił z nim kilka zdań w dialekcie niskoniderlandzkim.

Poirytowany Daniel odwrócił się i – traf chciał – spojrzął na londyński brzeg Tamizy. Jego wzrok zatrzymał się tuż poniżej mostu, na pirsie, z którego po Wielkim Pożarze została podłużna hałda zgliszczy. Można go było dawno odbudować, ale uznano, że inne obiekty zasługują na pilniejsze odtworzenie. W tej chwili po hałdzie kręciło się kilku ludzi zajętych pracą o wybitnie intelektualnym charakterze; przeciągali jakieś liny i kreślili szkice. Jednym z nich był – nie do wiary! – nie kto inny, jak Robert Hooke, Mierniczy Miejski, z którym Daniel rozstał się całkiem niedawno, wymknąwszy się dyskretnie z Kolegium Greshama. Mniej niewiarygodny (jeśli wziąć pod uwagę, że był to Hooke we własnej osobie) wydawał

się fakt, że patrząc spode łba, rozpoznał Daniela stojącego na izbicy pośrodku rzeki i – najwyraźniej – witającego jakąś zagraniczną delegację.

Leibniz rozmawiał ze swoimi towarzyszami w języku wysokoniderlandzkim, a posłaniec obejrzał się przez ramię na Daniela. Był jednym z usługujących holenderskiemu ambasadorowi gońców i szpiegów.

Niemcy uzgodnili tymczasem jakiś plan, którego istotnym elementem było rozdzielenie się. Daniel przedstawił im się, wykorzystując chwilę przerwy w rozmowie.

W odpowiedzi Niemcy również dokonali prezentacji, ale od ich nazwisk znacznie ciekawsze – i ważniejsze – były rodowody. Pierwszy z gości był bratankiem arcybiskupa Moguncji, drugi zaś synem barona von Boineburga, ministra w rządzie tegoż arcybiskupa. Obaj cieszyli się więc szacunkiem w Moguncji, a zatem także w całym Świątym Cesarstwie Rzymskim Narodu Niemieckiego, które w ostatnim zamieszaniu francusko-angielsko-holenderskim zachowało, z grubsza rzecz biorąc, neutralność. Wyglądało zatem na to, że Niemcy przybyli do Londynu z misją pokojową.

Leibniz, wiedząc, kim jest Daniel, zapytał:

– Wilkins jeszcze żyje?

– Tak...

– Chwała Bogu!

– ...Ale jest ciężko chory. Jeżeli chce go pan odwiedzić, zalecałbym pośpiech. Chętnie pana zaprowadzę. Doktorze Leibniz... Czy pozwoli mi pan pomóc sobie przy dźwiganiu tego pudełka?

– To bardzo uprzejme z pana strony, ale dam sobie radę.

– Jeżeli jest w nim złoto albo biżuteria, proszę je mocno trzymać.

– Czy na ulicach Londynu jest aż tak niebezpiecznie?

– Powiedzmy, że sędziowie pokoju zajmują się głównie ściganiem dysydentów i Holendrów, co nasze rzezimieszki szybko nauczyły się wykorzystywać.

– Zawartość tej skrzynki jest o wiele cenniejsza od złota – oznajmił Leibniz, wchodząc na schody. – Nie można jej jednak ukraść.

Daniel przyspieszył kroku. Leibniz był człowiekiem szczupłym, średniego wzrostu, a przy chodzeniu pochylał się, przez co jego głowa wyprzedzała stopy. Znalazłszy się na poziomie jezdni, skręcił ostro i ruszył w stronę City, nie zwracając uwagi na mijane gospody i sklepy.

W żadnym razie nie wyglądał jak potwór.

Jeśli wierzyć Oldenburgowi, paryżanie, bywalcy Salonu Hotelu *Montmor*, czyli najbliższego francuskiego odpowiednika Towarzystwa Królewskiego w Londynie, określali Leibniza łacińskim słowem *monstro*. I pomyśleć, że słowo to padło z ust ludzi, którzy osobiście znali Kartezjusza i Fermata i uważali wszelką przesadę za niewybaczalną gafę. Wiadomość ta sprowokowała część członków Towarzystwa do przeprowadzenia krótkich

badania etymologicznych. Czyżby Leibniz miał ohydnie zdeformowane ciało? Może był hybrydą człowieka i jakiejś innej istoty? Ostrzeżeniem zesłanym przez Boga?

– Mieszka gdzieś tam, prawda? Dobrze idę?

– Z powodu choroby biskup musiał się przeprowadzić. Obecnie rezyduje w domu pasierbicy przy Chancery Lane.

– To i tak w tym kierunku, tylko później trzeba skręcić w lewo.

– Był pan kiedyś w Londynie, doktorze Leibniz?

– Znam przedstawiające miasto obrazy.

– Obawiam się, że większość z nich po pożarze zmieniła się w antykwaryczne ciekawostki. Równie użyteczne jak plany Atlantydy.

– Obejrzenie wielu wizji obcego, nawet nieistniejącego miasta bywa inspirujące. Każdy artysta podczas tworzenia obrazu kilkakrotnie zmienia punkt widzenia. Jeden fragment miasta maluje, patrząc nań ze wzgórza, drugi obserwuje z wysokiej wieży, trzeci z głównego skrzyżowania. I wszystkie te wizje umieszcza na jednym kawałku płótna. Kiedy potem na niego patrzymy, otrzymujemy namiastkę tego, jak Bóg postrzega wszechświat – On bowiem jest obecny we wszystkich miejscach naraz. Zaludniając świat tyloma różnymi umysłami, z których każdy ma własny punkt widzenia, Bóg sugeruje nam, co to znaczy być wszechwiedzącym.

Daniel zwolnił kroku i zamyślił się nad słowami Leibniza, które dudniły mu w głowie donośnym echem; podobnie musiały brzmieć organy rezonujące w luteranckim kościele. Dotarli tymczasem do północnego krańca mostu, gdzie klekot kół wodnych, zamkniętych w kamiennej krypcie, uniemożliwiał wszelką rozmowę. Dopiero kiedy stanęli na suchym lądzie i zaczęli podchodzić w górę Fish Street, Daniel przerwał milczenie:

– Zauważyłem, że kontaktowaliście się już panowie z holenderskim ambasadorem. Czy słusznie przypuszczam, że wasza misja nie do końca ma charakter czysto naukowy?

– Całkiem rozsądne pytanie... w pewnym sensie – odmruknął Leibniz. Zerknął przelotnie na Daniela. – Jesteśmy mniej więcej rówieśnikami, prawda?

Miał niepokojące oczy: w zależności od tego, jakiego potwora się w nim dostrzegało, mogły być albo maleńkie i świdrujące, albo duże i przenikliwe.

– Mam dwadzieścia sześć lat.

– Ja również. Urodziliśmy się w tysiąc sześćset czterdziestym szóstym. Szwedzi zajęli wtedy Pragę i wkroczyli do Bawarii, Inkwizycja paliła Żydów w Meksyku... Podejrzewam, że i w Anglii działy się podobne okropieństwa?

– Cromwell pobił królewską armię pod Newark i wypędził króla z kraju. John Comstock został ranny...

– Mówimy tylko o królach i arystokratkach. A proszę sobie wyobrazić bezmiar cierpień zwykłych ludzi i wagabundów, którzy w oczach Boga są równi królom. Pyta pan, czy moja



misja ma charakter naukowy, czy dyplomatyczny, tak jakby te dwie kwestie dało się łatwo i precyzyjnie rozgraniczyć.

– Bywam głupi i nieuprzejmy, ale moim obowiązkiem jest podtrzymywanie rozmowy. Zmierza pan do tego, że celem wszystkich naturalistów powinno być przywrócenie światu pokoju i harmonii. Trudno z tym dyskutować.

Leibniz wyraźnie złagodniał.

– Chcemy zapobiec przerodzeniu się wojny z Holandią w konflikt ogólnoeuropejski. Proszę mi wybaczyć szczerość, ale muszę to powiedzieć: arcybiskup i baron są gorącymi zwolennikami Towarzystwa Królewskiego, podobnie jak ja. Są również alchemikami, czego o mnie powiedzieć nie można... No, chyba że wymaga tego polityka. Mają nadzieję, że dzięki mojej sławie naturalisty nawiążę w waszym kraju kontakty z ludźmi wybitnymi, do których trudno by było dotrzeć drogą dyplomatyczną.

– Dziesięć lat temu może bym się obraził za takie słowa. Ale nie dziś. Dziś jestem gotów we wszystko uwierzyć.

– Kiedy jednak chcę się spotkać z biskupem Chester, kierują mną intencje najczystsze z możliwych.

– On to wyczuje. I będzie mu miło. W ostatnich latach całkowicie poświęcił się polityce. Próbował rozmontować kościelną strukturę władzy, aby zapobiec odrodzeniu się teokracji, gdyby jakiś papista zasiadł na tronie...

– Być może już zasiada – wtrącił Leibniz.

Niedbały ton insynuacji, że Karol II jest w istocie kryptokatolikiem, sugerował, że na kontynencie fakt ten jest tajemnicą poliszynela. Daniel poczuł się jak beznadziejnie tępy i naiwny prowincjusz. Podejrzewał króla o liczne zbrodnie i szachrajstwa, ale nigdy o to, że mógłby tak bezczelnie okłamać kraj.

Miał aż nadto czasu na ukrycie swojego rozdrażnienia, ponieważ przechodzili właśnie przez centrum miasta, zamienione w jeden wielki plac budowy, na którym normalnie funkcjonowały warsztaty złotnicze i punkty wymiany pieniędzy. Brukowce śmigły między Danielem i Leibnizem niczym kule armatnie, łopaty cięły powietrze na podobieństwo kordelasów, taczki i wózki ze złotem, srebrem, cegłą i ziemią dudniły jak wozy z amunicją na tymczasowych chodnikach z desek i ubitej gliny.

– Jak na Rue Vivienne w Paryżu – stwierdził Leibniz, być może zauważywszy ponury nastrój Daniela. Machnął lekceważąco ręką. – Często tam bywam. W Bibliothèque du Roi mają bardzo ciekawe książki.

– Słyszałem, że trafiają tam egzemplarze wszystkich wydanych we Francji ksiąg.

– To prawda.

– Ale przecież założono ją w tym samym roku, kiedy u nas wybuchł pożar. Nie może być zbyt duża, skoro liczy sobie zaledwie kilka lat.

– To było kilka lat bardzo łaskawych dla matematyki. Poza tym w bibliotece znajdują się też nie wydane drukiem rękopisy Kartezjusza i Pascala.

– Nie ma w niej żadnych klasyków?

– Miałem to szczęście, że wychowano mnie, a właściwie sam się wychowałem, w ojcowskiej bibliotece, w której znalazłem wszystkich klasyków.

– Pański ojciec miał talent do matematyki?

– Trudno powiedzieć. Podobnie jak podróżny poznaje miasto, oglądając jego obrazy malowane z różnych punktów widzenia, tak i ja znam ojca tylko za pośrednictwem książek, które czytał.

– Rozumiem już tę analogię. Bibliothèque du Roi jest, pana zdaniem, najlepszym przybliżeniem boskiej wizji świata.

– Gdybyśmy mieli większą bibliotekę, zbliżylibyśmy się do niej jeszcze bardziej.

– Z całym szacunkiem, doktorze Leibniz... Nie rozumiem, jaka ulica mogłaby mniej niż ta przypominać Rue Vivienne. Tym bardziej że nie mamy w Anglii takiej Bibliothèque.

– Bibliothèque du Roi to tylko budynek, całkiem przypadkowo znajdujący się akurat przy Rue Vivienne. Podejrzewam, że Colbert, który go kupił, traktował nabytek jako inwestycję, ponieważ okolice Rue Vivienne to dzielnica złotników. Co dziesięć dni, w godzinach od dziesiątej rano do południa, wszyscy paryscy kupcy wysyłają tam swoje pieniądze do policzenia. Siadam sobie czasem w domu Colberta, próbuję zrozumieć Kartezjusza, łamię sobie głowę nad dowodami matematycznymi, które zadaje mi Huygens, mój nauczyciel, i patrzę przez okno, jak ulica zapełnia się tragarzami uginającymi się pod ciężarem złota i srebra, i gromadzącymi się przed kilkoma warsztatami. Czy teraz już pan rozumie moją zagadkę?

– Jaką zagadkę ma pan na myśli?

– Tę skrzynkę! Powiedziałem, że zawiera coś znacznie cenniejszego od złota, czego jednak nie sposób ukraść. Którędy dalej?

Znaleźli się w oku cyklonu, gdzie zderzały się Threadneedle, Cornhill Poultry i Lombard. Gońcy śmigali po skrzyżowaniu jak wystrzeliwane z kusz bełty – albo (czego obawiał się Daniel) jak wyraźne wskazówki których nie potrafił zrozumieć.

\* \* \*

W Londynie mieszkała co najmniej setka lordów, biskupów, kaznodziejów, akademików i dżentelmenów-naturalistów, którzy chętnie użyczyliby łóżka choremu Wilkinsowi, on jednak skończył w domu pasierbicy przy Chancery Lane, stosunkowo niedaleko rezydencji Waterhouse'ów. Przed drzwiami i na ulicy roilo się od spoconych dworzan – nie elegantów ze szczytów władzy, ale tych poobijanych, pobliźnionych, ciut za starych i odrobinę zbyt

brzydkich, dzięki którym sprawy państwowe w ogóle posuwały się naprzód<sup>45</sup>. Stłoczyli się wokół czarnej karety z herbem hrabiego Penistone. Dom był stary (Wielki Pożar zatrzymał się dosłownie parę jardów przed nim), garbaty, kryty strzechą, pół drewniany, pół murowany, jakby żywcem wyjęty z kart *Opowieści kanterberyjskich* i kompletnie niemodny, zwłaszcza w porównaniu z eleganckim powozem i cienkimi jak bicze rapierami.

– Widzi pan? – powiedział Daniel. – Mimo czystości intencji już wplątał się pan w politykę. Gospodyni jest siostrzenicą Cromwella.

– Co takiego? Tego Cromwella?!

– Tego samego, którego czaszka spogląda na Westminster z czubka piki. Właścicielem tego pięknego pojazdu jest Knott Bolstrood, hrabia Penistone. Jego ojciec był założycielem sekty barkerów, zazwyczaj wrzucanej do jednego worka z wieloma innymi sektami i wspólnie z nimi określanej pejoratywnym mianem purytanów. Barkerzy są jednak niezdrowo radykalni. Uważają, na przykład, że Kościół i Korona nie powinny mieć ze sobą nic wspólnego i że należałoby wyzwolić wszystkich niewolników na świecie.

– Dżentelmeni oblegający dom są ubrani na dworską modłę. Czyżby zamierzali przypuścić szturm na ten purytański dom?

– To zausznicy Bolstrooda. Trzeba panu wiedzieć, że Knott Bolstrood jest sekretarzem stanu w królewskim rządzie.

– Słyszałem, że król Karol II mianował fanatyka na to stanowisko, ale nie byłem w stanie w to uwierzyć.

– Proszę się chwilę zastanowić... Czy barkerzy mieliby rację bytu w jakimkolwiek innym kraju? Poza Holandią i Amsterdamem?

– Oczywiście, że nie! – Leibniz poczuł się lekko urażony tą ideą. – Zostaliby zniszczeni.

– I dlatego Knott Bolstrood, bez względu na swoje pro – czy antyrojalistyczne sympatie, nie ma wyboru: musi opowiadać się za wolną, niepodległą Anglią. Kiedy zaś dysydenci oskarżają króla o nadmierne zbliżenie z Francją, król wskazuje Bolstrooda jako żywy dowód niezależności swojej polityki zagranicznej.

– Przecież to farsa! – mruknął Leibniz pod nosem. – Cały Paryż wie, że Anglia siedzi u Francuzów w kieszeni.

– Londyn też o tym wie. Różnica jest taka, że my tu mamy trzy tuziny teatrów, a w Paryżu jest zaledwie jeden...

Wreszcie i Leibniz poczuł się zagubiony.

– Nie rozumiem...

– My po prostu lubimy farsy.

– Co robi Bolstrood w domu siostrzenicy Cromwella?

– Najprawdopodobniej przyjechał w odwiedziny do Wilkinsa.

Leibniz zwolnił kroku i się zamyślił.

---

<sup>45</sup> Pepys stanowił doskonały przykład takiego człowieka, nie było go jednak przy Chancery Lane.

– Kuszące... Ale protokół to wyklucza. Nie mogę tam wejść!

– Ależ może pan – uspokoił go Daniel. – W moim towarzystwie. Proszę za mną.

– Muszę wrócić po moich towarzyszy. Moja niska pozycja nie pozwala mi zakłócać spokoju sekretarza stanu...

– A moja mi pozwala. Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień to widok Bolstrooda niszczącego młotem kościelne organy. Rozczuli się na mój widok.

Leibniz stanął jak wryty. Daniel miał wrażenie, że niemal widzi w jego oczach odbicie witraży i piszczałek organowych jakiegoś pięknego luterańskiego kościoła w Lipsku.

– Dlaczego dopuścił się podobnego barbarzyństwa?

– Bo to była anglikańska katedra. A on miał około dwudziestu lat. Młodzi ludzie bywają porywczy...

– Pańscy krewni byli zwolennikami Cromwella?

– Raczej odwrotnie: to Cromwell był zwolennikiem mojego ojca. Niech Bóg ma ich obu w swojej opiece.

Tymczasem znaleźli się w samym sercu dworskiej cizby i Leibniz nie miał już szans posłuchać instynktu i uciec gdzie pieprz rośnie. Kilka minut zajęło im przepchnięcie się przez coraz dostojniejszy i coraz lepiej ubrany tłumek, przedostanie do domu i wejście na piętro, do maleńkiej, nisko sklepionej sypialni. Pachniało w niej tak, jakby Wilkins już umarł, tymczasem większa jego część wciąż była żywa: siedział wsparty na poduszkach, z deską na kolanach i jakimś szykownym dokumentem rozpostartym na desce. Czterdziestodwuletni Knott Bolstrood klęczał obok łóżka. Słyszając kroki przy drzwiach, odwrócił się i zobaczył Daniela; dziesięć lat spędzonych w zbiorowych celach więzienia Newgate, w ciemnicy, wśród morderców i wariatów, wykształciło w nim silny odruch oglądania się za siebie. Dla sekretarza stanu była to cecha nie mniej cenna niż dla nawiedzonego fanatyka.

– Bracie Danielu!

– Mój panie...

– Nadasz się, nadasz się najlepiej ze wszystkich.

– Na co się nadam, panie?

– Na świadka. Biskup zaraz złoży podpis.

Bolstrood podał mu umoczone w atramencie pióro, Daniel zaś włożył je w dłoń Wilkinsa i zacisnął na nim jego opuchnięte palce. Właściciel obrzmiałej dłoni przez chwilę dyszał ciężko, potem zaś poruszył ręką i na papier spłynęła pajęczyna linii prostych i krzywych, przypominając podpis Wilkinsa w podobnym stopniu, jak duch przypomina żywego człowieka. Dobrze się zatem stało, że kilka osób mogło poświadczyć autentyczność sygnatury. Daniel nie miał pojęcia, co to za dokument, ale sądząc po tym, jak starannie był wypisany, musiał być przeznaczony dla królewskich oczu.

Po uzyskaniu podpisu hrabiemu Penistone nagle zaczęło się spieszyć, ale zanim wyszedł, odezwał się jeszcze do Daniela:

– Jeśli masz udziały w Kompanii Gwinejskiej księcia Yorku, sprzedaj je. Ten papistowski handlarz niewolników wkrótce zbierze burzę.

Wygłosiwszy te słowa, Knott Bolstrood się uśmiechnął – zapewne drugi, najwyżej trzeci raz w życiu.

– Proszę mi to pokazać, doktorze Leibniz – powiedział bez zbędnych wstępów Wilkins. Od trzech dni nie oddawał moczu, toteż jego zachowanie cechowały niecierpliwość i pośpiech.

Leibniz przysiadł ostrożnie na skraju łóżka i otworzył pudełko.

Oczom Daniela ukazały się zębaki, przekładnie i wałki. Przyszło mu do głowy, że ma przed sobą jakiś nowy model zegara, nigdzie nie widział jednak ani cyferblatu, ani wskazówek. Dostrzegł za to kilka kół opisanych liczbami.

– Sporo zawdzięcza maszynie *monsieur* Pascala, co zrozumiałe, ale poza dodawaniem i odejmowaniem liczb potrafi je także mnożyć – wyjaśnił Leibniz.

– Proszę mi pokazać, jak to działa, doktorze.

– Muszę przyznać, że maszyna nie jest jeszcze gotowa. – Leibniz zmarszczył brwi, przechylił pudełko do światła i mocno dmuchnął w tryby. Karaluch wyfrunął ze środka, zatoczył w powietrzu nierówną parabolę, spadł na ziemię i schował się pod łóżkiem. – To tylko wersja demonstracyjna. Ale zapewniam, że po ukończeniu będzie *magnifique*.

– Nic nie szkodzi. Wykorzystuje system dziesiętkowy?

– Tak, jak u Pascala... Chociaż dwójkowy byłby lepszy.

– Tego mi pan nie musi tłumaczyć – odparł Wilkins i wdał się w trwającą co najmniej pół godziny dygresję, okraszoną obszernymi cytatami z *Cryptonomiconu*.

W końcu Leibniz przerwał mu znaczącym chrząknięciem.

– Także z powodów mechanicznych system binarny byłby korzystniejszy. Przy liczbach dziesiętnych potrzeba o wiele więcej przekładni i zębatek. Zwiększone tarcie sieje spustoszenie w trybach.

– Hooke! Hooke mógłby ją zbudować! Ale wystarczy już tego gadania o maszynach. Pomówmy lepiej o pansofii. Proszę mi powiedzieć... Odnosił pan w Wiedniu sukces?

– Kilkakrotnie pisałem do cesarza, opisując mu francuską Bibliothèque du Roi...

– I próbując wzniecić w nim zazdrość?

– Owszem... Kłopot w tym, że w jego hierarchii grzechów głównych bezapelacyjnie króluje Lenistwo, nie zagrożone ani przez Zazdrość, ani przez inne wady. A jak panu powiodło się w Anglii?

– Sir Elias Ashmole zapoczątkował piękną bibliotekę, ale nie może się na niej należycie skupić, ponieważ rozprasza go alchemia. Poza tym miałem poważniejsze problemy... – Wilkins wskazał na drzwi, przez które niedawno wyszedł Bolstrood. – Wierzę, że binarne maszyny arytmetyczne będą w przyszłości odgrywać ogromną rolę... Oldenburg podziela moje przekonanie.

– Byłby to dla mnie zaszczyt, szanowny panie, gdyby pozwolił mi pan kontynuować swoje prace.

– Nie mam czasu na uprzejmości. Waterhouse!

Leibniz zamknął skrzynkę. Biskup Chester patrzył, jak maszyna licząca znika pod pokrywą. Powieki mu opadły, ale w tej samej chwili zebrał resztki sił i ocknął się. Leibniz się cofnął, Daniel zajął jego miejsce.

– Panie?

Nic więcej nie potrafił z siebie wydusić. Drake mógł być jego ojcem, ale to Wilkins był jego prawdziwym panem prawie w każdym sensie tego słowa: jako lord, biskup, pastor i profesor.

– Cała odpowiedzialność spoczywa teraz na twoich barkach. To ty musisz urzeczywistnić nasze zamiary.

– Tak, panie? Jakie zamiary?

Ale Wilkins albo już zasnął, albo umarł.

\* \* \*

Prawie po omacku przeszli przez małą, mroczną kuchnię i znaleźli się w labiryncie uliczek i zaułków na tyłach Chancery Lane, natychmiast przyciągając uwagę psów i kogutów. Ścigani ich jazgotem pan Waterhouse i doktor Leibniz trafili do dzielnicy kawiarni i teatrów. Mogli wybrać dowolną kawiarenkę, ale znaleźli się niepokojąco blisko Queen Street, gdzie Hooke realizował jeden ze swoich projektów budowlanych. Daniel zaczynał się czuć jak pchła pod mikroskopem. Hooke zagarnął połowę wszechświata i zmusił Daniela do ucieczki, choć ten nie miał nic do ukrycia. Za to Leibniz z ożywieniem i zapałem poznawał nowe miasto.

Zawrócili w stronę rzeki. Daniel cały czas głowił się nad tym, jakąż to dokładnie odpowiedzialnością obarczył go Wilkins. Dopiero po półgodzinie (przez którą był naprawdę fatalnym rozmówcą) zdał sobie sprawę, że Leibniz może mu coś odpowiedzieć.

– Mówił pan o kontynuowaniu prac Wilkinsa, doktorze. Które z jego projektów miał pan na myśli? Lot na księżyc? Czy...

– Język filozoficzny – odparł Leibniz takim tonem, jakby to było zupełnie oczywiste.

Wiedział, że Daniel pracował nad językiem filozoficznym i z jego pytania wnioskował (zresztą słusznie), że nie uważa tego za powód do dumy. Za to Daniel, widząc, z jakim szacunkiem Leibniz wypowiada się o dziele Wilkinsa, poczuł bolesne ukłucie niepokoju. Może jednak język filozoficzny miał jakieś cudowne cechy, które on w swojej głupocie przeoczył?

– A co jeszcze można z nim zrobić? – zapytał na głos. – Chce pan wprowadzić jakieś uściślenia? Coś dodać? Przełożyć całość na niemiecki? Kręci pan głową, doktorze... O co w takim razie chodzi?

– Studiowałem prawo. Proszę nie robić takiej przerażonej miny, panie Waterhouse, w Niemczech bycie prawnikiem nie przynosi wykształconemu człowiekowi żadnej ujmę. Niech pan nie zapomina, że my nie mamy Towarzystwa Królewskiego. Po uzyskaniu tytułu doktora praw zatrudniłem się w urzędzie arcybiskupa Moguncji, który zlecił mi zreformowanie kodeksu prawnego, istnej Wieży Babel, w której prawo rzymskie pomieszano z germańskim, a potem jeszcze z lokalnym i zwyczajowym. Doszedłem do wniosku, że nie ma sensu niczego naprawiać. Należałoby raczej rozłożyć kodeks na czynniki pierwsze i zacząć budowę od podstaw.

– Rozumiem, że język filozoficzny może być przydatny do rozkładania rzeczy na części – przyznał Daniel. – Ale do ich odbudowy potrzebowałby pan zupełnie innego narzędzia...

– Logiki.

– Logika cieszy się fatalną reputacją wśród luminarzy Towarzystwa.

– Ponieważ kojarzy im się z pedantycznymi scholastykami, którzy dręczyli ich na studiach – zgodził się Leibniz. – Ale nie o to mi chodziło. Mówiąc o logice, mam na myśli logikę euklidesową.

– Czyli chciałby pan wyjść od pewnych aksjomatów i wykorzystując określone reguły...

– Stworzyć system prawny, który byłby równie spójny i niepodważalny jak teoria przekrojów stożków.

– Ale niedawno przeprowadził się pan do Paryża, nieprawdaż?

– W ramach tego samego projektu. – Leibniz skinął głową. – Z oczywistych powodów muszę podszkolić się z matematyki, a gdzie zrobić to lepiej niż w Paryżu? – Zamyślił się. – Prawdę mówiąc, był jeszcze jeden powód. Arcybiskup wysłał mnie jako emisariusza do króla Ludwika XIV, abym przedstawił mu pewną propozycję.

– Zatem nie pierwszy raz łączy pan filozofię naturalną z dyplomacją.

– I obawiam się, że nie ostatni.

– Jaka propozycję przedłożył pan królowi?

– Szczerze powiedziawszy, dotarłem tylko do Colberta. Ale chodziło o to, żeby zamiast napadać na sąsiadów, *La France* zorganizowała wyprawę do Egiptu i powołała tam do życia cesarstwo zagrażające lewemu skrzydłu wojsk tureckich. Turek musiałby wówczas odwołać część wojsk z prawej flanki...

– Które obecnie stanowią zagrożenie dla świata chrześcijańskiego.

– No właśnie. – Leibniz westchnął.

– Brzmi to dość... hmm... zuchwale – przyznał Daniel, dla którego właśnie rozpoczęła się pierwsza samodzielna misja dyplomatyczna.

– Zanim dotarłem do Paryża i umówiłem się na spotkanie z Colbertem, król pchnął już wojsko do Holandii i Niemiec.

– No cóż... Ale pomysł był przedni.

– Może w przyszłości urzeczywistni go jakiś inny francuski monarcha. Konsekwencje działań króla były dla Holendrów nader niekorzystne, dla mnie zaś całkiem pomyślne. Mogłem zarzucić dyplomatyczne wygibasy, udać się do domu Colberta przy Rue Vivienne i wziąć się za bary z gigantami filozofii naturalnej.

– Ja już skapitulowałem – przyznał smętnie Daniel. – Teraz tylko podążam ich śladem.

Zeszli aż na Strand i usiedli w kawiarni, której okna wychodziły na południe. Daniel przechylił maszynę arytmetyczną do światła i obejrzał jej precyzyjny mechanizm.

– Proszę mi wybaczyć, doktorze, ale czy to urządzenie służy panu wyłącznie jako rekwizyt ułatwiający przełamanie lodów, czy też...

– Może powinien pan wrócić do Wilkinsa i jego o to zapytać.

– *Touche.*

Przerwa na sączenie kawy.

– Lord Chester miał w pewnym sensie rację, kiedy mówił, że Hooke mógłby coś takiego zbudować – odezwał się Daniel. – Nie tak dawno, zaledwie przed kilku laty, był ciałem i duszą oddany Towarzystwu. Wtedy na pewno byłby to zrobił. Teraz jednak jest londyńczykiem pełną gębą i zegarki konstruuje za niego wynajęci rzemieślnicy. Może z wyjątkiem tych, które robi dla króla, księcia Yorku i tym podobnych postaci.

– Jeżeli uda mi się przekonać pana Hooke'a o znaczeniu tego urządzenia, z pewnością podejmie się jego konstrukcji.

– Pan go nie zna. Jest pan Niemcem i zapewne ma rozległe znajomości za granicą. Hooke uzna pana za członka grubendolskiego spisku, który w jego przekonaniu jest tak rozległy, że inwazja Francuzów na Egipt byłaby w nim zaledwie marginalnym epizodem.

– Grubendolski spisek? – zdziwił się Leibniz, ale zanim Daniel zdążył coś powiedzieć, odezwał się ponownie: – No tak, przecież „Grubendol” to anagram „Oldenburga”.

Daniel zgrzytnął zębami, przypomniawszy sobie, ile sam potrzebował czasu na rozszyfrowanie tego anagramu, i mówił dalej:

– Hooke jest przekonany, że Oldenburg podkrada mu wynalazki i wysyła ich opisy za granicę w zaszyfrowanych listach. Co gorsza, widział, jak pan wysiada z łodzi pod mostem i odbiera list od powszechnie znanego Holendra. Będzie ciekawy, w jakie to kontynentalne intrygi jest pan zamieszany.

– Nie czynię tajemnicy z faktu, że arcybiskup Moguncji jest moim patronem.

– Przedstawił się pan jako luteranin.

– Bo nim jestem. Jednym z celów polityki arcybiskupa jest pojednanie dwóch Kościołów protestanckich.

– U nas mówi się, że jest ich więcej niż dwa.



– Czy Hooke jest człowiekiem religijnym?

– Jeśli pyta pan o to, czy chodzi do kościoła, to nie – odparł z wahaniem Daniel. – Ale jeśli interesuje pana, czy wierzy w Boga, powinienem powiedzieć „tak”. Mikroskop i teleskop są dla niego witrażami, a drobnoustroje widoczne w kropli nasienia i cienie pierścieni Saturna – boskimi wizjami.

– Czyli przypomina Spinozę, tak?

– To Spinoza twierdzi, że Bóg jest przyrodą i niczym więcej? Jeśli tak, to nie wydaje mi się, żeby Hooke go przypominał.

– Czego on naprawdę chce?

– Od rana do wieczora projektuje nowe domy, wytycza nowe ulice...

– A ja pracuję nad reformą niemieckiego kodeksu prawnego, ale nie jest ona celem mojego życia.

– Pan Hooke knuje spiski i intrygi wymierzone w Oldenburga...

– Ale chyba nie dlatego, że w głębi serca tego właśnie chce?

– Pisze artykuły, wygłasza odczyty...

Leibniz prychnął z irytacją.

– Nawet dziesiąta część jego wiedzy nie została przelana na papier! Nie mam racji?

– Hooke jest często niezrozumiany, z dwóch powodów: bywa fałszywy i ma trudny charakter. W świecie, w którym wielu ludzi nie wierzy w prawdziwość hipotez Kopernika, niektóre co bardziej postępowe idee mogłyby zaprowadzić Hooke'a prosto do Bedlam.

Leibniz zmrużył oczy.

– W takim razie... Czy jest alchemikiem?

– Pan Hooke gardzi alchemią.

– I bardzo dobrze! – wyrwało się Leibnizowi, nad wyraz niedyplomatycznie. Daniel ukrył uśmiech za filiżanką z kawą, Leibniz zaś przeraził się śmiertelnie, że jego rozmówca sam jest alchemikiem.

Daniel postanowił uspokoić go cytatem z Hooke'a:

– Po co szukać tajemnicy tam, gdzie jej nie ma? I jak rabini wymyślać kabałę, doszukiwać się sekretów w cyfrach i ułożeniu liter, gdzie z całą pewnością być ich nie może. Za to w formach naturalnych... Im bardziej powiększamy jakiś obiekt, tym więcej cudów i tajemnic odkrywamy. Tym bardziej niedoskonałe okazują się nasze zmysły. Tym większa jest wszechmoc i tym cudowniejsza nieograniczona percepcja Stwórcy.

– Czyli Hooke jest zdania, że tajemnice świata można odkryć pod mikroskopem?

– Tak. Na przykład badając płatki śniegu. Skoro każdy jest inny, to dlaczego każdy ma sześć identycznych ramion?

– Jeżeli założyć, że ramiona rosną od środka na zewnątrz, w centrum płatka musi znajdować się coś, z czego czerpią wspólną regułę porządkującą. Tak samo jak wszystkie dęby czy lipy mają wspólną naturę i podobny pokrój.

– Ale mówienie o jakiejś tajemniczej „Naturze” zalatuje scholastyką. To tak, jakby Arystoteles włożył renesansowy kaftan.

– Albo szaty alchemika – odparował Leibniz.

– Zgoda. Newton pewnie by powiedział...

– To ten, co wynalazł teleskop?

– Tak. Powiedziałby, że skoro możemy złapać płatek śniegu, stopić go i przedestylować wodę, powinniśmy móc wyekstrahować z niej esencję, określającą jego prawdziwy charakter i determinującą kształt.

– Rzeczywiście... Oto piękny przykład typowego dla alchemików przekonania, że wszystko, czego nie rozumiemy, musi mieć jakieś fizyczne residuum, które da się wydestylować z surowej materii.

– Pan Hooke z kolei uważa, że natura harmonijnie współgra z ludzkim umysłem. Trzepot muszych skrzydełek współbrzmi z tonem napiętej struny; jedno w drugim wywołuje rezonans. W taki sam sposób każde zjawisko na świecie daje się pojąć na drodze logicznego rozumowania.

– A zatem mając odpowiednio mocny mikroskop, Hooke będzie mógł zajrzeć w serce płatka śniegu w chwili jego powstania i śledzić przeplatanie się jego elementów, niczym zazębianie się trybów bożego zegara.

– W rzeczy samej.

– Tego właśnie chce?

– Taki jest ostateczny cel wszystkich jego eksperymentów. On musi w niego wierzyć i musi do niego dążyć, bo taką już ma naturę.

– Teraz to pan mówi jak arystotelik – zażartował Leibniz. Sięgnął przez stół, położył rękę na pudełku z maszyną liczącą i powiedział, najwyraźniej zupełnie poważnie: – Ta maszyna jest dla myśli tym, czym zegar dla czasu.

– Ależ panie doktorze! Pokazuje mi pan garść trybików, które dodają i mnożą liczby... To piękne. Ale od liczenia do myślenia daleka droga.

– Czym jest liczba, panie Waterhouse?

– Jak pan może zadawać takie pytania? – jęknął Daniel.

– A jak można ich nie zadawać?! Jest pan filozofem, prawda?

– Tak, naturalistą.

– Zgodzi się więc pan ze mną, że we współczesnym świecie matematyka stanowi jądro filozofii naturalnej. Jest jak ta niewiadoma esencja we wnętrzu płatka śniegu. Kiedy miałem piętnaście lat, panie Waterhouse, podczas spaceru po ogrodzie Rosenthal na obrzeżach Lipska doszedłem do wniosku, że jeśli chcę być naturalistą, muszę zapomnieć o starej doktrynie prawdziwych form i poszukać mechanizmu, który objaśni naturę świata. A to w sposób nieunikniony pchnęło mnie w objęcia matematyki.

– Kiedy ja miałem piętnaście lat, stałem na ulicy niedaleko stąd i rozdawałem dysydenckie paszkwile, próbując nie wpaść w ręce straży miejskiej. Ale z czasem, w miarę jak w Cambridge zgłębialiśmy z Newtonem pisma Kartezjusza, nauczyłem się podzielać pański pogląd o uprzywilejowanej pozycji matematyki.

– W takim razie powtórzę moje pytanie: Czym jest liczba? I co to oznacza: pomnożyć jedną liczbę przez drugą?

– Cokolwiek to znaczy, doktorze, z pewnością nie oznacza myślenia.

– Bacon powiedział, że wszystko, co wykazuje zauważalne dla zmysłów różnice, nadaje się do wyrażania myśli. Nie zaprzeczy pan chyba, że w tym sensie liczby również się nadają...

– Do wyrażania myśli? Jak najbardziej! Ale wyrażanie myśli i rozumowanie to nie to samo! W przeciwnym razie pióra i prasy drukarskie same pisałyby wiersze.

– Umiałby pan podzielać na tę łyżeczkę siłą swojego umysłu? – Leibniz wziął srebrną łyżeczkę i położył ją na środku stołu.

– Musiałbym użyć rąk.

– Dobrze. Czy kiedy pan o niej myśli, pański umysł nią manipuluje?

– Nie. Mogę o niej myśleć, co zechcę, ale nie mam na nią żadnego wpływu.

– A to dlatego że nasze umysły są niezdolne do interakcji ze światem fizycznym: z filiżanką, ze spodkiem, z łyżeczką. Zamiast nich operują ich symbolami, które mamy zakodowane w pamięci.

– Mogę się z tym zgodzić.

– Pomagał pan lordowi Chester opracować język filozoficzny, którego główną zaletą jest fakt, że wszystkiemu, co istnieje na świecie, da się przypisać miejsce w tabeli. Miejsce, które można zakodować za pomocą liczb.

– Powtórzę: liczby mogą wyrażać myśli, to tylko kwestia odpowiedniego kodowania. Ale to nadal co innego niż rzeczywiste rozumowanie!

– Dlaczego? Przecież my też dodajemy, odejmujemy i mnożymy.

– Przypuśćmy, że liczba trzy symbolizuje kurczaka, a liczba dwanaście pierścienie Saturna. Ile to będzie trzy razy dwanaście?

– No nie, nie można dokonywać takich operacji zupełnie przypadkowo. To tak jakby Euklides chciał na oślep rysować proste i okręgi i wyprowadzać z nich swoje twierdzenia. Należy stworzyć formalny system reguł rządzących łączeniem liczb.

– I w tym celu chce pan zbudować maszynę?

– *Pourquoi non?* Dzięki niej prawda będzie widoczna równie wyraźnie, jak rysunek na papierze.

– Ale to w dalszym ciągu nie będzie myślenie. Myśleć mogą anioły... To dar Boga dla człowieka.

– A jak pan sądzi, w jaki sposób Bóg go nam przekazał?

– Nawet nie śmiem zgadywać, drogi panie!

– Czy jeżeli przedestyluje pan ludzki umysł, wydobędzie pan z niego esencję obecności Boga na Ziemi?

– To właśnie alchemicy nazywają rtęcią filozoficzną.

– A czy gdyby Hooke zajrzał w głąb ludzkiego mózgu przez udoskonalony mikroskop, znalazłby w nim niewidoczne gołym okiem trybiki?

Daniel milczał. Słowa Leibniza spowodowały u niego implozję mózgu, zębatki w jego głowie stały, filozoficzna rtęć wyciekała uszami.

– W sprawie płatków śniegu opowiedział się pan już po stronie Hooke’a i przeciwko Newtonowi – ciągnął Leibniz przesadnie uprzejmym tonem. – Czy słusznie mniemam, że podobne stanowisko zajmuje pan w kwestii mózgu?

Daniel zagapił się przez okno w przestrzeń i dopiero po bardzo długiej chwili jego duch wrócił do kawiarni. Mężczyzna zerknął z ukosa na maszynę arytmetyczną.

– W pewnym miejscu w *Micrographii* Hooke pisze o muchach rojących się wokół kawałka mięsa, motylach zlatujących się do kwiatów, gzach krążących nad wodą... Wszystko to podaje jako rzekome przykłady racjonalnego zachowania. Uważa jednak, że w rzeczywistości zachowanie insektów jest wymuszone oparami unoszącymi się nad mięsem, kwiatami czy wodą. Inaczej mówiąc, owady są równie bezmyślne jak pułapka, która zabija zwierzę strzałem z samopału, kiedy ofiara, chwytając przynętę, pociągnie za linkę. Dzikus mógłby wziąć pułapkę za istotę rozumną, ale to nie ona działa racjonalnie, tylko ten, kto ją wymyślił i zastawił. Jeśli pomysłowy doktor Leibniz zbuduje maszynę wykazującą pozory myślenia... Czy będzie to prawdziwe myślenie, czy tylko odzwierciedlenie jego geniuszu?

– Równie dobrze mógłby pan zapytać, czy my naprawdę myślimy, czy też nasze myślenie jest odbiciem geniuszu Boga?

– Przypuśćmy, że o to właśnie pytam. Co pan odpowie, doktorze?

– Obie odpowiedzi są poprawne, panie Waterhouse.

– Obie? To niemożliwe. Musi pan wybrać jedną z nich.

– Nie zgadzam się z panem.

– Jeżeli jesteśmy tylko mechanizmami działającymi według boskich reguł, to całym naszym życiem rządzi przeznaczenie, w którym na myślenie nie ma miejsca.

– Panie Waterhouse, wychował się pan wśród purytanów, którzy wierzą w predestynację.

– To prawda, wychowałem się... – Daniel zawiesił głos.

– Ale nie akceptuje pan już tego poglądu?

– Ten pogląd nie zgadza się z moimi spostrzeżeniami na temat otaczającego nas świata. – Daniel westchnął. – A dobra hipoteza powinna z nimi słodko współbrzmieć. Zaczynam rozumieć, dlaczego Newton wybrał drogę alchemii.

– Kiedy mówi pan, że Newton ją wybrał, daje pan do zrozumienia, że jakąś inną odrzucił. Czy to ma znaczyć, że pański przyjaciel Newton zbadał ideę mózgu sterowanego mechanicznie i że mu się nie spodobała?

– Nie jest wykluczone, że ją rozważał, chociaż, być może, tylko w snach.

Leibniz uniósł brwi i bez słowa wpatrywał się w stojące na blacie dzbanuszki i filiżanki.

– Oto jeden z dwóch wielkich labiryntów, w których błądzi ludzki umysł: opozycja wolnej woli i predestynacji. Wychowano pana w ten sposób, że uwierzył pan w predestynację. Potem ją pan odrzucił, stoczywszy zapewne okrutną walkę z samym sobą, i został myślicielem. Przynajmniej pan sobie nowoczesną filozofię mechanistyczną, która jednak zdaje się prowadzić pana z powrotem ku predestynacji. To bardzo skomplikowane.

– Ale pan podobno zna trzecią możliwość, doktorze. Chętnie posłucham.

– A ja chętnie opowiem, na razie jednak muszę pana pożegnać i spotkać się z moimi towarzyszami podróży. Wrócimy do tej rozmowy przy innej okazji. Co pan na to?

## **Na *Minerwie*, w Zatoce Cape Cod, Massachusetts**

### **Listopad 1713**

W czasach, gdy Towarzystwo Królewskie dopiero raczkowało, Daniel rozkroił więcej trupich głów, niżby chciał, zdaje sobie więc sprawę, że kadłub czaszki jest opleciony młazszącym takielunkiem: fały ścięgien i brasy chrząstek, umocowane do kołkownic szczęk i skroni, napinają płótna mięśni, które zakrzywiają się nad czołem i otulają starego Jolly Rogera nakładającymi się warstwami, równie licznymi jak żagle na liniowcu. Kiedy wynurza się z zęzy *Minerwy*, wlokąc za sobą podzwaniający worek amunicji, czuje, że jego prywatne olinowanie napina się nieubłaganie; każdy krok po schodach to kolejny skok zapadki w tkwiącym w jego czaszce kabestanie, obracanym przez niewidzialnych marynarzy. Ostatnią godzinę spędził poniżej linii wodnej (nie była to jego ulubiona okolica na statku, ale przynajmniej czuł się tam bezpieczny od kul armatnich), miażdżąc tłuczkiem porcelanowe talerze i rycząc stare piosenki. Nigdy w życiu nie czuł się tak odprężony. Teraz jednak wdrapał się z powrotem do środkowej części kadłuba, w sam raz nadającej się na cel dla pirackich snajperów, którzy zwątpiliby w swoją umiejętność zestrzeliwania pojedynczych ruchomych celów z pokładu.

Przez cały środek kadłuba *Minerwy* prowadzi szeroka klatka schodowa, umieszczona tuż przed potężnym, trzeszczącym grotmasztem. Biegną w niej dwie spirale schodów, żeby ludzie zbiegający pod pokład nie wpadali na wchodzących na górę – albo żeby dziadkowie z workami potłuczonej porcelany nie plątali się pod nogami chłopcom wynoszącym z ładowni... Co właściwie? Pod pokładem panuje półmrok. Chłopcy taszczą chyba jakieś

płócienne worki, wypchane, kanciaste, z których sterczą zardzewiałe gwoździe. Daniel cieszy się, że chodzą po drugich schodach, bo nie chciałby się nadziać na któryś z tych worków. Jedno skaleczenie takim żelastwem to murowany tęzec.

Na pokładzie działowym realizowana jest jakaś złożona procedura. Ambrazury są pozamykane, tylko jedna, na sterburcie, pozostaje uchylona dosłownie na szerokość dłoni – na sterburcie, a więc całkiem blisko wchodzącego po schodach Daniela. Wokół otworu zebrało się kilku dość wysokich rangą oficerów, jakby w oczekiwaniu na chrzest. Poszycie i górny pokład rozbrzmiewają donośnym dudnieniem, świstem i ogólnym zamieszaniem. To mógłby być ostrzał – a skoro mógłby, to z pewnością jest. Ktoś zabiera Danielowi worek i wlecze go na środek pokładu działowego. Marynarze z pustymi garłaczami zbiegają się do niego jak szakale do ścierwa.

Daniel dostaje łokciem pod żebro od żeglarza, który ciągnie linę wchodzącą do wnętrza kadłuba przez mały otworek nad ambrazurą. Kuksaniec ma podwójny skutek: (1) Daniel uderza kościstą miednicą o deski pokładu, oraz (2) wyżej wzmiankowana ambrazura otwiera się na oścież i staje oślepiającym kwadratem blasku. Widać w niej wycinek takielunku innego, mniejszego statku, znajdującego się tak blisko, że młody i sprawny człowiek bez problemu by na niego przeskoczył. Na pokładzie stoi mężczyzna – pirat, który mierzy do Daniela z muszkietu. Zostaje jednak powalony gradem odłamków starej porcelany wystrzelonych z *Minerwy*.

– Kotewki zrzuci! – rozlega się rozkaz.

Chłopcy z workami dopadają do otwartej ambrazury i zasypują mniejszy statek dźwięczącym chaosem. Chwilę później taka sama ceremonia powtarza się przy ambrazurze na bakburcie – zatem i tam musiała przybić jakaś piracka jednostka. Pokrywy ambrazur – ozdobione nowym motywem dekoracyjnym: konstelacjami dziur po wystrzelonych w nie ołowianych kulach – zostają zamknięte.

Stosunek natężenia rozpaczliwych wrzasków do gniewnych okrzyków wyraźnie wzrasta. Daniel (gramoląc się z pokładu, dziękując bardzo, i przemieszczając bokiem pod maszt, aby tam bezpiecznie sporządzić listę skarg i wniosków) dochodzi do wniosku, że źródłem tych pierwszych są zapewne bosonodzy piraci, którym kotewki powbijały się w stopy. Potem słyszy okrzyk „Ogień! Ogień!” i dostrzega smuzkę dymu sączącą się do środka przez popękaną pokrywę ambrazury. Instynkt każe mu zapomnieć o siniakach i obolałych mięśniach i Daniel pokonuje ostatni odcinek schodów w tempie godnym ośmioletniego pomocnika artylerzysty. Wypada na pokład zalany słońcem i przesłaniany pochodzącymi od żagli plamami cienia. Woli zaryzykować trafienie z muszkietu.

Ale to nie *Minerwa* się pali, tylko kołyszący się obok niej piracki słup. Liny dochodzące do *Minerwy* od strony sterburty wiotczą – tak się składa, że każda z nich kończy się zardzewiałym hakiem, zaczepionym o wyblinkę lub reling. Piraci odcinają je, żeby się uwolnić!

Marynarze na *Minerwie* gremialnie rzucają się na bakburłę, gdzie wciąż naprzykrza im się łódź wielorybnicza. Statek robi zwrot w lewo i łódź wychodzi spod osłony jego kasztelu rufowego. Natychmiast zostaje ostrzelana z garłaczy i muszkietów. Daniel tylko przez chwilę może podziwiać skutki tej salwy – są wstrząsające – bo *Minerwa* natychmiast robi zwrot w drugą stronę i łódź znika mu z oczu.

Żeglarze wrzucają broń do skrzyń i wspinają się na reje, posłuszni rozkazom van Hoeka, wykrzykiwanym z kasztelu rufowego przez błyszczącą tubę z kutego mosiądzu. Pod pokładem jest całkiem sporo ludzi, którzy mogliby się przydać na górze, ale nikt nie wychodzi. Daniel, zaczynając się powoli orientować w regułach rządzących walką z piratami, rozumie już, że van Hoek chce ukryć przed Teachem prawdziwą liczebność swojej załogi.

Od godziny płyną na południe pełnym wiatrem (a właściwie baksztagiem, bo wiatr zmienił kierunek o kilka rumbów i wieje teraz bardziej od zachodu). Przed dziobem mają południową odnogę Cape Cod, która blokuje im dalszą drogę. Zresztą na długo przed dotarciem do brzegu *Minerwa* i tak ugrzęzłaby w grubym, brunatnym piachu mielizn. Muszą zatem zrobić zwrot, wyostrzyć kurs i wychynąć na otwarty ocean. Wszystkie te stosunkowo proste określenia – takie jak, na przykład, „zrobić zwrot” – oznaczają w istocie procedury równie skomplikowane i spętane więzami tradycji jak wybór nowego papieża. Barczyści marynarze biegną na dziób – muszą poluzować i zwinąć fok, oraz ściągnąć i schować latacz. Zajmują pozycje na pokładzie dziobowym, niektórzy wczołgują się na bukszpryt, ale wcześniej ustępują miejsca swoim chudym i żyłastym kompanom, którzy z mozołem wspinają się na fokmaszt, żeby zdjąć foktopsel i inne, jeszcze wyżej zawieszane płótna. Przeprowadzenie całej operacji przypomina przedzieranie się przez gęsty zagajnik, zjeżony żeglarskimi detalami. To tak, jakby obserwować przy pracy pięćdziesięciu chirurgów dokonujących sekcji pięćdziesięciu różnych zwierząt jednocześnie. Pół wieku temu Daniel byłby zachwycony i zafascynowany, dałby się ponieść urokom takiego życia i został kapitanem żaglowca. Teraz jednak, podobnie jak kapitan, który zdejmuje i refuje żagle przy zbyt silnym wietrze, aby nie wpaść na mieliznę, stara się ze wszystkich sił ignorować panujące na pokładzie zamieszanie i zrozumieć jego ogólny cel: *Minerwa* ostrzy do wiatru. W jej kilwaterze, milę za rufą, kołysze się słup z łopoczącymi żaglami, bezwładnie dryfując w lewo; piraci usiłują stłumić ogień mokrymi szmatami, a przy tym nie nadepnąć na rozsypane na pokładzie kotewki. Kilka mil dalej na północ, na wodach zatoki, czekają rozstawione w tyralierę następne cztery okręty.

Przez takielunek *Minerwy* przebiega przeraźliwy łopot i drzenie; wszystkie żagle trzepoczą, zmieniając swoje położenie względem wiatru, a potem jak na komendę napinają się i prężą (zgodnie z oczekiwaniami marynarzy) i statek rusza na północny wschód, lewym halsem, najostrzej jak może. W kilka minut zrównuje się z bezwładnym słupem, który bardziej teraz paruje niż dymi i właśnie próbuje stawiać żagle. Widać, że kotewki i odłamki

porcelany wprowadziły całkowite rozprężenie wśród załogi. Nikt nie kieruje wysiłkami żeglarzy, toteż słup porusza się dość nieskładnie.

Tym dziwniejsza wydaje się decyzja van Hoeka, który zarządza zwrot przez sztag. *Minerwa* zmienia kurs i prze wprost na lawirujący słup. Chwilę później wzdryga się lekko, taranując mniejszą jednostkę, a potem jej kadłub przebiega drzenie, kiedy stępka wgniata pod wodę szczątki stateczku. Ludzie na forkasztelem biorą do rąk kordelasy i toporki i odcinają oplątujące bukszpryt resztki takielunku słupa. Van Hoek podchodzi do relingu kasztelek rufowego, wyciąga pistolet i w chmurze dymu wysyła i tak już tonącego pirata do piekła.

## **Spotkanie Towarzystwa Królewskiego, Gunfleet House**

**1673**

– Ponawiam swój sprzeciw – stwierdził Robert Boyle. – Wydaje mi się wysoce niewłaściwe, abyśmy inwentaryzowali wnętrza założyciela naszego Towarzystwa niczym jakieś znalezione w skrzyni pamiątki...

– Oddalam sprzeciw – przerwał mu John Comstock, nadal (choć już niedługo) pełniący funkcję przewodniczącego. – Ale przez szacunek dla naszego niezwykle łaskawego gospodarza chciałbym jeszcze usłyszeć jego opinię.

Thomas More Anglesey, książę Gunfleet, siedział w swoim salonie, u szczytu nowiuteńskiego, emaliowanego złotem i bielą barokowego stołu. Otaczali go ludzie w ogromnych perukach (wśród nich John Comstock), rozsądzeni wokół tegoż stołu zgodnie z równie barokowymi zasadami protokołu. Anglesey wyjął ogromny zegarek z kieszeni perskiej kamizelki i przechylił go do światła wpadającego do pokoju przez mierzące dobre pół akra okno, niedawno wstawione i charakteryzujące się wyjątkową przezroczystością, bezbarwnością i brakiem pęcherzyków powietrza w szkle.

– Zdamy w pięćdziesiąt sekund? – zapytał.

Było słychać, jak wszystkim dookoła zapało dech w piersi. Daniel kątem oka widział, jak kilka innych osób chowa kieszonkowe zegarki; czasomierze były stare, a kieszenie często postrzępione i wyświecone. Tylko hrabia Upnor i – o dziwo! – Roger Comstock (siedzący tuż obok Daniela) mieli czyściutkie kieszenie i nowe zegarki, które w dodatku udało im się zaprezentować w taki sposób, że chyba wszyscy w pokoju dostrzegli, iż są zaopatrzone nie w dwie, lecz trzy wskazówki. Jedna z nich przemieszczała się z taką szybkością, że można było bez problemu śledzić jej ruch. Odmierzała pojedyncze sekundy!

Wielu gości spojrzało spode łba na Roberta Hooke'a, tego Hefajstosa miniatuerek, on zaś udawał, że zainteresowanie publiki nic a nic go nie obchodzi. Zresztą chyba nie musiał udawać.



Daniel zerknął na Leibniza, który trzymał na kolanach swoją skrzynkę i nieobecny wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń.

Jego wyraz twarzy zwrócił również uwagę Rogera Comstocka.

– Czy Niemcy robią taką minę, kiedy mają się za chwilę rozplakać?

Upnor zauważył jego spojrzenie i usłyszał tę uwagę.

– Albo kiedy mają dobrać szabli i zacząć kosić Turków – odparł.

– Powinniśmy mu być wdzięczni, że w ogóle przyszedł – mruknął Daniel, zahipnotyzowany widokiem sekundnika w zegarku Comstocka. – Wczoraj dowiedział się, że w Moguncji zmarł jego mecenas.

– Najpewniej ze wstydu – wysyczał hrabia Upnor.

Na środek pokoju wypchnięto podenerwowanego i zagubionego medyka. Nie dość, że pokój był naprawdę spory, to jeszcze jego właściciel, książę Gunfleet, upierał się (zapewne pod wpływem architekta), żeby nazywać go *Grand Salon*, co po francusku znaczyło po prostu „Duży, Duży Pokój”. Tym niemniej po zastosowaniu francuskiej nomenklatury wnętrze wydawało się nieco większe – i o niebo bardziej szykowne.

Zresztą nawet zwykły Duży, Duży Pokój byłby za duży i zbyt szykowny dla skromnego chirurga.

– Pięćdziesiąt sekund?! – powtórzył medyk.

Nastąpiła niezręczna przerwa, trwająca z pewnością dłużej niż pięćdziesiąt sekund, podczas której jakiś życzliwy członek Towarzystwa usiłował mu wytłumaczyć ideę pięćdziesięciosekundowego odcinka czasu.

– Na pewno słyszał pan o minucie długości geograficznej! – wykrzyknął ktoś z tylnych rzędów krzeseł w Dużym Dużym Pokoju. – Jak się nazywa jej sześćdziesiąta część?

– Sekunda długości geograficznej – odparł chirurg.

– A zatem, przez analogię, jedna sześćdziesiąta minuty będącej miarą czasu to...

– Sekunda... czasu – wykrztusił medyk i zmartwiało, dokonawszy w pamięci szybkich, zgrubnych obliczeń.

– Jedna trzy tysiące sześćsetna godziny – rozległ się czyjś znudzony głos z francuskim akcentem.

– Czas ucieka! – wtrącił Boyle. – Przejdźmy do następnego punktu...

– Dajmy naszemu dobremu doktorowi drugie pięćdziesiąt sekund – zarządził łaskawie Anglesey.

– Dziękuję, mój panie. – Chirurg odchrząknął. – Może ci spośród panów, którzy są klientami pana Hooke’a, śledzą jego prace związane z pomiarem czasu i korzystają z jego pomysłowych wynalazków, będą tak łaskawi, żeby na bieżąco informować mnie o upływie czasu podczas prezentacji wyników sekcji lorda Chester...

– Chętnie się tym zajmę – przerwał mu hrabia Upnor. – Minęło dwadzieścia sekund.

– Ależ Louis, wypadaloby okazać więcej szacunku zarówno naszemu założycielowi, jak i doktorowi – zwrócił mu uwagę ojciec.

– Co do pierwszego, to chyba się spóźniłeś, ojcze, ale zgadzam się na to drugie.

– Świetnie! – zawołał Boyle. – Słuchamy.

Medyk zająknął się, ale John Comstock posłał mu uspokajające spojrzenie.

– Większość organów wewnętrznych lorda Chester wyglądała zupełnie zwyczajnie jak na człowieka w jego wieku. W jednej nerce znalazłem dwa małe kamyki, w pęcherzu moczowym trochę drobnego żwiru. Dziękuję za uwagę.

Chirurg usiadł pospiesznie, niczym piechociarz, który właśnie dostrzegł smużki dymu buchające z panewek muszkietów żołnierzy wroga. W pokoju rozległo się stłumione buczenie, jakby *Grand Salon* był jednym ze szklanych uli Wilkinsa, a medyk – chłopcem, który patykiem szturchnął gniazdo. Z tą różnicą, że królowa nie żyła, a pszczołki nie mogły dojść do porozumienia, kogo by tu uządlić.

– Miałem rację – stwierdził w końcu Hooke. – Chory mógł do końca oddawać mocz, cierpiał natomiast ogromny ból, spowodowany kamieniami nerkowymi. Ból, który kazał mu szukać ukojenia w opiatach.

Równie dobrze mógłby chlusnąć *monsieur* LeFebure'owi wodą w twarz. Królewski aptekarz wstał.

– Fakt, że ulżyłem biskupowi Chester w cierpieniu, poczytuję sobie za największy zaszczyt w mojej karierze – oświadczył. – Byłoby mi bardzo przykro, gdyby okazało się, że inny z przyjmowanych przez niego medykamentów przyczynił się do jego śmierci.

Buczenie wzmogło się i zmieniło tonację. Roger Comstock wstał i powiedział, podnosząc głos:

– Gdyby pan Pepys był łaskaw pokazać nam swój kamień...

Siedzący po drugiej stronie pokoju Pepys zerwał się na równe nogi i sięgnął do wypchanej kieszeni, ale John Comstock zmroził ich obu lodowatym spojrzeniem.

– To żadna łaskawość ze strony pana Pepysa, panie... hmm... Comstock – zauważył. – Wszyscy go już widzieliśmy.

Kolej na Daniela:

– Kamień pana Pepysa jest naprawdę ogromny, a mimo to nie spowodował całkowitego zatrzymania moczu. Czy biorąc pod uwagę niewielką średnicę moczowodów, nie można dopuścić myśli, że mały kamień zablokuje je równie skutecznie jak duży? Albo nawet skuteczniej?

Tym razem zamiast buczenia rozległ się basowy szmer: zebrani jednogłośnie przyznali rację ostatniemu mówcy. Daniel usiadł, a Roger Comstock natychmiast obsypał go komplementami.

– Sam miałem kamienie w nerkach – odezwał się Anglesey. – I mogę zaświadczyć, że ból jest wprost nie do opisania.

– Porównywalny z torturami papieskiej inkwizycji? – spytał John Comstock.

– Nic z tego nie rozumiem – przyznał szeptem Daniel.

– To lepiej spróbuj coś zrozumieć, zanim znów się odezwiesz – zasugerował mu Roger. – Dobrze ci radzę.

– Najpierw Anglesey i Comstock zgodnie hańbią cześć nieżyjącego Wilkina, a chwilę później skaczą sobie nawzajem do gardeł z powodów religijnych.

– A co to oznacza dla ciebie, Danielu?

Anglesey był niewzruszony:

– Jestem przekonany, że przedstawiam opinię całego Towarzystwa Królewskiego, wyrażając głęboką wdzięczność *monsieur* LeFebure’owi za opiekę nad lordem Chester w jego ostatnich chwilach.

– *Elixir Proprietalis LeFebure* cieszy się ogromną popularnością na dworze królewskim – odparł John Comstock. – Nawet wśród młodych dam, które nie cierpią na żadne bolesne schorzenia. Niektóre tak go polubiły, że zapoczątkowały nową modę: na sen, z którego już się człowiek nie budzi.

Wymiana zdań coraz bardziej przypominała mecz tenisowy rozgrywany dymiącymi granatami. Dało się słyszeć i widzieć przesuwanie krzeseł i ruchy obserwatorów zajmujących dogodniejsze pozycje do przypatrywania się starciu. *Monsieur* LeFebure bez mrugnięcia okiem odbił lob Comstocka:

– Od czasów antycznych wiadomo, że syrop z maku nawet w małych dawkach mąci osąd i sprowadza koszmary. Chyba się pan ze mną zgodzi?

John Comstock zwęszył pułapkę i nie odpowiedział. Hooke jednak nie zamierzał milczeć.

– Istotnie – powiedział.

– Pański zapał w dociekaniu prawdy jest wzorem dla nas wszystkich, panie Hooke. Oczywiście ten sam syrop podany w większej ilości zabija. Pierwszy objaw, zaburzenia rozumowania, może prowadzić do śmierci z powodu przedawkowania. Właśnie dlatego *Elixir Proprietalis LeFebure* można przyjmować wyłącznie pod moim nadzorem. I dlatego starałem się kilka razy w tygodniu odwiedzać lorda Chester w okresie, w którym narkotyk mógł przytępić jego władzę umysłową.

Opór LeFebure’a irytował Johna Comstocka, ale – jak poniewczasie zorientował się Daniel – podważenie reputacji Francuza nie było jego jedynym zamiarem. Przyświecał mu jeszcze inny cel, łączący go z tradycyjnym rywalem i wrogiem, Thomasem More Angleseyem. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Daniel wstał. Roger pociągnął go wprawdzie za rękaw, ale nie miał szans złapać także za język.

– Widywałem lorda Chester w ostatnich tygodniach jego życia dosyć często i nie zauważyłem, żeby był nie w pełni władz umysłowych. Wprost przeciwnie...

– Nie chciałbym, żeby ktoś podejrzewał pana o niezyczliwość, *monsieur* LeFebure – odezwał się Anglesey, zerkając z ukosa na Daniela. – Czy lord Chester nie traktował przypadkiem tego uszczerbku na umyśle jak ceny, którą warto zapłacić za spędzenie końcówki życia na łonie rodziny?

– Ależ naturalnie. Chętnie na to przystał – przytaknął LeFebure.

– Zapewne dlatego ostatnimi czasy jego dokonania na polu filozofii naturalnej wydawały się mniej znaczące... – zasugerował Comstock.

– Istotnie. I z tego też powodu należałoby patrzeć przez palce na jego niedawną...

– Niedyskrecję?

– Euforię?

– Impulsywną eskapadę na mroczne terytorium polityki...

– Jego umysł osłabł, lecz serce pozostało czyste... Szukał pociechy w dobrodusznym gestach. Miał szlachetne intencje.

Daniel miał dość wysłuchiwanie fałszywych i jadowitych pochwał pod adresem Wilkinsa. Wybiegł do ogrodu i patrzył, jak biała marmurowa syrenka wymiotuje krystalicznie czystą wodą do stawku z rybkami. Roger Comstock stanął za jego plecami.

Wszędzie dookoła stały marmurowe ławki, ale Daniel nie mógłby spokojnie usiedzieć. Trząsał się z wściekłości. Rzadko tak się jej poddawał, ale zaczynał rozumieć, dlaczego Grecy uważali Furie za rodzaj aniołów, które, uzbrojone w bicze i pochodnie, wyfruwały z Erebusu i wpędzały ludzi w szaleństwo. Obserwujący go Roger mógłby pomyśleć, że gwałtowny, nieregularny krok przyjaciela jest spowodowany uderzeniami niewidzialnych biczów, a dzikie grymasy wywołane płomieniem pochodni.

– Oddałbym wszystko za rapier! – powiedział Daniel.

– I zginąłbyś na miejscu.

– Wiem, Rogerze. Chociaż niektórzy powiedzieliby, że są rzeczy gorsze od śmierci. Chwała Bogu, Jeffreysa nie było w salonie. Gdyby zobaczył, jak wymykam się niczym złodziej... – Łzy zdławiły mu głos. Bo to właśnie było najgorsze: nie zrobił nic, absolutnie nic, tylko wybiegł do ogrodu.

– Ty jesteś mądry, tylko nie umiesz się zachować, a ze mną jest dokładnie odwrotnie. Uzupełniamy się nawzajem.

Daniel najpierw poczuł przyływ złości, a potem zdał sobie sprawę, że komplement ze strony człowieka obdarzonego tyloma ułomnościami jest w gruncie rzeczy najwyższą pochwałą. Zmierzył Comstocka wzrokiem od stóp do głów, jakby miał ochotę zdzielić go w nos. Roger nie tyle nosił perukę na głowie, co zagrzebywał się w jej dolnych partiach, a perukę miał idealną. Doskonałą. Nawet gdyby Daniel należał do ludzi, którym łatwo przychodzi okładanie innych po twarzy, nie byłby w stanie naruszyć tej perfekcji.

– Przemawia przez ciebie fałszywa skromność – odparł. – Przecież na pierwszy rzut oka widać, że zrobiłeś coś mądrego.

– Masz na myśli mój strój?! Chyba nie uważasz, że jest fircykowaty?

– Uważam, że musiał sporo kosztować.

– To znaczy jest drogi jak na Złotego Comstocka, tak?

Roger podszedł bliżej. Daniel próbował mu dokuczyć, żeby się go pozbyć, ale Roger wziął jego złośliwość za szczerość – czyli oznakę prawdziwej przyjaźni.

– Z pewnością wyglądasz o niebo lepiej niż kiedy ostatnio się widzieliśmy.

Daniel miał na myśli wybuch w laboratorium, od którego minęło dość czasu, aby im obu odrosły brwi. Od tamtej nocy nie mieli okazji się spotkać, ponieważ Isaac, zastawszy zrujnowane laboratorium, wyrzucił Rogera nie tylko z pracowni, ale w ogóle z Cambridge. W ten sposób zakończyła się kariera akademicka, która chyba i tak zasługiwała na miłosierne ukrócenie. Daniel nie miał pojęcia, dokąd ich Kopciuszki uciekły, ale najwyraźniej niezgorzej mu się tam powodziło.

Roger nie miał chyba zielonego pojęcia, do czego Daniel zmierza.

– Nie pamiętam... Spotkaliśmy się gdzieś przypadkiem przed moim wyjazdem do Amsterdamu? Faktycznie musiałem wtedy wyglądać fatalnie.

Daniel postanowił wykonać eksperyment myślowy w stylu Leibniza i wyobrazić sobie eksplozję w pracowni z punktu widzenia Rogera.

Pracował po ciemku – nie miał wyboru, gdyż otwarty ogień mógł spowodować zapalenie się prochu. Specjalnie mu to zresztą nie przeszkadzało, ponieważ czekające go zadanie było banalnie proste – miał rozdrobnić składniki w mózdzierzu i przesypać proszek do worka. Zarówno chrobot ucierania, jak i ruch tłuczka powinny być należytą wskazówką, że proch uzyskał konsystencję odpowiednią do założonego przez Rogera celu. Pracował więc po omacku i modlił się, żeby nie zobaczyć światła, które groziłoby zaproszeniem ognia. Skupiony na swojej pracy i lęku przed światłem, nie zorientował się, że Daniel wrócił do domu; po co miałby wracać, skoro poszedł obejrzeć sztukę? A przecież nie było jeszcze słychać ani odległych oklasków, ani gwaru rozmów, które świadczyłyby o tym, że przedstawienie dobiegło końca. Roger nie usłyszał również kroków Daniela, ponieważ ten, myśląc, że podchodzi szcztura, dołożył wszelkich starań, aby poruszać się bezszelestnie. Gęsty parawan przepuszczał zaledwie odrobinę światła świecy, przez co Roger nie odróżnił go od poświaty pieców. A potem płomień znalazł się nagle tuż przed jego twarzą. W innych okolicznościach na pewno zorientowałby się, z czym ma do czynienia – ale stojąc w ciemnej pracowni z workiem prochu w rękach najpierw pomyślał o tym, czego najbardziej się obawiał: o przypadkowej iskrze. Wypuścił mózdzierz, odrzucił od siebie worek i odskoczył najdalej jak mógł. Ułamek sekundy później nastąpił wybuch i Roger nic więcej nie zobaczył ani nie usłyszał, dopóki nie wydostał się na zewnątrz. Było więc wysoce nieprawdopodobne, aby zarejestrował obecność Daniela. A od tamtej pory rzeczywiście się nie widzieli.

I tak oto Daniel stanął przed trudnym wyborem: mógł powiedzieć prawdę – albo przystać na kłamstwo, które usłuży mu podsunięto, czyli stwierdzić, że faktycznie spotkali się gdzieś

na ulicy, zanim Roger popłynął do Amsterdamu. Prawda nie mogła mu nijak zaszkodzić, kłamstwo zaś wiązało się z minimalnym niebezpieczeństwem, że Roger, któremu zdarzały się przebłycki sprytu, zastawia na niego pułapkę.

– Myślałem, że wiesz – powiedział Daniel. – Byłem w pracowni, kiedy to się stało. Przyszedłem po artykuł Isaaca na temat stycznych. Niewiele brakowało, a wyleciałbym w powietrze!

Zaskoczenie i olśnienie rozjaśniły twarz Rogera niczym żarłoczny płomień. Ale gdyby Daniel miał jeden z nowych zegarków Hooke'a, odnotowałby upływanie zaledwie kilku sekund, zanim oblicze jego towarzysza przybrało dawny wyraz. Tak jak kiedy metalowym kapturkiem stłumi się dziki płomień świecy, w miejscu nieziemskiej światłości, która jeszcze przed chwilą wypełniała człowiekowi pole widzenia, pozostaje smętny, srebrny świecznik, zimny i boleśnie znajomy.

– Wydawało mi się, że słyszę czyjeś kroki! – wykrzyknął Roger. Skłamał, naturalnie, ale udało mu się podtrzymać rozmowę.

Daniel miał ogromną ochotę zapytać go, po co ucierał proch, ale uznał, że lepiej będzie poczekać, aż Roger sam się z czymś zdradzi.

– A zatem udałeś się do Amsterdamu, aby ochłonąć po wydarzeniach tamtej nocy – stwierdził.

– Najpierw przyjechałem tutaj.

– Tutaj? To znaczy do Londynu?

– Do rezydencji Angleseyów. To wspaniali ludzie. No i zażyłość z nimi ma swoje zalety.

– Roger uniósł rękę, jakby zamierzał pogłaskać perukę, ale nie odważył się jej dotknąć.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że im służysz...

– O nie, jest znacznie lepiej! Po prostu szybko dowiaduję się o wielu rzeczach. Część Złotych Comstocków w ubiegłym stuleciu wyjechała... No dobrze, są tacy, którzy powiedzieliby „uciekła”, do Holandii. Osiedli w Amsterdamie, gdzie złożyłem im wizytę. Dowiedziałem się od nich, że de Ruyter prowadzi flotę do Gwinei, żeby zająć porty niewolnicze księcia Yorku. Sprzedałem więc swoje udziały w Kompanii Gwinejskiej, póki były jeszcze coś warte. Potem usłyszałem od Angleseyów, że król Ludwik szykuje się do najazdu na Republikę Holenderską, ale nie rozpocznie kampanii, dopóki nie zgromadzi zapasów zboża. Zgadnij, od kogo je kupił?

– Niemożliwe!

– A jednak! Holendrzy sprzedali Francuzom zboże, które pozwoliło Ludwikowi wszcząć wojnę. Ale wracając do mnie, zgarnąłem pieniądze z akcji Kompanii Gwinejskiej i zainwestowałem je w amsterdamski rynek zbożowy tuż przed tym, jak po ogłoszeniu zamiarów Ludwika ceny poszły w górę. *Voilà!* Dziś mam zegarek od Hooke'a, olbrzymią perukę i parcelę przy modnym Waterhouse Square!

– Wykupiłeś... – zaczął Daniel. Chciał powiedzieć: „Wykupiłeś część mojego majątku rodzinnego?!”, ale przerwał mu Leibniz, który skradał się przez rabatki, przyciskając do piersi zamknięty w pudełku mózg.

– Pan doktor Leibniz... – odezwał się Roger. – Pańska maszyna arytmetyczna ogromnie zaimponowała Towarzystwu Królewskiemu.

– Za to moje dowody matematyczne wcale – odparł niechciany niemiecki uczony.

– Ależ przeciwnie! – pocieszył go Daniel. – Uznano je za niezwykle eleganckie!

– Tylko że to żaden honor elegancko udowodnić twierdzenie w roku tysiąc sześćset siedemdziesiątym drugim, jeśli jakiś Szkot załatwił to po barbarzyńsku rok wcześniej.

– Nie mógł pan o tym wiedzieć.

– Zdarza się – dodał Roger z udawanym znawstwem.

– *Monsieur* Huygens powinien był o tym wiedzieć, kiedy wyznaczał mi te dowody jako ćwiczenia – burknął Leibniz.

– Zapewne wiedział – zgodził się z nim Daniel. – Oldenburg pisuje do niego co tydzień.

– Wszyscy wiedzą, że GRUBENDOL handluje informacjami! – stwierdził Robert Hooke.

Przedarł się przez krzak wawrzynu i zatoczył na marmurową ławkę, gdy dopadły go zawroty głowy. Daniel zgrzytnął zębami, spodziewając się rychłego wybuchu bójki (albo czegoś jeszcze gorszego), ale Leibniz puścił mimo uszu uszczypliwość pod adresem Oldenburga, tak jak nie skomentowałby faktu, że Hooke puścił bąka w towarzystwie.

– Można to wyrazić inaczej – zaproponował Roger. – Pan Oldenburg na bieżąco informuje *monsieur* Huygensa o angielskich dokonaniach naukowych.

Daniel podchwycił ten wątek:

– Prawdopodobnie właśnie w ten sposób Huygens dowiedział się o nowych twierdzeniach matematycznych i dał je panu do udowodnienia, doktorze Leibniz, żeby pana sprawdzić!

– Nie przewidział jednak – ciągnął gładko Roger – że okoliczności natury wojenno-dyplomatycznej sprowadzą pana na angielską ziemię, gdzie w swej nieświadomości przedstawi pan wyniki swoich prac Towarzystwu Królewskiemu.

– To wszystko wina Oldenburga – naburmuszył się Hooke. – Kradnie moje projekty zegarków i też wysyła je Huygensowi!

– Niemniej jednak... Proszę sobie wyobrazić, jak się czułem, kiedy zaprezentowałem mój dowód Towarzystwu, a z tylnego rzędu wstał jegomość w kilcie i oznajmił, że dowiódł tego rok wcześniej...

– Wszyscy liczący się członkowie Towarzystwa wiedzą, że to bez znaczenia.

– To zaszkodzi mojej reputacji.

– Przyćmi pan wszystkich, kiedy ukończy pan budowę maszyny arytmetycznej! – zapewnił Leibniza Oldenburg, który, idąc w ich stronę po ścieżce, przypominał spływającą rynienką kroplę rtęci.

– Na kontynencie może tak – prychnął Hooke.

– Ale wszystkich Francuzów, którzy byliby w stanie mnie zrozumieć, pochłania żądza dorównania panu Hooke’owi! – odparł Leibniz. Był to przykład drobnego profesjonalnego pochlebstwa z rodzaju tych, którymi wypracowywało się reputację na małych europejskich dworach.

Oldenburg skrzywił się i wyprężył gwałtownie, gdy targnęło nim stłumione beknienie.

– Mam własny projekt maszyny arytmetycznej – powiedział Hooke. – Dotychczas nie miałem jednak czasu zająć się jej konstrukcją.

– A ma pan jakiś pomysł, co z nią zrobić, kiedy już ją pan zbuduje? – zainteresował się Leibniz.

– Każę jej liczyć logarytmy... No i odstawię na półkę kostki Napiera.

– Dlaczego chce się pan zająć czymś tak nieciekawym jak logarytmy?!

– Logarytmy są tylko narzędziem.

– Do czego je pan wykorzysta? – dopytywał się Leibniz.

– Powiedziałbym panu, doktorze, jeśli wiedziałbym, że moja odpowiedź nie wyjdzie poza ten piękny ogród. Sprawy jednak mają się tak, że boję się, iż moje słowa pomkną do Paryża z szybkością uskrzydłonego posłańca bogów, choć niewątpliwie bez jego gracji.

W tym miejscu Hooke spojrzał wprost na Oldenburga.

Leibniz oklapł. Oldenburg podszedł do niego, odwracając się plecami do Hooke’a, i zaczął go pocieszać. W ten sposób tylko przygnębił Leibniza, którego sojusz z Oldenburgiem dodatkowo pogrążał w oczach Hooke’a.

Hooke wyjął z kieszeni na piersi długi, cienki rulon z sarniej skóry, położył go sobie na kolanach i rozwinął. Rulon zawierał równo poukładane pióra, drobne kostki i kawałki trzcinki. Wybrał cieniuteńki fiszbin, odłożył portfel na bok, usiadł w rozkroku, pochylił się i włożył sobie fiszbin głęboko do gardła. Natychmiast zwymiotował żółcią. Daniel przyglądał mu się okiem empiryka, dopóki nie upewnił się, że żółć nie zawiera krwi, pasożytów ani innych zwiastunów choroby.

Oldenburg mówił coś do Leibniza półgłosem, w języku górnoniemieckim, którego Daniel ni w ząb nie rozumiał (zapewne właśnie dlatego Oldenburg go wybrał), zdołał jednak wyłapać kilka nazwisk: najpierw arcybiskupa Moguncji, potem kilku paryżan, wśród nich Colberta.

Odwrócił się z nadzieją, że uda mu się jeszcze porozmawiać z Rogerem, ale Comstock dyskretnie się ulotnił, a jego miejsce zajął odległy krewny, hrabia Epsom – podkradł się do Daniela od tyłu, spoglądając na niego spode łba, jakby chciał rozstrzygnąć spór ulubioną metodą tryków.

– Panie Waterhouse...

– Słucham, mój panie?

– Kochał pan Johna Wilkinsa.

– Prawie jak rodzzonego ojca, mój panie.



- Chciałby pan, żeby przyszłe pokolenia Anglików szanowały go i czciły jego pamięć.
- Modłę się o to, by Anglikom wystarczyło mądrości i przenikliwości, żeby go docenić.
- A ja panu powiadam, że ci Anglicy będą żyli w kraju, w którym będzie jeden Kościół państwowy. Jeżeli z woli Boga przeważy mój pogląd, będzie to Kościół anglikański; jeżeli Bóg przychyli się do zdania księcia Gunfleet – katolicki. Rozstrzygnięcie tego sporu może wymagać kolejnej wojny domowej. Albo dwóch. Albo nawet trzech. Może zabije Gunfleeta, a może to on zabije mnie; może moi synowie i wnukowie staną naprzeciw jego synów i wnuków. A jednak mimo dzielących nas zasadniczych różnic jesteśmy jednomyślni co do tego, że bez Kościoła państwowego żaden kraj nie może istnieć. Co pan sobie wyobraża? Że garstka fanatyków pokona połączone siły wszystkich Epsomów i Gunfleetów z całego świata?
- Nigdy nie przepadałem za próżnymi imaginacjami, mój panie.
- A zatem zgadza się pan ze mną, że Anglia będzie miała Kościół państwowy?
- Przyznaję, że to prawdopodobne.
- Kim będą wówczas ci, którzy mu się sprzeciwią?
- Nie wiem, panie... Krnąbrnymi biskupami?
- Bynajmniej, panie Waterhouse. Będą heretykami i zdrajcami. A przemiana heretyka i zdrajcy w krnąbrnego biskupa to nie byle jakie zadanie; to transmutacja wymagająca starań wielu alchemików, zakapturzonych i pracujących w najgłębszej tajemnicy. I najgorsze, co może im się przydarzyć, to wizyta pomagiera czarownika, który zacznie bałaganić!
- Proszę wybaczyć mi moją niezręczność, zareagowałem porywczo, ponieważ wydawało mi się, że go zaatakowano.
- Atak nie był wymierzony w niego, panie Waterhouse, lecz w pana.

\* \* \*

Daniel wyszedł z rezydencji Angleseyów i szedł bez celu Picadilly, aż zorientował się, że stoi przed Comstock House. Skręcił więc i uciekł w głąb St. James's Fields, podzielonych na zgrabne kwadraciki, na których, w błocie pozostałym po budowach, próbowała zakiełkować trawa. Usiadł na drewnianej ławce i powoli zaczęło do niego docierać, że Roger Comstock szedł za nim od Anglesey House i (najprawdopodobniej) przez cały czas gadał. Teraz jednak nie zamierzał dopuścić do kontaktu swoich spodni z ławką – najeżoną drzazgami prowizorką, brudną od tłuszczu, popiołu z fajek i szcurzych bobków.

- O czym rozmawiali Leibniz z Oldenburgiem? Czy język niemiecki należy do tych licznych rzeczy, na których się znasz, Danielu?
- Chodziło chyba o to, że doktor Leibniz stracił swojego dotychczasowego patrona i szuka nowego, najlepiej w Paryżu.
- Ach, takiemu człowiekowi musi być w życiu ciężko bez protektora.
- W rzeczy samej.

– Odniosłem wrażenie, że John Comstock jest na ciebie zły.

– Nawet bardzo.

– Jego syn dowodzi jednym z okrętów we flocie inwazyjnej. John nie jest ostatnio sobą, łatwo się denerwuje.

– A mnie się wydaje, że jest wprost przeciwnie, że tym razem zobaczyłem prawdziwego Johna Comstocka. I mogę chyba śmiało stwierdzić, że dopóki będzie przewodniczącym, nie mam co marzyć o karierze w Towarzystwie Królewskim.

– Ludzie dobrze poinformowani twierdzą, że po następnych wyborach fotel przewodniczącego obejmie księżę Gunfleet.

– Marna pociecha. Epsom i Gunfleet jednakowo mnie nie cierpią.

– Coś mi się wydaje, Danielu, że tobie też przydałby się mecenas. Współczujący opiekun.

– A są tacy?

– Ja ci współczuję.

Chwilę trwało, zanim słowa Rogera przestały bawić Daniela i dotarł do niego ich prawdziwy sens. Milczenie się przedłużało. Wyglądało na to, że od strony Charing Cross zmierza w stronę placu jakaś procesja lub parada – było słycać bębny i dźwięki, które brzmiały jak kiepski śpiew – lub melodyjne wiwaty. Daniel i Roger ruszyli w stronę Pall Mall, żeby zobaczyć ją na własne oczy.

– Czy to propozycja? – spytał w końcu Daniel.

– Zarobiłem przez ostatni rok trochę grosza... Oczywiście daleko mi do Epsoma czy Gunfleeta, zwłaszcza że większość gotówki zainwestowałem w działkę kupioną od twoich braci...

– Która to?

– Ta duża, tam na rogu, obok domu pana Raleigha Waterhouse'a... A tak nawiasem mówiąc, co o nim sądzisz?

– O domu Raleigha? Nooo... Duży jest.

– Nie chciałbyś go przyćmić?

– Co ty wygadujesz?

– Chcę postawić większy dom, ale ponieważ nie przykładałem się w Trójcy Świętej do matematyki, o czym sam dobrze wiesz, Danielu, potrzebuję kogoś, kto by go zaprojektował i nadzorował budowę. Myślałem o tobie.

– Nie jestem architektem...

– Pan Hooke też nie był, dopóki nie wynajęto go do przebudowy Bedlam i innych okolic. Założę się, że potrafisz zbudować dom nie gorzej od niego, a na pewno znacznie lepiej od tępaka, który poskładał w całość tę ruderę Raleigha.

Wyszli na Pall Mall, przy której stały całkiem ładne domy. Daniel od razu zaczął śledzić wzrokiem ich okna i linie dachów, gromadząc pomysły do pracy, Roger zaś skoncentrował się na znajdującym się już bardzo blisko pochodzie. Tłum tworzyło kilkuset przeciętnych

londyńczyków, ale z wyższą niż przeciętna zawartością karnodziejów – głównie dysydenckich, chociaż trafiło się też paru anglikanów. Z niesionej przez nich długiej tyczki zwieszała się słomiana kukła w szatach kapłańskich, lecz wściekle kolorowych i jarmarcznie ozdobnych, w olbrzymiej mitrze na głowie i z przywiązaniem do ręki długim pastorałem. Podobizna papieża. Daniel i Roger zeszli procesji z drogi i przez (wedle zegarka Rogera) sto trzydzieści cztery sekundy śledzili jej przemarsz, dopóki nie skręciła do parku. Tam manifestanci znaleźli kawałek trawnika dobrze widoczny zarówno z pałacu St. James, jak i z Whitehallu, i zatknęli tyczkę z papieżem w ziemi.

Od strony leżących między pałacami koszar Gwardii Konnej już zmierzali ku nim żołnierze. Kilku jechało konno, ale większość stanowili piechociarze, którzy wybiegli z koszar w takim pośpiechu, że nie zdążyli nawet sformować porządnym czworoboków. Mieli fantazyjne, cudzoziemskie mundury i wysokie, szpiczaste czapy w dziwnie polskim stylu<sup>46</sup>. Daniel z początku wziął ich za dragonów, ale kiedy podeszli bliżej, dostrzegł zawieszane na pasach i bandolierach z wołowej skóry żelazne kule z wypustkami. Granaty! Przy każdym kroku kule obijały się o ciała żołnierzy.

Ten szczegół nie uszedł również uwagi uczestników pochodu. Zamieniwszy kilka pospiesznych zdań, podpalili papieskie szaty i rozpierzchli się na wszystkie strony jak ładunek eksplodującego granatu. Zanim grenadierzy dotarli na miejsce, Londyn wchłonął procesję, im zaś nie pozostało nic innego, jak obalić papieża na ziemię i zdeptać płomień. Uważając przy tym, rzecz jasna, na granaty.

– Nieźle to sobie wykoncypowali – orzekł Roger Comstock. – To była Gwardia Królewska, nowy regiment księcia Yorku. Dowodzi nimi John Churchill, ale nie daj się zwieść, to ludzie Yorka.

– Co masz, u licha, na myśli, mówiąc, że nieźle to sobie wykoncypowali? Mówisz jak kiper, który spróbował nowego rocznika portwajnu.

– No cóż, tłuszcza mogła spalić papieża gdziekolwiek, prawda? Ale przyszli akurat tutaj. Dlaczego? Przecież to skrajnie niebezpieczna okolica, w sąsiedztwie koszar. Oni jednak mieli coś do powiedzenia księciu Yorku... Chcieli go ostrzec, że jeśli nie porzuci swoich papistowskich sympatii, następnym razem spalą jego podobiznę... albo jego samego.

– Nawet ja zorientowałem się wtedy w Cambridge, że to Gunfleet i młodzi Angleseyowicze są nowymi ulubieńcami króla. Epsoma wykpiwa się na scenie, a tłum oblega jego dom.

– Właściwie nie ma w tym nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę plotki...

– Jakie plotki?

Daniel miał ochotę dodać: „Nie należę do ludzi, którzy słuchają plotek i w nie wierzą”, ale w tej chwili trudno mu było udawać taką obojętność.

---

<sup>46</sup> Skoro strażnicy Ludwika XIV ubierali się jak Chorwaci, Karol II mógł mieć gwardzistów-Polaków. W owych czasach każda nacja, której przyszło krzyżować szablę z Turkami, budziła grozę.

– Że nasze niepowodzenia wojenne są spowodowane kiepskim prochem i źle odlanymi armatami.

– Cóż za cudownie proste usprawiedliwienie porażki!

Do tej pory Daniel nie słyszał jeszcze, żeby ktoś skarżył się na przebieg wojny. Sam pomyślał, że sprzymierzeni z Francuzami Anglicy nie są w stanie pokonać garstki Holendrów, wydawał się absurdalny. Teraz jednak, słuchając Rogera, uświadomił sobie, że dawno już nie było dobrych wieści z frontu. Naturalną koleją rzeczy zaczęto szukać kozła ofiarnego.

– Pamiętasz armatę, która eksplodowała w *Obleżeniu Maastricht*? – zapytał Rogera. – Też uważasz, że była wadliwa? Czy doszukujesz się w tym spisku wrogów Epsoma?

– Epsom ma wrogów – powiedział Roger i umilkł.

– O tym wiem. Podobnie jak wiem, że jednym z nich jest książę Gunfleet i że do spółki z innymi papistami, takimi jak książę Yorku, stanowią w kraju znaczącą siłę. Nie rozumiem natomiast, dlaczego dwaj wrogowie, Epsom i Gunfleet, przed chwilą zgodnie obrzucali błotem świętej pamięci Johna Wilkinsa.

– Są jak dwaj kapitanowie, którzy chcą dowodzić jednym statkiem, i nawzajem zarzucają sobie podburzanie załogi do buntu. Statkiem jest w tej paraleli państwo i religia państwowa – anglikańska lub katolicka, w zależności od tego, czyje poglądy wezmą górę. Pod pokładem kryje się trzecia frakcja, niebezpieczna, uzbrojona, świetnie zorganizowana, ale, co ogromnie niepokojące, chwilowo pozbawiona przywódcy. Kiedy ci dysydenci, bo tak się ich nazywa, wołają „Precz z papieżem!”, ich okrzyki są muzyką dla uszu anglikanów, których Kościół opiera się na wrogości do wszystkiego, co rzymskie. Kiedy zaś wrzeszczą „Precz z narzuconą jednością wiary! Niech zwycięży wolność sumienia!”, sprawiają radość papistom, którzy nie mogą praktykować swojej religii, dopóki obowiązuje spisany przez Epsoma *Akt o Jedności Wiary*. Dlatego też od czasu do czasu i anglikanie, i papiści wyobrażają sobie dysydentów w roli sojuszników. Ale kiedy ci kwestionują ideę religii państwowej i zapowiadają stworzenie w Anglii drugiego Amsterdamu... No, wtedy przywódcy obu frakcji z górnego pokładu są zgodni, że dysydenci szykują się do wysadzenia w powietrze prochowni, a wraz z nią całego statku. Wobec czego jednoczą się, żeby zmiażdżyć wspólnego wroga.

– Twierdzisz, że spuścizna Wilkinsa, *Deklaracja o Tolerancji Religijnej*, jest dla nich właśnie taką beczką prochu.

– Powiedzmy, że lontem, który może, choć nie musi, spowodować zapłon. Muszą go zgasić. Zadeptać.

– A przy okazji zdeptują mnie.

– Tylko dlatego że sam wystawiłeś się na stratowanie, i to w najgłupszy z możliwych sposobów... Za pozwoleniem, Danielu, wybacz...

– A co niby miałem zrobić, kiedy tak się przeciw niemu sprzysięgli?!

– Ugryźć się w język i czekać. Sytuacja może się zmienić w ułamku sekundy! Widziałeś to palenie kukły? To była procesja dysydentów, wymierzona przeciw papistom. Gdybyś

pomaszerował na jej czele, Danielu, Epsom pomyślałby, że jesteś po jego stronie, a przeciwko Angleseyom.

– Tego mi jeszcze brakowało: wroga w osobie księcia Gunfleet.

– No to głoś wolność wyznania, jeśli wolisz! Na tym polega niezwykłość twojej sytuacji, Danielu. Otwórz wreszcie oczy. Dzięki takim delikatnym manewrom i niuansom wypowiedzi, którym w razie potrzeby da się wiarygodnie zaprzeczyć, możesz w każdej chwili mieć Epsoma lub Gunfleeta za sojusznika.

– To mi zalatuje czepialstwem i małodusznością – zauważył Daniel, przywołując słowa z tablic języka filozoficznego.

Roger nie zaprzeczył. Powiedział tylko:

– To klucz do osiągnięcia celu, o którym marzył Drake.

– Jakim cudem?! Przecież cała władza spoczywa w rękach Angleseyów i Srebrnych Comstocków!

– Wkrótce sam zobaczysz, jak bardzo się mylisz.

– Tak? Czy to znaczy, że istnieje jakieś trzecie źródło władzy, o którym nie wiem?

– Owszem. Piwnica twojego wuja, Thomasa Hama, jest nim wypełniona po brzegi.

– Przecież to nie jego złoto. Ono wyraża tylko sumę jego zobowiązań.

– Właśnie! Trafieś w sedno. Jeszcze będą z ciebie ludzie. – Roger zaczął się szykować do odejścia. – Mam nadzieję, że rozważy pan moją propozycję.

– Zapewniam pana, że już ją rozważam.

– Nawet jeśli w pańskim życiu nie ma dość czasu na budowę domu, może wyłagam choć kilka godzin dla mojego teatru...

– Powiedziałaś „teatru”?!

– Tak. Kupiłem udziały w jednym z teatrów. Występują w nim Królewscy Komedianci. Wyprodukowaliśmy *Miłość w balii* i *Lubieżnego medyka*. Od czasu do czasu przydałaby się nam pomoc przy grzmotach i błyskawicach, a także demonach, aniołach, nabijaniu na pal, zmianach płci, wieszaniu, porodach *et caetera*.

– Nie wiem, co by powiedziała moja rodzina, wiedząc, że zajmuję się podobnymi sprawami.

– Też coś! Zobacz lepiej, czym sama się zajmujesz! Jesteś wszechstronnie utalentowany, Danielu. Teraz, kiedy wiadomo już, że Apokalipsy nie będzie, powinienes jakoś te talenty zagospodarować.

– Myślę, że mogę przynajmniej przypilnować, żebyś nie wysadził się w powietrze.

– Nic się przed tobą nie ukryje. Przejrzałeś mnie. Tamtej nocy, w pracowni, przygotowywałem proch do teatralnych fajerwerków. Im drobniej się go utrzyma, tym szybciej się potem spala: większy huk, jaśniejszy błysk.

– Tak, zauważyłem.

Roger parsknął śmiechem, z czego Daniel bardzo się ucieszył.

– Jestem umówiony z doktorem Leibnizem w kawiarni, w dzielnicy teatralnej – dodał. – Może pomału tam pójdziemy?

\* \* \*

– Nie wiem, czy zetknął się pan z moją najnowszą monografią *O wcieleniu Boga...*

– Oldenburg mi o niej wspominał – przyznał Daniel. – Chociaż przyznam, że nie kusilo mnie, żeby ją przeczytać.

– Mówiliśmy poprzednio o trudnościach, jakich nastęrcza pogodzenie filozofii mechanistycznej z doktryną wolnej woli. Ten problem rzutuje również na teologiczną kwestię boskiej inkarnacji.

– W obu przypadkach mamy do czynienia z duchową esencją zamkniętą w ciele, które ma naturę mechaniczną – zgodził się Daniel.

Siedzący w pobliżu dandysi i bywalcy teatrów rozchodzili się pomalutku, pozostawiając wokół Leibniza i Waterhouse'a miły skrawek pustej przestrzeni w zatłoczonej poza tym kawiarni.

– Główny problem w dogmacie Trójcy Świętej to niepojęte zespolenie boskiej i ludzkiej natury w Chrystusie. Podobnie rzecz ma się z mechanizmami. Kiedy zastanawiamy się nad tym, czy mucha, zwabiona zapachem mięsa, albo samopał, albo maszyna arytmetyczna są zdolne do samodzielnego myślenia, czy też są tylko odzwierciedleniem geniuszu twórcy, zadajemy sobie w gruncie rzeczy pytanie o to, czy przenika je, w pewnym sensie, jakaś bezcielesna esencja, czyli, pospolicie mówiąc, duch, obdarzony, tak jak Bóg i aniołowie, wolną wolą.

– Znów mam wrażenie, że słyszę w pańskiej wypowiedzi echo słów scholastyków.

– Widzi pan, panie Waterhouse, popełnia pan powszechnie spotykany błąd: zakłada pan, że musimy wybierać pomiędzy Arystotelesem i Kartezjuszem, ponieważ ich poglądów filozoficznych nie da się pogodzić. Nic bardziej mylnego. Możemy przyjąć nowoczesne, mechanistyczne koncepcje współczesnej fizyki, a przy tym zachować arystotelesowską koncepcję samowystarczalności.

– Proszę mi wybaczyć sceptycyzm...

– Nic nie muszę panu wybaczać, panie Waterhouse, Pański sceptycyzm dodaje panu wiarygodności. Wyłożenie szczegółów pogodzenia tych dwóch koncepcji zajęłoby zbyt wiele czasu, pozwoli pan więc, że powiem tylko, iż mnie się to udało. Założyłem mianowicie, że każde ciało zawiera bezcielesną esencję, którą utożsamiam z *cogitatio*.

– Czyli z myślą.

– Właśnie.

– Gdzie jest umiejscowiona? Kartezjanie szukają jej w szyszynce.

– Nie da się tak prosto wskazać jej położenia w przestrzeni. Za to narzucany przez nią ład jest obecny w całym ciele. My zaś, odczytując tę informację, możemy wnioskować z niej o istnieniu esencji. Co różni człowieka, który właśnie zmarł, od takiego, którego od śmierci dzieli kilka ruchów sekundnika na zegarku pana Hooke’a?

– Chrześcijanin powiedziałby, że ten drugi jeszcze ma duszę, ten pierwszy zaś już nie.

– I to jest bardzo dobra odpowiedź, należy ją tylko przełożyć na nowy język filozoficzny.

– I pan, doktorze, tłumaczy ją w ten sposób, że żywe ciało czerpie informacje z rządzącej nim reguły porządkującej. Reguła zaś stanowi zewnętrzny, obserwowalny przejaw faktu, że mechaniczne ciało jest – przynajmniej tymczasowo – zespolone z bezcielesną esencją, którą nazywamy Myślą.

– Zgadza się. Pamięta pan naszą rozmowę o symbolach? Przyznał pan, że nie jest w stanie manipulować łyżeczką za pomocą samego umysłu i że operuje tylko jej symbolem. Bóg mógłby wpłynąć na łyżeczkę bezpośrednio. Nazwalibyśmy to cudem. Ale umysły stworzone nie są zdolne do takiej interakcji. Potrzebują pasywnego pośrednika.

– Ciała.

– Tak, ciała.

– Twierdzi pan, doktorze, że *cogitatio* i *computatio*, myśl i obliczenia, są jednym i tym samym. Czyli w języku filozoficznym powinny mieć jedno wspólne określenie.

– Do takich właśnie wniosków doszedłem.

– Pańska maszyna wykonuje obliczenia. Narzuca się zatem pytanie: W którym momencie zostanie nasycona bezcielesną esencją myśli? Twierdzi pan, że *cogitatio* przekazuje ciału informacje i, narzucając mu ład, tworzy z niego sprawny układ mechaniczny. Przyjmijmy, że tak jest. Ale z maszyną arytmetyczną rzecz ma się dokładnie odwrotnie: tworzy pan mechaniczną konstrukcję i liczy na to, że zostanie natchnięta duchem, niczym Maryja Dziewica. Kiedy miałyby nastąpić to Zwiastowanie? Wtedy, gdy zainstaluje pan ostatnią zębatkę? Pociągnie za dźwignię?

– Traktuje pan to zbyt dosłownie.

– Sam pan powiedział, że nie widzi sprzeczności między porównaniem umysłu do mechanizmu i wiarą w wolną wolę. Skoro tak, to musi istnieć moment, w którym pańska maszyna przestanie być zwykłym zbiorem trybów i stanie się ciałem, w które wcieli się jakaś anielska natura.

– To tylko pozorna dychotomia! – zaprotestował Leibniz. – Bezcielesna esencja sama w sobie nie obdarzyłaby nas wolną wolą. Jeżeli zgadzamy się co do tego, że Bóg jest wszechwiedzący, a musimy tak zakładać, i że zna wszystkie przyszłe wydarzenia, wie również, co zrobimy, zanim to zrobimy. Dlatego nawet gdybyśmy byli aniołami, nie można by powiedzieć, że mamy prawdziwą wolną wolę.

– Tego właśnie uczono mnie w kościele. Nie wróżę pańskiej filozofii wielkiej przyszłości, doktorze. Koncepcji wolnej woli nie da się obronić ani na gruncie teologicznym, ani naturalistycznym.

– Tak pan sądzi, panie Waterhouse? A przecież zgadza się pan z Hookiem, że natura harmonijnie współgra z ludzkim umysłem. Skąd ta harmonia?

– Nie mam zielonego pojęcia, doktorze. Może jednak alchemicy mają rację i wszelką materię, w tym także naturę i nasze mózgi, łączy przenikająca je rtęć filozoficzna?

– Ani ja, ani pan nie jesteśmy zachwyceni tą hipotezą.

– A jaką hipotezę pan by postawił, doktorze?

– Umysł i materia wyrastają ze wspólnego ośrodka, jak dwa ramiona płatka śniegu. Mimo że nie mają ze sobą kontaktu i rozwijają się niezależnie, każde w zgodzie z własną regułą porządkującą, pozostają w pełnej harmonii, współdzieląc kształt i strukturę.

– Popada pan w metafizykę – odparł Daniel. Nic mądrzejszego nie przyszło mu do głowy.

– Co miałyby być tym wspólnym centrum? Bóg?

– Bóg zorganizował wszechświat w taki sposób, żeby umysł mógł ogarnąć naturę. Nie osiągnął tego jednak na drodze ciągłych interwencji w ich rozwój. Myślę raczej, że na samym początku dzieła Stworzenia tak ukształtował umysł i naturę, żeby rozwijały się w harmonii.

– A zatem jestem naprawdę wolny, mogę zrobić, co zechcę... Tylko że Bóg z góry wie, co zrobię, ponieważ harmonijne współistnienie ze światem leży w mojej naturze. Sam Bóg również jest elementem tej harmonii.

– Tak.

– Fakt, że o tym rozmawiamy, doktorze, to naprawdę niezwykły zbieg okoliczności. W ostatnich dniach pierwszy raz w życiu odniosłem wrażenie, że otwierają się przede mną pewne możliwości, z których mogę śmiało skorzystać, jeśli tylko będę chciał.

– Mówi pan jak człowiek, który właśnie znalazł mecenasa.

Daniel poczuł, jak na myśl o Rogerze Comstocku w roli mecenasa żołądek podchodzi mu do gardła, ale nie mógł zaprzeczyć spostrzeżeniu Leibniza.

– Być może.

– Cieszę się razem z panem. W moim wypadku śmierć protektora mocno ograniczyła możliwości wyboru.

– Z pewnością znajdzie się w Paryżu jakiś arystokrata, który pana doceni.

– Myślałem raczej o tym, żeby pojechać do Lejdy, do Spinozy.

– Ale przecież Holandia niedługo zostanie pokonana... Nie mógł pan gorzej trafić.

– Republika Holenderska ma dość statków, by wywieźć z Europy dwieście tysięcy ludzi, opłynąć z nimi Przylądek Dobrej Nadziei i osiedlić ich na odległych azjatyckich wysepkach, poza zasięgiem Francji.

– Nie jestem w stanie uwierzyć w tak fantastyczną perspektywę.



– A powinien pan. Holendrzy już planują tę operację. Proszę nie zapominać, że połowę ziemi, którą posiadają, własnymi rękami wydarli morzu. To, czego dokonali w Europie, mogą powtórzyć w Azji. Kiedy padnie ostatnia linia obrony i Zjednoczone Prowincje trafią pod but króla Ludwika, będę tam. Wsiądę na statek, popłynę do Azji i pomogę zbudować tam nową Wspólnotę. Na wzór opisywanej przez Bacona Nowej Atlantydy.

– Panu, doktorze, podobne przedsięwzięcie może się wydawać całkiem realistyczne. Dla mnie jednak to zwyczajna mrzonka. Do tej pory w życiu zawsze robiłem to, co musiałem, idealnie wpasowując się we wpojona mi koncepcję predestynacji. Teraz zaś mam szansę dokonać wyboru, podjąć pewne decyzje bardzo praktycznej, przyziemnej natury.

– To, co działa, nie da się zniszczyć – odparł Leibniz.

Daniel wyszedł z kawiarni i do wieczora błąkał się po Londynie. Przypominał trochę kometę – zakreślał wydłużone elipsy, lecz zawsze wracał, przyciągany stałymi ośrodkami grawitacji: Kolegium Greshama, Waterhouse Square, głową Cromwella i ruinami katedry Świętego Pawła.

Hooke był lepszym naturalistą od niego, ale pochłaniała go odbudowa miasta i wyimaginowane, rzekomo wymierzone przeciw niemu intrygi. Newton również był wielki, ale zatracił się w alchemii i próbach rozszyfrowania Księgi Objawienia. Daniel miał dotąd nadzieję, że zdoła się wcisnąć między tych dwóch tytanów i zdobyć sławę, lecz teraz na scenie pojawił się trzeci tytan – podobnie jak tamci dwaj, zagubiony (po stracie mecenasa) i snujący plany stworzenia azjatyckiej Wolnej Wspólnoty. Ale jego zagubienie nie będzie trwało wiecznie.

Była w tym wszystkim jakaś ironia losu. Bóg wzniecił w Danielu pragnienie zostania znakomitym naturalistą – a potem posłał go na Ziemię pomiędzy Newtona, Hooke’a i Leibniza.

Mógł zostać pastorem, miał po temu stosowne wykształcenie i koneksje, które pozwoliłyby mu znaleźć miłą parafię – w Anglii albo w Massachusetts. Wszedłby w tę rolę równie swobodnie, jak wchodził do kawiarni. Lecz nie bez powodu w swojej wędrówce co i rusz zahaczał o leżące w samym środku miasta, niczym trup na wesołym przyjęciu, ruiny katedry Świętego Pawła.

## **Na *Minerwie*, w Zatoce Cape Cod, Massachusetts**

**Listopad 1713**

*Ta właśnie głębia przekaże nam w mrocznym,  
Pierwotnym stanie, brzemienne w płomienie  
Piekielne; piany te naładujemy*

*W długie i kragłe, wydrążone w środku  
Machiny, po czym do drugiego końca  
Przytkniemy ogień, wówczas przeraźliwie  
Rykną z wściekłością i wyrzucą z siebie  
Ku naszym wrogom złowróżbne pociski,  
Które w dal lecąc, rozerwą na sztuki  
I pokonają wszystko, co na drodze,  
By się strwożyli tamci, uwierzywszy,  
Że Gromowładcy zabraliśmy piorun.*

Milton, *Raj utracony*

Daniel, który, korzystając z chwili przerwy w potyczce, próbuje się zdrzemnąć w kajucie, ma minorowy nastrój. Nie jest to powaga śmiertelnika uczestniczącego w zabijaniu innych ludzi (przecież od rana nie zajmują się niczym innym, na miłość boską!), lecz zasepienie człowieka, którego los zawisł na włosku i zależy od tego, jaką podejmie decyzję. A właściwie od tego, jaką decyzję podejmie za niego kapitan, który sprawia wrażenie, że ma – ujmując rzecz dyplomatycznie – bogate i złożone życie wewnętrzne. Naturalnie, wsiadając na statek, zawsze oddajemy życie w ręce jego kapitana, ale...

Z pokładu rufówki dobiega wybuch śmiechu, który w zderzeniu z ponurym humorem Daniela wywołuje nieprzyjemny zgrzyt. Drażni go. Brzmi pogardliwie i okrutnie, chociaż jest w nim też nuta szczerego rozbawienia. Daniel rozgląda się w poszukiwaniu jakiegoś ciężkiego przedmiotu, którym mógłby postukać w sufit, ale w porę zdaje sobie sprawę, że to van Hoek śmieje się do rozpuku, a przyczyną jego wesołości jest pewien holenderski koncept techniczny: *zog*.

Słychać, jak coś turla się po górnym pokładzie<sup>47</sup> – i nagle coś się dzieje z *Minerwą*: nie dość, że znacznie mocniej przechyla się na burtę, to jeszcze zaczyna się gwałtownie kołysać. Daniel dochodzi do wniosku, że nastąpiło gwałtowne przesunięcie ładunku. Kiedy wstaje z łóżka i wychodzi z kajuty, stwierdza, że miał rację: na pokład wytoczono kilka krótkich, pękatych karonad, czyli – na dobrą sprawę – garłaczy ważących po kilka ton i charakteryzujących się olbrzymim kalibrem, krótkim zasięgiem i żalosną precyzją strzału. Do ich przepaścistych luf artylerzyści pakują właśnie wszelkiego rodzaju złom: kule armatnie połączone łańcuchami w pary, gwoździe, nadliczbowe łomy i całe góry kartaczy, umocowane do sabotów mnóstwem przemysłnych marynarskich węzłów. Załadowane karonady przetacza się pod nadburcie, co poważnie zmienia rozkład masy na statku i tłumaczy zmiany rytmu kołysania...

---

<sup>47</sup> Położonym, jak pamiętamy, jedno „piętro” poniżej pokładu, gdzie znajduje się kabina Daniela, który powoli żegna się z nadzieją na drzemkę.

– Szacuje pan nasze szanse, panie Waterhouse? – pyta Dappa, schodząc po stromych schodkach z kasztelu rufowego.

– Co to jest *zog*? I co jest w tym śmiesznego?

Dappa poważnieje, jakby pytanie Daniela wcale go nie rozbawiło, i wyciągniętą ręką wskazuje odległy o pół mili szkuner, na którego maszcie powiewa czarna bandera z białą klepsydrą. Szkuner znajduje się od dziobu na nawietrznej<sup>48</sup> i na razie idzie kursem równoległym, ale nie ulega wątpliwości, że w niedalekiej przyszłości zamierza przechwycić *Minerwę* i dokonać abordażu.

– Widzi pan, jak wolno płyną? Jesteśmy szybsi, chociaż nie mamy nawet grotzagli.

– No właśnie, o to też chciałem zapytać: Czemu go nie rozwiniemy? Przecież to nasz największy żagiel, a nam chyba zależy na pośpiechu?

– Tradycja jest taka, że grotzagleń zajmują się artylerzyści. Jeżeli go nie rozwiniemy, Teach pomyśli, że brakuje nam ludzi i nie jesteśmy w stanie obsadzić wszystkich dział jednocześnie.

– Nie lepiej byłoby odkryć nieco karty i wyprzedzić szkuner?

– I tak go wyprzedzimy.

– Ale przecież im właśnie o to chodzi, żebyśmy się z nimi zrównali. Każdy pirat by tego chciał. Może nawet wyrzucili dryfkotwy i dlatego się tak wloką.

– Nie muszą używać dryfkotew. Wystarczy im ten potworny *zog*.

– No proszę, znowu... Co to słowo oznacza?

– Ślad wodny! – Dappa macha ze złością ręką. – Proszę spojrzeć, jaki mają kilwater!

– No dobrze... Przyznaję, że teraz, kiedy znaleźliśmy się... eee... niepokojąco blisko szkunera, widzę, że jego kilwater mógłby wywrócić do góry nogami nawet sporą szalupę.

– Ci przekłeci piraci tak go obładowali armatami, że aż przysiadł. Tkwi za głęboko w wodzie i ma potworny *zog*.

– Próbuje mnie pan pocieszyć?

– Próbuję odpowiedzieć na pańskie pytanie.

– Czyli *zog* to po niderlandzku „kilwater”, tak?

Dappa-poliglota uśmiecha się. Jedna połowa jego zębów jest śnieżnobiała, druga – zrobiona ze złota.

– To nawet lepsze określenie od naszego, bo pochodzi od *zuigen*, czyli „zasysać” lub „ciągnąć”.

– Nie rozumiem.

– Każdy żeglarz panu powie, że kilwater zasysa rufę statku, przez co go spowalnia. Im większy ślad, tym wolniej się statek porusza. A ten szkuner, doktorze Waterhouse, ma potężne ssanie.

---

<sup>48</sup> Czyli płynie przed *Minerwą*, po stronie, z której wieje wiatr, mniej więcej na godzinie dziesiątej.

Z góry słyhać rozeźlony głos van Hoeka. Dappa zbiega na główny pokład, aby dokończyć to, w czym przeszkodził mu Waterhouse. Daniel idzie za nim, skręca na rufę, mija kabestan i po wąskich stopniach schodzi na tylną część pokładu działowego. Następnie wchodzi do kajuty na rufie, z której przywykł prowadzić pomiary temperatury, i rozpoczyna najeżoną niebezpieczeństwami wędrówkę na przeciwległy kraniec pomieszczenia, w stronę przewieszonych okien. Szczurowi lądowemu kabina wydałaby się przyjemnie obszerna, ale dla Daniela jest przede wszystkim tragicznie uboga w dogodne uchwyty – co oznacza, że kiedy statkiem kołysze, Daniel zatacza się i nabiera większej prędkości, zanim zderzy się z obiektem dostatecznie dużym, by go zatrzymał. W końcu jednak dociera do okien i spogląda w dół, prosto w *zog*. Owszem, *Minerwa* łośbi w wodzie kilwater, ale w porównaniu ze szkunerem na nawietrznej ssania w zasadzie nie ma. Bracia Bernoulli mieliby zajęcie na cały dzień...

Od zawietrznej sunie na *Minerwę* piracki kecz (na razie też płynący równoległym kursem, tak jak szkuner), który – Daniel jest prawie pewny – w ogóle nie odczuwa ssania kilwateru. Więcej: Daniel widział dryfkotwy, które za sobą wlecze. *Minerwa* idzie ostrym bejdedwindem; mogłaby odpaść od wiatru, ale o dalszym wyostrzeniu nie ma nawet co marzyć. Ponieważ kecz płynie po jej zawietrznej, odpadnięcie groziłoby wpakowaniem się pod muszkiety i haki abordażowe, które piraci bez wątpienia trzymają w pogotowiu. Zresztą kecz, mający skośne ożaglowanie, i tak może iść znacznie ostrzej na wiatr – wobec czego nawet jeśli *Minerwa* utrzyma kurs, przetnie jej drogę i zepchnie ją na wolniejszy (bo ciężkozbrojny) szkuner.

To właśnie jest drugi powód, dla którego Daniel zszedł do kajuty na rufie – dalej od walki mógłby się znaleźć chyba tylko skoczywszy do wody. Nie znajduje tu jednak spodziewanego ukojenia, ponieważ przez okna widzi następne dwa okręty pirackie, które powoli doganiają *Minerwę*. Wyglądają na większe i lepiej uzbrojone od dwóch poprzednich.

Słyhać jeden wybuch, po nim drugi, a potem całą ich serię – to ewidentnie jakaś zgrana salwa. Daniel wciąż żyje, *Minerwa* nie tonie. Otwiera drzwi na pokład działowy, ale panuje na nim półmrok i spokój. Wszyscy strzelcy zebrali się przy działach na lewej burcie, lecz żadne z nich nie wypaliło. Najwidoczniej to karonady na górnym pokładzie plunęły śmieciem, którym je wypchano.

Daniel wygląda przez okno: kecz zostaje z tyłu<sup>49</sup> – i właściwie nie przypomina już kecza, ponieważ został z niego kadłub z płataniną zwiotczających lin i jasnymi kikutami masztów. Jedno z dział rozbłyskuje ogniem i z jego lufy leci ku *Minerwie* coś wielkiego i przerażającego, co w dodatku rośnie w oczach. Daniel rzuca się na podłogę, wiedziony bardziej zawrotami głowy niż jakimś spójnym planem, a wtedy wylatują wszystkie okna w kabinie, wepchnięte do środka impetem zderzenia z chmurą kartaczy. Tylko parę odłamków trafia go w twarz, w dodatku żaden z nich nie sięga oka. Musi przyznać, że miał szczęście, jakiego przyzwoity naturalista nie jest w stanie przekonująco wytłumaczyć.

---

<sup>49</sup> Znajdowałby się mniej więcej na godzinie piątej, gdyby Daniel patrzył w stronę dziobu.

Drzwi znów się otworzyły – Daniel nie wie, czy pod wpływem energii wystrzału, czy raczej siły zderzenia z jego ciałem, w każdym razie leży teraz częściowo w kajucie, częściowo zaś na pokładzie działowym. Nagle czuje, jak przez jego zaciśnięte z całych sił powieki sączy się światło i ciepło. Mógłby to być chór anielski albo zastęp ognistych diabłów, ale Daniel nie wierzy w takie bzdury. Mogłaby to również być oznaka eksplozji w prochowni *Minerwy*, lecz takie wydarzenie wiązałoby się z ogłuszającym hukiem, tymczasem jedyne odgłosy dochodzące do jego uszu to skrzypienie i pojękiwanie przeciąganych na stanowiska armatnich lawet. W nozdrzach czuje orzeźwiający podmuch morskiej bryzy. Podejmuje olbrzymie ryzyko – i otwiera oczy.

Wszystkie ambrazury na bakburcie zostały równocześnie otwarte. Artylerzyści ciągną za umocowane do wielokrażków sznury, kierując lufy w jedną lub drugą stronę; inni podważają łomami tyły dział i wbijają pod nie kliny – krótko mówiąc, wszędzie dookoła trwają przygotowania równie skomplikowane i gorączkowe jak przed królewskim ślubem. Potem ktoś przynosi pochodnię, strzelcy wyliczają odpowiedni moment w kołysaniu statku, a biednemu Danielowi nie przychodzi do głowy, żeby zasłonić rękami uszy. Słyszy jeden, może dwa wystrzały, potem zaś głuchnie i tylko patrzy, jak czterotonowe żelazne rury odskakują od ambrazur niczym korkowe lotki do wolanta.

Jest przekonany, że zginął.

Otaczają go inni umarli.

Leżą na górnym pokładzie.

Dwóch marynarzy siedzi na trupie Daniela, trzeci zaś dręczy jego zwłoki, nakłuwając je igłą. Zszywa martwe członki, a potem wkłada na nie spodnie, żeby nic nie wypadło. Tak więc czuły się bezdomne psy, które trafiły w ręce członków Towarzystwa Królewskiego!

Ponieważ leży na wznak, może patrzeć głównie w niebo. Dopiero gdy przekreśli głowę w bok – co, jak na trupa, jest wyczynem wręcz niebywałym – widzi van Hoeka, który stoi na kasztelu rufowym i krzyczy coś przez tubę, wycelowaną, nawiasem mówiąc, prosto za burtę.

– Na kogo on się tak drze? – pyta Daniel.

– Przepraszam, panie doktorze, nie zauważyłem, że się pan ocknął – odzywa się Słup Cienia. Przemawia głosem Dappy. Przesuwa się w tył, osłaniając twarz Daniela przed słońcem. – Negocjuje z piratami, którzy przyплыnęli szalupą z okrętu flagowego Teach'a.

– Czego chcą?

– Pana, doktorze.

– Nie rozumiem.

– Tu nie ma nic do rozumienia. To proste jak drut. Przyплыnęli i powiedzieli: „Oddajcie nam doktora Waterhouse'a i będzie po sprawie”.

Doktor Waterhouse powinien być teraz przez długi czas ogłupiały, ale w rzeczywistości jego oszołomienie trwa tylko chwilę. Gruźelkowata jedwabna nić, którą ktoś żwawymi ruchami przeciąga przez świeże otwory w jego ciele, uniemożliwia głębszą refleksję.

– I, oczywiście, zrobicie to. – Nie jest w stanie nic więcej wykrztusić.

– Każdy inny kapitan tak właśnie by się zachował, ale człowiek, który przysłał nam pana na pokład, musi dobrze znać stosunek van Hoeka do piratów. Proszę spojrzeć.

Dappa robi krok w bok i odsłania Danielowi widok bardziej niezwykły od wszelkich dziwów, za których oglądanie gapie płacą na targu w dniu świętego Bartłomieja. Po drabince sznurowej wspina się młotoreki mężczyzna – dosłownie młotoreki, gdyż jedno z jego ramion nie kończy się ani dłonią, ani hakiem, lecz najprawdziwszym młotkiem. To van Hoek. Wdrapuje się na należycie groźną wysokość, czyli zrównuje z flagami powiewającymi na bezanmaszcie. Jedną z nich jest holenderska bandera, druga, mniejsza, przedstawia egidę. Zahaczywszy się bezpiecznie o liny, a właściwie wplótszy kończyny w takielunek, pojedynczo wyjmując trzymane w ustach gwoździe i przybija nimi rąbki flag do masztu.

Nagle Daniel odnosi wrażenie, że wszyscy marynarze, którzy akurat na nim nie siedzą, zaczynają rozwijać nedorzeczną wręcz liczbę żagli. Z zadowoleniem odnotowuje fakt, że wreszcie podniesiono grot, czyli z jednym oszustwem dali sobie spokój. Tymczasem *Minerwa* w cudowny sposób rośnie – z kolumn masztów wyrastają składane teleskopowo stengi, wlokąc za sobą asymptotyczny szereg coraz mniejszych i mniejszych trapezokształtnych żagli, podwieszonych do krucho wyglądających rei.

– Co za malowniczy gest – przyznaje Daniel. – Zwłaszcza w takiej chwili, kiedy połowa flotylli Teacha przestała istnieć.

– Owszem, doktorze, przestała, ale to była ta gorsza połowa – mówi Dappa.

## **Londyn, City**

**1673**

*Piątą tezą, która prowadzi do rozpadu państwa, jest to, że każdy człowiek prywatny ma bezwzględną własność swoich dóbr, taką, która wyłącza uprawnienie suwerena.*

Hobbes, *Lewiatan*

Oczywiście Daniel nigdy nie był aktorem, ale kiedy chodził na przedstawienia do teatru Rogera Comstocka – a zwłaszcza kiedy oglądał je po raz piąty czy szósty – zdumiewała go sztuczność, z jaką ci mężczyźni (i kobiety!) stawali na scenie, setny raz wygadywali przewidziane scenariuszem bzdury i starali się udawać, że odległy na wyciągnięcie ręki, wpatrzony w nich tłum zwyczajnie nie istnieje. Zachowywali się nienaturalnie, a ich kwestie brzmiały pusto i fałszywie, jakby najchętniej zwinęli manatki i zajęli się czymś innym. Taki

sam był zresztą podczas Trzeciej Wojny Holenderskiej cały Londyn, żyjący wyczekiwaniem na wiadomość o upadku Niderlandów.

Tymczasem jednak musiał się zadowalać ochłapami informacji, jakie z rzadka docierały zza morza. Wieści niosły się po mieście i miasto komentowało je z egzaltacją, z jaką aktorzy mogliby reagować na burzę lub bijatykę pod sceną.

Co najdziwniejsze (a może wcale nie), jedyną pociechą dla większości mieszkańców była wizyta w teatrze, gdzie mogli stłoczyć się w półmroku i patrzeć na aktorów, pokazujących im ich samych w krzywym zwierciadle. Od czasu premiery w Kolegium Świętej Trójcy sztuka *Znowu w spodniach* zyskała ogromną popularność. Przeniesiono ją do teatru Rogera po tym, jak dwa poprzednie, w których była wystawiana, spłonęły wskutek błędów w sztuce pirotechnicznej. Zadanie Daniela polegało na takim inscenizowaniu piorunów, grzmotów i wybuchu beczułki prochu w rękach hrabiego Siarczka, aby nie ucierpiała na tym najnowsza inwestycja Rogera. Wymyślił nową maszynę do produkcji grzmotów, złożoną z kuli armatniej toczącej się po zamkniętej w beczce spirali Archimedesesa, oraz wykorzystał swoją uprzywilejowaną pozycję w najlepszej pracowni alchemicznej na świecie do wyprodukowania nowej mieszanki prochowej, która spalała się z większym błyskiem, a robiła mniej huku niż tradycyjna. Popisy pirotechniczne zajmowały kilka pierwszych minut przedstawienia. Potem Daniel siedział za kulisami i podglądał Tess, która za każdym razem oszałamiała go jak eksplodująca mu przed nosem garść prochu; kiedy ją widział, jego serce łomotało jak zdeformowana kula armatnia pędząca po nieskończonej, dudniącej echem spirali. Karol II często przychodził popatrzeć, jak jego Nellie śpiewa słodkie piosenki, i Danielowi robiło się łzej – albo po prostu weselej – na duszy, kiedy uświadamiał sobie, że coś ich z królem łączy: czekając, obaj zabijali czas oglądaniem pięknych dziewcząt.

Okrucy informacji, które docierały do miasta wyczekującego wielkiej nowiny, z początku przybierały różne formy, ale im dłużej trwała wojna, tym częściej ograniczały się do zawiadomień o czyjejś śmierci. Nie było tak źle, jak podczas wielkiej zarazy, ale Danielowi zdarzało się, że musiał wybierać między dwoma pogrzebami odbywającymi się o tej samej godzinie. Wilkins zmarł pierwszy i wielu poszło za nim, tak jakby zapoczątkował modę na umieranie.

Richard Comstock, najstarszy syn Johna i pierwowzór dzielnego, choć raczej przygłupiego Eugeniusza Koguta ze *Znowu w spodniach*, płynął na statku, który w Zatoce Sole dostał się pod ostrzał okrętów admirała de Ruytera. Wraz z tysiącami innych Anglików trafił prosto do świętego Piotra. Wielu z tych, którzy wyszli z bitwy cało, krążyło teraz po Londynie, potrząsało krwawymi kikutami i żebrało na skrzyżowaniach. Daniel nie posiadał się ze zdumienia, otrzymawszy zaproszenie na pogrzeb Comstocka – nie od Johna, rzecz jasna, lecz od Charlesa, czwartego syna Johna i jego ostatniego żyjącego potomka (dwaj średni zmarli młodo, na ospę). Po krótkim epizodzie w roli pomocnika laboranta w Epsom w roku zarazy Charles wstąpił do Cambridge, gdzie zresztą słuchał wykładów Daniela. Był na

najlepszej drodze do zostania rzetelnym naturalistą, ale po śmierci Richarda stał się dziedzicem świetnego rodu i nie mógł być już nikim innym – chyba że ród przestałby być świetny albo Charles zostałby z niego wyłączony.

Siedzący w kościele w pierwszej ławce John Comstock wstał i powiedział:

– Holender przewyższa nas pilnością i innymi przymiotami, ale nie wie, co to prawdziwa wrogość.

Któregoś dnia król zamknął skarb państwa. Przyznał w ten sposób, że Anglii skończyły się pieniądze i że Korona nie tylko nie może uregulować długów, ale nie nadaża nawet ze spłatą odsetków, które są od nich naliczane. Nie minął tydzień, a zmarł wuj Daniela, Thomas Ham, wicehrabia Walbrook. Nikt poza ciotką Mayflower nie wiedział, czy był to atak serca, czy samobójstwo, ale nie miało to wielkiego znaczenia. Jego śmierć doprowadziła do najbardziej pretensjonalnego widowiska, jakie Daniel oglądał tego roku w Londynie (może z wyłączeniem *Obleżenia Maastricht*) – do otwarcia jego skarbcza.

Urzędnicy dworscy opiekowali się solidną piwniczką natychmiast po śmierci właściciela i postawili na jej straży muszkieterów, aby deponenci Hama (którzy w ostatnich tygodniach zwykli zbijać się w mrukliwy kłębek pod jego domem i zawsze kręcili się gdzieś w pobliżu; i tak jak inni protestujący wymachiwali paszkwilami opisującymi okrucieństwa, jakich królewska armia dopuszcza się w Niderlandach, tak ci powiewali w powietrzu notami złotniczymi wystawionymi na skarbiec Thomasa Hama) nie włamali się do niej i nie pozabierali należących do nich półmisków, świeczników i złotych gwinei. Manewry prawnicze, które wkrótce się rozpoczęły, trwały po całych dniach, kładąc się nieprzyjemnym cieniem na uroczystościach pogrzebowych wuja Toma, po czym przeciągnęły się najpierw o dzień, potem o dwa i trzy poza pogrzeb. Właściciel piwniczki spoczął więc w ziemi, a jego główni wspólnicy przepadli jak kamień w wodę; chodziły słuchy, że są w Dunkierce i próbują zapłacić za rejs do Brazylii powgniatanymi kielichami i sosjerkami ze złota. Fakty czekały na odsłonięcie w słynącym ze swej solidności skarbcu braci Ham przy Threadneedle.

Wreszcie piwniczka została otwarta w asyście oddziału lordów i sędziów, pod eskortą muszkieterów i na oczach Raleigha, Sterlinga i Daniela Waterhouse'ów, sir Richarda Apthorpa oraz licznych Innych Ważnych Osobistości. Mijały dokładnie trzy dni od chwili, gdy Karol II umył ręce od państwowych długów, a Królewski Skarbiec wydał wyrok, ukrzyżował i pogrzebał Thomasa Hama – szczególnie ten nie uszedł uwagi Sterlinga Waterhouse'a, niekwestionowanego mistrza celnych spostrzeżeń. Kiedy tłum Dobrych i Sławnych dreptał po schodkach prowadzących do domu Thomasa, Sterling szepnął do Daniela:

– Tak się zastanawiam... Może kiedy odwalimy głaz zasłaniający wejście, znajdziemy pusty grób?



W pierwszej chwili bluźnierstwo wydało się Danielowi wstrząsające. Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że jako człowiek, który właściwie zamieszkał w teatrze i co wieczór robił słodkie oczy do aktoreczki, nie powinien, doprawdy, krytykować Sterlinga za takie żarty.

Ale żart okazał się nieśmieszny. Piwniczka była pusta.

Tylko przez chwilę, bo natychmiast zapełniła się ludźmi, którzy stanęli na rzymskiej mozaice, zapomniawszy języka w gębie.

RALEIGH: Wiedziałem, że nie czeka nas nic dobrego, ale – na Boga! – tu nie ma nawet zgniłego kartofla!

STERLING: To taki swoisty antycud.

KRÓLEWSKI MINISTER SKARBU: Proszę pójść na górę i kazać muszkietierom sprowadzić więcej muszkietierów.

Stali tak długą chwilę. Nieśmiało podejmowane próby zagajenia rozmowy gasły jak mokre fajerwerki, tylko – o dziwo! – Waterhouse’owie gadali w najlepsze, tak jakby katastrofa wprowadziła ich w świetny humor.

RALEIGH: Nasz nowy lokator mówił mi, że postanowiłeś zostać architektem, Danielu.

STERLING: Spodziewaliśmy się raczej, że będziesz uczonec.

DANIEL: Wszyscy uczeni zajmują się architekturą. Hooke, na przykład, wczoraj wyrozumował ideę konstrukcji łuków.

STERLING: Wydawało mi się, że jest od dawna znana.

RALEIGH: Chcesz powiedzieć, że dotychczas wszystkie łuki budowano na oko?

SIR RICHARD APHORP: Podobnie jak instytucje finansowe.

DANIEL: Dzięki Hooke’owi Christopher Wren zamierza od nowa zaprojektować sklepienia katedry Świętego Pawła.

STERLING: To świetnie! Może nie będzie taka wstrętna i koślawa jak poprzednia.

RALEIGH: Bracie Danielu... Nie masz może jakichś szkiców, które mógłbyś nam pokazać?

DANIEL: Szkiców?

RALEIGH: Szkiców, rysunków, przekrojów... Wiesz, przekroje na pokoje.

Żart był kiepski, ale stanowił zaszyfrowany sygnał ze strony Raleigha-patriarchy (który osiągnął wiek pięćdziesięciu pięciu lat i komicznie się zestarzał – Daniel wciąż widział w nim młodego Raleigha, tylko ubranego w szaty dziadka i postarzonego teatralną charakteryzacją), że należałoby wrócić na górę. Wyszli więc z piwniczki w towarzystwie sir Richarda Aphorpa i zebrali się w sypialni na piętrze, tej samej, w której okna Daniel zaglądał ze swojego stanowiska na dachu Kolegium Greshama. Przez okno zdążył już wpaść pierwszy kamień, leżący teraz na środku dywanika w otoczeniu szklanych wielokątów. Następne pociski bębniły o ściany, Daniel otworzył więc zapobiegliwie okna, żeby zaoszczędzić na szkleniu. A

potem cała czwórka cofnęła się w głąb pokoju, przysiadła na łóżku i obserwowała sypiące się do środka kamienie.

STERLING: Była mowa o gwineach, a właściwie o ich braku, więc skoro już przy tym jesteśmy... Trochę szkoda Kompanii Gwinejskiej, prawda?

APTHORP: Phi! Kompania przypominała teatralne fajerwerki pańskiego brata. Dawno pozbyłem się jej udziałów.

STERLING: A ty, Raleighu?

RALEIGH: Jest mi winna pieniądze. To wszystko.

APTHORP: Dostanie pan osiem szylingów z funta.

RALEIGH: To żalosne, ale i tak lepsze od tego, na co mogą liczyć deponenci Thomasa Hama.

DANIEL: Biedna Mayflower!

RALEIGH: A właśnie, przeprowadza się do mnie, razem z małym Williamem. Będziesz musiał poszukać sobie nowego mieszkania.

STERLING: Co za dureń skupuje długi Kompanii Gwinejskiej?

APTHORP: Jakub, ksiązę Yorku.

STERLING: Ehm, co to ja... Cóż to za nieustraszony bohater skupuje... I tak dalej...

DANIEL: To niedorzeczne! Przecież to są jego własne długi!

APTHORP: Nie jego, lecz Kompanii. Jakub zwija jeden interes i otwiera następny: Królewską Kompanię Afrykańską. Będzie w niej głównym udziałowcem. I gubernatorem Afryki.

RALEIGH: Nie wystarczy mu, że zatopił naszą marynarkę i zrobił z nas zakładników papieża? Teraz chce zniewolić wszystkich Murzynów?

STERLING: Och, bracie... Z każdym dniem coraz bardziej upodabniasz się do Drake'a.

RALEIGH: Wydaje ci się. To pewnie przez to, że oblegają mnie uzbrojone tłumy.

APTHORP: Ksiązę Yorku zrezygnował ze zwierzchnictwa w Admiralicji...

RALEIGH: Bo nie ma już czemu admirałować.

APTHORP: Chce się ożenić z tą sympatyczną katoliczką<sup>50</sup> i uporządkować swoje afrykańskie sprawy.

STERLING: Sir Richardzie, to chyba jedna z tych rzeczy, o których dowiadujesz się najwcześniej ze wszystkich. W przeciwnym razie mielibyśmy już w mieście zamieszki.

RALEIGH: I mamy, ptasi mózdzku. W dodatku jeśli nie mam Drake'owskich zwidów, to tłuszcza właśnie podpała ten dom.

STERLING: Chodziło mi o to, że ludzie zbuntują się przeciw księciu, nie przeciw naszemu szwagrowi.

---

<sup>50</sup> Marią Beatrycze d'Este z Modeny. Annę Hyde dwa lata wcześniej spuszczone (za pomocą dźwigu) do grobu podwójnej szerokości.

DANIEL: Niedawno na własne oczy widziałem coś w rodzaju demonstracji przeciwko księciu. Ale tamtym protestującym nie podobała się jego religia, a nie nieporadność polityczna, handlowa czy militarna.

STERLING: Zapomniałeś o intelektualnej i moralnej.

DANIEL: Staralem się mówić zwięźle, ponieważ zaczyna z wolna brakować nam tej ulotnej esencji, która znajduje się w świeżym powietrzu i o którą ogień walczy z żywymi istotami.

RALEIGH: Książę Yorku! Ciekaw jestem, który z liżących mu buty pochlebców odpowiada za nazwanie Nowego Jorku na jego cześć! Przecież to całkiem porządne miasto.

DANIEL: Pozwólcie, że zmienię temat... Przeprowadziłem was tutaj ze względu na obecność tej oto drabiny, która poza tym, że jest ulubioną zabawką Williama Hama, stanowi również dogodną drogę ewakuacji na dach... Tam zaś nie będzie ani tak gorąco, ani tak ciemno od dymu.

STERLING: Danielu, nie przejmuj się tym, co ludzie o tobie wygadują. Obojętne, co robisz, zawsze masz ku temu ważny powód.

[Pora na tragicomiczne interludium muzyczne: bracia Waterhouse chórem (krzykliwym i schrypniętym od dymu) zaczynają śpiewać purytański hymn o Drabinie Jakubowej].

SCENA: Dachy domów przy Threadneedle Street. Z dołu słychać krzyki, brzęk tłuczonego szkła, strzały muszkietowe. Odgłosy koncentrują się wokół potężnego komina domu Hamów, którym ulatuje dym z płonących mebli i ścian.

SIR RICHARD APTHORP: Ten widok napawa otuchą, Danielu: odbudowana, poszerzona Cheapside, prowadząca do placu, na którym katedra Świętego Pawła zostanie odbudowana zgodnie z prawidłami matematyki. Może tym razem trochę postoi.

STERLING: Sir Richardzie, nieprzyjemnie przypomina mi pan kaznodzieję, który rozpoczyna kazanie od banalnego spostrzeżenia, aby w oparciu o nie zbudować wymuszoną i nieciekawą analogię.

APTHORP: Wolalbyśmy oprzeć na nim łuk. Drugą podporę umieściłbym... mniej więcej tutaj.

RALEIGH: Naprawdę marzy się panu taki ogromny łuk triumfalny? Pozwoli pan, że przypomnę, iż najpierw potrzebny byłby jakiś triumf.

APTHORP: To tylko porównanie. To, co Christopher Wren zamierza zrobić z katedrą, ja chciałbym odnieść do *banca*. I tak jak Wren oprze się na wyliczeniach Hooke'a, aby postawić kościół solidny i trwały, ja zastosuję nowoczesne metody, które pozwolą mi tak zaplanować funkcjonowanie *banca*, aby – bez nieprzystojnych aluzji pod adresem waszego świętej pamięci szwagra, panowie – nie groziły mu najazdy zbrojnej, rozgniewanej tłuszczy.

RALEIGH: Skarbiec naszego świętej pamięci szwagra został doprowadzony do ruiny, ponieważ król pożyczył wszystko, co się w nim znajdowało, prawdopodobnie grożąc szwagrowi bronią, a następnie odmówił zwrotu depozytów. Jakie prawo matematyczne pana przed tym zabezpieczy?

APTHORP: To samo, które pan i pańscy współwyznawcy stosujecie dla zachowania swojej wiary – powiem królowi, żeby zostawił mnie w spokoju.

RALEIGH: Królowie nie lubią, kiedy się tak do nich mówi. W ogóle nie lubią, kiedy im się rozkazuje.

APTHORP: Rozmawiałem wczoraj z królem i muszę panom powiedzieć, że jeszcze bardziej nie lubią bankructwa. Urodziłem się w tym samym roku, kiedy król przejął na własność całe złoto i srebro zdeponowane w Tower przez Drake'a i innych kupców. Pamiętacie to, panowie?

RALEIGH: Owszem, to był czarny rok. Wielu kupców zmieniło się wtedy w buntowników.

APTHORP: Efektem takich praktyk były prywatne skarbcze, takie jak ten należący do panów szwagra, oraz noty złotnicze. Nikt już nie ufał Tower.

STERLING: Po tym, co się dziś wydarzyło, nikt nie zaufa ani złotnikom, ani ich głupim notom.

APTHORP: Istotnie. Ale tak jak pusty grób wielkanocny zapowiadał zmartwychwstanie, tak i...

DANIEL: Zatykam uszy. Nie chcę tego słuchać. Kiedy przestaniecie panowie bluźnić, proszę zamachać.

\* \* \*

Wiadomość o tym, że Holendrzy wygrali wojnę, rozchodziła się po Londynie niepostrzeżenie jak dzuma, aż w pewnym momencie dotarła do wszystkich. Daniel obudził się któregoś ranka w Bedlam ze świadomością, że Wilhelm Orański dla ratowania Amsterdamu otworzył śluzy i zalał znaczne obszary swojej republiki, Waterhouse nie wiedział jednak, skąd tę wiedzę posiada.

Przeszedł z braćmi po dachach budynków stojących przy Threadneedle. Rozstali się z Apthorpem na dachu jego warsztatu złotniczego, przed którym – mimo że sir Richard nie utracił płynności finansowej – również kłębił się zbrojny tłumek, podobnie zresztą jak przed drzwiami wszystkich kolejnych. I tak oto, zamiast uciec przed zamętem, poniewczasie zorientowali się, że pakują się w sam środek znacznie gorszego zamieszania. Najlepiej byłoby, rzecz jasna, zawrócić i cofnąć się tam, skąd przyszli, ale po dachach ścigał ich już pluton kwaków uzbrojonych w muszkiety; za każdym ciągnął się w powietrzu ogon dymu z wolnopalnego lontu. Na północy, po drugiej stronie ulicy, od strony Kolegium Greshama nadciągał oddział królewskich żołnierzy, biegnących po dachach domów przy Broad Street. Było oczywiste, że jedni i drudzy lada chwila otworzą ogień ponad głowami stłoczonych w

dole kwakrów, barkerów, diggerów, ranterów, żydów, hugenotów, prezbiterian i przedstawiciele innych sekt.

Waterhouse'om nie pozostało więc nic innego, jak zejść na ulicę i utonąć w miotającej kamienie ciżbie. Kiedy jednak znaleźli się na dole, Daniel zorientował się, że nie otaczają ich rozrabiacy z czasów świetności Drake'a, lecz brzuchaci kupcy, którzy chcieli się po prostu dowiedzieć, gdzie się podziały ich pieniądze. Odpowiedź brzmiała następująco: Podziały się tam, gdzie zawsze się podziewają, kiedy przychodzi załamanie rynku. Idąc, Daniel deptał po perukach. Zdarzało się, że setka protestujących zawracała jak na komendę i uciekała *en bloc* przed nagłą salwą muszkietową – wtedy, również jak na komendę, wszyscy gubili peruki z głów. Niektóre spadały na ziemię wraz z fragmentami mózgow właścicieli i bryzgały perłową mazią na buty Daniela.

Przepchnęli się w górę Broad Street i oddalili od Giełdy, która, jak można było sądzić, stanowiła ośrodek całego zamieszania. Niby-polscy grenadierzy stali w szyku przed gmachem mieszczącym Kompanię – do niedawna Gwinejską, a w niedalekiej przyszłości Królewską Afrykańską. Waterhouse'owie minęli ich szybkim krokiem, drugą stroną ulicy, oglądając się przez ramię, czy nie leci za nimi któraś z zabójczych żelaznych kul. Próbowali dostać się do Kolegium Greshama, ale po pożarze przeniosły się tam biura wielu londyńskich firm, toteż kolegium było zamknięte na cztery spusty i chronione nie gorzej od budynku Kompanii.

Przemieszczali się więc dalej na północ, aż dotarli do Bedlam, gdzie schronili się na noc wśród zbryzganych zaprawą piramid ułożonych z ociosanych kamieni. Sterling i Raleigh rano sobie poszli, Daniel zaś został – zdążył się rozgościć i, spokojny i wyczerpany, nie miał najmniejszej ochoty wracać do miasta. Od czasu do czasu słyszał, jak niedaleki dzwon kościelny odlicza lata życia tych, którzy polegli w zamieszkach.

Wkrótce różni ludzie dowiedzieli się, gdzie przebywa, i zaczęli mu przysyłać gońców – po kilku dniach – z zaproszeniami na pogrzeby. Poszedł na kilka. Często proszono go, by powiedział parę słów – nie o zmarłym (którego rzadko zdarzało mu się znać), lecz bardziej ogólnie, o tolerancji religijnej. Krótko mówiąc, proszono go o małpowanie Wilkinsa, co było dla niego znacznie łatwiejsze od wymyślania własnych przemówień. Przez wzgląd na szacunek dla ojca – i dla równowagi – wtrącał też czasem dwa zdania o Drake'u. Czuł się tak, jakby popełniał samobójstwo, powoli i niebezpośrednio, ale po rozmowie z Johnem Comstockiem i tak miał wrażenie, że zostało mu niewiele życia. Widok zasiadających w ławkach ludzi w czerni i bieli (wśród których czasem wyróżniał się barwną plamą Roger Comstock w towarzystwie jednego lub dwóch współczujących – albo przynajmniej zaciekawionych – dworzan), dziwnie podnosił go na duchu. Przez otwarte drzwi i okna było widać rzeszę żałobników na kościelnym dziedzińcu i sąsiednich ulicach.

Przypominały mu się wtedy studenckie czasy, zamordowany przez Upnora purytanin i odbywający się pięć mil od Cambridge pogrzeb, na którym nieoczekiwanie spotkał ojca i braci. To wspomnienie dręczyło umysł, lecz przynosiło pociechę duszy.

Jego słowa poruszały słuchaczy znacznie bardziej, niżby chciał – i bardziej, niż się spodziewał. Przywoływanie wspomnień Drake’a i Williama powodowało podobny efekt, jak roztarcie w alchemicznym moździerzku dwóch nieaktywnych substancji, w połączeniu dających mieszkankę wybuchową. Nie tego jednak szukał i wkrótce zaczął stronić od pogrzebów, spędzając większość czasu w spokojnym skalnym ogrodzie Bedlam.

Hooke również się tam przeniósł, po tym jak w Kolegium Greshama zaroilo się od spiskujących fircyków. Odbudowa Bedlam miała jeszcze potrwać całe lata, bo kamieniarze nawet nie zabrali się do pracy przy skrzydłach gmachu, ale środek budynku był gotowy i zwieńczony okrągłą, oszkloną ze wszystkich stron wieżyczką. Hooke chętnie w niej pracował – miał tam spokój i doskonale światło. Daniel zaś mieszkał na dole i wychodził do City tylko po to, żeby spotkać się z Leibnizem.

\* \* \*

Doktor Gottfried Wilhelm Leibniz trzeci raz wziął do ręki dzbanek i przechylił go, żeby napęnić filiżankę – i trzeci raz z dzióbka nie pociekła ani kropla kawy. Dzbanuszek był pusty od pół godziny. Leibniz westchnął i z ociąganiem wstał.

– Proszę mi wybaczyć, ale jutro wyruszam w długą podróż: najpierw przez Kanał, a potem z Calais do Paryża, gdzie będziemy musieli unikać spotkania z francuskimi żołnierzami. Będą się wlec do domu wynędzniali, zagłodzeni i na wpół obłąkani.

Daniel uparł się, że zapłaci, uregulował rachunek i wyszedł za Niemcem z kawiarni. Bez pośpiechu ruszyli w stronę gospody, w której mieszkał Leibniz. Znajdowali się niedaleko Giełdy. Zwęglone kawałki drewna i luźne brukowce gęsto zalegały bitą ulicę.

– Tutaj, w Londynie, trudno dostrzec przejawy boskiej harmonii – zauważył Daniel. – Jako Anglik rumienię się ze wstydu.

– Gdybyście z Francuzami podbili Republikę Holenderską, miałby pan poważniejsze powody do wstydu.

– Kiedy z woli bożej wrócicie panowie do Paryża, będzie można powiedzieć, że wasza misja się powiodła: wojny nie ma.

– Wprost przeciwnie: zawiedliśmy. Nie zapobiegliśmy wojnie.

– Po przybyciu do Londynu powiedział pan, doktorze, że pańskie poszukiwania filozoficzne są tylko przykrywką dla zabiegów dyplomatycznych. Mam jednak wrażenie, że było dokładnie odwrotnie.

– Moje poszukiwania filozoficzne również zakończyły się fiaskiem.

– Zyskał pan jednego zwolennika...

– O tak. Oldenburg nie daje mi spokoju. Codziennie mi się naprzykrza i przypomina o maszynie arytmetycznej.

– W takim razie ma pan dwóch zwolenników.

Leibniz stanął jak wryty i spojrzał podejrzliwie na Daniela, jakby spodziewał się, że ten żartuje.

– Poczytuję to sobie za zaszczyt, drogi panie – odparł. – Wolałbym wszakże widzieć w panu przyjaciela, nie stronnika.

– W takim razie to ja powinienem czuć się zaszczycony.

Wzięli się pod ramię i przez chwilę szli w milczeniu.

– Paryż! – Leibniz westchnął, jakby myśl o tym mieście miała w najbliższych dniach trzymać go przy życiu. – Wrócę do Bibliothèque du Roi i skupię się wyłącznie na matematyce.

– Nie chce pan już budować maszyny arytmetycznej?

Daniel pierwszy raz zobaczył, że Leibniz potrafi się zdenerwować.

– Jestem filozofem, nie zegarmistrzem. Kwestie natury filozoficznej, związane z budową maszyny, zostały rozstrzygnięte. Ten labirynt już przeszedłem.

– Przypomniało mi się coś jeszcze, doktorze, coś, co również powiedział pan pierwszego dnia pobytu w Londynie. Nazwał pan opozycję wolnej woli i predestynacji jednym z dwóch wielkich labiryntów, w których błądzi ludzki umysł. Co jest tym drugim?

– Drugim jest zagadnienie kontinuum, czyli pytanie: Czym jest przestrzeń? Euklides zapewnia nas, że możemy podzielić każdą odległość na pół, następnie każdą połówkę znowu na pół, i tak dalej, *ad infinitum*. Łatwo to powiedzieć, trudniej zrozumieć...

– Trudniej to pojąć metafizykowi niż matematykowi. Podobnie jak inne dziedziny nauki, także nowoczesna matematyka stworzyła narzędzia, które pozwalają nam operować obiektami nieskończenie małymi i nieskończenie ogromnymi.

– Może zatem za dużo mam w sobie z metafizyka. Rozumiem, że ma pan na myśli techniki działań na ciągach nieskończonych?

– W rzeczy samej, doktorze. Ale przez pana, jak zwykle, przemawia nadmierna skromność. Udowodnił pan przecież całemu Towarzystwu Królewskiemu, że nikt lepiej od pana nie orientuje się w tych zagadnieniach.

– Tyle że moim zdaniem nie prowadzą one do rozstrzygnięcia naszych problemów, lecz jedynie uświadamiają nam ich głębię. Na przykład...

Leibniz skrzyknął i podszedł do dymiącej latarni, zwisającej z okapu pobliskiego domu. Nowy program oświetlenia ulic City mocno ucierpiał z powodu ogólnego braku pieniędzy, ale w najbardziej niespokojnej części miasta, gdzie w każdym cieniu (przynajmniej zdaniem sir Rogera L'Estrange'a) mogli się kryć spiskujący dysydenci, uznano, że warto zainwestować w tran do lamp.

Leibniz wyciągnął patyk ze sterty gruzu, która jeszcze przed tygodniem była sklepem złotniczym, stanął w kręgu brunatnego światła latarni i nakreślił na ziemi kilka pierwszych wyrazów szeregu:

$$\frac{\pi}{4} = \frac{1}{1} - \frac{1}{3} + \frac{1}{5} - \frac{1}{7} + \frac{1}{9} - \frac{1}{11} + \frac{1}{13} - \frac{1}{17} + \text{etc}$$

– Jeżeli będziemy dodawać kolejne wyrazy tego szeregu, przekonamy się, że jest zbieżny do  $\pi$ . Możemy więc przybliżyć wartość  $\pi$ , ale nigdy naprawdę jej nie osiągniemy. Tak jak ludzki umysł może zbliżyć się do boskości i uzyskać jej niedoskonałą świadomość, ale człowiek nigdy nie będzie mógł spojrzeć Bogu w twarz.

– Nie każdy nieskończony ciąg czy szereg dowodzi wyższości niepoznawalnego, doktorze. Niektóre z nich potrafią nam wiele wyjaśnić. Mój przyjaciel Isaac Newton dokonuje z nimi prawdziwych cudów, nauczył się na przykład przedstawiać krzywe w postaci nieskończonych ciągów. – Daniel wyjął patyk z rąk Leibniza i nakreślił na ziemi zakrzywioną linię. – W ten sposób nie tylko nie umniejszył swojej wiedzy, ale wręcz poszerzył jej zakres. Może teraz wyznaczyć styczną do krzywej w dowolnym punkcie tejże. – Dorysował prostą, przytykającą w jednym miejscu do wykreślonej przed chwilą krzywej.

Rozległ się turkot kół czarnej karety. Woźnica ostro poganiał konie, ale co i rusz musiał zwalniać i ostrożnie wymijać sterty gruzu. Daniel i Leibniz cofnęli się pod drzwi najbliższego domu. Koła wpadły w kałużę, bryznęła woda; zarówno symbole Leibniza, jak i rysunek Daniela najpierw pokryły się systemem kanalików na deszczówkę, a potem zupełnie rozpląnęły.

– Chciałbym, żeby przynajmniej część naszych prac przetrwała dłużej niż te obrazy – mruknął smętnie Daniel.

Leibniz roześmiał się głośno i następne sto czy dwieście jardów pokonali w milczeniu.

– Myślałem, że Newton zajmuje się alchemią – odezwał się w końcu Niemiec.

– Od czasu do czasu udaje się nam – to znaczy mnie, Oldenburgowi albo Comstockowi – nakłonić go, żeby spisał część swoich matematycznych przemyśleń.

– Może i mnie trzeba by nakłonić.

– Huygens pana przekona.

Leibniz wzruszył gwałtownie ramionami, jakby chciał strząsnąć siedzącego mu na karku Huygensa.

– Dotychczas był dla mnie doskonałym nauczycielem. Ale jeżeli potrafi podsuwać mi tylko takie zagadnienia, które Anglicy dawno rozstrzygnęli, najwyraźniej wie o matematyce tyle samo co ja.

– A Oldenburg nakłania pana... tylko nie do tego co trzeba.

– W Paryżu wrócę do budowania maszyny arytmetycznej. – Leibniz westchnął. – Będzie zachwycony. Zresztą to bardzo szacowny projekt, tyle że teraz interesujący wyłącznie dla mechanika.



Korzystając z faktu, że weszli w zasięg światła następnej latarni, Daniel zerknął na Leibniza, próbując wysondować jego nastrój. Niemiec wydał mu się znacznie bardziej stanowczy i zdecydowany niż pod poprzednią lampą.

– To dziecinada spodziewać się, że starsi powiedzą mi, co robić – dodał Leibniz. – Nikt nie kazał mi rozważać konfliktu wolnej woli i predestynacji. Sam zagłębiłem się w ten labirynt i zabłądziłem w nim z kretesem, aż nie pozostało mi nic innego, jak zacząć myśleć i znaleźć z niego wyjście.

– Drugi labirynt czeka – przypomniał mu Daniel.

– To prawda... I chyba najwyższy czas, żebym się z nim zmierzył. Tak, to mój kolejny cel. Kiedy następnym razem się spotkamy, Danielu, będę najlepszym matematykiem na świecie.

Podobne słowa w ustach każdego innego europejskiego prawnika zabrzmiałyby arogancko i śmiesznie. Ale ten, kto je wypowiadał, był potworem.

\* \* \*

*Poddalem się temu, co mi dyktowały moje namiętności.*

John Bunyan, *Wędrówka Pielgrzyma*

Pewnego ranka obudził Daniela stłumiony huk. Początkowo Daniel wziął go za odgłos próbnego wystrzału z działa na poligonie pod miastem, ale kiedy już prawie zasypiał z powrotem, dźwięk rozległ się ponownie: stanowcze, głuche BUM! jak kropka na końcu książki.

Poranny brzask zalał wieżyczkę Bedlam i powoli ściekał niżej, wśród dźwigarów i zastrzałów, pomostów i rusztowań, zwisających luźno lin i skośnych klamer, na sam dół, gdzie Daniel leżał na sienniku. Słyszał dobiegające z góry dźwięki – nie toporne hałasy, jakie mogłyby wydawać szczury lub złodzieje, lecz odgłosy precyzyjnych, przemyślanych manewrów ptaków i Hooke'a.

Wstał i – zostawiwszy na sienniku perukę, żeby rześkie powietrze chłodziło mu pokrytą odrastającymi włosami głowę – zaczął wspinać się ku światłu po pozostawionych przez murarzy drabinach i sznurach. Wolną przestrzeń między belkami nad jego głową wypełniały świetliste linie łososiowej barwy, napięte i idealnie równoległe, jak struny harfy. Podciągnął się, przecisnął przez właz, płosząc przy tym parę jaskółek, i znalazł się w półkolistym pokoju w wieżyczce, gdzie zastał Roberta Hooke'a. W smudze światła był widoczny unoszący się kurz. Hooke siedział nad ogromnymi szkicami skrzydeł i śmigieł. Na oknach pozawieszał szklane tafle z wykreślonymi czarną kredką kartezjańskimi układami współrzędnych, na które naniósł odkształcone parabole, odwzorowujące rzeczywisty tor lotu kuli armatniej. Lubił obserwować lot kuli, stojąc tuż obok lufy działa, w zbudowanej przez siebie budce ze szklaną osłoną, na której tłustą kredką zaznaczał trajektorie pocisków.

– Odważ mi pięć granów prochu – poprosił.

Pracował właśnie nad rozprężarką, jednym z wielu przyrządów tłokowych, których używali z Boyle’em do badania gazów.

Daniel podszedł do maleńkiej wagi, znajdującej się na desce opartej na dwóch koźlach. Obok, na podłodze, stała beczułka, opatrzona rodowym herbem Srebrnych Comstocków i luźno zamknięta zatyczką, oblepioną z wierzchu grubymi ziarenkami prochu. Przy niej leżała płócienna sakiewka wielkości zaciśniętej pięści, okrągła i pulchna jak woreczek mąki. Kiedyś musiała być zaszyta, ale Hooke porzycinał nierówne szwy i rozchylił jej wylot. Zajrzawszy między płatki wystrzępionego materiału, Daniel stwierdził, że i ona jest wypełniona czarnym prochem.

– Z beczułki czy z tego woreczka? – zapytał.

– Ponieważ cenię sobie zarówno moje oczy, jak i rozprężarkę, wolałbym z beczułki.

– Dlaczego?

Daniel wyciągnął poluzowaną zatyczkę do końca. Beczułka była prawie pełna. Wziął miedzianą łyżkę, porzuconą przez Hooke’a obok wagi (miedź nie krzesze iskier), nabrał odrobinę prochu i zaczął go pomалу przesypywać na delikatną, złotą szalkę. Nie mógł jednak oderwać wzroku od płóciennego woreczka, a to z dwóch powodów: po pierwsze, Hooke, którego niełatwo było przestraszyć, najwyraźniej uważał go za zagrożenie. Po drugie, woreczek wydał się Danielowi dziwnie znajomy, chociaż nie umiałby powiedzieć dlaczego.

– Rozetrzyj odrobinę w palcach – zaproponował Hooke. – No, śmiało, nie bój się.

Daniel włożył rękę do woreczka. Na palcach została mu ciemna smuga. Odpowiedź stała się oczywista.

– Proch w worku jest o wiele drobniejszy niż w beczułce.

I nagle przypomniał sobie, gdzie ostatnio widział taki woreczek. Tamtej nocy w pracowni, kiedy Roger Comstock omal nie wysadził się w powietrze, był zajęty ucieraniem drobnego prochu i przesypywaniem go do takiej właśnie sakiewki.

– Skąd pochodzi? Z teatru?

Chociaż raz udało mu się wprawić Hooke’a w bezbrzeżne zdumienie.

– Cóż za niezwykle pytanie... Dlaczego proch miałby pochodzić akurat z teatru?

– Bo jest bardzo drobny. – Daniel, który miał zajęte ręce, skinieniem głowy wskazał woreczek. Odważywszy pięć granów prochu z beczki, przesypał je w papierowy lejek i zaniósł Hooke’owi. – Spala się znacznie szybciej niż ten gruby, z beczułki. – Dla podkreślenia swoich słów potrząsnął lejkiem, który zachrobotał donośnie.

Hooke wsypał proch do cylindra rozprężarki. Niektóre z jego maszyn były wykonane ze szkła, tę jednak wyposażono w cylinder z mosiądzu, potężny jak pojemnik na tytoń – czyli w gruncie rzeczy niewiele odbiegający rozmiarem od małego mózdzierza obłężniczego. Tłok wypełniał go idealnie, jak kula armatnia lufę działa.

– Wiem o tym – przyznał Hooke. – I właśnie dlatego wolę nie wsypywać aż pięciu granów do rozprężarki. Proch Comstocka pali się wolno i równo, i popycha tłok w górę dokładnie w takim tempie, jakie mi odpowiada. Ta sama ilość drobniejszego prochu, z woreczka, spaliłaby się w mgnieniu oka. Oboje – i ja, i rozprężarka – wylecielibyśmy w powietrze.

– Właśnie dlatego pomyślałem, że mógłby pochodzić z teatru – odparł Daniel. – Do rozprężarki może się nie nadaje, ale do scenicznych fajerwerków byłby wprost idealny.

– Ten woreczek pochodzi z prochowni jednego z okrętów wojennych Jego Wysokości. Kiedyś tak było, a na niektórych okrętach nadal jest, że w celu naładowania działa nabierano z beczki niezbędną ilość prochu i wsypywano do lufy, tak jak muszkietier ładuje muszkiet. Ale w bitewnym zamęcie artylerzystom zdarzało się źle odmierzyć proch i rozsypać go po pokładzie. A trzymanie prochu luzem albo w otwartej beczce w pobliżu strzelającego działa to dopraszanie się o kłopoty. Dlatego wprowadzono nowe zwyczaje. Przed bitwą, kiedy na okręcie panuje względny spokój, proch jest starannie odmierzany i przesypany do takich oto sakiewek, które następnie szczelnie się zaszywa i składa w prochowni. Kiedy zaczyna się walka, sakiewki przynosi się po jednej na raz.

– A wtedy wystarczy rozciąć płótno nożem i wsypać proch do lufy – dokończył Daniel.

Nie pierwszy raz głupota Daniela zirytowała Hooke’a.

– Po co tracić czas na cięcie nożem, skoro ogień sam otworzy sobie worek?

– Słucham?

– Średnica sakiewki jest taka sama jak kaliber działa. Po co ją otwierać? Cały woreczek wrzuca się po prostu do lufy.

– Ale obsługa działa nawet nie wie, co jest w środku!

Hooke skinął głową.

– Nie musi. Jedyne, co ich interesuje, to ta odrobina, którą podsypują w zapał. Po jej zapaleniu ogień sam przeskoczy na proch w sakiewce.

– Z tego wniosek, że życie artylerzystów zależy od ludzi, którzy odmierzają proch i zaszywiają woreczki. Jeżeli ktoś nasypie niewłaściwego prochu...

Daniel zawiesił głos i jeszcze raz pomacał drobny jak pył proszek w sakiewce. Różnił się od tego z beczki, jak mąka od piasku.

– Kiedy cię słucham, przypomina mi się John Comstock, który przyniósł mi worek i beczułkę.

– Osobiście?!

– Tak. Powiedział, że nikomu nie można już ufać.

Wstrząs, jaki Daniel odczuł, musiał się chyba odmalować na jego twarzy, bo Hooke podniósł uspokajająco rękę i mówił dalej:

– Ja go rozumiem, i to aż za dobrze. Niektórzy z nas, Danielu, mają skłonność do popadania w swoistą melancholię. Dręczy ich wtedy irracjonalny lęk przed nieznanymi

wrogami, którzy knują przeciw nim za ich plecami. Zdarza mi się, że myślę w ten sposób o Oldenburgu i innych. Twój przyjaciel Newton również wykazuje objawy tej dolegliwości. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że John Comstock mógłby skarżyć się na tę przypadłość, ale kiedy tu przyszedł, zorientowałem się, że choroba bardzo się u niego rozwinęła. Dawno nic mnie tak nie zasmuciło.

– Lord Comstock podejrzewa – domyślił się Daniel – że ktoś, kto źle mu życzy, podrzuca do okrętowych magazynów worki z takim właśnie drobno zmielonym prochem. Po zaszcyciu sakiewka niczym się nie różni od normalnej, z gruboziarnistym ładunkiem. Ale po wrzuceniu do lufy i odpaleniu...

– Eksploduje, rozrywa działo i zabija wszystkich, którzy znaleźli się w pobliżu. Można mieć pretensje, że albo działo było za słabe, albo proch za mocny, ale ponieważ Comstock wyprodukował jedno i drugie, koniec końców wina i tak spada na niego.

– A skąd dokładnie wziął tę sakiewkę?

– Powiedział, że przysłał mu ją jego syn, Richard, który znalazł ją w prochowni okrętu dzień przed wyjściem w rejs do Zatoki Sole.

– Gdzie zginął od salwy z holenderskiego okrętu. A lord Comstock zażyczył sobie, aby zbadał pan zawartość sakiewki i wydał opinię, że została przygotowana przez jakiegoś niegodziwego spiskowca.

– Właśnie.

– Zrobił pan to?

– Nikt jeszcze nie pytał mnie o zdanie.

– Comstock też nie?

– Nie.

– Dlaczego najpierw osobiście dostarczył panu dowód rzeczowy, a potem przestał się nim interesować?

– Mogę się tylko domyślać, że od tamtej pory doszedł do wniosku, że moja opinia nie będzie miała znaczenia.

– Cóż za dziwne przekonanie...

– Nie ma w nim nic dziwnego. Przypuśćmy, że zeznałbym, iż proch w woreczku rzeczywiście jest zbyt drobny. Jaka z tego korzyść dla Comstocka? Anglesey – możemy bowiem być pewni, że to on za tym wszystkim stoi – odparłby, że Comstock przyrządził ten proch u siebie w piwnicy i podrzucił jako fałszywy dowód w celu oczyszczenia się z winy. Jediną osobą, która mogłaby potwierdzić, że sakiewka pochodzi z prochowni okrętu, był syn Comstocka. Niestety, nie żyje. W innych prochowniach można by znaleźć podobne woreczki, ale admirał de Ruyter posłał większość naszych okrętów na dno. Przegraliśmy wojnę, więc trzeba wskazać winnych – innych niż król i księżę Yorku. Do Comstocka dotarło, że tym razem to on będzie kozłem ofiarnym.

Odkąd Daniel wspiął się na górę, światło dnia znacznie przybrało na sile. Patrząc na maszynę Hooke'a, dostrzegł teraz przymocowany do tłoka pręt z przegubem, połączony ze skomplikowaną przekładnią. Przez maleńki otwór w podstawie cylindra Hooke zapalił znajdujący się w cylindrze proch. BUM! Tłok śmignął do góry z taką szybkością, że Daniel nie zdążył odskoczyć, i wywołał gwałtowne poruszenie w mechanizmie przekładni. Ruch zębatek nakręcił sprężynę zegarową o kształcie spirali i średnicy sporego talerza; zapadka zapobiegała jej rozkręceniu się. Następnie Hooke poprzestawiał elementy mechanizmu w taki sposób, żeby za pośrednictwem sznurka owiniętego na stożkowatym bębnie połączyć sprężynę z wałem napędowym niezwyklego obiektu, który przypominał śrubę Archimedesesa. Musiał być bardzo lekki, ponieważ zbudowano go z pergaminu rozpiętego na giętych nad parą gałązkach trzciny. Rozkręcająca się sprężyna wprawiała w ruch śrubę, która obracała się w równym tempie. Stanąwszy przy drugim końcu śruby, Daniel poczuł na twarzy wyraźny podmuch powietrza, który trwał ponad minutę (Hooke mierzył czas swoim najnowszym zegarkiem).

– Gdyby ją wzmocnić i regularnie zasilać prochem, mogłaby wytworzyć podmuch, który dźwignąłby ją z ziemi – stwierdził Hooke.

– Zasilanie prochem może być kłopotliwe.

– Używam go, bo niczego innego nie mam pod ręką. Ale teraz, gdy na przewodniczącego Towarzystwa został wybrany Anglesey, nie mogę się wprost doczekać, kiedy zacznę eksperymentować z łatwopalnym gazem.

– Nawet jeśli przez ten czas wyprowadzę się do Massachusetts, wrócę do Londynu, aby zobaczyć, jak wzbija się pan w powietrze – zapewnił Hooke'a Daniel.

Gdzieś niedaleko rozdzwonił się kościelny dzwon. Daniel zmarszczył brwi; na pogrzeb było jeszcze za wcześnie. Tymczasem po chwili do pierwszego dzwonu dołączył następny, a potem kolejne, i to bynajmniej nie po to, żeby zamilknąć po kilku uderzeniach – dzwoniły, jakby świętowano jakąś uroczystą okazję. Kościoły anglikańskie nie uczestniczyły w ogólnej wesołości. Dzwoniono tylko w świątyniach holenderskich, żydowskich i dysydenckich.

\* \* \*

Tego samego dnia, lecz nieco później, Roger Comstock zajechał pod Bedlam w karecie, z której zdrapano znak poprzedniego właściciela i zastąpiono go nowym: herbem Złotych Comstocków.

– Danielu? Pozwól, że odwiozę cię do Whitehallu – zaproponował. – Król chce, żebyś przybył na uroczystość podpisania.

– Podpisania czego?

Daniel brał pod uwagę różne możliwości: wyrok śmierci za działalność wywrotową, wyrok na Rogera za sabotaż, albo akt kapitulacji przed Republiką Holenderską. Tak, te trzy wydawały mu się najbardziej prawdopodobne.

– Jak to czego? Deklaracji! Nie słyszałeś? Gwarantuje wolność wyznania wszystkim dysydentom. Prawie tak, jak o tym marzył Wilkins.

– To naprawdę świetna wiadomość, o ile jest prawdziwa, ale po co jestem potrzebny Jego Wysokości?

– No jak to? Przecież poza Bolstroodem jesteś naszym najważniejszym dysydentem!

– To akurat nieprawda.

– Mniejsza z tym – odparł pogodnie Roger. – Grunt, że król cię za takiego uważa, a dziś faktycznie się nim stajesz.

– Skąd u króla taki pomysł? – zdziwił się Daniel, chociaż miał pewne podejrzenia.

– Wszystkim o tobie opowiadałem.

– Nie mam nawet ubrania, w którym mógłbym bez wstydu pokazać się w burdelu, a ty chcesz mnie zabrać do Whitehallu.

– W gruncie rzeczy niewielka różnica – odrzekł z roztargnieniem Roger.

– Nic nie rozumiesz. W mojej peruce zagnieździły się jaskółki – poskarżył się Daniel.

Roger Comstock pstryknął palcami i z karety wyskoczył służący z naręczem pudełek i paczek. W otwartych drzwiach pojazdu Danielowi mignęły również kobiece stroje – i to z kobietami w środku. Dwoma różnymi kobietami.

BUM! z wieżyczki. Zaraz potem stłumione przekleństwo Hooke’a.

– Nie bój się, nie znajdziesz tam nic niestosownego – zapewnił Daniela Roger. – To strój w sam raz dla czołowego dysydenta.

– Czy to samo mi powiesz o tych damach? – spytał Daniel, wchodząc za służącym i Rogerem do wnętrza Bedlam.

– To nie są żadne damy – odparł Roger, ale poza tym kiepskim żartem nie wysilił się nawet na namiastkę odpowiedzi. – A teraz wyświadczyć Londynowi przysługę i zrzucić te łachy. Każę służącemu je spalić.

– Koszula nie wygląda najgorzej – zaoponował Daniel. – No dobrze, do noszenia może się nie nadaje, ale można by z niej uszyć sakiewkę na proch dla marynarki wojennej.

– Nie ma już na nie popytu. Wojna się skończyła.

– Wprost przeciwnie. Przypuszczam, że trzeba będzie uszyć całe mnóstwo, skoro o starych wiadomo, że bywają wadliwe.

– Jak na politycznego abnegata, jesteś całkiem niezłe poinformowany. Kto ci nawkladał tych głupot do głowy? Jakiś stronnik Comstocka, co?

– Założę się, że zwolennicy Angleseya głoszą wszem wobec, że proch w workach jest znakomity, a Comstock odlewa kiepskie armaty.

– Wśród elit jest to fakt powszechnie znany.

– Być może. Ale my dwaj wiemy, i wie o tym jeszcze parę osób, że ktoś przygotowywał worki z nadmiernie rozdrobnionym prochem.

Akurat w tym momencie Daniel osiągnął stan prawie całkowitej nagości, ponieważ pozostały mu tylko kalesony. Roger rzucił mu świeżą parę i spuścił wzrok.

– Danielu! Nie chcę ani oglądać cię w tym stanie, ani dalej słuchać tych twoich uszczypliwości. Odwróć się do ciebie plecami i będę mówił dalej. Kiedy cię znów zobaczę, chcę ujrzeć nowego człowieka, równie dobrze ubranego, jak poinformowanego.

– No cóż, chyba nie mam wyboru...

– Żadnego. A teraz posłuchaj, Danielu. Przyłapałeś mnie na rozdrabnianiu prochu i przesypywaniu go do worka. Nie zaprzeczam, bo nie miałyby to sensu. Z pewnością źle o mnie myślisz, tym bardziej że od początku naszych wspólnych studiów w Trójcy Świętej miałeś nie najlepszą opinię na mój temat. Ale czy przyszło ci do głowy zadać sobie pytanie, jak ktoś taki jak ja miałby przenieść worki z prochem do ładowni okrętów wojennych? Przecież to absolutnie niemożliwe. Musiał to zrobić ktoś inny, ktoś kto ma władzę, o której mnie się nawet nie śniło.

– Książę Gunfl...

– Cicho bądź. Cicho, mówię! I poświęć tę chwilę milczenia rozważeniu podobieństw łączących działa i usta. Prostack, który zobaczy armatę, wyobraża sobie, że ma przed sobą niezawodnego poskromiciela wrogów. Za to bombardier-weteran wie, że działo, które przemawia, może czasem eksplodować. Zwłaszcza jeśli załadowano je w pośpiechu. A kiedy się to wydarzy, Danielu, wrogom nie dzieje się najmniejsza krzywda. Może dostrzegą z daleka kłęb dymu, ale podmuch wybuchu nawet nie zmierzwi im peruk. Tymczasem porywczy strzelec wylatuje w powietrze wraz ze swoimi towarzyszami. Pomyśl o tym, Danielu, i choć raz w życiu pokaż, że wiesz, na czym polega dyskrecja. Nazwisko człowieka, który doprowadził do rozerwania dział, jest w gruncie bez znaczenia. Liczy się co innego: ja nie miałem pojęcia, co naprawdę robię. Sądzisz, że znam się na morskiej artylerii? Wiem tylko, że poznałem w Towarzystwie Królewskim pewnych ludzi, którzy wkrótce dowiedzieli się, że pracuję w laboratorium Newtona w charakterze asystenta. Jeden z nich zapytał, czy mógłbym im wyświadczyć przysługę. Prościutką. Chciał, żebym zmełł drobno proch i dostarczył mu go w płóciennych woreczkach. Jak wiesz, zrobiłem to. Przez rok nappełniłem pół tuzina takich sakiewek. Jedna z nich eksplodowała w pracowni – dzięki tobie. O jednej wiem, że przemyciono ją na scenę *Oblężenia Maastricht*, gdzie pół Londynu było świadkiem rozerwania armaty. Cztery pozostałe trafiły do marynarki. Richard Comstock znalazł jedną i przesłał ojcu. Jedna eksplodowała w bitwie z Holendrami. Dwie pozostałe poszły na dno. Co do mojego udziału w całej sprawie, dopiero niedawno zdałem sobie sprawę, dlaczego tamten człowiek poprosił mnie o tak niezwykłą przysługę. Napęlniając worki prochem, nie miałem pojęcia, że posłużą do popełnienia morderstwa.

Daniel, pochłonięty przewlekaniem rąk i nóg przez kolejne elementy garderoby, wierzył Rogerowi bez zastrzeżeń. Dawno już przestał liczyć jego moralne lapsusy. Domyślał się, że Roger złamał wszystkie przykazania Boże i popełnił wszystkie grzechy główne, które tylko zdołał, i aktywnie poszukiwał sposobów złamania i popełnienia pozostałych. Nie miało to jednak nic wspólnego z jego prawdziwym charakterem. Ale ktoś z pewnością był odpowiedzialny za wysadzenie w powietrze Bogu ducha winnych artylerzystów w celu pohańbienia hrabiego Epsom. Daniel nie potrafił sobie wyobrazić większego łajdactwa. Na czele spisku musiał stać Thomas More Anglesey, hrabia Gunfleet albo któryś z jego synów, ponieważ, jak słusznie zauważył Roger, on sam nie dałby sobie ze wszystkim rady. Pozostawało jeszcze pytanie, czy zdawał sobie sprawę, do czego posłużą worki z prochem. Angleseyowie by mu tego nie powiedzieli, był więc zdany na własny rozum – ale jego kariera w Kolegium Trójcy Świętej raczej nie zapowiadała olśniewających przeblysków intuicji.

Przekonanie o niewinności Rogera zdjęło z barków Daniela ogromne brzemie, z którego istnienia zdał sobie sprawę dopiero kiedy zniknęło. Zrobiło mu się tak lekko i przyjemnie na duszy, że natychmiast obudziła się w nim purytańska czujność – taki błogostan mógł być diabelskim podstępem. Może udawał, że wierzy Rogerowi, tylko po to, żeby doświadczyć tego miłego uczucia?

– Jak możesz pozostawać z tymi ludźmi w tak zażyłych stosunkach, skoro wiesz, do jakich okrucieństw są zdolni?

– Miałem cię zapytać o to samo.

– Jak to?

– Przestajesz z nimi od czasu zarazy, Danielu. Spotykasz ich na każdym zebraniu Towarzystwa Królewskiego.

– Ale nie wiedziałem, że są mordercami!

– Nieprawda, Danielu. Wiesz o tym od dwunastu lat, od pewnej nocy, kiedy w Trójcy Świętej byłeś świadkiem, jak Louis Anglesey zabił jednego z twoich braci w wierze.

Gdyby Roger miał inną naturę, wygłosiłby te słowa triumfującym tonem i z okrutną miną. Gdyby był Drakiem, posmutniałby albo się wściekł. Ale ponieważ był tylko Rogerem Comstockiem, w jego ustach zabrzmiały jak żart – i to tak udany, że Daniel najpierw prychnął śmiechem, a dopiero potem zmiłgował się i spoważniał.

Warunki transakcji nareszcie stały się jasne. Dlaczego Daniel nie umiał zniechęcić Rogera? Przecież nie z moralnej ślepoty, bo jego tchórzostwo widział równie wyraźnie, jak Hooke salamandrę pod mikroskopem. I nie z chrześcijańskiej chęci wybaczenia. Nie umiał go nienawidzić, ponieważ Roger dostrzegał takie samo tchórzostwo w nim, w dodatku od lat, i wcale nie przestał go lubić. Łączył ich uczciwy układ. Byli dla siebie jak bracia.

Rozważanie dylematów moralnych w obecności Rogera i tak było niczym w porównaniu z tym, co czekało go pół godziny później, gdy w wysokich butach, peruce, żakiecie, krawacie



i z używanym zegarkiem, który Roger wyprosił u Hooke'a, wsiadł do powozu. Jedną z kobiet, które zastał w środku, była Tess.

BUM!

Kiedy przestały się z towarzyszką śmiać z miny Daniela, nachyliła się do niego i podała mu dłoń. Spletli palce. Tess była wprost niewiarygodnie ożywiona – znacznie bardziej niż Daniel, prawdę powiedziawszy. Spojrzała mu w oczy i powiedziała z tym swoim francuskim akcentem:

– Dophawdy, Danielu, to moja życiowa rhol: zagać kochankę mężczyzny, któhny jest tak czysty, tak uduchowiony, że nie żywi żadnych przyziemnych, cielesnych myśli. – Po czym przeszła na akcent londyński: – Ale ja lubię takie ambitne kreacje. Dzięki nim łatwiej rozgraniczyć mnie od Nell Gwyn.

– Ciekawe, co rozgranicza ją od króla? – spytała druga kobieta.

– Dziesięć cali owczego jelita z supelkiem na końcu – odparła Tess. – O ile król zna się na rzeczy.

BUM!

I tak to szło. Daniel spojrzał na siedzącego obok Rogera.

– Drogi panie! Dlaczego uznał pan, że zechcę udawać, iż mam kochankę?

– A kto tu mówi o udawaniu? – odparł Roger. Widząc jednak, że Danielowi nie jest do śmiechu, mówił dalej: – Ha! Nie możesz pokazać się w Whitehallu bez kochanki, tak jak nie mógłbyś przyjść na pojedynek bez szpady. Dajże spokój, Danielu, i tak nikt nie potraktuje was poważnie. Pomyślą, że coś ukrywasz.

– Owszem, ukrywa – wtrąciła Tess, zerkając na wypukłość w spodniach Daniela. – Bez powodzenia.

– Podobała mi się pani w *Holenderskiej ladacznicy* – zaryzykował bez przekonania Daniel.

Podobne wymiany zdań umilały im przejazd wzdłuż murów miejskich na zachód. Ilekroć Daniel próbował sensownie zagać rozmowę, spotykał się z odpowiedzią żartobliwą – i najczęściej tak rubaszną, że nawet jej nie rozumiał, podobnie jak Tess nie rozumiała by dyskusji członków Towarzystwa Królewskiego. Każdy żart kończył się kobiecym chichotem i radykalną, kompletnie irracjonalną zmianą tematu.

Kiedy wreszcie odniósł wrażenie, że udało mu się wprowadzić w rozmowę nieco ładu, koła zaturkotały na bruku targu Świętego Bartłomieja i nagle za oknami pojawiły się tańczące niedźwiedzie i hermafrodyty na szrudłach. Pobożni mężczyźni i dobrze wychowane damy powinni raczej odwrócić wzrok, ale Tess i jej przyjaciółka (również Królewska Komediantka, a przy tym – wszystko na to wskazywało – prawdziwa, nie rzekoma kochanka Rogera) nie zamierzały niczego przegapić. Dziesięć minut później, kiedy karetka wjechała już na Holborn, wciąż szczebiotały o tym, co niedawno widziały. Daniel postanowił pójść za przykładem

Rogera, który zamiast z nimi rozmawiać, po prostu się na nie gapił, z przyklejonym do twarzy uśmiechem wioskowego głupka.

Na rogu Waterhouse Square zatrzymali się na ceremonię podziwiania nowej parceli Rogera. Przy okazji rzucili kilka kąśliwych uwag pod adresem domu Raleigha – kupy kamieni, której projekt architekt wydalil ponoć w ataku krwawej biegunki. Panie w podobny sposób skomentowały strój wdowy Mayflower Ham, właśnie wychodzącej z wyżej wzmiankowanego domu i również udającej się do pałacu Whitehall.

Później minęli znaczną liczbę pól, kościołów i placów nazwanych od świętego Gilesa i wykonali całkowicie zbędny objazd Picadilly. Pod Comstock House Roger kazał zatrzymać karete, aby pasażerowie mogli nacieszyć się widokiem Srebrnych Comstocków opuszczających swoją londyńską rezydencję, służącą im od czasów Wojny Dwóch Róż. Gigantyczne obrazy, przedstawiające sceny myśliwskie i bitwy morskie, wyniesiono z domu i oparto o żelazne ogrodzenie. Obok znalazły się mniejsze obrazy, głównie portrety, odarte ze złotych ram, które miały trafić na aukcję. Można było odnieść wrażenie, że cały tłum Srebrnych Comstocków w niemodnych kaftanach i krezach zebrał się przy płocie i ponuro wygląda na zewnątrz.

– Wszyscy za kratkami! – ucieszył się Roger. – Od stu lat powinni siedzieć.

I roześmiał się z własnego żartu – na tyle głośno, że przyciągnął uwagę samego Johna Comstocka, który stojąc na dziedzińcu, dyrygował tragarzami wynoszącymi z dworku płótno wielkości grotzagla, przedstawiające oblężenie jakiegoś miasta na kontynencie. Daniel utkwil spojrzenie w malowidle – nie tylko dlatego że widok hrabiego Epsom przyprawiał go o melancholię, ale także dzięki słowom Leibniza, z którym spędził wiele czasu, a który takie właśnie obrazy miał na myśli, kiedy mówił o boskim umyśle. Na jednym kawałku płótna, obrawszy jeden niezmienny punkt widzenia artysta namalował potyczki, wycieczki z twierdzy, szarżę kawalerii i śmierć kilku dowódców, które to wydarzenia nastąpiły w różnych miejscach i różnym czasie. Nie był to zresztą jedyny zabieg świadczący o swobodnym potraktowaniu czasu i przestrzeni. Niektóre fakty – podłożenie miny pod bastion, wysadzenie tegoż i walka, jaka się następnie wywiązała – były pokazane jednocześnie. Stały obok siebie jak zakonserwowane w spirytusie larwy w zbiorach Towarzystwa Królewskiego, na wieki dzieląc ten sam wycinek czasu. A mimo to, jeśli oglądało się je we właściwej kolejności, można było odtworzyć całą historię i przypisać każdemu jej elementowi właściwą pozycję. Olbrzymi obraz nie był, rzecz jasna, osamotniony – otaczały go teraz inne, równie ogromne, wyniesione z domu wcześniej. Wizja, jaką przedstawiał, została zestawiona z innymi, małeńki światek oblężenia znalazł się w sieci zdarzeń, których ród Comstocków w swej długiej historii był świadkiem i które uznał za godne uwiecznienia na płótnie. Teraz, przy tak smutnej okazji, wszystkie doczekały się przetasowania i przewietrzenia. Ale przynajmniej to epokowe wydarzenie – upadek Srebrnych Comstocków – rzucone na tło innych, równie wielkich,

wydawało się mniej straszne, niż gdyby znalazło się z dala od nich, osamotnione w czasie i przestrzeni.

\* \* \*

Hrabia Epsom odwrócił się i spojrzał na drugą stronę Picadilly, na swojego Złotego krewniaka. Daniel skulił się i cofnął w głąb powozu, gdzie miał nadzieję ukryć się w półmroku. Jego zdaniem John Comstock przyjął rozwój sytuacji z pewną ulgą. Czułby się przecież fatalnie, mieszkając w Epsom i spędzając całe dnie na polowaniach i łowieniu ryb, prawda? Tak w każdym razie wmawiał sobie Daniel, ale ściągnięta smutkiem twarz hrabiego miała go w przyszłości prześladować w najmniej oczekiwanych momentach.

– Nie daj się zwariować, Danielu, tylko dlatego że widzisz jego twarz – ostrzegł Roger. – Nie zapominaj, że był Kawalerem. Prowadził konnicę do szturm na piechotę broniącą parlamentu. Wiesz, co to znaczy? Widzisz ten duży, wstrętny obraz, na którym stryjeczny dziadek Comstocka poluje z przyjaciółmi na lisa? Wystarczy zastąpić lisa głodującym włóścianinem, bezbronnym i osamotnionym, aby uzyskać rzetelny obraz wojny widzianej oczyma Johna Comstocka.

– Wiem o tym, wiem o tym wszystkim... Ale jakoś i tak jest mi miłszy niż książę Gunfleet i jego synowie.

– Trzeba go było usunąć, a my musieliśmy przegrać wojnę, żeby mogło dojść do zmian. Co zaś się tyczy Angleseya i jego pomiotu... Lubię ich jeszcze mniej niż ty. Nie przejmuj się nimi teraz. Ciesz się swoim triumfem i swoją metresą, a Angleseyów zostaw mnie.

Wreszcie zajechali do Whitehallu, gdzie wraz z rzeszą Bolstroodów, Waterhouse'ów i innych patrzyli, jak król podpisuje deklarację. W wersji Wilkinsa *Deklaracja o Tolerancji Religijnej* przyznawała wolność wyznania wszystkim bez wyjątku. Karol II nie był tak hojny: pewni heretycy-ekstremiści, tacy jak na przykład nie wierzący w Trójkę Świętą arianie, nie zostali nią objęci. Co nie zmieniało faktu, że był to akt godny zapamiętania, a z pewnością wart wychylenia paru kufli piwa w karczmach przy Drury Lane i wzniesienia toastu na cześć Johna Wilkinsa. Rzekoma kochanka nie odstępowała Daniela na krok podczas tej wiekopomnej włączki po piwiarniach, która zakończyła się w teatrze Rogera, a dokładniej – w pokoju za kulisami, gdzie dziwnym zbiegiem okoliczności znajdowało się łóżko.

– Ktoś tu robi kiełbaski – zauważył Daniel.

Tess, która już prawie zdążyła mu ściągnąć spodnie, dostała ataku śmiechu.

– Ty też masz całkiem ładną – wykrztusiła wreszcie.

– Nie jest mojej roboty, tylko twojej – stwierdził Daniel i (widząc ją jak na dłoni) dodał: – I wcale nie jest ładna.

– Mylisz się w obu przypadkach – odparła z przekąsem Tess.

Wstała i wzięła ją do ręki. Daniel sapnął. Pociągnęła lekko. Daniel jęknął i przysunął się bliżej.

– Aha, więc jest do ciebie przyczepiona. W takim razie musisz pogodzić się z tym, że to twoje dzieło. Nie można mieć o wszystko pretensji do dziewczyn. A co do jej urody... – Otworzyła dłoń. – Ty chyba po prostu nigdy nie widziałeś brzydkiej, prawda?

– Wychowano mnie w przekonaniu, że wszystkie są paskudne.

– To możliwe... W końcu to przecież kwestia metafizyczna, prawda? Zapewniam cię jednak, że są wśród nich lepsze i gorsze. I dlatego trzymamy w sypialni powłoczki na kiełbaski.

Tess zrobiła niesamowitą sztuczkę, używając do niej dziesięciocalowego kawałka owczego jelita, zawiązanego na jednym końcu na supeł. Daniel nie potrzebował aż dziesięciu cali, ale Tess mu nie żałowała. Może chciała mu w ten sposób okazać szacunek.

– Czy dzięki temu to nie będzie prawdziwy *coitus*? – zapytał z nadzieją. – Bo nie będę cię dotykał?

To nie było do końca prawdą – dotykał ją w wielu miejscach i sam również był dotykany. Ale tam, gdzie to się naprawdę liczyło, miał kontakt tylko z owczą kiszka.

– Wielu twoich współwyznawców tak mówi. Równie wielu ma zwyczaj gadać bez przerwy, kiedy to robią. To cholernie irytujące.

– A co ty o tym powiesz?

– Powiem, że się nie dotykamy i nie uprawiamy seksu, jeżeli masz się dzięki temu lepiej poczuć. Będziesz tylko musiał wyjaśnić swojemu Stwórcy, kiedy już będzie po wszystkim, dlaczego zerznąłeś martwą owcę.

– Nie rozśmieszaj mnie! To boli.

– Co cię tak rozbawiło? Powiedziałam prawdę. A to, co czujesz, to wcale nie jest ból.

Wtedy zrozumiał, że Tess ma rację. „Ból” nie był najlepszym określeniem.

Kiedy następnego dnia się obudził, leżał w tym samym łóżku. Było wczesne popołudnie. Tess zniknęła, ale zostawiła mu list (kto by pomyślał, że umie pisać? Chociaż z drugiej strony... Musiała przynajmniej umieć przeczytać swoje kwestie).

*Danielu,*

*Wrócimy jeszcze do produkcji kiełbasek. Na razie muszę trochę pograć, bo nie wiem, czy o tym pamiętasz, ale jestem aktorką.*

*Wczoraj pracowałam – udawałam kochankę. Jest to rola trudna, ponieważ szybko się nudzi. Teraz jednak farsa zmieniła się w fakt i nie będę musiała niczego grać. To znacznie łatwiejsze. Nie jestem już związana umową, która nakazywała mi podawać się za Twoją metresę i przewidywała wypłacanie wynagrodzenia z kiesy Twojego przyjaciela Rogera. Ponieważ stałam się Twoją rzeczywistą kochanką, jakiś*

*drobny prezent byłby jak najbardziej na miejscu. Wybacz moją bezpośredniość.  
Dżentelmeni po prostu wiedzą takie rzeczy, purytanom trzeba je dopiero uświadomić.*

*Tess*

*PS Brakuje Ci doświadczenia aktorskiego. Spróbuję Ci pomóc.*

Daniel długo chodził chwiejnym krokiem po pokoju, zbierał swoje rzeczy i usiłował powkładać je na siebie we właściwej kolejności. Nie uszło jego uwagi, że ubiera się jak aktor – wkłada obcy strój za kulisami. Kiedy się ogarnął, wyszedł z sypialni i błądząc wśród rekwizytów i elementów scenografii, trafił na scenę. Teatr był pusty, jeśli nie liczyć garstki drzemiących na ławkach aktorów. Tess miała rację. Znalazł swoje miejsce – był jednym z wielu aktorów i mimo że nigdy nie wyjdzie na scenę, musi zacząć pisać sobie własne kwestie *ad libitum*.

Rozumiał już, że przyszło mu grać rolę czołowego dysydenta, który przy okazji jest szanowanym uczonym i członkiem Towarzystwa Królewskiego. Jeszcze niedawno uznałby tę rolę za banalnie prostą, ponieważ tak niewiele odbiegała od prawdy. Ale jeśli nawet kiedyś żywił złudzenia, że mógłby zostać mężem bożym, to ułuda ta przepadła wraz ze śmiercią Drake'a, a Tess spaliła jej resztki na popiół. Wyobrażał sobie, że jest naturalistą, ale i ta iluzja nie miała szans powodzenia, dopóki musiał konkurować z Isaakiem, Leibnizem i Hookiem. I tak oto rola, którą napisał dla niego Roger Comstock, wydawała się coraz bardziej pociągająca. Może tak samo jak Tess, on również uzna, że dobrze się stało.

Kiedy tego dnia tysiąc sześćset siedemdziesiątego trzeciego roku błąkał się po teatrze, powyższe wnioski wydawały mu się oczywiste. Natomiast ich implikacje przerastały go tak dalece, jak rachunek różniczkowo-całkowy przerastał możliwości pojmwania Mayflower Ham. Nie mógł przewidzieć, że jego kariera aktorska na londyńskiej scenie potrwa następne dwadzieścia pięć lat. Zresztą nawet gdyby dopuścił taką możliwość, i tak nie wpadłby na to, że po dalszych piętnastu latach zostanie wezwany z powrotem do ojczyzny i poproszony o bis.

## **Na *Minerwie*, w Zatoce Cape Cod, Massachusetts**

### **Listopad 1713**

Czarnobrody ściga właśnie jego! Daniel i tak żył w strachu, kiedy jeszcze tego nie wiedział, ale teraz naprawdę ma prawo być śmiertelnie przerażony. Tymczasem czuje zupełny spokój – po części dlatego że wszystko wydaje mu się lepsze od zabiegów medyka, który go zszywał, a po części ze względu na fakt, że podczas operacji stracił dużo krwi i wypił sporo rumu. Wszystko to jednak są wyjaśnienia mechanistyczne, a mimo rozmowy z Wait Stillem o

wolnej woli i innych sprawach, jaką odbyli w przeddzień jego wyjazdu z Bostonu, Daniel nie potrafi pogodzić się z myślą, że jego poczynaniami rządzą *humory* i ich równowaga lub jej brak. Rzeczywistym powodem poprawy jego nastroju (zwłaszcza po przespaniu godzinki czy dwóch) jest fakt, że nareszcie zaczyna coś z tego wszystkiego rozumieć. Ledwie ledwie, ale zawsze. Boi się bólu, nieszczęśliwie obawia się śmierci (i tak nie spodziewał się, że tak długo pożyje), za to chaos i świadomość, że świat nie rządzi się racjonalnymi prawami, wprawiają go w iście zwierzęce przerażenie, jak psa, który nie wie dlaczego został poddany wiwisekcji. Od czasu tamtych doświadczeń wytrzeszczone oczy związanych i zakneblowanych psów są dla niego prawdziwym symbolem strachu.

– Już pan spaceruje, doktorze? Tak szybko?

Dappa musiał go rozpoznać po krokach i postukiwaniu laski o pokład, bo od półgodziny nie odrywa lunety od oka.

– Co tak pana fascynuje w tym szkunerze, panie Dappa? Poza tym, naturalnie, że na jego pokładzie roi się od morderców.

– Toczę spór z kapitanem. Twierdzę mianowicie, że to lekka, płaska, flamandzka sztuka o sporej zawietrzności. Van Hoek wyczytał z jej takielunku wskazówki, które temu przeczą.

– Sztuka to, jak mniemam, kadłub... Lekka i płaska, czyli unosząca się na wodzie jak korek i płytko zanurzona, co, jak rozumiem, byłoby pożądane zarówno dla Flamandów, jak i dla piratów, albowiem jedni i drudzy muszą często lawirować w płytkich zatoczkach i zawijać do niezbyt głębokich portów...

– Jak dotąd, rozumuje pan bezbłędnie, doktorze.

– Zawietrzność oznacza, jak się domyślam, że z powodu spłaszczenia dna wiatr spycha szkuner w bok, kiedy ten próbuje iść zbyt ostro na wiatr. Tak jak w tej chwili.

– My również tak płyniemy.

– Domyślam się, że *Minerwa* ma podobną wadę...

Ta obelga zmusza Dappę do opuszczenia lunety.

– Skąd ten pomysł?

– Wszystkie amsterdamskie statki są chyba z konieczności nieco płaskodenne, prawda? Przecież, żeby wejść na Ijsselmer...

– *Minerwę* zbudowano na Wybrzeżu Malabarskim.

– Panie Dappa!

– Nie śmiałybym pana urazić żartem, doktorze. Mówię prawdę. Byłem przy tym.

– Ale jak...

– Nie pora na przytaczanie tej historii. Proszę mi jednak wierzyć, że kurs pozorny *Minerwy* jest niemal idealnie zgodny z prawdziwym.

– A pan jest ciekaw, jak wygląda kwestia zawietrzności w wypadku szkunera. Podobny problem ma astronom, który – uwięziony na obracającej się i pędzącej przez otchłań kosmosu planecie – próbuje wykreślić rzeczywistą trajektorię komety.

– Tym razem to ja mam wątpliwości, czy pan sobie ze mnie nie kpi.

– Woda jest odpowiednikiem eteru, płynnego ośrodka, w którym zawieszono są wszystkie obiekty fizyczne. Cape Cod, który tam widać, jest jak odległe, nieruchome gwiazdy. Wystarczyłoby namierzyć się na iglicę kościoła w Provincetown, południowe wybrzuszenie Cape Cod i maszt tamtego wraku, a następnie wykonać parę obliczeń trygonometrycznych i znalazłbyśmy naszą dokładną pozycję. Wyznaczywszy ją w pewnych odstępach czasu i połączymy punkty, wykreślilibyśmy nasz kurs. Jeżeli porównamy szkuner do komety, która również przemierza eter, to po zmierzeniu kątów między nami, nim, iglicą kościoła i tak dalej, wyznaczymy jego rzeczywisty kurs. A porównawszy go z pozornym, dowiemy się, jaki ma znoś.

– Ile czasu by to panu zajęło?

– Gdyby podał mi pan namiary i pozwolił spokojnie dokonać obliczeń, najwyżej pół godziny.

– W takim razie zaczynajmy niezwłocznie.

Kiedy, znalazłszy się we wspólnej sali, Daniel kreślił linie na odwrocie starej mapy, zaczyna rozumieć potrzebę pośpiechu. Chcąc wydostać się z Zatoki Cape Cod, muszą ominąć znajdujący się na jej północnym skraju cypel Race Point. Race Point znajduje się na północny wschód od nich. Wiatr od paru godzin wieje z północnego zachodu i skręca ku północy. *Minerwa* może płynąć sześć rumbów<sup>51</sup> od wiatru, więc z trudem, bo z trudem, ale utrzymuje północno-wschodni kurs. Gdyby nie piraci i inne potencjalne niebezpieczeństwa, bez przeszkód wyszłyby z zatoki.

Jednakże dwa pirackie okręty idą równoległym kursem, tak jak przedtem kecz i ssący szkuner. Od nawietrznej – czyli mniej więcej na północny zachód od *Minerwy* – widać duży słup, okręt flagowy *Teacha*, który w obecnej sytuacji ma pełną swobodę manewru. Jest szybki, zwrotny i dobrze uzbrojony, może ostrzyć cztery rumby od wiatru i spokojnie wyminać mielizny w okolicy Race Pointu. Szkuner znajduje się z drugiej strony, od zawietrznej, między *Minerwą* i lądem. Również może iść cztery rumby od wiatru, a to oznacza, że mógłby przeciąć drogę *Minerwie* i przechwycić ją jeszcze przed cypłem. Jeżeli to zrobi, słup *Teacha* w tym samym momencie podejdzie do niej od bakburty i obie załogi jednocześnie dokonają abordażu. A skoro tak, to *Minerwa* powinna odpaść od wiatru, runąć z impetem na szkuner, rozprawić się z nim, a potem zawrócić (najlepiej, zanim wyrżnie w brzeg) i zmierzyć się ze słupem.

Ale jeśli Dappa się nie myli i szkuner ma poważny problem z zawietrznością, sytuacja może się okazać bardziej złożona. Wiatr będzie go spychał w stronę brzegu, oddalał od *Minerwy* i przybliżał do piaszczystych łąk Race Pointu. Nie zdąży przechwycić *Minerwy*, a żeby uniknąć osadzenia na mieliznie, będzie musiał zrobić zwrot przez sztag, skierować się na

---

<sup>51</sup> Na róży wiatrów są trzydzieści dwa rumby.

zachód i zostanie wyłączony z akcji. W takich okolicznościach *Minerwa* powinna utrzymać kurs i czekać na ruch Teacha.

Arytmetyka wyjaśni tę tajemnicę – ta sama arytmetyka, z którą Flamsteed, królewski astronom, zмага się właśnie w obserwatorium w Greenwich w nadziei udowodnienia, że najnowsze wyliczenia sir Isaaca, odnoszące się do orbity Księżyca, są błędne. Z tą różnicą, że *Minerwa* jest dla Daniela Ziemią, szkuner Księżycem, a nieruchomy Boston – naturalnie – osią wszechświata. Daniel spędza niezwykle przyjemne pół godziny na przetwarzaniu obserwacji Dappy w sinusy i cosinusy, przekroje stożkowe i różniczki – przyjemne, ponieważ matematyczny porządek pozwala mu nie myśleć o strachu. Nie mówiąc już o tym, że zafascynowany obliczeniami zapomina o pulsujących bólem szwach.

– Dappa miał rację – oznajmia Daniel van Hoekowi stojącemu na kasztelu rufowym. – Szkuner dryfuje na zawietrzną i niedługo albo zrobi zwrot, albo wpakuje się na mieliznę.

Van Hoek pyka z fajki – raz, drugi, trzeci – a potem kiwa głową i zaczyna coś mamrotać po niderlandzku. Maci i gońcy roznoszą jego polecenia po całym statku. *Minerwa* zapomina o szkunerze i szykuje się do starcia z okrutnym słupem wojennym Teacha.

Pół godziny później zawietrzny szkuner dostarcza załodze *Minerwy* ponurej rozrywki, kiedy faktycznie nadziewa się na knykieć zaciśniętej pięści Cape Cod. Takie wypadki są oczywiście hańbiące, ale nikogo nie dziwią – angielscy piraci dopiero od niedawna są w Massachusetts i trudno od nich oczekiwać, żeby znali na pamięć wszystkie łachy. Kapitan zaś wolał zapewne osiąść na mieliznie, a potem spokojnie wrócić na morze, niż uciec z pola walki i doświadczyć gniewu Czarnobrodego Teacha.

Van Hoek natychmiast każe odpaść od wiatru i *Minerwa* obiera kurs południowo-zachodni, jakby zamierzała wrócić do Bostonu. Kapitan chce znaleźć się za rufą Teacha i odpalić mu salwę w tyłek, ale Teach jest na to za sprytny. Również odpada i kieruje się na wschód, żeby umknąć przed działami *Minerwy*, potem skręca na południe i z unieruchomionego szkunera zabiera kilkudziesięciu marynarzy, którzy mogą mu się przydać przy abordażu. Niedługo potem lokuje się za rufą *Minerwy*.

Przez następną godzinę w okolicy Race Pointu trwa pojedynek na halsy – Teach usiłuje zbliżyć się do *Minerwy* na odległość strzału z muszkietu w taki sposób, żeby nie nadzieć się na jej działa, van Hoek zaś przymierza się do odpalenia jednej celnej salwy. Trwa sporadyczna wymiana ognia. Teach wybija w kadłubie *Minerwy* nieduży otwór, który wkrótce zostaje załatany. Ładunek złomu wystrzelony z karonady na *Minerwie* zrywa jeden z żagli słupa, ale i ta usterka zostaje szybko naprawiona. Z czasem jednak niechęć van Hoeka do piratów słabnie, przygaszona monotonią pojedynku i chęcią wyjścia w morze przed zapadnięciem zmroku. Dappa przypomina kapitanowi, że od otwartego Atlantyku dzielą ich najwyżej dwie mile wód zatoki i że nic już ich od niego nie oddziela. Przekonuje, że nie ma lepszego sposobu na upokorzenie pirata niż zostawić go z pustymi rękami i pokładem pełnym



ludzi, którzy nie mają na co zarzucić haków abordażowych. Lepiej uciec piratowi, tłumaczy Dappa, niż go pokonać.

W końcu van Hoek mu ulega i nakazuje zwrot w stronę Anglii. Obsłudze dział każe naśladować Cincinnatusa, porzucić wojenne narzędzia w chwili triumfu i wrócić do spokojniejszych zajęć – w tym wypadku oznacza to rozwinięcie wszystkich posiadanych przez *Minerwę* płócien. Zmęczeni i oczadziiali ludzie gramolą się na pokład, robią sobie przerwę na kubek wody, po czym zaczynają rozkładać bomby dodatkowych żagli. Najgrubsze reje stają się niemal dwukrotnie dłuższe. Płótna opadają z bomów, przez chwilę trzepoczą i wypełniają się wiatrem. Niczym albatros, który – znużony długim pościgiem wśród skał i niekończącymi się unikami – wznosi się wyżej w powietrze i widzi rozpościerający się przed nim ocean, tak teraz *Minerwa* rozkłada szeroko skrzydła i leci. Jej kadłub skurczył się do rozmiarów łupiny orzecha, wleczonej przez olbrzymią, poskrzypującą mgławicę napiętego płótna.

Teach biega w tę i z powrotem po pokładzie słupa. Głowa dosłownie mu dymi, kiedy wymachuje kordelasem i sztorcuje załogę, ale wszyscy dobrze wiedzą, że przy takiej masie ludzi *Zemsta królowej Anny* jest trochę za ciężka i ma za małe zapasy, żeby w listopadzie pokusić się o przepłynięcie północnego Atlantyku.

*Minerwa* przyspiesza. Tnie błękitną toń z mocą, którą Daniel wyczuwa w drzeniu pokładu. Rozbija trafiające się czasem fale z podobnym impetem, jak staranowaną rano piracką łódź. Słońce zachodzi nad Ameryką, gdy gnany półwiatrem statek van Hoeka rozpoczyna transoceaniczny rejs.